

25 lipca 1956  
Na południe od wyspy Nantucket

## Prolog

**B**łady statek pojawił się niespodziewanie, jakby wyskoczył z głębin. Sunął niczym duch przez srebrny, jarzący się zimno krąg, księżycowego światła. Płynął na wschód w rozgrzanym nocnym powietrzu. Wzdłuż białych jak kość burt migotały diademy rozświetlonych bulajów. Ostry dziób ciał płytkie morze z taką łatwością, z jaką sztylet tnie czarną satynę.

Wysoko na zaciemnionym mostku szwedzko-amerykańskiego liniowca „Stockholm”, siedem godzin i sto trzydzieści mil morskich na wschód od Nowego Jorku, drugi oficer Gunnar Nillson przepatrywał rozświetlony ocean. Przez wielkie, biegnące wokół mostka prostokątne okna widział panoramę morza. Woda była spokojna, jedynie tu i ówdzie pojawił się poszarpany grzbiet fali. Temperatura, nieco ponad dwadzieścia stopni Celsjusza, była miłą odmianą po wilgotnym powietrzu, które kładło się ciężko na „Stockholmie” rankiem, kiedy liniowiec opuszczał nabrzeże przy Siedemdziesiątej Piątej ulicy i ruszał w dół rzeki Hudson. Resztki wełnistych chmur przesuwały się przed porcelanowym księżycem niczym poszarpany całun. Widoczność od sterburty wynosiła sześć mil morskich.

Nillson przeniósł wzrok na lewo. Cienka, ciemna linia horyzontu gubiła się za mglistym mrokiem, który skrywał gwiazdy jak woalka i spawał niebo z oceanem.

Drugi oficer zapatrzył się na tę scenę, zapominając o otoczeniu. Wrócił jednak do rzeczywistości na myśl o ogromnej i bezdrożnej pustce, jaką mieli pokonać. Marynarze często o tym myślą; gdyby Nillson nie poczuł drżenia pod stopami, dumałby znacznie dłużej. Zdawało się, że moc, którą wytwarzały dwa potężne diesle po czternaście tysięcy sześćset koni mechanicznych każdy, płynie z maszynowni w górę, przenika wibrujący pokład i wnika w ciało. Nillson balansował niemal niewidocznie, by zachować równowagę przy łagodnym kołysaniu statku na boki. Strach i zdumienie odpłynęły, za-

stało się poczucie wszechmocy, zrodzone ze świadomości, że dowodzi szybkim liniowcem, pędzącym przez ocean z maksymalną prędkością.

„Stockholm” miał sto sześćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia jeden metrów szerokości. Był najmniejszym liniowcem w ruchu transatlantyckim. Od długiej dziobówki ku rufie, zaokrąglonej łagodnie jak kieliszek do wina, biegly linie nadające mu wygląd sportowego jachtu. Poza jednym żółtym kominem, cały kadłub błyszczał bielą. Nillson rozkoszował się władzą, jaką daje dowodzenie. Na jedno pstryknięcie palcami trzech marynarzy skoczyłoby wykonać jego rozkazy. Dotknięciem dźwigni któregoś z telegrafów maszynowych mógł sprawić, by rozdzwoniły się dzwonki, a wielu ludzi rzuciło się do działania.

Na myśl, jak marny jest on sam w obliczu tej potęgi, zachichotał pod nosem. Czterogodzinna wachta polegała w zasadzie na wykonywaniu serii rutynowych czynności. Należało tylko utrzymać statek na wyimaginowanej linii, przecinającej wyimaginowany punkt niedaleko pękatego czerwonego latarniowca, strzegącego zdradliwych wybrzeży Nantucket. Tam „Stockholm”, z pięciuset trzydziestoma czterema pasażerami na pokładzie, miał skrócić na północny wschód i wejść na kurs, który pozwoli ominąć wyspę Sable, potem prosto jak po sznurku pokonać Atlantyk, dotrzeć w okolice północnej Szkocji i w końcu do portu w Kopenhadze.

Nillson miał tylko dwadzieścia osiem lat i zaokrętował się na „Stockholm” ledwie trzy miesiące wcześniej, ale pływał na łodziach i statkach, odkąd umiał chodzić. W wieku kilkunastu lat harował na bałtyckich kutrach śledziowych, następnie służył jako majtek w pewnym wielkim przedsiębiorstwie żeglugowym. Potem skończył Szwedzką Wyższą Szkołę Morską i pracował w marynarce szwedzkiej. Dowodzenie „Stockholmem” stanowiło kolejny krok w realizowaniu marzenia, by zostać panem własnego statku.

Nillson nie pasował do stereotypu wysokiego jasnowłosego Szweda. Miał w sobie więcej z weneccjanina niż z wikinga. Odziedziczył po matce włoskie geny – orzechowe włosy, oliwkowa skóra, drobnokościstą budowę ciała i słoneczny temperament. Ciemnowłosi Szwedzi nie są niczym niezwykłym, ale czasami Nillson zadawał sobie pytanie, czy śródziemnomorskie ciepło w jego dużych ciemnych oczach nie kłóci się z lodowatym zachowaniem kapitana. Styl bycia kapitana brał się raczej z połączenia skandynawskiej rezerwy z ostrą dyscypliną, tradycyjną w szwedzkiej marynarce. Nillson pracował ciężiej, niż musiał. Nie chciał dać kapitanowi najmniejszego powodu do niezadowolenia. Pogoda była idealna, żadne statki nie kręciły się w okolicy, niedaleko znajdowały się płytkie wody, a jednak, nawet podczas tej spokojnej nocy chodził od jednego skrzydła mostka do drugiego, jakby liniowiec znajdował się w szponach huraganu.

Mostek liniowca podzielono na dwie części: z przodu szeroka na sześć metrów sterówka, za nią – oddzielne pomieszczenie mapowe. Zewnętrzne

drzwi skrzydeł mostka otwarto, by wpuścić do środka lekką południowo-zachodnią bryzę. Po obu bokach sterówki widniały zestawy urządzeń radarowych i telegraficznych. W środku sterówki, na drewnianym podwyższeniu wznoszącym się dziesięć centymetrów nad wypolerowaną podłogę stał sternik. Dzieląca oba pomieszczenia ścianka znajdowała się tuż za jego plecami. Ręce nieprzerwanie trzymał na sterze, oczy natomiast co i raz kierował na lewy żyrokompas. Na wprost steru, tuż pod centralnym oknem, umieszczono skrzynkę wskaźnika kursu. Trzy drewniane klocki w środku miały nadrukowane numery, co pomagało sternikowi koncentrować się na obranym kursie.

W tej chwili klocki wskazywały zero dziewięćdziesiąt.

Nillson wszedł na górę nieco przed rozpoczynającą się o wpół do dziewiątej wachtą. Chciał rzucić okiem na prognozę pogody. Zapowiadano, że w okolicy stojącego przy Nantucket latarniowca będzie mgła. Jak na ten rejon nic zaskakującego. Ciepłe wody u wybrzeży Nantucket to fabryka mgły. Schodzący z mostka oficer przekazał Nillsonowi, że „Stockholm” idzie kursem lekko na północ od wcześniej wyznaczonego. Nie umiał jednak określić, jak daleko zbczyli. Radiolatarnie znajdowały się za daleko, żeby dokonać pomiaru.

Nillson uśmiechnął się. Informacja wcale go nie zaskoczyła. Kapitan zawsze obierał ten sam kurs – dwadzieścia mil na północ od zalecanego przez porozumienia międzynarodowe. Ogólnie przyjęty kurs nie był obowiązkowy, a kapitan wołał płynąć bardziej na północ. Dzięki temu oszczędzał czas i paliwo.

Skandynawscy kapitanowie nie odbywają wacht na mostku, zazwyczaj zostawiają statek pod dowództwem jednego z oficerów. Nillson szybko rozpoczął serię rutynowych czynności. Przeszedł przez mostek. Sprawdził prawy radar. Spojrzał na telegrafy, by się upewnić, że oba wskazują CAŁA NAPRZÓD. Przez chwilę bacznie obserwował morze. Upewnił się, że oba białe światła nawigacyjne na maszcie są zapalone. Wszedł powoli do sterówki. Obejrzał parametry wskazywane przez żyrokompas. Zatrzymał wzrok na rękach sternika. Pokrążył po sterówce.

Kapitan wszedł na górę nieco po dziewiątej, kiedy skończył kolację, którą jadł w swej kabinie, położonej bezpośrednio pod mostkiem. Był małym mężczyzną przed sześćdziesiątką, ale wyglądał starzej. Czas rozmył ostrość jego wyrazistego profilu, tak jak nieustępliwe morze wygładza skalny występ. Kapitan trzymał się prosto niczym pał do taranowania i nosił zawsze nienagannie wyprasowany mundur. Choć rumiana twarz przypominała stare jabłko, oczy koloru lodu bystro migotały. Przez dziesięć minut chodził w tę i z powrotem za mostkiem, wpatrywał się w ocean i wciągał nosem ciepłe powietrze niczym pies gończy, który łapie zapach bażanta. Potem wszedł do sterówki i zaczął studiować mapy nawigacyjne, jakby szukał znaku.

– Zmienić kurs na osiemdziesiąt siedem stopni – powiedział po chwili.

Nillson przekreślił wielką kostkę w skrzynce kursowej tak, by wskazywała zero osiemdziesiąt siedem. Kapitan poczekał, aż sternik odpowiednio ustawi ster, po czym wrócił do swojej kabiny.

W pomieszczeniu kartograficznym Nillson wytarł na mapie linię oznaczającą kurs dziewięćdziesiąt stopni, narysował ołówkiem nowy, wyznaczony przez kapitana, i po szybkich obliczeniach w pamięci oszacował miejsce, gdzie się znajdowali. Następnie przedłużył oznaczającą kurs linię zgodnie z czasem, jaki minął od wyruszenia, i utrzymywaną prędkością. Zrobił krzyżyk. Kreska na mapie wskazywała, że przełyną w odległości mniej więcej pięciu mil od latarniowca. Nillson jednak uznał, że silne północne prądy pchną statek na dwie mile od tego miejsca.

Podszedł do radaru przy prawych drzwiach i przełączył zakres z piętnastu mil na pięćdziesiąt. Wąski żółty pasek, który omiatał kolisty ekran, oświetlił smukłe ramię Cape Cod, wyspy Nantucket i Martha's Vineyard. Przy tym ustawieniu odległe statki dawały zbyt małe odbicie, by radar mógł je pokazać. Nillson przestawił więc urządzenie z powrotem na badanie najbliższych piętnastu mil, po czym znów zaczął krążyć po mostku.

Około dziesiątej wrócił kapitan.

– Będę w swojej kabine. Muszę się zająć papierkową robotą – oznajmił. – Zmienię kurs na bardziej północny za dwie godziny. Proszę mnie wezwać, jeśli zobaczy pan przedtem latarniowiec. – Wyrżał przez okno, mrużąc oczy, jakby wyczuwał obecność czegoś niewidocznego. – Albo jeśli pojawi się mgła lub pogorszy pogoda.

„Stockholm” znajdował się czterdzieści mil na zachód od latarniowca, wystarczająco blisko, by wychwycić jego sygnał radiowy. Radiolokator wskazywał, że statek płynie kursem o przeszło dwie mile na północ od tego, jaki wyznaczył kapitan. Nillson doszedł do wniosku, że muszą ich spychać prądy.

Kolejny pomiar radiolokacyjny pięć minut później wykazał, że statek płynie prawie trzy mile na północ od kursu. W dalszym ciągu nie było się czym niepokoić; wystarczyło jedynie uważnie obserwować sytuację. Stały rozkaz brzmiał, by wzywać kapitana na mostek w przypadku zdryfowania z kursu. Nillson wyobrażał sobie wyraz, jaki przybierze niezbyt przyjemna twarz kapitana, i ledwie skrywane zadowolenie w oczach od tyłu lat smaganych morskim wiatrem. Wezwał pan MNIE na górę w TAKIEJ sprawie? Nillson w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Może było coś nie tak z radiolokatorem? Albo radiolaternia znajdowała się jeszcze zbyt daleko, by dokonać dokładnego pomiaru?

Nillson wiedział, że jest marionetką w rękach kapitana, ale przecież był w końcu oficerem dowodzącym na mostku. Podjął decyzję.

– Ster osiemdziesiąt dziewięć – polecił sternikowi.

Koło poruszyło się w prawo. Dziób statku przesunął się nieco na południe, bliżej zamierzonego kursu.

Załoga mostka zamieniła się stanowiskami zgodnie z wyznaczonym osiemdziesięciminutowym rytmem. Ze stanowiska rezerwowego podszedł Lars Hansen i przejął ster.

Nillson skrzywił się, niezbyt zadowolony ze zmiany. Nigdy nie czuł się dobrze na wachcie z tym człowiekiem. Podstawową zasadą szwedzkiej marynarki jest koncentrowanie się wyłącznie na zadaniach. Oficerowie rozmawiają z marynarzami tylko po to, by wydać rozkazy. Nie ma wymieniać uprzejmości. Nillson czasami łamał tę zasadę. Po cichu dzielił się z jakimś marynarzem żartem albo drwiącą uwagą. Z Hansenem nigdy tego nie robił.

Hansen po raz pierwszy płynął na „Stockholmie”. Wszedł na pokład w ostatniej chwili, by zastąpić marynarza, który się zaciągnął, ale nie przyszedł. Z dokumentów Hansena wynikało, że służył na różnych jednostkach, mimo to nikt go nie znał ani o nim nie słyszał. Wydawało się to dziwne. Był wysoki i barczysty, miał kwadratową szczękę i ścięte tuż przy skórze jasne włosy. Opis taki mógłby pasować do milionów Skandynawów tuż po dwudziestce. Trudno było jednak zapomnieć twarz tego mężczyzny. Po prawej stronie, od wystającej kości policzkowej, niemal do kącika ust, biegła groźnie wyglądająca biała blizna. Szrama sprawiała, że wargi nieco się unosiły, przez co usta wyglądały jak wykrzywione w groteskowym uśmiechu. Hansen służył głównie na frachtowcach. To mogło wyjaśniać, dlaczego nic o nim nie wiedzano, choć zdaniem Nillsona wynikało to bardziej z zachowania marynarza. Był skryty, odzywał się wyłącznie, jeśli musiał, a i wtedy nie mówił wiele. Nikt nigdy go nie spytał o bliznę.

Nillson musiał jednak przyznać, że Hansen okazał się dobrym marynarzem – szybko reagował na rozkazy i wykonywał je bez dyskusji. Z tego powodu bardzo się zdziwił, gdy sprawdził kompas. Podczas minionych wacht Hansen udowodnił, że jest kompetentnym sternikiem, teraz jednak pozwalał statkowi wchodzić w dryf, jakby błądził gdzieś myślami. Nillson rozumiał, że do wyczucia steru potrzeba po objęciu wachty nieco czasu, ale dziś sterowanie nie wymagało większego wysiłku. Owszem, prąd był dość silny, ale nie dał wiatr. Przez pokład nie przewały się potężne fale. Wystarczyło jedynie odrobinę poruszyć sterem raz w jedną, raz w drugą stronę.

Nillson spojrzął na żyrokompas. Żadnych wątpliwości. Statek szedł lekko esowatą linią. Oficer stanął tuż przy sterniku.

– Trzymaj prosto, Hansen – powiedział żartobliwym tonem. – Chyba wiesz, że to nie okręt wojenny.

Hansen obrócił głowę osadzoną na masywnej szyi. Poblask żyrokompassu podkreślił głębokość blizny i sprawił, że oczy marynarza błysnęły jak u drapieznika. Zdawało się, że ze źrenic bije żar. Nillson poczuł milczącą agresję. Mało brakowało, a cofnąłby się odruchowo. Powstrzymał się jednak, by nie okazać słabości, i wskazał na cyfry w skrzynce kursowej.

Sternik przez kilka sekund bez wyrazu wpatrywał się w oficera, po czym niemal niewidocznie skinął głową.

Nillson upewnił się, że kurs jest utrzymywany, mruknął z aprobatą i pośpiesznie odszedł do pomieszczenia z mapami.

Kiedy robił kolejny radionamiar, by ustalić efekt dryfu, zadrżał. Myśl o Hansenie przyprawiała go o gęsią skórę. Nielogiczne – nawet po dwustopniowej korekcie na południe, „Stockholm” znajdował się o trzy mile za daleko na północ.

Wrócił do sterówki i nie patrząc na marynarza, wydał rozkaz:

– Dwa stopnie w prawo.

Hansen przekreślił ster na dziewięćdziesiąt jeden stopni.

Nillson zmienił cyfry w skrzynce kursowej i stał przy kompasie, aż uznał, że sternik prawidłowo wprowadził statek na nowy kurs. Potem pochylił się nad radarem. Żółtawa poświata nadała ciemnej skórze taki odcień, jakby oficer miał żółtaczkę. Poruszający się dookoła tarczy promień pokazał po lewej stronie jasną plamkę, odległą o jakieś dwanaście mil morskich. Nillson uniósł brew.

„Stockholm” miał towarzystwo.

Nillson nie mógł wiedzieć, że w kadłub i nadbudówki „Stockholmu” uderzają fale elektromagnetyczne, które po odbiciu wracają do radarowej anteny, wirującej wysoko nad mostkiem jednostki pędzącej z przeciwnego kierunku. Kilka minut wcześniej we wnętrzu dużego mostka statku pasażerskiego włoskich linii oceanicznych „Andrea Doria”, obsługujący radar oficer odezwał się do krępego mężczyzny w berecie marynarki wojennej i mundurze koloru wieczornego nieba.

– Kapitanie, widzę statek. Siedemnaście mil, cztery stopnie na sterburcie.

Nastawiony na zasięg dwudziestu mil radar obserwowano bez przerwy od trzeciej. Wtedy właśnie na skrzydło mostka wszedł kapitan Piero Calamai i ujrzał unoszące się na zachodzie szare smugi, przypominające dusze topielców.

Natychmiast wydał rozkaz przygotowania statku do płynięcia we mgle. Licząca pięćset siedemdziesiąt dwie osoby załoga, została postawiona w stan podwyższonej gotowości. W stusekundowych odstępach automatycznie uruchamiała się syrena przeciwmgielna. Bocianie gniazdo przeniesiono na dziób, skąd marynarz miał lepszy widok. Załoga maszynowni czekała na stanowiskach, poinstruowana o obowiązku natychmiastowego reagowania w każdym nagłym wypadku. Zamknięto drzwi między jedenastoma wodoszczelnymi grodziami.

„Andrea Doria” pokonywał ostatni etap dziewięciodniowej podróży na trasie czterech tysięcy mil morskich. Wyruszył z macierzystego portu w Genui. Na pokładzie znajdowało się tysiąc stu trzydziestu czterech pasażerów

i czterysta jeden ton frachtu. Choć wokół kłębiła się gęsta mgła, statek płynął niemal z maksymalną prędkością. Potężne, dwuwałowe silniki o łącznej mocy trzydziestu pięciu tysięcy koni mechanicznych pchały wielki statek z szybkością dwudziestu dwóch węzłów.

Włoskie linie oceaniczne nie oszczędzały swoich jednostek. Nie płacili też kapitanom za przyplwanie do celu niezgodnie z wyznaczonym rozkładem. Czas znaczył pieniądź. Nikt nie wiedział tego lepiej od kapitana Calamaiego, który dowodził statkiem w trakcie wszystkich dotychczasowych przejść przez Atlantyk. Był zdecydowany sprawić, by statek wpłynął do Nowego Jorku z opóźnieniem nie większym nawet o sekundę od godziny, którą stracili dwie noce wcześniej w burzy.

Dwadzieścia minut po dziesiątej wieczorem „Doria” mijła latarniowiec. I wtedy został dostrzeżony na radarze. Na mostku usłyszano samotny jęk syreny przeciwmgielnej; widoczność nie przekraczała jednej mili. Kapitan „Dorii” zarządził kurs dokładnie na zachód, na Nowy Jork.

Jasna plamka na radarze sunęła prosto na „Dorię”. Calamai pochylił się nad urządzeniem. Ze zmarszczonym czołem obserwował ruch świetlistego punktu. Na podstawie wskazań radaru kapitan nie umiał określić ani wielkości, ani typu nadciągającej jednostki. Nie domyślał się, że widzi obraz szybkiego liniowca oceanicznego. Przy zsumowanej prędkości czterdziestu węzłów, statki zbliżały się do siebie co trzy minuty o dwie mile morskie.

Pozycja nadpływającego statku była dziwna. Jednostki kierujące się na wschód powinny iść trasą leżącą dwadzieścia mil bardziej na południe. Może to kuter rybacki?

Zgodnie z zasadami ruchu morskiego, statki mają obowiązek mijania się tak, jak samochody – lewa burta w lewą burtę. Jeśli przy chęci zastosowania tej zasady statki zostałyby zmuszone do wejścia na kurs grożący kolizją, wolno minąć się prawa burta w prawą.

Na podstawie obrazu radarowego kapitan uznał, że jeśli obie jednostki utrzymają kursy, nadpływający obiekt bezpiecznie minie „Dorię” od prawej. Tak jak na angielskich drogach, gdzie panuje ruch lewostronny.

Calamai wydał załodze rozkaz uważnego obserwowania nadpływającego statku. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi.

Kiedy Nillson włączył światło pod znajdującą się obok radaru planszą do nanoszenia manewrów i przygotował się do przeniesienia na papier zmieniającej się pozycji plamki na ekranie, statki były oddalone od siebie mniej więcej o dziesięć mil morskich.

– Jaki kurs, Hansen?! – zawołał.

– Dziewięćdziesiąt stopni – spokojnie odpowiedział sternik.

Nillson zaznaczył na planszy krzyżyki, przeciągnął między nimi linie, znów sprawdził plamkę, po czym rezerwowemu marynarzowi obserwacyj-

nemu wydał rozkaz wyglądania z lewego skrzydła mostka. Linia, którą wyrysował, wskazywała na to, że nadpływający statek pędzi w ich kierunku kursem równoległym, nieco po lewej stronie. Oficer wyszedł na skrzydło mostka i przez lornetkę spojrzął w ciemność. Nie było śladu drugiego statku. Kilkakrotnie przeszedł od skrzydła do skrzydła. Za każdym razem zatrzymywał się przy radarze. Poprosił o raport kursowy.

– Ciągle dziesięćdziesiąt stopni, sir – odparł Hansen.

Nillson ruszył sprawdzić żyrokompas. Nawet najdrobniejsze odchylenie mogło się okazać krytyczne. Chciał więc się upewnić, że naprawdę idą wyznaczonym kursem. Hansen pociągnął za wiszący nad jego głową sznur. Sześć razy zadzwonił dzwon okrętowy. Jedenasta. Nillson uwielbiał, kiedy wydzwaniano czas na statku. W trakcie późnej wachty, gdy samotność i znużenie dawały o sobie znać, brzmienie dzwonu wskrzeszało romantykę morza, którą Nillson bardzo silnie odczuwał w młodości. Po tym jednak, co nadchodziło i wkrótce miało się stać, pamiętał ten dźwięk jako odgłos fatum.

Po obowiązkowym punkcie programu Nillson znów popatrzył na ekran radaru i zrobił kolejny znak na planszy.

Była jedenasta. Zbliżające się do siebie jednostki dzieliło siedem mil.

Nillson obliczył, że statki miną się lewymi burtami, w bardziej niż wystarczającej odległości. Wyszedł na lewe skrzydło mostka i znów zaczął obserwować morze przez lornetkę. Czyste szaleństwo! Tam, gdzie radar wskazywał statek, oficer widział jedynie ciemność. Może tamten miał zepsute światła pozycyjne? Albo napotkali okręt wojenny w trakcie manewrów?

Popatrzył w prawo. Księżyc jasno odbijał się od wody. Nillson spojrzął w lewo. W dalszym ciągu niczego nie dostrzegł. Czyżby przybysz krył się w pasie mgły? Mało prawdopodobne. Żaden statek nie poruszałby się z taką szybkością w gęstej mgle. Nillson zastanowił się, czy nie zmniejszyć trochę prędkości. Nie. Kapitan usłyszałby odgłos przesuwania telegrafu i natychmiast by przybiegł. Wezwie drania po tym, jak statki bezpiecznie się miną.

Trzy minuty po jedenastej radary pokazały, że zaledwie cztery mile dzielią obie jednostki.

Nadal nie było widać żadnych światel.

Nillson znów się zastanowił, czy zawołać kapitana, i ponownie odrzucił pomysł. Nie dał także – wbrew międzynarodowemu prawu morskiemu – rozkazu wysyłania dźwiękowych sygnałów ostrzegawczych. Nie widział sensu, aby to robić. Byli na otwartym oceanie, księżyc świecił jasno i widoczność wynosiła zapewne około pięciu mil morskich.

„Stockholm” w dalszym ciągu przecinał noc z prędkością osiemnastu węzłów.

Marynarz na bocianim gnieździe zawołał:

– Światła po lewej!

Wreszcie.

Później analitycy kręcili głowami. Nie mogli się nadziwić, jak dwa wyposażone w radar statki przyciągały się wzajemnie niczym magnesy.

Nillson poszedł wolnym krokiem na lewe skrzydło mostka i przyjrzał się światłom nadpływającej jednostki. W ciemności świeciły dwa białe punkty – jeden wysoko, drugi nisko. Świetnie. Położenie światła wskazywało na to, że statek minie ich od lewej burty. Pojawiło się czerwone światło, które każdy statek ma na lewej burcie. Był to sygnał, że przybysz oddala się od „Stockholmu”. Miną się bakiem. Radar wskazywał, że odległość wynosi ponad dwie mile morskie. Nillson popatrzył na zegarek. Sześć minut po jedenastej.

Z tego, co widział na ekranie radaru kapitan „Andrei Dorii”, statki powinny bezpiecznie się minąć sterburtami. Kiedy jednostki były oddalone od siebie mniej niż trzy mile, Calamai rozkazał wykonać skręt w lewo o cztery stopnie, by powiększyć dystans. Wkrótce we mgle pojawiła się poświata i stopniowo coraz wyraźniej uwidaczniały się białe światła. Kapitan Calamai spodziewał się ujrzeć zielone światło na prawej burcie nadpływającego statku. W każdej chwili powinno się pojawić.

Została jedna mila.

Nillson przypomniał sobie, jak któryś z obserwatorów stwierdził, że „Stockholm” jest tak zwrotny, iż „może obrócić się na dziesięciocentówce i wydać osiem centów reszty”. Najwyższy czas wykorzystać tę zwinność.

– Dwa punkty na sterburtę – rozkazał. Tak jak Calamai chciał mieć więcej oddechu.

Hansen zrobił dwa pełne obroty kołem sterowym w prawo. Dziób statku obrócił się dwadzieścia stopni w prawo.

– Wyprostować i trzymać stałym kursem.

Zadzwonił wiszący na ścianie telefon. Nillson podniósł słuchawkę.

– Mostek – zameldował. Był pewien, że statki bezpiecznie się miną. Stał twarzą do ściany, plecami do okien.

Dzwonił obserwator z bocianiego gniazda.

– Światła dwadzieścia stopni z lewej.

– Dziękuję – odparł Nillson i odwiesił słuchawkę. Podszedł do radaru i popatrzył na ekran. Nie mógł wiedzieć, że „Andrea Doria” zmienił kurs. Świetne punkciki były tak blisko siebie, że niemal się zlewały. Niespiesznie poszedł na prawe skrzydło mostka, podniósł lornetkę do oczu i nastawił ostrość.

Spokój oficera natychmiast wyparował.

– Boże... – westchnął Nillson. Spostrzegł, że zmieniły się światła na czubku masztu nadpływającej jednostki. Teraz była skierowana ku nim nie czerwonym, lecz zielonym światłem. Widział sterburtę. Od chwili kiedy patrzył ostatni raz, nadpływający statek najwyraźniej zrobił ostry skręt w lewo.

Z gęstej mgły, która dotychczas skrywała ogromny czarny kształt, wyłaniały się jaskrawe niczym reflektory światła pokładowe „Andrei Dorii”. Prawa burta włoskiego statku znajdowała się dokładnie na kursie pędzącego „Stockholmu”.

Nilsson głośnym okrzykiem nakazał zmianę kursu.

– Ostro na sterburcie!

Oficer zawirował wokół własnej osi. Obydwoma dłońmi chwycił rączkę telegrafu. Jednym szarpnięciem przesunął ją na pozycję STOP, po czym pociągnął dalej, do samego dołu, jakby próbował zmusić statek do zatrzymania się samą determinacją. Powietrze przeszył szaleńczy brzęk.

CAŁA WSTECZ.

Nilsson odwrócił się do sternika. Hansen stał jak kamienny strażnik przed pogańską świątynią.

– Cholera jasna! Powiedziałem: ostro na sterburcie! – wrzasnął ochryple Nilsson.

Hansen zaczął obracać kołem sterowym. Nilsson nie wierzył własnym oczom. Hansen nie kręcił w prawo, co mogłoby dać im jakąkolwiek – choćby niewielką – szansę uniknięcia kolizji. Powoli i świadomie kręcił w lewo.

Dziób „Stockholmu” zaczął zataczać śmiercionośny łuk.

Nilsson usłyszał syrenę przeciwmgielną, bez najmniejszej wątpliwości z nadpływającego statku.

W maszynowni zapanował chaos. Marynarze gorączkowo obracali kołem sterowania mocą, by zatrzymać prawy silnik. Szamotali się, by otworzyć zawory, odwrócić kierunek przepływu i zatrzymać lewy silnik. Statek aż zadrzał przy hamowaniu. Ale było za późno. „Stockholm” leciał na „Dorię” jak strzała.

Na lewym skrzydle mostka Nilsson tkwił z ponurą miną przy telegrafie.

Kapitan Calamai patrzył, jak światła na szczycie masztu przed nim materializują się i zmieniają. Zobaczył czerwone światło sterburty. Jarzyło się niczym rubin na czarnym aksamicie. Zrozumiał, że nadpływająca jednostka skrzyła ostro w prawo, prosto na kurs „Dorii”.

Bez ostrzeżenia. Bez syreny przeciwmgielnej ani gwizdka.

Przy tak dużej prędkości zatrzymanie się nie wchodziło w rachubę. Do wyhamowania statek potrzebowałby wielu mil.

Calamai miał sekundy na reakcję. Mógł nakazać zwrot w prawo, prosto na niebezpieczeństwo, w nadziei, że kadłuby jedynie się otrą.

Podjął rozpaczliwą decyzję.

– Cała na bakburcie! – warknął.

Oficer na mostku spytał, czy wyłączyć silniki. Calamai pokręcił głową.

– Trzymać: cała naprzód. – Wiedział, że „Doria” lepiej skręca przy dużej prędkości.

Sternik obiema rękami kręcił kołem w lewo z taką prędkością, aż rozmywały się kontury szprych. Gwizdek zapiszczał dwa razy, by poinformo-

wać o wykonywanym manewrze. Zanim wielki statek zaczął skręcać, przez pół mili walczył z pchającą go na wprost siłą bezwładności.

Calamai wiedział, że wiele ryzykuje, eksponując bok „Dorii”. Modlił się, by nadpływająca jednostka zdążyła skręcić. Ciągłe nie mógł pojąć, że oba statki płyną kursem kolizyjnym. To było jak zły sen.

Krzyk jednego z oficerów przywołał kapitana do rzeczywistości.

– Płynie prosto na nas!

Nadpływający statek kierował się dokładnie na prawe skrzydło mostka, skąd patrzył przerażony Calamai. Zdawało się, że ostry, skierowany ku górze dziób celuje prosto w niego.

Kapitan „Dorii” miał opinię mężczyzny odważnego i opanowanego. W tej jednak chwili zrobił to, co na jego miejscu uczyniłby każdy zdrowy na umyśle człowiek. Rzucił się do ucieczki, by ratować życie.

Wzmacniany dziób szwedzkiej jednostki przebił metalowy kadłub pędzącego „Andrei Dorii” tak łatwo jak bagnet i zanim się zatrzymał, przeszedł przez jedną trzecią kadłuba o szerokości ponad dwudziestu siedmiu metrów.

Włoski liniowiec ważył dwadzieścia dziewięć tysięcy sto ton – ponad dwa razy tyle co „Stockholm” – pociągnął więc napastnika za sobą, równocześnie obrócił się wokół punktu zderzenia, położonego poniżej i nieco z tyłu prawego skrzydła mostka. Raniony „Doria” płynął dalej. Zgnieciony dziób „Stockholmu” gładko rozpruł siedem z dziesięciu pokładów pasażerskich włoskiej jednostki. Następnie zaczął drzeć długi, czarny kadłub, rozpryskując jaskrawe snopy iskier.

Wielka, trójkątna dziura w burcie „Dorii” miała na górze dwanaście metrów szerokości, a w najniższym miejscu, tuż pod powierzchnią oceanu, nieco ponad dwa metry.

Tysiące litrów morskiej wody natychmiast wypełniły rozerwane w wyniku kolizji puste, zewnętrzne zbiorniki paliwa. Pod ciężarem pięciuset ton wody, która znalazła się w generatorowni, statek pochylił się na prawo. Tunelem inspekcyjnym i włazami popłynęła oleista rzeka. Strumienie zaczęły się łać przez kraty w podłodze do maszynowni. Załoga maszynowni walczyła. Marynarze ślizgali się jednak na pokrytej oleistą cieczą podłodze niczym cyrkowi kłowni, którzy zabawiają publiczność malowniczymi upadkami.

Do kadłuba wlewało się coraz więcej wody. Nie zniszczone zbiorniki paliwa po lewej stronie kadłuba unosiły się na powierzchni jak bańki mydlane.

W ciągu kilku minut od kolizji „Doria” dostał poważnego przechyłu.

Nillson był pewien, że uderzenie rzuci go na pokład. Wstrząs okazał się jednak zaskakująco łagodny, choć wystarczająco silny, by wyrwać oficera

dyżurnego z odrętwienia. Kilkoma susami wybiegł ze sterówki do pomieszczenia z mapami. Skoczył do przycisku alarmu, którego uruchomienie spowodowało zamknięcie na „Stockholmie” wodoszczelnych drzwi.

Na mostek wpadł z wrzaskiem kapitan.

– Co się, na Boga, stało?!

Nillson próbował odpowiedzieć, ale słowa utknęły mu w gardle. Nie wiedział, jak opisać incydent. Hansen zignorował rozkaz skrętu w prawo. Szybko obracał kołem sterowym w lewo. Dłonie marynarza mocno obejmowały szprychy. Wyglądał, jakby zastygł. W oczach nie miał strachu, śladu przerażenia. Tęczówki promieniowały lodowatym błękitem. Z początku Nillson sądził, że to jedynie złudzenie optyczne, spowodowane specyficznym światłem, padającym z obudowy żyrokompasu na paskudną szramę. Ale nie. Kiedy statek gnał ku katastrofie, Hansen się uśmiechał.

Nillson nie miał wątpliwości. Potężny marynarz z rozmysłem staranował nadpływającą jednostkę. Precyzyjnie, niczym torpedę, naprowadził „Stockholmu” na cel. Oficer wiedział również, że nikt – kapitan ani ktokolwiek inny na pokładzie – w to nie uwierzy.

Przepełnione cierpieniem oczy Nillsona przeniosły się z twarzy kapitana na ster, jakby tam znajdowała się odpowiedź. Pozostawione sobie koło sterowe wirowało jak zwariowane.

W zamieszaniu Hansen zniknął.

Jake’a Careya wyrwał z drzemki zapowiadający nieszczęście metaliczny grzmot. Głuchy łoskot trwał ułamek sekundy. Potem zastąpił go pełen udręczenia pisk stali trącej o stal oraz odgłos straszliwego zgniatania i miażdżenia, jakby implodował sufit kabiny. Carey zamrugał i ze strachem wbił wzrok w ruszającą się tuż nad jego głową szarobiałą ścianę.

Zasnął kilka minut temu. Pocałował żonę Myrę na dobranoc i wślizgnął się pod chłodną kołdrę podwójnego łóżka w ich kabinie pierwszej klasy. Myra przeczytała kilka stron powieści, po czym zaczęły jej opadać powieki. Zgasiła światło, szczerlnie otuliła się kołdrą i westchnęła. Głowę ciągle miała pełną przyjemnych widoków ze skąpanych słońcem tokańskich winnic.

Wieczorem, w jadalni pierwszej klasy, wzniosła z Jakiem toast szampanem za tak udany pobyt we Włoszech. Carey zaproponował kieliszeczek przed snem w Salonie Belwederskim. Myra odparła jednak, że jeśli jeszcze raz usłyszy *Arrivederci Roma*, do końca życia nie weźmie do ust spaghetti. Poszli do kabiny tuż po wpół do jedenastej.

Po przejściu wolnym krokiem ręka w rękę wzdłuż sklepów na pokładzie wejściowym, wjechali windą poziom wyżej i poszli do wielkiej kabiny po prawej stronie górnego pokładu. Wystawili bagaże na korytarz, skąd stewardzi mieli je zbierać przed wypłynięciem statku następnego dnia do portu w Nowym Jorku. W miarę wykorzystywania paliwa z wielkich zbiorników w ka-

dłubie podwyższał się punkt ciężkości statku, dlatego „Doria” kołysał się nieco na falach. Bujanie przypominało monotony ruch kołyski. Myra Carey wkrótce zapadła w sen.

Łóżkiem jej męża gwałtownie szarpnęło. Jake został wykatapultowany w powietrze jak kamień wystrzelony z maszyny oblężniczej. Potem długo spadał w krąg głębokiej ciemności

Śmierć krążyła po pokładach „Andrei Dorii”.

Wędrownkę zaczęła od eleganckich kabin na wyższych poziomach, po czym zeszała do klasy turystycznej pod linią wodną. W efekcie zderzenia zginęły pięćdziesiąt dwie osoby. Na pokładzie pierwszej klasy, gdzie dziura była najszersza, zniszczonych zostało dziesięć kabin. Pod linią wodną znajdowały się mniejsze i bardziej zagęszczone kabiny, dlatego efekt zderzenia okazał się tam bardziej katastrofalny.

Pasażerowie ginęli albo przeżywali, zależnie od zachcianek losu. Mężczyzna z pierwszej klasy, który właśnie mył zęby, pobiegł do sypialni, by stwierdzić, że kabina nie ma ściany, a żona zniknęła. Dwie osoby poniosły śmierć na miejscu na luksusowym pokładzie wypoczynkowym. Dwudziestu sześciu emigrantów z Włoch, płynących w niewielkich, tańszych kabinach na najniższym pokładzie, znalazło się dokładnie na linii zderzenia i zginęło w masie zmiążdżonej i poszarpanej stali. Była wśród nich kobieta z czwórką małych dzieci. Zdarzały się także cuda. Młoda dziewczyna, którą wyrzuciło z kabiny pierwszej klasy, odzyskała przytomność w zgniecionej części dziobowej „Stockholmu”. W innej kabinie sufit spadł na znajdującą się tam parę. Obojgu udało się jednak wyczołgać na korytarz.

Najtrudniejszą walkę stoczyli pasażerowie dwóch najniższych pokładów. Musieli przebić się na górę przez pochylone, wypełnione dymem korytarze, którymi spływała pełna oleju czarna woda. Ludzie stopniowo zaczęli docierać do miejsc zbornych, gdzie czekali na dalsze instrukcje.

Kiedy statki się zderzyły, kapitan Calamai znajdował się w najdalszym punkcie nie zniszczonego mostka. Kiedy otrząsnął się z pierwszego szoku, pchnął rączkę telegrafu na STOP. Statek w końcu się zatrzymał – w gęstej mgle.

Drugi oficer podszedł do inklinometru – instrumentu mierzącego przechył statku.

– Osiemnaście stopni – poinformował. Kilka minut później dodał: – Dziewiętnaście stopni.

Kapitan poczuł, jak jego serce musnęły lodowate palce. Nawet przy dwóch zalanych przedziałach przechył nie powinien przekraczać piętnastu stopni. Ponad dwadzieścia stopni spowoduje popękanie grodzi wodoszczelnych.

Logika mówiła, że taka sytuacja jest niemożliwa. Konstruktorzy statku gwarantowali utrzymanie się w poziomie przy zalaniu dowolnej kombinacji

dwóch przedziałów. Kapitan zażądał raportów dotyczących zniszczeń na każdym pokładzie, ze szczególnym uwzględnieniem stanu drzwi między przedziałami. Rozkazał też nadawać sygnał SOS z informacją o pozycji statku.

Na mostek zaczęli wbiegać oficerowie z raportami. Załoga maszynowni bezskutecznie wypompowywała wodę z przedziałów przy sterburcie. Kociołnia została zalana, woda wlewała się do kolejnych dwóch przedziałów.

Największy problem był z pokładem A, który miał służyć jako stalowa pokrywa przegród poprzecznych, dzielących statek na przedziały. Woda spływała do kolejnych przedziałów schodami dla pasażerów.

Oficer wywołał nowy odczyt inklinometru:

– Dwadzieścia dwa stopnie!

Kapitan Calamai nie musiał patrzeć na przyrząd, by wiedzieć, że przechył przekroczył krytyczny punkt. Dowód miał pod stopami – zasłaną mapami podłogę.

Statek umierał.

Calamai zdrtwiał ze zgrzyoty. „Andrea Doria” nie był zwyczajnym statkiem. Warty dwadzieścia dziewięć milionów dolarów król włoskich linii oceanicznych uchodził za najwspanialszy i najbardziej luksusowy czynny liniowiec pasażerski. Jednostka nie miała jeszcze czterech lat. Została zbudowana, by pokazać światu, że włoska marynarka cywilna wróciła po wojnie do interesu. Czarny kadłub, białe nadbudówki i zgrabny, czerwono-biało-zielony komin powodowały, że liniowiec wyglądał bardziej na dzieło rzeźbiarza niż budowniczego statków.

Poza tym statek był jego. Dowodził „Dorią” podczas rejsów próbnych i setek przejść Atlantyku. Znał pokłady lepiej od własnego domu. Nigdy mu się nie znudził spacer od dziobu po rufę. Podczas tych spacerów czuł się jak gość w muzeum. Chłonał piękno dzieł trzydziestu jeden najlepszych artystów i rzemieślników z Włoch. Rozkoszował się renesansową urodą luster, złocień, kryształów, rzadkich gatunków drewna, wyszukanych tapet i mozaik. Z przyjemnością wchodził do holu pokładu pierwszej klasy, gdzie wisiało wielkie ścienne malowidło gloryfikujące Michała Anioła i innych włoskich mistrzów. Zatrzymywał się przed potężną brązową postacią Andrei Dorii. Rzeźba wielkością przewyższała jedynie pomnik Kolumba. Stary genueński admirał stał jak zwykle gotów wyciągnąć miecz na pierwszy znak przybycia piratów.

Cały wspaniały dobytek miał teraz zostać stracony.

Kapitan jednak przede wszystkim ponosił odpowiedzialność za pasażerów. Właśnie zamierzał wydać rozkaz opuszczania statku, kiedy jeden z oficerów złożył raport o łodziach ratunkowych. Nie było możliwości spuszczenia na wodę szalup z bakburty. Pozostawało osiem łodzi na prawej burcie, ale wisiały wysoko nad wodą. Nawet gdyby udało się je spuścić, pomieściłyby jedynie połowę pasażerów. W tej sytuacji Calamai nie miał odwagi wy-

dać rozkazu opuszczenia statku. Owładnięci paniką pasażerowie rzuciliby się na jedną stronę. Zapanowałyby nieprawdopodobny chaos.

Calamai zaczął się modlić, by przepływające w pobliżu jednostki usłyszały SOS i odnalazły „Dorie” we mgłę.

Teraz mógł jedynie czekać.

Angelo Donatelli właśnie zaniósł tacę z martini do stolika, przy którym siedziała grupka hałaśliwych nowojorczyków. Świątowali ostatnią noc na pokładzie „Dorii”. Nagle kelner odwrócił się i spojrział w kierunku jednego z zasłoniętych draperiami okien, które zajmowały trzy ściany eleganckiego Salonu Belwederskiego. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę.

Salon znajdował się z przodu pokładu, na którym zamocowano łodzie ratunkowe. Dzięki otwartej promenadzie pasażerowie pierwszej klasy mieli w dzień oraz w jasne noce rozległy widok na morze. Dziś większość osób zrezygnowała z prób zobaczenia czegokolwiek przez szarą mgłę otulającą salon. Jedynie przypadek sprawił, że Angelo akurat w tej chwili podniósł głowę i dostrzegł światła oraz reling sunącego na wprost wielkiego białego statku.

– *Dios mio...* – wyszeptał.

Ledwie wypowiedział te słowa, rozległa się eksplozja, przypominająca wybuch monstrialnej petardy. W salonie zapadła ciemność.

Pokład gwałtownie podskoczył. Angelo stracił równowagę. Zaczął walczyć o jej odzyskanie, w efekcie czego – ściskając w jednej ręce okrągłą tacę – zrobił całkiem udaną imitację sławnej greckiej rzeźby dyskobola. Przystojny Sycylijczyk z Palermo miał talent akrobata i żonglera. Wrodzoną zwinność wykorzystywał do precyzyjnego przemykania między stołami i balansowania tacami.

Kiedy wstawał, zapaliły się światła awaryjne. Cała sześciuosobowa kompania, którą obsługiwał, została zrzuciona z krzeseł na podłogę. Najpierw pomógł podnieść się kobietom. Nikt nie wyglądał na poważnie rannego. Rozejrzał się wokół.

W przepięknym salonie, pełnym łagodnie oświetlonych gobelinów, obrazów i rzeźb w drewnie, wyłożonym błyszczącą jasną boazerią, panował chaos. Wypolerowany parkiet do tańca, gdzie jeszcze kilka sekund wcześniej pary wirowały przy dźwiękach *Arrivederci Roma*, pokrywała sarta splecionych ciał. Muzyka gwałtownie przestała grać, zastąpiły ją okrzyki bólu i przerażenia. Członkowie orkiestry z trudem wydostawali się spomiędzy porzucanych instrumentów. Wszędzie leżały potłuczone butelki i kiełiszki, a powietrze przepeśniał zapach alkoholu. Na podłogę pospadały liczne wazon z kwiatami.

– Co to, do licha, było? – spytał któryś z mężczyzn.

Angelo milczał. Nie miał nawet pewności, czy naprawdę widział to, co widział. Spojrzał ponownie przez okno, ujrzał jednak tylko mgłę.

– Może zderzyliśmy się z górą lodową... – nieśmiało zasugerowała żona pytającego.

– Z górą lodową? Na Boga, Connie, mówisz o wybrzeżu Massachusetts. W lipcu.

Kobieta wydeła wargi.

– Może w takim razie wpłynęliśmy na minę.

Mężczyzna popatrzył w kierunku orkiestry i uśmiechnął się złośliwie.

– Bez względu na przyczynę, dobrze że już przestali grać tę przekłątą melodię.

Wszyscy roześmieli się z żartu. Tancerze otrzepywali ubrania, muzycy sprawdzali, czy instrumenty nie są uszkodzone. Wokół gorączkowo kręcili się barmani i kelnerzy.

– Nie ma się czym martwić – stwierdził inny mężczyzna. – Jeden z oficerów mówił, że ten statek jest niezatapialny.

Jego żona przestała poprawiać makijaż i podniosła wzrok znad lusterka puderniczki.

– To samo mówiono o „Titanicu” – powiedziała zaniepokojona.

Zapadła pełna napięcia cisza. Zaczęto się wymieniać przestraszonymi spojrzzeniami. Tak jak na cichy sygnał, wszystkie trzy pary, niczym wzlatające ze sznura ptaki, ruszyły pospiesznie w kierunku najbliższego wyjścia.

W pierwszym odruchu Angelo chciał sprzątnąć szklanki i wytrzeć stół ścierką, zaraz się jednak cicho roześmiał.

– Za długo jesteś kelnerem – mruknął do siebie pod nosem.

Większość ludzi w salonie zdążyła już wstać i sunęła ku wyjściom. Salon szybko pustoszał. Angelo zrozumiał, że jeśli zaraz nie wyjdzie, zostanie sam. Wzruszył ramionami, rzucił ścierkę na podłogę i ruszył ku najbliższemu wyjściu. Chciał kogoś zapytać, co właściwie się stało.

Czarne fale próbowały ściągnąć Jake’a Careya na dno. Walczył z szarpającym jego ciało mrocznym prądem. Wpełznął na śliską krawędź oddzielającą przytomność od braku świadomości i ponuro się w nią wczepił. Usłyszał własny jęk. Znów jęknął – tym razem specjalnie. Dobrze. Martwi nie wydają żadnych dźwięków. Jego następna myśl dotyczyła żony.

– Myra! – zawołał.

Z szarej ciemności wyłowił cichy odgłos. Poczul nadzieję. Znów zawołał żonę po imieniu.

– Tutaj... – Głos Myry był słumiony, jakby dolatywał z dużej odległości.

– Dzięki Bogu! Nic ci nie jest?

Chwila ciszy.

– Nie. Co się stało? Spałam...

– Nie wiem. Możesz się ruszać?

– Nie.

– Zaraz ci pomogę. – Carey leżał na lewym boku. Rękę miał uwieczoną pod tułowiem, z prawej strony przyciskał go jakiś ciężar. Nie mógł ruszyć nogami. Ogarnął go lodowaty strach. Pęknięty kręgosłup? Ponownie spróbował się uwolnić. Energiczniej. Rwący ból przeszył jego nogę od kostki do uda. Jake'owi napłynęły łzy do oczu. Ucieszył się jednak, że nie jest sparaliżowany. Przesnął na chwilę walczyć. Musiał się zastanowić. Carey był inżynierem i zrobił fortunę na budowie mostów. Obecna sytuacja nie różniła się od każdego innego problemu, który można rozwiązać dzięki logice i wytrwałości. No i przy dużej dozie szczęścia.

Pchnął prawym łokciem. Poczul miękki materiał. A więc leżał pod materacem. Pchnął mocniej. Równocześnie przekręcił się tak, by móc silniej naciskać. Materac nieco ustąpił, zaraz jednak pojawił się opór. Boże, czyżby leżał na nim cały sufit? Carey wziął głęboki wdech. Wykorzystał każdy gram siły dobrze umięśnionego ramienia i pchnął ponownie. Materac zsunął się na podłogę.

Carey uwolnił obie ręce i sięgnął ku stopom. Poczul, że kostkę przyciska mu coś twardego. Po krótkim zbadaniu powierzchni palcami stwierdził, że jest to komódka, która stała między łózkami. Materac musiał go osłonić przed uderzeniem kawałkami ściany i sufitu. Jake unióś komódkę o kilka centymetrów i uwolnił najpierw jedną, potem drugą nogę. Delikatnie masując kostki, przywracał prawidłowe krążenie w obu stopach. Posiniaczone kostki bolały, ale kości nie były połamane. Powoli stanął na czworakach.

– Jake... – odezwał się znowu głos Myry. Był wyraźnie słabszy.

– Idę, skarbie. Wytrzymaj jeszcze.

Coś było nie tak. Słyszał Myrę zza ściany kabiny. Wcisnął przycisk lampy, ale światło się nie zapaliło. Zdezorientowany, popęzł przez rumowisko. Jakiś czas poruszał się po omacku, aż jego palce natrafiły na drzwi. Przechylił głowę, by wsłuchać się w dźwięk przypominający rozbijanie się fal o brzeg, któremu towarzyszy krzyk mew. Wstał z wysiłkiem. Nogi drżały mu niemiłosiernie. Odsunął połamane fragmenty mebli i otworzył drzwi. Jego oczom ukazała się scena rodem z sennego koszmaru.

Korytarz był pełen przepychających się i napierających na siebie pasażerów, skąpanych w bursztynowym świetle świateł awaryjnych. Mężczyźni, kobiety i dzieci, jedni ubrani, inni w płaszczach zarzuconych na piżamy, z pustymi rękami lub z bagażami w dłoniach pchali się, przeciskali, szli i pełzali. Wszyscy przebijali się w kierunku górnego pokładu. W korytarzu unosił się pył i dym. Podłoga była przechylona jak w krzywym domu z wesołego miasteczka. Kilku pasażerów, by dotrzeć do swych kabin, brnęło pod prąd ludzkiej rzeki, niczym pstrągi płynące w górę bystrego górskiego strumienia.

Carey spojrzął za siebie na numer kabiny, z której właśnie wyszedł. Zrozumiał, że to kabina sąsiadująca z jego i Myry. Najwyraźniej siła uderzenia przerzuciła go przez ścianę. Wieczorem, w salonie, rozmawiali z sąsiadami – dwojgiem starszych Amerykanów włoskiego pochodzenia. Małżeństwo

wracało ze zjazdu rodzinnego w dawnej ojczyźnie. Miał nadzieję, że starsi państwo nie poszli jak zwykle wcześniej spać.

Wrócił do kabiny, z której właśnie przyszedł, i przepchnął się przez połamane sprzęty do ściany. Kilka razy musiał się zatrzymywać, by odsunąć meble i uprzętać z drogi kawałki sufitu albo ściany. Pchany nagłym pośpiechem, kilka razy wskakiwał na rumowisko, parokrotnie przeczołgiwał się dołem. Przechył pokładu informował o tym, że statek nabiera wody. Kiedy Jake dotarł do ściany, ponownie zawołał żonę. Odpowiedziała zza przegrody. Zaczął gorączkowo szukać jakiegoś otworu w dzielącej ich barierze; stwierdził, że dół ściany jest poluzowany. Zaczął ciągnąć, aż zrobił dziurę na tyle dużą, by precyzyjnie się na brzuchu.

Ich kabina była skąpana w półmroku. Kontury przedmiotów oświetlało słabe światło. Carey podniósł się i zaczął szukać jego źródła. W twarz dmuchnęła mu chłodna słona bryza. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zewnętrzna ściana kabiny zniknęła! Na jej miejscu zionęła gigantyczna dziura, przez którą widział odbijające się w powierzchni oceanu światło księżyca. Zaczął gorączkowo pracować. Po kilku minutach stał u boku żony. Rogiem góry od pizamy starł jej z czoła i policzków krew. Pocałował ją czule.

– Nie mogę się poruszyć – powiedziała niemal przepraszająco.

To, co poszło go przez ścianę do sąsiedniej kabiny sprawiło, że stalowa rama łóżka Myry została wyrwana z podłogi i przyciśnięta do ściany jak sprężyna pułapki na myszy. Myra znajdowała się niemal w pionowej pozycji. Na szczęście materac osłaniał ją przed uciskiem sprężyn, ale rama łóżka przyciskała do ściany. Za plecami Myry biegł stalowy szyb windy statku. Wolną miała jedynie prawą rękę, która zwisała bezwładnie wzdłuż ciała.

Carey objął palcami krawędź ramy łóżka. Miał pięćdziesiąt parę lat, ale pozostało mu sporo siły z czasów, kiedy był robotnikiem. Pociągnął mocno. Rama odgięła się nieco, kiedy jednak puścił, natychmiast wróciła na miejsce. Spróbował podważyć ramę długim kawałem drewna, ale przestał, kiedy Myra krzyknęła z bólu. Odrzucił drewno z niesmakiem.

– Kochanie, pójde po pomoc – powiedział, siląc się na spokój. – Zostawie cię tylko na chwilę. Wrócę. Obiecuję.

– Jake, musisz się ratować. Statek...

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, kochana.

– Nie bądź uparty... na Boga...

Znów pocałował żonę. Jej skóra, zwykle tak ciepła w dotyku, była chłodna i wilgotna.

– Kiedy będziesz czekać, myśl o słońcu Toskanii. Niedługo wrócę. Przyśięgam. – Uścisnął jej dłoń i wyszedł na korytarz. Nie miał pojęcia, co zrobić. Korytarzem nadchodził potężnie zbudowany mężczyzna. Jake złapał go za ramię i zaczął prosić o pomoc.

– Won mi z drogi! – wrzasnął nieznajomy. Miał tak wybałuszone oczy, że widać było głównie białka. Zepchnął Jake’a na bok jednym uderzeniem barku.

Carey gorączkowo próbował nakłonić do pomocy jeszcze dwie osoby, po czym zrezygnował. Nie było tu samarytan. Czuł się tak, jakby z gnającego do wodopoju, oszalałego z pragnienia stada, chciał wyłuskać kastrowanego byczka. Nie mógł mieć pretensji, że ktoś pędzi ratować własne życie. Gdyby Myra nie została zakleszczona, sam biegłby z nią w bezpieczne miejsce. Uznał, że nie ma co liczyć na pasażerów – musiał znaleźć kogoś z załogi. Walcząc, by nie stracić równowagi na pochylonej podłodze, dołączył do cizby kierującej się ku wyższym pokładom.

Angelo szybko zlustrował otoczenie. To, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało. Szczególnie niepokoiła go prawa strona pokładu, która pochylała się coraz bardziej ku wodzie.

Spuszczono pięć łodzi ratunkowych – wszystkie zapełnili członkowie załogi. Przerażeni kelnerzy i kucharze wskakiwali do niebezpiecznie przeciążonych szalup. Próbowali wiosłować w kierunku białego statku. Jedno spojrzenie na zgnieciony dziób i ziejący w burcie „Dorii” otwór wystarczyło, aby Angelo zrozumiał, co się stało. Podziękował Bogu, że w momencie zderzenia wielu pasażerów znajdowało się poza kabinami i świętowało ostatni wieczór na pokładzie.

Ruszył ku bakburcie. Wspinanie się po skośnej, śliskiej podłodze było niełatwym zadaniem. Wciągał się centymetr za centymetrem za uchwyty i klamki. W końcu udało mu się dotrzeć na pokład z promenadą. Większość pasażerów odruchowo udała się na stronę bardziej oddaloną od wody. Tam wszyscy gromadzili się i czekali na instrukcje. Oświetleni blaskiem światła awaryjnych ludzie trzymali się kurczowo przynitowanych do pokładu krzeseł. Kulili się pełni obawy między stertami waliz, poustawianych akurat w tym miejscu w związku z przygotowaniami do wypłynięcia do portu. Załoga robiła, co mogła, by opatrzyć złamane ręce i nogi. Osoby z siniakami i stłuczeniami musiały zaczekać.

Poza momentami, kiedy statek drżał, panował zadziwiający spokój. Wtedy wilgotne powietrze wypełniało się krzykami przerażenia i złości. Angelo wiedział, że gdyby rozeszła się wieść, iż część załogi wsiadła do łodzi ratunkowych i zostawiła pasażerów na tonącym statku, opanowanie natychmiast przemieniłoby się w histerię.

Pokład promenadowy został zaprojektowany tak, by po odsunięciu szeregu szklanych drzwi, pasażerowie mogli wyjść prosto na łodzi ratunkowe. Oficerowie statku, razem z niedobitkami załogi, bezowocnie walczyli o odcięcie szalup. Niestety, wyciągi przy ostrym przechyle statku zacięły się i zadanie było niewykonalne. Angela ogarnęło zwątpienie. A więc to dlatego nie dano rozkazu opuszczania statku! Kapitan bał się wybuchu paniki!

Jedna połowa łodzi ratunkowych została zajęta przez załogę, druga wi-  
siała bezużytecznie na miejscu. Pasażerowie nie mogli uciekać. Nie było  
nawet wystarczająco dużo kamizelek ratunkowych. Przez ułamek sekundy  
Angelo chciał ześlizgnąć się na dół przechylnego pokładu, na sterburłę,  
i przyłączyć do reszty uciekającej załogi. Zaraz jednak pozbył się tej myśli.  
Wziął od kogoś nardęże kamizelek ratunkowych i zaczął je rozdawać. Cho-  
lery sycylijski kodeks honorowy! Pewnego dnia przez niego zginie.

– Angelo!

Przez skłębiony tłum przebijało się łokciami i wołało jego imię zakrw-  
wione zjawisko.

– Angelo! To ja, Jake Carey.

Wysoki Amerykanin z ładną żoną. Pani Carey miała dość lat, by być  
jego matką, ale – *mamma mia* – te wielkie, piękne oczy i ta dojrzała zmysło-  
wość... Angelo natychmiast się w niej zakochał – niewinnie, z młodzień-  
czym pożądaniem. Careyowie dawali mu szczodre napiwki i – co znacznie  
ważniejsze – traktowali go z szacunkiem. Wielu innych pasażerów, nawet  
krajan, patrzyło z niechęcią na jego ciemną sycylijską skórę.

Jake Carey uchodził w oczach Angela za wzór amerykańskiego dobro-  
bytu. Choć pan Carey zbliżał się do sześćdziesiątki, był sprawny fizycznie;  
szerokie bary wypychały sportową marynarkę, miał krótko ostrzyżone siwe  
włosy i opaloną twarz. W tej jednak chwili nie stał przed nim dobrze ubrany  
dżentelmen, ale mężczyzna o oszalałym wzroku, w porwanej piżamie po-  
krytej pyłem i brudem, z wielką czerwoną plamą na przodzie. Amerykanin  
podszedł i chwycił Angela za ramię, aż zabołało.

– Dzięki Bogu – powiedział słabym głosem.

Angelo rozejrzał się w tłumie.

– Gdzie *signora* Carey?

– Uwięziona w naszej kabinie. Potrzebuję twojej pomocy. – W oczach  
Careya płonął ogień.

– Idę – odparł Angelo bez chwili wahania.

Oddał stewardowi kamizelki ratunkowe i poszedł za Careyem do naj-  
bliższych schodów. Amerykanin pochylił głowę i zaczął się przebijać przez  
tłum. By się nie zgubić, Angelo złapał go za tył piżamy. Skoczyli w dół  
schodów prowadzących na górny pokład, gdzie znajdowała się większość  
kabin pierwszej klasy. Na korytarzach zostało jedynie kilku ubrudzonych  
olejem maruderów.

Angelo był zszokowany widokiem pani Carey. Wyglądała, jakby leżała  
na średniowiecznym łożu tortur. Oczy miała zamknięte i przez chwilę wyda-  
wało się, że nie żyje. Kiedy jednak Jake delikatnie jej dotknął, zamrugała.

– Obiecałem ci, skarbie, że wrócę – powiedział. – Zobacz, Angelo przy-  
szedł pomóc.

Angelo ujął dłoń pani Carey i z galanterią ją ucałował. Obdarowała go  
uśmiechem. Poczul, jak mięknie mu serce.

Mężczyźni chwycili ramę łóżka i zaczęli ciągnąć. Pojękiwali bardziej z rozczarowania niż z wysiłku. Nie zwracali uwagi na ból, powodowany wcinaniem się w dłonie ostrej metalowej krawędzi. Rama dała się odciągnąć kilka centymetrów więcej niż poprzednio, ale kiedy puścili, natychmiast wróciła na miejsce. Z każdą kolejną próbą uwolnienia, pani Carey zaciskała powieki i usta. Carey zaklął. Często osiągał to, co chciał. Zdążył się przyzwyczaić, że zwycięża. Tym razem było inaczej.

– Potrzebujemy jeszcze kogoś – stwierdził dysząc.

Angelo z zażenowaniem wzruszył ramionami.

– Większość członków załogi jest w łodziach ratunkowych.

– Jezzzu... – szepnął Carey. Już znalezienie Angela było wystarczająco trudne. Zastanowił się przez chwilę, przeanalizował sytuację z punktu widzenia inżyniera.

– Poradzimy sobie we dwóch – stwierdził w końcu. – Musimy tylko zdobyć podnośnik.

– Co? – Kelner nie bardzo rozumiał.

– Podnośnik. – Carey szukał odpowiedniego słowa. Zrezygnował jednak i zaczął robić dłońią ruchy, jakby pompował. – Do samochodu.

W ciemnych oczach Angela błysnęło zrozumienie.

– Aha! Lewarek. Do auta.

– Właśnie – powiedział z rosnącym podnieceniem Carey. – Moglibyśmy włożyć go tutaj i odepchnąć ramę łóżka od ściany na tyle, by dało się wyciągnąć Myrę.

– Si. Garaż. Zaraz wrócę.

– Tak. Garaż. – Carey popatrzył na umęczoną twarz żony. – Ale szybko!

Nagle się przestraszył, że po wyjściu z kabiny Angelo natychmiast pobiegnie do najbliższej łodzi ratunkowej. Trudno byłoby mieć o to do niego pretensję. Złapał kelnera za łokieć.

– Bardzo doceniam, co robisz, Angelo. Kiedy wrócimy do Nowego Jorku, zostaniesz sownie wynagrodzony.

– Hola, *signor!* Nie robię tego dla pieniędzy. – Włoch wyszczerzył zęby w uśmiechu, posłał pani Carey całusa i wyszedł. W drzwiach złapał kamielkę ratunkową.

Pobiegł korytarzem, zszedł schodami na pokład wejściowy i utknął. Dziób szwedzkiego statku wbił się niemal do kaplicy. Z wielkiej hali zrobił pobożowisko pełne poskręcane metalu i potłuczonego szkła. Angelo oddalił się od strefy największych zniszczeń i ruszył głównym korytarzem w kierunku rufy. Po kilkunastu metrach zszedł schodami na pokład A. I tu wiele kabin po prawej stronie po prostu zniknęło. By zejść jeszcze niżej, znów musiał krążyć.

Angelo co jakiś czas stawał i żegnał się krzyżem. Gest nieco uspokajał, choć zdawał sobie sprawę, że modlitwy na niewiele się przydadzą. Nawet Bóg nie jest na tyle szalony, by iść za nim w głąb tonącego statku.

W końcu dotarł na pokład B, z garażem i wieloma małymi kabinami. *Grande Autorimessa* na pięćdziesiąt aut wepchnięto między kabiny klasy turystycznej. Klimatyzowany garaż zajmował całą szerokość kadłuba. Drzwi po obu stronach pozwalały wyjeżdżać samochodom prosto na nabrzeże. Angelo był w tej części statku tylko raz. Jeden z pracowników garażu – krajan z Sycylii – chciał mu pokazać samochód-cud, który Chrysler wiozł do domu z Włoch. Zaprojektowanie norsemana o opływowych kształtach zajęło rok. Ręczne zbudowanie maszyny wartej sto tysięcy dolarów kosztowało firmę Ghia z Turynu następne piętnaście miesięcy oczekiwania. Angelo obejrzał zapierające dech w piersiach, nowoczesne linie przez otwory w skrzyni chroniącej pojazd. Razem ze znajomym był jednak bardziej zainteresowany rolls-royce'em. Pewien bogaty Amerykanin z Miami Beach wiozł to auto do domu z miesiąca miodowego w Paryżu. Kręcili się po garażu we dwóch, udając szofera i pasażera rollsa.

Angelo przypomniał sobie czyjeś słowa, że w garażu stoi dziewięć aut. Może w jednym z nich był podnośnik. Ale jak się do niego dostać. Statek, który się z nimi zderzył, na pewno przebił się przez ścianę garażu. Angelo stanął w półmroku, by uspokoić oddech i otrzeć spoconą twarz. Co teraz? Uciekać? *Mamma mia*. A jeśli zgaśnie światło? Nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. Strach szarpał za nogi, próbował zmusić je do ruchu.

CZEKAJ.

Kiedy był w garażu, przyjaciel pokazał mu inny pojazd – opancerzoną furgonetkę. Stała w kącie najbardziej oddalonym od miejsca zderzenia. Na błyszczącej czarnej karoserii nie umieszczono żadnych oznaczeń. Kiedy Angelo spytał o samochód, przyjaciel jedynie przewrócił oczami i wzruszył ramionami. Może w środku było złoto? Pracownik garażu wiedział jedynie, że furgonetka jest chroniona dzień i noc. Nawet podczas ich rozmowy Angelo widział mężczyznę w szarym mundurze. Strażnik obserwował intruzów, póki nie opuścili garażu.

Pokład zadrżał. Statek najprawdopodobniej pochylił się o kolejny stopień lub dwa. Angelo przekroczył granicę strachu. Znalazł się w szponach całkowitego przerażenia.

Puls przyspieszył mu znacznie. Na szczęście, kiedy statek się uspokoił, tętno wróciło do normy. Angelo zadawał sobie pytanie, ile jeszcze brakuje, by statek się przewrócił. Popatrzył na kamizelkę ratunkową, którą trzymał w rękę i roześmiał się. Jeśli statek zacznie tonąć z nim, uwięzionym głęboko we wnętrzu, kapok na niewiele się przyda. Pięć minut. Nie mógł przekroczyć tej granicy. Potem musi gnać na górny pokład. Wymyśla coś z Careyem. Muszą. Znalazł wejście do garażu. Wziął głęboki wdech, otworzył drzwi i wszedł do środka.

W ogromnej, przypominającej jaskinię przestrzeni panowały ciemności, rozświetlane jedynie żółtymi plamami świateł awaryjnych na wysokim suficie. Angelo popatrzył w kierunku sterburty i tam, gdzie do garażu wlewała się

woda. Dostrzegł migoczące odbłaski. Woda objęła mu kostki. Musiała się wlewać dość szybko. Garaż znajdował się nad lustrem oceanu, ale za kilka minut na pewno będzie zalany. Istniała szansa, że samochody, stojące na linii uderzenia tnącego dziobu, zostały uszkodzone albo zniszczone. Nie miał wiele czasu; ruszył wzdłuż ściany w kierunku bakburty. W cieniu widział prostopadłościenny kształt oraz odbłaski światła w ciemnych szybach furgonetki. Logika mówiła, że dalsza droga nie ma sensu. Trzeba wyjść z pułapki i udać się na górny pokład. *Pronto*. Zanim garaż zamieni się w akwarium.

Ujrzał przed sobą obraz pani Carey, przyszpilonnej do ściany niczym motyl w gablocie. Podnośnik, jej ostatnia szansa, najprawdopodobniej leżał zamknięty w furgonetce. Angelo był przekonany, że musi wyjść z garażu z pustymi rękami. Zatrzymał się, by rzucić ostatnie tęskne spojrzenie na furgonetkę. W tym momencie odkrył, że nie jest sam.

Ciemność przy furgonetce przeciął cienki jak ołówek promień światła. Po pierwszym pojawił się następny. Latarki. Potem zapaliły się przenośne lampy. Poustawiano je na podłodze tak, by oświetlić opancerzone auto. W ich świetle poruszały się kontury. Wyglądało na to, że jest około dziesięciu osób. Niektórzy byli ubrani w szare mundury, inni w czarne wieczorowe garnitury. Otworzyli boczne i tylne drzwi samochodu. Angelo nie widział, co robią. Czuł jednak, że pracują w najwyższym skupieniu. Przeszedł mniej więcej dwie trzecie szerokości garażu i właśnie zamierzał powiedzieć: „*Signores*”, ale słowo nie wydostało się z jego ust.

Coś w cieniu poruszyło się. Nagle – jak na zaciemnionej scenie – pojawiły się ubrane na szaro cztery postacie. Zniknęły w ciemności. Znow się wyłoniły. Miały na sobie kombinezony, jakie nosiło się na „*Dorii*” w maszynowni. Mężczyźni poruszali się szybko w poprzek kadłuba. Coś ukradkowego w ich ruchach, co przypominało skradanie się kota, kazało Angelowi być cicho. Jeden ze strażników dostrzegł nadchodzące postacie. Krzyknął ostrzegawczo i sięgnął do kabury na biodrze.

Każdy z mężczyzn w kombinezonie z wojskową precyzją przykląkł na kolano i uniósł do poziomu narzędzie, które miał zawieszane na ramieniu. Manewr był płynny, wykonany z rozwagą. Angelo zrozumiał, że się pomylił w początkowej ocenie „narzędzia”. Każdy kto dorasta w ojczyźnie mafii, wie jak wygląda pistolet maszynowy i jak się z niego celuje.

Cztery lufy z tłumikami równocześnie otworzyły ogień. Skoncentrowały się na bezpośrednim zagrożeniu, strażniku, który zdążył wyciągnąć broń i wycelować. Salwa trafiła go jak grad. Rewolwer pofrunął w powietrze. Impet setek bezpłaszczowych pocisków sprawił, że strażnik dosłownie zniknął w szkarłatnej chmurze krwi i strzępów ubrania. Zawirował, wykonał groteskowy, spowolniony taniec śmierci w migoczącym jak stroboskop świetle rozjarzonych do białości ogników z luf.

Pozostali strażnicy próbowali znaleźć jakąś kryjówkę. Zanim jednak któryś z nich zdążył zrobić krok, przewracał go bezlitosny grad pocisków. Me-

talowe ściany odbijały echem paskudny klekot i wściekle wycie pocisków, rykoszetujących od opancerzonych boków furgonetki. Wkrótce stało się jasne, że nie ocalał żaden strażnik, ale mężczyźni z pistoletami maszynowymi dalej szli do przodu i strzelali do leżących ciał.

Nagle zapadła cisza.

W powietrzu wisiał obłok purpurowego dymu, gęstego od zapachu kordytu i śmierci.

Zabójcy metodycznie pochylali się nad każdym ciałem. Angelowi zdawało się, że zaraz oszaleje. Stał przyciśnięty do grodzi, sparaliżowany strachem. Przeklinał swojego pecha. Musiał się natknąć na napad! Niemał czekał, aż zabójcy zaczną wyciągać z furgonetki worki z pieniędzmi. Zamiast tego zrobili coś całkiem innego, dziwnego: podnosili po kolei z wzbierającej wody krwawiące zwłoki i wlekli je na tył furgonetki. Wepchnęli trupy do środka, zatrzasnęli i zaryglowali drzwi.

Angelo czuł wokół stóp zimno – lodowata woda dotarła do miejsca, gdzie stał. Zaczął się odsuwać od furgonetki tak, by pozostawać w cieniu. Kiedy dotarł do drzwi garażu, woda zaczęła obmywać mu kolana. Jeszcze kilka chwil i sięgała do pach. Założył kamizelkę ratunkową. Popłynął cicho żabką w kierunku wyjścia. Na wysokości progu odwrócił się, by ostatni raz rzucić okiem na garaż. Jeden z zabójców popatrzył w kierunku Angela. Potem razem ze swoimi towarzyszami odrzucił broń na bok, wszedł do wody i zaczął płynąć. Angelo wyslizgnął się z garażu. Cały czas powtarzał modlitwy, by go nie zauważono. Korytarz był pod wodą. Angelo płynął, aż poczuł pod stopami schody. Kiedy na nie wyszedł, buty i ubranie ciążyły niczym ołów. Z energią zrodzoną z bezgranicznego strachu wbiegał po dwa stopnie – jakby zabójcy deptali mu po piętach.

Po kilkunastu sekundach wpadł do kabiny Careyów.

– Nie udało mi się zdobyć lewarka – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Garaż... – Nagle przerwał.

Rama została wyrwana ze ściany. Jake Carey przy pomocy lekarza pokładowego i jeszcze jednego członka załogi delikatnie zdejmował z łóżka Myrę. Kątem oka dostrzegł kelnera.

– Angelo, martwiłem się o ciebie.

– Co z panią Carey? – spytał z troską Angelo. Kobieta miała zamknięte oczy, koszula nocna była poplamiona krwią.

Doktor badał tętno.

– Zemdlała, ale żyje. Może mieć obrażenia wewnętrzne.

Carey popatrzył na przemoczone ubranie Angela i jego puste ręce.

– Znaleźli mnie tutaj – wyjaśnił. – Przysłano podnośnik z jednego ze statków ratowniczych. Podejrzywałem, że nie znajdziesz nic w garażu.

Angelo pokręcił głową.

– Boże, ale jesteś przemoczony. Przykro mi, że się tak natrudziłeś.

– Nie ma sprawy.

Doktor wbił w ramię pani Carey igłę.

– Morfina przeciwko bólowi – wytłumaczył. Próbował ukryć niepokój, ale oczy go zdradzały. – Musimy jak najszybciej zabrać panią Carey ze statku.

Owinęli nieprzytomną kobietę kocem i zanieśli ją na niższą stronę pokładu spacerowego. Mgła jakimś cudem zniknęła. „Dorię” otaczała niewielka flotyła statków. Światła reflektorów odbijały się jaskrawo w powierzchni morza. W górze, niczym ważki, unosiły się helikoptery Straży Przybrzeżnej. Między liniowcem a statkami, które przybyły z pomocą, płynął w obie strony nieprzerwany strumień łodzi ratunkowych. Większość miała napis „Ile de France” na dziobie. Szperacze „Ile” skierowano na „Dorię”. Nigdy nie padł bezpośredni rozkaz ewakuacji ze statku, ale po dwóch godzinach czekania pasażerowie zaczęli opuszczać pokład na własną odpowiedzialność. Najpierw odesłano kobiety, dzieci i ludzi starszych. Akcja postępowała powoli, ponieważ przejście z łodzi ratunkowych na pokład statku-wybaciciela mogło nastąpić jedynie za pomocą lin i sieci.

Panią Carey przywiązano do noszy. Opuszczono je delikatnie na linach po burcie. Przyjazne ręce wyciągnęły się, by wziąć kobietę na pokład łodzi ratunkowej.

Carey wychylił się przez reling. Dopiero gdy Myra była już bezpieczna, odwrócił się do Angela.

– Lepiej się stąd zabieraj, przyjacielu. Statek na pewno pójdzie na dno. Angelo rozejrzał się ze smutkiem.

– Lada chwila, panie Carey. Ale najpierw pomogę paru pasażerom – odparł z uśmiechem. – Pamięta pan, co powiedział o moim imieniu? – Kiedy Angelo poznał Careyów, Jake zażartował, że skoro kelner nosi imię „anioł”, to znaczy, że jest istotą, która służy innym.

– Pamiętam. – Carey ujął dłoń Angela. – Dziękuję. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Gdybyś kiedykolwiek potrzebował czegoś, przyjdź do mnie. Rozumiemy się?

Angelo skinął głową.

– *Grazie*. Proszę pożegnać ode mnie *bella signora*.

Carey przeszedł nad relingiem i zaczął się zsuwać po linie do łodzi ratunkowej. Angelo pomachał mu na pożegnanie. Nie powiedział Careyowi ani nikomu innemu o strasznej scenie w garażu. Nie była na to teraz odpowiednia chwila. Może zresztą nigdy nie nastąpi właściwy moment. Nikt nie uwierzy najniższemu rangą kelnerowi. Przypomniało mu się sycylijskie przysłowie: „Ptak, który głośno śpiewa na drzewie, kończy w garnku”.

Śmiertelna wachta już się praktycznie kończyła.

Ostatni żyjący ludzie zostali zabrani ze statku w różowawym świetle poranka. Kapitan z niewieloma członkami załogi pozostał na pokładzie do ostatniej minuty. Nie chciał, aby ktoś wszedł na statek i ogłosił że przejmuje jednostkę jako porzuconą. Na koniec i ta grupka zsunęła się po linach do łodzi ratunkowych.

Ciepłe poranne słońce wspinało się na bezchmurne niebo, a przechyl statku coraz bardziej rósł. Za dziesięć dziesiąta rano „Doria” leżał na prawym boku pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Dziób częściowo zanurzył się pod wodę.

„Stockholm” stał w odległości około trzech mil morskich. Jego dziób był masą poskręcane metalu. Wszędzie w pokrytej olejem wodzie pływały śmieci. Nieopodal znajdowały się dwa niszczyciele i cztery kutry Straży Przybrzeżnej. W górze krążyły samoloty i helikoptery.

Koniec nastąpił mniej więcej o dziesiątej. Jedenaście godzin po kolizji „Doria” przekoziołkował przez prawą burtę. Puste łodzie ratunkowe, które oparły się wszelkim próbom ze strony załogi, by spuścić je na wodę, odpłynęły teraz same – w końcu udało im się uwolnić z zaczepów wyciągarek. Kiedy uwięzione w kadłubie powietrze wystrzeliło pod ciśnieniem przez bulaje, wokół statku eksplodowały spienione gejzery.

Słońce zamigotało na wielkim sterze, mokrych skrzydłach bliźniaczych i prawie sześciometrowej średnicy śrubach napędowych, które przenosiły dumną jednostkę przez ocean. W ciągu kilku minut woda wypełniła przednią część statku. Rufa uniosła się pod ostrym kątem. Kadłub zaczął się wślizgiwać pod powierzchnię, jakby wciągały go potężne macki gigantycznego morskiego potwora.

Woda całkowicie zalewała przedziały i apartamenty. Ciśnienie rozrywało metal i nity. Rozlegał się przy tym straszliwy, niemal ludzki jęk, od którego dreszczy dostaje każdy marynarz łodzi podwodnej po zatopieniu jednostki wroga.

Statek opadał na dno niemal w identycznej pozycji, w jakiej zaczął tonąć. Sześćdziesiąt dziewięć metrów niżej gwałtownie się zatrzymał i położył na piaszczystych marach – na prawym boku. Wydobywające się z setek otworów pęcherze powietrza przemieniły ciemną wodę w jasny błękit.

Przynajmniej przez piętnaście minut wokół potężnego wiru krążyły połamane, poodrywane resztki. Kiedy woda się uspokoiła, na miejsce zatonięcia wpłynął kuter Straży Przybrzeżnej. Rzucił boję znakującą, gdzie przed chwilą znajdował się „Doria”.

Z powierzchni oceanu zniknął wart dwa miliony dolarów ładunek win, ekskluzywnych tkanin, mebli i oliwy z oliwek.

Na dno poszły także wspaniałe dzieła sztuki – malowidła ścienne i gobeliny oraz odlana w brązie statua starego admirała.

Głęboko we wnętrzu statku zamknięta została także tajemnicza czarna furgonetka z podziurawionymi ciałami strażników.

Wysoki blondyn zszedł z trapu „Ile de France” przy nabrzeżu numer osiemdziesiąt cztery i ruszył w kierunku baraku służb celnych. Miał na sobie czarną wełnianą marynarską czapkę i długi płaszcz. Niczym się nie różnił od setek pasażerów, od których roilo się wokół.

Spełnienie humanitarnego obowiązku opóźniło francuski liniowiec o trzydzieści sześć godzin. We wtorek po południu przybył do Nowego Jorku, gdzie go burzliwie przywitano i pozostał na tyle długo, by siedmiuset trzydziestu trzech rozbitków z „Dorii” mogło spokojnie zejść na ląd. Po zakończeniu historycznej akcji ratunkowej, szybko zawrócił, popłynął z powrotem rzeką Hudson i wyszedł na pełne morze. W końcu czas to pieniać.

– Następny – powiedział oficer służby imigracyjnej i podniósł wzrok znad stołu.

Urzędnik przez chwilę się zastanawiał, czy mężczyzna przed nim nie został ranny w kolizji. Ostatecznie stwierdził jednak, że blizna jest stara.

– Departament Stanu postanowił nie żądać od rozbitków paszportów. Proszę podpisać ten pusty formularz. Potrzebuję tylko pańskiego nazwiska i adresu zamieszkania w Stanach Zjednoczonych.

– Oczywiście, dziękuję. Powiedziano nam to na statku. – Blondyn uśmiechnął się. A może jedynie zadrgała jego blizna? – Obawiam się, że mój paszport leży na dnie Atlantyku. – Oświadczył, że ma na nazwisko Johnson i wybiera się do Milwaukee.

Urzędnik imigracyjny wskazał za siebie.

– Niech pan stanie w tamtej kolejce. Lekarze muszą zbadać, czy nie ma pan jakiejś zakaźnej choroby. To nie powinno długo potrwać. Następny, proszę.

Badania lekarskie rzeczywiście nie trwały długo. Chwilę później blondyn przeszedł przez bramkę. Tłum rozbitków, członków ich rodzin i przyjaciół wylał się z doku na ulicę. Była zapchana sunącymi wolno, trąbiącymi pojazdami – samochodami osobowymi, autobusami i taksówkami. Blondyn stanął na chodniku i rozejrzał się. W końcu znalazł szukającą go parę oczu. Dostrzegł następną, potem trzecią. Skinął głową na znak, że zauważył towarzyszy i wszyscy rozeszli się w różne strony.

Ruszył przed siebie w kierunku Czterdziestej Czwartej ulicy. Po drodze machnął na taksówkę. Był zmęczony nocnym wysiłkiem. Marzył o wypoczynku.

Pierwsza część zadania została wykonana.



# 1

Nina Kirow stała u szczytu antycznych schodów i patrzyła na niemal nieruchomą powierzchnię wody w lagunie. Nigdy w życiu nie widziała miejsca bardziej pustego od tego odludnego marokańskiego wybrzeża. Nic się nie poruszało w przytłaczającym upale, przypominającym powietrze wewnątrz rozpalonego pieca. Jedyнным znakiem świadczącym o obecności człowieka było kilka grobowców koloru szarego kitu, zwieńczonych beczkowatymi kopułami. Pomniki spoglądały na lagunę niczym nadmorskie apartamenty dla zmarłych. Przez wieki wiatr przewiewał piasek przez łukowate portale i mieszał go z prochami zmarłych. Nina uśmiechnęła się z zachwytem dziecka, które zobaczyło prezenty pod bożonarodzeniową choinką. Dla archeologa morskiego posępny krajobraz był piękniejszy od białego piasku i palm tropikalnego raj. Już sama okropność tego smutnego miejsca wystarczyła, by je chronić. Nina najbardziej się bała ingerencji człowieka w potencjalne stanowisko archeologiczne.

Ponownie przyrzekła sobie w myśli, by podziękować doktorowi Knoxowi za namówienie jej na dołączenie do ekspedycji. Początkowo odrzuciła zaproszenie. Pracownikowi z renomowanego wydziału antropologii Uniwersytetu Pensylwanii powiedziała, że jej zdaniem to przedsięwzięcie jest jedynie stratą czasu. Każdy bowiem centymetr wybrzeża Maroka został już z pewnością przeczesany bardzo gęstym grzebieniem. Nawet jeśli komukolwiek udałoby się znaleźć nowe stanowisko pod wodą, bez najmniejszej wątpliwości będzie przykryte tonami betonu – przez Rzymian, którzy nie tylko znali ten materiał budowlany, ale także potrafili rekonstruować morskie brzegi. Nina miała szacunek do inżynierskich osiągnięć przodków, ale w kontekście historycznym uważała Rzymian za psujących wszystko nuworyszy.

Tak naprawdę odmowa wzięcia udziału w ekspedycji wynikała nie tyle z powodów naukowych, ile z sytuacji, w jaką Nina się wplątała. Od jakiegoś

czasu próbowała uporać się z opasłą dokumentacją związaną z badaniem wraka statku u wybrzeży Cypru na wodach, do których pretensje zgłaszała Turcja. Oględziny statku sugerowały, że jest to antyczna grecka jednostka. Wstępne ustalenia wyzwołyły sprzeczne żądania ze strony odwiecznych wrogów. Uznano, że chodzi o sprawę „narodową”. Eskadry F-16 grzały silniki zarówno na lotniskach w Atenach, jak i w Ankarze. Nina natomiast zidentyfikowała jednostkę jako syryjski statek handlowy. W ten sposób powstał jeszcze większy bałagan. Rozładowało to jednak groźbę krwawej konfrontacji. Nina była właścicielem, prezesem zarządu i jedynym pracownikiem firmy Mari-Time Research prowadzącej konsultacje z zakresu archeologii morskiej. Dlatego wszystkie papierzyska wylądowały u niej na biurku.

Kilka minut po tym jak zrezygnowała z zaproszenia, zadzwonił Stanton Knox.

– Chyba słuch mnie zawodzi, doktor Kirow – zaczął kostycznym nosowym tonem, który sto razy słyszała podczas wykładów. – Zdawało mi się, jakby ktoś mówił, że nie jest pani zainteresowana naszą marokańską ekspedycją. Przecież to nie może być prawda.

Mineło wiele miesięcy, odkąd ostatni raz rozmawiała ze swym dawnym nauczycielem. Uśmiechnęła się na wspomnienie śnieżnobiałej burzy jego włosów, niemal szaleńczego blasku za okularami w drucianych oprawkach i wąsów hulaki, które zawijały się na końcach, wysoko nad pomarszczonymi ustami.

Nina podjęła próbę odparowania nieuniknionej ofensywy uprzejmości.

– Z całym należnym szacunkiem, profesorze, ale naprawdę wątpię, czy istnieje nawet najmniejszy kawałek wybrzeża północnej Afryki, którego nie zabudowali Rzymianie albo którego jeszcze nie odkryto.

– *Brava!* Cieszę się, że pamięta pani pierwsze trzy lekcje archeologii, doktor Kirow.

Słyszac akademicki ton Knoxa, Nina zachichotała. Miała trzydzieści parę lat, była właścicielką dobrze prosperującej firmy konsultingowej, posiadała niemal tyle samo tytułów naukowych co Knox, a jednak czuła się w kontakcie z profesorem jak studentka.

– Jakże mogłabym zapomnieć? Sceptyzm, sceptyzm i jeszcze raz sceptyzm.

– Właśnie – odparł z wyraźną radością. – Trzy warczące psy sceptycyzmu, które rozerwą człowieka na strzępy, jeśli nie dostaną posiłku z jednoznacznych dowodów. Nie uwierzy pani, jak często moje kazania trafiają na głuche uszy. – Westchnął teatralnie, po czym jego ton stał się bardziej rzeczowy. – Rozumiem pani troskę, doktor Kirow. W zwykłym przypadku zgodziłbym się z panią, ale to miejsce znajduje się na wybrzeżu Atlantyku, daleko za Słupami Melkarta, poza strefą wpływów Rzymu.

Ciekawe. Knox użył fenickiej nazwy zachodniego skraju strefy śródziemnomorskiej, gdzie Gibraltar opada, by pocałować Tanger. Grecy i Rzy-

mianie nazywali to miejsce Słupami Heraklesa. Nina wiedziała z gorzkich doświadczeń na seminariach, że jeśli chodzi o nazwy, Knox jest precyzyjny jak neurochirurg.

– Tak, ale jestem niezmiernie zajęta...

– Doktor Kirow, mogę się chyba do czegoś przyznać – przerwał jej Knox. – Potrzebuję pani. Bardzo. Jestem otoczony archeologami lądowymi. Oni są tak przezorni, że wkładają kalosze nawet, gdy chcą iść pod prysznic. Musimy mieć kogoś, kto wejdzie do wody. To mała ekspedycja, mniej więcej dwunastoosobowa. Będzie pani jedynym nurkiem.

Reputacja znakomitego „wędkarza”, jaką wyrobił sobie Knox, była w pełni zasłużona. Pomachał Ninie przed nosem Fenicjanami, nabił na haczyk prośbę o pomoc i zaczął kręcić kołowrotkiem. Zasugerował jeszcze, że jako jednemu nurkowi, jej przypisywane będą wszystkie znaleziska podwodne.

Nina niemal widziała drgający z radości nos profesora. Przesunęła leżące na biurku teczki z aktami.

– Muszę przeanalizować tonę dokumentów...

Knox wpadł jej w słowo.

– Wiem o pani cypryjskiej robocie. Gratuluję. Zapobiegła pani kryzysowi między dwoma członkami NATO. Zająłem się wszystkim. Zabieram dwóch bardzo kompetentnych kolegów – wykładowców. Chętnie nabiorą doświadczenia w radzeniu sobie z biurokracją, która w dzisiejszych czasach jest bardzo ważnym instrumentem archeologicznym. Naszym zadaniem będą wstępne oględziny terenu. Zostaniemy na miejscu jedynie tydzień, może dziesięć dni. Wystarczy, by moi zaufani młodzi Myrmidonowie dokończyli resztę. Nie musi pani podejmować decyzji natychmiast. Wyślę faksem trochę materiałów. Proszę rzucić okiem i oddzwonić.

– Kiedy mogę się spodziewać przekazu, doktorze?

– W ciągu godziny. *Ciao*.

Nina odłożyła słuchawkę i głośno się roześmiała. W ciągu godziny...

Niemal natychmiast, niczym lawa z wulkanu, z faksu zaczęła wypływać wstęga papieru. Knox przesyłał tę samą propozycję, którą przedstawił swemu pracodawcy wraz z prośbą o fundusze. Chciał dostać pieniądze na oględziny miejsca, w którym mogły się znajdować grecko-rzymskie i prawdopodobnie także inne ruiny. Była to klasyczna knoxowska komiwojażerska gadka, zwodnicza mieszanka faktów i możliwości, ułożona tak, by projekt wyraźnie się odróżniał od propozycji konkurentów.

Nina przejrzała materiały okiem doświadczonego archeologa i szybko skoncentrowała się na mapie. Miejsce oględzin znajdowało się między ujściem rzeki Draa a Saharą Zachodnią, na przedłużeniu marokańskiej niziny nadmorskiej, ciągnącej się od Tangeru do Essaourii. Stukała w zęby końcem długopisu i dokładnie oglądała narysowany w powiększonej skali fragment wybrzeża. Wcięcie linii brzegowej wyglądało tak, jakby kartograf dostał przy rysowaniu czkawki. Na dodatek w bezpośrednim sąsiedztwie leżały Wyspy

Kanaryjskie... Nina oparła się wygodnie w fotelu i zaczęła dumać. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Knox odebrał w trakcie pierwszego dzwonka.

– Wyruszamy w przyszłym tygodniu.

Teraz Nina obserwowała faktyczne kontury laguny. Basen był mniej więcej okrągły. Nagie, ceglastej barwy skały ścisnęły go przy ujściu do morza niczym wielkie obcęgi. Tuż za wejściem do laguny znajdowały się płycizny, które przy odpływie zmieniały się w płaskie, pomarszczone, muliste wysepki. Tysiące lat temu do głębokiej wtedy laguny z pewnością wpływało się bezpośrednio z oceanu. Osłonięta w naturalny sposób zatoka niewątpliwie przyciągała starożytnych marynarzy. W antycznych czasach powszechne było cumowanie niedaleko brzegu, by zaczekać na dobrą pogodę albo światło dnia. Niedaleko znajdowało się koryto wyschłej rzeki, określane przez miejscowych mieszkańców *wadi*. Kolejny dobry znak – osiedla często powstawały w pobliżu rzeki.

Z laguny prowadziła przez wydmy wąska, piaszczysta ścieżka, która dochodziła do ruin niewielkiej greckiej świątyni. Gdyby zbudować w lagunie port, byłby zbyt mały dla rzymskich statków. Nina podejrzewała, że zatoczka o wąskim wejściu wykorzystywali raczej Grecy, jako tymczasowe cumowisko. Stromy brzeg zniechęcał do wnoszenia tą drogą towarów na ląd. Przejrzała najrozmaitsze stare mapy i stwierdziła, że miejsce jest oddalone o wiele kilometrów od wszelkich znanych starożytnych osiedli. Nawet dziś najbliższa wieś – senne berberyjskie obozowisko – było oddalone o przeszło piętnaście kilometrów i dało się tam dojechać jedynie wyboistą piaszczystą drogą.

Nina osłoniła oczy przed słońcem i dokładnie się przyjrzała statkowi zakotwiczonemu niedaleko brzegu. Od linii wodnej do nadbudówek kadłub pomalowano na turkusowo. Zmrużyła oczy i dostrzegła widniejące na wysokości śródkręcia duże litery NUMA, skrót od Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych. Pytanie, co u odległych marokańskich wybrzeży robi statek należący do amerykańskiej agencji rządowej, niezbyt ją zaintrygowało. Podniosła z ziemi wielką siatkę, zeszła po mocno zużytych kamiennych stopniach i zatrzymała się na najniższym, delikatnie opłukiwanym przez wodę.

Kiedy zdjęła czapkę bejsbolówkę z literami „UPenn”, które informowały, że Nina jest miłośnikiem Uniwersytetu Pensylwanii, słońce jaskrawo odbiło się od związanych za głową warkoczy koloru dojrzałej pszenicy. Ściągnęła za duży podkoszulek. Bikini w kwiaty, które miała pod spodem, znakomicie podkreślało jej sylwetkę: silne ciało, długie nogi.

Nina odziedziczyła imię, złote włosy, nieco zaokrągloną twarz i męską wytrzymałość po prababci, robotnicy rolnej, która na ukraińskim polu bawełny zakochała się w carskim żołnierzu. Po matce Gruzince Nina miała śmiałe, niemal azjatyckie oczy, szare jak niebo przed burzą, wysokie, wydat-

ne kości policzkowe i pełne usta. Kiedy rodzina Kirowów wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, cechy genetyczne ulegały kolejnym zmianom. Kobiety miały szczuplejszą sylwetkę, wąską talię i obfity biust.

Nina wyjęła z torby cyfrowy aparat fotograficzny, zamontowany w plastikowej obudowie wykonanej na zamówienie przez firmę Ikelight. Sprawdziła flesz. Sprawdziła butlę tlenową i kamizelkę wypornościową U.S.Divers, czarno-purpurowy kombinezon firmy Henderson, buty, rękawice, kaptur, pas obciążający, maskę i fajkę. Ubrała się w strój nurka, zamocowała na głowie lampę Niterider Cyclops, zaciągnęła szybko otwierające się sprzączki kamizelki i założyła pas obciążający. Na koniec przypięła do uda tytanowy nóż o osiemnastocentymetrowej klindze. Po wpięciu w odpowiedni haczyk siatki do zbierania znalezionych obiektów, ustawiła czas na najnowszej zabawce – zegarku do nurkowania firmy Aqualand ze wskaźnikiem głębokości.

Ponieważ nie miał kto sprawdzić jej sprzętu, dokonała rutynowej kontroli dwa razy. Usatysfakcjonowana wynikiem, usiadła na schodkach, założyła płetwy, po czym ześlizgnęła się do wody. Chłodna woda przesączyła się do wnętrza neoprenowego kombinezonu i szybko rozgrzała do temperatury ciała. Nina sprawdziła główny zawór i zawory dodatkowe, odepchnęła się od schodków, odwróciła na brzuch i powoli popłynęła ku środkowi przypominającej staw laguny.

Nieruchoma mulista woda była słonawa i lekko spieniona na powierzchni. Mimo to Nina rozkoszowała się wolnością. Delikatnie poruszała płetwami. Współczuła lądowym archeologom ekspedycji, którzy pełzali na poobcieranych kolanach z młotkami archeologicznymi i szczotkami w dłoniach, wytężając oczy, piekące od pozlepianego potem pyłu. Nina mogła się poruszać w przyjemnym chłodzie niczym samolot w trakcie przelądu terenu.

Wejścia do laguny strzegła niska wysepka, na której rosła nieduża grupka skarłowaciałych sosen. Nina zamierzała popłynąć prosto na ten niewielki skrawek lądu, by przeciąć lagunę dokładnie w połowie. W ten sposób wyznaczy linię bazową. Potem zbada każdą połówkę osobno, płynąc wzdłuż torów równoległych, odchodzących prostopadłe od linii bazowej. Schemat trasy, jaką zamierzała pokonać, był podobny do stosowanego na otwartym oceanie przy poszukiwaniach wraka. Na razie jej oczy będą spełniać funkcje sonaru wysyłającego promień poszukiwawczy w bok albo magnetometru. Precyzyjne pomiary nastąpią później. Teraz chciała jedynie wstępnie ustalić, co znajduje się pod wodą.

Woda pod mętną wierzchnią warstwą okazała się stosunkowo czysta. Nina widziała dno – nie więcej niż sześć metrów w dole. Oznaczało to, że będzie mogła korzystać z fajki i zaoszczędzić powietrze z butli. Przed jej oczami zmateriałizowały się prostokątne starannie dopasowane kamienne bloki. Biegące pod wodą schody docierały do starego nabrzeża. Fakt był istotny, oznaczał bowiem, że laguna funkcjonowała kiedyś jako prawdziwy

port, a nie tylko jako tymczasowe cumowisko. Na dnie nie zalegały śmieci, wyrzucane za burtę przez przypadkowych marynarzy, lecz warstwy pozostałości po zasiedziałej na stałe, do tego przez długi czas, cywilizacji.

Po kilku chwilach dostrzegła grubsze linie i sterty gruzu. Ruiny! Trafione! Resztki magazynów, domów albo pomieszczeń dla służby nadzorczej i kapitanatu. Zdecydowanie nie było to miejsce na okazjonalne nocne cumowanie.

Z przodu pojawiła się ciemna plama. Nina uznała, że dotarła do końca nabrzeża. Kiedy minęła duży prostokątny otwór, zadała sobie pytanie, czy mogło to być akwarium zwane przez starożytnych *piscina*. Zagłębienie było zbyt duże. Miało rozmiary basenu olimpijskiego.

Nina wypluła fajkę, zaciśnęła zęby na ustniku i zanurkowała niemal pionowo w dół. Płynęła wzdłuż boku zięjącego otworu. Kiedy dopłynęła do rogu, skręciła i ruszyła wzdłuż drugiej ściany. Okrążyła prostokątny basen – miał mniej więcej trzydzieści na pięćdziesiąt metrów.

Nina zapaliła lampę na głowie i zanurkowała w głąb otworu. Muliste dno było idealnie płaskie. Leżało mniej więcej dwa i pół metra poniżej górnego poziomu basenu. Cienki promień światła wydobywał z ciemności porozbijane naczynia i różne śmieci. Nina nożem wydobyla z mułu kilka glinianych skorup. Po starannym zaznaczeniu ich ułożenia, włożyła je do siatki na znaleziska. Potem popłynęła kanałem biegnącym w kierunku morza. Kończył się tuż przed środkiem laguny. Był na tyle szeroki, że mogły nim wpływać antyczne statki. Wycięty w nabrzeżu prostokąt nosił wszystkie cechy sztucznego portu, zwanego *cothon*. W ciągu kilku następnych minut odkryła szereg zakończonych pochylniami wcięć w nabrzeżu – wystarczająco dużych, by przyjmować statki o długości powyżej piętnastu metrów – oraz faktyczną *piscinę*. Tak, znajdowała się w *cothonie*.

Opuściła nabrzeże i popłynęła dalej wzdłuż linii bazowej. Jako punkt orientacyjny wykorzystwała występ lądu po prawej. Pływała między wyspą a lądem stałym, aż znalazła zanurzoną kilka metrów pod wodą konstrukcję z równoległych kamiennych ścian, wypełnioną tłuczniem, która mogła być molem albo falochronem. Gdyby w tym miejscu było mniej wody, budowla łączyłaby ląd z wyspą.

Kiedy wyszła na wyspę, zrzuciła sprzęt i przeszła na drugą stronę skalistym terenem okrytym ciernistymi krzewami. Wyspa miała nieco ponad piętnaście metrów szerokości, dwa razy tyle długości i była raczej płaska. Drzewa, które Nina widziała z brzegu, sięgały jej ledwie do brody.

W okolicy wejścia do laguny leżały sterty kamieni – prawdopodobnie z podbudówek dawnych budowli – i stał kamienny krąg. Było to idealne miejsce na latarnię morską albo punkt obserwacyjny, dający wartownikowi o dobrym wzroku panoramiczny widok na przepływające statki. Po pojawieniu się na horyzoncie żagla, można było przysłać z lądu obrońców.

Nina weszła do kamiennego kręgu, wspięła się na resztkę stopnia i popatrzyła na kotwiczący statek, który obserwowała wcześniej. Znowu zadała

sobie pytanie, co sprowadza amerykańską jednostkę rządową w okolice tego jałowego i bezludnego brzegu. Ponownie włożyła sprzęt i zanurkowała. Chłodne, pozbawione ciężenia otoczenie działało odświeżająco. Ryby, pradawni przodkowie, popełniły wielki błąd, kiedy wypłynęły z oceanów na suchy ląd.

Przepłynęła w poprzek wejścia do laguny. Drugi półwysep wyrastał ze stałego lądu tuż nad lustrem wody, po czym się rozszerzał i wznosił. Na końcu tworzył masywną, wysoką formację skalną. Niemal pionowe, czerwone skały, opadały w wodę niczym mury obronne fortecy. Nina zanurkowała do podstawy nagiej ściany i poszukała ścieżki. Nie znalazła jej, popłynęła więc w kierunku morza do końca cypla, zakończonego skalną półką. Był to idealny punkt obronny; stąd łucznicy mogli ostrzeliwać pokład każdego nadciągającego statku wroga.

Ze skały, niedaleko półki, wystawał płaski głaz, który przypominał markizę z epoki kamiennej. Pod głazem znajdował się prostokątny otwór wielkości drzwi. Nina podpłynęła bliżej, zmrużyła oczy i spróbowała przebić wzrokiem groźną czerń. Zapaliła lampę. Strumień światła padł na poruszające się upiorne kłębowisko. Przestraszona, szybko się cofnęła. Zaraz jednak odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do siebie. Ławica srebrnych rybek, która mieszkała w tunelu, była znacznie bardziej zaskoczona od pani archeolog.

Kiedy tętno wróciło do normy, przypominała sobie ostrzeżenie doktora Knoxa: „Nie ryzykuj głowy dla samorodka wiedzy, skazanego na samotną egzystencję w zakurzonym tomie”. Doktor z szatańską rozkoszą opisywał z najbardziej ponurymi szczegółami losy naukowców, którzy posunęli się za daleko. Furbusha pożarli kanibale. Rozziniego zniszczyła malaria. O’Neill wpadł do bezdennej szczeliny lodowca.

Knox z pewnością wymyślił te nazwiska, podzielała jednak jego zdanie. Była sama, nie ciągnęła za sobą linki ratunkowej. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Element ryzyka, który powinien odstraszać, bardzo też kusił. Sprawdziła ciśnienie w butli. Dzięki oddychaniu przez fajkę zaoszczędziła sporo powietrza i miała jeszcze nieco czasu.

Przyrzekła sobie, że zatrzyma się zaraz za otworem tunelu i nie popłynie dalej, ale przecież nie mógł być zbyt długi... Do wydrążenia go w skale używano prymitywnych narzędzi, nie diamentowych tarcz wiertniczych. Zrobiła kilka zdjęć wejścia do tunelu i ruszyła przed siebie.

Niesamowite!

Podłoga czworokątnego otworu była niemal idealnie płaska, ściany – z wyjątkiem miejsc, gdzie wyrastały kępy narośli – gładkie.

Nina wpływała coraz dalej. Zapomniała o złożonej sobie obietnicy i mądrej radzie Knoxa. Tunel był najpiękniejszym obiektem archeologicznym, jaki widziała w życiu. Już w miejscu, do którego dotarła, był dłuższy od podobnego przesmyku w zatopionym mieście Apollonia.

Gładkie ściany wykonane przez człowieka przeszły nagle w chropawe, naturalne jaskinie, które zwały się i rozszerzały. Przejście meandrowało i odgałęziało się w węższe korytarze. W poczyniałych od sadzy ścianach umieszczono zamocowania latarni. Ci, którzy wywiercili tunel, powiększyli naturalną jaskinię i stworzyli sztuczną. Nina podziwiała umiejętności i determinację martwych od wieków budowniczych tuneli z epoki brązu.

Tunel znów się rozszerzył, a jego ściany zrobiły się gładkie. Zachęcona zielonkawym poblaskiem w przodzie, Nina przecisnęła się nad stertą gruzu. Popłynęła ku światłu, które stawało się coraz jaśniejsze.

W dążeniu do wiedzy pełzała nieraz przez sterty odchodów nietoperzy i po gniazdach, strzeżonych przez zezłoszczone skorpiony. Choć tunel był zadziwiający, nie mogła się doczekać, by z niego wypłynąć. Kiedy się skończył, głośno westchnęła. Popłynęła w górę schodów, minęła zwieńczone łukiem wejście i wydostała się na otwartą, nie zalaną wodą przestrzeń, otoczoną resztkami fundamentów.

Jej zdaniem doktor Knox podejrzewał, co mogło się znajdować w lagunie, ale nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów znaleziska. Nikt by się tego nie domyślił. Opanuj się, dziewczyno. Zbierz myśli. Oszacuj szczegóły. Zaczynaj zachowywać się jak naukowiec, nie jak Huckelberry Finn.

Usiadła na zanurzonej pod wodą kamieniu wysokim na ponad metr i zaczęła rozmyślać nad swym odkryciem. Port stanowił prawdopodobnie wojskowo-handlowy posterunek, dzięki któremu nie musiano wpuszczać w głąb łądu kupców z obcych krajów oraz statków handlowych, przybywających z wojskiem na pokładzie. Nina usłyszała w uchu warczenie – psy sceptycyzmu były głodne jednoznacznych naukowych faktów. Przed sformulowaniem jakichkolwiek ostatecznych wniosków, trzeba zbadać i przeanalizować każdy metr kwadratowy portu.

Zaryzykowała hipotezę, że port zatonał w wyniku przesunięcia płyt tektonicznych. Może w trakcie wielkiego trzęsienia ziemi w dziesiątym roku naszej ery. W tej okolicy trzęsienia ziemi nie były tak częste jak w strefie śródziemnomorskiej, ale się zdarzały. WRRR... Tak, oczywiście. Żadnych wniosków przed zebraniem wszystkich dowodów. Obserwowała wypływające ku powierzchni bąbelki wydychanego przez siebie powietrza i zastanawiała się, czy nie zastosować szybszego sposobu na ustalenie prawdy.

Nina posiadała pewien talent, który wykraczał poza granicę przeciętnych ludzkich umiejętności oraz wymykał się racjonalnemu wyjaśnieniu. Rozmawiała o nim jedynie z kilkoma bliskimi przyjaciółmi. Porównywała się profilerem FBI, który próbuje postrzegać scenę zbrodni jak naoczny świadek. Z czasem wyrobiła w sobie przekonanie, że nie ma w tym nic ze zdolności parapsychicznych. Po prostu wykorzystywała świetną znajomość zagadnień archeologicznych, fotograficzną pamięć i żywą wyobraźnię. Uznała, że jest jak różdżkarz, który za pomocą rozwidlonej gałązki znajduje żyłą wodną.

Odkryła ten talent przypadkowo, w trakcie pierwszego pobytu w Egipcie. Przycisnęła wtedy dłonie do jednego z olbrzymich kamiennych bloków u podstawy wielkiej piramidy Cheopsa. Był to naturalny gest, próba dotykowego pojęcia ogromu niewyobrażalnego ostrosłupa z kamieni. Stało się jednak coś dziwnego i zatrważającego. Wszystkie jej zmysły zostały zaatakowane przez obrazy. Widziała piramidę o połowie wysokości. Poziomą płaszczyznę u góry zapełniały setki smagłych mężczyzn w przepaskach na biodrach. Podciągali wielkie kamienne bloki. Pot na ciałach błyszczał w słońcu. Słyszała okrzyki. Skrzypiały prymitywne rolki, na których przetaczano kamienne bloki. Oderwała dłonie od kamienia, jakby ją oparzył.

Jakiś głos powiedział:

– Przejechać się na wielbłąd, panienska?

Zamrugnęła. Piramida znów wznosiła się wysoko w niebo. Robotnicy zniknęli. Ich miejsce zajął poganiacz wielbłądów. Uśmiechał się szeroko i opierał o łęk siodła.

– Przejechać się na wielbłąd, panienska? – powtórzył. – Dam dobra cena.  
– *Shukran*. Dziękuję. Nie dziś

Poganiacz ze smutkiem skinął głową i odjechał. Nina wzięła się w garść i wróciła do hotelu, gdzie naszkicowała podnośniki z bloków i wielokrażków. Kiedy pokazała rysunek zaprzyjaźnionemu inżynierowi, popatrzył, wymruczał: „Ale pomysłowe...” i spytał, czy może wykorzystać pomysł przy konstrukcji dźwigu, nad którym pracował.

Od czasu pobytu w Gizie miała kilka podobnych doświadczeń. Nie potrafiła tej umiejętności „włączyć” i „wyłączyć”, jak chciała. Gdyby za każdym razem, kiedy brała do ręki artefakt, dostawała międzynarodowy telefon z przeszłości, wylądowałyby w domu wariatów. W pomniejszonej wersji Koloseum w cesarskiej miejscowości wypoczynkowej pod Rzymem, miała tak mocne odczucia bólu i przerażenia, tak żywo widziała krew na piasku i odcięte kończyny, tak wyraźnie słyszała krzyki umierających, że aż zwymiotowała. Przez jakiś czas sądziła wręcz, że postradała zmysły. Nie spała kilka nocy. Może dlatego nie lubiła Rzymian.

Podejrzewała, że miejsce, w którym się znalazła, nie było rzymskim amfiteatrem. Zamiast jednak sprawdzić to, podpłynęła do skraju nabrzeża, położyła dłonie płasko na doskonale pasujących do siebie kamieniach i zamknęła oczy. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak robotnicy portowi wyciągają ze statku amfory z winem i oliwą. Słyszała uderzanie żagli o drewniane maszty. Odetchnęła z ulgą. Skorzystała ze swojego prawa do skrócenia procesu naukowego zbierania danych.

Pstryknęła kilka zdjęć. Była nieco rozczarowana, że nie znalazła wraka statku. Zebrała jeszcze parę pozostałości po wyrobach garncarskich, znalazła zakopaną do połowy kamienną kotwicę i właśnie robiła ostatnie zdjęcia, kiedy w piaszczystym fragmencie dna, dostrzegła kolistą wypukłość.

Podpłynęła i odsunęła piasek na bok. Bryła stanowiła część większej całości. Nina, zaintrygowana, ukłękła i zdjęła więcej piasku. Ujrzała wielki kamienny nos, należący do rzeźbionej twarzy, mierzącej od kanciastego podbródka do szczytu głowy jakieś dwa i pół metra. Nos był płaski i szeroki.

Górze głowy przykrywało coś, co mogło być wielką czaszką albo ściśle przylegającym hełmem. Kamienny osobnik „patrzył wilkiem”. Nina przestała kopać i powiodła palcem po czarnym kamieniu.

Mięsiste wargi były wydęte tak, jakby rzeźba mówiła:

„Dotknij mnie. Mam ci wiele do powiedzenia”.

Nina cofnęła się i wbiła wzrok w kamienne oblicze. Rysy nie zmieniły się. Wytężyła słuch, by znów usłyszeć głos. „Dotknij mnie”. Brzmiał teraz ciszej i ginął w metalicznym bulgocie wydechu przepływającego przez automat.

Dziewczyno, jesteś już zdecydowanie za długo pod wodą.

Nacisnęła zawór i powietrze wpłynęło do kamizelki wypornościowej. Z walącym sercem zaczęła powoli wznosić się w kierunku świata.

## 2

Ogorzały, mocno zbudowany mężczyzna zobaczył Ninę, kiedy podchodziła do kręgu namiotów. Podbiegł do niej z wyciągniętą ręką. Z gardłowym hiszpańskim akcentem Raul Gonzalez zapytał:

– Doktor Kirow, czy mogę pomóc nieść torbę?

– Nie jestem chora. – Nina przywykła nosić sprzęt sama i tak naprawdę wolała mieć go ciągle na oku.

– Ależ to żaden kłopot – powiedział z galanterią Gonzalez, prezentując w całej krasie swój sztuczny uśmiech. Nina była zbyt zmęczona na spory i nie chciała ranić uczuć Hiszpana, więc oddała siatkę. Gonzalez bez najmniejszego wysiłku podniósł ciężki bagaż. – Niezły połów – skomentował.

Nina starła pot z oczu i łyknęła ciepłej cytrynowej *gatorade*. Nie należała do profesorów chodzących z głową w chmurach. Doskonale wiedziała, co się wokół niej dzieje. Archeologia, gdzie koralik albo guzik może się okazać znaczącym odkryciem, wyczuliła ją na dostrzeganie najdrobniejszych szczegółów. Nie umiała jednak rozpracować Gonzaleza. Zaobserwowała u niego pewne nieświadome reakcje. Przyłapała go na przykład na tym, że się jej przygląda. Uśmiechał się wtedy, szczerząc wielkie zęby. Był przy tym jakby nieobecny duchem, a jego wielkie oczy wyglądały pod mięsistym czołem jak kulki marmuru. Nina, niewątpliwie atrakcyjna kobieta, często ściągła na siebie ukradkowe spojrzenia mężczyzn, ale Gonzalez obserwował ją bacznie niczym lew gazelę. I wydawał się wszechobecny. Ciągle zaglądał ludziom przez ramię. Nie tylko Ninie. Prześladował każdego członka ekspedycji.

Radość Niny z dokonanych odkryć nieco zagłuszyła zwykłą ostrożność.

– Tak, dziękuję bardzo – odparła. – Rzeczywiście niezły.

– Niczego innego bym po tak znakomitej uczonej nie oczekiwał. Już się nie mogę doczekać szczegółów. – Zaniósł siatkę do namiotu Niny, położył

bagaż na ziemi przed wejściem, po czym zaczął krążyć po obozie niczym inspektor generalny w trakcie kontroli.

Gonzalez zwykle opowiadał, że przeszedł na wczesną emeryturę dzięki pieniądзом zarobionym na handlu nieruchomościami w południowej Kalifornii. Mówił, że nareszcie może oddać się swej wielkiej amatorskiej miłości do archeologii. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Miał kilka centymetrów wzrostu mniej od Niny i nabite, silne ciało. Szesane do tyłu włosy oliwił, przez co jego głowa przypominała wypolerowaną czarną kulę do gry w kręgle. Dołączył do ekspedycji poprzez Time-Quest, organizację zajmującą się umieszczaniem płacących wolontariuszy w ekspedycjach archeologicznych. Każdy, kto dysponował kilkoma tysiącami dolarów, mógł zafundować sobie tydzień przerzucania dziecięcą łopatką piasku przez sito. Oparzenia słoneczne trzeciego stopnia były dokładane bez dodatkowych opłat.

Licząc Ninę Kirow i doktora Knoxa, w ekspedycji uczestniczyło dziesięć osób. Wśród członków wyprawy, oprócz Gonzaleza, znajdowali się też państwo Bonnellowie, para starszych Amerykanów z Iowy. Ku ubolewaniu Niny, w archeologicznej przygodzie brał również udział nieznośny doktor Fisel z marokańskiego Departamentu Antyków, podobno kuzyn króla. Ekipę uzupełniali: młody asystent Fiseła, Kassim, jego kucharz oraz dwóch berberyjskich kierowców, którzy pracowali na dwa etaty, ponieważ pomagali przy kopaniu.

Członkowie ekspedycji zebrali się z różnych stron świata w miejscowości Tarfaya, porcie przeładunkowym ropy naftowej na wybrzeżu, blisko południowej granicy kraju. Rząd marokański pożyczył od jednego z towarzystw naftowych trzy dziewięciomiejscowe samochody marki Renault. Minibusami zawieziono ludzi i sprzęt na stanowisko badawcze.auta bez większego trudu pokonały zapyłone, ale znajdujące się w niezłym stanie drogi, które ciągną się setkami kilometrów wzdłuż niziny nad oceanem.

Nawet w dzisiejszych czasach większość tej krainy jest bezлюдna.

Wyjątek stanowią rozrzucone tu i ówdzie niewielkie osady Berberów. Terytorium pozostawało praktycznie dziewicze do czasu, aż Mobil i inne koncerny naftowe zaczęły poszukiwać na lądzie ropy naftowej.

Obóz rozbito na spalonej słońcem ziemi za wydmami, na polanie, której skraj zajmowały opuncje. W głębi lądu teren zaczynał się wznosić i w oddali przechodził w płaskowyż. Kilka nędznych drzew oliwkowych wysysało z suchej ziemi dość wilgoci, by wieść nieszczęsną egzystencję. Rzucany przez nie cień był doprawdy symboliczny. Obozowisko leżało niedaleko stert gruzu i obalonych kolumn, wśród których prowadzono wykopaliska ziemne.

Nina podeszła do jednej z kolorowych kopuł, ustawionych kręgiem na płaskim kawałku piasku. Zmyła sól z twarzy, przebrała się w czyste szorty i bawełniane podkoszulek. Wzięła szkicownik i usiadła przed namiotem w składanym foteliku. Wykorzystując popołudniowe światło, zaczęła rysować

wać to, co odkryła. Gdy ludzie wrócili z pracy, zdążyła już zapełnić rysunkami kilka kartek.

Na szortach i koszuli khaki Knoxa widniały kręgi potu i pyłu. Kolana miał podrapane do krwi od pełzania po gołej ziemi. Jego nos nabrał koloru krewetki, a skóra zaczynała się łuszczyć. Przemiana z człowieka z akademickich korytarzy była niesamowita. Knox na sali wykładowej zawsze nie-nagannie ubrany, w terenie rzucał się w wykopy jak dzieciak do piaskownicy. W tropikalnym kasku, szerokich, nieforemnych szortach i z epoletami na chudych ramionach wyglądał, jakby zszedł z kart starego wydania „National Geographic”.

– Co za dzień... – powiedział ze złością i zdjął kask. – Zaczynam wierzyć, że nim znajdziemy cokolwiek starszego od powstania Rifenów, trzeba będzie usunąć kolejne pięć metrów ziemi! A jeśli wydaje się pani, że praca ze mną to ciężka próba charakteru, proponuję towarzystwo tego nadętego dupka Fisela. – Radość z uczestnictwa w wykopaliskach, która pobrzmiwała w jego głosie, przeczyła zrzędzeniu. – Cóż, pani wygląda na zadowoloną – dodał oskarżycielskim tonem. – Jak było? Nieważne, widzę w pani oczach. Proszę szybko o wszystkim opowiedzieć, Nino, inaczej zadam pani karne prace domowe.

Ninie przypomniały się czasy studenckie. Dostrzegła szansę zemścić się za delikatne drwiny, które musiała znosić na sali wykładowej.

– Nie chciałby się pan przedtem odświeżyć?

– Nie, nie chciałbym. Na Boga, niech pani nie będzie sadystką, młoda damo. Wcale z tym pani nie do twarzy.

– Pobierałam nauki u dobrego nauczyciela – odparła z uśmiechem. – Niech pan nie traci nadziei, profesorze. Proszę przysunąć sobie krzesło, naleję nam po szklance mrożonej herbaty i przedstawię wszystko po kolei.

Nie minęło wiele minut, a Knox siedział obok Niny i uważnie słuchał z przekrzywioną głową. Opisała wyniki swych badań od momentu wejścia do wody. Pominęła jedynie odkrycie rzeźbionej głowy. Perspektywa rozmowy na ten temat wywoływała u niej dziwne uczucie. Może później porozmawiają o kamiennym obliczu.

W trakcie jej monologu Knox się nie odzywał. Nie wytrzymał tylko raz, kiedy zrobiła przerwę, by zaczerpnąć powietrza. Niecierpliwie wyrzucił z siebie:

– Wiedziałem, wiedziałem! Tak... tak, proszę mówić dalej.

– To wszystko – powiedziała na koniec.

– Dobra robota. Wnioski.

– Sądzę, że to bardzo stary port.

– Oczywiście, że stary – odparł z udawanym oburzeniem. – Wiem to od momentu obejrzenia zdjęć lotniczych pani stawu, wykonanych przez koncern naftowy. Każda duperela w promieniu stu metrów od nas pamięta zamierzchłe czasy. Pytanie brzmi: jak stary jest port?

– Niech pan nie zapomina o głodnych psach sceptycyzmu – przypomniała. Knox zatarł dłonie. Ta gra bardzo mu się podobała.

– Załóżmy na chwilę, że hycel wyłapał te irytujące stwory i przez jakiś czas będą szczęśliwie marnieć w schronisku. Jakie, droga damo, byłoby w tym przypadku pani uczone przypuszczenie?

– Przy pańskim założeniu powiedziałabym, że mamy do czynienia z fenickim posterunkiem wojskowo-handlowym. – Podała mu szkielet i znalezione kawałki glinianych naczyń.

Knox przyjrzał się skorupom, z miłością przeciągał palcami po nierównych brzegach. Potem odłożył znalezisko i przejrzał rysunki. Wydymał wargi, przez co wąsy aż tańczyły mu na górnej wardze.

– Moim zdaniem – rzekł w końcu z ewidentną, choć melodramatyczną rozkoszą – powinniśmy opowiedzieć pani historię szacownemu panu Fiselowi.

Gamiel Fisel siedział pod wielkim parasolem. Krzesło było praktycznie niewidoczne pod kulistym cielskiem. Doktor miał na sobie buty i koszulę koloru ciemnej opalenizny oraz podobnej barwy cerę, dlatego wyglądał jak wielkie, pokryte karmelem jabłko. Na tacy przed nim leżały bezładnie rzuczone odłamki wykopanych glinianych naczyń. Kiedy Knox i Nina podeszli, oglądał jeden z fragmentów przez szkło powiększające rodem z filmu z Sherlockiem Holmesem. U boku doktora stał Kassim, asystent, młodzieniec o miłej powierzchowności, podobno student, który wcześniej pełnił u Fisela funkcję chłopca do podawania herbaty.

– Dobry wieczór, doktorze Fisel. Doktor Kirow dokonała dziś kilku ciekawych obserwacji – zaczął Knox z nie skrywaną dumą.

Fisel podniósł głowę tak, jakby właśnie na czubku nosa wyładował mu irytujący moskit. Obecność przedstawicielek płci pięknej na stanowisku archeologicznym nie była mu obca, bo w Maroku wiele kobiet pracuje. Nie umiał jednak pogodzić się z faktem, że jakaś niewiasta dorównuje mu stopniem akademickim, a na dodatek przewyższa go przynajmniej o trzydzieści centymetrów. Ponieważ nie nurkował, był w części podwodnej stanowiska zdany na łaskę Niny, a nie lubił nie mieć nad czymś pełnej kontroli.

Nina dołała oliwy do ognia.

– Sądzę, że znajdował się tu niewielki, ale ważny port fenicki.

– Jeszcze herbaty, Kassim – polecił Fisel. Młody służący pognął do obozowej kuchni. Doktor odwrócił się do Knoxa, jakby w ogóle nie dostrzegał Niny. – Pańska asystentka ma bujną wyobraźnię. Z pewnością poinformował ją pan, że na głównym stanowisku wydobyto artefakty greckie i rzymskie. – Mówił szybko i nerwowo, wystrzeliwał zdania niczym serie z pistoletu maszynowego.

Nina długo się powstrzymywała, w końcu jednak nie wytrzymała.

– Po pierwsze nie jestem asystentką doktora Knoxa, tylko koleżanką po fachu – oznajmiła lodowato. – Po drugie, nie wątpię w obecne tu wpływy

grecko-rzymskie, ale główna tutejsza działalność odbywała się nie na suchym lądzie, lecz w wodzie. I była fenicka. – Szkicownik wylądował na stole. Nina zaczęła stukać palcem w rysunek *cothonu*. – Tylko Fenicjanie wycinali takie sztuczne porty w stałym lądzie. Uważam, że datowanie tych fragmentów poprze moją teorię.

Wysypała z wozeczka odłamki naczyń. Nie przejmowała się, że mogą się pomieszać z pozostałymi. Fisel bez pośpiechu obejrzał jeden z kawałków, potem zbadał następny. Po kilku minutach podniósł głowę. W jego wilgotnych brązowych oczach za grubymi szklami widać było zachwyty. Robił jednak, co mógł, by nie okazać podniecenia.

Odchrząknął i zwrócił się do Knoxa:

– Z pewnością nie zamierza pan uznać tego za ostateczny dowód teorii doktor Kirow.

– Oczywiście, że nie, doktorze Fisel. Trzeba wykonać jeszcze mnóstwo pracy. Doktor Kirow zdaje sobie z tego sprawę tak samo, jak i my. Musi pan jednak przyznać, że to intrygujący początek.

Fisel najwyraźniej uznał, że Knox nie popiera Niny w stu procentach, bo jego naburmuszona mina nieznośnego doktora przemieniła się w czarna-stokaratowy uśmiech.

– Muszę powstrzymać się od wyrażania jakichkolwiek opinii, dopóki nic nie zostanie udowodnione.

Przyszedł Kassim z filiżanką gorącej herbaty. Fisel skinął głową i wziął do ręki szkło powiększające. Audiencja u kuzyna króla została zakończona.

Kiedy oddalali się od namiotu Fiseła, Nina gotowała się ze złości.

– Gówniarz! Doskonale wie, że mam rację.

Knox zachichotał.

– Podejrzewam, że w pełni zgadza się z wnioskami wynikającymi z pani odkryć i nie będzie marnował ani chwili, by o nich donieść.

Nina złapała profesora za ramię i popatrzyła mu prosto w zapiaszczoną twarz.

– Nie rozumiem. Po co w takim razie ten teatr?

– Przecież to jasne jak słońce. Doktor Fisel zamierza sobie przypisać odkrycie fenickiego portu.

– O to chodzi! – Odwróciła się i popatrzyła w kierunku namiotu Fiseła. – Jeśli sądzi, że uda mu się...

– Spokojnie, moja droga. Obiecałem, że wszystkie odkrycia podwodne pójdą na pani konto i zamierzam dotrzymać słowa. Niech pani nie zapomina, że to my mamy wszystkie mocne karty. Jest pani jedyną osobą w ekspedycji, która umie nurkować.

– Może sprowadzić innych nurków.

– Oczywiście. Choć jest niski, tłusty, łysy i krótkowzroczny, ma co położyć na szali w Departamencie Antyków. Dosłownie i w przenośni. Jeśli zechce, może sprowadzić każdą pomoc techniczną. Zanim to jednak nastą-

pi, proszę skończyć szkice, poklasyfikować znaleziska i kontynuować badania metodami naukowymi.

Nina w dalszym ciągu nie była przekonana.

– A jeśli zechce powstrzymać mnie przed nurkowaniem?

– To jest ekspedycja łączona. Mam taką samą jak on władzę decyzyjną. Dopóki nie uzyska określonych przywilejów, nie przekroczy pewnych granic. Dlatego obecny stan potrwa na pewno jeszcze kilka dni. Jeżeli sądzi pani, że nasze urzędasz są na światowym poziomie, radzę sobie przypomnieć, że Maroko od dawna znajduje się pod silnymi wpływami Francuzów, którzy ukuli termin „biurokrata”. Otoczę Fisela specjalną opieką, chciałbym jednak poprosić panią o jedną, bardzo trudną rzecz. Czy nie mogłaby pani oddać jemu części zasługi za swe odkrycie? Oczywiście, jeśli port okaże się faktycznie fenicki. W końcu kopiami w kraju Fisela. Może doktor miał fenickich przodków.

Nina uspokoiła się już i pozwoliła sobie na śmiech.

– Ma pan rację. Przepraszam za mój wybuch. To był bardzo długi dzień.

– Nie musi pani przepraszać. Wiem, że Fisel jest draniem. Muszę mu przypomnieć, że jeśli nie będzie z nami współpracował, zasługę za odkrycie przypisze sobie któryś z jego przełożonych.

Nina podziękowała profesorowi, pocałowała go w policzek i wróciła do namiotu. Pracowała nad rysunkami do dzwonka na kolację. Podczas posiłku Fisel unikał jej wzroku. Główną rolę przy stole grało małżeństwo z Lowy. Państwo Bonnellowie wykopali nie zniszczoną rączkę od naczynia na wodę. Nikt nie zwracał uwagi na Ninę, która wkrótce z powrotem udała się do swojej siedziby.

Kiedy skończyła pisać w notebooku raport, przysunęła szkicownik do światła i cyfrową kamerą zrobiła kilka fotografii swoich rysunków. Zdjęcia wczytała do komputera – były idealnie ostre.

– No, Fisel, zobaczmy, jak sobie poradzisz z tym...

Komputer był podłączony do niewielkiej walizeczki z telefonem satelitalnym. Zasilane ogniwem słonecznym urządzenie kosztowało fortunę, ale dzięki niemu Nina miała kontakt z bazą z każdego punktu na kuli ziemskiej. Wystukała numer i posłała elektroniczny pakiet z tekstem i zdjęciami w eter. Krążący po niskiej orbicie satelita komunikacji globalnej, Inmarsat, z prędkością światła przekazał dane do bazy danych Uniwersytetu Pensylwanii.

Nina wyłączyła komputer, zadowolona, że raport i zdjęcia są już bezpieczne. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że nawet na autostradzie informatycznej istnieje odpowiednik niebezpiecznego zbieżności z drogi.

### 3

Pomieszczenie bez okien, które znajdowało się niedaleko szczytu szklanego biurowca, patrzącego z góry na spokojne wody rzeki San Antonio, nie istniało na oficjalnych planach budynku. Nawet inspektorzy miejscy nie mieli o nim pojęcia. Monterzy dźwiękoszczelnych ścian, oddzielnej instalacji elektrycznej i sterowanych głosem zabezpieczeń w drzwiach zostali so-wicie opłaceni, by trzymać język za zębami. Jeśli któryś uznał, że wstawianie tajnych drzwi do kabiny prysznicowej prywatnej łazienki jest dziwne, zachowywał tę opinię dla siebie.

Wystrój był klinicznie funkcjonalny, niczym w laboratorium. Beżowe ściany świeciły pustką. Tylko pod jedną stał szereg ogromnych monitorów komputerowych i twardych dysków, sejf na dokumenty oraz centralnie ustawiony stół do pracy. Przed komputerem siedział mężczyzna. Twarz o twar-dych rysach oświetlało zimne światło, padające z wielkowymiarowego mo-nitora. Mężczyzna przesunął kilka stron tekstu i zdjęć, po czym zatrzymał się na serii rysunków.

Kliknięciem myszki powiększył jeden ze szkiców i przeniósł go w róg ekranu. Twarde błękitne oczy starannie oceniły każdy szczegół. Mężczyzna zapisał grafikę na dyskietce i zazaczył ikonę drukowania. Kiedy szybka drukarka zaczęła pracować, włożył dyskietkę do koperty i schował do sejfu. Wydruki wsadził do dużej szarej koperty, wziął ją do ręki, wyszedł przez kabinę prysznicową, innymi drzwiami dostał się do swego gabinetu i wci-snął przycisk interkomu.

– Potrzebuję kilka minut. Jak najszybciej – powiedział do mikrofonu.

– Ma w tej chwili czas – poinformował kobiecy głos. – Dziesięć minut między dwoma spotkaniami.

Mężczyzna wyszedł z biura z teczką na akta w dłoni i ruszył labiryntem wyłożonych dywanami korytarzy. Był wysoki, miał trochę ponad metr osiem-

dziesiąt wzrostu. Dawno przestał być młodzieniaszkiem, ale dojrzały wiek zdradzały tylko krótko ostrzyżone siwe włosy i lekko przygarbione muskularne ramiona. Dzięki spartańskiemu reżimowi dietetycznemu i sportowemu jego atletyczne ciało w dalszym ciągu było elastyczne i twarde jak skała. Ponieważ rzadko się uśmiechał i nieczęsto marszczył czoło, okolice oczu i ust pozostawały stosunkowo gładkie – jakby mężczyzna przeszedł lifting i naciągnięto mu skórę pokrywającą kwadratową szczękę i wysokie kości policzkowe.

Na piętrze znajdowały się biura administracji firmy; dostęp do nich miały jedynie osoby, których linie papilarne i wzorce głosów zakodowano w specjalnych czytnikach przy drzwiach. Wszystkie pomieszczenia robocze umieszczono na innych piętrach. Pierwszych ludzi dostrzegł dopiero, kiedy wszedł do wielkiej hali recepcyjnej.

Wysokie pomieszczenie pomalowano i urządzono w kolorach „ekologicznych” – palonej czerwieni, brązach i przygaszonych zieleniach. Na podłodze i ścianach powtarzał się stylizowany, pochodzący ze sztuki indiańskiej wzór ze strzał i rombów. Ścianę za recepcjonistką zdobiło nieco abstrakcyjne malowidło. Postacie o brązowej skórze spletały się z gigantycznymi piórami ptaka quetzala w tak skomplikowany sposób, że trudno było powiedzieć, czy obraz przedstawia składanie ofiary z człowieka, czy cocktail party. Recepcjonistka – nieświadoma rozgrywającego się tuż za jej plecami dramatu – siedziała za biurkiem, które jakby unosiło się na morzu dywanu w kolorze palonego pomarańcza.

Mężczyzna stanął przy blacie i bez słowa popatrzył w kierunku masywnych drzwi z ciemnego drewna, pokrytych płaskorzeźbami przedstawiającymi dziesiątki poskręcanych postaci, dręczonych w piekle, jak wyobrażał je sobie wiejski artysta.

– Pan Halcon chce się z panem widzieć – oznajmiła recepcjonistka, kobieta w średnim wieku, wybrana na to stanowisko z powodu bylejakości w wyglądzie, skuteczności w pracy i niekwestionowanej lojalności.

Rzeźbione drzwi wiodły do gabinetu. Pomieszczenie zajmowało róg budynku i było niemal tak wielkie jak hala recepcyjna. Także i tu powtarzały się motywy zdobnicze z Ameryki Środkowej. Halcon stał przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie, plecami do wejścia.

– Sir, gdyby miał pan chwilę...

Halcon odrobinę się odwrócił, prezentując orli nos, wystający z bladej, wąskiej twarzy.

– Niech pan podejdzie, Guzman.

Guzman przeszedł przez gabinet i zatrzymał się obok młodszego od siebie mężczyzny. Halcon miał czterdzieści parę lat i przewyższał Guzmána o jakieś pięć centymetrów. Był ascetycznie chudy i wyglądał niemal delikatnie. Jednak tak jak w przypadku wszystkich innych jego cech, wygląd mylił. By lepiej wypełniać rolę biznesmena, Halcon dawno obciął kucyk matadora, zgolił baki à la Valentino i odłożył migoczący cekinami

strój z areny. Ale pod uszytym u drogiego krawca garniturem w dalszym ciągu krył się okrutny matador, Jastrząb, który dzięki nieprawdopodobnej szybkości i sile uśmiercił dziesiątki odważnych byków. Jeśli istniało cokolwiek, na co mogliby się skarżyć miłośnicy walki byków, którzy śledzili jego krótką, ale znakomitą karierę, to jedynie fakt, że Jastrząb zabijał z mechaniczną skutecznością, w sposób pozbawiony pasji. W innej epoce pewnie zostałby siejącym śmierci rycerzem, a jego klinga nie zatapiałaby się w sercach byków, lecz ludzi.

– Wie pan, dlaczego zdecydowałem się umieścić ten gabinet w tak szczególnym miejscu, Guzman?

– Gdybym miał odważyć się zgadywać, don Halcon, powiedziałbym, że jest stąd dobry widok na wiele dóbr należących do pańskiej firmy.

Halcon zachichotał.

– Szczera odpowiedź i zawsze takiej się spodziewam od byłego opiekuna, ale niezbyt mi pochlebia. Nie jestem średniowiecznym władcą, dogłdającym z zamku swych pól.

– Proszę wybaczyć, don Halcon. Nie zamierzałem pana obrazić.

– Nie obraziłem się. To naturalne przypuszczenie, tyle że błędne. – Uśmiech Halcona zniknął, a słowa zaczęły płynąć ze spokojem i równoczesną twardością. Niebezpieczni ludzie często nadają swemu głosowi taki właśnie ton. – Wybrałem to miejsce na gabinet z jednego powodu: widok na Mission San Antonio de Valero stale mi przypomina, co było, co jest i co będzie. – Wskazał ręką na rozciągające się w dole miasto, widoczne w perspektywie przez wielkie przyciemniane okno. – Często tu staję i rozmyślam, w jaki sposób bieg historii skręca w nieoczekiwanym kierunku, zmieniany działaniami kilku ludzi. Bitwa o Alamo przyniosła porażkę obrońcom, ale stała się początkiem końca Santa Anny. Został pojmany pod San Jacinto, a dzięki jednemu decydującemu starciu Teksas oderwał się od Meksyku. Ta lekcja historii jest chyba jasna, prawda?

– Nie po raz pierwszy śmierć męczennika strąciła możnych z piedestału.

– Właśnie. I nie po raz ostatni. Historia lubi się powtarzać. W Alamo tysiąc ośmiuset obrońców walczyło z sześcioma tysiącami meksykańskich żołnierzy i dowiodło, że zdeterminowana mniejszość może zmienić świat. – Przerwał. Spoglądał na panoramę miasta. Po jakimś czasie odwrócił się do Guzmána jak człowiek wyrwany ze snu. – Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

– Pojawiła się pewna ważna sprawa, sir. Właśnie przejąłem przekaz z Maroka do Uniwersytetu Pensylwanii. – Podał Halconowi teczkę.

Halcon przejrzał materiały, zatrzymał się dłużej przy szkicu i w końcu mruknął:

– Zdumiewające. – Podniósł wzrok. – Nie może być pomyłki?

– Nie. System nadzorczy jest niezawodny. Jak pan wie, każda ekspedycja archeologiczna na świecie przysyła do naszej fundacji Time-Quest proś-

by o dofinansowanie i o wolontariuszy. Priorytet otrzymują najpoważniejsze zgłoszenia. Komputery automatycznie przejmują wszystkie przekazy ze stanowisk polowych do macierzystych baz ekip i sprawdzają, czy informacje zawierają kluczowe hasła, fakсы, telexy oraz e-maile.

– Los Hermanos ma na miejscu obserwatora?

– Tak. Jest tam Gonzalez.

– Znakomicie. Wie, co ma robić?

Guzman skinął głową i cicho stuknął obcasami. Kiedy odwrócił się, by odejść, zdawało się, że jego usta drgnęły w krzywym uśmiechu. Było to jednak tylko złudzenie optyczne i gra cienia, rzucanego przez białą bliznę, która biegła od prawej kości policzkowej do kącika ust.

## 4

Nina przyłożyła aparat do maski na twarzy, umieściła podbudówkę w wizjerze i nacisnęła przycisk migawki na wodoszczelnej obudowie. Silnik w aparacie cicho zaszumiał. Było to ostatnie zdjęcie, jakiego potrzebowała do fotomozaiki. Nareszcie.

Szybkim, ostrym wydmuchnięciem powietrza wypchnęła wodę z fajki. Spokojnymi ruchami, na boku, popłynęła w kierunku schodów. Sporządzenie mapy dna w pojedynkę było nużące. Najpierw wyrzuciła szereg niedużych, kulistych bojek w taki sposób, że każde cztery tworzyły kwadrat tej samej wielkości. Potem podpływała do każdego, przystawiała aparat i fotografowała. Raz za razem. W głowie miała już plan portu. Gdyby jakimś cudem woda nagle opadła, Nina mogłaby chodzić po starym nabrzeżu z zawiązanymi oczami i ani nie wpadłaby na żadną ścianę, ani nie spadła do *pisciny* albo *cothonu*.

Zmontowanie dziesiątek zdjęć w jedną mapę da wspaniały efekt. Robiąc zdjęcia, próbowała – przy wykorzystaniu bojek i charakterystycznych punktów terenu – dopasować je do siebie poprzez odpowiednie ustawienie aparatu. Był to dość prymitywny system, ale na razie musiał wystarczyć. Nina nie dążyła do naukowej precyzji. Chciała uzyskać w zdjęciach dramatyczny ładunek, który spowoduje, że dysponujące funduszami ekspedycji liczykropy o zaciśniętych pięściach zaczną marzyć o tytułach na pierwszej stronie „USA Today”, reportażach w „Time” i „Unsolved Mysteries”.

Wciągnęła się na schody i zdjęła sprzęt. Kiedy się wycierała, patrzyła na lagunę i postanowiła zaczekać z usunięciem bojek do jutra. Uznała, że jeśli spędzi jeszcze kilka minut w wodzie, pomarszczy się jak rodzynek. Wkrótce różnym krokiem maszerowała ścieżką do obozowiska. Miała powód do zadowolenia. W niedługim czasie wykonała niesamowitą ilość pracy.

Ekipa nie wróciła jeszcze z wykopalisk. Obóz był pusty. Prawie. Kiedy się zbliżała do namiotów, dostrzegła na skraju ich kręgu Gonzaleza. Rozma-

wiał z kimś siedzącym w dziapie. Kiedy dotarła na miejsce, samochód odjechał. Nie dostrzegła kierowcy.

– Kto to był? – spytała patrząc na chmurę pyłu, którą wznosiły koła oddalającego się dziapa.

Mechaniczny uśmiech Gonzaleza pojawił się tak szybko, jakby ktoś naciśnął odpowiedni przycisk.

– Ktoś, kto zgubił drogę. Wyjaśniłem, jak ma jechać.

Ktoś kto zgubił drogę? O czym ten człowiek gada? Nie byli w miejscu, do którego się dociera przez pomyłkę. Obóz leżał wiele kilometrów od jakiegokolwiek innego celu podróży. Odludna kraina mogła przyciągnąć jedynie garstkę zwariowanych archeologów. Kiedy zobaczyła człowieka w dziapie, pomyślała z początku, że został wezwany przez Fisela. Niny nie przekonało wyjaśnienie Gonzaleza, ale poczuła ulgę.

Przy śniadaniu doktor Fisel oznajmił, że oczekuje w ciągu kilku dni przybycia marokańskich nurków. Z naciskiem „poradził” Ninie prowadzić badania tak, by nie został naruszony naturalny stan miejsca poszukiwań. Pochyliła się tuż nad doktorem, popatrzyła mu w oczy i stwierdziła, że aparat fotograficzny nie jest chyba instrumentem inwazyjnym. Powiedziała to cicho, ale z lodowatą furią. Profesor Knox skarżył się potem, iż porobiły mu się na wąsach sople. Fisel afektowanie przypomniał wszystkim o odpowiedzialności, jaką ponosi wobec swego kuzyna – króla. Potem wycofał się rakiem, nieprzekonująco przepraszając, że jedynie zależy mu na zachowaniu stanowiska w nienaruszonym stanie.

Nina w duchu przyznała, że sama też kręci. Usuwała z portu artefakty, co było dużym wykroczeniem, zwłaszcza że nie powiedziała o tym ani Knoxowi, ani Fiselowi. Nieznośny doktorek nie został również poinformowany o wysłaniu wstępnych wyników badania portu do cybersejfu Uniwersytetu Pensylwanii. Kamienna głowa pozostawała w dalszym ciągu sekretem. Nina próbowała zrationalizować nietypowe dla siebie zachowanie. W końcu doszła do wniosku, że drastyczne czasy każą stosować drastyczne środki.

Kassim, chłopak Fisela od herbaty, przyjacielsko jej pomachał. Był tępy jak kołek w płocie, ale kiedy się go bliżej poznało, okazywał się niezłym dzieciakiem. Rozkoszując się spokojem, Nina weszła do namiotu, zdjęła kostium kąpielowy i włożyła suche ubranie. Włączyła komputer. Natychmiast dostrzegła miganie ikony e-maila. Poczta pochodziła od doktor Elinor Sanford, wykładowczyni Uniwersytetu Pensylwanii, do której Nina wysłała komputerowy przekaz.

Przed rozpoczęciem specjalizacji, Sandy Sanford i Nina studiowały na jednym roku. Sandy zajęła się Ameryką Środkową. Wyjaśniała, że podjęła taką decyzję bardziej ze względu na środkowoamerykańską kuchnię niż na zagadnienia kulturowe. Od *kuskus* wołała *burritos*. Można było dyskutować nad jej gustami kulinarnymi, ale styl wykładania nie pozo-

stawiał żadnych znaków zapytania. Właśnie została przez wydział archeologii mianowana kustoszem muzeum uniwersyteckiego. Nina przeczytała wiadomość:

Gratulacje, Nino! Nie musisz przynosić głowy Hannibala, by przekonać mnie, że odkryłaś fenicki port. Z chęcią pokazałabym Twój wspaniały materiał dinozaurom krążącym po akademickich salach zalatujących sztywnością umysłową. Mogłoby to wywołać kolejną wojnę punicką! Oczywiście spełnię Twoje życzenie i zachowam dyskrecję. Co na to wszystko El Grando Professore? Nie mogę się doczekać wspólnego spotkania. Nie przemoknij zbytnio. Całuję, Sandy.

Był jeszcze dopisek.

PS. Narysuj jeszcze raz wielką kamienną głowę. To żart, prawda? Wiem, sprawdzasz mnie. Zajrzyj do swojego faksu.

Nina włączyła faks. Na ekranie pojawiło się zdjęcie kamiennej twarzy. Z początku sądziła, że przedstawia rzeźbę z dna laguny, ale kiedy przesunęła stronę, okazało się, że jej szkic umieszczono dla porównania poniżej. Wbiła wzrok w obraz. Rzeźby były identyczne. Zaczęła przeglądać dalej – pojawiły się następne kamienne głowy. Wszystkie mogły pochodzić spod dłuta tego samego rzeźbiarza. Pomijając drobne różnice w szczegółach, głównie w ozdobach hełmów, każda twarz miała to samo spojrzenie, bardzo podobny szeroki nos i identyczne beznamiętne mięsiste usta. Pod zdjęciami znajdowała się kolejna notatka od Sandy:

Witam ponownie! Z przyjemnością przedstawiam jedną z najdłużej nie rozwiązanych tajemnic środkowoamerykańskich. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku z Narodowego Towarzystwa Geograficznego oraz Instytutu Smithsonian wyruszyła do Meksyku ekspedycja, by wyjaśnić pogłoski o zakopanych po brwi gigantycznych bazaltowych głowach. Na trzech stanowiskach w La Venta, świętym ośrodku kultury Olmeków, znaleziono jedenaście podobnych kamiennych głów, przedstawiających ludzi w typie afrykańskim. Niecałe trzydzieści kilometrów od brzegów Zatoki Meksykańskiej. Miały od dwóch do trzech metrów wysokości, ważyły do czterdziestu ton. Niezłe, jeśli weźmie się pod uwagę, że kamieniołom znajdował się w odległości dwudziestu kilometrów i rzeźby transportowano łądem bez pomocy pojazdów kołowych i zwierząt pociągowych. Wszystkie głowy miały śmieszny hełm, upodabniający wyciosanych mężczyzn do futbolistów z NFL. Oszacowano, że kolosy powstały między osiemsetnym a siedemsetnym rokiem przed naszą erą. Powiedz mi – dlaczego taka miła dziewczyna, jak ty robi średnio wesołe dowcipy na temat Ameryki Środkowej?

Nina wystukała zwięzłą odpowiedź:

Dzięki za informacje. Bardzo ciekawe! Powinam być w domu w przyszłym tygodniu. O wszystkim wtedy opowiem. Całuję, Nina.

Wcisnęła przycisk WYŚLIJ, wyłączyła notebook i opadła na oparcie krzesła. Zadziwiająca!

Olmecka głowa! Spokojnie, droga pani. Przyjrzyj się faktom. Kamienna głowa, którą znalazłaś, ma cechy afrykańskie. Cóż wielkiego – w końcu jesteśmy w Afryce. Oczywiście nie wyjaśnia to podobieństwa do rzeźb z Meksyku, znalezionych tysiące kilometrów stąd. Cóż, głowy z La Venta mogły zostać wyrzeźbione w Afryce i przewiezione do Meksyku. Nieprawdopodobne. Nie przy wadze czterdzieści ton sztuka. Następna teoria nie była wiele lepsza. Jedną spośród głów z La Venta, wyrzeźbioną w Meksyku, przewieziono do Afryki. Tak czy owak, pozostawał problem wieku – jeśli datowanie było prawidłowe, głowy wykonano setki lat przed przepłynięciem błękitnego oceanu przez Kolumba.

Jezu – pomyślała Nina – myślę jak dyfuzjonistka!

Spojrzała przez ramię, jakby ktoś mógł podsłuchać jej myśli. Archeolog „głównego nurtu”, który przyznałby się do tego, że dopuszcza prawdziwość teorii dyfuzjonistycznej, w tym samym momencie kupiłby sobie bilet w jedną stronę na pociąg z napisem „zapomnienie”. Dyfuzjoniści uważają, że kultury nie ewoluowały w izolacji od siebie, lecz przeniknęły z jednych obszarów do drugich. Podobieństwa między Starym a Nowym Światem zawsze intrygowały Ninę. Miłośnicy UFO i Atlantydy jeszcze bardziej gmatwali sprawę. Sugerowali, że piramidy i rysunki na płaskowyżu Nazca są tworem Obcych z kosmosu albo istot z zaginionych kontynentów. Kobieta-dyfuzjonistka byłaby w jej fachu podwójnie przegrana. I tak jako kobieta miała dość problemów w światku opanowanym przez mężczyzn.

Dyfuzjonizm nigdy nie był w stanie pokonać zasadniczej przeszkody: brakowało mu naukowo zweryfikowanych dowodów, które potwierdzałyby kontakty między półkulą zachodnią a wschodnią przed Kolumbem. Można sobie gadać o podobieństwach między egipskimi piramidami, kambodżańskimi świątyniami i kopcami, ale jeszcze nikt nie odkrył ani jednego łączącego je artefaktu. Do dziś. O Boże...

To odkrycie narobi zamieszania jak cholera. Może się okazać największym znaleziskiem od otwarcia komory grobowej faraona Tutanchamona. Wszystko zostanie postawione na głowie. Rzeźba w lagunie dowodziła, że między Starym Światem a Nowym istniało połączenie dwa tysiące lat przed wyprowadzeniem przez Krzysztofa Kolumba na brzeg poddanych hiszpańskiej królowej! Dość tego! Nina zmusiła się do naciśnięcia „psychicznego hamulca”, zanim spadnie w przepaść. Musiała to przemyśleć na trzeźwo. Zabiła packą kilka much i położyła się na polowym łóżku. Spróbowała od-

sunąć od siebie wszystkie myśli i skoncentrować się wyłącznie na oddychaniu. Z odrętwienia wyrwał ją dzwonek na kolację.

Ziewając i zataczając się, wyszła z namiotu. Szykował się wspaniały purpurowożłoty zachód słońca. Poszła do namiotu-jadalni i usiadła naprzeciwko Fisela, który znów grał pierwsze skrzypce. Wylączyła się, by nie słyszeć, co gada, i zaczęła rozmawiać z małżeństwem z Iowy. Przeprosiła przed deserem, wróciła do namiotu i usiadła przed komputerem.

Pracowała do późnej nocy, ale udało jej się napisać cały tekst do fotomozaiki. Kiedy skończyła, obóz szykował się do snu. Założyła flanelową koszulę nocną. Pogratulowała sobie pomysłu, by ją spakować. Dni były gorące i suche, ale w nocy znad oceanu wiała chłodna bryza. Nina wsunęła się pod koc i leżała, słuchając śmiechów i arabskich rozmów obsługi sprzątającej po kolacji. Wkrótce głosy zamilkły. Obóz zasnął.

Nina nie mogła zmrużyć oka. Leżała na łóżku, niezadowolona, że zdrzemnęła się przed kolacją. Dodatkowo rozemocjonował ją faks od Sandy. Rzucała się i kręciła, w końcu zapadła w płytką drzemkę. Zaraz jednak obudził ją trzask ogniska. Zamrugnęła, otworzyła oczy i zapatrzyła się w przestrzeń. Sen najwyraźniej nie był jej pisany.

Owinęła koc wokół ramion jak Navajo, włożyła sandały i wysliznęła się na zewnątrz. W ognisku wybuchła gałąź oliwki i posłała deszcz iskier na dymiące płomienie. Jedyne poza ogniskiem światło pochodziło z propanowych latarni, które wisiały przed każdym namiotem, na wypadek gdyby ktoś poczuł w nocy zew natury.

Nina spojrzała na czarne niebo. Krystalicznie powietrze było tak czyste, że zdawało się, iż można dostrzec gołym okiem odległe mgławice. Odruchowo wyjęła z chlebaka latarkę i ruszyła w kierunku laguny. W świetle połowki księżyca grobowce miały kolor cynowego naczynia. Podeszła do schodów, usiadła na najwyższym stopniu i zaczęła obserwować odbijający się od wody blask księżyca.

Na oceanie jarzyły się żółte punkciki. Pewnie cumował tam statek NUMA z turkusowym kadłubem. Nina wzięła głęboki wdech. Noc pachniała nieruchomą wodą, gnijącą roślinnością, bagnem i niesamowitą starością. Zamknęła oczy i zaczęła słuchać. W jej wyobraźni szum trzciny zmienił się w uderzenia skórzanych żagli o drewniane maszty, a kumkanie żab przeszło w pomrukiwanie marynarzy z przepaskami na biodrach. Wciągali na pokład amfory z winem i oliwą. Długo nie potrwało, jak pod koc zaczęły się wślizgiwać jęzory zimna. Nina zorientowała się, że straciła poczucie czasu. Rzuciła pożegnalne spojrzenie na lagunę i ruszyła z powrotem.

Kiedy wchodziła na najwyższy punkt wydmy, z obozu dobiegł dziwny odgłos. Zabrzmiał jak krzyk ptaka albo zwierzęcia, zaatakowanego przez drapieżnika. Znów usłyszała przejmujący wrzask. Ale nie zwierzęcia. Człowieka. Krzyczał ktoś, kto doświadczał strasznego strachu albo bólu. Nina ruszyła truchtem. Po chwili wybiegła pomiędzy wydmy i ujrzała obóz.

Widok przypominał scenę z Dantego, w której pozbawione twarzy demony zapędzają nowo przybyłych do odbycia piekielnej kary. Ubrani w nocne stroje członkowie ekspedycji byli poszturchiwani i popychani przez odziane na czarno, uzbrojone postacie. Ujrzała małżeństwo z Iowy. Kobieta potknęła się i upadła. Napastnik złapał ją za długie siwe włosy i nie zważając na krzyk, pociągnął biedaczkę po piasku. Jej mąż spróbował się wtrącić. Dostał kolbą. Upadł zakrwawiony na ziemię i zamarł w bezruchu.

Profesor Knox wypadł z namiotu we flanelowej pidamie i rozejrzał się wokół. Nina stała wystarczająco blisko, by dostrzec wyraz jego twarzy. Robił wrażenie bardziej zdziwionego niż przestraszonego. Pojawiła się charakterystyczna okrągła sylwetka doktora Fisela. Ktoś pchnął go na Knoxa. Fisel wrzasnął buntowniczo, ale Nina nie usłyszała słów. Większość członków ekspedycji była już na zewnątrz. Zbito ich w przerażoną grupkę. Nina dostrzegła kątem oka kierowcę i kucharza. Tylko Gonzaleza nigdzie nie zauważyła.

Napastnicy przerwali brutalny atak i cofnęli się kilka kroków od stłamszonej grupki. Knox stał z wysoko podniesioną głową. Przypominał kamienny pomnik, jego twarz wyglądała, jakby profesor miał tysiąc lat. Fisel zrozumiał, co nastąpi. Krzyknął po arabsku, ale słowa zagłuszył paskudny grzechot kanonady.

Grad pocisków ściał doktora i resztę jak kosa trawę. Dziwne, ale mimo intensywności ognia, ze sterty ciał dobiegały jęki. Nina straciła wszelką nadzieję na to, że ktoś przeżył. Dwóch napastników podeszło do miejsca rzezi. W ciągu kilku sekund rozległo się siedem strzałów. Jęk zamilkł. Słychać było już tylko ciche trzask palącego się drewna.

Nina oddychała z trudnością. Odnosiła wrażenie, że usta ma wypełnione trocinami. Serce waliło jak szalone. Kolacja podeszła jej do gardła. Zaczęła się krztusić, chcąc pohamować odruch wymiotny. Miała ochotę rzucić się do ucieczki. To tylko kwestia czasu, kiedy zabójcy zobaczą ją na skraju polanki. Tkwiła jednak nieruchomo jak wrośnięta w ziemię. Zbyt się bała, by chronić swoje życie.

Od cienia za jednym z namiotów oderwała się jakaś postać i ruszyła biegiem w jej kierunku. Kassim! Kiedy zabójcy uderzyli, musiał być na zewnątrz. Napastnicy natychmiast zobaczyli uciekiniera i podnieśli broń. Nie strzelali. Jeden z nich rzucił się w pogoń za chłopakiem od herbaty.

Oszalały ze strachu Kassim biegł prosto na Ninę, choć jej nie widział. Gdyby nie potknął się o korzeń i nie upadł, wpadłby prosto na panią archeolog. Próbował wstać, ale ścigający go człowiek znalazł się przy nim szybciej niż sokół przy króliku. Złapał chłopaka od tyłu za podbródek i szarpnął mu głowę.

Światło zamigotało na zimnej stali. Tak jak się przecina ananas, zabójca jednym płynnym cięciem poderżnął Kassimowi gardło. Krzyk ofiary zamarł w bulgoczącym charkocie. Płuca wypełniły się natychmiast krwią. Po chwili chłopak się udusił.

Zabójca podniósł wzrok i zobaczył Ninę. Był ubrany na czarno. Głowę miał owiniętą turbanem. Materiał zakrywał całą twarz poza płonącymi mordczą nienawiścią oczami, które rozszerzyły się na widok Niny, a zaraz potem zwężyły. Mężczyzna uniósł zakrwawiony nóż wysoko nad głową i skoczył do przodu.

Nina zerwała ciężki koc z ramion i zaczęła nim wymachiwać. Trafiła napastnika w głowę. Zawahał się i podniósł lewą rękę, by odparować cios. Nie spodziewał się oporu ze strony bezradnej kobiety. Nina opuściła koc na głowę zabójcy i kiedy przeciwnik był na chwilę oślepiiony, wbiła mu kolano w krocze.

– Aaaaaiieeee!

Mężczyzna zgiął się wpół. Kopnęła po raz kolejny. Chciała wbić mu kolano w podbródek. Chyba trafiła, bo mężczyzna runął na ziemię i zaczął się skrecać z bólu.

Pozostałe postacie w czerni dostrzegły szamotaninę i ruszyły w kierunku Niny. Chwilowe wahanie napastników dało jej przewagę. Wyskoczyła do przodu, jak przestraszona łania. Szybko zaczęła się oddalać od prześladowców.

Za plecami słyszała okrzyki:

– *La mujer! La mujer!*

Spadł jej sandał, więc strząsnęła drugi. Biegła dalej boso – właśnie minęła szczyt wydmy. Pognała z boczem ku wodzie. Grań na chwilę ukryje ją przed oczami goniących. Bosa stopa stanęła na kawałku drewna albo ostrego kamienia. Błyskawica bólu przeszła delikatne ciało. Na sekundę Nina opadła na kolano. Zagryzła wargę do krwi, by stłumić chęć zawycia, i kuśtykając, ruszyła dalej.

Kiedy mijała grobowce, mignęła jej myśl, by się w nich schować. Szybko jednak odrzuciła pomysł jako zbyt oczywisty. Gdyby zabójcy ją tu znaleźli, tkwiłaby w pułapce. Postanowiła pobiec wzdłuż brzegu i zająć prześladowców od tyłu. Nic z tego. Ciemność z tyłu rozciąły promienie światła. Prześladowcy przewidzieli zamiary uciekinierki. Bez pośpiechu rozsypali się po szczycie wydmy, by odciąć flanki i okrążyć ofiarę.

Pobiegła prosto do wody. Po kilku sekundach stała u szczytu schodów. Zabójcy zacieśniali krąg ze wszystkich stron. Jeszcze kilka sekund i ją dogonią.

Mózg Niny pracował gorączkowo. Mogła skoczyć ze schodów i popłynąć pod wodą, ale to tylko odwlekłoby nieuniknione. Kiedy wynurzyłaby się, aby zaczerpnąć powietrza, zasypywaliby lagunę pociskami. Musiałaby pozostać pod wodą na tyle długo, by odpłynąć na bezpieczną odległość. Niemożliwe.

Ale jest głupia! Oczywiście, że możliwe. Odepchnęła się od skalistego brzegu. Przez chwilę szukała czegoś na powierzchni wody w blasku księżyca. W końcu dostrzegła niewyraźną szarą plamę boi znakującej.

Światła zbliżały się coraz bardziej. Wkrótce zostanie schwyтана w zacieśniającą się sieć.

Nie, tej ryby nie złapiecie – przyrzekła sobie. Zgięła silne jak sprężyny nogi i odbiła się od skał, wyciągając ręce do przodu. Płasko uderzyła w wodę i zaczęła szybko płynąć w kierunku boi. Boja rozbłysła jaskrawym pomarańczem, kiedy światło z brzegu padło na odblaskową powierzchnię. Woda wokół była pokryta migotliwymi pęcherzami.

Jeszcze kilka ruchów i Nina znalazła się przy boi.

Wybuchła strzelanina. Laguna z prawej strony zapełniła się miniaturowymi gejzerami.

Nina nie miała czasu na nabranie maksymalnej ilości powietrza.

Wypełniła płuca gwałtownym haustem. Zgięła gibkie ciało w pół i błyskawicznie zanurkowała pod powierzchnię. Pionowo w dół, słabo oświetlone przez światło znad wody, znajdowało się wejście zwieńczone łukiem. Przecisnęła się pod łukiem, wysunęła rękę w bok, aż poczuła twardą pionową powierzchnię, i wsunęła się w ciemne wnętrze tunelu.

Płynęła, a jej palce muskały gładką ścianę niczym prymitywny, dotykowy sonar.

Próba dotarcia do końca tunelu bez płetw i zapasu powietrza była ryzykownym przedsięwzięciem. Ale nawet gdyby ta cholerna dziura miała stać się jej grobem, Nina przynajmniej będzie miała satysfakcję, że prześladowcy nigdy nie poznają jej losu. Lekko zwolniła, by utrzymywać równe, spokojne tempo. Panika tylko ją pozbawi tlenu i energii.

Popłynęła głębiej. Ściana zrobiła się chropawa w dotyku. Nina znalazła się w jaskini. Tutaj będzie się płynęło trudniej. Zwolniła, by wyczuć zakręty tunelu. Wpłynęła w ślepą odnogę i musiała wracać. Odnosiła wrażenie, że minęły godziny od ostatniego wdechu. Płuca naciskały na żebra, jakby miały rozsadzić klatkę piersiową. Ile wytrzyma? Minutę? Dwie? Może gdyby przed zanurzeniem zdołała się hiperwentylować. Boże, jak daleko jeszcze?

Uderzyła głową w twardą powierzchnię. Mogłaby się założyć, że przesuwają jej się kości w czaszce. Odruchowo krzyknęła, tracąc kolejną porcję tlenu.

Cholera! Zapomniała o stercie gruzu. Pomacała, gdzie jest jej szczyt i precyzyjnie się przez dziurę. Miała za sobą pół drogi!

Ściana ponownie zrobiła się gładka. Świetnie. Nina znów wpłynęła do tunelu stworzonego ludzką ręką. Jeszcze kilkadziesiąt metrów. Płuca płuły. Wypuściła nieco powietrza, jakby mogło to zmniejszyć ciśnienie w płucach, i zaczęła popiskiwać niczym pisklę. Boże, nie chciała się utopić. Nie tutaj. Zaczęła rozpaczliwie machać nogami. Nie oszczędzała już energii.

Niedostatek tlenu powodował zawroty głowy. Nina wiedziała, że zaraz zacznie tracić przytomność i łykać wodę. Co za bolesna, straszliwa śmierć. Z uporem broniła się przed zrobieniem pierwszego wdechu. Sięgnęła przed siebie, by dotknąć ściany. Pustka. Sięgnęła do sufitu. Też go nie było. Zaraz!

Wypłynęła z tunelu! Skierowała ciało ku górze, kopnęła kilka razy jak szalona i przebiła powierzchnię wody. Zaczęła wielkimi haustami łapać powietrze.

Po jakimś czasie jej oddech prawie wrócił do normy. Patrzyła w kierunku łądu, gdzie światełka skakały niczym świetliki. Potem opłynęła cypel i popłynęła równoległe do plaży. Kiedy już opadła z sił, skierowała się ku ładowi. Wkrótce jej stopy dotknęły wodorostów, a palce poczuły chłodne, muliste dno. Wpełzła na piasek. Odpoczęła jednak tylko kilka minut. Wstała i ruszyła plażą. Wyschniętym korytem rzeki szła w głąb łądu. Wspięła się na skarpe i poszła skosem przez wydmy. Była ogromnie wyczerpana. Wpełzła w kępę wysokich traw i położyła się na ziemi.

W jej głowie pojawiły się przerażające sceny z masakry. Doktor Knox. Fisel. Kassim. Wszyscy zginęli. Dlaczego? Kim byli napastnicy? Bandytami, którzy sądzili, że ekspedycja odkryła skarby? Nie, to wyglądało na precyzyjnie zorganizowany atak. Masakrę dokładnie zaplanowano.

Nina drżała z chłodu. Zdjęła koszulę nocną, wyjęła ją i znów założyła na bieliznę. Mokry materiał sprawił, że dostała gęsiej skórki. Zaczęła rwać trawę i wpychać ją pod ubranie. Po chwili wyglądała jak strach na wróble. Prymitywna izolacja drapała, ale pomagała ochronić ciało przed zimnym powietrzem. Dreszcze nieco osłabły. Nie minęło wiele czasu, zanim usnęła.

Przed świtem obudził ją pomruk, dochodzący od strony wyschniętego koryta rzeki. Może przybyła pomoc? Wstrzymała oddech i zaczęła słuchać.

Rozmawiano po hiszpańsku.

Nie czekając ani sekundy dłużej, wślizgnęła się w wysoką trawę na plaży jak przestraszona salamandra.

## 5

Ostre, kruche żdźbła były niczym nabite gwoździami łoże fakira. Rwały nocną koszulę Niny. Cięły skórę na ramionach i nogach. Ignorowała ból, wbijała kolana i łokcie w piach i czołgała się dalej. Nie miała wyboru. Gdyby wstała, byłaby martwa.

Zabójcy odnaleźli ją zbyt szybko. Jakby szli do jej kryjówki z mapą! Zakłęła w języku babki. Przecież mieli mapę! Plan portu, który skrupulatnie narysowała, leżał w jej namiocie. Tunel został zaznaczony dwoma liniami i wyraźnie opisany. Kiedy odkryli drogę jej podwodnej ucieczki, wystarczyło przeszukać plażę, znaleźć odciski stóp i pójść do *wadi*.

Głosy robiły się coraz bardziej donośne i wyraźniejsze, coraz bardziej podniecone. Dochodziły z miejsca, gdzie wyszła z wyschniętego koryta. Zabójcy znaleźli ślady na skarpie. Nina skreśliła o sto osiemdziesiąt stopni i popęzła równoległe do poprzedniej trasy, aż dotarła do *wadi*. Wyrzała zza traw. W wyschniętym korycie nikogo nie było. Ześlizgnęła się po stromym brzegu i z nisko pochyloną głową popędziła ku plaży. Na dnie wyschniętego koryta widać było liczne ślady stóp. Goniła ją spora grupa. Wkrótce pojawiło się przed nią błękitnozielone morze. Turkusowy statek w dalszym ciągu cumował niedaleko brzegu. Zatrzymała się w dawnym dorzeczu. Pusta plaża kusiła po obu stronach niczym autostrada.

Z tyłu rozległy się głosy i dało się słyszeć chrzęst biegnących stóp. Zabójcy znów się rozproszyli jak myśliwi, którzy chcą wypłoszyć przepiórki. Gdyby poszła w prawo albo w lewo, natychmiast by ją dostrzegli. Musiała wracać do wody.

Ściągnęła porwaną, zapiaszczoną koszulę nocną i pognąła w bieliźnie po twardym, kamienistym podłożu dawnej delty. Miała nadzieję, że grzbiet wydmy skryje ją do momentu, aż dotrze do wody. Kiedy wbiegła na płyciznę, nie rozległ się za nią żaden okrzyk. Bez osłony ciemności czy zbawien-

nego tunelu nie miała szans. Lada chwila zabójcy wejdą na szczyt wydmy. Wtedy stanie się łatwym celem dla ich pocisków.

Głęboka do kolan płycizna dawała się ciągnąć bez końca. Woda jedynie utrudniała marsz, nie dawała najmniejszego schronienia. Nina parła do przodu, skakała długimi susami. W końcu woda podniosła się do poziomu talii. Nina zanurkowała w tym samym momencie, kiedy powietrze wypełniło się wściekłymi ołowianymi pszczołami. Woda za nią wybuchła wzburzoną pianą. Nina popłynęła skosem w bok, ile tylko mogła wytrzymać. Wynurzyła się zaczerpnąć powietrza i znów zanurkowała na sposób podpatrzony u morświnów. Kiedy minęła brązową płycznę i znalazła się na nieco głębszej wodzie, spojrzała za siebie. Zobaczyła na brzegu z tuzin postaci. Niektóre figurki weszły do wody. Strzelanina chyba została przerwana.

Obróciła się i wbiła wzrok w statek. Bała się, że cumująca jednostka podniesie kotwicę. Nina zostałaby wtedy porzucona na pastwę losu. Nie zamierzała płynąć do Wysp Kanaryjskich. Odwróciła się na plecy, popatrzyła na pękate chmury o złożonych krawędziach i wyrównała oddech. Przynajmniej była dobra pogoda na pływanie. Nina odpoczywała nie więcej niż minutę.

Trzymaj tempo, odpoczywaj, kiedy trzeba, i powtarzaj modlitwy. Na morzu panował spokój. Nie było wiatru ani prądów. To, co robiła, nie różniło się właściwie od pływania w trakcie triathlonu – z jednym wyjątkiem: jeśli przegra wyścig, zginie. Za punkt docelowy wybrała główny maszt statku. Zaczęła naprzemiennie wyrzucać ręce do przodu.

Bez zegarka nie umiała określić, jak długo płynie. Im bardziej dno pod nią opadało, tym woda robiła się zimniejsza; by odwrócić uwagę od wysysającego energię chłodu, liczyła pociągnięcia ramionami. Machanie w kierunku statku byłoby jedynie stratą czasu. Jej ramię wyglądałoby jak szyja unoszącego się na fali morskiego ptaka.

Próbowała nucić szanty. Stare pieśni, śpiewane przy robotach pokładowych, pomagały utrzymać rytm uderzeń.

Dysponowała skromnym repertuarem. Po zaśpiewaniu po raz pięćdziesiąty *Blow the Man Down* ograniczyła się do płynięcia. Była znacznie bliżej statku, ale jej ruchy zrobiły się niedokładne. Coraz częściej zatrzymywała się, by odpocząć. W którymś momencie odwróciła się i z przyjemnością stwierdziła, że niski brązowy brzeg pozostawiła całkiem daleko w tyle. Zaczęła sobie wyobrażać, że wspina się na pokład statku i pokrzepia kubkiem gorącej kawy.

Basowe buczenie było z początku tak ciche, że go nie usłyszała. Nawet kiedy zrobiła kolejny przystanek, sądziła, że może to złudzenie wywołane uciskiem wody na głowę albo dźwięk z generatora statku. Włożyła jedno ucho do wody i wsłuchiwała się uważnie.

Buczenie przybierało na sile.

Nina powoli się odwróciła. Od strony brzegu pędziło w jej kierunku coś ciemnego. Z początku myślała, że to łódź. Obiekt szybko jednak rósł i wkrótce

ujrzała przysadzisty, brzydki, czarny kadłub. Rozpoznała duży poduszkowiec – pojazd, który na poduszce powietrza może poruszać się zarówno po wodzie, jak i po lądzie.

Poduszkowiec raz za razem ostro skręcał i rysował na lśniącej powierzchni zygzak. Nina czuła, że nie jest to łódź ratunkowa. Poduszkowiec płynął zbyt zdecydowanie i agresywnie. Nagle przestał skręcać; niczym pocisk pomknął na nią. Pogoń dostrzegła uciekinierkę. Dziеляcy ich dystans błyskawicznie się zmniejszał. Pojazd już miał na nią wpaść, kiedy zanurkowała najgłębiej, jak umiała.

Unoszący się na dwudziestocentymetrowej warstwie powietrza poduszkowiec przemknął górą. Wzburzył przy tym dziką kipieli wody. Ninie rozpaczliwie brakowało tlenu. Wypłynęła na powierzchnię. Natychmiast się jednak rozkasłała, bo płuca wypełniły jej spaliny. Poduszkowiec zawirował i zaczął kolejny najazd.

Ponownie zanurkowała i znów woda zaczęła nią szarpać i tarmosić. Po chwili – ze sporym wysiłkiem – przebiła sobie drogę na powierzchnię i zaczęła podskakiwać na wzburzonej przez poduszkowiec fali.

Maszyna zamarła w miejscu i opadła na wodę. Silniki cicho pomrukiwały. Wszystko wyglądało tak, jakby wielki kot igrał z myszą. Słabą i przemoczoną. Wtem silniki ożyły. Poduszkowiec wyprostował niewidzialne nogi i ponownie zaatakował.

Nina zanurkowała, natychmiast jednak zawirowała jak kulka w bębnie. Jej mózg otepiał, krew dudniła w uszach. Kierowały ją już tylko najprostsze odruchy. Gra zaraz miała się zakończyć. Ten cholerny poduszkowiec mógł zawracać praktycznie w miejscu. Za każdym wynurzeniem się miała mniej czasu na zaczerpnięcie powietrza, a pojazd był coraz bliżej.

Kanciasty kadłub znów nadjeżdżał. Ledwie go widziała przez chmurę spalin. Oczy niemiłosiernie paliły ją od słonej wody. Była zbyt zmęczona na nurkowanie. Nawet gdyby to zrobiła, nie miałyby sił się wynurzyć. Podjęła żalosaną próbę odpłynięcia w bok. Po kilku ruchach odwróciła się twarzą do napastnika, jakby zamierzała go odepchnąć własnymi rękami.

Poduszkowiec był bardzo blisko. Warkot silnika wypełniał uszy. Zaciśnięta zęby i czekała.

Okropności minionych kilku godzin okazały się niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło. Poduszkowiec był oddalony już tylko o kilka sekund jazdy, kiedy coś z siłą imadła ścisnęło jej kostki i zaczęło wciągać w lodowatą głębinę.

## 6

Machając ramionami niczym wiatrak w trakcie burzy, Nina próbowała się uwolnić. Choć wzburzona przez poduszkowiec woda wirowała wokół jak oszalała, stalowy chwyt nie pozwalał wypłynąć. W ostatnim odruchu buntu opróżniła płuca – miał to być wściekły, rozpaczliwy krzyk, który przemienił się jednak w niemą eksplozję pęcherzy powietrza.

Uchwyt na nogach osłabł. W kipieli, którą wyprodukował poduszkowiec, zaczął się materializować niewyraźny kształt, przypominający ludzką postać. Podobnie jak cyklopowaty Obcy z UFO, bezkształtna masa zbliżała się i łączyła w całość. W końcu kilka centymetrów przed oczami Niny zatrzymała się pleksiglasowa maska nurka. Zza szybki patrzyły świdrujące błękitne oczy, w których kryła się nie groźba, lecz siła i otucha.

Postać uniosła dłoń w rękawicy i pomachała Ninie przed nosem ustnikiem aparatu tlenowego. Nina złapała rurkę i spragniona powietrza, zacisnęła na niej zęby. Żaden pachnący kwiatami letni powiew nie był nigdy miłszy od życiodajnego sprężonego powietrza, które wpłynęło do jej płuc. Uniesiona dłoń poruszała się w górę i w dół.

Spokojnie. Powoli.

Nina skinęła głową, że rozumie sygnał. Poczowała delikatny ucisk na ramieniu. Oddychała korzystając z dodatkowej butli zamontowanej do kombinezonu wybawiciela. Po chwili uspokoiła się i wyrównała oddech

Pokazano jej kolejny znak. Palec wskazujący i kciuk tworzyły O.

Okej?

Nina zrobiła taki sam gest.

Okej.

Błękitne oko za maską mrugnęło porozumiewawczo. Nie miała pojęcia, kim jest nurek ani skąd przybywa. W każdym razie zachowywał się przyjaź-

nie. Głowę miał schowaną pod ciasno przylegającym kapturem i hełmem z maską. Widać było jedynie, że jest wysoki i ma szerokie ramiona.

Nina podniosła wzrok. W kilwaterze poduszkiwca zobaczyła poszarpane smugi światła. W dalszym ciągu słychać było pomrukiwanie silnika. Ciągle jej szukano.

Znów poczuła ucisk na ramieniu. Wodny Człowiek wskazał palcem ku górze i zacisnął dłoń w pięść.

Niebezpieczeństwo.

Pokiwała energicznie głową. Mężczyzna skierował kciuk do dołu. Popatrzyła w mroczną głębię. Nawet czekające tam nieznanne było lepsze od czyhającego na powierzchni realnego niebezpieczeństwa. Skinęła ponownie głową i dała znak „okej”. Nurek złożył dłonie.

Weźmy się za ręce.

Nina chwyciła wyciągniętą dłoń wybawiciela. Powoli zaczęli się zanurzać.

Wraz z miarowym zagłębianiem się kolor wody przeszedł z kobaltu w indygo. W końcu zrobiło się tak ciemno, że Nina dotknęła zimnego mulistego dna, zanim je dostrzegła.

Nurek wyjął z pasa niewielką, ale bardzo silną stroboskopową lampę i unióś ją nad głowę. Nina zamknęła oczy, by nie oślepiły jej jaskrawe srebrnobiałe błyski. Kiedy ponownie otworzyła oczy, dostrzegła migającego w oddali świetlika.

Nurek złączył palce wskazujące.

Płyńmy obok siebie w tamtym kierunku.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę pulsującego światła. Po chwili zbliżyli się do drugiego nurka. Kiedy czekający zobaczył, że nadpływają, wyłączył swój stroboskop. Dłoń mężczyzny powędrowała do przycisku mikrofonu w hełmie.

– Nigdzie cię nie mogę zabrać – powiedział. – Wystarczy zostawić cię na minutę samego, a zjawiasz się z syreną.

Pierwszy nurek powiódł wzrokiem po sylwetce Niny i stwierdził, że porównanie jest całkiem trafne. Z długimi jasnymi włosami, długimi nogami i skąpym przyodziewkiem, Nina bez trudu mogłaby zostać uznana za mitycznego duszka oceanów – z jednym wyjątkiem.

– Syreny to w połowie ryby – odparł.

– Ten udoskonalony model bardziej mi się podoba. Jak ma na imię?

– Dobrze pytanie. Jeszcze nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Wpadłem na nią, kiedy wypływałem rzucić okiem na statek. Miała nieco kłopotów, więc zaoferowałem pomocną dłoń. No, może obie dłonie.

Nina nigdy nie używała urządzeń do rozmów podwodnych, ale znała taki sprzęt. Domyślała się, że jest przedmiotem rozmowy. Choć była bardzo wdzięczna, wołała, żeby już skończyli pogaduszki. Drętwiała z zimna! Jeśli nie zacznie się zaraz ruszać, zemdleje. Skrzyżowała ręce na piersi.

Zimno mi.

Nurek, któremu dała przydomek Wodny Człowiek, skinał głową. Ponieważ miał na sobie suchą piankę, zapomniał, jak zimno musi być nie chronionemu niczym ciału.

– Zabierzmy naszą syrenę na statek, zanim zamieni się w mrożony rybny paluszek.

Drugi nurek spojrział na kompas i poprowadził. Nowy przyjaciel Niny znów dał znak, by płynęli obok siebie, i delikatnie chwycił ją za rękę. Uznała, że zmierzają do statku. Nie miała pewności, czy przy takim wychłodzeniu i osłabieniu zdoła tam dotrzeć. Nurek wyczuwał, że towarzysze trudno nadażyć za nim bez płetw, więc kilka razy zachęcająco ścisnął jej dłoń.

Po paru minutach znów zaczęli się zanurzać. Na dnie leżały dwa żółte obłe kształty. Były zrobione z plastiku. Wyglądały jak pękate miniaturowe torpedy z uszami. Nina rozpoznała NAN – napędzany aparat nurkujący, popularnie zwany skuterem morskim.

Każdy z nurków wziął jeden skuter i wcisnął zapłon. Kiedy napędzane bateriami podwójne silniki stingrayów poruszyły śrubami, rozległ się cichy wizg. Wodny Człowiek wskazał za siebie. Nina złapała go za ramiona. Wzniesli się do poziomu, gdzie woda była nieco cieplejsza.

Kiedy płynęli, kierowca Niny połączył się ze statkiem. Spytał, czy ktoś widzi w pobliżu poduszkowiec. Najwyraźniej nie lubił niepotrzebnie ryzykować.

– Był jakiś czas temu – przyszła odpowiedź. – Popłynął w kierunku ładu.

– Rozumiem. Przyjmijmy gościa. Kobieta.

Zapadła krótka cisza.

– Możesz powtórzyć?

– Nieważne. Bądźcie przygotowani na zajęcie się wyziębieniem.

Wynurzyli się na powierzchnię niedaleko statku i podpłynęli do rufy. Czekał na nich komitet powitalny. Członkowie załogi pomogli Ninie wejść na pokład i owinęli ją w ręczniki oraz koce. Twarz miała pokrytą ziemistymi plamami, wargi nabrały fioletowego koloru. Odmówiła położenia się na noszach. Drogę do lazaretu odbyła na chwiejnych nogach. Cały czas szczykała zębami. Z przyjemnością oparła się na czyimś ramieniu. Utykała na nogę, którą zraniła sobie podczas ucieczki przed zabójcami.

Dwaj nurkowie zdjęli sprzęt i nie tracąc czasu, też ruszyli do lazaretu. Stali przed zamkniętymi drzwiami cierpliwie, jak czekający na poród ojcowie. Wkrótce wyszła do nich atrakcyjna i zgrabna młoda kobieta w stroju oficera – lekarz pokładowy.

– Nic jej nie jest? – spytał wyższy z mężczyzn.

Lekarka uśmiechnęła się.

– To twarda młoda dama – powiedziała z uznaniem w głosie. – Posypałam jej rany i siniaki środkiem antybakteryjnym. Wpadała w hipotermię. Na razie powinna pozostać w ciepłe. Wkrótce będzie można dać jej filizankę bulionu.

– Możemy się z nią zobaczyć?  
– Oczywiście. Zabawiajcie gościa, a ja znajdę jakieś ubranie i przygotuję koję w mojej kabinie. Musi sobie odpocząć w spokoju.

– Jak ona się nazywa?

Pani oficer uniosła brew.

– Nie wiesz? Panowie, najwyraźniej spędzacie zbyt wiele czasu pod wodą. Szczególnie ty, Zavalu. Sądziłam, że znacie już numer jej telefonu, a także ulubione kwiaty i restauracje.

Reputacja José „Joe” Zavali przywędrowała za nim z Waszyngtonu. Kiedyś chadzał na randki z panią oficer-lekarz. Wobec kobiet zawsze zachowywał się czarująco. Miał powodzenie u wielu samotnych pań ze względu na znakomity wygląd. Wokół jego ust igrał delikatny, niemal wstydlivy uśmiech.

– Chyba straciłem formę – stwierdził.

– To będzie dzień... – Pani doktor uśmiechnęła się z wyższością i poszła załatwiać swoje sprawy.

Kiedy mężczyźni weszli do gabinetu, Nina siedziała na stole do badań. Miała na sobie obszerną marynarską bluzę. Ramiona owinęła grubym wełnianym kocem. Choć wokół oczu widniały czerwone obwódki od słonej wody, a długie włosy były matowe, twarz z powrotem nabrała kolorów. Wargi straciły fioletowy odcień. Obejmowała dłońmi kubek z kawą. Cieszyła się jego ciepłem. Podniosła głowę i ujrzała wysokiego mężczyznę wypełniającego sobą niemal cały otwór drzwiowy. Za sprawą potężnej budowy i kontrastu między orzechową skórą a niemal białymi włosami, wyglądał jak nordycki bóg z wagnerowskiej opery.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – powiedział niepewnie, głosem niespodziewanie łagodnym jak na olbrzyma.

Nina zsunęła z twarzy długie, pofalowane pasmo włosów.

– Skądże znowu. Proszę.

Blondyn wszedł, za nim wkroczył smagły mężczyzna z miłym uśmiechem.

– Nazywam się Kurt Austin, a to jest Joe Zavalu.

– Nina Kirow. – Nina poznała oczy Wodnego Człowieka, które widziała za szybką maski. Miały kolor rafy koralowej pod spokojną wodą. – Chyba już się spotkaliśmy.

Austin uśmiechnął się, zadowolony, że go poznała.

– Jak się pani czuje?

– Nieźle, dziękuję. Po gorącym prysznicu będzie jeszcze lepiej. – Rozejrzała się wokół. – Co to za statek?

– Jednostka badawcza z NUMA, „Nereus”.

– Pracuje pan dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych?

– Tak. Jestem kierownikiem Zespołu do Zadań Specjalnych. Joe jest naszym inżynierem morskim.

– Lubię uważać się za konserwatora silników – stwierdził Zavalu.

– Joe jest skromny. Dzięki niemu nasza jednostka może się poruszać zarówno na wodzie, jak i pod wodą.

Zavala był wysokiej klasy fachowcem. Znał się na wszystkich istniejących systemach napędowych. Umiał naprawić, ulepszyć, odrestaurować każdy silnik parowy, dieslowski czy elektryczny, bez względu na to, czy mechanizm służył do napędzania samochodu, statku czy pojazdu powietrznego. Zavala nigdy się nie bał ubrudzić sobie rąk smarem. Zaprojektował liczne pojazdy podwodne, zarówno załogowe, jak i bezzałogowe. Kierował pracami przy budowie wielu z nich, w tym paru znajdujących się na pokładzie „Nereusa”. Zavala sięgnął nawet nieba – miał wylatane dwa tysiące godzin jako pilot helikoptera oraz małych maszyn odrzutowych i turbośmigłowych.

– Powiedział pan, że kieruje Zespołem do Zadań Specjalnych.

– Zgadza się. Rdzeń zespołu tworzą cztery osoby. Należą do niego poza nami geolog głębinowy i biolog morski, ale pracują akurat przy czymś innym. Ogólnie mówiąc, zajmujemy się zadaniami spoza zwykłego zakresu działań NUMA. – Powinien dodać: „I nie będącymi pod kontrolą rządową”.

– Co tu robi wasz statek?

– Wyflnęliśmy w rejs testowy, który zaczęliśmy na Morzu Śródziemnym – wyjaśnił Austin. – Rząd marokański obawia się, że przybrzeżne wiercenia w poszukiwaniu ropy naftowej mogą źle wpłynąć na odławianie sardynek. „Nereus” i tak miał być w okolicy, więc zgodziliśmy się zrobić kilka pomiarów dna.

– „Nereus”, Starzec Morski... – mruknęła Nina i przechyliła w zamyśleniu głowę. – Hezjod, grecki poeta, mówi o nim: „Wierny i łagodny bóg, co sprawiedliwie i łagodnie myśli, a nigdy nie kłamie”.

Austin popatrzył na Zavale. Może Nina naprawdę była syreną. Uroku miała na pewno nie mniej niż morska czarodziejka.

– Nie wiem, czy ten statek zasługuje na miano Starca Morskiego. Został zwodowany dopiero kilka miesięcy temu. Hezjod miał jednak rację: „Nereus” nie kłamie. Cały, od dziobu po rufę, jest naszpikowany wszelkiego rodzaju przyrządami pomiarowymi.

– Projektant twierdzi, że naukowcy są jedynie niepotrzebnym balastem – dodał Zavala.

Nina miała spore trudności, by ustawić barczystego Austina i jego łagodnie mówiącego towarzysza w jednym szeregu ze sztywnymi naukowcami. Oceniała obu analitycznym okiem. Barczysty Austin miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu; ważył około dziewięćdziesiąt kilo. Był zbudowany jak zawodowy futbolista. Mocno opalona twarz świadczyła, że mężczyzna większość czasu spędza na powietrzu. Skóra, jakby wypolerowana albo pokryta warstewką metalu, wskazywała na stały kontakt z morskim powietrzem. Poza kurzymi stopkami w kącikach oczu i ust, twarz pozostawała gładka. Choć dopiero zbliżał się do czterdziestki, miał przedwcześnie posiwiałe, niemal platynowego koloru włosy.

Smagły, przystojny Zavala, niecałe metr osiemdziesiąt, nie mógł poszczycić się tak mocną budową, ale jego ciało było wyraźnie wysportowane i elastyczne. Wokół brwi dało się dostrzec resztki zabliźnionej tkanki. Kiedyś Zavala zarabiał na swoje studia jako zawodowy bokser wagi średniej. Wygrał dwadzieścia dwie walki, dwaście przez nokaut. Przegrał sześć. Proste czarne włosy zaczesywał gładko do tyłu. Wesoły, lekki uśmiech, który widziała, gdy Zavala wszedł do gabinetu, nie zniknął z ust. Nina przypominała sobie komentarz pani doktor. Doskonale rozumiała, że kobiety mogą przeciągać jego pełne wyrazu, brązowe oczy.

Dżentelmeńskie maniery dwóch mężczyzn nie zdołały ukryć pewnego rodzaju kanciastości, może wręcz gotowości do kierowania się w razie potrzeby prymitywnymi odruchami. Silniejszy Austin był przemiły. Pamiętała jednak nieustępliwość, z jaką ściągnął ją z drogi poduszkowca. Podejrzewała, że wbrew wszelkim pozorom Zavala ma twardy jak stal charakter. Sposób, w jaki współpracowali – jak dwa trybiki w dobrze naoliwionej maszynie – kiedy wieźli ją na statek, świadczył o tym, że wielokrotnie działali razem.

– Przepraszam, nie podziękowałam panom – powiedziała.

– To ja przepraszam za ściągnięcie pani w dół w stylu godnym potwora ze *Szczęk* – odparł Austin. – To musiało być przerażające.

– Nie bardziej niż próba zagrania przez ten poduszkowiec moją głową w piłkę wodną. Naprawdę, nie wiem, jak wyrazić swoją wdzięczność. Proszę pojawiać się za każdym razem i wyciągać mnie z opresji, kiedy pan zechce. – Przerwała na chwilę. – Mam tylko jedno głupie pytanie. Czy często pływa pan po Atlantyku i czeka na damulki w opałach?

– To był przypadek – odparł Austin z lekkim wzruszeniem ramion. – Kręciliśmy się z Joe w dole. Wypląnąłem na powierzchnię, by ustalić położenie względem statku. Zobaczyłem, jak bawi się pani w berka z poduszkowcem. Teraz ja zadam pytanie: o co dokładnie chodziło w tej zabawie?

Uśmiech Niny zniknął.

– To proste. Próbowali mnie zabić.

– Jasne. Ale dlaczego?

– Nie wiem – odparła bezbarwnym tonem. Miała szkliste oczy.

Austin wyczuł, że Nina chce uniknąć jakiegoś tematu.

– Nie powiedziała nam pani, skąd wzięła się w wodzie – kontynuował łagodnym głosem.

Pytanie zadziało niczym wyciągnięcie korka.

– Boże drogi... – szepnęła Nina. – Ekspedycja... doktor Knox...

– Jaka ekspedycja?

Nina wpatrywała się w przestrzeń, jakby próbowała przypomnieć sobie sen.

– Jestem archeologiem morskim. Byłam z ludźmi z Uniwersytetu Pensylwanii. Niedaleko stąd prowadzili wykopaliska.

Opowiedziała o masakrze i swojej ucieczce. Historia brzmiała tak fantastycznie, że gdyby Austin nie widział ataku poduszkowca ani ogromu przerażenia na twarzy Niny, nigdy by nie uwierzył. Kiedy Nina skończyła, popatrzył na Zawalę.

- Co o tym sądzisz?
- Moim zdaniem powinniśmy rzucić okiem na tę sprawę.
- Też tak uważam. Najpierw jednak zawiadomimy władze marokańskie. Mogłaby nam pani opisać drogę do obozu?

Nina na szczęście zrzuciła z siebie poczucie winy, że jako jedyna ocalała. Musiała działać. Zsunęła się ze stołu i niepewnie stanęła na nogach.

- Zrobię więcej – odparła twardym tonem. – Pokażę ją wam.

## 7

Kapitan Mohammed Mustafa z Marokańskiej Żandarmerii Królewskiej opierał się o rozgrzany od słońca zderzak dżipa i obserwował wysoką Amerykankę. Z pochyloną nisko głową chodziła powoli w tę i z powrotem po piaszczystej polanie.

Jak większość wiejskich policjantów, kapitan spędzał dni na ganiu wagarujących dzieciaków, pisał raporty z wypadków samochodowych i sprawdzał dokumenty bardzo nielicznym przybyszom. W zeszłym roku zajmował się zaginięciem wielbłąda. Tajemnicze zniknięcie, które wzbudziło podniecające podejrzenie, że doszło do kradzieży bydła, okazało się jednak tylko ucieczką. Było to w karierze Mustafy zadanie najbardziej zbliżone do obecnego – poszukiwania zaginionej ekspedycji archeologicznej.

Mustafa dobrze znał okolicę. Berberzy nazywali ją Miejscem Zmarłych, ze względu na znajdujące się tu grobowce. Wiedział, że niedaleko stąd znajdują się ruiny. Teren rozciągał się z dala od ubitych dróg i należał do rejonu patrolowego obejmującego setki kilometrów kwadratowych. Kapitan był tu jedynie raz, ale postanowił nie wracać w to miejsce, jeśli nie zajdzie taka potrzeba.

Kobieta zatrzymała się na chwilę z dłońmi opartymi o biodra jak człowiek zagubiony. Po chwili podeszła do dżipa.

– Nie rozumiem – powiedziała, marszcząc ze zdziwieniem czoło. – Obozowaliśmy dokładnie tutaj. Namioty, furgonetki... wszystko znikło.

Kapitan odwrócił się do barczystego mężczyzny o włosach koloru śniegu na szczytach Atlasu.

– Może *mademoiselle* pomyliła miejsce?

Nina wbiła wzrok w policjanta.

– *Mademoiselle* nie pomyliła miejsca.

Policjant westchnął.

– Ci ludzie, którzy panią zaatakowali... to byli bandyci?

Nina zastanowiła się nad pytaniem.

– Nie, nie sędzę.

Mustafa wzruszył ramionami po „galijsku”, w sposób godny paryskiego ulicznika, zapalił gauloise’a i przesunął czapkę z daszkiem na tył głowy. Czuł się trochę nieswojo w obecności kobiety z odkrytymi nogami i ramionami. Na jej skórze dostrzegł rany. Widział jednak na własne oczy, że nie ma namiotów, sterty trupów, samochodów. Nic, poza stanem fizycznym i psychicznym kobiety, nie wskazywało na to, że w tym miejscu doszło do masakry.

Policjant przeciągnął się papierosem i wypuścił szarą smugę nosem.

– Poinformowano mnie, oczywiście, że w pobliżu Miejsca Zmarłych rozbije obóz ekspedycja. Może nic pani nie powiedzieli o wyjeździe?

– Świetnie... – parsknęła Nina. – Ze wszystkich gliniarzy w Maroku muszę akurat mieć do czynienia z berberyjskim inspektorem Clousseau...

Nadszarpnięte nerwy sprawiały, że Nina była rozdrażniona. Austin to rozumiał, postanowił jednak, że czas się wtrącić.

– Powiedziała pani, że mieliście wielkie ognisko. Mogłaby pani pokazać, gdzie?

Nina podeszła do miejsca leżącego mniej więcej na środku polanki i czubkiem buta narysowała w piasku duże X. Policjant przyglądał się beznamiętnie.

– Gdzieś tutaj.

– Ma pan łopatę? – spytał policjanta Austin.

– Oczywiście. To niezbędne narzędzie, kiedy jeździ się po pustyni.

Mustafa poszedł spacerkiem do dzipa i wyjął ze skrzynki wojskową saperkę. Austin wziął łopatę, ukląkł u stóp Niny i zaczął kopać równoległe rowki o głębokości piętnastu centymetrów. Pierwsze dwa nic nie ujawniły. Kopanie trzeciego rowka okazało się dobrym posunięciem.

Austin nabrał w garść ziemi i powąchał szerniałe drobinki.

– Popiół z ogniska. – Położył dłoń na piasku. – Jeszcze ciepły.

Nina ledwie go słyszała. Za plecami Austina coś się poruszało.

– Tam... – szepnęła.

Ciemna plama składała się z tysięcy drobnych żyłatek. Austin krawędzią saperki odsunął błyszczącą warstwę mrówek i zaczął kopać. Piętnaście centymetrów pod powierzchnią natrafił na ciemnoczerwoną ziemię. Powiększył dziurę. Po bokach też była czerwień. Nina ukląkla obok Austina. Nozdrza wypełnił jej mdły zapach krwi.

– Tu ich zastrzelili – powiedziała głosem zduszonym od hamowanych emocji.

Kapitan Mustafa patrzył sennie w przestrzeń. Pewnie się zastanawiał, kiedy będzie mógł wrócić do żony i dzieci, zjeść dobrą kolację. Kiedy jednak wyczuł zmianę atmosfery, odrzucił na bok papierosa i ukląkł obok Niny. Przyjrzał się zabarwionej ziemi. Jego orzechowa twarz zbladła.

– Allah niech będzie pochwalony – mruknął. Kilka sekund później stał przy dziuple i mówił coś bardzo szybko po arabsku do mikrofonu.

Nina klęczała. Wpatrywała się w ziemię, jakby z wykopanej dziury wydobywały się straszliwe wydarzenia minionej nocy. Austin obawiał się, że jeśli jej nie odciągnie, dziewczyna nie wytrzyma. Wziął Ninę za ramię i pomógł jej wstać.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie rzucę okiem na lagunę. Zamrugła jak nagle zbudzony lunatyk.

– Dobry pomysł. Może jest tam coś...

Poprowadziła przez wydmy. Ponton marki Zodiac, którym przyплыnęli ze statku, był przycumowany do kamiennych schodów.

Nina powiodła wzrokiem po spokojnej lagunie.

– Zabrali nawet moje boje znakujące – powiedziała z gorzkim uśmiechem.

Szli – ona przodem, Austin krok z tyłu – wzdłuż skalistego brzegu. Nina opisywała niewidoczny tunel i *cothon*. Austin wskazał na kilkanaście martwych ryb pływających na gładkiej powierzchni wody.

– Prawdopodobnie zdechły z braku tlenu – uznała Nina. – Laguna to niezbyt zdrowe miejsce dla organizmów żywych. – Uśmiechnęła się z powodu niezamierzonej ironii. – Jest jeszcze coś, o czym nie mówiłam... – Opisała kamienną głowę, którą odkryła. Austin nie był w stanie ukryć zdumienia.

– Olmecka rzeźba? Tutaj? – Zagryzł dolną wargę, próbował w grzeczny sposób wyrazić powątpiewanie. – Nie ma takiej możliwości.

– Też bym w to nie uwierzyła, gdybym jej nie widziała na własne oczy. Założę się, że zmieni pan zdanie po krótkiej podwodnej wycieczce. Pokażę ją panu. – Zsunęła z nóg pożyczone buty. Austin nie miał nic przeciwko schłodzeniu się w wodzie. Poza tym uznał, że pływanie na jakiś czas odwróci uwagę Niny od ponurego znaleziska na polanie. Ich szorty i podkoszulki wyschną szybko na słońcu.

Nina popłynęła pierwsza. Po chwili stanęła, by zorientować się na podstawie charakterystycznych punktów brzegu, gdzie zanurkować. Popłynęła dalej z głową pod wodą. Mniej więcej po minucie złamała się jak scyzoryk i zanurkowała pionowo w dół. Tuż nad dnem zaczęła zataczać koło. Wkrótce wystrzeliła prosto ku powierzchni. Austin zrobił to samo.

– Zniknęła! – krzyknęła zdyszana. – Rzeźba zniknęła!

– Jest pani pewna, że była w tym miejscu?

– Bez najmniejszej wątpliwości. Kiedy stawiałam boje, połączyłam ze sobą dwa charakterystyczne punkty na lądzie. To cholerstwo wyparowało. – Zanurkowała.

Kiedy Austin ją dogonił, pływała tuż nad dnem wokół miejsca, które wyglądało jak mały krater. Podniosła coś z mułu. Znowu wypłynęli i zatrzymali się na powierzchni twarzą do siebie.

– Wysadzili ją – powiedziała, machając kawałkiem poczerńiałej skały. – Rozwalili tę kamienną głowę na kawałki. – Ruszyła w kierunku lądu.

Przy schodach czekał na nich Zawała. Przeszedł tu po sprawdzeniu otoczenia obozu.

– Kapitan prosił przekazać pani, że zawiadomił sztab brygady – oznajmił. – Chcą się porozumieć z Sureté Nationale w Rabacie. Tam zajmują się poważnymi śledztwami kryminalnymi.

Nina podała Austinowi swoje znalezisko.

– To bazalt, skała wulkaniczna. Jestem pewna, że pochodzi z rzeźby.

Austin przyjrzał się kawałkowi kamienia.

– Krawędzie są nierówne i nadwęglone. Ten fragment miał niedawno kontakt z ładunkiem wybuchowym. – Popatrzył przez zmrużone oczy na lagunę. – To by wyjaśniało, skąd się wzięły martwe ryby.

– Bez sensu – powiedziała Nina, kręcąc głową. – Zamordowali całą ekipę, mnie też próbowali zabić. Potem, zamiast uciec, zadali sobie trud wysadzenia archeologicznego artefaktu. Dlaczego?

Zapadła cisza. Austin zaproponował, by porozmawiali z kapitanem Mustafą i wrócili na statek. Ruszyli w kierunku dawnego obozu. Nina prowadziła. Zawała zwolnił kroku, by zostać z Austinem nieco z tyłu. Cicho, żeby Nina nie usłyszała, powiedział:

– Poradziłem kapitanowi, żeby przekopano okolicę.

Austin uniósł brew.

– Pani Kirow twierdzi, że ekspedycja pracowała od kilku dni – wyjaśnił Zawała. – Nie znaleźliśmy jednak wykopów. Każdy zasypano. Niczego ci to nie sugeruje?

– Owszem. Ofiary wykopały własne groby...

Zawała podał Austinowi okulary w drucianych oprawkach. Okrągłe szkła były potłuczone.

– Znalazłem je niedaleko polany.

Austin popatrzył na okulary i bez słowa wsunął je sobie do kieszeni.

Kiedy Zodiak stanął przy burcie „Nereusa”, Nina z uznaniem oceniła smukły i funkcjonalny zielononiebieski kadłub.

– Kiedy ujrzałam wczoraj wasz statek z brzegu, wydał mi się wspaniały. Z bliska jest jeszcze piękniejszy.

– Jest więcej niż piękny – odparł Austin, pomagając Ninie wejść na pokład rufowy. – To najnowocześniejszy statek badawczy na świecie: siedemdziesiąt sześć metrów długości, a w środku dziesiątki kilometrów światłowodów i urządzeń komunikacyjnych najnowszej generacji. Ma na rufie pędniki, dzięki którym może się obrócić niemal w miejscu albo trwać nieruchomo na wzburzonym morzu. Poza tym na pokładzie są najnowocześniejsze pojazdy podwodne. Mamy nawet zamontowany w kadłubie sonar, by

rysować mapę dna morskiego bez moczenia sobie stóp. – Austin wskazał na wysoką, pudełkowatą nadbudówkę za mostkiem. – Ta kolumna to magazyn naukowy. W środku są „mokre” laboratoria z przepływem wody morskiej. Tam trzymamy pojazdy podwodne, sanie z kamerami, sprzęt do nurkowania. Statek zbudowano dla niewielkiej, około dwudziestoosobowej załogi. Może przyjąć na pokład trzydziestu naukowców.

Choć Nina w dalszym ciągu kuśtykała na zranionej poprzedniego wieczoru nodze, Austin zaprowadził gościa trzy pokłady wyżej. Stanęli przed drzwiami kabiny.

– Tu zamieszka pani przez kilka dni.

– Nie chcę nikogo wyrzucać.

– Nie wyrzuca pani nikogo. Mamy na pokładzie nieparzystą liczbę kobiet i w kabinie naszej pani doktor jest wolna koja. Będzie pani tuż obok biblioteki i niedaleko najważniejszej części statku. Chodźmy.

Poprowadził Ninę korytarzem do jadalni, gdzie przy espresso i faksowej wersji „New York Timesa” siedział Zawała. Klimatyzowana sterylność była dobrym antidotum na rozpaczliwą atmosferę Miejsca Zmarłych. Jadalnia została wyposażona jak reszta statku – w pokryte laminatem aluminiowe stoły i przynitowane do podłogi krzesła. Płynące z kuchni aromaty nie były jednak standardowymi zapachami tłuszczu z bekonu i hamburgerów, wypełniającymi kambuzy większości statków.

Nina usiadła, szczęśliwa że może odciążyć bolącą stopę.

– Umieram z głodu – powiedziała unosząc brodę, by lepiej wciągnąć zapach. – Pachnie tu jak w czterogwiazdkowej restauracji.

Zawała odłożył gazetę.

– Pięciogwiazdkowej. My biedni, źle opłacani robocze z NUMA, musimy znosić wiele niewygód. Wino jest wyśmienite, ale w naszej piwnicy są jedynie roczniki kalifornijskie.

– To statek amerykański – powiedział Austin przesadnie przepraszającym tonem. – Nie możemy mieć na pokładzie win typu bordo ani burgundów, choć dodam, że nasz kucharz doktoryzował się na *cordon bleu*.

– Dziś do wyboru stek *au poivre* albo halibut *au berre blanc* – oznajmił Zawała. – Muszę z góry przeprosić za naszego kucharza. Pochodzi z Prowansji i ma skłonność do przesadzania z bazylią i oliwą.

Nina rozejrzała się po niezwykle funkcjonalnym wnętrzu i pokręciła głową.

– Sądzę, że przeżyję.

Była już trochę zrelaksowana, więc Austin uznał, że czas poruszyć mniej przyjemny temat. Najpierw jednak przyniósł jej wysoką szklanekę mrożonej herbaty.

– Chciałbym jeszcze raz porozmawiać o wydarzeniach minionej nocy. Na wypadek gdyby coś umknęło, chętnie omówiłbym wszystkie fakty – zaczął bardzo uprzejmie.

Nina przełknęła łyk herbaty.

– Oczywiście – powiedziała i zaczęła po raz kolejny opowiadać o wydarzeniach zeszłego dnia.

Austin słuchał z półprzymkniętymi oczami. Wyglądał trochę jak śpiący lew. Chłonał każde słowo Niny i każdą zmianę tonu jej głosu. Pozwalał faktom krażyć chaotycznie po swej głowie i szukał sprzeczności z poprzednią relacją.

– Chyba ma pani rację. To nie był bandycki napad – stwierdził, kiedy Nina skończyła. – Bandyci zabiliby kilku ludzi, próbując ich obrabować. A z tego, co pani mówi, masakrę starannie zaplanowano.

– Może zrobili to terroryści z kręgów muzułmańskich fundamentalistów? – zaryzykował Zavalą. – W Algierii zabili tysiące ludzi.

– Niewykluczone, ale terroryści zwykle lubią rozgłaszać o swoich dokonaniach, a ci zrobili wszystko, by ukryć dowody. Po co fundamentaliści mieliby niszczyć rzeźbę? Poza tym martwi mnie całkiem coś innego. Do wysadzenia takiego kamienia potrzeba specjalistycznych materiałów wybuchowych.

– Co oznacza, że banda wiedziała o istnieniu rzeźby, zanim tu się zjawiała – stwierdził Zavalą.

– Właśnie. Przybyli przygotowani do podwodnego wysadzania.

– To niemożliwe! – wtrąciła Nina. Zaraz jednak, nieco mniej pewnie, dodała: – Nie wiem, jak mieliby się dowiedzieć o istnieniu rzeźby...

– Ja też nie – powiedział Zavalą. – Jest pani pewna, że mówili po hiszpańsku?

Nina energicznie kiwnęła głową.

– Z Tangeru można przejść do Hiszpanii przez Cieśninę Gibraltarską praktycznie na piechotę – powiedział Austin.

Zavalą pokręcił głową.

– To nic nie znaczy. Ja też mówię po hiszpańsku, a jestem Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia i nigdy nie byłem w Hiszpanii.

Nina coś sobie przypomniała.

– Och, właśnie! Całkiem zapomniałam o Gonzalezie.

– Kto to?

– Wolontariusz ekspedycji. Zapłacił za uczestnictwo przez firmę *non-profit*, która nazywa się Time-Quest. Wczoraj po południu rozmawiał z mężczyzną, jakimś obcym, który zjawił się dżipem. Gonzalez twierdził, że przybysz zgubił drogę. Wydało mi się to dość dziwne.

– Logiczne przypuszczenie – stwierdził Austin. – Może nic się za tym nie kryć, ale każę sprawdzić Time-Quest. Zobaczymy, czy mają jakieś dane o Gonzalezie. Podejrzewam, że zginął z pozostałymi.

– Nie widziałam go w trakcie masakry. Nie wiem, jak miałby uciec.

– A co z poduszkwocem, który gonił Ninę? – spytał Austina Zavalą. – Może to jest jakiś trop?

– Z tego, co zdołałem dostrzec spod powierzchni wody, był to zwykły model. Sądzę, że angielski griffon. Dzwoniłem już do NUMA i poprosiłem o sprawdzenie listy właścicieli wszystkich griffonów. Nie może ich być zbyt wielu. Podejrzewam jednak, że akurat ten egzemplarz został kupiony przez fikcyjną firmę.

– Co oznacza, że trudno go będzie odnaleźć.

– Tak, ale warto spróbować. – Austin zapatrzył się w przestrzeń i myślał. – W dalszym ciągu nie mamy odpowiedzi na najważniejsze pytanie: dlaczego ktoś chciał zlikwidować niewinną ekspedycję archeologiczną?

Nina, która siedziała z brodą opartą na dłoni, stwierdziła:

– Może nie była taka niewinna...

– Co ma pani na myśli?

– Moim zdaniem wszystko kręci się wokół olmeckiej rzeźby.

– A ja mam ciągle problem z uwierzeniem w jej olmeckie pochodzenie.

Zwłaszcza że z całości pozostała kupka gruzu.

– Niech pan nie zapomina, że Sandy stwierdziła to samo co ja, a jest jednym z najbardziej szanowanych specjalistów z zakresu sztuki środkowo-amerykańskiej w naszym kraju. Robiła dokumentację i pracowała w terenie na wszystkich istotnych stanowiskach, takich jak Tikal, i przy wielu mniej znanych, ale także znaczących odkryciach.

– Dobrze, załóżmy, że pani i Sandy macie rację. Dlaczego ta rzeźba miała wielkie znaczenie?

– Mogłaby wstrząsnąć środowiskiem historycznym i archeologicznym. Przez lata zastanawiano się, czy przed Kolumbem dochodziło do kontaktów między Starym a Nowym Światem.

– Chodzi o Leifa Erikssona i wikingów? Sądziłem, że jest to udowodnione – stwierdził Zavalá.

– Tak, choć niechętnie to zaakceptowano. Tu chodzi jednak o kontakt transatlantycki setki lat przed wikingami. Chodzi o to, że nikt tego nie zdołał potwierdzić naukowo. Olmecka głowa byłaby pierwszym i wystarczającym dowodem.

Austin uniósł brew.

– No i co z tego?

– Przepraszam? – Nina była niemal obrażona.

– Mówi pani, że rzeźba jednoznacznie dowodziłaby istnienia kontaktów między półkulami przed Kolumbem. To fascynujące i z pewnością kontrowersyjne. Jakie znaczenie mogłaby jednak mieć dla osób spoza kręgu archeologów, historyków i Rycerzy Kolumba? Innymi słowami: co w niej było takiego, że zmusiło do zabijania?

– Aha... rozumiem – powiedziała nieco łagodniej Nina. – Nie wiem, mogę powiedzieć tylko tyle, że moim zdaniem napad spowodowało odkrycie głowy.

– Nikt w obozie nie wiedział o pani znalezisku?

– Nikt. Dowiedzieliby się o nim w odpowiednim czasie. Z etycznego punktu widzenia powinnam natychmiast poinformować o nim profesora Knoxa i doktora Fisela. Od razu podejrzewałam, że znalazłam coś pochodzenia olmeckiego. Wydawało się to jednak tak fantastyczne, że chciałam przed ogłoszeniem znaleźć zyskać potwierdzenie. Dlatego skontaktowałam się z Sandy.

– Czy to znaczy, że poza panią, jedyną osobą posiadającą dowód odkrycia, była pani koleżanka na uniwersytecie?

– Tak, ale Sandy nikomu nic by nie zdradziła. Dzięki Bogu wstępne dane są bezpieczne w jej rękach. – Przerwała na chwilę. – Muszę jak najszybciej jechać do domu.

– Płyniemy w kierunku półwyspu Jukatan. Chcemy sprawdzić miejsce uderzenia asteroidy, która być może spowodowała wyginięcie dinozaurów. Spędzimy tam jeden dzień – powiedział Austin. – Z największą przyjemnością będziemy panią gościć. Potem możemy panią wysadzić w Marrakeszu. Stamtąd można złapać samolot do Nowego Jorku. Dałoby to pani nieco czasu na odpoczynek i zebranie myśli.

– Dziękuję – odparła Nina. – Jeszcze jestem nieco rozdygotana, ale czuję się tu bezpiecznie.

– Zaraz będzie pani więcej niż bezpieczna... zostanie pani dobrze nakarmiona.

– Muszę tylko zawiadomić uniwersytet o losie ekspedycji i profesora Knoxa. Wydział antropologii poniósł wielką stratę. Profesor był instytucją. Wszyscy go uwielbiali.

– Dobrze – odparł Zawała. – Zaprowadzę panią do pomieszczenia radiowego.

Kiedy wyszli, Austin przyniósł sobie szklankę mrożonej kawy. Wrzucił do środka łyżeczkę bitej śmietany i wpatrywał się w brązowy płyn, jakby odpowiedź na łągłówkę Niny kryła się w wirujących kręgach w szklance. Cała historia była nielogiczna. Kiedy kilka minut później Zawała i Nina wrócili, nie przybliżył się ani o krok do rozwiązania zagadki.

– Ale szybko – stwierdził na ich widok. – Nie połączyła się pani z uniwersytetem?

Zawała był niezwykle rzeczowy.

– Połączyliśmy się natychmiast, Kurt.

Austin zauważył, że oczy Niny są mokre od łez.

– Rozmawiałam z administracją – wydusiła z siebie. Twarz miała koloru popiołu. – Z początku nie chcieli nic powiedzieć, ale czułam, że coś ukrywają. Boże! Co się dzieje?

– Nie rozumiem – odparł Austin, choć domyślał się, co zaraz usłyszy.

– Sandy nie żyje – wyjaśniła Nina.

## 8

Austin leżał na koi. Wpatrywał się w sufit i słuchał z zazdrością cichego pochrapywania Zavali, dolatującego z drugiego końca kabiny. Tak jak przewidział, szef kuchni nie pożałował ziół i oliwy, ale to nie żołądek nie pozwalał Austinowi zasnąć. Czuwać kazał mózg. Niczym pracowity urzędnik, porządkował wydarzenia dnia i nie zamierzał dać Austinowi odpocząć.

Rejs próbny „Nereusa” miał być dziecinną zabawą, wytchnieniem między kolejnymi prowadzonymi przez NUMA, bardziej wymagającymi badaniami niezwykłych i groźnych tajemnic, kryjących się na powierzchni i w głębinach oceanów. Nieoczekiwanie zjawiała się ścigana przez psy piekiel Nina i niemal dosłownie wpadła mu w ramiona. Może tak naprawdę nie pozwalała mu zasnąć myśli o uroczej młodej kobiecie w kabinie obok?

Popatrzył na fosforyzujące wskazówki swego chronosporta. Trzecia. Kiedyś zaprzyjaźniony lekarz mówił mu, że o trzeciej nad ranem żegna się z tym światem najwięcej śmiertelnie chorych ludzi. Myśl ta wyciągnęła go z łóżka. Założył grube spodnie od dresu, nylonową wiatrówkę i znoszone, lecz bardzo wygodne żeglarskie buty. Cicho, by nie obudzić Zavali, wyszedł na korytarz i ruszył cztery pokłady w górę na mostek.

Drzwi sterówki były otwarte, by do środka mogło wpadać nocne powietrze. Austin wetknął głowę do wnętrza. Wachtę miał młody marynarz, Mike Curtis. Siedział na krześle z nosem w książce.

– Cześć, Mike – przywitał się Austin. – Nie mogłem zasnąć. Masz ochotę na towarzystwo?

Marynarz uśmiechnął się i odłożył książkę na bok.

– Jasne. Trochę tu nudnawo. Kawy?

– Poproszę. Bez cukru i mleka.

Kiedy Mike nalewał dwa parujące kubki, Austin wziął do ręki książkę. Dotoczyła geologii.

– Dość ciężka lektura jak na psią wachtę.  
– Chciałem się trochę przygotować do oględzin na Jukatanie. Naprawdę sądzisz, że zniknięcie dinozaurów spowodowała kometa albo meteoryt?  
– Jeśli w Ziemi wali obiekt wielkości Manhattanu, to i owo musi zostać zakłócone. Innym pytaniem jest oczywiście, czy wielkie jaszczury już nie były na wymarciu. Badanie planktonu, które zamierzamy przeprowadzić, powinno zakończyć szereg sporów. Z drugiej strony, cóż za ironia, że małeńkie jednokomórkowe stwory mają nam dostarczyć informacji na temat tego, co się stało z największą formą życia, jaka kiedykolwiek istniała na Ziemi.

Rozmawiali jeszcze chwilę. W końcu Mike musiał wrócić do rutynowych zadań. Austin dopił kawę i poszedł przez kabinę radiooperatora do znajdującej się z tyłu mostka kabiny nawigacyjnej. Dzięki otaczającym ją panoramicznym oknom, można było stąd dowodzić podczas manewrowania statkiem do tyłu.

Austin rozłożył na stole nawigacyjnym mapę wybrzeża Maroka i literą X zaznaczył ich obecną pozycję. Studiował mapę z wydętymi w koncentracji wargami. Wodził wzrokiem po krzywiźnie między Gibraltarem a Saharą, która na afrykańskim kontynencie w kształcie czaszki była „potylicą”. Po kilku minutach pokręcił głową. Mapa niczego nie ujawniała. Poduszkowiec mógł przybyć zarówno z łądu, jak i z morza.

Przyciągnął sobie krzesło, położył nogi na stole i zaczął czytać wpisy w logbuchu. Jak na razie rejs przebiegał idealnie. Atlantyk przekroczyli gładko, bez żadnych problemów. Potem zatrzymali się na krótko w Londynie, by wziąć na pokład grupę europejskich naukowców. Spędzili kilka miłych tygodni na Morzu Śródziemnym, testując pojazdy podwodne. Dwa dni temu stanęli u wybrzeża Maroka.

Bez względu na to, jaką miarę do niej przykładać, opowieść Niny była dziwaczna. Atak poduszkowca i zakrwawione dowody na miejscu obozowiska przekonały jednak Austina, że kobieta mówiła prawdę. Straszliwa wiadomość o śmierci koleżanki usunęła ostatni cień wątpliwości. Wypadek samochodowy. Bardzo wygodne. Skrytobójcy mieli długie ręce. Skasowali dane, które Nina przesłała do uniwersytetu. Teraz pani Kirow była jedyną osobą, mającą wiedzę z pierwszej ręki o tajemniczej olmeckiej rzeźbie i wystarczającym autorytecie, by uwierzono, że widziała artefakt. Austin cieszył się, że Nina jest bezpieczna w kabinie i śpi dzięki łagodnemu środkowi uspokajającemu, zaordynowanemu przez współlokatorkę.

Wyszedł na zewnątrz i oparł się o reling biegnący wokół niewielkiej platformy za kabiną nawigacyjną. Z wyjątkiem kilku miejsc, gdzie reflektory rozświetlały fragmenty białych nadbudówek, statek był zaciemniony. Za zasięgiem światła zaczynała się nieskończona aksamitna ciemność. Jedyny dowód, że niecałe pięć kilometrów dalej leży wielki kontynent, to dolatujący do nozdrzy Austina zapach gnijącej roślinności. Afryka. Zadawał sobie py-

tanie, ile takich ekspedycji jak Niny zniknęło w jądrze ciemności. Być może nikt nie pozna prawdy.

Dość filozofowania. Austin ziewnął i zaczął się zastanawiać, czy wracać na mostek, iść do kabiny, czy zostać na zewnątrz i popatrzeć jak wschodzi słońce. Zwlekał z decyzją. Chłonał piękno nocy. „Nereus” przypominał odpoczywającego potwora. Austin uwielbiał atmosferę śpiącego statku, cichy szum układów elektrycznych, poskrzypywania i pojękiwania stojącej na kotwicy jednostki.

Donk!

Austin pochylił się do przodu i nadstawił ucha. Brzęk doleciał z dołu. Metal uderzył w metal.

Donk! Szczęknięcie powtórzyło się.

Dźwięk nie był głośny, ale nie pasował do zwykłych odgłosów statku. Zaciekawiony, Austin cicho zszedł na pierwszy poziom i ruszył pustym pokładem, lekko przeciągając dłonią po wilgotnym relingu. Zatrzymał się. Jego palce trafiły na twardą wypukłość. Zobaczył hak trójzębu, używanego do zarzucania lin, owinięty dla stłumienia dźwięku materiałem. Powiódł dalej palcami. Poczul nagi trzpień, który przy uderzeniu w burtę spowodował brzęknięcie.

Austin odsunął się w cień i wyjrzał przez reling. Z dołu, z okolicy linii wodnej, dochodził cichy szelest. Mógł oczywiście powstawać w wyniku uderzeń lekko sfalowanej wody o kadłub. Austin przyłożył dłoń do ucha.

Od tła odgłosów morza odseparował szepty. Dostrzegł poruszające się cienie.

Nie czekał na możliwość zapytania, czy wkradający się na pokład ludzie to wrogowie czy przyjaciele. Jego zdaniem odpowiedź była oczywista. Pobiegnął sprintem do najbliższych schodów i zszedł z powrotem na poziom z kabinami. Kilka chwil później szarpał Zawałę. Współmieszkaniec zawsze spał jak zabity, ale miał niesamowitą zdolność błyskawicznego przejścia do stanu pełnego czuwania, jakby za sprawą naciśnięcia jakiegoś wyłącznika. Zawała wiedział, że Austin nie budziłby go bez konieczności. Mruknął na znak, że jest gotów do działania. Przewrócił się na bok i zsunął nogi na podłogę. Założył białe, służbowe szorty oraz podkoszulek.

Austin podniósł pokrywę szafki w stopach łóżka i pogrzebał w swoich rzeczach. Wyciągnął skórzaną kaburę. Po sekundzie trzymał w dłoni oprawioną w rzadki gatunek drewna rękojeść rugera redhawka. Dzięki grubej lufie o długości dziesięciu centymetrów, wyprodukowany do strzelania nabojami magnum kaliber 375, rewolwer przerobiony na zamówienie przez firmę Bowen, był nie za wielki, a mimo to dysponował straszliwą siłą ognia.

Zawała nazywał bowena „Armatą Kurta”. Twierdził, że strzela się z niego bolcami do przybijania szyn kolejowych. Prawda była jednak taka, że rewolwer został przygotowany do wystrzeliwania specjalnych naboji kaliber 50.

– Mamy towarzystwo – powiedział Austin, sprawdzając pięcionabojoy bębenek. – Od sterburty. Wchodzą po zarzucanych na hakach linach. Mogą być też inni. Potrzebujemy broni.

Zavala rozejrzał się wokół.

– Ja to mam szczęście – powiedział zrzędliwie. – Przypominam sobie, jak ktoś mi mówił, że to będzie wycieczka jak statkiem dla nowożeńców. Nie wziąłem ze sobą nawet kapiszonowca. Nie sądziłem, że przyjdzie nam przepędzać barbarzyńskich piratów.

Austin przewiesił kaburę przez ramię.

– Ja też nie. Dlatego nie mam zapasowych naboji. Tych wystarczy na pięć strzałów.

Zavala rozpromienił się.

– A co z londyńskim zakupem?

Austin znów sięgnął do szafki i wyciągnął z niej błyszczące płaskie pudło.

– Cacka Joe Mantona? Cholera, czemu nie?

Zavala wyjął z szuflady nóż do nurkowania.

– Moim arsenałem będzie ta wykałaczką.

– Cóż, wobec tak marnych środków będziemy musieli improwizować.

– Nie pierwszy raz – stwierdził Zavala i pokręcił głową.

Austin ruszył do drzwi.

– Podejrzewam, że szukają doktor Kirow. Pójdę po nią i obudzę wszystkich na tym poziomie. Ty zbierz resztę załogi oraz naukowców. Musimy wsadzić ich do dziobowego pomieszczenia z pędnikami, tego przed kabinami mieszkalnymi.

– Dość ciasna kwatery.

– Wiem, ale z wodoszczelnymi drzwiami. Nie możemy pozwolić, by po pokładzie biegali nie uzbrojeni doktorzy nauk i zwykli marynarze. Napastnicy albo ich zraniają, albo wezmą jako zakładników. Niestety, „Nereus” to statek badawczy, a nie okręt wojenny.

– Zaczynam tego żałować. – Cicho jak cień Zavala zniknął na prowadzących w dół schodach.

Na pukanie Austina drzwi sąsiedniej kabiny otworzyła zaspana oficer-lekarka. W krótkich słowach kazał jej się ubrać i poszedł budzić Ninę. Była lekko oszołomiona od leków. Kiedy jednak zobaczyła skupienie na twarzy Austina, jej oczy otworzyły się szeroko niczym gwałtownie pchnięte od środka okiennice.

– Wrócili, prawda? – spytała zachrypniętym od snu głosem.

Austin potwierdził ruchem głowy. Kilkanaście sekund później krążył wraz z dwoma kobietami pomiędzy kabinami. W wąskim przejściu zgromadziło się już kilkunastu niezadowolonych ludzi w najróżniejszych strojach do spania. Widać było kilka w pośpiechu skomponowanych zestawów nie pasujących do siebie sztuk garderoby.

– Żadnych pytań – rozkazał Austin tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Poprowadził zaspaną grupę schodami na najniższy pokład. Zawała już czekał z pozostałymi. Jak kowboje podczas spędu bydła, wepchnęli wahający się tłumek do przedziału dziobowego przed kwatery załogi. Naukowcy i marynarze zaczęli się wpychać między pędniki dziobowe, wykorzystywane do stabilizowania statku na otwartym morzu.

Austin nie marnował czasu na szczegółowe wyjaśnienia.

– Powiem krótko. Na statek dostała się grupa uzbrojonych napastników. Nie otwierajcie tych drzwi, póki nie będziecie mieli pewności, że stoję za nimi ja albo Joe.

– Co pan zamierza? – pisał któryś z naukowców.

Cholerne naukowe umysły, zaklął w duchu Austin. Ciągłe muszą zadawać pytania. Czas nie był jednak odpowiedni na jego zwykłą bezpardonową szczerłość.

– Proszę się nie martwić. Ja i Joe mamy plan – odparł z przekonaniem. – Niedługo wrócimy. – Szybko wyszedł do części mieszkalnej i zatrzasnął drzwi tuż przed przestraszonymi twarzami.

– Mówiłeś jak Terminator – ocenił Zawała, który szedł tuż za Austinem. – Miło słyszeć, że mamy plan. Zdradzisz mi, jaki?

Austin położył swą wielką dłoń na barku Zawali.

– Bardzo prosty, Joe. We dwóch wykopimy tych drani ze statku.

– To ma być plan?

– Może wolisz ich grzecznie poprosić, by sobie poszli?

– Dobra, dobra. Od czego zaczynamy?

– Musimy jak najszybciej dostać się na mostek. Z pewnością tam od razu udadzą się nasi nieproszeni goście.

– Skąd wiesz?

– Bo ja bym tak zrobił. Można stamtąd za jednym zamachem przerwać komunikację między poszczególnymi częściami statku i przejąć kontrolę nad jednostką. – Austin ruszył pospiesznie do najbliższych schodów. – Próbuje się nie pokazywać. Jeśli mamy do czynienia z tą samą bandą, która zlikwidowała ekspedycję, to mój pistolecik nie poradzi sobie z bronią maszynową.

Wewnętrznymi schodami wspięli się na sześć pokładów i dotarli na mostek. Zatrzymywali się na każdym poziomie i rozglądali uważnie. Nigdzie jednak nie dostrzegli śladu obecności intruzów. Na pokładzie tuż pod mostkiem rozdzielili się. Zawała poszedł na przód ostrzec wachtowego. Austin obudził kapitana, który spał w kabinie pod sterówką. Streścił mu sytuację i poradził się ukryć.

Kapitan Joe Phelan, weteran NUMA, miał pięćdziesiąt parę lat, twarz poorly zmarszczkami i był twardy jak pąkla. Na sugestię Austina zareagował prychnięciem.

– Przyglądałem się, jak kładziono stępkę „Nereusa” – wyrzucił z siebie. W jego orzechowych oczach tańczyły ogniki złości. – Czekałem trzy-

dzieści lat, by dostać ster takiego statku, jak ten i prędzej mnie cholera weźmie, niż schowam się w szafie, kiedy ktoś na niego napada.

Phelan umiał sprawić, że „Nereus” poruszał się z lekkością baletmistrza. Austin nie był jednak pewien, jak kapitan się zachowa w bezpośredniej walce. Z drugiej strony próba dotarcia do pomieszczenia z pędnikami byłaby ryzykowna. Napastnicy mogli już się rozejść po całym statku.

Phelan zapiął suwak marynarskiego kombinezonu i zdjął z uchwytu na ścianie samopowtarzalną strzelbę.

– To tylko czterystadziesiątka – powiedział przepraszająco. – Ale nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchnie bunt na pokładzie. – Widząc, jak Austin ze zdziwieniem marszczy czoło, dodał: – Czasami strzelam do rzutków.

– Tym razem będą odpowiadać ogniem.

Phelan wyjął dwa pudełka naboju i wrzucił je Austinowi do płóciennej torby. Pospieszyli na mostek.

Zanim weszli do sterówki, Austin cicho zawołał:

– Joe, to my.

Ostrzeżenie było dobrym pomysłem, ponieważ kiedy weszli do środka, przywitał ich widok lufy raketnicy.

Zawała opuścił broń.

– Mike wysyła SOS.

Młody marynarz, z którym Austin niedawno pił kawę, wszedł do sterówki z kabiny radiooperatora.

– Nastawiłem aparaturę na automatyczne nadawanie SOS. Będzie też przekazywać informację o naszej pozycji, aż ktoś nie wyłączy urządzenia.

Austin nie miał wielkiej nadziei na przybycie kawalerii. Statek znajdował się wiele mil morskich od cywilizacji. Muszą zrobić swoje bez pomocy z zewnątrz.

– Sądzę, że przez jakiś czas nie będziesz się nudził – powiedział Austin do stojącego z rozszerzonymi oczami marynarza.

– Chyba nie. Co mam robić?

– Za późno, byś szedł na dół do reszty załogi. Wejdz na dach mostka i połóż się w miejscu, z najlepszym widokiem na pokład. Kapitanie, kiedy dam znak, chcę, by „Nereus” został oświetlony jak Broadway i Czterdziesta Druga ulica, ale mostek niech zostanie zaciemniony.

Phelan kiwnął głową. Bez żadnych pytań podszedł do konsoly i położył dłonie na przyciskach. Austin i Mike ruszyli na prawe skrzydło mostka. Zawała zajął pozycję na lewym.

Kiedy Mike zaczął się wspinać na dach, Austin dał mu ostatnie instrukcje.

– Kiedy zapalą się światła, policz wszystkich obcych i zapamiętaj ich pozycję. My zrobimy to samo tutaj. Trzymaj głowę nisko.

Kiedy wszyscy znaleźli się na stanowiskach, Austin krzyknął do kapitana:

– Czas na przedstawienie!

Statek wyposażono w ustawione pod wszelkimi możliwymi kątami reflektory, by naukowcy mogli w nocy pracować, tak samo jak w dzień. Palce Phelana zatańczyły na konsolocie. „Nereus” rozjarzył się światłami niczym statek pasażerski krążący po Morzu Karaibskim. Każdy pokład został zalany światłem.

Dwa pokłady niżej Austin zobaczył zamierające trzy postacie. Po chwili nieznani osobnicy rzucili się w poszukiwaniu kryjówki jak zaskoczone w spizarni karaluchy.

– Gasić! – krzyknął.

Światła zgasły.

– Trzech na dachu garażu pojazdów podwodnych! Idą na nas. Nikogo z przodu! – zawołał z góry Mike.

– Kładź się płasko i nie wystawiaj głowy – nakazał Austin i wszedł na mostek. Z drugiej strony pojawił się Zavala.

– Trzech po mojej stronie, trzy pokłady niżej. Ubrani jak ninja.

– To samo u mnie. Mike widział trzech idących od pokładu rufowego. To dziewięciu, o których wiemy. Kapitanie, czy Joe może pożyczyć od pana strzelbę? Ma nieco więcej doświadczenia w celowaniu do... eee... rzutków.

Kapitan zdawał sobie sprawę z różnicy między zdejmowaniem z nieba glinianych talerzyków a strzelaniem tak, by zabić. Podał broń Zawali.

– Odbezpieczona – powiedział spokojnie. Za radą Austina wszedł do kabiny radiooperatora, gdzie na pewno nie wejdzie nikomu w drogę.

Austin i Zavala stanęli plecami do siebie na środku ciemnej sterówki. Skierowali broń do otwartych po obu stronach drzwi. Czekali jedynie kilka minut na pojawienie się nieproszonego towarzystwa.

## 9

W prawych drzwiach zmaterializowały się dwie postacie. Przybysze stali jeden za drugim. Byli znakomicie widoczni na tle granatowej ciemności. Nie starali się chować. Okazało się to dla nich fatalną pomyłką. Wykorzystując okazję, Austin wycelował w pierwszego intruza i pociągnął za spust. Przypominający grzmot odgłos wystrzału bowena wstrząsnął szymbami sterówki. Pocisk kaliber 50 wbił się w mostek napastnika numer jeden, rozsądził go na drobne kawałki, wyszedł tyłem klatki piersiowej i przeszył serce napastnika numer dwa. Impet uderzenia był tak wielki, że obaj intruzi polecili do tyłu. Trupy z łoskotem wypadły za reling.

Huknęła strzelba. Austin, gwałtownie się odwrócił. Dzwoniło mu w uszach. Przez chmurę dymu zobaczył bezczelnie wchodzącego do sterówki kolejnego napastnika. Strzał Zawali poszedł w bok, śrut wyrwał na wysokości głowy mężczyzny wielką dziurę we framudze drzwi. Zawała błyskawicznie zarepetował i ponownie wystrzelił. Tym razem śrut dotarł do celu. Intruz krzyknął i cofnął się, puścił przy tym krótką, chaotyczną serię z pistoletu maszynowego. Pociski rozleciały się beładnie. Niestety, nie wszystkie.

Jedna kula zadrapała skórę na żebrach Austina i przeszła przez ciało pod jego lewą pachą. Miał wrażenie, jakby smagnięto go rozpalonym do czerwoności drutem kolczastym.

Zawała z niesmakiem kręcił głową. Nie zauważył, że Austin przykleka na jedno kolano.

– Celowałem prosto w niego... – powiedział z niedowierzaniem. – Przy tej odległości... nie mogłem nie trafić.

Z kabiny radiooperatora wyskoczył kapitan. Ze złością walnął się pięścią we wnętrze dłoni.

– Cholera! Zapomniałem panu powiedzieć, że ta staruszka ściąga w prawo. Trzeba celować trzy centymetry w lewo.

Zawała odwrócił się i zobaczył Austina na ziemi.

– Kurt! – zawołał z niepokojem. – Nic ci nie jest?

– Bywało lepiej – odparł Austin, zaciskając zęby.

Lata na morzu sprawiły, że w sytuacjach krytycznych kapitan Phelan reagował jak błyskawica. Natychmiast przyniósł apteczkę. Podczas gdy Zawała pilnował terenu, chodząc od jednego skrzydła mostka do drugiego, Phelan założył Austinowi opatrunek, który zahamował krwawienie.

– Dziś pana szczęśliwy dzień – stwierdził. – Kula minęła kość.

– Szkoda, że nie mam czasu zagrać na loterii. – Przy pomocy kapitana Austin wstał. – Przygwoździłem dwóch jednym strzałem. Niestety, zabrali swoją broń za burtę.

– Znów muszę się wstydzić – powiedział Zawała. – Ja mojego chyba tylko raniłem.

– Podejrzewam, że liczyli na to, iż zaskoczą nas we śnie, nie uzbrojonych. Zachowywali się dość chwacko. Następnym razem sprawdzą nas, zmuszą do strzelania, by oszacować, czym dysponujemy. Dość szybko się zorientują, że statek jest praktycznie pusty i skoncentrują wszystkie siły na mostku. Lepiej będzie, by nas do tego czasu tu nie było.

– Możemy poruszać się po statku przewodami powietrznymi – powiedział kapitan. – Znam je lepiej od własnego salonu.

– Znakomity pomysł. Nasza partyzancka operacja będzie znacznie bardziej skuteczna, jeśli zaczniemy pojawiać się tam, gdzie najmniej się nas spodziewają. Celujcie starannie. Ci faceci są niebezpieczni, ale nie nietykalni. Zawalili sprawę. Dwa razy pozwolili uciec Ninie. Teraz zachowali się nieco za odważnie i ponieśli straty. To oznacza, że popełniają błędy.

– My też – stwierdził Zawała.

– Jest tylko jedna różnica. Nas na błędy nie stać.

Zabezpieczyli drzwi sterówki i poszli do kabiny radiooperatora. W dalszym ciągu w ciemność szło SOS. Austin był ciekaw, kto odbierze sygnał i co zrobi. Podniósł bowena zdrową ręką. Rewolwer ważył jednak zbyt wiele; drżał na boki.

– Nie wyceluję dobrze. Weź go ode mnie.

Zawała wetknął raketnicę za pas i przejął bowena. Joe oddał strzelbę kapitanowi i poprosił go o pilnowanie drzwi.

– Niech pan pamięta, ściąga w prawo. – Wyważył rewolwer w dłoni. – Dwa ptaszki za jednym zamachem. Dobry strzał. Czterema nabojami, które nam zostały, załatwimy pozostałą ósemkę.

– Gdyby ustawili się jeden za drugim, moglibyśmy ich zdmuchnąć jednym, ale na to bym nie liczył – odpowiedział Austin. Wyjął płaskie drewniane pudło. – Nie wszystko jednak stracone. Mamy mantony.

Kącki ust Zawali skrzywiły się ironicznie.

– Biedacy nie mają szansy z jednostrzałowymi pistoletami do pojedynkowania się – powiedział ponuro.

– To nie są pierwsze lepsze pistolety do pojedynkowania się.

W pudle, w przegródkach wyściełanych zielonym sukniem, leżała para niemal identycznych starodawnych pistoletów skałkowych. Błyszczące brązowe lufy były z zewnątrz ośmiokątne. Wypolerowane na wysoki połysk rękojeści zaginały się jak rączka laski.

Podczas przystanku w Londynie Austin poszedł do antykwariatu przy Brompton Street, gdzie już przedtem dokonywał dobrych zakupów. Właściciel, starszy pan o nazwisku Slocum, twierdził, że pistolety trafiły do niego w wyniku likwidacji pewnej posiadłości. Austin nawet bez patrzenia na plakietkę w futerał, a jedynie na podstawie jakości wykończenia wiedziałby, że ma przed sobą dzieło Josepha Mantona. Joe i jego brat John byli w osiemnastym wieku najznakomitszymi rusznikarzami w Anglii, kraju, gdzie produkowano wówczas najlepsze pistolety pojedynkowe. Pistolety Mantona nie miały ozdób. Wyróżniały się za to cechami, które liczyły się w walce o honor. Charakteryzowała je mechaniczna precyzja. Kiedy Austin usłyszał astronomiczną cenę, zawahał się.

– Mam już mantony w kolekcji – stwierdził.

Slocum nie dał za wygraną.

– Te dwa pan Manton zrobił na specjalne zamówienie – odparł, jakby rusznikarz żył. – To broń dla drania.

Austina nie obraziło to określenie. Doskonale rozumiał, co antykwaryusz ma na myśli. Pistolety skonstruowano tak, by dawały właścicielowi zabezpieczenie. Dzięki kreatywnemu połączeniu możliwości czeków podróżnych i karty kredytowej American Express, Austin wyszedł ze sklepu z zażytkową bronią.

Kiedy po raz pierwszy pokazał nabytek Zawali, Joe wyciągnął rękę z pistoletem do pełnego wyprostu.

– Jakby przeważał na lufę – stwierdził.

– Bo tak jest – wyjaśnił Austin. – Tacy rusznikarze, jak Manton doskonale wiedzieli, że patrzenie w lufę kaliber pięćdziesiąt dziewięć może nieco zdenerwować. Pojedynkujący się ludzie mieli skłonność do trzymania broni wysoko, więc lufę tak wyważono, by zmuszać do celowania nisko. Nacięcia na rękojeści i ostroga na spuście pod palec środkowy mają ułatwić spokojne namierzanie celu.

– Z jaką precyzją to strzela?

– Pojedynki rozstrzygał los. Gwintowanie luf mogło narazić na zarzut o morderstwo. – Wyjął drugi pistolet z futerału. – Ten ma „ślepy gwint”. Nacięcia kończą się kilka centymetrów przed wylotem lufy. Przy zaglądaniu w lufę ich nie widać, ale jest wystarczająco nacięta, by dać przewagę. Przy odległości wahającej się między trzy a pięć metrów, powinno to wystarczyć do celnego strzału.

Teraz, w kabinie radiooperatora, Austin szybko podniósł pistolet i popatrzył wzdłuż dwudziestopięciocentymetrowej lufy, jakby była przedłużeniem jego ramienia.

– Idealna rzecz dla jednorękiego.

Austin wcześniej dał Zavalę szybką lekcję ładowania. Mimo braku doświadczenia Joe wiedział, co ma robić. Płaska, gruszkowatego kształtu butelka z prochem, miała sprężynowe zamknięcie, które odmierzało odpowiednią porcję ładunku. Zawała bez problemu umieścił ciężką ołowianą kulę w lufie. Sypnął tylko zbyt wiele posypki na panewkę. Przygotowanie drugiego pistoletu potrwało krócej, a Zawała załadował go znacznie lepiej. Austin pochwalił przyjaciela, że byłby znakomitym sekundantem w pojedynku o honor, po czym jeden pistolet wetknął za temblak, a drugi wziął do ręki.

Uznali, że powrót przez sterówkę będzie zbyt niebezpieczny. Poszli więc do kabiny nawigacyjnej. Kapitan zaczął ostrożnie otwierać prowadzące na zewnątrz tylne drzwi. Z gotowym do strzału bowenem, Zawała wyjrzał przez szparę. Nikogo nie było. Wymknęli się w noc.

Austin cicho zawołał do Mike'a, żeby się nie podnosił. Zaproponował kompanom zejście zewnętrznymi drabinkami i próbę przebicia się w kierunku rufy, by odciągnąć napastników od regionu, gdzie chowali się naukowcy i załoga. On i kapitan zachodzili od sterburty, Zawała od bakburty. Równocześnie znaleźli się na pokładzie, którego przedłużenie tworzyło dach magazynu materiałów naukowych. Nadbudówka, gdzie znajdował się mostek, była wysoka na trzy piętra i sięgała niemal od burty do burty, czyli miała około szesnastu metrów. Jej dach służył jako parking dla niezatapialnych łodzi, z których prowadzono różne prace.

Widziano tam wcześniej trzech napastników. Austin przepatrywał cień. Pokład wydawał mu się idealnym miejscem na pułapkę. Martwił się, że bandyci mogą mieć noktowizory. Zajęcie pozycji na dachu było zbyt niebezpieczne.

– Znasz jakieś hiszpańskie obelgi? – szepnął do Zawali.

– Chyba żartujesz. Mój ojciec urodził się w Morales.

– Musimy jakoś wyciągnąć naszych gości z ukrycia.

Zawała chwilę się zastanowił, zwinął dłonie wokół ust i puścił hiszpańską wiąchę. Jedynym słowem, jakie Austin rozpoznawał, było *madre*, które zostało wielokrotnie powtórzone. Nic się nie wydarzyło.

– Nie rozumiem – stwierdził Zawała. – Latynosom zwykle odbija palma, kiedy się obraża ich matki. Może powinienem powiedzieć coś o siostrach.

Popłynął potok kolejnych obelg. Zawała krzyknął głośniejsze i z większym szyderstwem. Ledwie przebrzmiały echa ostatnich złośliwości, gdy z cienia za motorówkami wychynęły dwie postacie i puściły na pokład gęsty ogień z broni maszynowej. Austin, Zawała i kapitan schowali się za wielką windą towarową. Ogień ustał nagle. Napastnicy wystrzelali magazynki.

– Chyba im się nie spodobało – stwierdził Austin.

– Może to wynik mojego meksykańskiego akcentu. Jak sądzisz? To AK-74?

AK-74, popularnie zwany kałasznikowem, był nowym modelem ulubionej broni terrorystów.

– Też tak mi się wydaje. Trudno pomylić ten dźwięk...

Jego słowa zagłuszył paskudny klekot strzelającej broni maszynowej. Powietrze wypełniał wizz rykoszetujących pocisków, wystrzeliwanych z prędkością czteryście sztuk na minutę. Strzelanina znów się urwała.

Austin i Zavala wykorzystali przerwę. Wstali, by przesunąć się w miejsce, skąd mieliby czystą pozycję strzelecką. Nagle usłyszeli krzyk kapitana:

– Za wami!

Obaj mężczyźni odwrócili się jak na komendę. Ze znajdującego się tuż nad ich głowami pokładu, bezgłośnie zeskoczył cień. Austin dostrzegł go pierwszy. Płynnym ruchem uniósł zdrową rękę i pociągnął za spust. Nastąpiła chwila opóźnienia, kiedy iskry z krzemienia zapalały podsypkę na panewce. Po ciągnącej się w nieskończoność sekundzie, pistolet plunął z lufy ogniem jak smok z paszczy. Trafiony napastnik zrobił krok do tyłu i padł. Jego pistolet maszynowy zaklekotał o pokład.

Zavala zrobił ruch w kierunku broni, ale próba zdobycia jej teraz, kiedy płomień z lufy zdradził ich pozycję, była zbyt ryzykowna. Musiał chronić tyły. Kapitan i Austin podpełzli do najbliższych schodów. Zeszli niżej.

I tu strzelano ze wszystkich stron. Rozejrzeli się w poszukiwaniu kryjówki. Za późno. Kapitan krzyknął, złapał się za głowę i runął na pokład. Zavala złapał go za rękę i ściągnął w bezpieczne miejsce. Rozległy się kolejne strzały. Tym razem upadł Zavala. Pocisk przeszył mu lewy pośladek.

Siedzieli oparci plecami o przedział naukowy. Austin otworzył drzwi. Nawet nie sprawdzał, czy jest bezpiecznie. Złapał kapitana za kołnierzyk i wciągnął do środka. Potem pomógł Zawali, który pełził, wlokąc za sobą bezwładną nogę.

Austin zaryglował stalowe drzwi i rozejrzał się. Byli w jednym z „mokrzych” laboratoriów, zwanych tak z powodu wielkich wanien i bieżącego przepływu morskiej wody. Znał to pomieszczenie na wylot i bez trudu znalazł w szafce latarkę oraz apteczkę.

Obejrzał ranę Zawali. Odetchnął z ulgą. Pocisk wyszedł raną wylotową. Kiedy Austin robił opatrunek – co nie było wcale takie łatwe przy posługiwaniu się jedną ręką – Zavala celował z bowena w drzwi, którymi właśnie dostali się do laboratorium.

– Jak źle? – spytał w końcu Zavala.

– Przez jakiś czas nie będziesz miał ochoty siedzieć. Nic więcej. Nie sądzę, by wiedzieli, gdzie jesteśmy. Strzelali na oślep.

Zavala popatrzył na temblak Austina, potem na leżącego na brzuchu kapitana.

– Bardzo bym nie chciał być w pobliżu, kiedy zaczną celować.

Austin obejrzał głowę Phelana. Krótко obcięte siwiejące włosy były zakrwawione, ale rana wyglądała na powierzchowną. Kiedy Austin sychnął antyseptycznym proszkiem, kapitan jęknął.

– Jak się pan czuje?

– Łeb mi pęka i nie najlepiej widzę.

– Niech pan uzna to za kaca bez posmaku w ustach – poradził Austin.

Po zakończeniu zabiegów Austin popatrzył na zakrwawionych towarzyszy niedoli i pokręcił głową.

– To tyle, jeśli chodzi o wojnę partyzancką.

– Przykro mi, że zgubiłem strzelbę – powiedział kapitan.

– I powinno być panu przykro – odparł Zawała. – Mógłbym używać jej jako laski. – Rozejrzał się. – Widzicie coś, z czego dałoby się zmontować bombę atomową?

Austin zmużył oczy i przyjrzał się szeregom chemikaliów. Po jakimś czasie wziął do ręki pustą butelkę.

– Może udałoby się zrobić parę koktajli Mołotowa. – Spojrzał w stronę drzwi. – Nie możemy tu zostać. Łada chwila nas znajdzie. Widać krwawe ślady.

Austin pomógł towarzyszom przejść do następnego przedziału – garażu z wysokim sufitem, stanowiącego dom pojazdów podwodnych, kiedy nie penetrowały głębin.

– Co z koktajlami Mołotowa? – spytał Zawała.

Usta Austina wykrzywiły się w niezbyt przyjemnym uśmiechu, a w jego oczach zamigotała złość, która zmieniła ich kolor z błękitu wody nad rafą koralową w barwę wody z lodowca. Dowcipkowali, ale doskonale wiedzieli, że jeśli zawiodą, Nina i wszyscy na pokładzie zginą. Ludzie w sekcji dziobowej zostaną odnalezieni, a ubrani na czarno mordercy pozbędą się ich z tak samo zimną krwią, z jaką zmiotli z powierzchni ziemi ekspedycję archeologiczną. Austin obiecał sobie, że dopóki będzie w stanie oddychać, zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić.

– Zapomnij o koktailach – powiedział pozornie spokojnie, ale tak naprawdę z wściekłością w głosie. – Mam lepszy pomysł.

# 1 0

Austin oparł się o metalową skorupę aparatu podwodnego. Pod nieruchomym spojrzeniem podobnych do oczu luków na lewej burcie pojazdu przedstawił swój plan. Zawała siedział na skraju podmorskich sań i z uznaniem kiwnął głową.

– Typowa austinowska strategia, oparta na dokładnej co do sekundy koordynacji w czasie, niczym nie popartych założeniach i masie szczęścia. Biorąc pod uwagę, że jesteśmy przyparci do muru, uważam, że plan trzeba zrealizować.

Gdyby go dobrze pchnąć, Austin by się przewrócił, ale zachowywał się, jakby miał za sobą Piątą Dywizję Kawalerii. Z wystającą z zakrwawionego temblaka ręką, srebrnowłosa Austin bez problemu uszedłby za hollywoodzkiego pirata z filmu z Errolem Flynnem. Phelan stwierdził, że jeśli już musi walczyć o swój statek z tak złych pozycji, to ma szczęście, że ci dwaj szaleńcy są po jego stronie.

Po ustaleniu strategii wypelzli przez drzwi, które prowadziły z garażu pojazdów podwodnych na pokład rufowy. Tuż za wznoszącą się jak wieża nadbudówką magazynu materiałów naukowych, przywiązano do pokładu dwie furgonetki z kontenerami wykorzystywanymi jako laboratoria. Trzej mężczyźni obeszlili samochody i poszli na rufę, gdzie wznosiły się potężne, tworzące literę A dźwigary windy, używanej do spuszczenia pojazdów podwodnych na wodę i wciągania ich na pokład.

Okolica sprawiała wrażenie pustej. Austin wiedział jednak, że stan ten długo nie potrwa. Liczył na towarzystwo.

– Co mam robić? – spytał kapitan.

Austinowi zrobiło się przykro, że kiedykolwiek wątpił w dzielnego wilka morskiego.

– Z naszej trójki tylko pan ma sprawne ręce i nogi. Ponieważ w tej fazie operacji umysł nie jest istotny, musi się pan zająć brudną robotą.

Pod kierownictwem jednorękiego Austina, kapitan przyniósł z magazynu cztery baki z benzyną, używane na łodziach roboczych. Porozstawiał pojemniki równomiernie w jednej linii, biegnącej mniej więcej w połowie drogi między dźwigiem rufowym a furgonetkami-laboratoriami. Każdy tłoczony czerwony polietylenowy bak zawierał trzydzieści pięć litrów paliwa.

Po wykonaniu tej pracy kapitan dostał zawrotów głowy i musiał odpocząć. Austin, któremu też wirowało w głowie z powodu utraty krwi, nie mógł mieć o to do niego pretensji. Zawała znalazł pagaj, podparł się nim i zaczął kuśtykać po pokładzie jak Długi John Silver. Twierdził, że czuje się dobrze. Wkrótce jednak oparł się na bębnie kabla windy pokładowej i z bólu zacisnął zęby.

– Podejrzewam, że nie dostaniemy się zbyt szybko do banku krwi – stwierdził Austin. – Lepiej zróbmy przedstawienie, zanim się wszyscy poprzewracamy. Musimy ich zmusić, by do nas przyszli.

– Przesłać im pozdrowienia po hiszpańsku? Poprzednim razem zadziały.

Pamiętając gwałtowną reakcję, jaką wywołały obelgi Zawali na górnym pokładzie, Austin skinął głową.

– No to dawaj.

Zawała wziął głęboki wdech i najgłośniejszym jak umiał, wyrzucił z siebie strumień bluźnierstw, głównie pod adresem członków rodzin słuchaczy. Ojcowie, bracia i siostry byli pomawiani o wszelkie możliwe zbrocenia. Austin nie miał pojęcia, co mówi Zawała, ale sarkastyczny, zjadliwy ton nie pozostawiał wątpliwości, co do znaczenia zarzutów.

Podczas gdy Zawała zanęcał, Austin mocno złapał jeden z gumowych węży i dał kapitanowi znak, by odkręcił wodę. Wąż zadrgał jak żywy. Austin zaczął oblewać pokład.

Obelgi Zawali zagłuszały cichy chlupot. Austin tak trzymał wąż, by miniaturowa fala dotarła niemal do zbiorników z benzyną.

Tym razem rysztokowa sztuczka Zawali nie przyniosła rezultatu. Przeciwnik stał się ostrożny. Austin zaczął się niecierpliwieć. Wyciągnął pistolet zza temblaka, wycelował w powietrze i wystrzelił. Jeśli ich plan miały się nie powieść, jedna kula i tak nie zmieni sytuacji. Udało się jednak. Po niedługim czasie w słabym świetle księżyca z cieni wokół kontenerów towarowych wychynęły długie, mroczne duchy. Wkrótce zmaterializowały się w twory bardziej spektralne niż realne. Powoli sunęły w kierunku laboratorium.

Austin znów się przestraszył, że napastnicy mają noktowizory. Szybko jednak odrzucił myśl. Intruzi poruszali się ostrożniej niż poprzednio. Najwyraźniej jednak nie zamierzali zrezygnować z wykonania zadania. Austin spodziewał się, że za kilka sekund zapalą się silne reflektory i grad śmiertelnych pocisków zasypie pokład.

Fala czołowa była bardzo blisko kontenerów.

W ciemności zamigotały czerwone punkciki. Celowniki laserowe wskazały zabójcom cele ze stuprocentową dokładnością.

Austin dał Zavalę sygnał.

– Teraz!

Zawała siedział na środku pokładu ze wzrokiem utkwionym w ledwie widoczną linię piany, znaczącą granicę frontu wody. Podniósł oburącz bowena, wycelował w skrajny prawy bak i pociągnął za spust.

Rewolwer gruchnął jak mała haubica. Zbiornik z paliwem przestał istnieć. Na pokład trysnęła fontanna benzyny. Zawała szybko przeniósł broń w lewo. Wystrzelił kolejne trzy razy i kolejne trzy baki eksplodowały. Sto czterdzieści litrów wysokooktanowego paliwa utworzyło kałużę.

Austin kazał kapitanowi zwiększyć ciśnienie. Unosząca się na wodzie benzyna płynęła szybko do przodu. Otoczyła leżące na brzuchu postacie, które zamarały po pierwszym wystrzale mamuciego rewolweru. Napastnicy szybko wstali. Zanim jednak zdążyli się dobrze zastanowić, jak ryzykownie jest nosić przemoczone benzyną ubrania, było już za późno. Teraz do zmienienia pokładu w piekło, brakowało tylko iskry. Zawała z przyjemnością ją skrzesał.

Odrzucił na bok pustego bowena i chwycił raketnicę. Austin patrzył na czarne figurki.

– Dawaj! – krzyknął.

Zawała pociągnął za spust. Jarzący się pocisk poleciał płaskim łukiem w dół. Mknął, podskakując po pokładzie w fosforyzującej eksplozji płomyków przypominających serpentyny. Po chwili pokład buchnął płomieniami. Zawała musiał zasłonić twarz, by nie poparzył go ognisty podmuch.

Fala żółtych płomieni pomknęła w kierunku czarnych postaci. Kiedy płyn zapalił się jak napalm, stały się trójwymiarowe i bardzo wyraźne. Ogień, podsycany benzyną w ubraniach, błyskawicznie ogarnął ludzi i przemienił ich w płonące pochodnie. Wysoka temperatura wyssała powietrze z płuc. Napastnicy padali na pokład, zanim któremukolwiek udało się zrobić choć jeden krok. Z chmury kłębiącego się czarnego dymu, we wszystkich kierunkach wylatywały pociski z broni.

Austin nie przewidział tego efektu ubocznego. Wrzasnął na kapitana, by się schował. Pomógł to samo zrobić Zavalę. Kulili się za bębniem windy, aż strzały umilkły.

Ogień błyskawicznie spalił benzynę. Zgasł niemal tak szybko, jak wybuchł. Austin kazał Zavalę i kapitanowi pozostać w ukryciu. Sam ruszył na przód. Na pokładzie leżało w pozycji embrionalnej pięć ciał.

– Wszystko w porządku? – spytał Zawała.

– Tak, ale więcej nie przyjdą do nas na grilla.

– Uważaj, Kurt, jest jeszcze jeden! – krzyknął Zawała.

Austin odruchowo sięgnął za temblak. Stwierdził, że nie ma pistoletu. Odłożył go wcześniej na bok. Zamarł, kiedy z cienia za dźwigarem wysunął

się cień. Stał na otwartej przestrzeni. Bowen był pusty. On był martwy. Cze-kał na serię rozpalonego ołowiu. Stanowił idealny cel na tle płomieni, dogasających na powierzchni wody. Zawała i kapitan zginą w drugiej kolejności.

Nic podobnego się nie stało. Postać zaczęła uciekać do sterburty, gdzie były haki, na których zarzucono liny.

Austin zrobił krok do przodu, by gonić intruza. Zatrzymał się jednak. Nie uzbrojony, ranny i po prostu wykończony, mógł jedynie stać bez ruchu i słuchać kaszlnięcia zapalanego zaburtowego silnika. Zaczekał, aż terkot umilknie w oddali. Wrócił do kapitana i Zawała.

– Chyba źle policzyliśmy głowy – stwierdził Zawała.

– Chyba tak. – Austin wypuścił długo wstrzymywane powietrze. Miał ochotę się położyć i przespać, ale musiał zrobić jeszcze jedno. Mike ciągle leżał na dachu mostka, a załoga i naukowcy tkwili zabarykadowani w przedziale dziobowym.

– Zaczekajcie tutaj. Powiem pozostałym, że mogą wychodzić.

Obszedł zwęglone ciała i skierował się w stronę dziobu. Austin nie był zimnokrwisty, ale rezerwował pasję dla tych, którzy na to zasługiwali. Te czarno ubrane istoty, jeszcze do niedawna żywe, teraz zwęglone, zamierzały zabić jego oraz przyjaciół i kolegów. Nie mógł do tego dopuścić, a zwłaszcza, by coś złego stało się Ninie, którą darzył coraz większym uczuciem. Proste.

Na statek wtargnęła najwyraźniej ta sama ekipa, która zlikwidowała ekspedycję. Przybyli dokończyć robotę. Austin i reszta stanęli im jedynie na drodze. Skrytobójcy zostali tym razem powstrzymani. Stało się jednak jasne, że dopóki Nina Kirow żyje, końca nie będzie.

## 1 1

Monsoony, które suną nad Indie znad Morza Arabskiego, zrzucają najwięcej deszczu na pasmo górskie o nazwie Ghaty Zachodnie. Kiedy wilgotne prądy powietrzne dotrą do wyżyny Dekan na południowym wschodzie Indii, ilość opadów zmniejsza się do sześćdziesięciu centymetrów. Profesor Arthur Irwin stał w wejściu do jaskini. Patrzył na ścianę wody leżącej się z nieba koloru łupka. Nie bardzo mógł uwierzyć, że w okolicy spada rocznie tyle samo deszczu, ile na Londyn. Popołudniowy „deszczyk”, który właśnie się kończył, wystarczyłby do zalania gmachu Parlamentu.

Wyjście z jaskini znajdowało się na stromym zboczu wzgórza, wznoszącego się nad wąską doliną, niemal całkiem zarośniętą bujną roślinnością. Gęste lasy na południe od Gangesu to część Indii związana z najstarszymi legendami. Kiedyś okolica była uważana za niedostępną i niebezpieczną, nawiedzoną przez demony.

Irwiną mniej martwiły złe duchy. Bardziej niepokoił go los towarzyszy. Minęło sześć godzin od chwili, kiedy profesor Mehta i małowłny przewodnik wyruszyli do wsi. Znajdowała się ona mniej więcej godzinę marszu błotnistą drogą, zaraz za rzeką. Irwin miał nadzieję, że nagle wezbrana rzeka nie zniszczyła mostu. Westchnął. Nie mógł nic zrobić. Pozostawało jedynie czekać. Miał wystarczającą ilość zapasów jedzenia i dużo zajęć. Wrócił do jaskini. Przeszedł między dwoma kolumnami, zwieńczonymi łukiem ukształtowanym jak podkowa. Wkroczył do chłodnej głównej nawy, którą właściwie należało nazywać kaplicą.

Biedny Mehta. W końcu to on zainicjował ekspedycję. Był tak podniecony, kiedy zadzwonił.

– Potrzebuję specjalisty z zakresu etnologii średniowiecza z Cambridge – powiedział. – Mógłbyś przyjechać do Indii? Na mój koszt.

– Czyżby Muzeum Indii nagle pozbyło się węża z kieszeni?

– Nie, ale to nie muzeum płaci. Wyjaśnię wszystko na miejscu.

Buddyjscy mnisi wyrabali jaskinię w litej skale ręcznymi narzędziami. Zrobili to, by spełnić zalecenie Mistrza. Guru radził swym adeptom robić w porze monsunów „deszczowy odpoczynek”, przeznaczony na medytacje i studiowanie ksiąg.

Wzdłuż obu dłuższych ścian kaplicy biegły szeregi drzwi. Każde prowadziły do spartańskiej mniszej celi. Kamienne leżanki, na których Irwin i pozostała dwójka rozłożyła śpiwory, nie były najwygodniejsze, ale przynajmniej suche.

Główną nawę zbudowano podobnie jak chrześcijańską bazylikę. Wpadające przez drzwi światło dochodziło do końca nawy, gdzie w kościele chrześcijańskim znajdowałby się ołtarz. Irwin zachwycał się kunsztownie rzeźbionymi kolumnami, wspierającymi beczkowo sklepiony sufit. Na ścianach namalowano sceny z życia Buddy i – co znacznie bardziej go interesowało – obrazy z codziennego życia dworskiego i wiejskiego. Malowidła pozwoliły datować jaskinię na pięćsetny rok naszej ery.

Wyżyna Dekan słyęła ze skalnych klasztorów. Powszechnie sądzono, że już wszystkie zostały odkryte. Nagle jednak odnaleziono ten – wejście skrywała roślinność. W trakcie pierwszej wizyty Mehta i Irwin oglądali właśnie ścienne malowidła, kiedy ich przewodnik zawołał z sąsiedniego pomieszczenia.

– Chodźcie szybko! Człowiek!

Profesorowie wymienili się spojrzzeniami. Sądzieli, że przewodnik znalazł szkielet. Kiedy weszli do ciemnej, chłodnej sali i skierowali latarki w ką, ujrzeli kamienną figurę mniej więcej sto trzydzieści centymetrów wysokości. Przedstawiała mężczyznę w półleżącej pozycji, z odwróconą na bok głową. Na brzuchu trzymał naczynie przypominające salaterkę.

Irwin przyglądał się przez chwilę z niedowierzaniem, po czym wrócił do kaplicy i usiadł.

Za chwilę dołączył do niego Mehta.

– Co się stało, Arturze?

– Widziałeś kiedyś podobną figurę?

– Nie. Ale ty najwyraźniej tak.

Irwin nerwowo szarpnął kilka razy kocią bródkę.

– Kilka lat temu podróżowałem po Meksyku. Zatrzymaliśmy się w ruinach budowli Majów, niedaleko Chichén Itzá. Jest tam większa wersja tej samej rzeźby. Nazywają ją *chac mool*. Naczynie trzymane na jego brzuchu służyło do zbierania krwi podczas składania ofiar.

– *Mexico...* – powiedział bez przekonania Mehta.

Irwin skinął głową.

– Kiedy ją zobaczyłem, tak to nie pasowało do miejsca i czasu...

– Rozumiem, oczywiście, ale może się mylisz. Istnieje wiele podobieństw między kulturami.

– Niewykluczone. Musimy potwierdzić autentyczność. Smutne oczy Mehty jeszcze bardziej posmutniały.  
– Nawet jeszcze nie zaczęliśmy właściwej pracy...  
– Nie widzę powodu, byśmy nie mogli jej zrobić. Wyjaśnienie tej sprawy jest ważne.

– Oczywiście, Arturze – powiedział z rezygnacją Mehta. Impulsywność Irwina pamiętał ze studiów w Cambridge.

Pomaszerowali z powrotem do wsi, gdzie stała ich ciężarówka, i udali się do najbliższej miejscowości z telefonem. Mehta zasugerował, by zadzwonili do Time-Quest, niedochodowej organizacji, która finansowała ich wyprawę, i poprosili o dodatkowe pieniądze na transport znalezionej sztuki. Wyjaśnił, że zgodnie z zawartą z Time-Quest umową, ma obowiązek informowania ich o każdym znaczącym odkryciu.

Po dłuższej rozmowie Mehta odwiesił słuchawkę i uśmiechnął się szeroko.

– Powiedzieli, że możemy już wynająć kilku wieśniaków. Mamy tylko poczekać z pracami, aż przyjedzie ktoś od nich z pieniędzmi. Ostrzegłem, że lada chwila zacznie się pora deszczowa. Poprosili o czterdzieści osiem godzin.

Profesorowie wrócili do jaskini. Zajęli się fotografowaniem i katalogowaniem. Dwa dni później Mehta z przewodnikiem wyruszyli do wsi na spotkanie z przedstawicielem Time-Quest. Zaraz potem lunęło jak z cebra.

Irwin popatrzył w notatki. Kiedy jego towarzysze nie wrócili o zmierzchu, ugotował sobie ryż z curry i fasolę. Robiło się coraz ciemniej. Wszystko wskazywało na to, że spędzi noc sam. Ucieszył się, kiedy po umyciu naczyni źródłaną wodą z cysterny, usłyszał ciche kroki.

– Nareszcie, przyjaciele – powiedział przez ramię. – Niestety, spóźniliście się na kolację, ale może dam się namówić na ugotowanie jeszcze dwóch porcji ryżu.

Nie było odpowiedzi. Irwin odwrócił się. Dostrzegł postać stojącą poza kręgiem światła. Uznał, że może to wieśniak, przysłany przez Mehtę.

– Przestraszyłeś mnie. Przysłał cię Mehta, z wiadomością?

Postać milczała. Zrobiła jedynie krok do przodu. W dłoni obcego błysnęła metal. W ostatniej, przerażającej chwili życia, profesor Irwin zrozumiał, co się stało z Mehtą i przewodnikiem.

# 1 2

Ile jeszcze zostało do celu, Chiang?

Chudy mężczyzna, który stał przy długim rumplu, uniósł dwa palce.

– Dwa kilometry czy dwie godziny? – spytał Jack Quinn.

Na pomarszczonej twarzy sternika pojawił się uśmiech, który ukazał szczerbę między zębami. Chudzielec wzruszył ramionami i pokazał na ucho. Albo pytanie przekraczało jego możliwości rozumienia języka angielskiego, albo nie słyszał z powodu huku wytwarzanego przez antyczny zaburtowy silnik marki Evinrude.

Zużyte zawory, popsuty tłumik i luźna obudowa tworzyły niemiłosierny hałas. Huk i szcęk odbijał się głośnieym echem od obu brzegów rzeki i uniemożliwiał jakąkolwiek komunikację werbalną.

Quinn przeczeszał palcami rzednące czarne włosy i ruszył krępe ciało, by znaleźć wygodniejsze położenie. Sprawa była z góry przegrana. Wąska łódź o niskich burtach miała w rzucie kształt mniej więcej deski surfingowej. Częściowo została pokryta surowymi deskami. Z powodu oddziaływania słońca, drewniany pokład pokrył się drzazgami. Nie zachęcało to do siadania.

W końcu Quinn się poddał. Zwiesił ramiona i wbił szklisty wzrok w przesuwający się krajobraz. Już jakiś czas temu zostawili za sobą pola ryżowe i plantacje herbaty. Potem od czasu do czasu mijali wioskę rybacką albo pasącego się bawoła błotnego. Wkrótce jednak na brzegu pozostały tylko złote pola, ciągnące się aż do zamglonych gór w oddali. Quinna nie interesowało piękno Chin. Myślał jedynie o Fergusonie, kierowniku wyprawy.

Pierwsza wiadomość od niego była podniecająca.

Znaleźliśmy dużo glinianych żołnierzy. Być może więcej niż w Xi'an.

Ferguson miał na myśli siedmiotysięczną armię terakotowych figur, odkrytą w cesarskim grobowcu pod miastem Xi'an. Lubił przekazywać tego typu informacje zarządowi Fundacji Azji Wschodniej, w której pracował jako dyrektor.

Fundacja została założona przez grupę bogatych filantropów. Miała promować porozumienie Wschodu z Zachodem oraz być elementem pokuty za handel opium. Wydatki na jej działalność odpisywało się od podatku. Ci więc, którzy żyli wygodnie z fortun zbitych przez ich przodków dzięki uzależnieniu od narkotyków setek tysięcy Chińczyków, mogli w pełni cieszyć się majątkiem.

Fundacji sponsorowała między innymi badania archeologiczne prowadzone na terenie Chin. Ekspedycje były bardzo popularne wśród członków zarządu, ponieważ nie kosztowały fundacji ani grosza. W znacznej części finansowali je entuzjaści-amatorzy prac wykopaliskowych. Poza tym wyprawy opisywano czasami na pierwszych stronach „New York Timesa”.

Quinn odwiedzał tylko te stanowiska, które mogły zapewnić odpowiedni rozgłos. Zwykle jednak nie było łatwo oderwać go od mahoniowo-skórzanego komfortu nowojorskiego gabinetu.

Druza wiadomość od Fergusona brzmiała jeszcze lepiej:  
Znaleźliśmy niesamowity artefakt. Szczegóły później.

Quinn zawiadomił kumpli z prasy i telewizji, kiedy nadeszła trzecia informacja:

Artefakt stworzyli Majowie!

Przed objęciem stanowiska w fundacji, Quinn prowadził muzeum uniwersyteckie. Miał więc orientację w kulturach starożytnych. Natychmiast odpowiedział:

Majowie w Chinach? Niemożliwe.

Kilka dni później Ferguson znów dał znak życia.

Niemożliwe, ale prawdziwe. Nie żartuję.

Wieczorem Quinn spakował torbę i polecił do Hongkongu. Tam przesiadł się w pociąg do interioru. Po kilkugodzinnej podróży autobusem dotarł do rzeki tuż przed odpłynięciem Chianga. Poza zaopatrywaniem ekspedycji w jedzenie, Chiang służył jako listonosz. Woził wiadomości do telegrafu, co tłumaczyło, dlaczego wymiana informacji odbywała się tak straszliwie powoli.

Quinn dowiedział się, że Chiang był w miejscu prowadzenia prac kilka dni temu. W trakcie długiej, męczącej podróży w Quinnie narastała złość. Zastanawiał się, czy udusić Fergusona, czy wrzucić do rzeki. Kiedy zaczęli się zbliżać do celu, Quinn pomyślał, że może Ferguson po prostu zwariował.

Quinn ciągle jeszcze nie podjął decyzji, jak rozegrać sprawę, kiedy łódź skręciła i uderzyła dziobem w brzeg, na którym widać było ślady licznych stóp. Chiang przywiązał łódkę do białego w ziemię palika. Obaj mężczyźni wzięli po pudle z zapasami i ruszyli w głąb łądu.

Kiedy szli prowadzącą przez żółtą trawę ścieżką, Quinn spytał:

– Jak daleko?

Jeden palec. Mogło to oznaczać godzinę albo kilometr. I jedno, i drugie przypuszczenie okazało się nietrafne. Minutę później znaleźli się na kawałku zdeptanej trawy, tworzącym mniej więcej koło.

Chiang odstawił swój ładunek i dał Quinnowi znak, by zrobił to samo.

– Gdzie jest obóz? – spytał Quinn, rozglądając się za ludźmi albo namiotami.

Twarz Chianga jeszcze bardziej pomarszczyła się ze zdziwienia. Szarpał za rzadką bródkę i teatralnie wskazywał na ziemię.

Cóż za wspaniały koniec doskonałego dnia, zżymał się Quinn. Był zmęczony i brudny. Kiszki grały mu marsza, a teraz jeszcze przewodnik zgubił drogę. Chiang powiedział coś po chińsku i gestem kazał Quinnowi iść za sobą. Po kilku minutach stanął. Wskazał ręką na ziemię. Przekopano tu niedawno sporą połąć.

Quinn ruszył brzegiem świeżo skopanego gruntu, aż dostrzegł wystający nieco ponad powierzchnię krągły kształt. Zaczął kopać rękami. Po kilku minutach odsłonił głowę oraz bark terakotowego żołnierza. Pokopał jeszcze i znalazł dalsze figury.

Tak, to musiało być stanowisko prac ekspedycji. Ale gdzie zniknęło kilkudziesięciu ludzi?! Gdzie, do cholery, wszyscy się podziali? Chiang rozejrzał się lękliwie.

– Diabły – powiedział i bez wahania poszedł ku rzece.

Kiedy chmura zasłoniła słońce, zrobiło się zimniej. Quinn stwierdził, że jest sam. Jedyнным dźwiękiem był szelest poruszanych wiatrem traw. Quinn rozejrzał się po raz ostatni i pospiesznie ruszył za oddalającym się Chińczykiem, zostawiając szereg pogrzebanych w ziemi milczących żołnierzy.

# 1 3

Cisza wypełniała parne powietrze wirgińskiego poranka. Austin odepchnął się od pomostu i objął grubymi palcami rączki wiosel zrobione z włókna węglowego. Długimi, płynnymi pociągnięciami sprawił, że smukły jak strzała wyścigowy skif pomknął po migoczącej wodzie Potomacu.

Pływanie po Potomacu było codziennym rytuałem, który Austin wiernie spełniał pomiędzy kolejnymi zadaniami. Tak jak kazał mu lekarz, przez jakiś czas dał odpocząć lewej połowie ciała. Kiedy szwy się zagoiły, rozpoczął własnego pomysłu program rehabilitacyjny. Ćwiczył ze sztangami i przyrządami gimnastycznymi ze swej piwnicy, a do tego codziennie pływał w przydomowym basenie. Stopniowo zwiększał wymagania wobec organizmu. W końcu uznał, że może bezpiecznie wiosłować, bez obawy, że poszarpie świeżo pocerowane mięśnie.

Moment na sprawdzenie skuteczności reżimu treningowego nadszedł pewnego szczególnie pięknego poranka, kiedy syreni śpiew rzeki stał się nieodparty. Z najniższego poziomu wiaty na łodzie, leżącej tuż poniżej palisad okręgu Fairfax, wyciągnął smukły, mierzący prawie sześć i pół metra skif wyścigowy firmy Maas Aero. Zaciągnięcie lekkiej skorupy w dół rampy i zrzućcie jej na wodę nie było trudne. Prawdziwą przygodą okazało się wejście do łódki tak, by jej nie wywrócić.

Pierwsza próba wiosłowania skończyła się katastrofalnie. Kompozytowe wiosła marki Concept II były lekkie jak piórko. Miały jednak prawie dwa i pół metra długości, a trzeba było pokonać nimi spory opór wody. W efekcie wystarczyło kilka wywołujących ból pociągnięć, by Austin złał się zimnym potem. Bok bolał, jakby wbito tam hak do wieszania mięsa. Z premedytacją wywrócił łódkę przy brzegu. Zataczając się, poszedł do domu, stanął przed apteczką i wpatrywał się w swoje szare oblicze. Czekał, aż rozpuszczą się środki przeciwbólowe, które w sumie niewiele pomogły. Po kilku

dniach spróbował ponownie. Mocniej pracował prawą ręką. Nierówne pociągnięcia powodowały, że skif zataczał mało eleganckie łuki, ale przynajmniej się poruszał. Po kolejnych paru dniach mógł wiosłować bez zaciskania zębów.

W końcu sztywność ustąpiła. Dziś jedynym wspomnieniem po przypadkowym trafieniu przez zabójcę było klucie, które odczuwał podczas ćwiczeń rozciągających. Czuł się dobrze od momentu wejścia do łódki, włożenia stóp w specjalne uchwyty i kilkakrotnego przesunięcia się w tę i z powrotem na siodełku umocowanym na podwójnej szynie. Odpowiednio ustawił wiosła, aby przy każdym uderzeniu maksymalnie była wykorzystywana jego siła.

Austin pochylił się do przodu, zanurzył pióra w wodzie i delikatnie pociągnął wiosła do siebie – tak, by siła ciągu wychodziła nie z rąk, lecz z tułowia. Skif pomknął po powierzchni jak wodny owad. Był to jak dotychczas najlepszy dzień. Wszelkie resztki bólu zostały stłumione przez radość, że może wiosłować w zwykłym rytmie. Austin siedział prosto, dłonie położył jedna na drugiej, by łatwiej przyciągać do siebie wiosła. Z początku wiosłował powoli. Wyciągał ręce niezbyt daleko w przód, ale robił jak najdłuższe pociągnięcia. Na końcu każdego wyjmował wiosła z wody i dla zmniejszenia oporu powietrza przekręcał je tak, by pióra leżały niemal poziomo. Przemykały kilka centymetrów nad lustrem wody. Mruknął zadowolony – wiosłował, jak należy.

Skif sunął w górę rzeki. Cicho jak szept mijał wielkie, stare posiadłości wzdłuż brzegu. Wypełniające płuca Austina mgliste, przepełnione aromatem kwiatów powietrze, było jak zapach perfum dawno kochanej kobiety. Dla Austina wiosłowanie było czymś więcej niż ćwiczeniem fizycznym. Zmuszało do koncentrowania się nie tyle na sile, co na technice. To jednoczące ciało i duszę ćwiczenie było dla niego niczym medytacja zen. Całkowicie skoncentrowany, zaczął zwiększać częstotliwość uderzeń. Stopniowo wyzwał z szerokich barów coraz więcej siły, aż tarcza znajdującego się tuż nad palcami u nóg przyrządu wskazywała dwadzieścia osiem pociągnięć na minutę.

Pot zaczął spływać Austinowi spod daszka turkusowej czapki bejsbolowej z napisem NUMA. Koszulkę do rugby miał na plecach moką, a tyłek drętwy mimo gąbkowej wkładki w kolarskich spodenkach. Zmysły mówiły mu jednak, że żyje. Smukła konstrukcja frunęła po rzece, jakby wiosła były skrzydłami. Miał płynąć czterdzieści pięć minut i zawrócić, by leniwy prąd pomógł mu dopłynąć spokojnie do domu. Nie chciał igrać z losem.

Nagle oślepił go jaskrawy blask z brzegu. Słońce odbiło się od soczewki zamontowanej na trójnogu lunetki. Na brzegu, na składanym krzeselku, siedział mężczyzna i obserwował rzekę. Miał na głowie naciągnięty głęboko na oczy biały płócienny kapelusz, twarz schował za lunetką. Austin ujrzał go po raz pierwszy kilka dni temu. Pomyślał, że to miłośnik ptaków. Jedno nie pasowało do tej koncepcji – mężczyzna nieustannie kierował obiektyw na wioslarza.

Kilka minut później Austin zrobił planowany zwrot i ruszył w dół rzeki. Kiedy zbliżał się do „miłośnika ptaków”, wyjął wiosła z wody. Pozwolił nieść się prądowi. Pomachał w nadziei, że mężczyzna podniesie głowę. Oko obserwatora pozostało jednak przyklejone do okularu. Kiedy skif przepływał powoli i bezgłośnie, Austin obserwował „ornitologa”. Potem uśmiechnął się, pokręcił głową, chwycił wiosła i ruszył do domu.

Zbudowana w wiktoriańskim stylu wiata na łodzie była kiedyś częścią nadbrzeżnej posiadłości. Bładobłkitne deski na zewnętrznych ścianach i zwieńczony wieżyczkami mansardowy dach powodowały, że domek wyglądał jak miniatura głównej zabudowy. Austin skierował łódkę do brzegu. Wyszedł na pomost i wepchnął skifa do środka budynku. Umieścił łódź na stelażu, tuż obok innej swojej zabawki – niedużego ślizgacza. Był właścicielem jeszcze dwóch jednostek: prawie siedmiometrowego jednomasztowca oraz pełnowymiarowego wyścigowego ślizgacza. Obie cumowały w porcie w Chesapeake Bay.

Lubił klasyczne linie jednomasztowca. Jacht miał pękaty kadłub i tylko jeden żagiel, ale był szybki i mógł dać łupnia większym i smuklejszym żaglowcom. Gładko szedł pod wiatr. Austin dla podniety zmuszał swój jednomasztowiec do walki z krańcowo trudnymi warunkami pogodowymi i długimi dystansami. Uwielbiał wyzwania rzucane przez wiosłowanie. Żeglować nauczył się niemal w tym samym czasie, co chodzić. Bardzo wczesnie zasmakował także w prędkości. Ścigał się na motorówkach od dziesiątego roku życia. Wyścigi łodzi motorowych były do dziś jego wielką miłością i starał się w nich uczestniczyć, kiedy tylko miał wolny czas.

Po schowaniu skifa wszedł wewnętrznymi schodami na główny poziom, potem kolejnymi krótkimi schodkami do sypialni w wieżyczce. Wrzucił podkoszulek i spodenki do wiklinowego kosza. Gorącą wodą zmył z siebie poranny wysiłek. Kiedy stał przed lustrem i wycierał się ręcznikiem, oglądał ranę po kuli. Straciła już wścieklą czerwień i zrobiła się różowawa. Wkrótce upodobni się do innych białych blizn, które odcinały się od jego orzechowej skóry. Wszystkie były pamiątkami związanych z przemocą spotkań. Czasami Austin zadawał sobie pytanie, czy jego ciało nie przyciąga pocisków jak magnes opiłki.

Ubrał się w czyste szorty i podkoszulek. Poszedł do kuchni, gdzie zaparzył sobie pół dzbanka mocnej kenijskiej kawy i usmażył jajecznicę na bekonie. Zaniósł tacę z jedzeniem przez kłapę w suficie na dach, z którego był znakomity widok na Potomac. Jedząc, obserwował rzekę. Przez chwilę rozkoszował się efektem działania cholesterolu, przypominającym lekki rausz. Dolał sobie kawy do kubka i szedł do pokoju, który służył za gabinet i salon. Włożył do odtwarzacza płytę Coltrane’a, usiadł w czarnym skórzanym fotelu i zaczął słuchać, jak instrument Antona Saxa wyśpiewuje niesamowite dźwięki. Austin lubił progresywny jazz. Muzyka Coltrane’a, Oscara Petersona, Keitha Jarretta, Billa Evansa w pewien sposób odzwierciedlała oso-

bowość Austina: stalowy chłód, za którym kryła się potężna energia, zdolność sięgnięcia w przypadkach, kiedy konieczny był nadludzki wysiłek, do głębin duszy oraz talent improwizacyjny.

Duże pomieszczenie było elektryzującym połączeniem starego z nowym – autentycznych kolonialnych mebli z ciemnego drewna z białymi ścianami, pełnymi oryginalnych współczesnych dzieł sztuki. Choć mogło się to wydawać dziwne, w mieszkaniu tego człowieka, który wychował się i żył na morzu, nad morzem i pod powierzchnią morza, było niewiele przedmiotów związanych z żeglarsstwem. Prymitywny obraz klipra, namalowany przez „Picassa” z Hongkongu dla chińskiego kapitana, dziewiętnastowieczna mapa Pacyfiku, kilka narzędzi do budowy statków, zdjęcie jachtu Austina i model wyścigowego ślizgacza w butelce.

Na półkach stały oprawione w skórę opisy przygód morskich pióra Josepha Conrada i Hermana Melville’a oraz dziesiątki książek o oceanografii. Ślady najczęstszego używania nosiły jednak tomy z dziełami Platona, Kanta i innych wielkich filozofów, których Austin lubił studiować. Zdawał sobie sprawę z tej niespójności, ale nie widział w niej nic dziwnego. Niejeden kapitan żeglugi wielkiej, po zakończeniu kariery na szerokim oceanie, przeprowadził się w głąb lądu. Austin nie był jeszcze gotów osiąść w Kansas, ale morze jest tak dziką i wymagającą kochanką, że potrzebował tego cichego i spokojnego schronienia, gdzie mógł się ukryć przed jej miazdzącym uściskiem.

Kiedy popijał kawę, jego wzrok padł na wiszące na ścianie nad kominem mantony. Austin miał w swej kolekcji prawie dwieście pistoletów do pojedynkowania się. Większość kompletów trzymał w ogniotrwałym sejfie, ale najnowsze zakupy wieszał w domu. Fascynowały go nie tylko rusznikarski kunszt i śmiertcionośne piękno pistoletów, ale także zakrety i zawijasy historii, które mogła spowodować ołowiana kula, odpowiednio wystrzelona cichego poranka. Zastanawiał się, jak potoczyłyby się losy republiki, gdyby Aaron Burr nie zabił Aleksandra Hamiltona. Widok mantonów sprawił, że znów zaczął myśleć o incydencie na „Nereusie”. Co za dziwaczna noc! W dniach, które spędził w domu na rekonwalescencji, wielokrotnie przypominał sobie atak na statek – przepuszczał obrazy niczym film na kasecie, przesuwał je na szybkim podglądzie, robił stopklatki i cofał.

Po starciu z napastnikami zmęczenie i utrata krwi dały mu się mocno we znaki. Ledwie zrobił kilkadziesiąt kroków, opuściły go siły. Osunął się na ziemię w zwolnionym tempie i zamarł na siedząco. Kapitan Phelan musiał przejąć zadanie poinformowania reszty załogi, że niebezpieczeństwo minęło. Ludzie wyszli z kryjówki. Położyli Austina i Zawałę na noszach i zanieśli do izby chorych. Po drodze mijali ciało napastnika, którego Austin powstrzymał strzałem z pistoletu pojedynkowego. Kazał im się zatrzymać. Poprosił kogoś o bardziej odpornym żołądku, by ściągnął trupowi maskę z twarzy. Zabity okazał się mężczyzną w wieku około trzydziestu lat. Miał smagłą

cerę, gęste czarne wąsy, a w jego rysach – pomijając okrągłą dziurę w czole – nie było nic charakterystycznego.

Zawala podniósł się na noszach i cicho gwizdnął.

– Nie mów, że nie masz na tej rusznicy celownika laserowego! Gdybym nie widział tego na własne oczy, uznałbym, że tak precyzyjne namierzenie ruchomego celu w ciemności jest niemożliwe.

– Bo jest niemożliwe – odparł Austin z przepraszającym uśmiechem. – Strzelałem w korpus.

Kiedy ich odpowiednio opatrzone, wyjaśnił Zawali, że niesamowita celność strzału nie miała nic wspólnego ani z jego umiejętnościami strzeleckimi, ani z nieuczciwym nagwintowaniem lufy przez Mantona. Po prostu w gorączce sytuacji przekreślił w złą stronę śrubkę regulacyjną znajdującą się tuż przy języku spustowym. Nastawił pistolet tak, by wypalił przy najbliższym muśnięciu spustu. Należało jedynie podziękować Mantonowi za takie wyważenie lufy, by nawet idiota mógł sobie poradzić z tym pistoletem.

Wezwany przez radio helikopter pracującej w pobliżu kompanii naftowej zabrał obu rannych mężczyzn i Ninę Kirow z pokładu. Całą trójkę przetransportował do miejscowości Tarfaya. Phelan odmówił opuszczenia statku. Lekarka „Nereusa” stwierdziła, że przez najbliższe dni kapitan może spełniać swe obowiązki, jeśli ograniczy wysiłek. Został więc na pokładzie, by doprowadzić statek do Jukatana. W ciągu kilku godzin Austin i Zawała byli na pokładzie dyrektorskiego odrzutowca z NUMA, który właśnie leciał z Rzymu do USA i zszedł z drogi, by wylądować w Maroku. Nina zabrała się z nimi na lotnisko Dulles. Leki przeciwbólowe zwały Austina z nóg. Niemal całą podróż przespał. Pamiętał jedynie migawki, ale dokładnie utkwiło mu w pamięci, że pocałował go w policzek jasnowłosego anioła. Kiedy się obudził, byli w Waszyngtonie. Nina zniknęła. Podobno już leciała do Bostonu. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Po kilku dniach w szpitalu posłano Austina i Zawałę do domu. Kazano im regularnie przyjmować leki i dać ciałom szansę na zagojenie ran.

Z zadumy wyrwał go terkot telefonu. Austin podniósł słuchawkę. Usłyszał mało wylewne powitanie.

– Dzień dobry, Kurt. Jak się czujesz? – spytał admirał Sandecker.

– Radzę sobie całkiem nieźle, admirale. Dziękuję za troskę. Choć muszę przyznać, że się nieco nudzę.

– Miło słyszeć. Twoja nuda lada chwila gwałtownie się skończy. Spotykamy się jutro o dziewiątej. Chcę podyskutować o tym marokańskim incydencie. Zamierzam także zaprosić Zawałę. Widziano go w kabriolecie w okolicach Arlington. Podejrzewam więc, że też się nudzi.

Zawała, który jeździł corvetta z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku głównie dlatego, że był to ostatni model tego samochodu z bagażnikiem, wykorzystał wolny czas na dłubaninę w piwnicy. Z wielką przyjemnością restaurował najróżniejsze urządzenia mechaniczne i konstruował

nowe aparaty do pracy pod wodą. Zaraz po tym, jak zaczął chodzić bez przewracania się, rozpoczął ćwiczenia z workiem bokserskim. Joe nigdy się nie nudził, jeśli w pobliżu były kobiety. Ranę wykorzystywał tak, by wyłudzić maksimum damskiego współczucia.

Austin rozmawiał z nim wiele razy przez telefon. Mimo rozrywek, jakie sobie fundował, Joe nie mógł się doczekać, aż znów coś zacznie się dziać.

– Jestem pewien, że nie może się doczekać powrotu do pracy, admirał powiedział Austin, absolutnie przekonany, że się nie myli.

– Świetnie. À propos, słyszałem, że jesteś w takiej formie, że z marszu zakwalifikowałbyś się do olimpijskiej reprezentacji wioślarskiej.

– Może jako sternik. Mam propozycję, admirał. Następnym razem, kiedy będzie pan wynajmował kogoś, by udawał ornitologa, proszę mu powiedzieć, żeby nie wkładał butów od garnituru i podkolanówek.

Przez chwilę trwała cisza.

– Chyba nie muszę ci przypominać, że NUMA nie ma takiej samej liczby tajnych agentów, jaką na każde wezwanie mogą zmobilizować twoi sąsiedzi z Langley. Poprosiłem Joe McSweeney, jednego z liczykруп z działu księgowości z NUMA, by po cichu się przyjrzał, jak sobie radzisz. Kiedy jedzie do pracy, mija twój dom. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że zaatakował go ten sam wirus, co Jamesa Bonda. Podszedł do sprawy poważniej, niż oczekiwałem. Chyba nie masz mi tego za złe.

– Doceniam pańską troskę. Lepsze to od codziennych telefonów z kwatery głównej.

– Też tak myślałem. A poza tym Mac zna się na ptaszkach.

– Nie wątpię. Do jutra, admirał.

Austin odłożył słuchawkę. Śmiał się w duchu z ojcowskiego podejścia admirała i obłudnej uwagi o CIA, której centrala znajdowała się niecałe dwa kilometry od domu Austina. Agencja admirała była w pierwszym rządzie nastawiona na zdobywanie danych naukowych. Jednak prowadzone przez nią operacje podwodne na skalę, która czyniła z NUMA odpowiednik NASA, były idealną okazją do zbierania informacji typu wywiadowczego. Dokonania ludzi Sandeckera mogły spokojnie rywalizować z najlepszymi wyczynami „Firmy”.

Sandecker zazdrościł CIA nieograniczonego budżetu i prawa do jedynej częściowego rozliczania się z wydatków – choć sam nie był ciamajdą w sztuce wydzierania funduszy od Kongresu. Udało mu się doprowadzić do tego, że NUMA pomagało dwadzieścia spośród najlepszych w kraju uniwersytetów posiadających wyższe szkoły morskie oraz sporo wielkich korporacji. Agencja zatrudniała pięć tysięcy naukowców, inżynierów i innych specjalistów. Prowadziła badania z zakresu geologii dna oceanów i kopalnictwa na dużych głębokościach, biologii morskiej, archeologii podwodnej i klimatologii. Posiadała też rozrzuconą po całym świecie flotę statków badawczych i samolotów, co powodowało, że jej macki sięgały każdego zakątka Ziemi.

Zabranie Austina CIA było mistrzowskim pociągnięciem admirała. Austin trafił do NUMA określną drogą. Robił magisterium z kierowania systemami na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Uczył się przy tym w bardzo drogiej szkole nurkowania w Seattle. Przeszedł szkolenie jako „podwodna złota ręczka”, co oznaczało, że biegle spawał pod wodą, umiał rozmieszczać materiały wybuchowe i nurkować w mulistej wodzie. Specjalizował się w spławianiu, wydobywaniu ciężkich obiektów z wody oraz w nurkowaniu głębinowym w różnych środowiskach z mieszanym wykorzystaniem powietrza oraz komór podwodnych. Po kilku latach pracy na platformach wiertniczych na Morzu Północnym wrócił do firmy ojca zajmującej się ratownictwem morskim. Po sześciu latach został zwabiony do mało znanej komórki CIA, specjalizującej się w zbieraniu informacji wywiadowczych pod wodą. Był zastępcą dowódcy kilku tajnych operacji – podniesienia z dna morskiego sowieckiego okrętu podwodnego oraz odnalezienia i zbadania irańskiego kontenerowca z bronią jądrową na pokładzie, zatopionego przez tajnych agentów izraelskich. Prowadził także kilka śledztw w przypadkach tajemniczego zestrzelenia nad morzem samolotów pasażerskich. Odnajdywał samoloty, kierował akcjami ratunkowymi i ustalał przyczyny katastrofy.

Wraz z końcem zimnej wojny, CIA zlikwidowało komórkę zajmującą się podmorskimi badaniami. Gdyby Austin nie został zwerbowany przez admirała Sandeckera do prowadzenia specjalnych zadań podwodnych, prowadzonych często poza nadzorem rządowym, prawdopodobnie zostałyby przeniesiony do innego działu CIA. Sandecker mógł sobie zdzierać gardło, wytykając działania Langley, ale sam znakomicie się znał na operacjach typu „płaszczka i szpady”.

Austin popatrzył na zegarek. Dziesiąta. W Seattle była siódma. Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Odezwał się głos, który przypominał nieco dźwięk pracującej piły łańcuchowej.

– Dzień dobry, tato – powiedział Austin. – Twój syn numer jeden przy telefonie.

– Najwyższy czas, byś zadzwonił.

– Rozmawialiśmy wczoraj, tato.

– Dużo może się wydarzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin – odparł ojciec Austina z dobronudszą zrzędlivością.

– Tak? Na przykład co?

– Załatwienie milionowego kontraktu z Chińczykami. Przyznasz, że nie-  
źle jak na ramola?

Wytrzymałość fizyczną i upór Austin odziedziczył po ojcu. Austin senior, mężczyzna już dobrze ponad siedemdziesiątkę, lekko garbił szerokie ramiona, ale pracował z intensywnością, która mogłaby wykończyć kogoś znacznie młodszego. Dzięki swojej firmie z siedzibą w Seattle stał się zamożny, ale w dalszym ciągu nie pozwalał sobie na odpoczynek – zwłaszcza po śmierci żony. Matka Kurta zmarła kilka lat temu. Jak w przypadku wielu

ludzi, którzy osiągnęli sukces tylko własną pracą, nie liczyły się dla niego pieniądze, lecz sama gra.

– Gratulacje, tato. Choć nie powiem, że jestem zaskoczony. Trudno cię uznać za ramola i doskonale o tym wiesz.

– Nie marnuj czasu na smarowanie mnie wazeliną. Słowa nic nie kosztują. Kiedy przyjedziesz opić sukces butelką jacksa danielsa?

Jeszcze tego brakowało, westchnął w duchu Austin. Wieczór z ojcem, który nie wylewał za kołnierz, skończyłby się w szpitalu.

– Na razie nic z tego. Wracam do pracy.

– Najwyższy czas. Wystarczająco długo leniuchowałeś. – W głosie ojca pobrzmiwało jednak rozczarowanie.

– Chyba rozmawiałeś z admirałem. Powiedział prawie to samo.

– Gdzie tam, mam lepsze rzeczy do robienia. – Ojciec Austina nie do końca żartował. Z jednej strony darzył admirała wielkim szacunkiem, z drugiej natomiast uważał go za rywala w walce o syna. Nigdy nie przestał wierzyć, że Kurt któregoś dnia odzyska rozum i przejmie rodzinny interes. Austin czasami odnosił wrażenie, że jedynie ta nadzieja trzyma ojca przy życiu.

– Pozwól mi sprawdzić, czego ode mnie chce. Zadzwoń później.

Ciężkie westchnienie.

– Dobrze. Rób, co uważasz. Muszę kończyć, mam rozmowę na drugiej linii.

Austin popatrzył na słuchawkę i pokręcił głową. W chwilach, kiedy puszczał wodze fantazji, zastanawiał się, co by się stało, gdyby jego niedźwiedziej postury ojciec i delikatnej budowy, ale koguciej natury Sandecker zderzyli się głowami. Nie założyłby się o wynik starcia. Jedno wiedział jednak na pewno – gdyby do czegoś takiego doszło, wołałby nie znajdować się w pobliżu.

Płyta Coltrane’a skończyła się. Zamienił ją na kompakt Gerry’ego Mulligana. Z uśmiechem na ustach oparł się wygodnie, by porozkoszować się ostatnimi godzinami lenistwa. Cieszył się, że Sandecker zadzwonił i wakacje się kończą. Nie chodziło jedynie o nudę – admirał nie był jedynym człowiekiem, który chciał odkryć sedno tego, co określił mianem „marokańskiego incydentu”.

# 1 4

Hiram Yaeger opadł na oparcie fotela, splótł dłonie na karku i przez okulary w drucianych oprawkach, podobne do tych, jakie nosiły nasze babcie, zaczął się wpatrywać w trójwymiarową, czarno-białą fotografię hożej sumatrzeńskiej dziewczyny. Dzięki zastosowaniu techniki holograficznej młoda kobieta wyglądała jak żywa na wielkim wyświetlaczu za ukształtowaną w podkowę konsolę. Zastanawiał się, dla ilu milionów chłopców pierwszą lekcją kobiecej anatomii było oglądanie smagłych dziewczyn na stronach „National Geographic”.

– Dzięki za pokaz, Maks – powiedział z nostalgicznym, sennym westchnieniem.

– Bardzo proszę – odparł bezcielesny, komputerowy głos. – Pomyślałem sobie, że ucieszy cię przerwa w pracy. – Dojrzała do zamążpójścia dziewczyna zniknęła i powróciła do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, kiedy została zatrzymana w czasie przez fotografa „National Geographic”.

– Powróciły dzięki niej miłe wspomnienia – powiedział Yaeger i napił się kawy.

Z prywatnego terminalu w niewielkim, graniczącym z jego gabinetem pomieszczeniu, szef sieci komunikacyjnej agencji mógł w mgnieniu oka wejść do gigantycznej bazy danych z NUMA, która zajmowała całe dziewiąte piętro budynku kwatery głównej. Zazwyczaj na pierwsze strony światowych gazet trafiał sprzęt z NUMA. Wyczyny najnowszej generacji statków badawczych, batyskafów głębinowych i znakomitych robotów podwodnych przemawiały do wyobraźni czytelników. Jednym z największych osiągnięć Sandeckera był niewidoczny klejnot w koronie NUMA – olbrzymia, bardzo szybka sieć komputerowa. Zaprojektował ją Yaeger. Dzięki admirałowi miał wolną rękę i nieograniczone fundusze.

Sandecker ściągnął Yaegera do NUMA w trakcie najazdu na jedną z firm komputerowych w Krzemowej Dolinie. Dał mu zadanie zbudowania czegoś, co bez najmniejszej wątpliwości miało być najdoskonalszym i największym na świecie archiwum dotyczącym nauk związanych z oceanem. Olbrzymia baza danych była radością i pasją Yaegera. Zebranie z książek, czasopism i naukowych zapisów efektów stuleci ludzkiej pracy zajęło lata. W końcu jednak wszystko, co było osiągalne na piśmie, a dotyczyło morza, stało się dostępne nie tylko dla pracowników NUMA, ale także dla studentów kierunków związanych z oceanami, profesjonalnych oceanografów, inżynierów morskich i archeologów podwodnych na całym świecie.

Yaeger był jedynym człowiekiem w NUMA, który ignorował kodeks elegancji admirała i nie ponosił z tego powodu żadnych konsekwencji. Stanowiło to wystarczający dowód jego talentu. Dżinsowa kurtka i levisy, długie, siwiejące, związane w kitkę blond włosy i nie strzyżone bokobrody, które skrywały odbijający się na twarzy chłopięcy zapach, sprawiały, że niechlujny Yaeger wyglądał, jakby wyskoczył z hipisowskiej komuny z lat sześćdziesiątych. W rzeczywistości nie mieszkał w jurcie, lecz jeździł do pracy z modnego przedmieścia Marylandu wyposażonym we wszelkie nowinki techniczne BMW. Jego atrakcyjna żona była artystką, dwie dorastające córki uczyły się w prywatnej szkole. Rodzina zarzucała Yaegerowi, że spędza więcej czasu z elektroniką niż z żywymi istotami.

Yaeger ciągle nie mógł się nadziwić, jak niesamowitą potęgą zarządzał. Zrezygnował z klawiatury i monitora na rzecz komend słownych i wyświetlacza holograficznego. Zagłębianie się w „odkrywcy” aspekt artykułów z „National Geographic” było jedynie wymówką, pozwalającą zrobić przerwę w realizacji trudnego zadania, jakie postawił przed nim Sandecker. Polecenie admirała brzmiało prosto: należy sprawdzić, czy w przeszłości zdarzały się napady na ekspedycje archeologiczne. Zadanie okazało się monumentalne. W zapale, by rozwikłać zagadkę, Yaeger jeszcze bardziej niż zwykle zaniedbywał wyrozumiałą żonę i dzieci.

Choć system NUMA zajmował się oceanami, Maks rutynowo włamywał się do innych systemów i zbierał dane w bibliotekach, archiwach redakcji gazet, bibliotekach naukowych, uniwersytetach i archiwach historycznych na całym świecie oraz przenoślił je jak i gdzie chciał. Zaczął pracę od stworzenia kompletnej listy ekspedycji naukowych, którą nazwał „listą wzorcową”. Siegała pięćdziesiąt lat wstecz. Yeager podzielił ją na dziesięciolecia. Spis zawierał setki nazwisk i dat. Następnie, w oparciu o fakty znane z marokańskiego incydentu, stworzył model komputerowy. Poprosił Maksa o dopasowanie go do każdej wyprawy. Komputer wykorzystywał najrozmaitsze źródła informacji – publikowane artykuły, czasopisma naukowe, dane z serwisów prasowych. Sprawdzał je krzyżowo dla ustalenia, czy któraś z ekspedycji zakończyła się w podobnie nie planowany sposób, i nieustannie szukał powtarzających się schematów.

Informacje źródłowe były często fragmentaryczne i niekiedy zadziwiająco. Jak rzeźbiarz starający się stopniowo coraz dokładniej ujrzeć rzeźbę w bloku kamienia, Yaeger po jakimś czasie skrócił listę wzorcową. Była w dalszym ciągu długa i na tyle skomplikowana, by zniechęcić najbardziej doświadczonego badacza, ale wyzwanie jedynie zaostrzyło jego apetyt. Po kilku dniach miał ogromną ilość informacji. Teraz kazał komputerowi przeczesać dane i przedstawić je w strawnej formie.

– Maks, kiedy wymęczysz się, wydrukuj wyniki – wydał polecenie komputerowi.

– Niedługo się zgłoszę. Przepraszam za opóźnienie – odparł łagodny, monotony głos. – Dlaczego nie przygotujesz sobie na czas oczekiwania filiżanki kawy?

Realizując sugestię, Yaeger stwierdził, że dla komputera czas nie istnieje. Maszyna robiła swoje z niewyobrażalną prędkością. Bez względu jednak na swoją szybkość i sprawność, Maks nie miał pojęcia, co to znaczy mieć Sandeckera na karku. Yaeger obiecał admirałowi, że jutro rano przedstawi wyniki. Podczas gdy komputer pracował, Yaeger mógł zrobić sobie przerwę, iść do kawiarni w NUMA albo opuścić najświętsze sanktuarium i trochę się przespacerować. Nie lubił jednak zostawiać swych elektronicznych dzieci. Postanowił więc wykorzystać czas na zastanowienie się nad innymi rozwiązaniami.

Zapatrzył się w sufit i przypomniał sobie, że Nina Kirow powiedziała, iż zabójcy przyszli nocą. Zmasakrowali członków ekspedycji i usunęli ich ciała.

– Maks, daj hasło: „asasyni”.

Maks składał się z ogromnej ilości komputerów. Podobnie więc jak ludzki mózg, mógł pracować równocześnie nad kilkoma skomplikowanymi zadaniami.

– W porządku. – Sekundę później komputerowy głos powiedział: – Asasyni. Nazwa pochodzi od arabskiego *hasziszijja*, co oznacza człowieka palącego nałogowo haszysz. Tajny polityczno-religijny islamski zakon z jedenastego wieku, na którego czele stali władca absolutny i jego zastępcy. Od członków sekty, których określano mianem „oddanych”, żądano absolutnego posłuszeństwa. Byli niczym innym jak zabójcami. Mordowali przywódców politycznych i oferowali swe usługi do wynajęcia. Zabójcom dawano haszysz i duże dawki uciech zmysłowych. Informowano przy tym, że to jedynie przedsmak raj, jaki ich czeka po wykonaniu zadania. Sekta siała terror przez przeszło dwieście lat.

Ciekawe, ale czy ma to jakikolwiek związek z badanym zagadnieniem? Yaeger pociągnął kilka razy nie pielęgnowaną brodkę. Maks zaczął opowiadać o innych sektach zabójców, takich jak hinduscy thagowie czy japońscy ninja. Grupy te nie bardzo pasowały do profilu zabójców z Maroka, co ważniejsze jednak – nie działały od kilku wieków. Nie odrzucał jednak niczego.

Gdyby otrzymał zadanie stworzenia bandy zabójców, sprawdziliby w przekazach, jak postępowano w przeszłości.

Doktor Kirow twierdziła, że napastnicy zniszczyli kamienną rzeźbę, która mogła stanowić dowód prekolumbijskich kontaktów między Starym a Nowym Światem. Gdyby kazał wyszukać wszystkie informacje dotyczące form kultury prekolumbijskiej, to poukładanie ich nawet przy szybkości Maksa potrwałoby dziesięć lat. Yaeger stworzył więc coś, co nazwał „paradygmatem równoległym”. Najprościej mówiąc, wzór składał się z zestawu pytań. Komputer miał różnymi sposobami wyszukiwać osoby zbulwersowane informacjami, że Kolumb nie był pierwszym przedstawicielem Starego Świata, który postawił nogę w Nowym. I na odwrót.

Komputer zaczął pracować nad tym zagadnieniem kilka dni temu, ale Yaeger nie miał czasu przyjrzeć się wynikom. Teraz maszyny pracowały nad postawionym przez Sandeckera głównym problemem, więc Yaeger postanowił rzucić okiem na dane.

– Pokaż „ParRów” – wydał komendę. Tak zakodował trudne do szybkiego wymówienia hasła: „paradygmat równoległy”.

– ParRów czeka w gotowości, Hiramie.

– Dzięki, Maks. Kto by się zdenerwował, gdyby się okazało, że to nie Kolumb odkrył Amerykę?

– Kilku naukowców, historyków i pisarzy. Pewne grupy etniczne. Podać szczegóły?

– Nie teraz. Czy wiara, że tak się stało, byłaby niebezpieczna?

– Nie. Przytoczyć kilka faktów historycznych?

Yaeger tak zaprogramował komputery, by dawały związane odpowiedzi i nie rozvodziły się bez wyraźnego polecenia o wszystkim, co ma jakiś związek z daną sprawą.

– Mów.

– Hiszpańska inkwizycja ogłosiła, że wiara w kontakt prekolumbijski jest herezją, którą należy karać spaleniem na stosie. Inkwizytorzy twierdzili, że Kolumb został natchniony przez Ducha Świętego, by zanieść cywilizację hiszpańską do Nowego Świata. Dygresja do Vespucchiego?

– Mów.

– Kiedy Amerigo Vespucci dowiódł, że Kolumb nie dopłynął do Indii, lecz odkrył nowy kontynent, zagrożono mu oskarżeniem o herezję.

– Dlaczego twierdzenie, że Kolumb odkrył Amerykę było takie ważne?

– Przyznanie, że ktoś inny odkrył Nowy Świat, unieważniłoby pretensje do bogactw i osłabiło potęgę Hiszpanii.

Yaeger zastanawiał się nad odpowiedzią. Hiszpania nie była już światowym mocarstwem, a wszystkie dawne hiszpańskie kolonie w obu Amerykach stały się niepodległymi państwami. W tym wszystkim kryło się coś, czego nie dostrzegał. Czuł się jak dziecko, które wie, że w ciemności szafy

chowa się potwór. Słyszy jego ciężki oddech i widzi zielone oczy, ale po zapaleniu światła monstrum natychmiast znika.

Komputer odtworzył cicho bicie dzwonów Big Bena. Na holograficznym wyświetlaczu pojawiła się uśmiechnięta karykatura Maksa.

– Przetwarzanie informacji i druk zakończone – powiedział animowany sobowtór komputera. – Hej! Lecę na piwko!

Yaeger spędzał tyle czasu z komputerem, że nie mogło dziwić, iż zaopatrzył go w kilka ludzkich „odruchów”.

– Dzięki, Maks. Ja stawiam.

Dumając, co by się stało, gdyby Maks kiedykolwiek przyjął propozycję, Yaeger poszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wziął do ręki długi wydruk. Zaczął studiować raport „ParRów” dotyczący ekspedycji archeologicznych. Oczy mu się rozszerzyły. Niesamowite, powtarzał pod nosem. Po przeczytaniu niewielkiej części raportu podniósł słuchawkę i wystukał numer. Po drugiej stronie odezwał się szorstki głos.

– Mam coś, co pana zainteresuje, admirale.

# 1 5

Za piętnaście dziewiąta rano Austin wjechał standardowym turkusowym służbowym džipem cherokee na zarezerwowane dla niego miejsce w podziemnym garażu kwatery głównej NUMA. W imponującym oszklonym budynku w Arlington w stanie Wirginia pracowało dwa tysiące naukowców i inżynierów. Stąd koordynowano także pracę dalszych trzech tysięcy, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej. Kiedy Austin przechodził przez hol wejściowy – właściwie pełne wodospadów i akwariów atrium – z wielkim globusem, stojącym na środku podłogi pokrytej marmurem morskiego koloru, zawołał go Joe Zawała. Austin z przyjemnością zauważył, że przyjaciel jedynie lekko kuśtyka.

Winda pofrunęła na najwyższe piętro, gdzie admirał Sandecker miał swoje gabinety. Kiedy wysiadali, przed windą stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki. Jego ciało wyglądało na twarde jak skała. Mierzył metr dziesięćdziesiąt, a wyrazista twarz kolorem przypominała dębowe drewno. Miał ciemnozielone opalizujące oczy i sfalowane ciemne włosy, lekko siwiejące na skroniach. Nie był tak barczysty jak Austin, ale bez dwóch zdań wysportowany i wytrzymały.

Drugi mężczyzna stanowił całkowite przeciwieństwo pierwszego. Miał jedynie metr sześćdziesiąt parę wzrostu, ale klatkę piersiową jak buldog. Zarówno ramiona, jak i nogi nabite mięśniami. Ciemne włosy zwiły się w loki. Smagła cera i orzechowe oczy zdradzały włoskie pochodzenie.

Wyższy z mężczyzn wyciągnął rękę w pozdrowieniu.

– Kurt, nie widzieliśmy się ze trzy miesiące!

Dirk Pitt, szef Wydziału Programów Specjalnych, i jego zdolny asystent Al Giordino, uchodzili za legendę agencji. Wyczyny, dokonane przez nich przez lata od stworzenia przez admirała Sandeckera NUMA, były materiałem, jaki wykorzystuje się do pisania powieści. Choć ścieżki Austina i Pitta

rzadko się przecinały, zostali przyjaciółmi. Często też razem nurkowali dla sportu.

Austin odwzajemnił mocny uścisk dłoni.

– Może się spotkamy w wolnej chwili i przy lunchu i poopowiadamy sobie o naszych ostatnich eskapadach?

– Obawiam się, że w najbliższych tygodniach nic z tego nie wyjdzie. Za godzinę startujemy z Bazy Sił Powietrznych Andrews.

– Dokąd lećcie? – spytał Zawała.

– Admirał wpakował nas w projekt na Antarktydzie – odparł Giordino.

– Nie zapomnieliście spakować skarpetek na fiutki? – spytał z błyskiem w oku Zawała.

Giordino uśmiechnął się.

– Nie wychodzę bez niej z domu.

– A co u was? – zagadnął Pitt.

– Idziemy na spotkanie z admirałem, ale jeszcze nie wiemy, co dla nas przyszykował.

– Mam nadzieję, że wyśle was na tropikalne wody.

Austin roześmiał się.

– Ja też.

– Zadzwoń do mnie po powrocie – powiedział Pitt. – Musimy we czterech zjeść u mnie kolację.

– Na pewno się zgłoszę – obiecał Austin. – Obejrzenie twojej kolekcji samochodów to zawsze ogromna przyjemność.

Przyjechała następna winda. Pitt i Giordino weszli do niej i odwrócili się twarzami do wejścia.

– No to na razie, chłopaki – powiedział Giordino. – Życzę szczęścia, bez względu na to, dokąd wyruszyacie.

Drzwi zamknęły się i odjechali.

– To pierwszy raz, kiedy widziałem Dirka i Ala nie kulejących, nie krwawiących i bez bandaży – stwierdził Austin.

Zawała przewrócił oczami.

– Dzięki za niepotrzebne przypominanie mi, że praca dla NUMA może być niebezpieczna.

– A dlaczego, twoim zdaniem, ma tak rozbudowany dział medyczny?

Weszli do wielkiej poczekalni. Na ścianach wisiały zdjęcia admirała gawędzącego z prezydentami i innymi luminarzami życia politycznego, nauki i sztuki. Recepcjonistka kazała przybyszom wchodzić bez czekania.

Sandecker siedział za olbrzymim biurkiem, zrobionym z odrestaurowanej pokrywy luku ładunkowego zatopionego konfederackiego okrętu, który próbował przełamać wprowadzoną przez Unię blokadę wybrzeży. Sandecker był ubrany w szare spodnie, zaprasowane w ostre jak brzytwa kanty, i drogi granatowy blezer z wyszytą na kieszonce złotą kotwicą. Do pełnego sportowego wyglądu brakowało admirałowi jedynie białej kapitańskiej czapki.

Nie był jednak komendantem jachtklubu. Promieniował z niego i otaczał go niczym pole siłowe naturalny autorytet, kształtowany przez trzydzieści lat znaczonej najwyższymi odznaczeniami służby w marynarce i hartowany w trakcie zostawiającej czasami siniaki pracy na stanowisku rządowego imperium marynistycznego, które zbudował od podstaw. Znawcy Waszyngtonu twierdzili, że przywódcza powierzchowność Sandeckera przypomina im George'a C. Marshalla. Gdy generał i sekretarz stanu, wchodził do pomieszczenia od razu wszyscy wiedzieli, kto dowodzi, choć Marshall nie wypowiedział ani słowa. W przeciwieństwie do tęgiego generała, Sandecker był niski i szczupły. Wspaniałą sylwetkę zachował dzięki codziennemu niemal dziesięciokilometrowemu treningowi oraz ostremu reżimowi gimnastycznemu.

Wstał z takim impetem, jakby zamiast nóg miał sprężyny. Wyszedł z biurka przywitać się z gośćmi.

– Kurt! Joe! Jak dobrze was widzieć – powiedział wylewnie i złapał ich dłonie chwytem mogącym zmiażdżyć kości. – Świetnie wyglądacie. Cieszę się, że mogliście przyjść.

Sandecker jak zwykle wyglądał schludnie i zdrowo. Nikt nie dałby mu sześćdziesięciu paru lat. Niekiedy mogło się wydawać, że temperament admirała jest przyszyty laserem. Podobnie jak każdy ostry kant brody à la van Dyke, której intensywny rudy kolor pasował do płomienistych włosów.

Austin uniósł brew. Od początku nie było najmniejszej wątpliwości, że zjawia się obaj. Energiczny twórca NUMA nie uznawał „nie” za odpowiedź.

Uśmiechając się ponuro, Austin powiedział:

– Dziękujemy, admirale. Joe i ja błyskawicznie się goimy.

– Oczywiście – odparł Sandecker. – Szybki powrót do zdrowia to warunek wstępny zatrudnienia w NUMA. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Pitta i Giorina.

Przerazające było to, że admirał nie do końca żartował. Jeszcze bardziej przerazający wydawał się fakt, że Austin i Zawała palili się do nowego zadania.

– Zadbam o to, żeby z Dirkiem porównać rany przy następnym spotkaniu, sir.

Zawała nie mógł się powstrzymać od żartobliwego komentarza. Z kamienną twarzą powiedział:

– Para takich inwalidów jak my nie może być dla NUMA wielkim pożytkiem.

Sandecker zachichotał i klepnął serdecznie Zawałę w plecy.

– Zawsze podziwiałem twoje poczucie humoru, Joe. Mógłbyś zarabiać na życie w nocnym klubie. O ile się dobrze orientuję, i tak spędzasz tam wieczory w towarzystwie młodych kobiet. Rozumiem, że pomagały ci w rehabilitacji.

– Chodzi o prywatne pielęgniarki? – spytał Zawała z miną niewiniątka, która nic mu jednak nie dała.

– Tak, minąłeś się z powołaniem, Joe. Ale żarty na bok. Jak... eee... plecy?

– Nie jestem jeszcze gotów do maratonu, ale laskę odrzuciłem już wiele dni temu, sir.

– Miło słyszeć. Zanim dołączymy do pozostałych, chciałbym wam pogratulować akcji na „Nereusie”. Czytałem raport. Porządna robota.

– Dziękuję – odparł Austin. – Dużą część zasługi należy przypisać kapitanowi Phelanowi. Urodził się zbyt późno. Byłby doskonały z kordem w ręku do poskramiania barbarzyńskich piratów. Obawiam się, że narobiliśmy mu na statku bałaganu.

Sandecker wbił w Austina lodowate, błękitne oczy.

– Niektórych rzeczy nie da się uniknąć, Kurt. Rozmawiałem wczoraj z kapitanem. Statek pracuje zgodnie z planem na Jukatanie. Sam Phelan czuje się dobrze. Zapewniał, że „Nereus” znów jest w najlepszym porządku i na wzór bristolski. – Sandecker użył starego angielskiego żeglarskiego powiedzenia określającego sprawny statek. – Poprosił mnie, bym jeszcze raz podziękował wam za uratowanie jego ukochanej jednostki. No tak, jesteście gotowi wracać do pracy?

Zawala zasalutował zamaszycie jak postać z operetki Gilberta i Sullivana.

– W najlepszym porządku i na wzór bristolski.

Rozległo się ciche pukanie. W pokrytej ciemną boazerią ścianie otworzyły się boczne drzwi. We framudze pojawił się olbrzym. Musiał się nieźle schylić, aby wejść do środka. Przy dwóch metrach i trzech centymetrach Paul Trout sprawiał wrażenie, jakby jego domem był nie Zespół do Zadań Specjalnych NUMA, w którym pracował jako geolog, lecz boisko do koszykówki. Co prawda wiele uczelni proponowało mu stypendia z powodu wzrostu, a nie błyskotliwego umysłu.

Trout, jak na osobę pochodzącą z Nowej Anglii przystało, nie mówił wiele, ale nawet jego jankeska rezerwa nie zdołała ukryć zadowolenia w głosie.

– Cześć chłopaki. Miło znów was widzieć. Brakowało nam was. – Odwrócił się do Sandeckera. – Jesteśmy gotowi, admirale.

– Znakomicie. Panowie, nie chcę marnować teraz czasu na wyjaśnienia. Powody zwołania tego spotkania wkrótce staną się w pełni jasne. – Sandecker poprowadził obecnych do sąsiadującej z jego gabinetem dużej i wygodnej sali konferencyjnej.

Austin od razu wyczuł bardzo poważną atmosferę. Żyłasty, wąski w ramionach mężczyzna, który siedział przy bardziej oddalonym od wejścia szczytce wielkiego mahoniowego stołu, nazywał się Rudi Gunn. Był komandorem, zastępcą dyrektora NUMA i szefem działu logistyki. Obok niego zajmował miejsce geniusz komputerowy Hiram Yaeger, wyglądający na zabytek z lat sześćdziesiątych. Naprzeciwko ludzi z NUMA siedział dystyngowany starszy pan, którego kanciasty profil i siwe wąsy przypominały Austinowi C. Aubreya Smitha, starego aktora grającego często zawadiackich angieli-

skich oficerów. Po prawej stronie miał młodego mężczyznę, łysiejącego, otyłego, z agresywnie wystającą szczęką.

Gunnowi i Yaegerowi Austin jedynie kiwnął głową. Przebiegł wzrokiem po pozostałych mężczyznach. Spojrzenie zatrzymał dopiero na siedzącej nieco z boku kobiecie. Blond włosy upięte w kok, ściśle przylegający do głowy. Fryzura podkreślała szare jak dym oczy i wysokie kości policzkowe. Austin podszedł i wyciągnął rękę.

– Doktor Kirow, cóż za niespodzianka – powiedział z prawdziwą przyjemnością. – Miło panią widzieć.

Nina miała na sobie garsonkę. Delikatny róż kostiumu podkreślał miodowy kolor skóry. Austin pomyślał, że mężczyźni są jednak idiotami. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, była ubrana skąpo jak syrena. Wyglądała pięknie. Teraz, ubrana w jedwabny strój podkreślający ukryte kształty, była wprost zachwycająca.

Jej usta rozszerzyły się w czarującym uśmiechu.

– Pana też miło widzieć, panie Austin. Jak się pan czuje?

– Wspaniale. – Formalna poprawność wymiany grzeczności nie była w stanie skryć szczerej radości. Trzymali się za ręce nieco dłużej, niż powinni. Dopiero Sandecker złamał zakłęcie przesadnie głośnym odchrząknięciem. Austin odwrócił się, ujrzał na twarzach kolegów rozbawienie i zaczerwienił się. Stwierdził, że reaguje jak uczeń o maślanym wzroku, przyłapany przez swych kumpli nienawidzących dziewczuch.

Sandecker zaczął przedstawiać sobie obecnych. Starszy mężczyzna nazywał się J. Prescott Danvers. Piastował stanowisko dyrektora organizacji o nazwie Światowa Rada Archeologiczna. Drugim obcym był Jack Quinn z Fundacji Azji Wschodniej. Sandecker popatrzył na zegarek.

– Przejdźmy teraz do pracy. Hiram?

Yaeger zaczął stukać w klawisze swego powerbooka. Austin usiadł obok Trouta. Janek jak zwykle wyglądał nienagannie. Jasnobrązowe włosy miał starannie zaczesane z przedziałką na środku głowy – zgodnie z modą, jaka obowiązywała w epoce jazzu. Był ubrany w jasnobrązowy popelinowy garnitur, oksfordzką błękitną koszulę i jeden ze swoich ulubionych wielkich kolorowych krawatów. Dla kontrastu z odzieżą nosił robocze buciory. Niektórzy sądzili, że ten ekscentryczny element to hołd składany ojcu – rybakowi. Prawda wyglądała jednak inaczej. Trout wyrobił sobie nawyk noszenia tego typu obuwia w Instytucie Oceanograficznym, gdzie wielu naukowców chodziło w ciężkich butach.

Jako syn rybaka z Cape Cod, Trout spędził sporą część dzieciństwa, kręcąc się wokół tego światowej sławy instytutu. Dostawał weekendowe oraz wakacyjne prace od naukowców, którzy w ten sposób wyrażali przyjaźliwość wobec tak zafascynowanego oceanem chłopaka. Jego miłość do morza zawiodła go po latach do tak samo szacownego Instytutu Oceanografii Sripss. Tam zrobił magisterium z geologii głębokich oceanów.

– Myślałem, że jesteś z Gamay na Jukatanie – odezwał się Austin. Spontkanie Trouta bez żony stanowiło rzadkość. Poznali się w Scripps, gdzie Gamay robiła doktorat z biologii morza. Zaraz po obronie wzięli ślub. Rudi Gunn, stary przyjaciel Trouta ze szkoły średniej, namówił go na dołączenie do nowo powstałego Zespołu do Zadań Specjalnych NUMA. Paul wyraził zgodę, ale pod warunkiem, że zostanie przyjęta także jego żona. Admirał, zachwycony, że dostaje dwójkę pierwszej klasy specjalistów, chętnie się zgodził.

Trout zawsze sprawiał wrażenie zamyślonego. Miał taki nawyk, że kiedy mówił, lekko zwieszał głowę, a wzrok kierował ku górze, jakby starał się patrzeć nad okularami, choć w rzeczywistości nosił szkła kontaktowe. Mówił z nosowym akcentem i przeciągał „a” tak, jak to robią ludzie urodzeni na Cape Cod.

– Od tygodni próbuję umówić się z ważną szczyłą z Muzeum Antropologicznego w Mexico City. Gość nie mógł przesunąć terminu, jestem więc tu za nas oboje.

Sandecker zajął miejsce przed wielkim ekranem z tylną projekcją, podłączonym do komputera Yaegera. Skinął głową informatykowi i sekundę później na ekranie pojawiła się mapa Afryki Północnej. Olbrzymim, nie zapalonym managuańskim cygarem wskazał na Maroko i migającą czerwoną strzałkę.

– Wszyscy tu obecni wiedzą o ataku na doktor Kirow i zniknięciu członków jej ekspedycji. – Zwrócił się do Austina i Zavali. – Gdy wracaliście do zdrowia, zgłoszono zaginięcie kolejnych dwóch ekspedycji.

Na ten sygnał Yaeger wyświetlił na ekranie mapę świata. Opisał znaczenie trzech migoczących strzałek.

– Organizacja pana Quinna straciła ekspedycję w Chinach. Dwóch naukowców i ich pomocnik zginęło w Indiach. To jest Maroko.

– Dziękuję, Hiram – powiedział Sandecker. – Doktorze Danvers, proszę nam przedstawić swoją organizację.

– Z przyjemnością – odparł Danvers i wstał. Jego elegancki głos miał pseudobrytyjski akcent, jakiego uczy się w szkołach przygotowawczych. – Światowa Rada Archeologiczna w Waszyngtonie zajmuje się gromadzeniem informacji mających związek ze światowym środowiskiem archeologicznym. Każdego dnia na całym globie prowadzi się dziesiątki prac – mówił, machając ręką w kierunku mapy. – Są sponsorowane przez fundacje, uniwersytety, agencje rządowe albo inne instytucje. Zebrane przez nas dane przekazujemy dalej wedle potrzeb, w kontrolowanym zakresie.

– Może mógłby nam pan podać konkretny przykład – poprosił Sandecker. Danvers chwilę się zastanawiał.

– Jeden z członków naszej organizacji chciał ostatnio prowadzić prace w Uzbekistanie. Po połączeniu z bazą danych przedstawiliśmy informacje o byłych, obecnych i planowanych pracach archeologicznych w tym kraju.

Dostarczyliśmy kopie wszystkich opublikowanych ostatnio prac naukowych na temat Uzbekistanu, bibliografie książek dotyczących tego regionu oraz listę ekspertów. Mieliśmy mapy i plany miast, praktyczne wiadomości o lokalnej polityce, źródłach zdobywania robotników, o transporcie, stanie dróg, pogodzie i tak dalej.

– Czy to znaczy, że macie także informacje o zaginionych tam ekspedycjach?

– Hm... – Danvers zmarszczył czoło. – Niezupełnie. Danych dostarczają różne organizacje członkowskie. My jedynie zbieramy informacje i przekazujemy je dalej. Nasz materiał jest głównie natury akademickiej. Jeśli chodzi o przykład z Uzbekistanem, nie mielibyśmy informacji o zaginięciu ekspedycji, dopóki nie dostarczyłby ich uniwersytet, który wysłał tam swoich ludzi. Mogły być ostrzeżenia, że określony teren nie należy do bezpiecznych. Oczywiście istnieje prawdopodobieństwo, że informacje są, ale tak rozproszone w bazie danych, że ich zebranie zajęłoby sporo czasu.

– Rozumiem – odparł Sandecker. – Hiram, mógłbyś nam w tej sprawie pomóc?

Yaeger postukał w klawisze. Na różnych kontynentach zaczęły się jedna po drugiej zapalać czerwone strzałki. Do trzech pierwszych dodał kilkanaście nowych.

– To są ekspedycje, które zaginęły w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Nozdrza Danversa poruszyły się, jakby mężczyzna poczuł brzydkiego zapach.

– Niemożliwe! Skąd wziął pan informacje, by wysuwać tak niedorzeczne twierdzenie?

Yaeger wzruszył ramionami.

– Z akt pańskiej organizacji.

– Niemożliwe. Aby wejść do naszej bazy danych, trzeba być członkiem ŚRA. Wiele informacji jest zastrzeżonych! Nawet członkowie nie mogą krążyć swobodnie między katalogami. Muszą dostać zezwolenie po przedstawieniu kodu dostępu.

Nie po raz pierwszy ktoś starał się wmówić Yaegerowi, że jego elektroniczne dzieciaki dopiero raczkują, podczas gdy w rzeczywistości umiały sprintować. Już dawno temu oduczył się spierać w tej kwestii. Jedynie się uśmiechnął.

Sandecker przyglądał się strzałkom radośnie migoczącym na ekranie.

– Chyba możemy się zgodzić, że to przekracza granice przypadku.

Danvers ciągle jeszcze był oszołomiony faktem, że do jego bazy danych wtargnął człowiek, który wyglądał jak aktor z *Hair*.

– Owszem – mruknął, z całych sił starając się zachować spokój.

– Chciałbym pana naprawdę bardzo przeprosić, doktorze Danvers – powiedział Sandecker. – Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o marokańskim incydencie, poprosiłem Hiram, by dokonał przeglądu podobnych przypad-

ków w doniesieniach prasowych i porównał je z innymi dostępnymi informacjami. To że do rabunku w cyberprzestrzeni wybrał pańską organizację, jest dowodem znaczenia ŚRA. Obawiam się, niestety, że mamy jeszcze gorsze wiadomości.

Yaeger przejął pałeczkę.

– Dokonałem przeglądu wszystkiego, co dotyczy archeologii w najważniejszych publikacjach. Zestawiłem dane z pańskimi aktami i wprowadzałem kolejne kryteria poszukiwania, by oddzielić zboże od plew. Przeanalizowanie ostatnich pięciu lat było łatwe. Sprawa komplikowała się, kiedy dotarłem do czasów, zanim zaczęto powszechnie używać komputerów. Wyniki, jakie uzyskałem, nie są kompletne, ale to co mam, jest dobrze udokumentowane. Wyeliminowałem ekspedycje, gdzie nie znaleziono zwłok, a także te, które zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez katastrofy naturalne.

Kliknął myszką. Danvers jęknął. Mapa zamigotała jak neon na Times Square. Na każdym kontynencie zajarzyły się dziesiątki strzałek.

Quinn zareagował złością.

– Czyste szaleństwo! Na Boga, przecież to nie opowiadka z filmu z Indiana Jonesem! Ekipy archeologiczne nie znikają ot, tak z powierzchni ziemi bez niczyjej wiedzy!

– Słuszna uwaga, doktorze Danvers – odparł spokojnie Sandecker. – My też początkowo byliśmy zaskoczeni liczbą ekip, które rozplynęły się w powietrzu. Opinia publiczna nie pozostaje obojętna na takie wydarzenia, ale te incydenty są rozrzucone w czasie przez dziesięciolecia. Był też okres, kiedy badacze nagminnie znikali na lata. Czasem na zawsze. Czy wiedzielibyśmy, co się stało z doktorem Livingstone’em, gdyby nie poszedł za nim nieustraszony Stanley?

– A co robią serwisy prasowe? – spytał Quinn.

– Czasami ktoś z redakcji o dużych możliwościach, na przykład „New York Timesa”, zagląda do „kostnicy”, czyli archiwum, i zauważa, że już kiedyś zaistniało podobne wydarzenie i porównuje je z niedawnym – wyjaśnił Sandecker. – Kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku powszechnie trąbiono o zniknięciu ekipy „National Geographic” na Sardynii, jedni przypisali incydent działalności bandytów, inni nieszczęśliwemu przypadkowi. Często zwała się winę na powodzie albo wulkany, ale zakres wpływu czynników naturalnych należy przyjmować z zastrzeżeniem. – Przerwał na chwilę. – Najbardziej jednak martwi mnie fakt, że trend rośnie.

Ciągle jeszcze nie przekonany, Austin oparł się na łokciach, pochylił do przodu i wbił wzrok w mapę.

– Obecnie dysponujemy znacznie lepszymi metodami komunikacji niż za czasów Stanleya – powiedział w końcu. – Czy może to mieć związek ze wzrostem liczby zniknięć?

– Wziąłem to pod uwagę, Kurt – odparł Yaeger. – Krzywa mimo wszystko rośnie.

Rudi Gunn zdjął okulary w szyldkretowej oprawce i w zamyśleniu gryzł koniec zausznika.

– Przypomina mi to pewien film... *Ktoś zabija wielkich przywódców Europy*.

– Tyle tylko, że tu nie chodzi o przywódców, a incydenty nie ograniczają się do jednego kontynentu – stwierdził Sandecker. – Jak wskazuje doświadczenie doktor Kirow, ktoś morduje wybitnych archeologów.

Danvers osunął się na oparcie, jego zwykle rumiana twarz była blada jak ciasto.

– Dobry Boże... – wydyszał chrapliwie. – Co tu się, na Boga, dzieje?

– No właśnie. Co tu się dzieje? – Błękitne oczy Sandeckera przesuwają się od twarzy do twarzy. – Poprosiłem Hirama o zakodowanie podobieństw ekspedycji, które poznikały. Na pierwszy rzut oka nic się nie dało dostrzec. Wyprawy były bardzo różne. Liczba uczestników wahała się od trzech do ponad dwudziestu. Prace archeologiczne prowadzono we wszystkich zakątkach świata. Organizatorami okazały się najróżniejsze instytucje oraz osoby prywatne. Pojawiło się jednak kilka wspólnych mianowników. W zaistniałych przypadkach powtarzało się to, co policja określa mianem „schematu działania”. Ekspedycje po prostu znikają. Przeżycia doktor Kirow były bardzo traumatyczne. Jeśli jednak dzięki nim uda się zapobiec dalszym katastrofom, to przykre doświadczenia mogą się okazać szczęśliwym trafem. Wiemy teraz, że ekspedycje nie rozpyływały się w powietrzu. Po prostu likwidowały je grupy wyszkolonych zabójców.

– Thagowie... – powiedział cicho Gunn.

– Co to znaczy? – spytał Quinn.

– Od nich pochodzi angielskie słowo *thug*, którym określamy zbira albo rzezimieszka. W języku hindi oznacza ono „złodziej”. Tak nazywano czcicieli Kali. Namierzali karawanę, w nocy dusili ludzi, chowali ciała i kradli, co im się spodobało. Anglicy zlikwidowali kult na początku dziewiętnastego wieku. Thagowie właściwie przestali się liczyć. Jedno z ostatnich zniknięć ekspedycji archeologicznej miało miejsce w Indiach.

Nikogo nie dziwiło, że Gunn przedstawia różne mało znane informacje. Niski, drobny Gunn był po prostu geniuszem. Kiedyś najlepszy student ostatniego roku Akademii Marynarki Wojennej i komandor marynarki wojennej mógłby z powodzeniem zajmować któreś z najwyższych stanowisk w departamencie. Miał doktoraty z chemii, zarządzania finansami i oceanografii, ale zamiast marynarki wojennej wolał nauki podwodne. Służył na okrętach podwodnych jako adiutant Sandeckera. Kiedy admirał zrezygnował ze służby, by stworzyć NUMA, poszedł za nim bez wahania. Tworząc raporty i kompilacje artykułów naukowych, wchłaniał wiedzę z setek książek z najróżniejszych dziedzin.

– Sprawdziłem thagów – powiedział Yaeger. – Także ninja i *hasziszijja*. To prawda, są podobieństwa.

Sandecker przyjął sugestię.

– Pomysł z tajnym stowarzyszeniem zabójców jest oczywiście interesujący, ale odłóżmy go na chwilę na bok, do czasu, aż przedstawię kolejny wspólny mianownik. Udało się udokumentować, że wszystkie ekspedycje, które zniknęły w ostatnich latach, donosiły o znalezieniu w nietypowych miejscach prekolumbijskich artefaktów. – Sandecker przerwał, aby zwiększyć dramaturgię wypowiedzi. – Według informacji Hiram, wszystkie wyprawy w jakimś stopniu finansowała organizacja o nazwie Time-Quest. Czy ktokolwiek z państwa coś o niej wie?

– Oczywiście – powiedział Quinn. – Nasza fundacja wielokrotnie korzystała z ich pomocy. O ile się orientuję, to godna pełnego zaufania firma. Reklamuje się w każdym branżowym czasopiśmie. Są znani z dość szczodrego przyznawania subwencji. Dają pieniądze, jeśli dana wyprawa im się podoba. Na dodatek przysyłają wolontariuszy, ludzi, którzy płacą za ekscytujące przeżycia podczas wykopalisk. Time-Quest ma związek z niektórymi organizacjami pracującymi na rzecz ochrony środowiska oraz zajmującymi się emerytami. Tak, uczciwa firma.

Danvers jakby obudził się z głębokiego snu.

– Zgadzam się. Wielu naszych klientów korzystało z ich informacji. Mamy zresztą teczkę Time-Quest.

– Oglądałem tę dokumentację – wtrącił się Yaeger. – Zebrałem także informacje z innych źródeł. Sprawdziłem spisy organizacji niedochodowych oraz agencji stanowych i federalnych zajmujących się kontrolą podobnych firm. Deklaracje bankowe. Imponująca strona internetowa. Siedziba główna w San Antonio. Zarząd składa się z ludzi znanych w całym kraju.

Austin zmarszczył czoło.

– Nieraz wielcy tego świata nieświadomie firmowali niegodziwe poczynania: od lewicowego i prawicowego ekstremizmu po przestępczość zorganizowaną. Zawsze sądzili, że służą dobrej sprawie.

– Racja, Kurt – przyznał Sandecker. – Hiram, czy coś może świadczyć o tym, że Time-Quest to przykrywką dla terrorystów?

Yaeger pokręcił głową.

– Z danych wynika, że Time-Quest jest czysty.

– Czyli nie znalazłeś nic niezwykłego? – nie ustępował Sandecker. Czuliśmy uchem dosłyszał w głosie Yaegera obcą nutę.

– Tego nie powiedziałem, admirale. Istnieją tony informacji o organizacji matczynej, ale większość przekazywanych prasie przez Time-Quest tekścików niczego tak naprawdę nie mówi. Kiedy próbowałem zajrzeć za wize-runek oficjalny, trafiłem w pustkę.

– Zablockowali dostęp?

– Nie. To... bardziej skomplikowane. Przy zablokowanym dostępie jest tak, jak przy braku klucza do zamkniętych drzwi. Tu miałem klucz, ale kiedy wchodziłem, było ciemno i nie mogłem zapalić światła.

– Jeśli twoje elektroniczne psy gończe nie zdołały wywęszyć tropu, sprawa musi być naprawdę skomplikowana. Mimo to wyniki twojej pracy o czymś świadczą. Żadna organizacja nie maskuje włącznika światła, jeśli nie ma czegoś do ukrycia.

Nina, która przez cały czas siedziała bez słowa, nagle się odezwała:

– Gonzalez.

– Słucham? – powiedział Sandecker.

– Myślałam o tym, co komandor Gunn mówił o thagach. W naszej ekspedycji uczestniczył niejaki Gonzalez. Wspominałam o nim panom Austiniowi i Zawali. Przyszedł do nas za pośrednictwem Time-Quest. Wydawał się... po prostu dziwny.

– W jakim sensie, doktor Kirow?

– Trudno opisać. Strasznie unижony. Wszędzie było go pełno. Ciągłe zaglądał każdemu przez ramię. Gdy ktokolwiek zadawał mu pytanie na jego temat, serwował tę samą historyjkę. Nigdy się nie zmieniała. Na pytanie o szczegóły odpowiadał wymijająco. Na przykład ostatniego dnia chciałam się dowiedzieć o obcego, z którym rozmawiał... – przerwała i zmarszczyła czoło. – Moim zdaniem miało to związek z atakiem.

– Czytałem o tym incydencie w pani raporcie – powiedział Sandecker. – Czy Gonzalez zginął ze wszystkimi?

– Tak podejrzewam. Było mnóstwo zamieszania. Zniknął więc...

– Sprawdzimy protokoły ekshumacji zwłok. Jeśli nie został wymieniony, Hiram go poszuka.

– Jedno pytanie – wtrącił się Austin. – Każda ekspedycja związana z Time-Quest w ostatnich latach zniknęła. Czy istnieją ich wyprawy, których członkowie wrócili do domu cało?

– Ja odpowiem – odezwał się Sandecker. – Istnieją. Podczas wielu ekspedycji najpoważniejszym uszczerbkiem na zdrowiu okazał się udar słoneczny. Te, które zniknęły, zgłaszały niezwykle odkrycia, po części dowody na istnienie prekolumbijskich kontaktów. Co pan na to, doktorze Danvers?

– Społeczność archeologiczna z pewnością przyjęłaby takie rewelacje z największym sceptycyzmem – odparł Danvers. – Nie potrafię jednak wyjaśnić, w jaki sposób tego typu znaleziska mogłyby zwiastować morderstwo. Tak czy inaczej, z pewnością nie mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności.

Nina pokręciła głową.

– Trudno też uznać za przypadek, że zniszczono odkryty przeze mnie prekolumbijski artefakt. Na dodatek wymazano informację o jego istnieniu z uniwersyteckiej bazy danych. – Zwróciła się do Yaegera: – Jak to możliwe?

Informatyk wzruszył ramionami.

– Dla fachowca, to żaden problem.

Sandecker ponownie popatrzył na zegarek.

– Na razie nic więcej nie zdziałamy. Chciałbym panom i pani, doktor Kirow, podziękować za przybycie. Omówimy między sobą następny krok i przekazemy państwu informacje o postępach.

Kiedy spotkanie zostało zakończone, Kurt podszedł do Niny.

– Zostaje pani w okolicy Waszyngtonu?

– Niestety, nie. Zaraz wyjeżdżam, by zacząć nowy projekt.

– Hm...

– Nigdy nie wiadomo, może któregoś dnia uda nam się pracować razem...

Austin poczuł delikatny zapach lawendy, unoszący się z jej włosów. Zadał sobie pytanie, co zdołaliby wspólnie osiągnąć... pod kątem zawodowym.

– Może...

Podszedł Zawała.

– Przepraszam, że przerywam. Sandecker wzywa nas do siebie.

Austin niechętnie pożegnał się z Niną i poszedł za kolegami do jaskini admirała. Usiadł w wygodnym skórzanym fotelu. Sandecker zajął miejsce za biurkiem. Chwilę ssał gigantyczne cygaro, po czym je zapalił. Właśnie zamierzał rozpocząć dyskusję, kiedy spojrzał na Zawałę, palącego identyczne cygaro. We wszechświecie istniało niewiele rzeczy, o których Sandecker nie wiedział, a jedna z najdłużej trwających i irytujących tajemnic w jego życiu była związana ze stojącą na biurku skrzyneczką. Przez lata próbował odkryć, jak udaje się Ałowi Giordinowi bezkarnie kraść z niej cygara.

Admirał przyszpilił Zawałę stalowym spojrzeniem.

– Widziałeś się z Giordinem? – spytał lodowato.

– W windzie. Właśnie wybiera się z Pittem na Antarktydę – odparował z niewinnością cherubina Zawała. – Rozmawialiśmy przez chwilę o sprawach dotyczących NUMA.

Sandecker cicho odchrząknął. Nigdy nie przyznał się do tego wobec Giordina. Prędzej cholera by go wzięła, niż dałby Zawałi satysfakcję, zdradzając, że jest zirytowany albo nie rozumie, co się wokół niego dzieje.

– Niektórzy z was pewnie zadają sobie pytanie, co agencja zajmująca się badaniem oceanów może mieć wspólnego z bandą pustynnych kopaczy – zaczął. – Głównym powodem naszego zainteresowania tą sprawą jest fakt, że NUMA ma najlepszy na świecie potencjał wywiadowczy. Do wielu miejsc, gdzie prowadzono wykopaliska, docierano morzem albo rzekami wpływającymi do morza. Panowie, jakieś pomysły?

Austin, który z zainteresowaniem obserwował potyczkę na cygara, zastanowił się nad pytaniem Sandeckera.

– Przejrzyjmy to, co mamy. – Odliczając na palcach, wymieniał po kolei:

– Ludzie giną według określonego wzorca. Są mordowani przez dobrze zorganizowanych i wyposażonych zabójców. Wszystkie ekspedycje miały coś wspólnego z organizacją zwaną Time-Quest, która najwyraźniej coś ukrywa.

Przerwał mu Yaeger.

– Może jedynie robią uniki przed urzędem podatkowym?

– Niewykluczone, ale kop dalej – odparł Sandecker. – Badaj ich pod każdym możliwym kątem.

– Czy znalazłeś jakikolwiek ślad poduszgowca, który zaatakował doktor Kirow? – spytał Zavala.

– Tu miałem nieco więcej szczęścia – odpowiedział Yaeger. – Na podstawie opisu zawęziłem producentów do jednego: angielskiej firmy Griffon Hovercraft Ltd. Tylko oni budowali taki model. Jest szczególnie interesujący. Nazywa się LCAC.

– Jeśli dobrze pamiętam, to marynarskie określenie pojazdu lądującego na poduszce powietrznej – powiedział Gunn.

– Zgadza się. To podrasowana, przyspieszona, mogąca poruszać się po plaży wersja modelu dostępnego w publicznym handlu. Prawie dwadzieścia siedem metrów długości. Dwa śmigła i cztery turbiny gazowe rozpędzają go, z ładunkiem, do czterdziestu węzłów. Ma mocowania karabinów maszynowych kaliber 50, granatnika i M-60. Marynarka wojenna dysponuje kilkoma takimi jednostkami.

– Dlaczego nie użyli broni, by zatrzymać doktor Kirow?

– Moim zdaniem z obawy, że zostanie znalezione jej ciało. Zaczęto by zadawać pytania – zasugerował Austin. – Czy jakaś prywatna organizacja składała zamówienie na LCAC?

– Tylko jedna. Firma z San Antonio.

Austin pochylił się do przodu.

– Tam ma siedzibę Time-Quest.

– Zgadza się – odparł Yaeger. – Ale może to przypadek. Poduszgowiec należy do przedsiębiorstwa prowadzącego poszukiwania ropy naftowej. Chociaż niewykluczone, że to jedynie przykrywka. Sprawdzenie ich ewentualnych powiązań z Time-Quest chwilę potrwa. Z drugiej strony, gdyby przypuszczenia się potwierdziły, ich działanie świadczyłoby o beztroscie.

– Niezupenie – skomentował Austin. – Nie spodziewali się świadków. Gdyby atak na doktor Kirow był udany, nikt nie dowiedziałby się o istnieniu zabójców. Załoga „Nereusa” zauważyła poduszgowiec, ale płynął zbyt daleko, by dostrzec atak na człowieka.

– Kurt ma rację, Hiram – wtrącił Sandecker. – Chciałbym, byś dalej badał powiązania w San Antonio. Jeszcze jakieś propozycje?

– Może udałoby się sprawić, by zabójcy do nas przyszli – odezwał się Austin. Wyzwalaczem napadów jest aspekt prekolumbijski. Zorganizujmy wyprawę archeologiczną i dajmy Time-Quest znać, że odkryliśmy coś prekolumbijskiego.

– Potem założymy kamizelki kuloodporne i zaczekamy, co się wydarzy – uzupełnił Zavala. Palił cygaro jak Diamond Jim Brady. – Pułapka! Znakiemity pomysł!

Sandecker uniósł brew.

– A jak mielibyśmy się do tego zabrać? – spytał Sandecker. – Zorganizowanie czegoś takiego zajęłoby tygodnie. Prawda, Rudi?

– Obawiam się, że tak, sir.

Austin nie rozumiał, dlaczego Rudi Gunn sprawia wrażenie, jakby propozycja dość mocno go rozbawiła. Kiedy więc odpowiedział, w jego głosie wyraźnie słychać było irytację.

– Może jeśli się odpowiednio przyłożymy, dałoby się skrócić czas przygotowań?

– Nie ma powodu do zdenerwowania, przyjacielu – wtrącił się Sandecker. Wyszczrzył zęby w znanym wszystkim uśmiechu, który upodabniał admirała do barrakudy. – Podczas waszej rekonwalescencji, wpadliśmy z Rudim i Hiramem na ten sam pomysł i zaczęliśmy działać. Wszystko już prawie gotowe. Ze względu na czas i w celu uproszczenia logistyki, zorganizowaliśmy teatrzyk na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Przyjętą jest „artefakt” ze Starego Świata, znaleziony na kontynencie amerykańskim. Odkrycie powinno ściągnąć czyjąś uwagę. Traktuj to jako akcję Zespołu do Zadań Specjalnych NUMA.

– Zadanie przyjęte – odparł Austin. – Co z Gamay?

– Obecność biologa morskiego na pustyni byłaby nieco trudna do wyjaśnienia – powiedział Sandecker. – Nie widzę powodu, by odciągać Gamay od prac na Jukatanie. Zawiadomimy ją o naszych poczynaniach. W razie potrzeby zjawi się w kilka godzin. Ostatnio dość ciężko pracowała. W tej chwili prawdopodobnie rozkoszuje się tropikalnym słońcem na plażach pod Cozumel albo Cancun.

Zawala zaciągnął się dymem z cygara i wypuścił kółko.

– Niektórzy to mają szczęście... – stwierdził.

# 16

Gamay Morgan-Trout, czwarty stały członek Zespołu do Zadań Specjalnych NUMA, była ostatnią osobą na świecie, która uznałaby się za szczęściarę. Jej koledzy siedzieli w wygodnym, klimatyzowanym biurze, ją zaś zalewał pot, a zazwyczaj dobry nastrój pogarszał się proporcjonalnie do wzrostu temperatury powietrza, która dochodziła do trzydziestu stopni i nadal rosła. Aż trudno było uwierzyć, że bez żadnej chmury na niebie wilgotność może dojść do stu procent.

Splotła ramiona na piersi i oparła się smukłym ciałem o dżipa, zaparkowanego na trawiastym poboczu asfaltowej wstęgi, ciągnącej się przez nizinny deszczowy las. Na szarej jezdni tańczyły miraże, odbijając się w połyskujących kałużach wody. Miejsce przypominało jej szosę na pustkowiu w filmie *Północ-północny zachód*, gdzie Cary’ego Granta atakuje samolot do opryskiwania pól.

Spojrzała w blade niebo. Nie było samolotu do robienia oprysków. Leniwe koła zataczały tylko dwa sępy. Nie było to dobre miejsce dla głodnych drapieżników. Liczba przejechanych stworzeń musiała tu być naprawdę mała – w ciągu ostatniej godziny minął ją jeden pojazd. Nadjeżdżający pikap słychać było z bardzo daleka. Przeturkotał z ładunkiem półzdechłych kurczaków, zostawiając za sobą szlak białych piór. Kierowca nawet nie zwolnił, żeby zapytać, czy niepotrzebna jej pomoc.

Uznała, że stanie w słońcu jest głupotą, weszła więc z powrotem w cień pod składany dach dżipa i napiła się chłodnej wody z termosu. Trzeci raz rozłożyła mapę, którą profesor Chi przefaksował jej z Mexico City. Papier był wilgotny i miejscami poprzecierany mokrymi palcami. Wedle wskazówek mapy, wyruszyła rano z Ciudad del Carmen, gdzie cumował „Nereus”, i stosując się dokładnie do zaleceń, ruszyła w głąb monotonnego, płaskiego jak stół Jukatenu. Pilnie zwracała uwagę na dane dotyczące kilometrażu i za-

trzymała się dokładnie tam, gdzie wskazywała strzałka. Jeszcze raz przyjrzała się starannie narysowanym liniom. Nie ma mowy o pomyłce. Miejsce oznaczono krzyżykiem. Była tam, dokąd miała przyjechać.

W środku pustkowiea.

Żałowała, że wybłągała możliwość zostania, kiedy wraz z mężem wzwano ją do Waszyngtonu na ważne spotkanie Zespołu do Zadań Specjalnych NUMA. Od wielu dni próbowała zorganizować spotkanie z profesorem Chi. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś będzie miała okazję go zobaczyć. Zastanawiała ją, co było przyczyną nagłego wezwania do NUMA. Weszli na pokład „Nereusa” wkrótce po tym, jak przybił do wybrzeży Jukatany, by wziąć udział w badaniu skutków uderzenia meteorytu. Paul miał wykonać podwodne grafiki komputerowe, które były jego specjalnością, a Gamay wnieść wiedzę biologa morskiego. Praca zapowiadała się przyjemnie, nie spodziewali się harówki. Nagle jednak zadzwoniono z kwatery głównej.

Uśmiechnęła się pod nosem. Pewnie Kurt Austin wrócił do pracy. Kiedy się pojawiał, zaraz wydarzały się różne niespodziewane rzeczy. Na przykład ta strzelanina na „Nereusie”. Postanowiła, że po powrocie na statek, zadzwoni do Paula i spyta, czy ma wskoczyć w samolot do domu.

Boże drogi... dlaczego profesor poprosił ją o spotkanie w tak smętnym miejscu? Jedynym śladem obecności człowieka, nie wiedziała jednak, czy dawnej, czy obecnej, były słabo widoczne, zarośnięte trawą odciski opon, znikające w lesie. Przegoniła owada, który atakował czubek jej nosa. Płyn odstrasżający owady tracił zdolność działania, podobnie jak ona traciła cierpliwość. Może powinna wrócić. Nie, zaczeka jeszcze kwadrans. Jeśli profesor Chi nie pojawi się, wróci na „Nereusa”. Trzeba będzie się pogodzić z tym, że dwugodzinna podróż wynajętym dżipem poszła na marne.

Cholera! Nigdy więcej nie dostanie podobnej szansy. Naprawdę zależało jej na tym spotkaniu. Głos w telefonie łączący amerykański akcent i latynoską uprzejmość robił takie miłe wrażenie... Sklejony gorącym potem kosmyk długich, ciemnorudych włosów, opadł jej na czoło. Wysunęła dolną wargę i bezskutecznie próbowała go zdmuchnąć. W końcu odgarnęła włosy dłonią i z przyzwyczajenia spojrzała we wsteczne lustro. Na drodze pojawił się niewielki punkcik, drgająca w rozgrzanym powietrzu plamka. Gamay wychyliła się przez drzwi, by lepiej ją widzieć. Plamka zamieniła się w biało-niebieski autobus. Najwyraźniej kierowca pomylił drogę. Gamay cofnęła się do dżipa. Piła właśnie kolejny łyk wody, kiedy usłyszała syk hydraulicznych hamulców.

Autobus zatrzymał się tuż za nią. Grobową ciszę rozdarł grzmot meksykańskiej muzyki, ciężkiej od decybeli i pomruków instrumentów dętych. Głośniki musiały zaczynać karierę w Woodstock. Z wozu wysiadł samotny mężczyzna, ubrany w narodowy indiański strój – bawełnianą koszulę, workowate białe spodnie i sandały. Na głowie miał kapelusz z rafii z wywiniełym do góry rondem. Jak większość potomków Majów był niski, ledwie prze-

kraczał metr pięćdziesiąt. Wymienił z kierowcą kilka wyrzucanych jak z karabinu maszynowego hiszpańskich słów, po czym pomachali sobie na pożegnanie. Drzwi autobusu zamknęły się z trzaskiem i przy akompaniamencie zgrzytających trybów skrzyni biegów pojazd ruszył niczym wielka szafa grająca na kółkach.

Rany!

Gamay pochyliła się do przodu, by zabić owada, który wbił się jej w łydke. Uniosła głowę i zobaczyła we wstecznym lusterku, że mężczyzna i autobus zniknęli. Spojrzała w boczne lusterko. Widać było jedynie pustą drogę. Dziwne. Zaraz. Coś poruszyło się po prawej. Zamarła. Przez okienko od strony pasażera wpatrywały się w nią czarne jak węgiel oczy.

– Doktor Morgan-Trout, jak sądzę?

Mężczyzna mówił tym samym łagodnym głosem z amerykańskim akcentem, który usłyszała podczas rozmowy telefonicznej z Mexico City. Nieśmiało spytała:

– Profesor... Chi?

– Do usług. – Mężczyzna spostrzegł, że Gamay wpatruje się w dubeltówkę, którą opierał o zgięcie łokcia. Opuścił ją tak, że przestała być widoczna. – Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Przepraszam też za spóźnienie. Polowałem i źle zaplanowałem wszystko w czasie. Juan, nasz kierowca, to złoty człowiek, ale jest gadatliwy i flirtuje ze wszystkimi kobietami bez względu na wiek. Mam nadzieję, że nie czekała pani za długo.

– Nie, w sam raz.

Nie spodziewała się, że ten, na kogo czeka, będzie niskim, smagłym mężczyzną o szerokiej, niemal czekoladowej twarzy, wysokich kościach policzkowych i długim, lekko łukowatym nosie. Skarciła się w duchu za myślenie stereotypami.

Doktor Chi żył wystarczająco długo w świecie białego człowieka, by rozpoznać jej zażenowanie. W kamiennej twarzy błysnęły wesoło ciemne oczy.

– Zaskoczyłem panią. Pojawiłem się z karabinem jak *bandito*. Przepraszam za swój wygląd. Kiedy jestem w domu, ubieram się jak miejscowi.

– To ja powinnam przeprosić za nieuprzejmość, że każę panu stać na słońcu. – Klepnęła w fotel obok siebie. – Proszę usiąść w cieniu.

– Noszę własny cień ze sobą, ale przyjmę miłe zaproszenie. – Zdjął kapelusz, ukazując cofnięte czoło i siwą grzywkę. Zdjął z ramienia płócienną myśliwską torbę i wsiał. Starannie ułożył złamaną dubeltówkę między siedzeniami, lufami do tyłu. Torbę położył na kolanach.

– Sądząc po torbie, miał pan udane polowanie.

Chi westchnął teatralnie.

– Jestem chyba najbardziej leniwym myśliwym świata. Staję na skraju drogi, zabiera mnie autobus i po jakimś czasie wysadza. Idę do lasu. Bachbach. Wychodzę z lasu i łapię następnego autobus. W ten sposób mogę się de-

lektować przyjemnościami, jakie daje polowanie, i cieszyć tym, że dzielę się moimi triumfami i porażkami z sąsiadami. Najtrudniejsza część całego przedsięwzięcia to zdążyć na autobus. Ale poszło dobrze. – Uniósł torbę do góry. – Dwie głupie kuropatwy.

Gamay uśmiechnęła się, ukazując śnieżnobiałe zęby. z niewielką przerwą między jedynekami – jak aktorka i modelka Lauren Hutton. Była atrakcyjną kobietą, nie szczególnie piękną czy bardzo seksowną, ale pełną życia i energii. Zachowywała się w nieco trzpiotowaty sposób, który mężczyźni generalnie uważali za atrakcyjny.

– To świetnie – pogratulowała. – Czy mogę podwieźć dokądś pana i pańskie ptaki?

– To naprawdę miłe z pani strony. W rewanżu zaoferuję coś odświeżającego. Musiała się pani zgrzać, czekając na mnie.

– Nie było aż tak źle – odparła Gamay, choć włosy miała w nieładzie, podkoszulek kleił się do fotela, a z podbródka kapał pot.

Chi skinął głową. Docenił grzecznościowe kłamstwo.

– W takim razie proszę zawrócić i pojechać tymi śladami.

Zapaliła silnik, zawróciła, wrzuciła bieg terenowy i zjechała z drogi. Opony potoczyły się po koleinach z zaschniętego błota. Wjechali w gęsty las. Po kilkuset metrach drzewa przerzedziły się, ustępując słonecznej polanie, na której stała prymitywna chata. Ściany zrobiono z gałęzi, a dach kryły palmowe liście. Weszli do środka. Na umeblowanie składały się metalowy turystyczny stolik, kempingowe krzeselko i hamak. Z krokwi zwisało kilka lamp na propan.

– Jeśli nie jest się zbyt wybrednym, nie ma lepszej *casa* od *mi casa* – powiedział. Zabrzmiało to, jakby głęboko wierzył w swoje słowa. Dużym palcem u nogi drapnął zapyłone klepisko. – Ta ziemia zawsze należała do mojej rodziny. Na tym miejscu stały w ciągu stuleci dziesiątki domów, a ich wygląd nie zmienił się od czasu powstania pierwszego. Od dnia, kiedy zaczął się czas. Mój naród nauczył się, że lepiej składać dom do kupy za każdym razem, kiedy trzeba, niż próbować budować taki, który wytrzyma huragany i pleśń. Ma pani ochotę na coś do picia?

– Tak. – Gamay rozejrzała się za lodówką. – Chętnie.

– Proszę za mną. – Wyszli z domu i ruszyli dobrze wydeptaną ścieżką. Po minucie dotarli do domu zbudowanego z bloków żużla, pokrytego dachem z zardzewiałej blachy. Profesor pchnął nie zamknięte drzwi i wszedł do środka. Chi podszedł do ciemnej wnęki i zaczął manipulować czymś, co tam się znajdowało, równocześnie pomrukując pod nosem po hiszpańsku. Po kilku sekundach zaterkotał silnik.

– Kiedy wychodzę, wyłączam generator, żeby oszczędzać gaz – wyjaśnił. – Klimatyzacja powinna się zaraz włączyć.

Zapaliła się zwisająca z sufitu naga żarówka. Znajdowali się w niewielkim korytarzyku wejściowym. Chi otworzył kolejne drzwi i wcisnął guzik

na ścianie. Zamigotało jarzeniowe światło, ukazując duże, pozbawione okien pomieszczenie z dwoma stołami do pracy. Stały na nich notebook, skaner, drukarka laserowa i mikroskop. Leżały sterty papierów, slajdy i najróżniejszej wielkości plastikowe torebki z kawałkami kamieni. Tu i ówdzie znajdowały się także większe odłamki skał, zaopatrzone w starannie zapisane etykiety. Wszędzie piętrzyły się szare koperty. Regały ugiwały się pod ciężarem grubych tomów. Na ścianie wisiały topograficzne mapy Jukatenu, zdjęcia stanowisk archeologicznych i rysunki rzeźb Majów.

– Moja pracownia – powiedział Chi z dumą.

– Robi wrażenie. – Gamay nie spodziewała się istnienia tak wyposażonej pracowni archeologicznej na... hm... pustkowiu. Doktor Chi był pełen niespodzianek.

Wyczuł jej zdziwienie.

– Ludzie czasami się dziwią, widząc kontrast, w jakim żyję i pracuję. Poza Mexico City ograniczam się do minimum potrzebnego do życia. Wystarcza mi miejsce do spania i jedzenia, hamak z moskitierą i dach do ochrony przed deszczem. Praca to jednak zupełnie co innego. Trzeba mieć odpowiednie narzędzia. A to moje najważniejsze narzędzie badań naukowych.

Podszedł do poobijanej, ale czynnej lodówki, otworzył ją, wepchnął torbę z kuropatwami na półkę. Wyjął dwie puszki seven-up i lód. Wrzucił kostki do plastikowych kubków i zalał je napojem. Zamaszystym ruchem ręki zrobił nieco miejsca między teczkami i przyniósł dwa krzesła. Gamay usiadła, upiła łyk i pozwoliła chłodnemu słodkiemu płynowi spłynąć do spieczonego gardła. Smakował lepiej od szampana. Siedzieli przez chwilę w milczeniu i delektowali się pić.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała Gamay po dolewce, tym razem butelkowanej wody. – Chyba byłam bardziej odwodniona, niż mi się wydawało.

– W naszym kraju nietrudno o utratę płynów fizjologicznych. Teraz, kiedy odzyskailiśmy energię, proszę powiedzieć, w czym mogę pani pomóc?

– Jak mu mówiłam przez telefon, jestem biologiem morskim. Uczestniczę w pewnym projekcie, prowadzonym na wybrzeżu.

– Zorganizowanym przez NUMA badaniu tektytów w okolicy uderzenia meteorytu pod Chixulub.

– Wie pan o tym?!

Skinął z powagą głową.

– Mamy tu tam-tamy. – Widząc zaskoczenie na twarzy Gamay, zachichotał i wyznał: – Nie umiem kłamać. Widziałem e-mail, przesłany przez NUMA do muzeum. Informowano nas grzecznościowo o planach przeprowadzenia tego badania. – Sięgnął do szafki z aktami, otworzył szufladę i wyjął szarą teczkę. – Zobaczmy... – powiedział, otworzył teczkę i zaczął czytać. – Gamay Morgan-Trout. Trzydzieści lat. Mieszka w Georgetown. Urodzona w Wisconsin. Wyśmienity nurek. Magisterium z archeologii morskiej na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Zmieniała specjalności, zatrudniła się w In-

stytucie Oceanografii Scripps, gdzie zrobiła doktorat z biologii morza. Swymi umiejętnościami dzieli się ze słynną na całym świecie Narodową Agencją Badań Morskich i Podwodnych.

– Wszystkie fakty są prawdziwe – powiedziała Gamay unosząc wdzięcznie wygięte brwi.

– Dziękuję – powiedział Chi i odłożył teczkę do szafki. – Ta robota mojej sekretarki. Po pani telefonie poprosiłem ją o rzucenie okiem na stronę internetową NUMA. Jest tam pełen opis prowadzonych programów wraz z krótkimi biografiami uczestniczących w nich osób. Czy jest pani spokrewniona z Paulem Troutem, oceanogeografem, którego nazwisko także wymieniono?

– Tak, Paul jest moim mężem. Prawdopodobnie nie wspomniano, że poznaliśmy się w Meksyku. Jechaliśmy pracować do La Paz. Poza tym wykonał pan pracę domową na piątkę.

– Obawiam się, że to wynik moich akademickich nawyków.

– Ja też mam skłonność do gromadzenia informacji. Sprawdźmy, czy pamiętam. – Gamay zamknęła oczy. – Doktor José Chi. Urodzony w Quintana Roo na półwyspie Jukatan. Ojciec był rolnikiem. Ze względu na osiągnięcia otrzymał stypendium rządowe do szkół prywatnych. Pierwsze lata studiów na uniwersytecie w Mexico City, dyplom na Uniwersytecie Harvarda, z którym jest związany do dziś jako pracownik Muzeum Archeologii i Etnologii imienia Peabody’ego. Kustosz Muzeum Antropologicznego Meksyku, laureat nagrody MacArthura za prace, które pozwoliły stworzyć rejestr pism Majów. Obecnie pracuje nad słownikiem języka Majów.

Otworzyła oczy i ujrzała uśmiech Chi. Lekko zaklaskał.

– *Brava*, doktor Morgan-Trout.

– Proszę mówić mi Gamay.

– Piękne i niezwykłe imię.

– Mój ojciec był koneserem wina. Kolor moich włosów kojarzył mu się ze szczepem winnym, z którego wytwarza się beaujolais.

– Chyba miał rację. Muszę jednak coś skorygować. Jestem dumny z pracy nad słownikiem, ale rejestr pism to dzieło wielu utalentowanych ludzi. Artystów, fotografów, kartografów, specjalistów od katalogowania i tak dalej. Ja odegrałem głównie rolę „odkrywcy”.

– Odkrywcy?

– *Sí*. Poluję od ósmego roku życia i sporo krążyłem po Jukatanie, Belizie i Gwatemali. W trakcie wędrówek często znajdowałem ruiny. Niektórzy twierdzą, że muszę mieć w głowie coś w rodzaju różdżki, ale moim zdaniem to wrażliwość na otoczenie, jaką musi mieć myśliwy, i chęć pokonywania dużych odległości. Jeśli wędruje się tutaj odpowiednio długo i wejdzie głębiej w ląd, zawsze można się potknąć o pozostałości działań moich pracowitych przodków. Proszę mi teraz powiedzieć, co biologa morza interesuje w pracy nie schodzącego z lądu poszukiwacza staroci?

– Mam dość niezwykłą prośbę, doktorze. Jak sam pan powiedział streszczając mój życiorys, zanim zajęłam się istotami żywymi, wydobywałam „starocie” z dna morskiego. Kiedy znajduję się w nowej okolicy, szukam starożytnych dzieł sztuki, dokumentujących życie podmerskie. Oczywiście przykładem jest tu przegrzebek. Krzyżowcy uczynili z niego swój emblemat. Malowidła i rzeźby przedstawiające muszle przegrzebka mają tysiące lat i pochodzą z czasów greckich, rzymskich, nawet jeszcze przed powstania tych cywilizacji.

– Interesujące hobby.

– To nie do końca hobby, ale bawi mnie to i odpręża. Mogę dzięki temu zajrzeć w przeszłość. Patrę na malowidło albo rzeźbę i wiem mniej więcej, jak dany gatunek wyglądał tysiące lat temu. Poprzez porównanie dzisiejszych przedstawicieli gatunku widzę, czy doszło do ewolucji genetycznych albo mutacji. Zastanawiam się nad napisaniem książki o tym, co zebrałam. Czy zna pan jakieś stanowiska archeologiczne, gdzie znaleziono wizerunki istot żyjących w morzu? Szukam przede wszystkim ryb, skorupiaków, koralii. Wszelkich przedstawicieli fauny morskiej, które mogły przyciągnąć oko Majów.

Chi przysłuchiwał się uważnie.

– To, co pani robi, jest fascynujące. A poza tym dowodzi, że archeologia nie jest martwą nauką. Wielka szkoda, że nie powiedziała mi pani przez telefon, o co dokładnie chodzi. Oszczędziłbym pani drogi tutaj.

– To nie był żaden problem, poza tym chciałam poznać pana osobiście.

– Cieszę się, tyle tylko, że obiektami twórczości artystycznej Majów są głównie ptaki, jaguary i węże. Bardzo prawdopodobne, że wszelkie obrazy fauny morskiej zostały tak wystylizowane, iż nie rozpozna się na nich niczego, co występuje w podręcznikach biologii. Mamy na przykład płaskorzeźby papug, które według niektórych wyglądają jak słonie.

– To jeszcze bardziej interesujące. Mam kilka wolnych dni od badania tektytów. Byłabym wdzięczna, gdyby wskazał mi pan jakieś ruiny.

Chi zastanawiał się przez chwilę.

– Jest stanowisko dwie godziny drogi stąd. Zabiorę tam panią. Może coś tam pani znajdzie.

– Na pewno nie sprawię kłopotu?

– W najmniejszym stopniu. – Popatrzyl na zegarek. – Będziemy na miejscu w porze lunchu, spędzimy tam kilka godzin i wrócimy późnym popołudniem. Zdaży pani dotrzeć z powrotem na statek, zanim zapadnie zmrok.

– Możemy jechać moim dżipem.

– Nie ma takiej potrzeby. Mam swój wehikuł czasu.

– Słucham? – Gamay nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Tam jest łazienka. Ja zapakuję obiad, a pani może się odświeżyć.

Gamay wzruszyła ramionami. Poszła do dżipa po plecak, wróciła, umyła twarz i uczesała się. Kiedy wychodziła z łazienki, Chi zamykał torbę-łodówkę.

– Gdzie mogę złapać wehikuł czasu? – spytała.

– W module chronotransportu – odparł poważnie Chi i wyszedł na zewnątrz. Miał ze sobą dubeltówkę. – Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek natknie się na jakieś ptaszki – wyjaśnił.

Obeszli budynek laboratorium i ścieżką dotarli do kolejnej wiejskiej chaty, a właściwie wspartego na czterech palach dachu. Pod osłoną z palmowych liści stał niebieski humvee.

Gamay aż pisnęła.

– To jest pański wehikuł czasu?

– A jak inaczej nazwać urządzenie, które może dowieźć człowieka do miast, w których kiedyś kwitły starożytne cywilizacje? Wiem, że wygląda na cywilną wersję wojskowego pojazdu, używanego podczas wojny w Zatoce, ale to jedynie kamuflaż, mający zniechęcić ciekawskich.

Postawił torbę z tyłu i otworzył Gamay drzwi. Usiadła w fotelu pasażera i przyjrzała się dobrze znanej desce rozdzielczej, przypominającej pulpity samolotu. W Georgetown mieli z Paulem hummera. Dżip w nowoczesnej wersji doskonale się sprawdzał zarówno w waszyngtońskim ruchu ulicznym, jak i w jeździe terenowej.

– Droga, którą przyjechaliśmy dżipem, to w zasadzie droga powrotna – wyjaśnił Chi. – Do szosy pojedziemy tędy. – Wsiadł i uruchomił silnik. Jego głowa ledwie sięgała szczytu kierownicy.

W oczekiwaniu na przygodę Gamay opadła wygodnie na fotel.

– Do anomalii czasowej numer sześć, poproszę, panie Sulu.

– Robi się – odparł Chi i wrzucił bieg. Samochód skoczył do przodu. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, zrobimy najpierw objazd przez dwunasty wiek.

# 1 7

Kiedy odrzutowiec zbliżał się do międzynarodowego lotniska w Tucson, Austin widział z okna sterczący z pasma Santa Catalina poszarpany szczyt Mount Lemmon. Lądowanie odbyło się gładko i kilka minut później Austin i Zavala zarzucili na ramiona torby, wyszli z terminalu na arizońskie słońce i zaczęli się rozglądać za samochodem. Zakurzony ford pikap F-150 zatrąbił na nich i podjechał do krawężnika. Austin, który stał bliżej furgonetki, otworzył drzwi pasażera. Kiedy zajrzał do środka, aż zamrugał. Za kierownicą siedziała ostatnia osoba, której by się spodziewał – Nina Kirow.

Nina zamieniła elegancki strój ze spotkania w NUMA na szorty i bladobłękitną koszulę.

– Podwieźć was, chłopaki? – spytała niskim, południowym dialektem. – Nie zrewanżowałam się jeszcze za podniecającą przejażdżkę skuterem wodnym.

Austin roześmiał się, aby ukryć zachwyty.

– Gdybym powiedział, że najwyższy czas przestać się spotykać w tak dziwnych okolicznościach, skłamałbym.

Zavala oniemiał, gdy zobaczył, z kim rozmawia Austin.

– Cześć – rzuciła swobodnie Nina. – Jeśli machniecicie, panowie, torby do tyłu, możemy ruszać.

Obaj mężczyźni wrzucili torby na tylne siedzenie. Zavala z nie skrywanym podziwem szepnął do przyjaciela:

– Jak to załatwiłeś?

Austin mruknął wymijająco i porozumiewawczo machnął do Zawali ręką. Włączyli się w strumień pojazdów, wyjeżdżających z lotniska. Kiedy skręcili w Tucson Boulevard i ruszyli na północ, Nina odezwała się:

– Powinnaś chyba coś wyjaśnić. Naprawdę dostałam nowe zadanie. Będę pracować z panami przy tym projekcie.

– To miłe, tylko dlaczego nie zdradziła pani tego, kiedy widzieliśmy się rano w Waszyngtonie.

– Admirał Sandecker mnie o to poprosił.

Zavala zachichotał.

– Witamy w dziwnym i stukniętym świecie NUMA.

– Powiedział, że przez jakiś czas nie był pan na bieżąco i chce pana wprowadzać stopniowo – kontynuowała Nina. – Chciał także, by skupił się pan na temacie spotkania, a obawiał się, że mogłoby to pana nieco... hm... rozkojarzyć, gdyby wiedział pan, że będziemy pracować razem.

Austin pokręcił głową. Po Sandeckerze zawsze można się spodziewać zaskakujących posunięć.

– Miał rację, byłbym kompletnie rozkojarzony.

Nina uśmiechnęła się.

– Aby uwiarygodnić projekt, admirał potrzebował archeologa. Spytał, czy mogłabym pomóc i zgodziłam się. Choć tyle mogłam zrobić. – Jej głos stał się twardszy. – Bez względu na to, kim są ci ludzie, chcę by ich złapano.

– Rozumiem panią, Nino, ale nie wiemy, z kim mamy do czynienia. To może być niebezpieczne.

– Rozważałam tę ewentualność długo i starannie. Admirał pozostawił mi wystarczającą ilość furtek, bym mogła się wycofać.

– Niech pani nie zrozumie mnie źle, ale czy nie wydało się pani, że admirał Sandecker proponuje uczestnictwo w tej operacji z innych powodów niż pani wiedza?

Nina popatrzyła na niego poważnie.

– Od początku postawił sprawę jasno.

– W takim razie wie pani, że ma być przynęta.

Skinęła głową.

– Głównym powodem, dla którego tu jestem, jest chęć wywabienia ludzi, którzy zabili doktora Knoxa, Sandy i pozostałych. Chcę pomóc doprowadzić ich przed oblicze sprawiedliwości bez względu na koszty. Poza tym nie ma żadnego dowodu, że jeszcze się mną interesują. Od tygodni mieszkam w Cambridge i najbardziej niebezpieczną rzeczą, z jaką miałam do czynienia, był ruch wokół Harvard Square. Z szafy nie wyskoczył nikt w czarnym stroju. Nikt mnie nie ochraniał, jednak żyję.

Austin postanowił nie zdradzać Ninie, że chronili ją goryle, których wynajął. Tyle że ich nie widziała. Doskonale wiedział, co oznaczała uparcie zaciśnięta szczęka Niny. Była zdecydowana wziąć udział w przedsięwzięciu.

– Mój poważny ojcowski ton może sugerować coś innego, ale naprawdę cieszę się, że znów panią widzę.

Naburmuszoną minę zastąpił uśmiech.

Wkrótce skręcili w prowadzącą do Oracle Junction Pioneer Parkway. Domy zaczęły rzednąć, a po obu stronach zastępowały je pustynia i kaktusy. Zavala, który słuchał w milczeniu, wiedział, że umysł Austina pracuje rów-

noległe na dwóch płaszczyznach – przyjaciel rozpatrywał równocześnie kłopoty natury zawodowej i prywatnej. Jako Latynos, Joe był romantykiem. Widział jednak, że Sandecker miał rację, mówiąc o ryzyku dekoncentracji Austina. Wykorzystał chwilę ciszy jako okazję do skierowania rozmowy na inne tory.

– Jeśli już mamy obgadane sprawy zasadnicze, może przedyskutujmy samą operację.

– Dzięki za przypomnienie – odparł Austin. – Rudi nas wprowadził, ale na wypadek, gdyby o czymś zapomniał, powtórzmy sobie szczegóły.

– Powiem, co wiem – stwierdziła Nina. – Kiedy zaczęliśmy rozmawiać po raz pierwszy, szybko okazało się, że istnieją poważne przeszkody w zorganizowaniu w krótkim czasie wiarygodnego fałszerstwa.

– Nie rozumiem dlaczego – odparł Austin. – Wszystko czego nam potrzeba, to obiecujące stanowisko archeologiczne, podstawiona ekspedycja, która wygląda rzetelnie, ludzie, na których można polegać, zadziwiający artefakt, który należy odkryć, i sposób zawiadomienia o znalezisku zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

– Sporo tego – odparła Nina. – To przedsięwzięcie na miarę spektaklu teatralnego, myśmy mieli to zrobić bez sceny, aktorów i scenariusza. Admirał zlecił zadanie zorganizowania występów artystycznych komandorowi Gunnowi i zaproponował, byśmy wykorzystali już działającą ekspedycję, ale z tego mogłyby wynikać nowe trudności.

Austin pokiwał głową.

– Musielibyście wpaść na legalne wykopaliska i krzyknąć: „Przejmujemy stanowisko i będziemy tu zakopywać fałszywy artefakt, bo chcemy ściągnąć na siebie uwagę bandy uzbrojonych po zęby skrytobójców”. No tak, to nie takie proste.

– Oczywiście. Komandor zaproponował jednak coś, co okazało się genialne.

– Z Rudim często tak bywa.

– Wpadł na pomysł, by stworzyć legendę. O arizońskich Rzymianach. Zawała zachichotał.

– To brzmi jak nazwa drużyny piłkarskiej.

– Ale nie chodzi o piłkarzy. W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku niedaleko starej suszarni cegły, w miejscu zwanym Nine Mile Hole, gdzie zatrzymywały się dylizanse, kilku ludzi znalazło coś, co wyglądało na używany do obrządków religijnych ołowiany krzyż o wadze nieco ponad dwadzieścia osiem kilogramów. Sądziło, że to pozostałość po jezuickich misjonarzach albo hiszpańskich konkwistadorach. Był pokryty *caliche*, czyli twardą warstwą węgla wapnia. Kiedy zdrapali osad, okazało się, że są to dwa krzyże, połączone ołowianymi nitami. Na metalu była wyryta inskrypcja.

– Kilroy tu był – zasugerował Zawała.

– Kilroy pisał po łacinie. Tekst przetłumaczono na Uniwersytecie Arizony. Okazał się niesamowity. Opisywał, jak w siedemset siedemdziesiątym piątym roku przed naszą erą siedemset osób – mężczyzn i kobiet – pod wodzą Teodora Odnowiciela wyruszyło z Rzymu i błąkało się po oceanie w sztormach i huraganach. W końcu zostali wyrzuceni na brzeg, opuścili statki i poszli na północ, aż dotarli do gorącej pustyni. Zbudowali miasto zwane Terra Calalus, które istniało, póki Indianie, wzięci w niewolę przez Rzymian, nie zbuntowali się i nie zabili Teodora. Miasto odbudowano, ale Indianie znów się zbuntowali. Jeden z rzymskiej starszyny, mężczyzna imieniem Jakub, kazał napisać tę historię na krzyżu.

– Rzymianie dysponowali statkami wystarczająco dużymi i wytrzymałymi, by odbyć taką podróż – stwierdził Austin – ale brzmi to jak opowiadanie ze starego komiksu za pięć centów. *Conan Barbarzyńca*.

– Albo *Amalryk – Człowiek-Bóg z Thoorany* – dodał Zawała.

– Świetnie, panowie – powiedziała Nina udając irytację. – To poważna sprawa. Jak dowodzi wasza wymowna reakcja, dla sceptyka ta opowieść to jarmarczna bujda i tak ją wtedy przyjęto. Opinie nieco się jednak zmieniły, kiedy niedaleko miejsca odnalezienia krzyża wykopano wyrzeźbioną w metalu rzymską głowę, także pokrytą *caliche*. Jeden z uniwersyteckich archeologów zorganizował ekspedycję. Znalaziono jeszcze kilka krzyży, dziewięć antycznych mieczy i *labarum* – chorągiew rzymskich cesarzy. Niektórzy ludzie zaczęli wierzyć w autentyczność opowieści, inni twierdzili, że przedmioty zostawili mormoni.

– Zrobili taki kawał drogi z Utah, żeby to wszystko zakopać? – spytał Austin.

Nina wzruszyła ramionami.

– Cały świat się spierał. Niektórzy eksperci twierdzili, że głębokość, na jakiej znaleziono artefakty, oraz grubość warstwy *caliche* dowodzi, że to nie może być dowcip. Chyba że dowcipniś pochodził z epoki prekolumbijskiej. Sceptycy uznali, że napis zawiera zwroty zbyt podobne do tych, jakie znajdują się w podręcznikach gramatyki łacińskiej. Niektórzy twierdzili, że artefakty mogły zostać pozostawione przez uciekinierów politycznych z czasów cesarza Maksymiliana, którego Napoleon posadził na meksykańskim tronie.

– Co się stało z tymi artefaktami?

– Uniwersytet uznał, że program badawczy stał się zbyt komercyjny i od tego czasu są zamknięte w sejfie bankowym. Nie było pieniędzy na kontynuację prac.

– Chyba zaczynam się domyślać, co teraz nastąpi. Po wielu latach wreszcie udało się znaleźć pieniądze, choć podejrzewam, że pochodzą z budżetu NUMA.

– Mhm... oficjalnie nazywa się, że sponsorem jest pewien zamożny człowiek, który chce pozostać anonimowy. Fascynował się opowieścią od dzieciństwa i chce raz na zawsze wyjaśnić tajemnicę. Badania za pomocą magnetome-

tru wykazały interesujące możliwości na opuszczonym ranczu niedaleko pierwotnego stanowiska. Zaczęliśmy tam kopać i znaleźliśmy rzymską relikwię.

– Co za historia... – powiedział Zavala. – Sądzi pani, że ktoś ją kupi?

– Na pewno. Prasa i stacje telewizyjne już opublikowały artykuły i wyemitowały audycje, które nadały sprawie wiarygodności. Kiedy nawiązaliśmy kontakt z Time-Quest, okazało się, że wiedzą o prowadzonych pracach i są chętni do pomocy.

– Dali pieniądze?

– Nie prosiliśmy o fundusze. Zażądaliśmy wolontariuszy. Przysłali dwóch. W rewanżu – a robią tak zawsze – poprosili o zawiadomianie ich o każdym niezwykłym odkryciu przed prasą. Co już nastąpiło.

Austin myślał perspektywicznie.

– Przy takim rozgłosie niełatwo będzie sprawić, by ekspedycja zniknęła z powierzchni ziemi.

– Admirał też tak sądzi. Uważa, że upublicznienie wykopalisk zabezpieczy przed próbami morderstw. Będą próbować ukraść albo zniszczyć wykopaliska.

– Może nie przyjdą z ognistą bronią, ale i tak nie radziłbym stać im na drodze – powiedział Zavala.

– Kiedy zawiadomiliście Time-Quest o odkryciu? – spytał Austin.

– Trzy dni temu. Poprosili o zachowanie dyskrecji przez siedemdziesiąt dwie godziny.

– Czyli wykonają ruch dziś w nocy.

Nina opowiedziała o wykopaliskach. Była archeologiem wyprawy, życiorysy ludzi z NUMA zostały tak spreparowane, by w większym stopniu wydawali się fachowcami od prac lądowych. Trout przejął rolę geologa, Austin miał udawać inżyniera, Zavala metalurga.

Furgonetka wspinała się na pustynną wyżynę niedaleko Tucson. Było późne popołudnie, kiedy zjechali z autostrady i podążyli wyboistą polną drogą, wzdłuż której ciągnęły się *mesquite*, *chulo* i kaktusy. Zatrzymali się przy grupie, którą tworzyły dwa kempingobusy winnebaggo i inne samochody, zaparkowane niedaleko sterty kruszących się cegieł z nie wypalanej gliny. Austin wysiadł i rozejrzał się. Granice opuszczonego rancza określały z grubszą stare kamienne mury. Promienie popołudniowego słońca, świecące przez zebrane chmury, nadawały pustyni miedziany odcień.

Trout podszedł i wyciągnął rękę na powitanie. Miał na sobie spodnie khaki, które wyglądały, jakby zostały dopiero co zdjęte z półki w sklepie odzieżowym, garniturową koszulę w delikatne paseczki i krawat w paisleyowskie wzory, odrobinę węższy i mniej krzykliwy niż inne jego krawaty. Jedynym ustępstwem na rzecz lądowej natury wykopalisk były robocze buty, choć ich noski zdawały się niedawno wypolerowane ściereczką.

– Przyjechałem dziś rano z Waszyngtonu z Niną – wyjaśnił. – Chodźcie, oprowadzę was.

Obeszli ruiny starej hacjendy i ruszyli w kierunku niskiego wzgórka, gdzie za pomocą palików podzielono teren na kwadraty. Para starszych ludzi pracowała przy drewnianej ramie, na której rozciągnięto metalową siatkę. Mężczyzna kopał i rzucał ziemię na siatkę, kobieta wyjmowała przedmioty, które zatrzymała się na oczkach i wkładała je do plastikowych torebek. Trout przedstawił ich. George i Harriet Wingate'owie byli parą zadbanych sześcioletnio- może nawet siedemdziesięcioletników, choć ruchami i energią przypominali ludzi znacznie młodszych. Pochodzili z Waszyngtonu.

– Ze stanu Waszyngton! – poprawiła pani Wingate z dumnym uśmiechem.  
– Ze Spokane – wyjaśnił jej mąż, wysoki mężczyzna z siwymi włosami i brodą.

– Miłe miasto – stwierdził Austin.

– Dziękuję – odparł pan Wingate. – Dziękuję też za przybycie na pomoc. Ta archeologiczna robota jest trudniejsza od przejścia osiemnastodokowego pola golfowego. Nie mogę uwierzyć, że płacimy, by tu harować.

– Proszę go nie słuchać. W życiu nie przepuściłby takiej szansy. George, dlaczego nie powiesz panom o tym, jak chciałeś kupić kapelusz Indiany Jonesa?

Pan Wingate wskazał palcem na słońce.

– Indiana Jonesa, moja droga. Tak jak nazwa stanu. Chciałem jedynie uniknąć udaru słonecznego – powiedział z uśmiechem, niemal niewidocznym zza krzaczastych siwych wąsów.

Po wymienieniu dalszych uprzejmości, nowo przybyli zostali zaprowadzeni na miejsce wykopalisk. W każdym z dwóch sąsiadujących ze sobą prostokątnych wykopów kłęczął jeden mężczyzna. Obaj usuwali ziemię ogrodowymi łopatkami. Austin rozpoznał w nich byłych żołnierzy oddziałów specjalnych marynarki wojennej, którzy już kiedyś pomagali NUMA w realizacji różnych zadań. Sandecker nie lubił ryzykować. Ci, których wybrał, należeli do najlepszych ochroniarzy, jacy kiedykolwiek pracowali dla NUMA. Wyższy, którego Austin znał jako Neda, miał klasyczne szerokie ramiona i wąską talię kulturysty. Łopatka wyglądała w jego dłoni jak wykałaczka. Carl, jego niższy towarzysz, był szczuplejszy. Austin wiedział jednak z doświadczenia, że z nich dwóch jest bardziej niebezpieczny.

– Jak leci? – spytała Nina.

Ned roześmiał się.

– Nieźle, tylko że nikt nam nie powiedział, co mamy robić, jeśli naprawdę coś znajdziemy.

– Powiedziałem mu, że zakopimy z powrotem – stwierdził lakonicznie Carl.

– Dobry pomysł – powiedział Austin. – Niełatwo by było wyjaśnić, czego na arizońskiej pustyni szuka dwóch nurków z NUMA. – Zastanawiał się, czy Nina powiedziała im o incydencie w Maroku. – Pojawili się dziś jacyś niezwykli goście?

Trout i obaj kopacze wymienili się spojrzeniami, po czym jak na komendę wybuchnęli śmiechem.

– Jeśli pod „niezwykli” masz na myśli „dziwni”, to było paru. Niesamowite, jakich świrów ściąga taka robota.

– Fantastycznych – dodał Carl. – Jeden proponował, żebym szukał dowodów na związek Atlantydy z UFO. Wszystko, co mówił, wydawało się rozsądne, dopóki nie zacząłem z nim dyskutować.

– Tak rozsądne, jak cała ta operacja – stwierdził Austin z ironicznym uśmiechem. – Kto jeszcze?

– Była dwójka ludzi z notesami i aparatami fotograficznymi – powiedział Trout. – Twierdzili, że są z prasy.

– Mieli legitymacje?

– Nie pytaliśmy. To strata czasu. Jeśli ci ludzie są naprawdę tak dobrze zorganizowani, jak sądzimy, mają lewe dokumenty. Było tu sporo gapiów i chętnych do pomocy. Mówiliśmy im, że to na razie prace wstępne, zapisywaliśmy nazwiska i obiecywaliśmy, że się skontaktujemy. Wszyscy zostali sfilmowani przez zdalnie sterowaną kamerę, zamocowaną w tamtym kaktusie.

Austin myślał o potyczce na „Nereusie”, gdzie musiał odeprzeć atak dobrze uzbrojonej grupy. Na ich korzyść działały wtedy element zaskoczenia i szczęście. Jednak bliźni, jakie nosił po tym zarówno on, jak i Zawała, dowodziły, że wszystko mogło mieć całkiem inny przebieg. Ci twardzi i wyszkoleni pseudokopacze też mogli zostać szybko pokonani przez zmasowany atak.

– Jakie mamy wsparcie?

– Sześciu ludzi w starej stacji benzynowej tuż przed zjazdem z szosy – odparł Ned. – Mogą tu być w niecałe pięć minut po sygnale. Sprawdzaliśmy. – Dotknął pageda przy pasku. – Wciskam przycisk i ruszają.

Austin omiół wzrokiem okolice, po czym zapatrzył się w odległe góry. To dziwne dla człowieka morza, ale na pustyni zawsze czuł się jak u siebie w domu. Oba środowiska miały pewne cechy podobne – nieskończoną perspektywę, możliwość nagłych zmian pogody, bezlitosną wrogość wobec człowieka.

– Co o tym sądzisz, Joe? Jak byś zaatakował?

Zawała, który od kilku chwil zastanawiał się nad tym, odpowiedział bez wahania.

– Droga, którą przyjechaliśmy, to najłatwiejszy dostęp, więc oczywisty jest atak z kierunku pustyni. Z drugiej strony, mogą chcieć, byśmy tak sądzili, i nadejdą od drogi. Zależy, czym przyjadą. Pamiętaj, że w Maroku użyli poduszki.

– Pamiętam, ale poduszki trudno ukryć na otwartej pustyni.

– Tu się można schować – wtrącił Carl. – Obszedłem teren. Tu jest więcej zakamarków niż w Phoenix. Wyschnięte koryta strumieni, wypłukane niecki, naturalne zagłębienia. Nie da się schować wojska, ale na pewno ukryje się oddział na tyle duży, by uczynić życie ciekawym.

– I krótkim – dorzucił Austin. – No, to decydujemy się na pustynię. Niech chłopcy z odwodu wystawią po zmroku posterunki. Mają dalsze wsparcie?

Ned skinął głową.

– Tak. Helikopter i kilkunastu uzbrojonych po zęby chłopaków czeka w wypłukanej przez wodę dziurze jakieś pięć kilometrów stąd. Oczekiwany czas przybycia także pięć minut.

Austin wiedział, że pięć minut to czasami bardzo dużo, ale w sumie taktyka mu się podobała. Popatrzył w kierunku miejsca, gdzie pracowało małżeństwo ze Spokane.

– Co z naszymi ludźmi z Time-Quest?

Trout zachichotał.

– Jeśli to skrytobójcy, mają najlepszy kamuflaż, jaki widziałem w życiu. Sprawdziliśmy ich, wyglądają na czystych.

– Nie o to chodzi – powiedział Austin. – Powinniśmy mieć jakiś plan ochrony ich, kiedy zaczną być gorąco.

– Nie będzie problemu – odparł Trout. – Mieszkają w motelu przy autostradzie.

Austin zwrócił się do Niny.

– Czy udałoby mi się namówić panią na pokój w motelu?

– Nie – odparła dobitnie.

– Dlaczego pani odpowiedź mnie nie zaskakuje? Jeśli upiera się pani, żeby zostać, proszę trzymać się blisko mnie albo Joe. Proszę robić to, co każemy. No, gdzie to niesamowite znalezisko, które ma sprowokować atak?

Nina uśmiechnęła się.

– W „krypcie”.

Ned i Carl wrócili do pracy, a Nina poprowadziła pozostałych w kierunku blaszanej szopy, postawionej obok jednego z kempingobusów. Otworzyła kłódkę kluczem, który miała u paska. Nie było prądu, zapaliła lampę gazową. Pośrodku stały dwie kobyłki. Ułożono na nich na krzyż grube deski. Na zaimprovizowanym podeście stał jakiś przedmiot, zakryty plandeką malarską.

– Zadziwiające, co może zrobić nowoczesna nauka, by dodać czemuś lat – powiedział Trout. – Chłopcy z laboratorium NUMA zrobili warstwę *caliche*, która normalnie zbierałaby się przez wieki. – Zawiesił głos dla większego efektu, po czym odrzucił plandekę. – *Voilà*.

Austin i Zavala przez chwilę wpatrywali się w oświetlony światłem lampy przedmiot, potem podeszli bliżej. Austin dotknął brązowej powierzchni.

– To jest to, co myślę?

Trout odchrząknął.

– Określenie, którego użyli twórcy, brzmiało chyba: *licentia poetica*. No i?

Na twarzy Austina pojawił się szeroki uśmiech.

– Uważam, że jest doskonały.

## 1 8

Gamay już żałowała swoich aluzji do *Star Trek*. Humvee pędził wąską dwupasmową drogą z prędkością pojazdu kosmicznego. Chi zdawał się posługiwać wysokiej klasy radarem. Był tak niski, że nie wystawał znad kierownicy i nic innego nie mogło tłumaczyć łatwości, z jaką omijał szerokim samochodem wyboje i *armadillo* o samobójczych zamiarach. Drzewa po obu stronach drogi tworzyły rozmazane zielone ściany.

Chcąc zmusić go do zwolnienia, spytała:

– Doktorze Chi, jak postępuje praca przy słowniku języka Majów?

Profesor spróbował przekrzyczeć głośny wizg grubo bieżnikowanych opon i wycie wiatru, smagającego kanciasty pojazd. By lepiej słyszeć, przyłożyła dłoń do ucha. Chi skinął ze zrozumieniem głową. Zdjął nogę z pedału gazu i włączył klimatyzację. Do kabiny wpłynęło odświeżające powietrze.

– Nie wiem, dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej – stwierdził. – Dziękuję za pytanie o słownik. Niestety, jak na razie przerwałem pracę nad nim.

– Przykro to słyszeć. Musi pan być bardzo zajęty w muzeum.

Odpowiedzią było rozbawione spojrzenie.

– Moich obowiązków w muzeum nie określiłbym jako wyczerpujące. Ponieważ jestem chyba jedynym pełnej krwi Majem, musiałem dostać tę synekurę. W pani kraju takie stanowiska nazywa się, o ile wiem, „pracą bez obowiązku pokazywania się”. W Meksyku istnieje szereg uświęconych zwyczajem stanowisk, przynoszących wielki prestiż. Tak naprawdę wręcz zachęca się mnie, bym wyjeżdżał w teren i nie siedział w biurze.

– W takim razie czegoś nie rozumiem. Słownik...

– ...musi zejść na drugi plan w imię ważniejszych spraw. Większość czasu spędzam na walce z szabrownikami, którzy rozkradają nasze dziedzictwo. Tracimy historyczne artefakty w alarmującym tempie. Z rejonu, gdzie żyli Majowie, ginie co miesiąc tysiąc sztuk najświetniejszej ceramiki.

– Tysiąc sztuk... – powiedziała Gamay, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Wiedziałam, że macie problemy, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jest aż tak źle.

– Niewiele osób uświadamia to sobie. Niestety, zatrważająca jest nie tylko ilość kradzionych przedmiotów, ale także ich jakość. Handlarze nie marnują czasu na zajmowanie się pośledniejszymi obiektami, biorą jedynie to, co najlepsze. Najwyższe ceny osiąga ceramika w stylu kodeksowym z późnego okresu klasycznego, czyli od siódmego do dziewiątego wieku naszej ery. Piękne rzeczy. Sam chciałbym mieć coś takiego.

Gamay wyglądała przez okno i wydymała ze złością wargi.

– To tragedia.

– Wielu szabrowników to *chicleros*, pracują na plantacjach *chicle*. To bardzo twardzi ludzie. *Chicle* jest sokiem z drzew, używanym do produkcji gumy do żucia. W przeszłości, kiedy Amerykanie mniej żuli, rynek *chicle* się załamał, robotnicy zajęli się szabrownictwem i straciliśmy dużo wytworów naszej kultury. Teraz jest jeszcze gorzej.

– Dlaczego?

– Stan rynku *chicle* nie ma już nic wspólnego z rozmiarami szabru. Po co ktoś miałby niszczyć sobie kręgosłup w polu, skoro za jeden garnek może dostać od dwustu do pięciuset dolarów? Ludzie przyzwyczaili się do pieniędzy. Szabrownicy stworzyli zorganizowane grupy. W Carmelita w Gwatemali handlarze zatrudniają etatowo grupy szabrowników. Artefakty są tam przywożone, ładowane na ciężarówki i transportowane przez granicę do Belize. Stamtąd trafiają statkami albo samolotami do Stanów Zjednoczonych i Europy. W galeriach i na aukcjach każdą sztukę sprzedaje się za tysiące dolarów. Muzea i prywatni kolekcjonerzy płacą jeszcze więcej, a sfałszowanie świadectwa pochodzenia nie jest trudne.

– Chyba muszą wiedzieć, że wiele artefaktów pochodzi z kradzieży.

– Oczywiście, że wiedzą. Nawet jeśli to podejrzewają, twierdzą, że zachowują skarby przeszłości.

– To marne wytłumaczenie dla niszczenia kultury. Co pan może przeciwko temu zdziałać?

– Jak mówiłem, jestem „odkrywcą”. Próbuję lokalizować stanowiska, zanim zostaną okradzione. Ujawniam lokalizację jedynie wtedy, gdy rząd może mi zagwarantować, że będą chronione do czasu, aż powyjmujemy wszystko z ziemi. Równocześnie wykorzystuję swoje kontakty w Europie i Stanach. Rządy zamożnych krajów mogą karać nielegalnych handlarzy więzieniem i grozić im konfiskatą majątku.

– Wygląda to jednak na beznadziejne przedsięwzięcie.

– Bo też jest takie – odparł ponuro Chi. – A do tego niebezpieczne. Gra idzie o wysoką stawkę i przemoc stała się powszechna. Niedawno pewien *chiclero* powiedział, że zamiast wysyłać zabytki Majów za granicę, lepiej zostawić je tam, gdzie są, i sprowadzać turystów. Wszyscy więcej by na tym zarobili.

– Niezły pomysł. Czy to, co powiedział, do kogoś dotarło?

– Oczywiście. – Usta Chi wykrzywiły się w ponurym uśmiechu. – Usłyszano go bardzo wyraźnie. Został zamordowany. Hopps! – Chi wdepnęła hamulec. Humvee zwolnił jak myśliwiec po wyrzuceniu spadochronu hamującego i skręcił w prawo, powodując w kabinie przeciążenie rzędu dwunastu g. – Przepraszam! – wrzasnął profesor, kiedy wyskoczyli nad garb ziemny i pomknęli w kierunku drzew. – Zniosło mnie. Proszę się trzymać, wjeżdżamy! – przekrzykiwał trzask pękających gałęzi i ryk silnika.

Gamay była pewna, że zaraz rozbiją samochód, ale bystre oko Chi dostrzegło coś, czego nie widziała – lukę w gęstwinie drzew. Profesor zawisł na kierownicy niczym szalony gnom, a ciężki samochód runął w las.

Krażyli podskakując niemal przez godzinę. Chi jechał drogą, której Gamay nie widziała, toteż zdziwiła ją informacja, że w końcu dotarli do końca przejezdnej trasy. Profesor zawrócił, niszcząc przynajmniej pół hektara trawy, wyciągnął palec w kierunku drzew i zgasił silnik.

– Czas na spacer po lesie.

Zamienił kapelusz z rafii na czapkę bejsbolową Uniwersytetu Harvarda, którą założył daszkiem do tyłu, by nie zaczepiać o gałęzie. Gdy rozładowywał samochód, Gamay przebrała się w dżinsy, aby ochronić nogi przed kolcami i ostrymi trawami. Chi zarzucił na ramiona plecak z obiadem i dubeltówkę, zawiesił też u pasa pochwę z maczetą. Gamay niosła plecak z aparatem i notesami. Profesor spojrział szybko na słońce, by ustalić pozycję, i ruszył w las w tempie, jakby przed kimś uciekał.

Gamay była atletycznie zbudowana, miała długie nogi, wąskie biodra i proporcjonalny biust. Jako dziecko chętnie ganiała z chłopakami, budowała domki na drzewach, grała w baseball na ulicach Racine w Wisconsin. Gdy dorosła, stała się fanatyczką zdrowego trybu życia, zgłębiała tajniki medycyny holistycznej, biegła, jeździła na rowerze i maszerowała po Wirginii podczas rodzinnych wypraw samochodem z napędem na cztery koła. Przy stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu była niemal trzydzieści centymetrów wyższa od profesora, mimo jednak zwinności i sprawności, niełatwo dotrzymywała mu kroku. Sprawiał wrażenie, że przenika przez gałęzie, które ona musiała odsuwać. Posuwał się tak cicho, że Gamay zaczęła podejrzewać, iż sama przebija się przez krzewy jak krowa. Okazję złapania oddechu miała tylko wtedy, gdy Chi się zatrzymywał, by poprzecinać maczetą splątany gąszcz.

Podczas jednego z takich przystanków, na szczycie niewielkiego wzniesienia, wskazał na porozrzucane na ziemi połamane kawałki wapienia.

– To część starej drogi Majów. Biegnące wysoko brukowane drogi, łączyły wszystkie miasta Jukatanu. Były tak samo dobre jak rzymskie. Teraz będzie nam łatwiej iść.

Przepowiednia sprawdziła się. Choć trawy i krzewy w dalszym ciągu były gęste, utwardzone podłoże ułatwiało marsz. Wkrótce zatrzymali się

znowu i Chi wskazał na biegnącą między drzewami tuż nad ziemią linię przewróconych kamieni.

– Pozostałości miejskiego muru. Jesteśmy prawie u celu.

Po kilku minutach las się przerzedził i wyszli na polanę. Chi wsunął maczetę do pochwy.

– Witam w Shangri-la.

Stali na skraju płaskowyżu o średnicy około ośmiuset metrów, zarośniętego niskimi krzakami, pomiędzy których wyrastały rzadko rozrzucone, pojedyncze drzewa. Jedyną charakterystyczną rzeczą na polanie były dziwacznie ukształtowane strome kopce, ukryte pod gęstą roślinnością, zarastającą teren od miejsca, gdzie stali profesor i Gamay, po linię drzew z drugiej strony polany.

Kiedy wyszli z cienia w jaskrawe słońce, Gamay zamrugnęła.

– Nie do końca tak wyobrażałam sobie Utopię – stwierdziła, ocierając pot z czoła.

– Cóż, przez ostatnie tysiąc lat okolica nieco podupadła – odparł Chi. – Musi pani jednak przyznać, że jest tu cicho.

Jedynym dźwiękiem były ich oddechy i bzykanie milionów owadów.

– Coś takiego określa się chyba mianem „śmiertelnej ciszy”.

– To, co pani widzi, stanowi bezpośrednie otoczenie głównego, półhektarowego rynku średniej wielkości miasteczka. Budynki rozciągały się stąd na pięć kilometrów w obie strony, przecinały je ulice. Kiedyś miejsce to było pełne podobnych do mnie niskich, brązowoskórych ludzi. Krążyli tu kapłani w zdobionych piórami strojach, żołnierze, chłopci, kupcy. W powietrzu unosił się wonny dym z palenisk setek domów, niewiele różniących się od tego, w jakim mieszkam. Słychać było płacz dzieci, odgłosy bębnow. Wszystko zniknęło. To dziwne, prawda? – Chi patrzył nieruchomym wzrokiem, jakby obrazy ożyły w jego głowie. – No tak... – westchnął i powrócił do rzeczywistości. – Pokażę pani, dlaczego ciągnąłem ją w tę dzicz. Proszę iść tuż za mną. Wszędzie wokół są dziury w ziemi. To wloty starych przydomowych cystern o kopulastych sklepieniach. Niektóre pozaznaczałem. Miałbym trudności z wyciągnięciem pani. Jeśli będzie się pani trzymać ścieżek, wszystko pójdzie dobrze.

Gamay z niepokojem przyjrzała się wysokiej do pasa trawie po obu stronach słabo widocznej ścieżki. Kiedy profesor ruszył, poszła dokładnie za nim. Po chwili doszli do kopca, pokrytego splątana roślinnością. Miał mniej więcej dziesięć metrów wysokości i dwadzieścia szerokości u podstawy.

– To jest środek rynku. Prawdopodobnie była tu świątynia jakiegoś pomniejszego boga albo króla. Zawaliła się, co prawdopodobnie uchroniło to miejsce przed odkryciem. Ruiny znajdują się poniżej linii drzew, więc nie można ich dostrzec z góry. Tego miejsca naprawdę nie widać, dopóki człowiek się o nie potknie.

– Szczęście, że polował pan w pobliżu.

– Byłaby to prawdziwa sensacja, gdybym wyszedł spomiędzy drzew i ujrzał te ruiny podczas ścigania kuropatw, ale trochę panią oszukałem. Mam przyjaciela, który pracuje w NASA. Satelita szpiegowski odkrył podczas sporządzania mapy lasu deszczowego dość regularne prostokątne miejsce. Uznałem, że może być interesujące i przyjrzałem mu się bliżej. Było to jakieś dwa lata temu. Wracałem tu ponad dziesięć razy. Za każdym razem odkrywałem więcej ścieżek, zdejmowałem roślinność z pomników i budynków. W otaczającym polaną lesie jest znacznie więcej ruin. Moim zdaniem to miejsce mogłoby się okazać znaczącym stanowiskiem. Teraz jeśli będzie pani uprzejma... tędy... – Jak przewodnik, który oprowadza wycieczkę po muzeum, zaprowadził ją do cylindrycznej struktury, ukrytej za mocno zarosniętym kopcem. – Ostatnie dwie wizyty poświęciłem wyłącznie odsłonięciu tego budynku. – Obeszli gmach, zbudowany z doskonale dopasowanych szarobrazowych kamiennych bloków.

Gamay popatrzyła na zaokrąglony, nieco zapadły dach.

– Niecodzienna architektura – stwierdziła. – Czy to kolejna świątynia?

Doktor Chi przeciął spletaną winorośl, która broniła dostępu w pobliże budynku.

– Nie, to obserwatorium astronomiczne i zegar Majów. Występy w ścianach i okna są ułożone tak, by światło słońca i gwiazd świeciło zgodnie z równonocą oraz przesileniem jesiennym i wiosennym. Na samej górze obserwatorium jest pomieszczenie, z którego astronomowie mogli obliczać kąty położenia gwiazd. Jest jeszcze coś – właśnie to chciałem pani pokazać.

Odsunął świeżą roślinność z szerokiego na około metr fryzu, biegnącego nisko wokół muru, po czym cofnął się, by Gamay mogła się przyjrzeć. Fryz był rzeźbiony na wysokości oczu przeciętnego Mai. Musiała się pochylić. Miała przed sobą scenę morską. Przeciągnęła palcami po płaskorzeźbie przedstawiającej łódź z odkrytym pokładem, wysokim dziobem i rufą. Dziobnica wydłużała się w coś przypominającego spiczasty taran. Na grubym maszcie wydymał się duży prostokątny żagiel. Nie było bomu, gejtawy przytrzymywały górny lik żagla do zamocowanej na stałe rei. Maszt utrzymywały biegnące do przodu i do tyłu wanty, rumpel był podwójny. W górze latały morskie ptaki, przed dziobem wyskakiwały z wody ryby.

Jednostka jeżyła się tyłoma oszczepami, że wyglądała jak jeżozwierz. Broń dzierżyli mężczyźni, którzy mieli na głowach coś przypominającego kaski graczy w futbol amerykański. Inni wiosłowali długimi wiosłami, skierowanymi do rufy. Było dwudziestu pięciu wiosłarzy, co – biorąc pod uwagę tych z drugiej strony – oznaczało, że statek napędzało pięćdziesięciu ludzi. Na relingu wisiały przedmioty, które wyglądały na tarcze. Na podstawie liczby ludzi na pokładzie Gamay oszacowała długość okrętu na jakieś trzydzieści metrów.

Ruszyła wzdłuż fryzu. Było na nim więcej okrętów wojennych, ukazano także jednostki z mniejszą załogą, prawdopodobnie handlowe. Na ich po-

kładzie znajdowały się bowiem prostokątne przedmioty – najwyraźniej skrzynie z towarem. Przy pacholkach stali ludzie, którzy zdaniem Gamay byli członkami załogi i ciągnęli liny, by napiąć żagiel. W odróżnieniu od mężczyzn w kaskach mieli dziwne, szpiczaste nakrycia głów. Choć motywy były różne, na fryzie niewątpliwie przedstawiono flotyllę statków handlowych, eskortowaną przez zbrojną eskadrę.

Chi obserwował, jak Gamay okrąża budynek. Z błysku rozbawienia w jego oczach domyśliła się, że od początku nie zamierzał pokazywać jej scen z życia morza. Chciał, by zobaczyła te statki. Stała przy kolejnym i pokręciła głową. Na dziobie miał wryty rysunek zwierzęcia.

- Doktorze Chi, czy to nie przypomina panu konia?
- Prosiła pani, bym pokazał przykłady fauny morskiej.
- Udało się panu określić wiek tego obiektu?

Chi podszedł do fryzu i przeciągnął palcem po rzeźbionej krawędzi.

– Te twarze to cyfry. Ta oznacza zero. Z wyrzeźbionych tu hieroglifów wynika, że statki wykuto w skale mniej więcej sto pięćdziesiąt lat przed Chrystusem.

– Jeśli ocena jest prawidłowa, nawet w grubym przybliżeniu, jak to możliwe, że wyrzeźbiono konia? Konie przybyły do Ameryki dopiero w piętnastym wieku, razem z Hiszpanami.

- Zagadkowe, prawda?

Popatrzyła na rysunek unoszącego się na niebie obiektu o konturach szlifowanego diamentu, pod którym zwisał człowiek.

- A to co?

– Nie jestem pewien. Z początku sądziłem, że to jakiś powietrzny bóg, ale nie przypomina niczego, co znam. Trudno to wszystko objąć rozumem. Jest pani głodna? Możemy za jakiś czas wrócić i znowu pooglądać.

– Oczywiście... bardzo proszę... – powiedziała Gamay, jakby obudziła się ze snu. Niełatwo jej było oderwać się od płaskorzeźb. Myśli gnały po głowie jak rój wściekłych os.

Kilka metrów dalej stał okrągły, walcowaty kamień o wysokości mniej więcej metra i średnicy dwóch. Gamay poszła za monument, by przebrać się w bardziej wygodne szorty, a Chi przygotował obiad. Wyjął z plecaka niedużą plecioną matę i serwetki i rozłożył wszystko na wyrzeźbionej w kamieniu postaci wojownika w stroju z piór.

– Mam nadzieję, że nie odejmie pani apetytu jedzenie na splamionym krwią ofiarnym ołtarzu – powiedział z miną pokerzysty.

Gamay podjęła wisielczy dowcip profesora.

– Ostry występ, na którym przed chwilą usiadłam, był kiedyś zegarem słonecznym.

– Oczywiście – odparł z niewinną miną. – Ołtarz ofiarny stoi przy świątyni. – Sięgnął do plecaka. – Mielonka i tortille. – Podał Gamay starannie owinięte zawiniątko. – Co pani wie o Majach?

Odwinęła przezroczysty plastik i zanim odpowiedziała, ugryzła kęs tortilli.

– Wiem, że byli równocześnie okrutni i piękni. – Machnęła wokół ręką. – Wzniesli niesamowite budowle. Ich cywilizacja się rozpadła, ale nikt nie wie dokładnie, dlaczego.

– Nie jest to taka tajemnica, jak sądzą niektórzy. W trakcie wieków istnienia kultura Majów przechodziła wiele przemian. Były wojny, rewolucje, klęski nieurodządu. Koniec cywilizacji nastąpił jednak po napaści konkwistadorów i zgotowanym przez nich ludobójstwie. Ci, którzy pojawili się po Kolumbie, mordowali ludzi, niszczyli kulturę. Diego de Landa był mnichem, przybył z konkwistadorami i został mianowany biskupem Jukatenu. Palił wszystkie księgi Majów, jakie udało mu się znaleźć. Nazywał je „kłamstwami diabła”. Wyobraża sobie pani podobną katastrofę w Europie i szkody, jakie by uczyniła? Nawet SS Hitlera nie było tak dokładne. Znamy jedynie trzy księgi, które uniknęły zagłady.

– Jakie to smutne... czy nie byłyby wspaniałe, gdyby któregoś dnia znaleziono jeszcze jakieś? – Rozejrzała się po polanie. – Co to właściwie za miejsce?

– Z początku myślałem, że to ośrodek czystej nauki, w którym prowadzono badania z dala od krwawych obrządków kapłanów. Im więcej jednak odkrywałem, tym bardziej przekonywałem się, że znalazłem element większego zespołu. Jeśli mogę się tak wyrazić – maszyny architektonicznej.

– Chyba nie rozumiem.

– Ja też nie jestem do końca pewien, że to rozumiem. – Wyjął z kieszonki koszulki zmiętego papierosa i zapalił. – Z wiekiem można sobie pozwolić na drobną rozpustę – powiedział i zaciągnął się. – Zacznę od skali mikro. Fryzu i obserwatorium.

– A co ze skalą makro?

– Przed chwilą o tym wspominałem. Odkryłem podobne budowle w innych miejscach. Całość kojarzy mi się z olbrzymim elektrycznym układem scalonym.

Gamay nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Chce pan powiedzieć, że Majowie znali się na informatyce?

– W pewien uproszczony sposób tak. Nie mamy do czynienia z aparaturą IBM o nieskończonej liczbie gigabajtów, bardziej może z maszyną kodującą. Gdybyśmy wiedzieli, jak z niej korzystać, umielibyśmy odczytać ukryte w tych kamieniach tajemnice. Umiejscowienie miasteczka właśnie tutaj nie jest przypadkowe. Nie ma wątpliwości, że precyzja budowy jest godna najwyższej uwagi.

– Te płaskorzeźby... są takie dziwne. I ta głowa konia. Czy można hieroglify odczytać?

– Napisy opowiadają o długiej podróży, która odbyła się dawno temu i w której uczestniczyły setki ludzi wiozących wielkie bogactwa.

– Spotkał się pan z czymś podobnym u Majów?

– Jedynie na stanowiskach należących do systemu.  
– Dlaczego to miejsce znajduje się tak daleko od wybrzeża?  
– Też zadawałem sobie to pytanie. Dlaczego nie obok monumentów w Tulum, tuż nad zatoką? Proszę za mną, coś pani pokaże.

Spakowali plecaki i powędrowali na odległy skraj polany. Weszli między drzewa i zaczęli schodzić zboczem. Kiedy zbliżali się do celu, ochłodziło się o kilka stopni. W powietrzu pojawił się zapach mułu.

– Proszę popatrzeć: brzegi są w jednym miejscu zerodowane wyżej, co świadczy o tym, że dawniej rzeka była szersza – powiedział Chi.

– Ktoś na statku mówił mi, że na Jukatanie nie ma strumieni ani rzek.

– To prawda. Jukatan to praktycznie jedna wielka płyta wapienia. Z mnóstwem jaskiń i zagłębień w miejscach, gdzie skała zwietrzała. My jesteśmy nieco bardziej na południe, w Campeche i teren jest tu inny. W Peten i Gwatemali wielkie miasta Majów leżą nad rzekami. Pomyślałem, że i tu środkiem komunikacji między osiedlami była łódź.

– Nie sądzę, by mógł kursować statek tej wielkości, co na fryzie. Wysocki dziób i burty, wydłużona dziobnica, nie – to statek przeznaczony do pływania po otwartym morzu. Aha – jeszcze jedno. To, co początkowo wzięłam za ryby, to delfiny. Istoty żyjące w słonej wodzie. – Przerwała. – A to co?

Dostrzegli jaskrawe odbicie słońca. Gamay poszła kilka kroków w dół koryta, Chi szedł tuż za nią. Na brzegu leżała poobijana aluminiowa płaskodenna łódź ze starym zaburtowym silnikiem firmy Mercury.

– Musiała skądś przydryfować.

Profesora mniej interesowała łódź, a bardziej odcisnięte wokół niej w mułe ślady stóp. Jego wzrok pomknął w kierunku drzew.

– Musimy stąd iść – powiedział cicho. Ujął mocno dłoń Gamay i poprowadził ją zygakiem na szczyt wzgórza. Rozglądał się przy tym we wszystkie strony. Niedaleko szczytu zatrzymał się, a jego nozdrza zadrgały jak u psa gończego.

– Nie podoba mi się to – powiedział cicho, wachając powietrze.

– Co się dzieje? – szepnęła Gamay.

– Czuję dym i pot. *Chicleros*. Musimy stąd zniknąć.

Pobiegli skrajem lasu, po czym weszli na ścieżkę, która prowadziła przez pole. Właśnie mijali dwa prostokątne wzniesienia, kiedy zza jednego z kopców wyszedł mężczyzna i zastąpił im drogę.

Chi dotknął pochwy, wyciągnął maczetę, która błysnęła w słońcu i wzniosł groźnie długą, ostrą klingę nad głowę, niczym atakujący samuraj. Wysunął wyzywająco szczękę. Ten grymas zadziwiał hiszpańskich konkwistadorów, którzy prowadzili krwawą walkę z jego przodkami, gdy podbijali ich kraj.

Gamay nie mogła wyjść z podziwu, jak błyskawicznie ten grzeczny, drobny człowiek przemienił się w wojownika. Obcy nie przejął się jednak. Uśmiechnął się, ukazując wielkie dziury w żółtych zębach. Miał długie, tłu-

ste, czarne włosy i szczecinę na twarzy, która nie do końca kryła syfilityczne blizny na niezdrowo żółtej twarzy. Był ubrany w typowy strój meksykańskich *campesino*, workowate spodnie, bawełnianą koszulę i sandały. W przeciwieństwie do nieskazitelnego schludnego wyglądu najbiedniejszych mieszkańców Jukatany był brudny jak nieboskie stworzenie. Wyglądał na *mestizo* – mieszańca białego człowieka i Indianina. Jego postać nie dawała dobrego świadectwa żadnej z tych ras. Nie był uzbrojony, ale uniesiona maczeta nie przstraszyła go. Sekundę później Gamay poznała przyczynę tego spokoju.

– *Buenos días, señor, señora* – powiedział nowy głos.

Kolejnych dwóch mężczyzn wyszło zza pagórka. Bliższy miał beczkowaty korpus, krótkie ręce i nogi. Czarna, wysoka fala grubych włosów à la Elvis wznosiła się nad twarzą, jakby żywcem wzięta z rzeźb Majów. Miał skośne oczy, szeroki tępy nos i okrutne usta, wyglądające jak dwa kawałki surowej wątroby. Wycelował w Gamay i profesora lufę starej myśliwskiej strzelby.

Trzeci obcy stał za Elvisem. Był wyższy niż obaj jego towarzysze razem wzięci, umyty, w świeżo wypranych białych spodniach. Długie czarne bokobrody były starannie przystrzyżone, podobnie jak gęste wasy. Brzuch mu sterczał, ale grube ręce i nogi wyglądały na nabite mięśniami. Trzymał swobodnie M-16, a z szerokiego pasa pod brzuszyskiem zwisała kabura z pistoletem.

Z uśmiechem na ustach powiedział coś do Chi po hiszpańsku. Oczy profesora powędrowały do M-16. Powoli opuścił maczetę i wypuścił ją z ręki. Zsunął dubeltówkę z ramienia i rzucił pod nogi. Żółte Zęby podszedł i bez ostrzeżenia uderzył go w twarz.

Profesor ważył niecałe pięćdziesiąt kilogramów i cios praktycznie uniósł go w powietrze. Po sekundzie padł w trawę z rozrzuconymi na bok rękami i nogami. Gamay odruchowo zasłoniła rozplaszczonego profesora przed napastnikiem, by zapobiec kopniakowi, który, jak sądziła, miał nastąpić. Żółte Zęby zamarł i zaskoczony wbił w nią wzrok. Nie bała się, przeszła go ostrzegawczym spojrzeniem, po czym ostrożnie pochyliła się, by pomóc profesorowi wstać. Właśnie miała dotknąć jego ręki, gdy jej głowa została szarpnięta do tyłu, jakby wkręciła włosy w wyciąmaczkę. Przez sekundę myślała, że zostanie oskalpowana.

Spróbowała z wysiłkiem odzyskać równowagę, jednak znów szarpnięto ją do tyłu. Żółte Zęby trzymał pewnie za włosy. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że kiedy zaczął rechotać, o mało nie zadławiła się odorem śmierdzących cebulą ust. Wściekłość sprawiła jednak, że nie czuła bólu. Rozluźniła się nieco, chciała, by pomyślał, że przestała się bronić. Kątem oka przekrzywionej głowy dostrzegła jego sandały. Stopa w trekkingowych butach spadła na podbicie napastnika. Włożyła całą energię sześćdziesięciu jeden kilo wagi w piętę, którą obróciła, jakby chciała zgasić niedopałek.

Mężczyzna wydał z siebie kwik zarzynanego prosiaka i poluzował chwyt. Gamay zobaczyła rozmazany obraz jego twarzy. Jej łokieć zrobił krótki, szyb-

ki łuk do tyłu. Trafiła w nos i kość policzkową. Usłyszała krzepiący trzask chrząstki. Żółte Zęby zawył i Gamay była wolna. Zachwiała się do tyłu, rozczarowana, że bandzior nadal stoi. Trzymał się za nos, ale i jemu wściekłość dodawała sił – wyciągnął brudne paluchy w kierunku jej gardła. Był marnym przedstawicielem ludzkiego gatunku, ale zdawała sobie sprawę, że nie oprze się jego wadze i sile. Gdyby ją złapał, wbiłaby mu kolano w kroczce, choć tej sztuczki rodem z ulicznych bójek mógł się spodziewać, potem kostki w oczy i sprawdziła, jak mu się to podoba. Zbliżał się, napięła mięśnie.

– *Basta!*

Wielki mężczyzna o wyglądzie Pancha Villi nadal się uśmiechał, ale w jego oczach błyszczała złość.

Żółte Zęby cofnął się. Potarł twarz w miejscu, gdzie na niezdrowej skórze zaczynał się tworzyć siniak. Złapał się za kroczce. Informacja była jednoznaczna.

– Ja też mam coś dla ciebie – powiedział po angielsku.

Kiedy Gamay ruszyła, szybko odstąpił, co jego kompani przyjęli śmiechem.

Pancha Villę zaintrygowała odważna reakcja szczupłej kobietki. Podszedł bliżej.

– Kim jesteś? – spytał wwiercając wzrok w jej oczy.

– Nazywam się Gamay Trout. To mój przewodnik – powiedziała szybko i pomogła wstać profesorowi. Mina Chi świadczyła, że wie, że gdyby ci mężczyźni poznali jego prawdziwą tożsamość, przyszłość mogłaby być dlań ponura. Przyjął uniżoną, służalczą postawę.

Potęźny mężczyzna odprawił go pogardliwym spojrzeniem i skoncentrował uwagę na Gamay.

– Co tu robisz?

– Jestem amerykańskim naukowcem. Usłyszałam o tych budowlach i przyjechałam rzucić okiem. Wynajęłam tego człowieka, by mnie tu przyprowadził.

Przyglądał jej się przez chwilę.

– I co znalazłaś?

Gamay wzruszyła ramionami i rozejrzała się.

– Niewiele. Dopiero przyjechaliśmy. Widzieliśmy trochę rzeźb. Nie ma tu chyba dużo do oglądania.

Pancho Villa roześmiał się.

– Nie wiesz, gdzie patrzeć. Coś ci pokażę.

Rzucił komendę po hiszpańsku. Żółte Zęby pchnął Gamay lufą strzelby, cofnął się jednak, kiedy spiorunowała go wzrokiem. W zamian za to skrupił złość na doktorze Chi. Domyślał się, że w ten sposób sprawi przykrość kobiecie. Pomaszerowali na drugi koniec płaskowyżu, tam gdzie ziemia poorana była kilkunastoma wykopami. Większość z nich była pusta, jeden wypełniała ceramika.

Na polecenie Pancha Elvis wyjął z rowu dwa garnki i jeden, po drugim, podetknął Gamay pod nos.

– Tego szukasz? – spytał olbrzym.

Do jej uszu doleciał syk gwałtownie wciąganego przez Chi powietrza. Zamarła w nadziei, że bandyci nic nie usłyszeli.

Wzięła do ręki pierwszy garnek i obejrzała figurki, narysowane czarnymi kreskami na kremowej powierzchni. Scena przedstawiała najprawdopodobniej wydarzenie historyczne albo legendarne. Były to egzemplarze reprezentujące styl kodeksowy, o którym mówił Chi. Oddała garnek.

– Bardzo ładny.

– Bardzo ładny... – powtórzył Pancho Villa. – Bardzo ładny... ha ha... bardzo ładny...

Po krótkiej i głośniejszej naradzie, szabrownicy ruszyli wraz z więźniami. Pancho Villa prowadził, Elvis i Żółte Zęby pilnowali ich od tyłu. Kolumna szła w kierunku zarośniętego wzgóрка. Spod trawy sterczały częściowo odsłonięte kamienie. Pancho wszedł w bramę, zwieńczoną łukiem na kroksztynie i zniknął. Gamay zauważyła obok budynku sporą dziurę w ziemi. Schodzili nierówno wyciosanymi schodkami w półmrok, aż doszli do wilgotnego, wysokiego podziemnego pomieszczenia.

Olbrzym powiedział coś do Chi i Gamay z profesorem zostali sami.

– Nic panu nie jest? – spytała. Jej głos odbił się wielokrotnym echem. Profesor pomasaował bok twarzy, czerwonawy od uderzenia.

– Przeżyję, ale nie powiem tego o bestii, która mnie uderzyła. Co z panią? Gamay potarła potylicę.

– I tak potrzebowałam trwałej.

Po raz pierwszy na kamiennej twarzy profesora pojawił się szeroki uśmiech.

– Dziękuję. Gdyby nie pani, może już bym nie żył.

– Może. – Na wspomnienie uniesionej maczety Gamay pomyślała, że profesor najchętniej skróciłby Żółte Zęby do odpowiedniego rozmiaru. – Co ten duży powiedział?

– Że nie będzie tracił czasu na wiązanie nas, bo stąd jest tylko jedno wyjście. Mówił że postawi kogoś przy nim i jeśli spróbujemy się wydostać, strażnik nas zastrzeli.

– Nie mógł być bardziej bezpośredni.

– To moja wina – posepnie stwierdził Chi. – Nie powinienem był tu pani sprowadzać. Nigdy nie sądziłem, że szabrownicy odkryją to miejsce.

– Ceramika wskazuje, że ciężko pracowali.

– Wykopaliska z tego rowu są warte setki tysięcy, może miliony dolarów. Ten duży jest szefem, pozostali dwaj zostali jedynie wynajęci. Świnie. Dobrze, że pani nie powiedziała, kim jestem.

– Nie wiem, jak daleko sięga pańska sława, ale wolałam nie ryzykować. – Popatrzyła na wysoki sufit, ledwie widoczny w padającym od wejścia świetle. – Gdzie jesteśmy?

– To jest *cenote*. Studnia, skąd mieszkańcy czerpali wodę. Odkryłem ją za drugim pobylem. Proszę za mną, pokażę pani.

Szli jakieś sto metrów. Wokół pociemniało. Kiedy dotarli do wody, zrobiło się widniej. Światło wpadało przez otwór w skalnym sklepieniu, które musiało być mniej więcej osiemnaście metrów nad ich głowami. Po drugiej stronie basenu wznosiła się prawie pionowo ściana sięgająca upiornej poświaty, płynącej z pałapu.

– Woda jest czysta – stwierdził Chi. – Deszczówka zbiera się pod wapieniem i wpływa przez grotty takie, jak ta i inne podwodne jaskinie.

Gamay usiadła na wąskim skalnym występie.

– Zna pan tych drani. Jak pan sądzi, co zrobią?

Był zdumiony spokojem swej towarzyszki. Z drugiej strony nie powinien być zdziwiony – nie okazała strachu broniąc go i atakując człowieka, który go uderzył.

– Mamy trochę czasu. Nie uczynią niczego, póki nie ustalą z handlarzami, którzy ich wynajęli, co zrobić z Amerykanką.

– I co wtedy?

Rozłożył ręce.

– Wybór jest niewielki. Tej złotej żyły nie zechcą zostawić. Gdyby nas puścili wolno, byłiby do tego zmuszeni.

– Więc dla nich najlepiej będzie, jeśli znikniemy z powierzchni ziemi. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy, choć oni tego nie wiedzą. Ludzie mogą pomyśleć, że zostaliśmy zjedzeni przez jaguary.

Chi uniósł brwi.

– Nie pokazywaliby nam swoich łupów, gdyby sądzili, że możemy komuś o tym opowiedzieć.

– Nie zna pan przypadkiem jakiegoś tajnego wyjścia?

– Od komory głównej odchodzą przejścia. Albo kończą się ślepo, albo znikają pod wodą i są nie do przebycia.

Gamay wstała i podeszła do wody.

– Jak tu jest głęboko?

– Trudno powiedzieć.

– Mówił pan o podwodnych jaskiniach. Jest zatem szansa, że ta woda gdzieś wypływa?

– Możliwe. Na pewno. W okolicy są jeszcze inne studnie.

Gamay stała przez chwilę bez ruchu na brzegu, wbijając wzrok w wodę.

– Co pani robi?

– Słyszał pan, co ten świr powiedział. Chce się ze mną umówić na randkę. – Skoczyła do wody, po czym popłynęła żabką na środek zbiornika. – Nie jest w moim typie – powiedziała. Jej głos odbił się echem. Z pluśnięciem zniknęła pod powierzchnią wody.

# 19

Przez jakiś czas Austin wierzył, że burza przejdzie bokiem. Szare chmury przypominające gnijące bryły, zbierały się przez całe popołudnie złowieszczymi warstwami. W końcu utkwily na poszarpanych szczytach w oddali. Kiedy z Niną chodzili po obrzeżach rancza, wyglądali jak zakochana para na spacerze. Dokładnie takie wrażenie Austin chciał wyrzucić na ewentualnych obserwatorach. Stanęli pod zielononiebieskimi gałęziami drzewa *palo verde* i zapatrzyli się w rozległą milczącą pustynię. Promienie opadającego powoli słońca barwiły pomarszczone zbocza gór złotem, brązem i miedzią.

Austin wziął Ninę delikatnie za ramiona. Nie bronila się, kiedy przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuł ciepło jej ciała.

– Nie przekonam pani, by opuściła to miejsce?

– Każda próba to strata czasu – odpowiedziała. – Chcę być świadkiem, jak ta historia nareszcie się zakończy.

Ich wargi niemal się dotykały. W innych okolicznościach romantyka okolicy przywiodłaby ich do pocałunku. Austin patrzył w szare oczy, w których zachodzące słońce wzbudzało pomarańczowe iskierki i czuł, że myśli Niny są daleko, przy zamordowanych przyjaciołach i kolegach.

– Rozumiem – powiedział.

– Dziękuję. Doceniam to. – Wpatrywała się w ciemniejszą pustynię. – Sądzi pan, że przyjdą?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Jak mogliby oprzeć się takiej przygnębie?

– Nie wiem, czy ciągle jeszcze są mną zainteresowani.

– Mówię o rzymskim posągu. Jest genialny.

– To efekt wspólnego wysiłku – powiedziała z uśmiechem Nina. – Szukaliśmy modelu, który wyglądałby jak rzymski imperator. Paul robi cuda

z grafiką komputerową. Wziął zdjęcie z akt, usunął brodę, przeredził włosy, zaczesał je à la Juliusz Cezar i zastąpił blezer napierśnikiem. – Nagle zaniepokojona, spytała: – Nie sądzi pan chyba, że admirał Sandecker byłby zły wiedząc, że wykorzystaliśmy go jako modela?

– Podejrzewam, że to by mu schlebiało. Mógłby raczej kręcić nosem, że przedstawiono go jako pomniejszego władcę. Minę ma trochę zbyt łagodna. – Popatrzył na ciemniejące niebo. – Chyba jednak nas dopadła.

Ciemnym chmurom udało się oderwać od szczytów gór. Sunęły niepowstrzymanie w ich kierunku. Góry były teraz koloru ciemnej umbrы. Nad pustynią przetaczały się echem dalekie grzmoty. Promienie słońca strzępiły się i bładły.

Zatrzymali się przy parkujących obok szopy kempingobusach i zapalili w nich światło. Potem poszli żółtawą smugą ku zrujnowanemu domowi, gdzie znajdowało się miejsce dowodzenia Trouta.

Państwo Wingate, zmęczeni kopaniem i przesiewaniem, wrócili wcześniej do motelu. Ned, Carl i Zavała zajęli miejsca na obrzeżu rancza, tuż za dawną zagrodą dla bydła. Każdy z nich widział ze swego posterunku pustynię aż po horyzont. Oddział wsparcia miał wyjść z bazy po zapadnięciu zmroku i zabezpieczyć drogę.

Kiedy Austin i Nina wchodzili do chaty, podmuch wiatru wzniosł chmurę piachu i na ziemię spadły olbrzymie krople deszczu. Trout siedział w kuchni, jedynej zadaszonej części budynku. Deszcz zaczął przeciekać przez dziury, na klepisku tworzyły się strumyki wody, ale poza tym było dość sucho i nie wiało. Przez nieregularny otwór, w którym niegdyś znajdowały się drzwi, widać było kempingobusy. Szpary między cegłami pozwalały obserwować okolicę, jak otwory strzelnicze w średniowiecznych murach obronnych.

Wiatr i deszcz były jedynie preludium. Pustynna burza nie pojawia się po to, by chaotycznie grzmotnąć kilka razy tu i ówdzie w ziemię. Wybiera sobie miejsce i zawisa nad nim. Spuszcza w dół strumienie wody i następujące w sekundowych odstępach zygzakowate błyskawice, czasami kilka naraz. Łomocze w ziemię z typowo ludzką zaciętością i obtłukuje ją, jak ostrzał artyleryjski, którego celem jest wyeliminowanie wroga albo złamanie jego oporu.

W migoczącym jak stroboskop świetle krople zdawały się wisieć nieruchomo w powietrzu. Trout wpatrywał się w ciemność, Austin rozmawiał z posterunkami przez radio. Musiał głośno krzyczeć, żeby słyszano go przez huk grzmotów i dudnienie ulewy.

Strażnicy dostali instrukcję, że mają komunikować się w stałych odstępach czasu albo natychmiast po zaobserwowaniu czegoś niezwykłego. Mężczyźni rozstawieni wokół rancza zgłaszali się imionami. Szóstka ze stacji benzynowej określała się mianem Oddziału A. Grupa z helikopterem, określana jako Oddział B, miała jedynie słuchać i zachowywać ciszę.

Z odbiornika Austina dolatywał monotony dźwięk, który przypominał zakłócenia, w rzeczywistości zaś był odgłosem deszczu.

– Ned do bazy. Nic.

– Przyjąłem – odpowiedział Austin. – Carl, zgłoś się.

Sekundę później odezwał się inny głos:

– Carl. Tak samo.

Joe, który wziął sobie do serca zalecenie Austina, by przekazywać jak najkrótsze komunikaty, powiedział:

– Tak samo.

Z drogi nadano:

– Oddział A. Zero.

Burza trwała prawie godzinę, a kiedy odeszła, pozostawiła wcześniejszą ciemność. Mrok rozrywały jedynie dalekie błyski. Oczyszczone powietrze pachniało mocno bylicą. Przekazywano dalsze meldunki. Było spokojnie. Dopiero po jakimś czasie zgłosiła się ekipa przy drodze.

– Oddział A do bazy. Jedzie samochód. Zajmujemy pozycje.

Plan zakładał, że dwóch ludzi zatrzyma pojazd, dwóch będzie ich osłaniać, piąty mężczyzna zabezpieczy tyły osłaniającej dwójki, a szósty utrzyma kontakt radiowy z bazą.

Austin podszedł do drzwi i mrużąc oczy, popatrzył w kierunku drogi. Światła reflektorów wyglądały w oddali jak kropeczki.

Minutę później doleciało z radia:

– Samochód dostał znak, by się zatrzymał... zatrzymuje się. Podchodzimy ostrożnie.

Austin wstrzymał oddech. Nie było powodu, by ktokolwiek o tej porze odwiedzał stanowisko. Wyobraził sobie podchodzących do samochodu z obu stron ludzi z gotową do strzału bronią. Miał nadzieję, że nie jest to manewr odwracający uwagę od prawdziwego ataku, który nastąpi gdzie indziej. Szybko porozumiał się z innymi posterunkami. Od strony pustyni panował spokój.

Oddział na drodze zgłosił się po kilku pełnych napięcia chwilach.

– Oddział A. – Głos mówiącego był odprężony. – Baza, znacie kogoś o nazwisku George Wingate?

– Tak – odparł Austin. – Dlaczego pytasz?

– Prowadzi ten samochód.

– Starszy mężczyzna. Siwe włosy i broda?

– Zgadza się. Mówi, że pracuje przy wykopaliskach.

– Zgadza się. Jest z żoną?

– Nie. Sam.

– Co tu robi?

– Mówi, że żona zapomniała zabrać książkę. Zostawiła ją w łazience w kempingobusie. Przyjechałby wcześniej, gdyby nie burza. Jakie instrukcje?

Austin zachichotał.

- Wpuśćcie go.
- Zrozumiałem. Bez odbioru.

Kilkanaście sekund później ciemność przebiły światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Buick Wingate'ów zatrzymał się między kempingobusami a szopą. Wysiadł z niego mężczyzna. Wysoka postać Wingate'a zniknęła za samochodem. Po jakiejś minucie pojawił się znowu z pakunkiem pod pachą, po czym stanął i zrobił coś dziwnego: patrząc na dom pomachał ręką. Austin był pewien, że gest nie jest przypadkowy. Potem Wingate wsiadł do samochodu i odjechał. Austin odwrócił się do Niny, która siedziała na starym pieńku do rąbania mięsa. Musiała zauważyć jego zdziwioną minę.

- Co się stało? – spytała z niepokojem.
- Nic – powiedział, by dodać jej otuchy. – Fałszywy alarm.

Po chwili zgłosił się posterunek przy drodze.

- Gość odjechał. Oddział A wyłącza się.
- Dziękuję. Dobra robota. Baza wyłącza się.

Trout wzruszył ramionami.

- Może to nie nastąpi dziś w nocy – mruknął.

Austin nie był przekonany.

- Może – odpowiedział zaciskając szczęki.

Nikt nie był zaskoczony, kiedy piętnaście minut później zadzwonił telefon komórkowy Trouta. Od dłuższego czasu próbował złapać Gamay i zostawił jej wiadomość, by oddzwoniła. Wyjął z kieszeni maleńką rozkładaną motorolę.

– Żadnej wiadomości? – powiedział po chwili. – Poproś „Nereusa”, by zadzwonili, jak będą mieli od niej wiadomość? Tak, chętnie z nim porozmawiam. Cześć, Rudi. – Słuchał przez chwilę. Zmarszczył czoło. – Dobrze. Przekażę Kurtowi i oddzwonię. – Rozłączył się i schował telefon. – Dziwna sprawa. Rudi stworzył fikcyjną firmę, która oficjalnie koordynuje wykopaliska, w których właśnie „uczestniczymy”. Wymyślił dla niej nazwę i zaopatrzył ją w numer telefonu, który naprawdę należy do NUMA. Niedawno dostali telefon od policji w Montanie. Znaleźli maszerującą wzdłuż autostrady starszą parę. Opowiedzieli im fantastyczną historijkę o porwaniu.

Austin myślał o tym, dlaczego nic się nie dzieje i słuchał jednym uchem.

- Przez UFO? – spytał.

– Sądę, że powinniśmy się tym zainteresować. Twierdzą, że trzymano ich przez kilka dni i że są w drodze na wykopaliska w Arizonie.

Austin otworzył szeroko uszy.

- Policja zna ich nazwisko?

- Wingate.

Burza i nuda oczekiwania w beczynności, przytępiły odruchy Austina. Teraz w głowie rozdzwonił się dzwonek alarmowy.

– Cholera! – warknął. – Paul, wzywaj natychmiast helikopter. Niech Oddział A zaraz się zamelduje! – Wyskoczył na zewnątrz. Był w połowie

drogi między budynkiem a kempingobusami, kiedy szopa wyleciała w powietrze w kuli czerwonożółtego ognia. Rzucił się na ziemię, zakrył głowę rękami i wbił twarz w mokry piach. Wtórna eksplozja rozerwała zbiorniki propanu w kempingobusach. Ziemia zatrzęsała się, noc zmieniła się w dzień. Z nieba spadały rozżarzone kawałki metalu. Na szczęście wiatr zwiewał je dalej i na grzbiet dłoni Austina spadło jedynie kilka gorących iskier.

W końcu syk spadających odłamków ucichł. Austin podniósł głowę i wypluł z ust piasek. Kempingobusy i szopa zniknęły. Na ich miejscu huczał ogień. Ziemię pokrywały rozżarzone do czerwoności kawałki blachy.

Kiedy uznał, że nie będzie więcej wybuchów, wstał i podszedł do kupki palących się zgliszcz.

Od domu nadbiegli Nina i Trout.

– Kurt, nic panu nie jest? – spytała z niepokojem.

– Nie. – Austin patrzył na płonący stos i palcem zdjął z języka resztkę piasku. – Wolę jednak fajerwerki na czwartego lipca.

Kilka sekund później zjawili się Carl, Ned i Joe. Zaraz po nich z ciemności ze wszystkich kierunków wychynęły inne postacie. Oddział A nadbiegał, nie próbując się kryć. Okrzyki zaskoczenia głużył klekot łopat wirnika helikoptera. Pilot stwierdził, że podmuch maszyny podsyca ogień i rozwiewa iskry. Odleciał i wylądował nieopodal budynku rancza.

W mózgu Austina zaczęły zamykać się obwody.

– Paul, masz numer motelu, w którym mieszkają Wingate’owie?

– Tak, jest zapisany w pamięci mojego telefonu.

– Zadzwoń i sprawdź, czy jeszcze tam są.

Trout wystukał numer i poprosił o połączenie z pokojem państwa Wingate.

– Odebrał nocny portier – powiedział. – Wingate zapłacił rachunek, ale samochód stoi. Pójdzie i zapuka do pokoju.

Portier wkrótce był przy telefonie.

– Proszę się uspokoić – powiedział po chwili Trout. – Niech pan wezwie policję i nie dotyka niczego. – Rozłączył się: – Portier zapukał do drzwi Wingate’ów, ale nie zareagowano. Nacisnął klamkę, drzwi nie były zamknięte, i wszedł do środka. W kabinie prysznicowej leżało ciało. Kobiety. Pani Wingate.

Austin zacisnął zęby.

– A Wingate?

– Nie ma go. Portier uważa, że musiał się z kimś zabrać.

– Jasne.

– Co się dzieje? – spytała Nina.

– Nie wiem. Zaraz wracamy.

Austin zostawił Zavalę, by zastanowił się, czy jest w stanie stworzyć nieco zamętu i pobiegł z Troutem do helikoptera. Minutę później maszyna była z powrotem w powietrzu. Polecieli nad autostradą do jaskrawego neonu i wylądowali na parkingu motelu.

Policja już była na miejscu i dokonywała oględzin pokoju. Austin machnął legitymacją i przedstawił się jako pracownik agencji rządowej – w nadziei, że zostanie wzięty za agenta FBI. Wyjaśnianie, co pracownicy NUMA robią na miejscu zbrodni, byłoby dość żmudne. Policjanci nie obejrzeliby dokładnie legitymacji, najwyraźniej zrobiło na nich wrażenie, że spadł z nieba w towarzystwie uzbrojonego po zęby oddziału antyterrorystycznego.

Zwinięte ciało pani Wingate leżało wepchnięte do kabiny prysznicowej. Zwłoki były ubrane w różowy aksamitny szlafrok, co mogło sugerować, że zabito ją w momencie, kiedy wychodziła z łazienki. Nie było widać krwi, ale głowa leżała pod nienaturalnym kątem. Austin wyszedł na zewnątrz, gdzie Trout rozmawiał przez telefon komórkowy z kwaterą główną NUMA.

– Wingate’owie przysłali formularze zgłoszeniowe ze zdjęciami – powiedział.

– W motelu musi być faks.

Poszli do biura i Trout przedstawił się jako osoba, która dzwoniła przed znalezieniem zwłok. Portier potwierdził, że motel ma faks i podał Troutowi numer. W ciągu kilku minut przesłano zdjęcia. Starsza para ze zdjęć nie przypominała żadnego z państwa „Wingate” – żywych ani martwych.

Austin i Trout zaczęli przesłuchiwać portiera, tłustego, łysiejącego mężczyznę około pięćdziesiątki. Był roztrzęsiony, ale okazał się dobrym świadkiem. Lata kontaktu z ludźmi przez motelowy kontuar wyćwiczyły go w dostrzeganiu szczegółów.

– Widziałem ich, kiedy wrócili dziś wieczór i szli do pokoju. Potem nadeszła burza. Kiedy deszcz ustał, samochód Wingate’a gdzieś odjechał. Wrócił za jakiś czas. A Wingate poszedł do pokoju, potem wpadł do biura i zapłacił. Gotówką. Niemal go nie poznałem.

– Dlaczego?

– Cholera, zgolił brodę. Nie mam pojęcia, dlaczego. Widać było bliznę.

– Nie wiem, o czym pan mówi – stwierdził Austin.

Portier przeciągnął palcem po policzku – od oka po kącik ust.

– Długa, stąd dotąd.

Austin i Trout rozmawiali z portierem do momentu pojawienia się policji. Poszli potem do helikoptera i na polecenie Austina, pilot obleciał okolicę. Obserwowali drogi. Dostrzegli kilkanaście par zapalonych reflektorów, ale nie było wiadomo, w którym z aut siedzi Wingate. Nie było nawet pewne, czy wsiadł do jakiegoś samochodu. Wrócili na ranczo; ogień widać było z odległości kilku kilometrów.

Austin opowiedział Ninie i Zawali o tym, co wydarzyło się w motelu, o morderstwie pani Wingate i zniknięciu jej męża.

– Nie mogę uwierzyć, że był jednym z nich – stwierdziła Nina.

– Dlatego udało mu się uciec. Podłożenie bomby w szopie zajęło mu chwilę. Opanowany klient, bez względu na to, kim jest. Zrobił swoje tuż pod naszym nosem.

Nina wzdrygnęła się.

– A kim była ta biedna kobieta?

– Na razie nie wiemy. Może nigdy się nie dowiemy. Zastanawiam się nad Wingate’em, czy jak on się nazywa. Tuż przed wybuchem bomby dał znak, jakby: „Chodźcie i łapcie mnie”. Nie musiał golić brody. Mógł uciec w przebraniu i zrobić to później. Jakby z nas szydził. Albo okazywał lekceważenie.

Zavala próbował robić dobrą minę do złej gry.

– Przynajmniej admirał nie dowie się, że zabawialiśmy się jego szlachetnym profilem.

– Prawdopodobnie już o tym wie, Joe.

– Chyba masz rację. – Zavala oparł dłonie na biodrach i spojrzał na dopalające się zgliszczca. – I co teraz?

– Nasi ludzie mogą popilnować terenu, my polecimy do Tucson prześpać się. Rano wrócimy do Waszyngtonu.

– Ci chłopcy są znacznie sprytniejsi i lepiej zorganizowani, niż nam się zdawało – mruknął Zavala. – Wyciągnęli wnioski z klapsa, jakiego dostali na „Nereusie”.

– Remis. – W oczach Austina pojawił się lodowaty błysk. – Zobaczmy, kto zdobędzie decydujący punkt.

## 20

Ciśnienie w uszach przekazało wewnętrznemu logowi Gamay, że jest jakieś dziesięć metrów pod powierzchnią ciemnej wody. Pływała tam i z powrotem, jak szukająca pożywienia ryba w akwarium, z każdym zygzakiem zbliżając się do powierzchni. Obmacała obślizgłą ścianę. Dotyk musiał jej zastąpić wzrok.

W minionym roku zaczęła dla urozmaicenia ćwiczyć nurkowanie bez przyrządów. Podobało jej się uczucie swobody, jakie dawało pływanie pod wodą bez nieporęcznej aparatury. Mogła teraz pozostawać pod wodą do dwóch minut.

Powierznię wapienia pokrywały bruzdy, pęknięcia i otwory. Żaden z nich nie był na tyle duży, by można się było przezeń przedostać. Wypłynęła na powierzchnię, podплыnęła do brzegu i wspięła się na obramowanie zbiornika, by złapać oddech.

Chi widział, że jest rozczarowana.

– Nic?

– *Mucho nada*. Proszę wybaczyć mój hiszpański. – Starła wodę z oczu i rozejrzała się po jaskini. – Powiedział pan, że od tej komory odchodzą korytarze.

– Tak jest. Badałem je. Poza jednym, kończącym się pod wodą, wszystkie są ślepe.

– Ma pan jakieś podejrzenie, dokąd prowadzi?

– Podejrzewam, że tak jak pozostałe, kończy się małym zbiornikiem, który w zależności od poziomu wody, zapełnia się albo nie. Czego pani szukała w wodzie?

Gamay zebrała włosy z tyłu i wycisnęła z nich wodę.

– Myślałam, że znajdę otwór prowadzący do innej jaskini albo wychodzący nad lustrem wody. Zaraz wracam. – Wstała i podeszła do schodów, które prowadziły do wyjścia. Wspięła się po nich cicho i zniknęła. Po kilku minutach wróciła. – Nie ma szansy przejść obok strażnika – powiedziała ze

smutkiem. – Zastawili wejście głazami. Nie takimi, żeby nie dało się ich odsunąć, ale usłyszełoby nas.

Oparła dłoń na biodrach i znów rozejrzała się po więzieniu. W końcu jej wzrok zatrzymał się na słupie światła, wpadającego przez otwór w suficie. Chi podążył za spojrzaniem.

– Majowie wykuwali otwory, by spuszczać do *cenote* wiadra. Oszczędzało to schodzenia po schodach za każdym razem, kiedy mieli ochotę na miskę zupy.

– Ten nie jest umieszczony centralnie. – Rzeczywiście, otwór znajdował się bliżej jednej ze ścian.

– *Si*. Kiedy kopali z góry, nie wiedzieli, gdzie jest środek zbiornika. Skoro dało się spuścić linę i napełnić wiadro, nie robiło to żadnej różnicy.

Gamay podeszła do skraju wody i spojrzała do góry. Brzegi otworu obrastała roślinność. Zwieszała się do środka, zasłaniając częściowo światło.

– To, co zwisa, wygląda na krzew winorośli.

Chi patrzył w kopolaste sklepienie, mrużąc oczy.

– Chyba więcej niż jeden krzew. Ale moje oczy nie są już takie, jak dawniej...

Teraz Gamay zmrużyła powieki. Stwierdziła, że profesor nie zasługuje jeszcze na białą laskę. Faktycznie z góry zwisała druga, ledwie widoczna winorośl. Opuściła wzrok. Większa część ściany ginęła w mroku, ale nic nie pozwalało przypuszczać, że jej powierzchnia różni się czymkolwiek od części podwodnej, którą badała.

– Trudno powiedzieć, ale ściana wygląda na znacznie łatwiejszą od tych, na które wchodziłam w Wirginii Zachodniej. Szkoda, że nie mamy haków i czekana. – Roześmiała się. – Rany, wystarczyłby szwajcarski scyzoryk oficerski!

Chi przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

– Mam coś lepszego od szwajcarskiego scyzoryka.

Sięgnął za koszulę, ściągnął przez głowę rzemień i podał go Gamay. Przedmiot wyglądał w półmroku jak łeb drapieżnego ptaka.

Gamay wzięła wisior do ręki. Zielone ślepie migotały w słabym świetle, biały dziób zdawał się jarzyć.

– Piękne. Co to jest?

– Amulet. Bóg burzy Kukulcan. Majowski odpowiednik azteckiego Quetzalcoatl, pierzastego węża. Łeb jest zrobiony z miedzi, oczy z jadeitu, dziób z kwarcu. Noszę go na szczęście oraz do przycinania cygar.

Zaokrąglona podstawa idealnie pasowała do dłoni. Gamay dotknęła palcem dzioba.

– Twardy jest wapień?

– To krzemień z prastarych muszli. Jak pani przypuszcza, jest twardy, ale kruchy.

– Zastanawiałam się, czy dałoby się wyciąć w ścianie uchwyty dla rąk i stóp. Tak, żeby mogła dosięgnąć winorośli. – Nie wiedziała, co robi, jeśli uda jej się uciec z jaskini, ale coś na pewno wymyśli.

- To możliwe. Krzemień jest niemal tak twardy jak diament.
- Więc chętnie pożyczę sobie na chwilę tego pierzastego węża.
- Proszę. Do uwolnienia nas z tego lochu może być potrzebna moc bogów.

Gamay weszła znów do wody, popłynęła do wapiennej ściany, a potem wzdłuż niej, aż dotarła do lekkiego wybrzuszenia. Przytrzymała się go jedną ręką, sięgnęła w górę i znalazła otwór na tyle duży, by wetknąć palce. Uderzając amuletem jak prymitywną siekierką, odłupała nieco wapienia, powiększyła dziurę na tyle, że zmieściła się cała dłoń. Oparła kolano o występ i wyrąbała wyżej kolejną dziurę.

Kiedy mogła już stanąć, praca poszła szybciej. Wspinała się centymetr po centymetrze. Czepianie się nagiej skały i przyciskanie twarzy do twardej powierzchni dało jej dogłębną wiedzę o wapieniu. Tak jak podejrzewała, ściana była spękana i poślóbia. Gamay wykorzystywała naturalne oparcia albo po prostu powiększała istniejące dziury. Jej włosy pokrył biały pył. Od czasu do czasu musiała się zatrzymywać, by wytrzeć nos o ramię. Jedno mocne kichnięcie zrzuciłoby ją ze ściany.

Jak Spiderman to robił, że wspinaczka po ścianie wydawała się tak łatwa? Dałaby wszystko za parę jego wystrzeliwujących pajęczynę opasek na nadgarstki. Już samo wiszenie było trudne, ale naprawdę wyczerpywała praca z wyciągniętą nad głowę ręką. Bark bolał i Gamay musiała często opuszczać zdrewniałe ramię, by napłynęła do niego krew. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda jej się pozbyć skrzywienia karku.

W połowie drogi spojrzała w dół. Biała plama koszuli Chi ledwie majaczyła w półmroku. Obserwował jej postępy.

– Wszystko w porządku, doktor Gamay? – spytał, a jego głos odbił się echem.

Wypluła zmieszaną ze skalnym pyłem ślinę. Damy tak nie robią, ale co tam!

– Bułka z masłem, profesorze!

Cholera, szkoda że ten żółtozęby kretyn ukradł jej zegarek. Straciła poczucie czasu. Światło wpadało do jaskini pod większym kątem i było już słabsze, więc słońce musiało zachodzić. Tropikalna noc spadała na ziemię z szybkością gilotyny. Wkrótce w jaskini będzie ciemno jak w kopalni. Sięgnięcie po pędy winorośli będzie trudne nawet przy świetle, ale w ciemności stanie się niemożliwe.

Chi musiał wyczuć jej zwątpienie. Z dołu ponownie doleciał jego dodający otuchy głos. Spokojnie mówił, że świetnie sobie radzi i niemal dotarła do celu. Nagle faktycznie tam dotarła. Była w miejscu, gdzie szczyt ściany przechodził w kopulaste sklepienie. Przekreśliła powoli głowę i stwierdziła, że jest na jednym poziomie z pędem winorośli. Przesunęła się jeszcze wyżej, by mieć margines błędu, niezbędny dla udanego skoku. Wisiała pod łukiem. Ciężar rwał zmęczone palce. Musi ruszyć się szybko albo nie ruszy się wcale.

Kolejne szybkie spojrzenie. Winorośl wisiała niecałe dwa metry od niej.

Przemyśl ruchy, ale spiesz się! – pomyślała. – Skocz, przekreść ciało w powietrzu, złap winorośl i utrzymaj się.

Tak jak powiedziała profesorowi: bułka z masłem.

Palce bolały, jakby je wrywano. Odsunęła bark od ściany.

Nie ma czasu. Teraz!

Wzięła głęboki wdech i skoczyła.

Kiedy ciało zakreślało parabolę, Gamay odwróciła się twarzą do winorośli. Wygłodniałe ręce sięgnęły ku liściom. Musnęły, potem złapały pędy. Suche, krucho. Sztywność w dłoniach zdradziła jej, że roślina nie utrzyma ciężaru. Trzask! Wolną ręką sięgnęła po drugi pęd. Poczula, jak i on pęka.

Poleciała w dół.

Z bezużytecznymi roślinami w rękach huknęła o powierzchnię wody. Nie zdążyła odwrócić się głową ani nogami w dół, by zanurkować. Wylądowała na boku z ogłuszającym pluskiem! Kiedy przebijała powierzchnię, lewą rękę i udo przeszyły tysiące igieł. Stłumiła ból i pokracznie, na boku, podплыnęła do brzegu.

Chi ujął ją za nadgarstek zaskakująco mocną dłonią i pomógł jej wyjść z wody. Siedziała przez chwilę, próbując rozmasować bolące udo.

– Nic pani nie jest?

– Wszystko gra – odpowiedziała między dwoma łąpczywymi wdechami. Upadek wypchnął jej z płuc całe powietrze. – Chwila... i to po takiej robocie. – Podała mu amulet. – Podejrzewam, że bogowie mają co do nas inne plany.

– Widzę, że musieliby dać nam skrzydła.

– Wołałabym spadochron. – Roześmiała się. – Nieźle to wyglądało, kiedy leciałam w powietrzu trzymając się tego... – Odrzuciła na bok bezużyteczne pędy.

– Nie jest pani konkurentką Tarzana.

– Ani on moim. Proszę jeszcze raz opowiedzieć mi o wyjściu pod wodą.

Profesor wziął Gamay za rękę.

– Chodźmy.

W pomieszczeniu, w którym się znajdowali, było niemal kompletnie ciemno. Gdyby zechciał, mógłby ją zaprowadzić nawet do piekła. W którymś momencie zatrzymał się. Zapłonęła zapalniczka. Płomień rzucił na nagie ściany groteskowe cienie.

– Uwaga na głowę – ostrzegł Chi i ruszył dalej. – Sklepienie się obniża, ale nie będziemy iść daleko.

Po kilku minutach tunel poszerzył się i Gamay mogła się wyprostować. Zaraz potem przejście zaczęło jednak opadać i skończyło się gwałtownie litą ścianą. U jej podnóża faktycznie znajdowało się niewielkie oczko wodne.

– Tunel schodzi pod lustro wody – wyjaśnił Chi. – Nie wiem, czy za ścianą się wznosi, czy dalej opada.

– Ale czy może prowadzić na powierzchnię?

– *Si*. Jukatan to wielki kawał wapienia, poprzecinanego naturalnymi jaskiniami i tunelami, rzeźbionymi przez wodę całymi wiekami.

Gamay wzdrygnęła się, nie tyle z powodu chłodu i wilgoci, ile z klaustrofobicznej wizji wypełniona w wypełnioną wodą ślepa jaskinię. Siłą woli odrzuciła strach, ale niepokój pozostał.

– Wiem, że to strzał w ciemno, ale spróbuję sprawdzić, czy tunel prowadzi dokądkolwiek. Mogę wytrzymać bez oddechu dwie minuty i przez ten czas przepłynąć sporą odległość.

– To bardzo niebezpieczne.

– Nie bardziej od czekania, aż ci dowcipnisie z góry postanowią zamurować nas na zawsze. Oczywiście po tym, jak mój wielbiciel żółte zęby nieco się zabawi.

Chi nie spierał się. Wiedział, że Gamay ma rację.

– No dobrze... – stwierdziła. – Czas na mnie.

Weszła do wody po pas. Wykonała serię hałaśliwych ćwiczeń hiperwentylacyjnych, by wypełnić płuca powietrzem. Kiedy nabrała go do granicy zawrotu głowy, zanurzyła się pod wodę i wymacała brzegi otworu. Po chwili wystawiła głowę.

– Opada w dół, ale nie wiem, jak daleko sięga.

Chi kiwnął głową.

– Niech pani zostawi sobie tyle powietrza, by starczyło na powrót. – Pochylił się i podał jej owiniętą w folię zapalniczkę. – Może się przydać tam, dokąd pani dotrze.

Gamay znów wykonała głębokie wdechy, bez słowa wsadziła zapalniczkę do kieszeni, dała znak, że wszystko w porządku i zanurkowała. Licząc w pamięci sekundy: sto dwadzieścia jeden... sto dwadzieścia dwa... jak dziecko, które chce oszacować, gdzie uderzył piorun, popłynęła tuż pod szczytem tunelu. Postanowiła iść na całość. Przez dwie minuty mogła pokonać trzydzieści albo czterdzieści metrów. Potem będzie musiała zawrócić i pognąć z powrotem z pękającymi płucami.

Okazało się, że wcale nie musi ich nadużywać. Doszła zaledwie do stu trzydziestu sześciu, kiedy szczyt tunelu zaczął się podnosić pod dość dużym kątem, a wyciągnięta ręka przebiła lustro wody. Zaraz potem nad wodę wy dostała się głowa. Gamay zrobiła wydech i ostrożnie wciągnęła powietrze. Było lekko stęchłe, ale poza tym dobre.

Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Coś się nareszcie ruszyło! Tunel musiał opadać, a następnie wznosić się jak syfon do góry. Gamay była za pan brat z hydrauliką z powodu nieustannych napraw, jakie zdarzały się im z Paul'em w Georgetown. Uśmiechnęła się na myśl, że pływa w monstrialnej rurze kanalizacyjnej. Ale śmiech odbił się echem w ciemności i szybko otrzeźwiała. Był to dowód, że nie wy dostała się jeszcze z pułapki. Dużo do tego brakowało.

Wyjęła zapalniczkę i uniosła ją wysoko w górę, niczym Statua Wolności. Po kilku próbach kamień zaiskrzył i płomień z sykiem ożył. Machając

nogami w wodzie, obróciła się wokół własnej osi. Była na dnie dużego, kolistego zagłębienia o stromych ścianach. Opłynęła zbiornik. Zaczynała powoli rozumieć, jak czuje się wrzucona do studni kotka. Jak wspiąć się po tych ścianach? Nie uśmiechał jej się powtórny lot Ikara w *cenote*.

Podpłynęła do widocznego nad poziomem wody występu i podniosła zapalniczkę. Tuż nad pierwszym występem był drugi. Serce załomotało jej z podniecenia. Schody! Może jednak jest z tej dziury jakieś wyjście. Nie tracąc czasu, wyciągnęła się z wody i zaczęła wchodzić po stopniach, biegnących spiralnie w górę kamiennego cylindra.

Wkrótce znalazła się nad górną krawędzią studni. Świecąc zapalniczką rozejrzała się wokół. Była w niewielkiej jaskini. Jej wzrok padł na wąską bruzdę w kamiennej podłodze. Poszła wzdłuż niej i dotarła do niskiego tunelu. Przysunęła zapalniczkę do otworu. Płomień zachybotał się. Przepływało tędy powietrze. Stęchłe i gorące, ale powietrze.

W mgnieniu oka była znów w studni. Przez kilkanaście sekund hiperwentylowała, potem popłynęła z powrotem. Wypłynęła na powierzchnię i wyrzuciła z siebie:

– Chyba znalazłam wyjście!

– Bałem się, że pani nie wróci. Tyle czasu minęło... – doleciał z ciemności głos Chi.

– Przepraszam, że kazałam panu czekać. Zaraz pan zobaczy, co znalazłam. Umie pan pływać?

– Dawniej robiłem codziennie kilka długości w harwardzkim basenie. Na ile czasu będę musiał wstrzymać oddech?

– Na tyle, by przepłynąć na drugą stronę ściany. Poradzi pan sobie.

Łąpali się za ręce i Chi wskoczył z pluskiem do zbiornika. Trzymali głowy blisko siebie. Gamay poinstruowała go, jak ma oddychać. Między wdechami powiedział:

– Wolałbym, żeby moi przodkowie byli nie Majami, lecz Inkami.

– Dlaczego?

– Inkowie mają dużą pojemność płuc, bo żyją w rozrzedzonym górskim powietrzu. Ja jestem mieszkańcem nizin.

– Poradzi pan sobie nawet jako mieszkaniec nizin. Gotowy?

– Wolałbym zaczekać, aż urosną mi skrzela, ale ponieważ to niemożliwe, *vamanos!* – Dał Gamay znak, ściskając ją za rękę. Zanurzyła się pod powierzchnię, szybko odnalazła tunel i właściwie przeciągnęła profesora na siłę pod wodą. Podróż trwała prawie o połowę krócej niż poprzednio, ale kiedy się wynurzyli, profesor tak prychnął, że cieszyła się, iż odległość nie była większa.

Zapaliła zapalniczkę. Głowa profesora unosiła się na wodzie półtora metra dalej. Chciwie łapał powietrze. Jakimś cudem udało mu się nie zgubić bejsbolówki.

– Tam są schody – powiedziała, ciągnąc profesora za sobą. Pomogła mu wspiąć się na szczyt studni.

Chi rozejrzał się.

– Przypuszczam, że tubylcy używali tej studni jako awaryjnego źródła wody, kiedy po zakończeniu pory deszczowej *cenote* i rzeka wysychały. – Opadł na kolana i spojrzął w dół. – Kiedy woda stała wysoko, mogli po prostu zanurzać w niej naczynia. Kiedy zaś poziom opadł tak, że woda była poza ich zasięgiem, wykuli schody. Jak w tej reklamie kawy: „Dobra do ostatniej kropli”. – Wstał i zaczął oglądać ślady na podłodze. – Ślady wielu stóp... – powiedział zafascynowany.

Gamay też interesowała się starożytnymi cywilizacjami, ale płomyk za-palniczki malał i słabł. Kiedy zwróciła mu na to uwagę, podniósł z ziemi kilka kawałków nadwęglonej kory i splótł je w całkiem przyzwoitą pochodnię, która zaczęła się palić kopcącym płomieniem.

– To kora rycynusa – wyjaśnił. Ponieważ znów znajdowali się na twar-dym gruncie, gdzie czuł się pewnie, przejął dowodzenie. – No więc, Dorot-ko, czy powinniśmy pójść drogą wybrukowaną żółtą kostką? – spytał, ma-chając pochodnię.

Spojrzał za siebie, by sprawdzić, czy ciągle za nim idzie. Pochylił się i wszedł w tunel. Szedł wyprostowany, między jego głową a okopconym skle-pieniem tunelu było kilka centymetrów. Gamay musiała się schylać podczas wspinaczki krzywym i stromym tunelem. Po kilku minutach tunel gwałtownie się kończył. Dotarli do wąskiego szybu. Gamay znów mogła się wyprostować.

W górę szybu prowadziła drabina. Chi sprawdził szczeble, uznał, że dra-bina się kiwa, ale jest bezpieczna, po czym wspiął się na górę. Ukląkł na krawędzi i wyciągnął pochodnię, by wskazać Gamay drogę.

Jakimś cudem drabina wytrzymała. Gamay dołączyła do profesora, który siedział u wejścia do kolejnego tunelu. Prowadził do jaskini mniej więcej dwa razy większej od tej ze studnią. Tak jak i tam, odchodziło od niej jedno wyjście. Tunel miał metr szerokości i niewiele więcej wysokości. Przeczłgali się ciągle wijącym się i wznoszącym przejściem na kolanach i łokciach. W zamkniętej przestrzeni byłoby gorąco i duszno nawet bez pochodni. Chwilami Gamay mia-ła kłopoty z oddychaniem. Trudno było określić długość tunelu i to, w jakim kierunku biegnie. Z grubsza oszacowała go na dwadzieścia metrów i uznała, że w jednym miejscu załamał się pod kątem niemal stu osiemdziesięciu stopni.

Pełzła z opuszczoną głową. Tylko od czasu do czasu ją podnosiła, by nie podejść za blisko Chi – choć było to mało prawdopodobne. Mknął jak szczur. Nagle światło pochodni zniknęło, a Gamay wpadła na profesora. Uniósła się, by zobaczyć, co ich zatrzymało.

– Stop! – rzucił profesor i podkreślił słowo gestem uniesionej ręki.

Kłęczał jak skamieniały. Gamay szybko zrozumiała, dlaczego. Tunel kończył się występem skalnym, za którym ziała głęboka rozpadlina. Nad przepaścią przerzucono trzy grube deski. Dawni inżynierowie, którzy bu-dowali mostek, wzmocnili go krzyżującymi się wspornikami i przewidują-co umieścili na środku przejścia pionowy palik do zamocowania poręczy.

– Pójdę pierwszy – powiedział Chi. Ostrożnie postawił nogę na desce, a kiedy wytrzymała, zrobił następny krok. Kilka szybkich stąpnąć i był po drugiej stronie. – Nie jest to Golden Gate, ale chyba się nie zawali – powiedział przepraszająco.

Słowo „chyba” zawisło w powietrzu i przesłoniło resztę zdania. Gamay niepewnie patrzyła na kładkę z desek. Nie miała wyboru. Pomyślała, że jest tylko piętnaście kilo cięższa od profesora i przeszła przez mostek delikatnymi kroczkami jak akrobata po linie. Mostek okazał się mocniejszy, niż oczekiwała, deski nawet się nie zakotływały. Mimo to z radością złapała wyciągniętą rękę Chi i postawiła nogę z powrotem na pewnym gruncie.

– Dobra robota – powiedział i poprowadził do kolejnego szybu idącego w górę. Gamay przeraziła się niemal, nie widząc drabiny. Chi wskazał na wydeptane stopnie w mokrej i śliskiej skale. Ledwie mieściła na nich stopy i dłonie. Musiała wykorzystać wszystkie swoje wysokogórskie umiejętności. W końcu schody zbudowano dla drobnych Majów, nie wysokich Anglosasów.

U szczytu szybu znajdował się kolejny niski tunel. Gamay miała wrażenie, jakby jej gardło zamieniło się w Saharę w upalny dzień. Wspinaczka, pływanie i pełzanie dawało się we znaki. Oczy piekły od sady, kolana bolały od czołgania się. W jednym miejscu musieli się przecisnąć między skałami. Gdyby nie usłyszała triumfalnego okrzyku profesora, załamałaby się.

– Doktor Gamay! Wyszliśmy!

Kilka sekund później stali w pomieszczeniu tak wielkim, że światło pochodni nie sięgało wysokiego sklepienia. Otarła sadzę z oczu. Czyżby widziała kolumny? Wzięła na chwilę pochodnię i roześmiała się, bowiem światło ukazało nie kolumny, lecz potężne stalaktyty. Jaskinia była prawie kolista. Odchodziły od niej kolejne tunele. Jedno z wyjść miało kształt łuku, wysokiego na dwóch mężczyzn. Poszli tam. W odróżnieniu od nieregularnego otworu, którym weszli do wielkiej komory, portal tego tunelu był gładki i równy, a jego powierzchnia niespodziewanie płaska.

– Można by tędy jechać samochodem! – zawołała Gamay.

– Znane są legendy o biegnących między miastami podziemnych drogach. Zawsze sądziłem, że to przesada, że tubylcy widzieli jedynie naturalne tunele i brali je za sztuczne, ale to...

Musieli się zatrzymać, bowiem drogę blokowała sterta głazów z zapadniętego sklepienia. Wrócili do głównej komory i zaczęli badać inny tunel. Doszli nim do niewielkiego placu o wyłożonej kwadratowymi kafelkami posadzce, otoczonego nie stalaktytami, ale prawdziwymi kolumnami. Sklepiony wysoko sufit wygładzono i otynkowano, podobnie jak ściany, ozdobione malowidłami przedstawiającymi pokazane z profilu czerwone postacie.

– Nie do wiary – jęknęła Gamay. – Czy to jakaś podziemna świątynia?

Chi szedł wzdłuż ścian i przyglądał się postaciom, które wyglądały tak, jakby namalowano je wczoraj.

– Pochodzą z epoki Majów, a równocześnie nie są dziełem Majów... – szepnął.

Malowidło przedstawiało procesję ludzi, niosących na ramionach i głowach różne towary. Wazy, kosze z chlebem, złote pojemniki i dziwne przedmioty, może gąski metalu.

– Znów statki – powiedziała Gamay, wskazując na barki z towarem i okręty wojenne, podobne do tych, które wyrzeźbiono na fryzie pokazanym jej przez Chi.

Idąc wzdłuż ścian, poznawali skomplikowaną opowieść. Statki wpływały do portu. Rozładowywano je. Procesja ludzi niosła towary. Był nawet wizerunek mężczyzny z listą w ręku, prawdopodobnie rachmistrza. Mieli przed sobą starożytną dokumentację jakiegoś wielkiego wydarzenia albo kilku wielkich wydarzeń.

Na środku pomieszczenia znajdowało się wielkie okrągłe kamienne podwyższenie, wsparte na czterech potężnych kolumnowych nogach. Stał na nim prostopadłościan wycięty z purpurowego kamienia z wtopionymi kryształami. Podobny był z wyglądu do brył, jakie stawiano na szczytach piramid Majów.

Gamay pochyliła się i zajrzała do jego wnętrza przez prostokątny otwór w boku.

– Coś jest w środku. – Sięgnęła drżącymi palcami, wyjęła przedmiot ze środka i postawiła go na błyszczącej powierzchni stołu. Chi znalazł jeszcze kilka gałęzi rycynusa i pochodnia zapłonęła jaśniej niż dotychczas.

Urządzenie – bo na pewno było to urządzenie – składało się z drewnianego pudełka i zamocowanego na nim metalowego koła, wzmocnionego szprychami. W centrum koła znajdowało się spore koło zębate, które najwyraźniej obracało się wokół centralnej osi i zazębiało z dalszymi, mniejszymi zębatkami.

– Co to jest? – spytała Gamay.

– Jakaś maszyna.

– Wygląda jak... nie, to niemożliwe.

– Proszę mi powiedzieć.

– Cóż, przypomina to coś, co kiedyś widziałam: artefakt znaleziony na starożytnym statku, najprawdopodobniej wykonany z brązu, ale silnie skorodowany. Uważano, że to astrolabium, przyrząd nawigacyjny do określania wysokości słońca i gwiazd. Ktoś zbadał go promieniami gamma. Między kołami zębatymi zachodziły proporcje, które miały związek z danymi astronomicznymi i kalendarzowymi. Okazało się, że to coś znacznie bardziej skomplikowanego od astrolabium. Maszyna składała się z trzydziestu kół zębatych, połączonych ze sobą. Zamontowano nawet mechanizm różnicowy. Krótko mówiąc, był to komputer.

– Komputer? Gdzie pani to widziała?

Gamay milczała przez chwilę.

– W Muzeum Narodowym w Atenach.

Chi wbił wzrok w przedmiot stojący na stole.

– Nie-sa-mo-wi-te.

– Profesorze, czy mógłby pan poświęcić na te zadrapania?

Chi przysunął pochodnię tak blisko, że niemal nadpalił Gamay włosy. Nie zwracała jednak na to uwagi.

– Nie znam się dobrze na piśmie Majów, ale to nie są litery ich alfabetu – stwierdziła.

Teraz Chi przysunął głowę.

– Niesamowite... – powtórzył, ale z mniejszym przekonaniem.

Gamay rozejrzała się wokół.

– Wszystko tutaj – wewnętrzna bazylika, podziemna autostrada – jest niesamowite.

– Musimy jak najszybciej dać to do analizy.

– Ma pan rację, jest tylko jeden mały problem.

– No tak... – Chi przypomniał sobie, gdzie się znajdują. – Myślę jednak, że prawie się wydostaliśmy.

Gamay skinęła głową.

– Też czuję świeże powietrze.

Chi związał przód koszuli i schował do prowizorycznego worka artefakt. Wrócili do głównej komory. Odkryli olbrzymią drewnianą drabinę, wznoszącą się niemal pionowo i ginącą w ciemności na górze. Zrobiono ją z nie okorowanych drzew o grubości uda mężczyzny z ludu Majów. Miała mniej więcej cztery metry szerokości. Pnie przywiązano do bali, mocowanych pionowo do lica skały. Przez środek drabiny biegła poręcz.

Było to imponujące dzieło sztuki inżynieryjnej, choć nieco naruszone zębem czasu. Niektóre krągłe stopnie oderwały się i zwisały pod różnymi kątami. Gdzieś tam popękały mocowania do ścian i drabina powyginała się. Zdaniem Gamay, samo drewno było jednak nadal twarde – znacznie bardziej martwił ją fakt, że stopnie przywiązywano do pionowych wsporników pędami winorośli. Jej nieszczęsne doświadczenie świadczyło, że winorośl schnie, kruszy się i pęka. Nie podniósł ją na duchu fakt, że pierwsza poprzeczka, na której postawiła stopę, oderwała się.

Chi wykręcił głowę w górę, w kierunku niewidocznego szczytu drabiny.

– Musimy podejść do tego naukowo – powiedział, przyglądając się konstrukcji. – Drabina może się w każdej chwili zawalić. Wzmacnia ją trochę podpórka w środku. Trzeba się jej trzymać. Może pani powinna iść pierwsza. Jeśli panią utrzyma, ze mną nie powinno być problemu.

Gamay doceniała gest Chi, ale nie zgodziła się.

– Pańska rycerskość może się okazać nie na miejscu. Szansa, by pan dotarł na górę, jest znacznie większa od mojej. Jeśli pójdę pierwsza i drabina się załamie, nigdy się pan stąd nie wydostanie.

– Ale może się też załamać pod moim ciężarem i wtedy oboje tu utkniemy.

Uparty Maja!

– Dobrze. Obiecuję, że przejdę na dietę.

Ostrożnie weszła na drugi stopień i stopniowo zaczęła przenosić na niego ciężar ciała. Wytrzymała. Zaczęła się wspinać, chwytając rękami wyżej, by obciążać więcej stopni naraz. Unikała patrzenia na wiązania z winorośli, z obawy, że popękają od samego jej spojrzenia.

Po sześciu stopniach się zatrzymała.

– Z góry wieje powietrze – powiedziała wesoło. – Kiedy tam dojdziemy, może będziemy wolni.

Zrobiła kolejny krok. Wiązanie z jednej strony pękło, stopień oderwał się i zawisł pod kątem. Zamarła, bała się nawet odetchnąć. Nic więcej jednak nie spadło. Ruszyła ponownie – powoli i ostrożnie jak leniwiec. Wiązania trzymały aż do połowy drabiny, gdzie konstrukcja zapadła się, dodatkowo obciążając szczeble. Oderwała się kolejna poprzeczka i zawisała na jednym wiązaniu. Następna odpadła całkowicie i huknęła o dno jaskini. Gamay była przekonana, że drabina zaraz runie. Wytrzymała jednak. Kiedy bujanie ustało, ruszyła dalej.

Mogła iść piętnaście minut albo piętnaście godzin, parła jednak do góry bez przygód, póki nie znalazła się tuż u szczytu. Dobry Boże – pomyślała, gdy spojrzała w dół. Drabina musiała mieć chyba trzydzieści metrów! Blask pochodni Chi z tej wysokości wyglądał jak odległa gwiazda.

Wyciągnęła rękę i ku wielkiej uldze, zamiast kory poczuła kamień. Jeszcze ostrożniej niż dotychczas, by nie oderwać stopnia kopnięciem, wślizgnęła się na krawędź, w bezpieczne miejsce. Leżała na plecach i słała podziękowania budowniczym drabin. Potem przewróciła się na brzuch i zawołała Chi.

Pochodnia zamigotała i zgasła. Chi potrzebował w drodze obu wolnych rąk. Nie sądziła, że będzie miał jakiegokolwiek problemy, dopóki nie usłyszała dźwięku.

Kalunk! Potem: Klunk! Klunk! Klunk!

Wyobraziła sobie, jak grube kłody odrywają się i spadają na dół. Spodziewała się, że na tym się skończy, zaraz jednak rozległy się kolejne głuche uderzenia. Odgłos był przerażający, oznaczał bowiem, że nie skończyło się na jednej belce. Rozpoczynała się reakcja łańcuchowa. Musiała osłabić winorośl swym ciężarem. Teraz niewielki nacisk wystarczył, by stopnie z hukkiem runęły w dół. Z ciemności doleciało echo kolejnych głuchych uderzeń. Dźwięk narastał. Nietrudno się było domyślić, że drabina rozpada się stopień po stopniu.

Zapaliła zapalniczkę i wystawiła ją za skraj przepaści. Może płomyk pokaże Chi, jak blisko jest szczytu. Oczywiście, jeśli nie leżał pogrzebany pod belkami.

Usłyszała jego krzyk. Łoskot padających bali nie pozwalał określić, jak jest daleko.

– Ręka!

Wyciągnęła rękę za krawędź i krzyknęła, by dodać mu otuchy. Coś musnęło jej dłoń. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak blisko.

– Łap! – wrzasnęła.

Znów poczuła muśnięcie. Zagięte jak szpony palce dotknęły jej szczupłego nadgarstka i zacisnęły chwyt. Ona też chwyciła jego przegub. Przetoczyła się. Ciężarem swego ciała wyciągała Chi, aż mógł złapać się drugą ręką za krawędź skały. Coś było nie tak.

– Zaczekaj!

– Co?!

Chi coś robił i po kilku straszliwych sekundach, kiedy sądziła, że zginął, złapał ją obydwoma rękami za przedramię. Zarzucił najpierw jedną, potem drugą nogę na półkę. Z dołu wzbijała się dusząca chmura pyłu. Po kilku minut pył opadł. Spojrzeli w przepaść, ale nic nie zobaczyli w atramentowej otchłani.

– Drabina zaczęła się walić, kiedy byłem mniej więcej w połowie. Dopóki znajdowałem się wyżej niż spadające stopnie, nie było problemu, ale zaczęły mnie doganiać. To było jak wchodzenie po zjeżdżających ruchomych schodach.

– Dlaczego kazał mi pan czekać?

Poklepał się po gorsie koszuli.

– Super zaczął się rozwiązywać. Bałem się stracić artefakt. – Chi z fascynacją patrzył w przepaść. – Nie robi się już teraz takich drabin jak dawniej.

Gamay wybuchnęła śmiechem.

– Nie, chyba nie.

Orzeźwieni strumieniem świeżego powietrza, otrzepali się z kurzu i poszli w kierunku, z którego płynęło. Podmuch stawał się silniejszy im dalsi szli szerokim, krętym tunelem, wyraźną bitą ścieżką. Słychać było głośnie bzyczenie owadów. Wspięli się po kilku schodkach i wyszli wąskim wyjściem w wilgotną, ciepłą noc.

Gamay głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je, wyrzucając z płuc brud i pył. Księżyc skąpał srebrnoszarym światłem rynek starego miasta z dziwnymi, śpiącymi pagórkami. Chi ruszył w kierunku ścieżki, która powinna ich zaprowadzić do humvee. Zdawało się, że od chwili, kiedy tu przybyli, minęły tygodnie.

Skradali się ostrożnie od pagórka do pagórka. Byli niedaleko skraju lasu, kiedy zobaczyli coś, co wyglądało na rój robaczków świętojańskich. Tyle tylko, że punkciki światła nie migotały. Świeciły bez ustanku i rozchodziły się wokół rynku. Gamay i Chi równocześnie zrozumieli, że ich ucieczka została odkryta. A także to, że do trójki, która ich uwięziła, dołączyli inni. Zaczęli biec.

Chrapliwy głos ryknął po hiszpańsku i oślepiło ich jaskrawe światło. Potem rozległ się obrzydliwy rechot, który uświadomił Gamay, że znów jest z nimi stary przyjaciel Żółte Zęby. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Powoli

przesuwał promień latarki po ciele Gamay. Zatrzymywał go w określonych miejscach. Na koniec oświetlił lufy dubeltówki profesora, którą trzymał poziomo na wysokości pasa. Potem krzyknął po hiszpańsku, by powiadomić kompanów. Jakieś głosy odpowiedziały mu i światła ruszyły w kierunku zbiegów.

Gamay nie mogła w to uwierzyć! Po tym wszystkim, co przeszli, zostali złapani na kilka sekund. Jak zwierzyzna, przerażona robionym przez nagonkę hałasem. Miała ochotę po prostu podejść do drania i wyrwać mu broń. Chi musiał wyczuć jej furie.

– Niech pani robi, co każe. Proszę się nie martwić.

Odszedł kawałek w bok i ruszył ścieżką. Żółte Zęby warknęła jakąś komendę. Profesor zignorował go i szedł dalej wolnym, spokojnym krokiem. Żółte Zęby zawahał się. To nie miało być tak. Kiedy machał bronią, ludzie mieli skakać, jak kazał. Rzucił szybkie spojrzenie na Gamay. Chciał się upewnić, że jest na tyle przestraszona, żeby zostać tam, gdzie stała. Wrzeszcząc po hiszpańsku, skoczył za profesorem. Chi zatrzymał się, przedtem jednak zszedł ze ścieżki w bok, opadł w trawę na kolana i przyjął błagalną pozycję z uniesionymi rękami.

Tego tylko brakowało. Słabość jest dla głodnej bestii jak świeża krew. Żółte Zęby warknęła i rzucił się na profesora, unosząc broń, by rozwalić mu głowę kolbą. Nagle zniknęła. Latarka pofrunęła wysokim łukiem w powietrze i wylądowała w trawie. Rozległ się krzyk zaskoczenia, głośny, tępy łoskot. Potem cisza.

Chi podniósł latarkę i skierował promień w dół. Gamay podeszła. Ostrzegł ją:

– Niech pani uważa. Z prawej ma pani następną dziurę.

Żółte Zęby leżał na dnie sklepionej kopulasto komory o tynkowanych ścianach.

– Cysterny – wyjaśnił Chi. – Widziała pani, jak ciężko w tej okolicy zdobyć coś do picia. Mieszkańcy miasta magazynowali tu wodę. Kiedy tylko mogę, zaznaczam je. Chyba nie zauważył tego. – Chi dotknął przywiązanej do gałązki krzaka cienkiej pomarańczowej tasiemki.

– Zostawimy go tak?

Chi popatrzył w kierunku zbliżających się szabrowników.

– Nie mamy wyboru. Zresztą on chyba niezbyt panią interesuje.

Gamay pomyślała o długiej, męczącej wspinaczce z *cenote*.

– Chciałabym odzyskać swój zegarek, ale szczerze mówiąc, mam go gdzieś. Ciekawe, jak mu się podoba w tej dziurze.

– Musimy dojść do rzeki. To jedyna droga.

Ruszyli biegiem w kierunku drzew.

Dostrzeżono ich. Noc rozerwał karabinowy ogień.

Przyspieszyli.

## 2 1

José „Joe” Zavala mieszkał w niewielkim budynku, zajmowanym kiedyś przez bibliotekę okręgową Arlington. Dom urządził w stylu Południowego Zachodu, przeważnie meblami, które zrobił jego ojciec. Joe lubił ten wystrój ze względu na barwy i ciepło, jakim promieniowały sprzęty. Przypominały, jak daleko udało mu się odejść od biedy, w jakiej wyrósł.

Rodzice, urodzeni i wychowani w meksykańskim Morales, przeszli przez Rio Grande na zachód od El Paso w późnych latach sześćdziesiątych. Matka była w siódmym miesiącu ciąży. José urodził się i dorastał w Santa Fe w Nowym Meksyku, gdzie osiedli rodzice. Ojciec zaczął pracować jako cieśla przy wyrobie mebli. Z domu na górzystej pustyni wyciągnął młodego José zew morza. Zrobił magisterium w New York Maritime College i został inżynierem, a ponieważ jego zmysł techniczny graniczył z geniuszem, prosto z uczelni porwał go Sandecker.

Austin zaproponował urządzenie narady w domu Zavali, by oderwać się od przytłaczającej atmosfery kwatery głównej NUMA i żądań jej dyrektora. Poprzedniego wieczoru musiał przebrnąć przez niemiłe zadanie poinformowania admirała o fiasku zasadzki. Sandecker poradził mu dobrze się wyspać i jak najszybciej wracać do Waszyngtonu. Przespali się kilka godzin w motelu niedaleko lotniska i zdecydowali się na poranny lot, dzięki czemu dotarli do Waszyngtonu następnego dnia przed południem. Nina, która musiała zająć się swoją firmą konsultingową, poleciała do Bostonu. Austin wpadł na chwilę do domu wziąć prysznic i nowe ubrania. Porozumiał się też ze swoim biurem. Sekretarka poinformowała go, że czeka na niego dużo korespondencji. Poprosił, by przysłała je do domu Zavali.

Trout spóźnił się, co jak na niego było niezwykle. Austin usiadł przy masywnym stole w jadalni i zaczął czytać akta, które przysłano z NUMA.

Zavala wyszedł z piwnicy, gdzie dłużej przy swoich aparatach. Austin podał mu zdjęcie z teczki.

– To przyszło z FBI.

– Ładna dziewczyna – odparł Zavala. Blondynka na zdjęciu nie była klasyczną pięknoscia, ale wyglądała atrakcyjnie, jeśli lubiło się pszeniczne dziewczyny ze Środkowego Zachodu. Miała duże, niewinne oczy i ujmujący uśmiech, który prezentowała na terenie wykopalisk w Arizonie.

– Pani Wingate?

Austin skinął głową.

– Czterdzieści lat temu. – Wziął zdjęcie od Zavali. – Nazywała się Crystal Day. Wierzyła, że uda jej się zostać drugą Doris Day. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych odniosła sporo sukcesów w filmach. Szczyt kariery osiągnęła w filmie z Rockiem Hudsonem, gdzie mieli scenę w klinczu. Mogła do czegoś dojść, gdyby nie kosztowne zamiłowanie do alkoholu i narkotyków oraz zły gust, co do mężczyzn. Ostatnie lata spędziła, występując w drobnych rolach w byle jakich telewizyjnych programach rozrywkowych. Ale nawet i te zdarzały się rzadko i w dużych odstępach czasu.

– Cóż za tragiczna strata – powiedział Zavala i pokręcił głową. – Jak to się stało, że skończyła martwa pod prysznicem?

– Jej agent twierdzi, że pomyślał o niej, kiedy dostał telefon, jakoby z niezależnej wytwórni filmowej, że szukają kobiety w średnim wieku do niewielkiej roli. Płacili natychmiast i to dobrze. Podejrzewam, że ten kto dzwonił, dobrze wiedział, iż pani Crystal jest zdesperowana i zdecyduje się wziąć rolę, nawet jeśli się dowie, że to nie to, czego się spodziewała i że grać ma nie przed kamerą.

– Była wystarczająco dobra, by nas zwiść – stwierdził Zavala.

– Podobnie jak jej „mąż”. Pan Wingate ze Spokane.

– Tajemniczy człowiek z blizną i znikającą brodą. Wiemy coś na jego temat?

– Musiał nawet w łóżku nosić rękawiczki – odparł Austin marszcząc czoło. – Chłopcy z laboratorium sprawdzili nawet stylisko łopaty, którą przesywał ziemię, ale i tam nie było odcisków. Kompletnie nic.

– Wsadzić „kreta” do ekipy to niezły pomysł – powiedział Zavala z nie skrywanym podziwem. – W ten sposób zasadzka przestała być zasadzką.

– Potraktujmy to jako nauczkę. Wiemy już, że nie wolno nie doceniać tych ludzi. Są znakomicie zorganizowani. – Stuknęła palcem w zdjęcie. – I nie lubią zostawiać śladów.

– Jest prawie pewne, że mieli powiązania z Time-Quest. Wysyłali małżeństwo na wykopaliska, porywali i podmieniali na dublerów. Time-Quest jest czysty. Sprytne.

– Diaboliczne. Co sądzisz o przyjacielskim pozdrowieniu „Wingate’a” tuż przed wybuchem szopy i słowach, jakie miał rzucić strażnikom?

– „Niezła próba”? Trzeba przyznać, że jak na mordercę ma poczucie humoru.

- Mnie to nie śmieszy. Kusił los, choć nie musiał. Dlaczego?
- Może lubi?
- Może. – Austin podrapał się po brodzie. – Sądzę, że tylko częściowo była to arogancja. Chciał nam dać do zrozumienia, że wie, kim jesteśmy. I że sam jest częścią czegoś tak wielkiego, że może traktować nas lekceważąco.
- Czegoś większego od NUMA?
- Chciałbym to wiedzieć, Joe. – Austin schował zdjęcie do teczki. – Chciałbym to wiedzieć.
- Masz pomysł, co robimy dalej?
- Koniec z pułapkami. Byłem w trakcie rehabilitacji, kiedy wymyślono ten plan. Teraz zbadamy dokładniej trop poduszki i morderstwa.
- Nie jest to jasno oświetlona autostrada – stwierdził Zavała. – Może polecę do San Antonio i osobiście sprawdzę Time-Quest?
- Warto rzucić na nich okiem. Chętnie bym się dowiedział, kto ich finansuje.
- Zapukano cicho do drzwi. Wszedł Trout, jak zwykle schylając głowę w drzwiach. Miał poważną minę, ale to było u niego normalne.
- Przepraszam za spóźnienie, chłopaki. Rozmawiałem z „Nereusem” o Gamay.
- Podczas przelotu przez kontynent Trout kilka razy dzwonił do NUMA, by sprawdzić, czy Gamay się odnalazła.
- Są jakieś wieści? – spytał Austin.
- Trout posadził swoje długie ciało w fotelu i pokręcił głową.
- Potwierdzili, że zeszła ze statku na ląd i że wynajęła dzipa. Zostawiła wiadomość, że jedzie na spotkanie z profesorem Chi, antropologiem, z którym tak bardzo chciała się zobaczyć. I że zamierza wrócić po południu.
- Spotkała się z tym Chi?
- Trout wiercił się niespokojnie.
- Nie wiem. Ludzie na miejscu próbują się z nim porozumieć. Wygląda na to, że spędza masę czasu w terenie. Kazali się nie martwić. Gamay jednak normalnie nie zrywa kontaktu.
- Co chcesz zrobić, Paul?
- Wiem, że mnie potrzebujecie, ale chciałbym polecieć na parę dni na Jukatán, by sprawdzić, co się dzieje – powiedział przepraszająco. – Trudno szukać Gamay, opierając się na doniesieniach z drugiej albo trzeciej ręki.
- Austin skinął głową.
- Joe jedzie do Teksasu rzucić okiem na Time-Quest. Ja w Waszyngtonie będę pracować nad raportem o nieudanej akcji w Arizonie. Możesz wziąć dwa dni wolnego, żeby się rozejrzeć. Jeśli będziesz potrzebował więcej czasu, zajmę się Sandeckerem.
- Dzięki, Kurt. – Trout rozchmurzył się. – Zabukowałem taki lot, że będę na miejscu późnym popołudniem. Mam jeszcze parę godzin, które mogę poświęcić wam.
- Czy za tym szerokim czołem kryją się jakieś pomysły?

Trout zmarszczył brwi.

– Jedyne, co jest pewne, to fakt, że wszystkie incydenty wywołuje odkrycie prekolumbijskich artefaktów.

– Tak, to pewne – odparł Austin. – Nie wiemy jedynie, dlaczego.

– „Rok był tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt i dwa, kiedy Kolumb na morze wypłynął”... – powiedział Zawała.

Austin, głęboko zamysłony, podniósł głowę ze zdziwioną miną.

– Co powiedziałaś?

– To pierwsza linijka wierszyka z podstawówki. Też musiałeś się go uczyć.

– Tak, ale też nie pamiętam, co dalej.

– Nie starałem się o szóstkę z poezji – odparł Zawała. – Zastanawiałem się. Może kluczem nie jest to, że są „prekolumbijskie”? Może chodzi właśnie o Kolumba?

– Dobra uwaga – stwierdził Trout.

– Naprawdę? – zdziwił się Zawała. Wcale nie był tego pewien.

– Paul ma rację – dodał Austin. – Nie może być nic prekolumbijskiego bez Kolumba.

Zawała wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– „Rok był tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt i dwa...”

– No właśnie. Ten głupi wierszyk sumuje to, co większość ludzi wie o Kolumbie. Datę, kiedy wypłynął w pierwszą podróż, i to, że dzięki niemu mamy w październiku długi weekend. Co naprawdę wiadomo o starym Krzychu? A przede wszystkim, czy to może mieć związek z morderstwami?

Analityczny umysł Trouta pracował na wysokich obrotach.

– Chyba wiem, do czego zdążasz. Wiemy, że istnieje coś, co pośrednio łączy Kolumba z tymi wydarzeniami. *Ergo*...

– Erguj dalej – zachęcił Zawała.

– *Ergo* pojawia się pytanie: czy istnieje związek bezpośredni?

Wymienili się spojrzeniami.

– Perlmutter – powiedzieli jednocześnie.

Austin złapał za telefon i wystukał numer. W dużym domu w Georgetown podłączony do zastrzeżonej linii telefon wydał z siebie dźwięk podobny do dzwonu okrętowego. Tłusta dłoń podniosła słuchawkę. Należała do mężczyzny niewiele węższego od wrót stodoły. Miał na sobie drogą purpurową piżamę, a na niej zdobiony złotem i czerwienią szlafrok w paisleyowskie wzory. Siedział w fotelu i czytał jedną z tysięcy książek, które wypełniały każdy centymetr sześcienny, każdego pomieszczenia w domu.

– Saint Julien Perlmutter przy telefonie – powiedział przez wspaniałą siwą brodę. – Przedstaw sprawę, jaką masz, w treściwy sposób.

– Krzysztof Kolumb – powiedział Austin. – Wystarczająco treściwie?

– Boże, to ty, Kurt? Słyszałem, że walczyłeś z piratami na Barbarzyńskim Wybrzeżu.

– Jestem jedynie skromnym sługą rządu, wykonującym wyznaczone zadania. Ktoś musi dbać o bezpieczeństwo amerykańskich statków na morzu.

– Póki życia, póty nauki, przyjacielu. Nie wiedziałem, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych została rozwiązana i zastąpiona przez NUMA.

– Postanowiliśmy dać im jeszcze jedną szansę. Jak wiesz, piraci nie są zwykle obiektem zainteresowania NUMA.

– Oczywiście. Interesujesz się więc Admirałem Mórz? Wiesz, że to cud, że udało mu się dotrzeć na zachód dalej niż do Wysp Kanaryjskich?

– Z powodu złej nawigacji?

– Broń Boże. Nawigacja zliczeniowa zupełnie wystarczała do wykonania jego zadania. Trudno nie trafić na dwa kontynenty, połączone wąskim pasmem lądu. Choć niemal mu się to udało. Mówię o jedzeniu. Czy wiesz, że podstawowym pożywieniem była racja dzienna: pół kilograma sucharów, solone mięso, solone ryby i olej z oliwek? Oczywiście także fasola i groch, do tego migdały i rodzynki na deser – powiedział z przerażeniem w głosie. – Jedynym jasnym punktem była obfitość świeżych ryb.

Austin podejrzewał, że Perlmutter za chwilę rozpocznie wykład o wykwintnych potrawach i winach – swej wielkiej pasji, której dorównywało tylko jego zainteresowanie statkami i wrakami. Perlmutter był smakoszem i *bon vivantem*. Jego korpulentna postać o wadze mniej więcej stu osiemdziesięciu kilo budziła przerażenie w najbardziej eleganckich restauracjach, gdzie często wydawał kolacje.

– Nie zapomnij o wołkach zbożowych, które leży się w ich zapasach – wtrącił Austin, próbując odwieść Perlmuttera od ulubionego konika.

– Nie wyobrażam sobie ich smaku. W Afryce próbowałem szarańczy i pędraków. Mówiono mi, że to znakomite źródło białka, ale jeśli chcę zjeść coś, co smakuje jak kurczak, jem kurczaka. Musisz dokładnie określić, co chcesz wiedzieć. A poza tym, dlaczego ciekawi cię Kolumb?

Słuchał w milczeniu odpowiedzi. Jego encyklopedyczny umysł chłonał każdy szczegół. Austin streścił wszystko – od wydarzeń w Maroku po nieudaną zasadzkę w Arizonie.

– Chyba wiem, czego chcesz. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego Kolumb miałby kogoś inspirować do zabijania. Nie pierwszy raz budzi emocje. Był mistrzem sztuki przetrwania. Pomylił się co do Ameryki, a mimo to jej odkrycie przyniosło mu sławę. Do śmierci twierdził, że odkrył drogę morską do Chin. Nigdy nie uznał istnienia nowego kontynentu. Rozpoczął w Ameryce handel niewolnikami i sprowadził do Nowego Świata straszliwej sławy hiszpańską inkwizycję. Miał obsesję na punkcie złota. Był świętym albo draniem – w zależności od punktu widzenia.

– To było kiedyś. Ja mówię o teraźniejszości. Dlaczego ktoś miałby mordować, by nie doszło do zdyskredytowania jego odkryć? Potrzebuję jednego ognia.

- W efekcie jego wypraw powstały tony materiału pisanego, obejmujące miliony stron. To, co napisano o staruszku, może wypełnić całą bibliotekę.
- Wiem o tym i dlatego zadzwoniłem do ciebie. Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która może odrzucić śmiecia.
- Pochlebstwa nie zaprowadzą cię do nikąd...
- Zrewanżuję się za wysiłek kolacją w restauracji którą, ty wybierzesz.
- ... ale jedzenie tak. Jak człowiek może się oprzeć dwóm pokusom skierowanym do jego ego i apetytu? Zacznę kopać zaraz po obiedzie.

## 2 2

Perlmutter dumiał nad prośbą Austina przy soczystej kaczej piersi, nadziewanej winogronami na *focaccia*, która została z kolacji z poprzedniego dnia. Danie uzupełniał rzadki chardonnay marcassin. Austin pożałuje dnia, w którym dał się nabrać i zaprosił go na kolację. W Alexandrii otwarto nową francuską restaurację, a on umierał z chęci jej poznania. Była może trochę droga, ale umowa to umowa. Błękitne oczy poruszały się w rumianej, okrągłej twarzy w radosnym oczekiwaniu. Austin dostanie materiał wart każdych pieniędzy – Perlmutter wiedział bez przewrócenia jednej kartki, że napisano o Krzysztofie Kolumbie ocean literatury. Zbyt duży, by ot tak sobie wskoczyć i popływać. Będzie potrzebował przewodnika, a nie ma nikogo lepszego od tego człowieka.

Kiedy posprzątał po lunchu, przez jakiś czas przeglądał kartotekę, po czym wykreślił zamorski numer.

– *Buenos días* – odezwał się basowy głos z drugiego końca.

– Dzień dobry, Juan.

– Ach, Julien! Cóż za przyjemna niespodzianka. Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. A u ciebie, przyjacielu?

– Jestem starszy od kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni – zachichotał Hiszpan. – Porozmawiajmy jednak może o miłszych sprawach. Myślę, że dzwoniś, by mi powiedzieć, iż spróbowałeś mojego przepisu na *cordones emhoja de parra*.

– Przepiórki w liściach winogron były wspaniałe. Jak poradziłeś, nadałem każdą nie tymiankiem i skórką pomarańczową, lecz świeżą figą. Rezultat był oszałamiający. Poza tym użyłem do grilla drewna *mesquite*.

Perlmutter poznał Juana Ortegę w Madrycie, na zjeździe kolekcjonerów rzadkich książek. Odkryli, że poza manią starożytnych woluminów, łączy ich zamiłowanie do wytwornego jedzenia. Starali się spotykać przynajmniej raz do roku, by oddawać się rozkoszom podniebienia i wymieniać przepisami.

– *Mesquite!* Genialny pomysł. Mogłem się tego spodziewać. Miło, że przepis ci się spodobał. Bez wątpienia masz dla mnie coś do spróbowania. – Perlmutter niemal słyszał, jak Ortega oblizuje usta.

– Tak, o tym za chwilę, ale dzwonię z innego powodu. Muszę skorzystać nie z twojej mistrzowskiej wiedzy kulinarnej, ale z wiedzy Juana Ortegi, największego żyjącego autorytetu z zakresu wiedzy o Krzysztofie Kolumbie.

– To zbyt uprzejme, przyjacielu – odparł Ortega. – Jestem tylko jednym z wielu naukowców, którzy pisali książki na jego temat.

– Ale jedynym wystarczająco wnikliwym, by pomóc mi przy rozwiązaniu bardzo niecodziennego problemu. Duch *señora* Kolumba znalazł się w centrum dość dziwnych wydarzeń. Pozwól, że ci wyjaśnię. – Perlmutter przedstawił pokrótce to, co opowiedział mu Austin.

– Dziwna historia – stwierdził Ortega, kiedy Perlmutter skończył. – Zwłaszcza w świetle pewnego niedawnego incydentu. Kilka tygodni temu w Sewilli miało miejsce przestępstwo związane z Kolumbem. Z mieszczącej się w sewilskiej katedrze Biblioteki Narodowej skradziono dokumenty dotyczące Kolumba. Może to zbieg okoliczności?

– Może tak, może nie. Co skradziono?

– List opisujący piątą wyprawę Kolumba. Był skierowany do jego patronów, królów katolickich: Ferdynanda Katolickiego i Izabeli. Królowa zresztą już wtedy nie żyła.

– Cóż za szkoda, że straciliśmy tak cenny dokument.

– Nie był taki cenny. Kolumb nie odbył piątej wyprawy.

– Oczywiście, powinienem to pamiętać. Nie rozumiem więc, skąd wziął się list.

Ze słuchawki, z odległości pięciu tysięcy kilometrów, doleciał serdeczny śmiech.

– Fałszerstwo, *amigo*. Oszukaństwo. Jak wy to mówicie? Lewe papiery?

– Skąd wiesz, że to było fałszerstwo? Na podstawie analizy pisma?

– O nie... charakter pisma był odtworzony dość wiernie. Był tak podobny do autentyku, że nawet ekspert nie umiałby określić różnicy.

– Więc skąd wiesz, że to fałszerstwo?

– Kolumb zmarł dwudziestego maja tysiąc pięćset szóstego roku, a list jest datowany później.

Perlmutter zastanawiał się chwilę:

– Czy mogła zaistnieć pomyłka, co do daty jego śmierci? – zapytał.

– Dom gdzie Cristobal Colón, pożegnał się z tym światem, zachował się. Istnieje co prawda spór, gdzie pochowano wielkiego odkrywcę. Jego ziemskie resztki leżą w Sewilli, Santo Domingo albo w Hawanie. Istnieje przynajmniej osiem urn, mających zawierać jego prochy. – Ortega ciężko westchnął. – Zajmowanie się tym człowiekiem to jak pływanie w mętnej wodzie.

– Pamiętam, że w swojej książce *Odkrywca czy demon?* pisziesz, że nie ma nawet pewności co do tego, gdzie się urodził.

– Tak, to prawda. Nie wiemy na pewno, czy był Hiszpanem, czy Włochem. Twierdził, że przyszedł na świat w Genui, ale nie był zbyt prawdopodobny. Niektórzy twierdzą nawet, że pochodził z greckiej wyspy Chios. Oficjalna wersja brzmi, że był włoskim tkaczem. Inni utrzymują, że hiszpańskim marynarzem i że nazywał się Colón. Wiemy, że ożenił się z córką portugalskiego arystokraty i obracał się w kręgach zbliżonych do dworu królewskiego, co byłoby dość trudne dla syna tkacza. Nie istnieją żadne portrety z epoki. Otaczała go prawdziwa tajemnica i tego właśnie chciał. Robił wszystko, by utrudnić odkrycie swojej prawdziwej tożsamości.

– Zawsze mnie to dziwiło.

– To były burzliwe czasy, Julien. Wojny. Intrygi. Inkwizycja. Może stanął po złej stronie w królewskim sporze? Może służył dla kraju, który prowadził wojnę z Hiszpanią, albo który Hiszpania podbiła? Mogły istnieć także powody rodzinne, na przykład dowody, że jest synem z nieprawego łoża hiszpańskiego księcia. Stąd Colón, nazwisko, pod którym stał się znany.

– To naprawdę fascynujące, Juan. Musimy podyskutować o tym nad szklanczką sangrii, kiedy następnym razem się spotkamy, ale chciałbym dowiedzieć się więcej o skradzionym dokumencie.

– Słyszałeś o mnichu, który nazywał się Las Casas?

– Tak, dokonał transkrypcji oryginalnego logbuchu Kolumba.

– Dokładnie. Książkę pokładową pierwszej wyprawy Kolumb podarował swej patronce, królowej Izabeli. Kazała ona sporządzić dokładną kopię i dała ją Kolumbowi. Po śmierci Wielkiego Admirała, Kopię Barcelońską, bo tak nazwano wolumen, otrzymał w spadku syn Kolumba, Diego – razem z mapami, książkami i rękopisami. Potem wszystko trafiło do rąk Fernanda, nieślubnego syna Kolumba i jego kochanki. Przypominał mi ciebie, Julien.

– To nie pierwszy raz, kiedy określa się mnie mianem bękarta i prawdopodobnie nie ostatni.

– Nie powiedziałem tego, by stawiać pod znakiem wątpliwości legalność twego urodzenia. Miałem na myśli to, że był archiwistą i uczonym, miłośnikiem książek i stworzył jedną z najlepszych bibliotek w Europie. Kiedy zmarł, w tysiąc pięćset trzydziestym dziewiątym roku, związane z Kolumbem dokumenty dostały się Luisowi, synowi Diega. Na szczęście jego matka przekazała większość papierów jednemu z sewilskich klasztorów. Jej śmierć w tysiąc pięćset czterdziestym czwartym roku była tragedią dla świata.

– Dlaczego?

– Przez dwadzieścia trzy lata udawało jej się trzymać kolekcję z dala od Luisa. Teraz otrzymał wszystko. To była katastrofa. Przeczesał zbiór w poszukiwaniu tego, co dałoby się sprzedać. Potrzebował pieniędzy na rozpustne życie. Kopia Barcelońska zniknęła i przepadła na zawsze. Prawdopodobnie sprzedał ją temu, kto dał najwięcej.

– Gdyby się teraz pojawiła, osiągnęłaby poważną cenę.

– Chyba tak, choć raczej nie nastąpi to za naszego życia. Na szczęście przed zniknięciem widział ją przyjaciel rodziny, dominikanin nazwiskiem

Las Casas, który zostawił manuskrypt ze streszczeniem logbuchu. Bardzo starał się chronić imię Kolumba, omijał wszystko, co mogło postawić go w złym świetle, ale w sumie to dobre streszczenie.

– Jaki ma to związek ze skradzionym dokumentem?

– Cierpliwości, przyjacielu. Otóż uważano, że dokumenty dotyczące tak zwanej piątej wyprawy przepisał także Las Casas. Jest to również streszczenie, oparte na fragmentach dawno zaginionego logbuchu.

– Widziałeś te dokumenty?

– Tak, zawsze uważano je za rarytas. Posunąłem się nawet tak daleko, że porównałem dokument z oryginalnym manuskrytem Las Casas, który znajduje się w Bibliotece Narodowej w Madrycie. Znakomite fałszerstwo. Pomijając treść, byłbym na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewien, że pisał to Las Casas.

– Pamiętasz treść?

– Nie da się jej zapomnieć. Czyta się to jak jedną z fantastycznych opowieści o zaginionych miastach, popularnych w piętnastowiecznej Hiszpanii. Kolumb odbył czwartą i ostatnią wyprawę w tysiąc pięćset drugim roku. Wyruszył na nią po serii nieszczęść, rozczarowań i załamań nerwowych. Królewska para uważała go już wtedy za szaleńca, ale sądzili, że może odkryć coś przydatnego. Nadal był przekonany, że dotarł do Azji i że znajdzie olbrzymie ilości złota, a wyprawa podreperuje jego podupadłą reputację,

– I tak się stało?

– Wręcz odwrotnie! Czwarta wyprawa okazała się absolutnym, upokarzającym fiaskiem. Stracił cztery statki i utknął na Jamajce, chory na malarię i artretyzm. Skradziony dokument twierdzi jednak, że wrócił do Hiszpanii, potajemnie, za własne pieniądze. Wyposażył kolejny statek i wrócił do Nowego Świata, by dokonać ostatecznych poszukiwań niewyobraźalnego złoto skarbu, o którym słyszał podczas pierwszej wyprawy.

– Czy logbuch mówi, co się wydarzyło?

– By pozostawić czytelnika w niepewności, fałszerz zastosował bardzo sprytną technikę literacką. W pewnym momencie narrację przejmuje jeden z marynarzy, potem opowieść gwałtownie się kończy. Nie dowiadujemy się, czy statek spełnił swą misję. I czy w ogóle powrócił do Hiszpanii.

– Statek mógł oczywiście zaginać, a logbuch został znaleziony przez innych podróżników.

– Widzisz, jak fantastyczna jest ta opowieść.

– A jeśli cała historia nie jest zmyślona?

Znów rozległ się basowy śmiech.

– Dlaczego tak mówisz?

– Z kilku powodów. Po co ktoś miałby posuwać się do tak doskonałego fałszerstwa?

– Wyjaśnienie jest proste. Gdybyś chciał sprzedać komuś Most Brooklyński, ułatwiłoby ci to posiadanie aktu własności z licznymi oficjalnymi stemplami i podpisami.

– To przekonujący argument, Juan, ale gdybym znalazł człowieka na tyle głupiego, by zechciał dać mi pieniądze za coś, co ewidentnie do mnie nie należy, mógłbym akt własności podpisać sam i odejść z gotówką. Fałszowanie oficjalnych podpisów byłoby zbędną pracą.

– Myślę, że dokument Kolumba byłby prawdopodobnie poddany uważniejszym oględzinom niż hipotetyczny akt sprzedaży mostu.

– O to mi właśnie chodzi. Jak mówisz, dokument był znakomicie podrobiony. Używając tego samego porównania, gdybyś wiedział, że most jest własnością Brooklynu, żadne oficjalne dokumenty nie przekonałyby cię, że jest na sprzedaż. Nie potrzeba eksperta, by wiedzieć, że dokument Kolumba jest sfałszowany, skoro jest datowany po jego śmierci.

– Istnieje inna możliwość – stwierdził Ortega. – Las Casas mógł przepisać dokument, choć wiedział, że jest fałszywy.

– Dlaczego miałyby podejmować tak żmudną pracę, wiedząc, że to lewizna? Powiedziałeś, że starał się, by nie wyszły na jaw szaleństwa Kolumba. Czy ktoś o takim nastawieniu chciałby kolportować dokument, dowodzący, że ostatnie słowa Admirala to bełkot?

– Może Las Casas nie chciał, by ktokolwiek zobaczył ten dokument. Luis sprzedał go jednak, by wykupić się z więzienia albo dostać do sypialni jakiejś damy.

– Może, ale jest jeszcze jedna sprawa – odparł Perlmutter. – Ktoś zadał sobie trud, by go ukraść.

– Jak powiedziałem, to była ciekawostka.

– Na tyle interesująca, że warta ryzyka pójścia do więzienia?

– Rozumiem twój punkt widzenia, Julien. Nie umiałem tego wyjaśnić. Gdybym tylko miał oryginał logbuchu, z którego Las Casas przepiszywał...

– Czyli kolejna nie rozwiązana tajemnica Kolumba?

– Chyba tak. – Zapadła chwila ciszy. – Ocenisz sam, kiedy ci go przyślę.

– Słucham?

– List z podróży. Skopiowałem go i przetłumaczyłem na angielski w nadziei, że opowiem o nim na jakiejś konferencji. Jak widzisz, też fascynuje się dziwnymi i tajemniczymi sprawami.

– Może nie tylko o to chodzi, Juan. Może też miałeś wątpliwości, czy to naprawdę fałszerstwo.

– Możliwe, przyjacielu. Jak powiedziałem, to nadzwyczaj dobre fałszerstwo. Mam twój numer faksu, powinieneś mieć wszystko jeszcze dziś.

– Dziękuję. W rewanżu, za znakomity przepis na przepiórki, podzielę się z tobą przepisem na zupę z krewetek, który dał mi szef kuchni z Nowego Orleanu z ostrzeżeniem, że jeśli komukolwiek go zdradzę, rozetnie mnie wzdłuż i nadzieje jak homara. Musimy być dyskretni – chodzi o moje życie.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Julien. Niebezpieczeństwo poprawi doznania smakowe. Gdybyś jednak miał przedwcześnie odejść, życzę *bon appétit* w niebie.

– Tobie też *bon appétit, mi amigo*.

## 2 3

Faks zabuczał i zaczęły się wysuwać pierwsze strony napisanego starannie na maszynie tekstu. Zgodnie z obietnicą, Ortega przesłał kopię oryginału po kastylijsku. Perlmutter zrobił na biurku nieco miejsca, by położyć wydruk. Zaparzył sobie filiżankę cappuccino i zaczął czytać tekst, który mógł, ale nie musiał być napisany przez Krzysztofa Kolumba, i przepisany – choć nie na pewno – przez Las Casasa.

„23 maja, Roku Pańskiego 1506

Najwspanialszy, najznakomitszy i potężny Księżę, Królu Hiszpanii i wysp na Oceanie, nasz Suverenie, Wielce Szlachetny Panie!

Znów płynę do Indii, może by nigdy nie powrócić, jestem bowiem śmiertelny, stary i osłabiony chorobą, a droga jest ciężka i pełna niebezpieczeństw. Rozpoczynam podróż bez pozwolenia i błogosławieństwa Waszej Wysokości, ale na własny koszt, wykorzystawszy mój skromny majątek na wyposażenie samotnego statku „Niña”. Wiem, że nadaje się do tego przedsięwzięcia, służyła mi bowiem dobrze wiele razy od pierwszej wyprawy.

Nie płynę jako Wielki Admirał Mórz, ale – jak w pierwszej wyprawie – jako skromny marynarz, kapitan, który popłynął z Hiszpanii do Indii, by znaleźć nowe lądy i złoto dla Kastylii, za które Pan mój mógłby podjąć wyprawę do Ziemi Świętej, co zawsze było moim celem.

Opowieść moją zacząć jednak muszę cztery lata wcześniej. Jesteś, mój Suverenie, dobrze zaznajomiony z niedolami mej ostatniej wyprawy z roku tysiąc pięćset drugiego, kiedy po uwolnieniu mnie z łańcuchów i wybaczeniu mi mych błędów, dzięki dobroci i szczodrości Waszej, Panie, oraz mojej Królowej, znów okazano mi wielką łaskę, nadając mi szlachectwo i wysyłając z czterema statkami. Wiesz także, że w trakcie owej Wielkiej Wyprawy nasza flota przeżyła straszliwy sztorm i znalazła nowe lądy, które z pomocą Boga

przejąłem w imieniu Suwerenów, choć zachorowałem i nieraz stałem u wrót śmierci, dowodząc statkiem z niewielkiej kabiny, zbudowanej na mój rozkaz na pokładzie.

Była to najniezwyklejsza i najbardziej nieudana z moich wypraw. Nie znaleźliśmy przesmyku na zachód, którego szukaliśmy, a tubylcy nie witali nas jak poprzednio przyjaźnie, lecz strzałami i oszczepami. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, suchary zrobaczywiały, pogoda i wiatry były okrutne, ale nasz tonący statek dotarł w końcu do bezpiecznego portu, gdzie przebywaliśmy na brzegu rok i pięć dni w miejscu, którego nigdy nie spodziewałem się opuścić żywym aż do dnia, kiedy zostaliśmy ku naszej radości uratowani. Potem nastąpiło najgorsze pokonanie oceanu w całym moim życiu.

Bardziej jednak od sztormu, choroby czy grabieży tubylców dręczyła mnie myśl, że mimo wszelkich mych prób służenia Waszym Wysokościom z taką miłością i oddaniem, jakie dałbym z siebie, by znaleźć się w Bramach Raju, poniosłem porażkę w sprawach, które pozostawały poza granicami mojej wiedzy i możliwości. Gdy sporządzałem mapy nowych krajów, straciłem cztery statki i nie znalazłem złota i innych skarbów. Co najgorsze, moja Królowa, która była śmiertelna, pozostawiła swe królestwo bez herezji i nikczemności, by zostać godnie przyjęta przez Wiecznego Stwórcę.

Znam jeden tylko sposób, by pozbyć się smutku i przypodobać się memu Jaśnie Oświeconemu Księciu, a jest nim dotarcie do tego celu, który wymykał mi się w czasie poprzednich wypraw. Podczas długiego pobytu na tej najniezwyklejszej z wysp dostrzegłem, że to, czego tak długo szukałem, jest w zasięgu mojej ręki. Otrzymałem klucz, który otworzy skarbiec pełen złota, tak wspaniały, że wszystko, co przywieziono przedtem, choć nie było tego mało, wyda się drobną żebraczą monetą i da po wsze czasy Kastylii, Suwerenowi oraz Waszym następcom wielkość, na jaką zasługują.

Zostałem szczerze obdarowany złotem z moich wypraw i udziałem w dochodach z Hispanioli i wielce jestem wdzięczny za zatrudnienie mego najstarszego syna Diega w Królewskiej Gwardii, a młodego Fernanda jako paza. Mimo to porażka moja napawała mnie smutkiem. Spokój ogniska domowego nie jest dla marynarza, postanowiłem zatem znów wypłynąć na morze, może po raz ostatni, by spełnić obietnicę daną Waszej Wysokości oraz wypełnić mój obowiązek jako Wielkiego Admirała.

Spisałem w tym miesiącu ostatnią wolę, wyznaczając na mego spadkobiercę Diega, i z własnych pieniędzy wyposażyłem w tajemnicy statek „Niña”, wynająłem małą załogę z piętnastu zaufanych ludzi i wyruszyłem w nocy, tak jak w pierwszą i Największą Wyprawę z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku z Palos, a po zapadnięciu zmroku zmieniłem kierunek na Wyspy Kanaryjskie – kurs południowo-zachodni i południowo-południowo-zachodni”.

Perlmutter zrobił przerwę na łyk kawy. Ciekawe. Narrator wiedział, że Kolumb ze wszystkich swoich statków najbardziej lubił „Niñę”. Powszech-

nie wiadomo, jak bardzo męczy go to, że nie znalazł drogi do Chin. Z jednej z wypraw wrócił w kajdanach, oskarżony o to, że jako wicekról Hispanii dopuścił się niegospodarności. Stało się tak dlatego, by król, a zwłaszcza jego patronka, królowa Izabela wybaczyli mu i wyposażyli na czwartą, nieszczęsną wyprawę, niestosownie określaną jako „Wielka Wyprawa”. Do Kolumba, który naprawdę cierpiał z powodu pychy, pasowałaby chęć odpokutowania. Mogła nim też powodować obsesja znalezienia złota. Był tylko jeden problem, na który zwrócił uwagę Ortega – Kolumb zaczął pisać list trzy dni po dacie swojej śmierci. Do diabła...

Perlmutter czytał dalej. Choć dokument pisany był jako osobisty list, Kolumb-marynarz zrobił z niego książkę okrętową i zapisywał obserwacje dotyczące wiatru, stron świata oraz warunków pogodowych. Rejs przez Atlantyk był cukierkową powtórką pierwszej wyprawy. Statek złapał w okolicach Madery północno-wschodni pasat i dzięki temu po jednym przyjemnym dniu następował kolejny przyjemny dzień. Statek popychały łagodne bryzy i wszystko szło świetnie. Tak jak podczas pierwszego rejsu, wiatry były „bardzo łagodne, jak w kwietniu w Sewilli”.

Ciekawe. Perlmutter wiedział, że podczas pierwszej wyprawy Kolumb posługiwał się nawigacją zliczeniową. Innymi słowy, spisywał tabele wskazań kompasu oraz prędkości i na tej podstawie zaznaczał codzienną pozycję na mapie. Prędkość statku była mierzona za pomocą klepsydry, zwanej „logiem holenderskim”. Nawigator wrzucał do wody kawałek drewna i mówił rymowanek, by określić czas, w jakim pokona określony odcinek.

Podczas pierwszej wyprawy Kolumb nie musiał dokładnie nawigować, ponieważ jego głównym celem było utrzymywanie kierunku na zachód. Polegał na kompasie i na długoletnim doświadczeniu morskim. Nie ufał wskazaniom pierwowzoru sekstantu, zwanego kwadrantem. Z tego powodu Perlmuttera zainteresowało, że tym razem nie tylko wielokrotnie dokonywał wpisów dotyczących pokonanej odległości, ale także przeprowadzał częste obserwacje astronomiczne.

„25 maja Roku Pańskiego 1506

Dokonałem namiaru Gwiazdy Polarnej, utrzymujemy kierunek południowo-zachodni...

30 maja 1506

Utrzymujemy kurs południowo zachodni, według wyliczenia przy pomocy kwadrantu...”

Wyglądało na to, że Kolumb starał się płynąć precyzyjnie, bo wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Nie jak podczas pierwszej wyprawy, kiedy na podstawie dawnych map uznał, że wpadnie na wielki ląd, gdzie leżą Chiny albo Indie, a kilka stopni odchylenia w jedną czy w drugą stronę nie robi różnicy.

Kolejnym dowodem, że Kolumb płynął po z góry określonej trasie, były częste wzmianki o *torleta*.

Sterowałem mniej lub bardziej na południowy zachód, początkowo jednym kursem, potem drugim, wiatry bowiem były przeciwne, ale w dalszym ciągu robimy sześćdziesiąt sześć mil i żeglujemy według *torleta* starożytnych.

Perlmutter odłożył dokument na bok i z niezachwianą pewnością, kierując się sobie tylko znaną metodą zliczeniową, podszedł do zapchanej książkami półki i wyjął pracę o średniowiecznej nawigacji. Wiedział, że *torleta* oznacza *torleta del marteloio*, „tablicę dzwonu”, stół nawigacyjny, używany do zaznaczania codziennej pozycji. W dzwon uderzano za każdym obrotem godzinowej klepsydry. *Torleta* pochodziła z trzynastego wieku i była prototypem komputera analogowego, używanego do rozwiązywania zadań trygonometrycznych. Miała kształt siatki i za jej pomocą pilot rysował linię między początkiem a końcem dziennej trasy. Wkalkulowywał w to dane wynikające z obserwacji wiatru, prądów i dryfu, w sumie więc dokonywał oceny będącej opartym na konkretnych liczbach zgadywaniem.

Perlmuttera zdziwiło określenie: „*torleta* starożytnych”. Może wynikało ono z niedokładnego tłumaczenia i znaczyło jedynie, że chodzi o stare urządzenie – co miałoby sens, gdyby chodziło o przyrząd, będący na wyposażeniu „Niñy” od chwili jej zwodowania.

Czytał dalej. Kolumb gładko pokonał Atlantycką Oceanografię. Dwudziestego szóstego czerwca mijał od południa Hiszpanię, która w przyszłości miała podzielić się na Haiti i Republikę Dominikany ze stolicą w założonym przez Kolumba Santo Domingo. Perlmutter po raz kolejny stwierdził, jaki problem ma Ortega z dokumentem: Kolumb krążył po Antylach miesiąc po swojej śmierci. Uśmiechnął się do siebie. W chwili, kiedy opowieść stawała się naprawdę ciekawa, nie zamierzał popuścić sobie przyjemności wytykaniem drobnych formalnych nieścisłości.

Rozwinął na stole mapę Antyli, by na bieżąco śledzić kurs statku. „Niña” minęła Hiszpanię i Kubę, po czym popłynęła w kierunku Jamajki, gdzie Kolumb utknął podczas poprzedniej wyprawy. List wrócił do opisu tego nieśczęśliwego okresu.

Mój statek, kierując się na południe i zachód, minął Santo Domingo z dobrym północno-wschodnim wiatrem w żaglach w trzy dni. Kiedy byłem na tej wyspie cztery lata temu, opowiedziano mi o miejscu, zwanym Cigure i jego bogactwach. Kobiety noszą tam perły i korale, a domy są wyłożone cennym metalem. Tubylcy powiedzieli mi, że statki tamtejszych ludzi są wielkie, a mieszkańcy tego kraju noszą cenne ubrania i nawykli do wystawnego życia. Samorodki złota mają tam być tak wielkie i liczne jak ziarna fasoli.

A oto dowód na to, że Bóg wykorzystuje do wypełnienia Jego woli najlichsze stworzenia. Właśnie w tym obcym kraju, po przekroczeniu oceanu, gdy dotarłem dalej, niż ktokolwiek inny, statki płynące w Wielkiej Wyprawie rozpadły się z powodu zniszczeń poczynionych przez *toredo*, kornika drzewnego. Zostaliśmy unieruchomieni na brzegu ponad rok. W czasie uwięzienia na tej wyspie uchylona jednak została za-

słona mego poznania i dostrzegłem wyraźną ścieżkę dotarcia do bogactw, których przez wszystkie lata szukałem dla Kastylii.

Diego Mendez, brat jednego z moich kapitanów, wyruszył łodzią po pomoc do Hispanioli, która znajduje się pięćset mil stąd. Pod jego nieobecność Indianie, z którymi się zaprzyjaźnił, zmienili swe serca i odmówili zaopatrywania nas w żywność, jak było ustalone. Obawiałem się, że to zemsta Boga, kara za mój udział w śmierci pięciu, bo choć nie uniosłem ręki, oddałem ich Braciom.

Upadłem na kolana i zacząłem się modlić o przebaczenie i przyrzekłem, że odbędę wiele pielgrzymek do Ziemi Świętej oraz oddam Mu wszystko, co znalazłem. Wysłuchał mej modlitwy i przypomniał mi, że z mego egzemplarza Regiomontanusu wynika, iż nastąpi zaćmienie Księżyca. Powiedziałem Indianom i ich wodzowi, że mój Bóg jest z nich niezadowolony i sprawi, że Księżyc umrze. Kiedy Księżyc zniknął w cieniu, Indianie bardzo się przestraszyli i przynieśli zapasy. Ożywiłem więc Księżyc. Wódz był mi wdzięczny i powiedział, że aby ułagodzić mojego Boga, pokaże mi drogę do złota. Zabrał mnie na wschodni kraniec wyspy. Tu, w świątyni tak pięknej jak rzadko który pałac w Europie, pokazał mi „mówiący kamień”, z wrytymi w nim figurami, który, jak powiedział, wskazuje drogę do wielkich skarbów.

Perlmutter czytał w książce Ortegi o incydencie z zaćmieniem Księżyca. Świadczył on o głębokiej wiedzy Kolumba. Co jednak oznaczała dziwna wzmianka o „mówiącym kamieniu”?

Narrator miał podobne pytania.

Przez wiele tygodni zastanawiałem się, co to za dziwny kamień. Sądziłem, że to mapa wybrzeża, które odkryłem, ale szereg znaków i napisów nie chciało ujawnić swej tajemnicy. Po powrocie do Hiszpanii pokazałem kamień uczonym mężom, którzy stwierdzili, że to przyrząd nawigacyjny, ale nie rozumieli dziwnych napisów. Wreszcie prosty marynarz, tkwiący we mnie, zrozumiał. Była to *torleta*, używana przez starożytnych do odnajdywania drogi. Ponieważ kamień był nieporęczny, odrysowałem znaki z jego powierzchni i jak już mówiłem, wyruszyłem w piątą wyprawę, solennie sobie przyrzekając, że znajdę kogoś, kto zrozumie dziwne pismo.

Wyjaśniało to wzmiankę o *torleta* i starożytnych. Była to najwyraźniej kamienna płyta, duża i ciężka. Rzeźby na niej świadczyły, że służy do nawigacji. Ponieważ Kolumb nie mógł używać kamiennej płyty bez „instrukcji”, nie mogła to być mapa w konwencjonalnym sensie. List wracał do piątej wyprawy.

10 sierpnia

Płyniemy dalej na zachód, jak dotychczas sprzyjają nam dobre wiatry. Zaczumowaliśmy właśnie u brzegu. Dalej, niż dotarł człowiek. Tubyl-

cy, z którymi rozmawialiśmy, powiedzieli, że niedaleko jest więcej złota, niż można sobie wyobrazić. Chyba jestem blisko skarbu króla Salomona. Nie czuję się dobrze, znów podupadam na zdrowiu i osłabłem od gorąca i choroby, czuję jednak bliskość skarbu i kiedy wrócę z górą złota i kosztowności, poproszę Waszą Wysokość o zgodę na pielgrzymkę do Rzymu i Jerozolimy. Nie napiszę nic więcej, póki nie zdobędę złota...

Następny wpis nosił datę dwa dni późniejszą. Słowa skreślono pewniejszą ręką.

Admirał zniknął! Kiedy załoga wstała o świcie, stwierdziliśmy, że zniknęła mała łódka, a kabina Admirała jest pusta. Zniknęły także jego mapy. Posłałem na brzeg ludzi, by go szukali i znaleźli jego łódź. Zostali jednak odepchnięci na statek przez tubylców, którzy zasypali ich strzałami. Boję się więc, że Admirał nie żyje, zabity przez bezbożnych dzikich! Powinniśmy zaczekać w bezpiecznej odległości od brzegu, ale jeśli nie otrzymamy od niego znaku życia, będziemy musieli wkrótce podnieść kotwicę i popłynąć na Hiszpanię po pomoc. Niech Bóg błogosławi Wielkiego Admirała Mórz. Podpisane w dniu dzisiejszym przez Alonso Mendeza, pomocnika pilota.

Perlmutter w zamyśleniu pomasaował tłusty podbródek. W ostatnich godzinach życia Kolumb najwyraźniej miał halucynacje. Skarby króla Salomona! Ciekawe, u jakiego wybrzeża cumowała „Niña”. Popatrzył na mapę. Kurs na zachód od Jamajki zawiodłby Kolumba do Ameryki Środkowej. Gdzieś między meksykańskim półwyspem Jukatan a Belize. Może nawet Hondurasem, gdyby zboczył kilka stopni. Kiedy będzie miał więcej czasu, przeanalizuje wpisy w dzienniku pokładowym i sprawdzi, czy da się odtworzyć dokładnie kurs do samego celu.

Kolumb zabrał mapy, ale co się stało z kamieniem? Perlmutter pokręcił głową, rozbawiony tym, jak wciągnęła go opowieść. Zachowywał się tak, jakby dokument, który właśnie skończył czytać, był prawdziwy, choć z historycznego punktu widzenia mógł mieć znaczenie nie większe od ambitnej krzyżówki.

A jeśli jednak był prawdziwy?

Jaki mógł mieć związek ze współczesnym dramatem, o którym opowiadał Austin. Z ubranymi na czarno skrytobójcami, przemykającymi się nocą, by zabijać archeologów? Co to za dziwna wzmianka o „śmierci pięciu”? Kolumb najwyraźniej czuł się do tego stopnia winny z powodu uczestnictwa w owym incydencie, że uważał, iż przymusowy pobyt na brzegu to kara boska. Perlmutter postanowił przeczytać list jeszcze raz, na wypadek, gdyby coś przeoczył. Potem miał zamiar poszperać w swojej bibliotece.

Teraz jednak nadeszła kolej na przekąskę.

## 2 4

Na pokładzie samolotu do Cancún, który wystartował z Waszyngtonu wkrótce po spotkaniu w domu Zavali, panował nastrój radosnego oczekiwania. Kiedy pilot nalatywał nad lotnisko, pasażerowie wybierający się na wakacje wykręcali szyje, by popatrzeć na luksusowe hotele wzdłuż plaży, graniczącej z czystą niebieskozieloną wodą. Zapanowało nieopisane podniecenie. Paul Trout zdecydowanie wyróżniał się spośród rozentuzjazzmowanych turystów. Ubrany był w klasyczny szary garnitur i kwiecisty krawat. Poza tym jako jedyny miał pośpną minę. Wsadził nos w mapę Jukatana. Jego myśli krążyły wokół Gamay i dopiero kiedy poczuł, że samolot pochyla się, oderwał się od zajęć, by spojrzeć przez okno.

W ciągu kilku minut samolot był na ziemi. Trout oderwał się od strumienia pasażerów, płynącego ku czekającym autobusom hotelowym i ruszył w kierunku stanowiska niewielkiej linii czarterowej. Po chwili wpychał się w fotel obok pilota dwusilnikowego beechcrafta barona. Był jedynym pasażerem, a kabinę czteroosobowego samolotu zamieniono na ładownię.

Kiedy beechcraft wzniósł się w niebo, Trout podziękował w myśli specjalistom od planowania podróży z NUMA, którzy wykonali niesamowitą robotę, organizując mu transport. Znaleźli w krótkim czasie wolne miejsce w samolocie pasażerskim i załatwili natychmiast po lądowaniu kurs czarterowy. Beechcraft leciał do Campeche po grupę techników naftowych z Teksasu, którzy zamierzali spotkać się z żonami i dziewczynami w Cancún.

Pilot, gadatliwy Meksykanin około trzydziestki, dobrze mówił po angielsku i miał wiadomości z pierwszej ręki, w jakich barach w Cancún można spotkać najwięcej turystek. Poinformował, że lot powinien potrwać około godziny. Wkrótce jego głos zmieszał się z buczeniem silników. Niepokój Trouta o Gamay nie pozwolił mu spać w nocy, którą spędził w Tucson. Zamknął więc oczy i obudził się jedynie na chwilę, kiedy pilot powiedział, że

przelatują nad Chichén Itzá. Trout spojrzął w dół. Palec pilota wskazywał wielką czterospadzistą piramidę i boisko do gry w piłkę.

– To mniej więcej połowa drogi do Ciudad del Carmen – powiedział. Trout kiwnął głową. Zahipnotyzowany płaskim zielonym krajobrazem, który rozpościerał się po horyzont, znów zamknął oczy. Pilot lekko potrząsnął go za ramię. – Tam jest pański statek.

Smukły błękitny „Nereus” zakotwiczony między tankowcami i statkami rybackimi sprawił miły widok. Trout nie mógł uwierzyć, że zszedł ze statku i rozstał się z Gamay zaledwie kilka dni temu. Żałował teraz, że nie naciskał na jej przyjazd do Waszyngtonu. No, ale i tak by się nie zgodziła; bardzo zależało jej na spotkaniu z profesorem Chi.

Przed wylotem z Waszyngtonu zadzwonił do Muzeum Antropologicznego w Meksyku i porozmawiał z sekretarką Chi. Sprawdziła w kalendarzu profesora i potwierdziła, że planował spotkanie z Gamay. Profesor spędzał wiele czasu „na polu” i jeśli tak się akurat zdarzyło, że w pobliżu miał telefon, dzwonił, aby dowiedzieć się, czy są dla niego wiadomości. Nie robił tego jednak wedle określonego schematu. Najpewniej dałoby się go znaleźć w laboratorium.

Kiedy pilot czekał na zezwolenie na lądowanie, Trout poprosił o porozumienie się przez radio z ludźmi, którzy mieli wieść go dalej i przekazanie informacji, że już jest. Nie zamierzał marnować ani minuty na chłodzenie pięt w hali lotniska. Natychmiast po wylądowaniu wypadł z torbą w rękę na płytę i po hiszpańsku z nowoangielskim akcentem rzucił przez ramię serię *adios* i *gracias*.

W hali czekał na niego krępy mężczyzna w policyjnym mundurze i okularach słonecznych z lustrzanymi szklami.

– Doktor Trout? – spytał szczerząc w uśmiechu zęby. – Jestem sierżant Morales. Pracuję w meksykańskiej policji federalnej. *Federales*. Poproszono mnie, bym służył panu jako przewodnik.

Trout zadzwonił do znajomego w DEA. Agencja ds. Narkotyków była winna NUMA rewanż za kilka przysług i z przyjemnością pomogła, kiedy Trout poprosił o nawiązanie kontaktu z policją meksykańską.

– Miło mi pana poznać – odparł Trout i popatrzył na zegarek. – Jeśli jest pan gotów, to ja też.

– Robi się późno – odpowiedział policjant. – Zastanawiałem się, czy nie wolałby pan lecieć jutro.

Trout odpowiedział spokojnie, ale z jego poważnych brązowych oczu było zdecydowanie.

– Z całym szacunkiem, sierżancie, ale wiele trudu kosztowało mnie, by dostać się tu jak najszybciej i móc rozpocząć poszukiwania żony natychmiast po przybyciu.

– Oczywiście, *señor* Trout – odpowiedział policjant, kiwając ze zrozumieniem głową. – Zapewniam pana, że to nie *mañana*. Jedynie zdrowy

rozsądek. Ja też chciałbym odnaleźć pańską żonę. Niedługo będzie jednak ciemno.

- Ile zostało nam dnia?
- Godzina, może dwie.
- Przez dwie godziny można sporo obejrzeć – skomentował Trout. Morales zrozumiał, że nie zatrzyma wielkiego Amerykanina.
- *Bueno*, doktorze Trout. Helikopter stoi tam.

Bell 206 jetranger rozgrzewał silnik, łopaty wirnika i śmigło ogonowe obracały się powoli. Trout usiadł na trzyosobowej tylnej kanapie, Morales obok pilota. Kilka sekund później silnik z turbodoładowaniem zaskoczył i maszyna uniosła się nad asfalt. Helikopter skoczył w górę i w ciągu dwóch minut wznosił się na wysokość ponad tysiąca metrów. Polecieli szerokim łukiem nad wodą i skierowali się w głąb łądu, prowadzeni przez wijące się w kierunku interioru tory kolejowe.

Morales dawał pilotowi wskazówki, często zaglądał do rozłożonej mapy. Zostawili tory z boku i polecili wzdłuż wąskiej szosy, przebiegającej mniej więcej w kierunku wschód-zachód. Śmigłowiec utrzymywał wysokość i prędkość około dwustu kilometrów na godzinę, póki nie znaleźli się w głębi łądu. W gęstym lesie od czasu do czasu pojawiała się polana, na której ukazywały się wieś albo miasteczko. Było niewiele utwardzonych dróg. Kilkakrotnie minęli ruiny budowli Majów, jednak głównie lecieli nad płaskim dachem lasu, który Trout obserwował już podczas lotu z Cancún.

Maszyna weszła na bardziej południowy kurs. Morales był kompetentnym i bystrookim przewodnikiem. Rozpoznawał charakterystyczne punkty terenu i przekazywał pilotowi konieczne informacje. Trout z niepokojem obserwował zniżające się słońce.

- Jak to daleko? – spytał z nie skrywaną niecierpliwością.

Morales podniósł pięć palców. Dał znak pilotowi, dźgając jakiś punkt na mapie.

- *Aquí!*

Pilot skinął głową tak nieznacznie, że Trout nie wiedział, czy usłyszał Moralesa. Jednak helikopter zwolnił i zaczął zataczać szerokie koło, które przeszło w coraz ciaśniejszą spiralę.

Morales wskazał w dół. Przed oczami Trouta mignęła polana i jakiś kanciasty kształt. Oba obiekty po chwili zniknęły. Helikopter zatoczył kolejny krąg, zawisł nieruchomo i zaczął opadać. Cel znajdował się dokładnie pod nimi, więc Trout nie widział, gdzie lądują. Kiedy czubki drzew zaczęły się zbliżać, maszyna na chwilę przestała opadać. Pilot nagle zwiększył obroty i wystrzelili w bok jak przestraszona ważka.

Pilot i Morales wymienili się szybko wypowiedzianymi po hiszpańsku zdaniem.

- Co się stało? – Trout próbował przebić wzrokiem ścianę drzew.
- Nie ma miejsca. Obawia się, że łopaty uderzą w gałęzie.

Trout oparł się i skrzyżował ramiona, z rozczarowania wydał policzki. Pilot leciał powoli w bok, aż znaleźli się nad pustym odcinkiem prostej jak strzała drogi. Sprowadził maszynę w dół i delikatnie wylądował na kawałku trawy na poboczu. Kiedy wirujące łopaty zaczęły zwalniać, Trout i Morales wysiedli. Tuż obok miejsca lądowania widać było wiodącą w las ścieżkę.

– Prowadzi do domu profesora Chi. Musimy iść na piechotę.

Trout ruszył szybko przed siebie. Niższy od niego policjant podążył za nim, próbując dotrzymać mu kroku i nie stracić przy tym godności. Kiedy weszli w gęsty las, Trout zauważył głębokie koleiny, zrobione niedawno przez szeroko rozstawione grube opony. Morales stwierdził, że zawiadomił lokalną *policía* i kazał im zasięgnąć języka. Kilku miejscowych widziało, jak Chi przyjechał autobusem. Złapał go po wyjściu z lasu, gdzie polował, i wysiadł na drodze niedaleko domu. Przypomniano sobie, że czekał na niego dżip. To by się zgadzało. Gamay przyjechała z wybrzeża dżipem.

– Zna pan doktora Chi? – spytał Moralesa.

– *Sí, señor*: Spotkałem go kiedyś. Czasami muzeum prosi, bym dostarczył mu wiadomość. Jest *muy pacífico*. Dżentelmen. Zawsze chce mi smażyć tortillas.

Splecione nad ich głowami gałęzie drzew zrobiły się tak gęste, że czuli się jak w tunelu. Trout spróbował przebić się przez nie wzrokiem, by dostrzec słońce. Ciekawe, czy uda im się stąd wydostać? Może Morales miał rację, że powinni zaczekać do rana, kiedy będzie więcej światła.

– Dlaczego profesor Chi ma swoje laboratorium tak daleko? – spytał Trout. – Nie byłoby mu wygodniej w mieście albo we wsi?

– Zadałem mu to samo pytanie – odparł Morales z uśmiechem. – Odpowiedział, że się tu urodził. „Tu są moje korzenie”, powiedział. Rozumie pan to?

Trout bardzo dobrze rozumiał związek Chi z rodzinną ziemią. Jego własna rodzina ponad dwieście lat temu przeprowadziła się na Cape Cod. Kolejne pokolenia związały się z morzem. Jedni służyli jako latarnicy, inni byli ratownikami, jeszcze inni rybakami. Złożona z niskich, krytych srebrzystym gontem domów, osada, z której pochodził Trout, miała niemal dwieście lat. Przez cały ten czas dbano jednak o nią i wyglądała jak zbudowana wczoraj. Był dumny ze swego „słonego pochodzenia”. Wiedział wszakże, że jego związki z przeszłością są niczym w porównaniu z Majami, do których ten kraj należał wiele wieków przed przybyciem Hiszpanów.

Szli przez dwadzieścia minut. Las przerzedził się. Zobaczyli polanę. Prostokątny betonowy blok wyskoczył spomiędzy drzew. Zaskoczenie było tym większe, że Trout nie spodziewał się ujrzeć w odległym miejscu tak nowoczesnej, praktycznej budowli.

– Laboratorium profesora – powiedział Morales. Podszedł do drzwi i zapukał. Nie było odpowiedzi. – Wrócimy po sprawdzeniu chaty – zaproponował.

Chata mieszkalna z dachem pokrytymi liśćmi była podobna do wielu, jakie Trout widział na Jukatanie z powietrza. Bardziej zainteresował go zaparkowany obok dżip. Podbiegł do auta i przeszukał wewnątrz. Za osłoną przeciwsłoneczną zatknięty był plan, jak dotrzeć do posiadłości profesora Chi, obok tkwiła buteleczka z płynem do odstraszania owadów. Przeciągnął dłonią po kierownicy i desce rozdzielczej i poczuł delikatny zapach mleczka do ciała, którego używała Gamay.

Przeszukali dom, co ze względu na skąpe umeblowanie zajęło pięć minut. Trout stanął pośrodku klepiska i rozglądał się, z nadzieją, że odkryje trop, którego nie dostrzegł za pierwszym razem.

– Cóż, dzięki dżipowi wiemy, że tu dotarła.

– Mam pomysł – odparł Morales. Trout poszedł za nim do drugiej chaty, znajdującej się za budynkiem laboratorium. – To garaż profesora. Proszę zobaczyć – jego samochód zniknął.

– Stąd pewnie koleiny, które widziałem na skraju lasu. Czym jeździ?

– Wielkim samochodem. Jest jak dżip, ale taki... – Morales szeroko rozłożył ręce.

– Humvee?

– *Sí* – odparł z uśmiechem od ucha do ucha. – Humvee. Taki, jakiego ma amerykańska armia.

Wyglądało na to, że pojechali dokądś. Tylko dokąd?

– Może w laboratorium jest jakaś wiadomość? – spytał Trout.

Nawet bez włączonej klimatyzacji we wnętrzu budynku z bloków żużla było chłodniej niż na zewnątrz. Drzwi nie zamknięto, więc bez trudu weszli do środka. Trout popatrzył na nowoczesny sprzęt i pokręcił głową tak samo, jak zrobiła to poprzedniego dnia jego żona. Morales stał obok w pełnej szacunku postawie, jakby się bał, że zostanie przyłapany na myszkowaniu w cudzych rzeczach. Pomijając ogólny bałagan, wszystko zdawało się być w porządku.

Paul podszedł do zlewu. Na suszarce stały dwie szklanki.

– Wygląda na to, że coś pili.

Morales zajrzał do kosza na śmieci i znalazł puszki po seven-up. Rekonstruując wydarzenia, Trout uznał, że Gamay czekała przy drodze na profesora, razem tu przyjechali, zaspokoiли pragnienie i gdzieś pojechali. Zajrzał do lodówki i znalazł kuropatwy. Ptaki nie zostały oskubane ani wypatroszone. Chi miał zamiar wkrótce wrócić.

– Czy jest w pobliżu jakaś wieś, dokąd mogli się udać? – spytał Trout.

– Jest miasto, *sí*, ale tamtejsi ludzie zauważyliby profesora Chi w jego wielkim samochodzie. *Nada*.

Trout obejrzał mapy na ścianie. Wyglądało na to, że jednej brakuje. Podszedł do stołu i zaczął przeglądać papiery. Tylko chwilę zajęło mu znalezienie mapy i stwierdzenie, że dziury po pineskach pasują do otworków w ścianie. Chi mógł ją zdjąć, by coś pokazać Gamay. Mapa mogła jednak leżeć na stole od tygodni. Pokazał ją Moralesowi.

– Wie pan, gdzie to jest?

Sierżant obejrzał mapę.

– Na południe, w kierunku Campeche. Jakies sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Może trochę więcej.

– Co tam jest?

– Nic. Las. To tuż obok rezerwatu. Nikt tam nie jeździ.

Trout postukał w mapę.

– Ktoś tam jednak jeździ. Podejrzewam, że Chi. Helikopter może nas tam zawieźć w ciągu godziny.

– Przykro mi, *señor*, ale zanim dojdziemy do helikoptera, będzie już ciemno.

Morales miał rację. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się wyjść z lasu. Kiedy dotrą do śmigłowca, zapadnie czarna noc. Trouta skreślało na myśl, że Gamay spędzi kolejną noc gdzieś na pustkowiu. Kiedy helikopter wzniosł się nad drzewa, zaczął rozmyślać nad innymi możliwościami. Może Gamay i Chi dokądś dotarli i siedzą teraz spokojnie przy kolacji. Istniały także mniej ciekawe scenariusze. Wypadek. Nie, Gamay nie była skłonna do wypadków i zbyt rozsądna. Stała pewnie na ziemi.

Trout musiał jednak przyznać, że nawet najpewniej stojąca na ziemi osoba przynajmniej raz w życiu popełnia błąd. Miał nadzieję, że to nie kolej na Gamay.

## 2 5

Sierżant Morales znalazł Troutowi pokój w niewielkim hotelu przy lotnisku. Trout leżał na łóżku, godzinami wpatrywał się w wentylator pod sufitem i zastanawiał, co robi Gamay. W końcu zapadł w krótki, płytki sen. Obudził się o brzasku i wziął prysznic, który okazał się bardzo odświeżający; nie było ciepłej wody. Chodził już jakiś czas po pasie startowym, kiedy wraz z jutrzenką na niebie pojawili się pilot i sierżant.

Helikopter poleciał według mapy Chi – prosto i z maksymalną prędkością, na wysokości pięciuset metrów. Las rozciągał się w dole jak puszysty zielony dywan. Po przybyciu na miejsce, pilot zwolnił i opadł tuż nad wierzchołki drzew. Jetranger znakomicie spełniał funkcję, do której został pierwotnie zaprojektowany: obserwację. Trout siedzący z przodu zauważył strukturalną różnicę w zieleni i poprosił pilota o nawrót. Morales dostrzegł ledwie widoczne granice prostokątnej polany. Po kilku przelotach pilot uznał, że wyczuwa teren i jetranger wylądował mniej więcej w centrum polany.

Paulowi wystarczyło trzydzieści sekund, by uznać, że to zapomniane przez Boga miejsce wcale mu się nie podoba. Ni cholery! Nie chodziło o położenie. Dziwaczne pagórki i otaczający polanę las, który był czarny nawet w świetle dnia. Czaiło się tutaj coś groźnego. Gdy był chłopakiem, czuł takie samo mrowienie skóry na głowie, kiedy przechodził obok opuszczonego domu marynarza, który podczas szturu na Morzu Sargasowym zjadł swoich towarzyszy.

Może Gamay nigdy tu nie było – pomyślał, rozglądając się po wyludnionym miejscu. Jedyne wskazówki to mapa profesora Chi i niejasne podejrzenie, że właśnie tu się udali. Mógł przylecieć na próżno, a Gamay czekała na pomoc całkiem gdzie indziej. NIE! Zacisnął szczęki. To na pewno było tutaj. Czuł to w kościach jak stary marynarz, który przewiduje nadejście sztormu.

Policjant zaproponował, by rozeszli się w trzech kierunkach i – o ile to możliwe – utrzymywali kontakt wzrokowy. Gdy dojdą do skrajów lasu, za-

wrócą do helikoptera. Pół godziny później zeszli się z powrotem. Morales właśnie zamierzał coś powiedzieć, kiedy jego czujny wzrok padł na dowód niedawnej wizyty.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć.

– Proszę popatrzyć na połamaną trawę. Tu... i tutaj. – Przekrzywił głowę. – Tu, gdzie jest dość światła, widać odciski stóp.

Trout pomyślał, że nie chciałby mieć Moralesa na swoim tropie i przyjrzał się śladom tak jak sierżant. Dostrzegł na ziemi odciski stóp. Sierżant kazał pilotowi wracać do helikoptera i nie ruszać się. Poranne słońce dawało już do zrozumienia, jaki za kilka godzin będzie upał. Ruszyli – Morales z przodu – i wkrótce dotarli do pagórka, który został na tyle oczyszczony z roślinności, że z jednej strony widoczne były kamienne bloki.

U podstawy konstrukcji zauważyli czerwonawą plamę. Rozgorączkowany Trout, chcąc lepiej przyjrzeć się znalezisku, zignorował ostrzeżenie sierżanta, by nie podchodzić. Minął go, podszedł do pagórka i ujrzał znoszony brunatny plecak firmy L.L.Bean, który dał Gamay w prezencie gwiazdkowym dwa lata wcześniej. Z rosnącym podnieceniem zaczął w nim grzebać. Znalazł aparat fotograficzny, notesy, kilka plastikowych torebek śniadaniowych, puste puszki po wodzie sodowej i butelkę wody. Niedaleko leżał drugi pakunek, zrobiony z jasnobrazowego płótna. Trout podniósł oba bagaże, by pokazać je Moralesowi.

– Ten plecak należy do mojej żony – powiedział triumfalnie Trout. – Na tym drugim jest przywieszka z nazwiskiem profesora Chi.

Morales obejrzał plecak uczonego. Zachmurzył się.

– To niedobrze – stwierdził.

– Jak to: „niedobrze”? To dowodzi, że tu byli.

– Nie rozumie pan, *señor* Trout – powiedział Morales, rozglądając się ukradkiem. – Znalazłem ognisko i ślady wielu *chiclero*. – Widząc, że Trout jeszcze nie pojmuje, dodał: – To źli ludzie, którzy rabują antyki na sprzedaż.

– Co to ma wspólnego z moją żoną i profesorem?

– Węgle są jeszcze ciepłe. Przy rzece widać ślady wielu ludzi. Znalazłem także to. – Otworzył dłoń, by pokazać trzy wystrzelone łuski.

– Gdzie je pan znalazł?

Oczy Trouta podążyły za wyciągniętym palcem policjanta, po czym znów popatrzył na miejsce, gdzie znaleźli plecaki, jakby chciał przeciągnąć linię łączącą oba punkty. Nagle zauważył niezwykle rysunki na ścianie, przy której stali. Podszedł bliżej i przyjrzał się wyrzeźbionym w kamieniu statkom i postaciom. Podejrzewał, że Gamay i profesor poszli zjeść obiad, po czym wrócili tutaj. Gamay z pewnością zaintrygowały dziwne rzeźbienia. Coś musiało im jednak przeszkodzić. – Zwrócił się do Moralesa:

– Sądzi pan, że moja żona i profesor wpadli na tych... *chicleros*?

– *Sí* – odparł policjant, wruszając ramionami. – To możliwe. Dlaczego miałby zostawiać bagaże?

– Tak samo pomyślałem, sierżancie. Gdzie pan znalazł te łuski?

– Tam – powiedział Morales i kiwnął głową. – Proszę iść ostrożnie. Tu wszędzie są dziury w ziemi.

Ruszyli powoli przez polanę. Było na niej znacznie więcej tajemniczych wzniesień, niż można przypuszczać. Jeśli pod każdym znajdowała się kamienna konstrukcja, kiedyś musiało to być spore miasteczko.

– Tędy – powiedział Morales. – I tędy.

Trout dostrzegł migoczący w trawie mosiądz i podniósł kolejne łuski, z pistoletu i z karabinu. Trawa była zdeptana. Ścisnął w wielkiej dłoni metalowe cylindry, jakby chciał je zmiażdżyć.

– Mogę teraz spojrzeć na ognisko i rzekę?

Zbadali obozowisko i znaleźli kilka butelek po tequili oraz sporo niedopałków. Między drzewami leżały inne łuski. Na brzegu rzeki Trout zaczął szukać odcisków stóp Gamay. Niestety, błoto było zbyt rozdeptane. Znalazł tylko ślady świadczące o tym, że wciągnano na brzeg łodzie oraz jeszcze więcej łusek. To miejsce wyglądało jak strzelnica! Trout nie tracił jednak nadziei. Łuski dowodziły, że ktoś uzbrojony w karabiny i pistolety gonił kogoś innego w kierunku rzeki. To zła wiadomość. Fakt, że z brzegu strzelano w głębi, wskazywał, że Gamay i profesor mogli się wymknąć pogoni.

Trout zaproponował, by polecili wzdłuż rzeki płynącej wśród drzew. Morales zaakceptował pomysł. Ruszyli w kierunku helikoptera i w połowie drogi usłyszeli jęk. Zamarli i wymienili się spojrzeniami. Morales wyciągnął pistolet. Nasłuchiwali. W powietrzu słychać było tylko bzykanie owadów.

Jęk powtórzył się – trochę z prawej. Trout zaczął ostrożnie szukać źródła dźwięku. Morales osłaniał. Głos zdawał się dolatywać spod ziemi. Trout spojrzął w dół. Tuż pod jego nogami, zasłonięta częściowo trawą, ziała czarna dziura. Ukląkł na jej brzegu, niczego jednak nie zobaczył w czeluści.

Choć czuł się nieco głupio, że rozmawia z ziemią, spytał:

– Jest tam kto?

Znów dał się słyszeć jęk, a następnie potok hiszpańskich słów wypowiedzianych cichym głosem.

Morales ukląkł obok i słuchał przez chwilę.

– Mężczyzna. Mówi, że wpadł do dziury.

– To dziwne miejsce jak na spacer po lesie – stwierdził Trout. – Wyciągnijmy go.

Poszedł do helikoptera i wygrzebał w skrzynce z zestawem ratunkowym nylonową linę. Zrobił na końcu pętlę i wrzucił ją do dziury. Potem we trzech – z pilotem i Moralem – zaczęli ciągnąć. W otworze pojawiła się najpierw głowa, a później ramiona godnej pożałowania postaci. Rzadką brodę mężczyzny i długie, tłuste włosy pokrywał szary pył. Biel źle dopasowanego ubrania była dalekim wspomnieniem. Mężczyzna usiadł na ziemi i zaczął się drapać na zmianę to po rękach, to po nogach, to po głowie. Miał siny nos.

Policjant podał mu butelkę z wodą. Mężczyzna zaczął głośno pić, więcej rozlewał sobie po brodzie. Pokrzepiony, wyszczerzył w krzywym uśmiechu żółte zęby i przyłożył menażkę do ust, by upić kolejny łyk. Kiedy uniósł rękę, mankiet rękawa zsunął mu się do łokcia.

Trout kopnął butelkę jak piłkarz. Poleciała w trawę. Wielka dłoń wystrzeliła do przodu i złapała owłosiony nadgarstek mężczyzny. Nawet Morales był zaskoczony nieoczekiwanym atakiem.

– *Señor Trout!*

– To zegarek mojej żony. – Trout ściągnął Żółtym Zębom zegarek z przegubu.

– Jest pan pewien?

– Dałem go jej. – W zwykle spokojnych oczach błysnęła złość. – Niech pan spyta, skąd go ma.

Morales zapytał po hiszpańsku i przetłumaczył odpowiedź.

– Mówi, że go kupił.

Trout nie miał ochoty na zabawę.

– Niech mu pan powie, że jeśli nie zacznie mówić prawdy, wrzucimy go z powrotem do tej dziury i pójdziemy sobie.

Uśmiech zniknął z twarzy Żółtych Zębów. Groźba wrzucenia do studni wyzwoliła potok słów.

Morales słuchał, po czym kiwnął głową.

– On zwariował. Nazywa się Ruiz. Ciągłe powtarza coś o kobiecie-diablicy i karle, który sprawił, że ziemia go połknęła.

– Kobiecie-diablicy?

– *Sí*. To ona złamała mu nos.

– Co się stało z tą kobietą?

– Nie wie. Był w dziurze. Słyszał mnóstwo strzałów. Potem była cisza. Jego przyjaciele zostawili go. Spytałem, czy ci *amigos* to *chicleros*. Mówi, że nie. – Morales uśmiechnął się bez radości. – Śmierdzący łgarz.

– Niech mu pan powie, że jeśli nie dowiem się prawdy, wsadzimy go w helikopter i zrzucimy na ziemię.

Żółte Zęby popatrzył na twardą jak granit twarz gigantycznego gringo i uznał, że gość nie żartuje.

– Nie! – wrzasnął. – Będę mówić. Będę mówić.

– Znasz angielski.

– *Poco* – odparł mężczyzna, rozsuwając kciuk i palec wskazujący.

Łamaną angielszczyzną, używając hiszpańskich słów, kiedy nie umiał znaleźć odpowiednika, Ruiz przyznał się, że należy do gangu *chicleros* i przyszli tu rabować zabytki. Złapali kobietę i małego mężczyznę i zamknęli ich pod ziemią, skąd nie było wyjścia. Tamci jakoś wyleźli spod ziemi i wrzucili go do dziury. Pozostali *chicleros* zaczęli ich gonić. Nie wrócili po niego. Nie wie, co się stało z kobietą i mężczyzną.

Trout zastanowił się nad opowieścią.

– Dobra, bierzemy go do helikoptera.

Ostrożnie, tak by go nie dotykać, Morales skuł Żółte Zęby, po czym dał bandycie czubkiem buta do zrozumienia, że ma wstać. Wepchnęli go na tylne siedzenie. Policjant usiadł obok. Bandzior tak śmierdział, że pilot zaczął się krzywić. Morales roześmiał się i odpowiedział, że jeśli smród zrobi się nie do wytrzymania, wyrzuci więźnia z maszyny. Ruiz nie uznał tego za dowcip i kiedy helikopter zaczął się wznosić, oczy o mało nie wylazły mu na wierzch ze strachu. Z jego strony nie należało się spodziewać trudności. Okrążyli kilka razy polanę, po czym wypatrzyli rzekę. Była ledwie widoczna przez gałęzie drzew, ale dzięki trzem parom oczu mogli odnaleźć drogę.

Trout czekał na chwilę, gdy zdradzi Gamay jej nowy przydomek. Kobieta-diablica. Miał nadzieję, że jeszcze żyje i zdoła się o nim dowiedzieć.

Buczenie starożytnego silnika było tak ciche, że Gamay usłyszała helikopter dopiero, gdy znalazł się niemal nad ich głowami. Nawet w tym momencie o przybyciu gości powiedziała jej uniesiona w górę głowa Chi. Pchnęła rumpel i skierowała łódkę w stronę brzegu. Po chwili uderzyli w zarosniętą trawą ziemię pod ochronnym parasolem zwisających nisko gałęzi. Przez gęste liście łódka musiała być z góry niemal niewidoczna. Gamay postanowiła się dodatkowo zabezpieczyć i wciągnęła łódkę w wielki krzew paproci. Nie chciała, by poranne słońce odbiło się od aluminiowej powłoki.

Chwilę później powietrze nad ich głowami wypełnił klekot łopata wirnika. Kiedy helikopter muskał szczyty drzew, przez dziury w gęstym listowiu widać było błyszczący czerwono-biały kadłub. Gamay nigdy nie przyszłoby do głowy, że w kilka godzin po jej zaginięciu, mąż wrócił na Jukatán, przejął dowództwo helikoptera i latał kilkadziesiąt metrów nad jej głową. Od przybycia tutaj niemal wyrwano jej włosy, grożono gwałtem, uwięziono w jaskini, by tam umarła. Pełzła ciemnymi i praktycznie pozbawionymi powietrza tunelami, używano jej jako tarczy strzelniczej. Hipoteza, że ludzie, którzy tak ją traktowali, sprowadzili wsparcie powietrzne nasuwała się sama. Kiedy odgłos helikoptera zaczął niknąć w oddali, westchnęła z ulgą. Znowu wpłyli na rzekę.

Po pozbyciu się Żółtych Zębów Gamay i Chi pognali w kierunku drzew, klucząc wśród latających wokół kul, po czym zbiegli zboczem w dół, ku rzece. Znaleźli trzy aluminiowe łodzie, przywiązane obok siebie. Dwie puścili z prądem, w trzecią wsiedli. Uruchomili zaburtowy silnik i zaczęli uciekać w bezpieczne miejsce.

Przez cały dzień płynęli spokojnie. Spędzili noc przy brzegu i wcześniej rano ruszyli dalej. Helikopter przypominał im, że udana ucieczka i podróż uspiły ich czujność i dały fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Teraz uważnie

przyglądali się niebu. Gamay sterowała tak, by płynąć blisko brzegu. Helikopter nie pokazał się więcej, za to śruba wkręciła się w roślinność. Musieli wyciągnąć łódkę na brzeg, by oczyścić ją z wodorostów. Nie opóźniło to jazdy o więcej niż dwie, może trzy minuty. Ale przy próbie ponownego zapalenia, silnik nie chciał zaskoczyć. Gamay nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Antyczny piętnastokonny mercury w zniszczonej obudowie nie wyglądał dobrze, ale przed wyłączeniem pracował jak należy. Próbowwała dojść przyczyny problemu, kiedy usłyszeli dochodzącą z góry rzeki hiszpańską mowę.

Pomyślała, że nie ma na świecie nic bardziej frustrującego od popsutego silnika zaburtowego, zwłaszcza gdy krnąbrny kawał żelastwa jest wszystkim, co dzieli człowieka od katastrofy. Oparła stopę o poprzeczkę. Z nadzieją, że uda jej się ułagodzić zamieszkującego maszynę złośliwego ducha, uprzejmie się uśmiechnęła, szepnęła: „Proszę”, i z całej siły pociągnęła za linkę startera.

Silnik zareagował słabowitym pyr, pyr, astmatycznym kaszlnięciem, mokrym westchnieniem, na koniec ciszą. Przerwał ją wrzask bólu Gamay, która opadła bezsilnie do tyłu, raniąc sobie kostki o twarde metalowe krzeselku. Wyrzuciła z siebie strumień przekleństw, które zatrzęsły powietrzem. Wzywała furie do zemsty na wszystkich głupich, upartych maszynach tego świata. Profesor Chi stał na dziobie i trzymał za zwisającą gałąź, by łódka nie zdryfowała z leniwym prądem, póki Gamay majstruje przy silniku. Pot skapywał jej z brody. Z zaciśniętymi ze złości ustami i podobnymi do węży zwojami ciemnorudych włosów, otaczających twarz, mogłaby stać się modelem starożytnej greckiej rzeźby Meduzy. Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że wygląda jak Gorgona. Urodę trzeba odłożyć na później.

Prymitywna próba unieszkodliwienia łodzi prześladowców najwyraźniej się nie udała. Nie mogli wiedzieć, że spuszczenie ich na wodę to za mało. Jedna zaplątała się w korzeń, a druga podpłynęła sama do brzegu. Teraz pierwsza z tych łodzi wypływała zza zakrętu, zaraz za nią płynęła druga. W każdej łodzi siedziało czterech mężczyzn, wśród nich tych dwu, którzy mogli dublować Pancha i Elvisa. Pancho dowodził pogonią. Stał na dziobie pierwszej łódki i wymachiwał pistoletem. Jego wrzaski świadczyły o tym, że dostrzegł zwierzynę.

Łodzie zbliżały się. Gamay wyciągnęła plastikowy uchwyt ssania i ponownie pociągnęła za linkę. Silnik kaszlnął, a kiedy podregulowała przepustnicę, zaskoczył. Odepchnęli się i wypłynęli na rzekę, na środek, gdzie było najgłębiej, choć tu najłatwiej było ich upolować. Gamay spojrzała za siebie. Pierwsza z łodzi zostawiła drugą w tyle. Zbliżała się centymetr po centymetrze, jak na zwolnionym filmie. Było jasne, że niebawem zbliży się na tyle, by kłęczący na dziobie ludzie z karabinami mogli się dostać do uciekinierów.

Z jednej z łuf poleciał dym. Pancho kilka razy szybko wystrzelił – bardziej dla efektu, niż żeby trafić. Albo miał źle ustawiony celownik, albo byli

poza zasięgiem kul, bowiem pociski nie doleciały nawet w ich pobliże. Po-tem stracili prześladowców z oczu za zakrętem. Pozostawało jedynie sprawa czasu, kiedy ich dopadną.

Trzask!

Gamay gwałtownie odwróciła się. Chi znalazł na dnie łodzi swą wierną maczetę i ściał nią wielką gałąź, która zwieszała się nisko nad wodą. Znów błysnęła stal. Do wody wpadła kolejna gałąź. Chi machał maczetą jak szaleniec. Po obu stronach łodzi padały gałęzie, splatały się i płynęły z prądem. Zaimprovizowane pływające zasieki zatrzymały się na płyciźnie rzeki.

Pogoń wypłynęła zza zakrętu z pełną prędkością. Sternik pierwszej łodzi zauważył splątane gałęzie dopiero wtedy, kiedy było za późno. Próbował skrócić, ale w efekcie uderzył w blokadę bokiem. Jeden z *chiclero* wychylił się, by odepchnąć łódź. Uznał, że Newton miał rację, twierdząc, iż każda akcja pociąga za sobą reakcję. Jego ciało rozciągnęło się między łodzią a gałęziami. Wpadł z pluskiem do wody. Kiedy druga łódź z hukiem uderzyła w pierwszą, rozległy się krzyki. Wystrzelił karabin, posyłając kulę w las. Niebo pociemniało od chmury rozkrzyczanych, piszczących, przestraszonych ptaków.

– Tak jest! – triumfalnie wrzasnęła Gamay. – Znakomity pomysł, profesorze.

Uśmiech na zwykle pokerowej twarzy Chi świadczył, że jest zadowolony zarówno z efektu swych wysiłków, jak i z pochwały.

– Wiedziałem, że studia na Harvardzie któregoś dnia do czegoś się przydadzą – powiedział skromnie.

Gamay uśmiechnęła się i pchnęła rumpel, by nie otarli się burtą o brzeg. Była daleka od optymizmu. Po chwili uniesienia znów wróciła myśl, że nie ma zielonego pojęcia, dokąd płyną, ani czy mają dość paliwa, by się tam dostać. Sprawdziła bak. Był w połowie pełny. W pesymistycznej wersji – do połowy pusty. Być może w niepewnej sytuacji byłby to roztropniejszy sposób myślenia.

Po pospiesznej naradzie postanowili przez jakiś czas maksymalnie przyspieszyć, by oddalić się od prześladowców, a potem poddać się prądowi.

– Nie chciałabym przypominać o naszym kłopotliwym położeniu, profesorze, ale czy wie pan, dokąd płynie ta rzeka?

Profesor pokręcił głową.

– Nie ma jej nawet na mapie. Podejrzewam, że płyniemy na południe, po prostu dlatego, że jak sama pani zauważyła, na północy nie ma wielu rzek.

– Mówi się, że jeśli człowiek się zgubi, podążanie wzdłuż rzeki prędzej czy później doprowadzi go do cywilizacji – powiedziała bez przekonania Gamay.

– Słyszałem o tym. I że mech rośnie po północnej stronie pnia. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że mech rośnie wokół całego pnia. Zapewne była pani skautką?

– Zawsze wolałam bawić się z chłopakami. Skończyłam ma zuchach. Jedyną pracą w drewnie, jaką pamiętam, było przycinanie patyczków do przypiekania nad ogniskiem słazowych ciagutek.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy taka umiejętność może się przydać. Z drugiej strony wcale mi się nie pali do spotkania z cywilizacją. Zwłaszcza jeśli pojawi się pod postacią kolejnych *chicleros*.

– A istnieje taka możliwość?

– Ci, którzy nas gonią, nadeszli po tym, jak wsadzono nas do jaskini. Oznacza to, że przybyli z niedaleka. Może z obozu-bazy.

– Mogli akurat płynąć w górę rzeki, kiedy wpadliśmy na ich kołesi.

– Bez względu na to, najlepiej będzie, jeśli przygotujemy się na najgorsze – że możemy dostać się między dwie wrogie grupy.

Gamay uniosła wzrok ku płomom błękitnego nieba, przezierającego między liśćmi.

– Sądzę pan, że helikopter należał do bandy?

– Możliwe, choć doświadczenie mówi, że złodzieje są zwykle słabo wyposażeni technicznie. Wykopywanie starożytnych przedmiotów i przewożenie ich przez las nie wymaga skomplikowanego sprzętu. Jak sama pani widziała, z łatwością uciekliśmy helikopterowi – im prostszy sprzęt, tym lepszy.

– Pomogła nam przyroda. Dopływamy jednak do bardziej odsoniętej okolicy i może warto się zastanowić, co robić, gdyby wrócił. – Gamay zgasiła silnik. – Podryfujmy chwilę. Jeśli nie będzie nam ciągle terkotało w uszach, wymyślimy coś mądrego.

Przy zgaszonym silniku podróż przypominała idyllę. W nieprzeniknionej zieleni raz za razem migały jaskrawe pióra; czuli się, jakby dotykali natury. Wysokie brzegi po obu stronach rzeki świadczyły, że była to stara droga wodna, która od dawna wycinała sobie koryto w wapieniu. Jakby mając na względzie swój podeszły wiek, rzeka wiała się przez las powoli, ale woda nigdzie nie stała. W słońcu jej powierzchnia miała kolor sukna na bilardowym stole, w cieniu – szpinaku. Przyroda straciła wkrótce cały urok, bowiem kiszki Gamay zagrały marsza. Uprzymomniła sobie, że nie jadła nic od poprzedniego dnia i żałowała, że nie zrobili więcej kanapek z mielonką. Chi odparł, że zobaczy, co da się zrobić. Kazał jej podpłynąć do brzegu i ścierać maczetą krzew z jakimiś owocami. Okazały się cierpkie, ale sycące. Rzekę pokrywała warstwa zielonych alg, ale po ich odgarnięciu woda była czysta i znakomita do picia.

Idyllę zakończyło wycie zbliżających się silników.

Łodzie były o kilkaset metrów za nimi. Znów jedna wysforowała się przed drugą. Gamay uruchomiła silnik i dała pełną moc.

Znajdowali się na prostym, stosunkowo szerokim fragmencie rzeki i żadne sztuczki nie były możliwe. Łódź pościgowa przybliżała się powoli. Za kilka minut znajdą się w zasięgu strzału z karabinu. Łodzie doganiały

ich – odległość zmniejszyła się o jedną trzecią, potem o połowę. Gamay nic nie rozumiała – *chicleros* nie podnosili broni. Wyglądali, jakby byli na wycieczce.

– Doktor Gamay! – krzyknął Chi.

Odwróciła się. Profesor stał na dziobie. Wpatrywał się prosto przed siebie. Z oddali dolatywał cichy łoskot.

– Co to jest? – spytała.

– Progi!

Choć Gamay nie tknęła przepustnicy, łódź zaczęła przyspieszać. Powietrze nieco się ochłodziło. Unosił się w nim wilgotny opar. W ciągu kilkunastu sekund cichy łoskot zamienił się w ryk, a przez wiszącą nad wodą mgłą można było dostrzec białą pianę i ostre występy czarnych, błyszczących skał. Gamay pomyślała o płaskim dnie łodzi i oczami wyobraźni ujrzała tnący cienkie aluminium otwieracz do konserw. Rzeka zwęziła się, tony wody, wepchnięte w naturalny wlot zmieniły się z leniwego strumienia w szalejący wodospad.

Gamay popatrzyła do tyłu. Łodzie przerwały pogoń i krążyły po rzece. Prześladowcy najwyraźniej wiedzieli o progach. Dlatego nie strzelali. Po co marnować amunicję?

– Nigdy w życiu tędy nie przepłyniemy! – Gamay starała się przekrzyknąć rozrywający uszy grzmot. – Płynę do brzegu. Będziemy musieli pobiec do lasu.

Przełożyła rumpel i łódź skrzyła w stronę brzegu. Trzydzieści metrów od celu silnik kaszlnął i stanął. Próbowwała ponownie go uruchomić, ale nie udało się. Szybko odkręciła kurek baku – pozostały w nim tylko opary.

Profesor Chi złapał jedyne na pokładzie wiosło i próbował dobić do brzegu. Prąd był zbyt silny i wyrwał mu wiosło z rąk. Łódź przyspieszyła i zaczęła wirować. Gamay bezradnie obserwowała, jak nurt ściąga aluminiową skorupę niczym wykałaczkę w kierunku przypominających ostre kły skał i kipiącej piany.

Trout wpadł na pomysł, by polecieć z powrotem wzdłuż rzeki. Chwilę przedtem pilot stuknął palcem we wskaźnik paliwa i w tarczę zegarka. Gest był jednoznaczny – zaczynała się kończyć benzyna i musieli wracać.

Trout nauczył się dokładności jako młody chłopak, kiedy pracował z wujem Henrym. Wuj, świetny rzemieślnik, jeszcze długo po tym, jak stały się modne plastikowe łodzie, budował dla okolicznych rybaków kutry z drewna. „Mierz dwa razy, tnij raz” – mówił Henry między dwoma pyknięciami starej fajki. Innymi słowami: cokolwiek robisz, rób to dokładnie. Nawet po wielu latach Trout przed każdą skomplikowaną pracą przy komputerze słyssał w uchu szept wuja.

Najlepszym rozwiązaniem, sugerowanym przez Moralesa, był powrót z biegiem rzeki. Tym razem powoli, na wypadek, gdyby za pierwszym prze-

lotem coś przeoczyli. Polecieli dość wolno poniżej pułapu pięćdziesięciu metrów, a kiedy rzeka była szersza, schodzili jeszcze niżej. Jetranger został zaprojektowany jako lekki helikopter obserwacyjny. Można nim było lekko manewrować. Wkrótce dotarli do progów na rzece, które już raz mijali.

Trout spojrzął w dół na płaszczyznę białej wody, potem kawałek dalej, ku spokojnej toni tuż nad kataraktami. Dostrzegł coś dziwnego. W pewnej odległości od progów znajdowały się tuż obok siebie dwie niewielkie łodzie, najwyraźniej nieruchome, trzecia dryfowała. Na jej dziobie ktoś wiosłował energicznie, ale silny prąd znosił łódź ku katarakcie. Na rufie Trout dostrzegł plamę ciemnej czerwieni.

Gamay!

Nie można było pomylić jej włosów z czymkolwiek innym, zwłaszcza że słońce odbijało się od nich rdzawymi błyskami. Nie było też wątpliwości, co teraz nastąpi. W ciągu kilku sekund bezradna łódź nabierze prędkości, zostanie wessana w wyszczerzoną paszczę i rozwalona na kawałki.

– Niech pan powie pilotowi, żeby odepchnął ich siłą nośną wirnika! – krzyknął Trout do Moralesa.

Morales, który obserwował zbliżającą się katastrofę jak urzeczony, spróbował przetłumaczyć prośbę Trouta pilotowi, ale jej zrozumienie przekraczało jego możliwości. Powiedział kilka słów po hiszpańsku, sfrustrowany wzruszył ramionami i zamilkł. Trout stuknął pilota w ramię. Wskazał zdecydowanie na dryfującą łódź, zakreślił uniesionym palcem wskazującym koło i obydwoema dłońmi wykonał gest, jakby coś popychał. Ku jego zaskoczeniu pilot doskonale to zrozumiał. Energicznie skinął głową, zwiesił nos helikoptera, by wejść w ślizg, i zwolnił. Po chwili znaleźli się między dryfującą łodzią a krawędzią progów, gdzie rzeka mocno się zwiężała. Wiszący nieruchomo helikopter opadł niżej. Pchane w dół łopatami wirnika powietrze wzburzyło powierzchnię wody jak gigantyczna maszynka do bicia piany i zrobiło w niej pienne, podobne do półmiska zagłębienie.

Po powierzchni zaczęły się rozchodzić koliste fale. Pierwsza uderzyła w łódź, zwolniła jej prędkość, następne całkowicie ją zatrzymały. W końcu zaczęły pchać lekką łódkę w stronę brzegu. Długie, wirujące łopaty nie były jednak najlepszym instrumentem do precyzyjnej operacji. Potężne uderzenia powietrza tworzyły fale tak wysokie, że łódka podskakiwała jak szalona i mogła się wywrócić. Trout, który wychylił się przez okno, dostrzegł niebezpieczeństwo. Krzyknął na pilota i uniósł w górę kiucik.

Helikopter zaczął się wznosić.

Za późno. Fala dosięgła łodzi i wywróciła ją. Pasażerowie zniknęli pod powierzchnią. Trout czekał, aż pojawią się ich głowy. Jego uwagę rozproszył głośny stuk i krzyk pilota. Odwrócił się. Na przedniej szybie, dostrzegł pajęczynę pęknięć. W środku koronkowego wzoru była dziura. Strzelano do nich! Kula musiała przelecieć między nimi i uderzyć w okienko kilka centymetrów nad głową Ruiza, który gapił się z wytrzeszczonymi oczami. Mora-

les kazał mu się zamknąć, ale *chiclero* wywrzaskiwał zlewające się w jeden strumień hiszpańskie słowa. Morales postanowił nie zdzierać sobie gardła – pochylił się i huknął szabrownika pięścią w szczękę z taką siłą, aż ten stracił przytomność. Policjant wyciągnął pistolet i zaczął ostrzeliwać łódzie.

Znów ostro zagrzechotało o kadłub, jakby ktoś obijał blachę młotkiem z kulistym zakończeniem. Trout nie wiedział, co robić. Chciał zostać i zobaczyć, co się dzieje z Gamay, ale zdawał sobie sprawę, że helikopter jest jak czekająca na odstrzał kaczka. Na szczęście pilot przejął prowadzenie. Zaklął wściekle po hiszpańsku, zacisnął zęby i pchnął przepustnicę. Helikopter skoczył do przodu i pomknął ku dwóm pozostałym łodziom niczym rakietą. Trout zdążył jedynie dostrzec, jak mężczyźni w dole zamierają z niedowierzaniem. Potężne pchnięcie wiru łopat wydmuchało ich z łódek. Uderzenie przewróciło puste skorupy, jakby były lekkimi pniami drzewa balsa. W ostatniej sekundzie pilot podciągnął ostro jetrangerą i zrobił nawrót, szykując się do następnego ataku. Ale nie był on konieczny. Przewrócone łódki tonęły. Na wodzie podskakiwały głowy mężczyzn, bezsilnie walczących z ciągnącym ich na progi prądem.

Łódź Gamay już dostała się w spienione piekło. Troutowi przeszedł dreszcz po plecach na myśl, co mogło się stać. Bał się o Gamay. Nie było widać ani jej, ani drugiej osoby – jak podejrzewał, profesora Chi. Pilot zrobił kilka szybkich kółek i znów wskazał na wskaźnik poziomu paliwa. Trout skinął głową. Nie było gdzie lądować. Z wahaniem podniósł do góry kciuki i odlecieli.

W myślach tworzył nowy plan. Nie zauważył, jak długo lecieli do chwili, gdy silnik kaszlnął. Helikopter błyskawicznie stracił prędkość, potem jakby ją odzyskał, po to jednak, by znów się zakrzusić. Pilot zaczął manipulować przyrządami i przyłożył palec do wskaźnika paliwa. Zbiornik był pusty. Pochylił się do przodu i wypatrywał w gęstej dżungli miejsca do lądowania. Silnik charczał jak człowiek chory na gruźlicę. Gdy charkot ustał, rozległo się głośne parsknięcie, po którym zapadła przerażająca cisza. Runęli w dół jak kamień.

## 27

Niech się pani nie rusza, doktor Gamay. – Łagodny, ale stanowczy głos Chi przebił przypominającą gazę mgłę. Gamay powoli uniosła klejące się powieki. Miała dziwne wrażenie, że pływa w morzu drżącej zielonej galaretki. Galaretowate bąble zrobiły się wyraźniejsze, zamazane kontury zmieniły się w liście i źdźbła trawy. Zmysły odzyskały wyrazistość. Po wzroku wrócił smak – goryczą w ustach. Potem czucie, co stwierdziła, kiedy sięgnęła do wilgotnej lepkości na głowie i dotknęła mokrej miazgi, która mogła być chyba tylko odsłoniętym mózgiem. Odruchowo cofnęła dłoń.

W jej bark wbiły się palce.

– Niech się pani nie rusza albo zginiemy! Obserwuje nas Stara Żółta Broda.

Głos Chi był spokojny, ale napięty. Ręka Gamay zamarła w powietrzu. Leżała na lewym boku, Chi był za nią i choć go nie widziała, znajdował się na tyle blisko, że czuła na uchu jego oddech.

– Nikogo nie widzę – powiedziała. Język miała opuchnięty.

– Tuż przed panią, jakieś pięć metrów. Piękna na swój śmiercionośny sposób. Nie wolno się pani poruszyć.

Ledwie ośmielając się mrugnąć, Gamay rozejrzała się w trawie i zatrzymała wzrok na przebarwionej bryle, która zmaterializowała się we wzór ułożonych na oliwkowym tle czarnych trójkątów, biegnący wzdłuż szczupłego, zwiniętego ciała niezwykle długiej żmii. Łeb w kształcie grota strzały, od spodu i od strony gardła żółty, był wysoko uniesiony. Żmija czaiła się tak blisko, że Gamay widziała pionowe źrenice. Wyglądały jak dodatkowe otwory między nozdrzami a oczami, które są receptorami promieniowania podczerwonego i umożliwiają węzom rozpoznawanie obecności zwierząt ciepłokrwistych w ciemności. Długi, czarny język wysuwał się i chował złowieszczo.

– Co to jest? – spytała. Ciekawość naukowca pokonała strach.

– *Barba amarilla*. Chyba, bardzo duża. Niektórzy nazywają ją *fer-de-lance*.

*Fer-de-lance!* Gamay wiedziała dość o węzach, by zrozumieć, że leży twarzą w twarz z mordercą. Ścierpła. Czuła się zupełnie odsłonięta.

– Co mam robić? – szepnęła obserwując, jak płaski łeb porusza się w rytm niesłyszalnej muzyki.

– Nie ulegać panice. Wkrótce powinna zejść ze słońca, prawdopodobnie popełźnie w cień obok. Jeśli tak zrobi, niech pani się nie rusza, odwróć jej uwagę.

Gamay opierała się na łokciu. Ta pozycja sprawiała jej ból, zadawała sobie pytanie, ile jeszcze wytrzyma. Czekwała, by żmija się poruszyła, z drugiej strony nie chciała, by przesunęła się w jej kierunku.

Żmija podjęła decyzję kilka minut później i zaczęła się rozwijać do pełnej długości. Jak podejrzewał Chi, była wielka – długością dorównywała wzrostowi przeciętnego mężczyzny. Popęzła cicho przez trawę, do rzucającego przez niewielkie drzewo cienia i zajęła miejsce tuż obok wiernej maczety Chi, opartej o pień.

– Teraz może się pani poruszyć. Ona śpi. Proszę powoli usiąść.

Gamay odwróciła się i zobaczyła, że Chi klęczy. Powoli odłożył kamień, który trzymał w rękach.

– Jak długo tu była?

– Pojawiła się mniej więcej pół godziny przed pani obudzeniem się. Żmije zazwyczaj uciekają, jeśli mogą, ale z Żółtymi Brodami nigdy nie wiadomo. Zwłaszcza jeśli zakłóci im się sen. Bywają wtedy agresywne. Jak się pani czuje?

– Dobrze, poza tym że ktoś używał mojej głowy jako piłki. Co to za breja w miejscu, gdzie miałam kiedyś włosy?

– Zrobiłem okład z leczniczych liści. Apteka była zamknięta.

– Jak długo tu jesteście? – spytała lekko masując ramię, na którym się opierała.

– Kilka godzin. Budziła się pani i zasypiała. Gorzki smak w ustach pochodzi od korzenia ze środkiem wzmacniającym. Kiedy łódź się przewróciła, uderzyła pani paskudnie o skałę.

Powoli napłynęły niewyraźne wspomnienia białej ryczącej wody.

– Progi! Dlaczego nie zginęliśmy?

Chi wskazał palcem na niebo.

– Nie pamięta pani?

Helikopter. Urywki wspomnień pomieszane jak puzzle w pudełku. Siedziała z profesorem w łodzi i skończyła im się benzyna. Silny prąd ściągał ich na skały. Ryk śmiercionośnej wody zagłuszyło rytmiczne klepanie. Nad rzeką krążył ten sam białoczerwony helikopter, który widzieli przedtem.

Gamay pamiętała, że mieli za sobą uzbrojonych *chicleros*, z przodu kipiące skały i helikopter nad głową. Pożegnali się już z życiem. Wtem śmi-

głowic z nurkował jak Walkiria i zawisł tuż nad wodą, między nimi a kipiela. Pchane łopatomy wirnika powietrze wygrzyło w wodzie wielki krąg, wytworzyło fale, które wypchnęły ich z nurtu i skierowały do brzegu. Uderzenie powietrza rozkołysało aluminiową skorupę. Wywrócili się kilka metrów od trawiastego brzegu.

Gamay wystrzeliła jak pocisk z maszyny oblężniczej. Brzdęk! Głowa uderzyła w coś twardego. Wzrok się zamazał, zęby szczęknęły. Błysnęła jaskrawa błyskawica, a potem zapadła błoga ciemność.

– Helikopter nas uratował – powiedziała.

– Tak. Nic by się pani nie stało, gdyby nie próbowała pani rozbić skały głową. Uderzenie nie było silne, ale wystarczyło, by straciła pani przytomność. Wyciągnąłem panią na brzeg, potem przeciągnąłem przez krzaki. Zebrałem korzenie i liście na okład. Przespała pani niespokojnie noc. Pewnie miała pani dziwne sny. Lekarstwo, jakie pani dałem, zawiera nieco halucynogenów.

Pamiętała jeden dziwny sen. Wysoko nad nią unosił się Paul, wołał ją po imieniu. Słowa pojawiały się w komiksowych „dymkach”, po czym rozplywały się w niewyraźną chmurę.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała. Nie wiedziała, jak ten drobny niemłody człowiek wyciągnął ją z wody i zawłókł do lasu. – Co się stało z ludźmi, którzy nas gonili?

Profesor pokręcił głową.

– W tym całym zamieszaniu nie zwracałem na nich uwagi. Miałem dość roboty, by dostać się w bezpieczne miejsce. Słyszałem kilka strzałów, ale o tego czasu jest spokojnie. Może myślą, że nie żyjemy.

– I co teraz?

– Zastanawiałem się nad tym, kiedy przybył nasz łuskowaty przyjaciel. Ciekawe, ile czasu potrwa jego drzemka. Chciałbym odzyskać maczetę. W tym kraju może ona decydować o życiu albo śmierci. Proszę odpocząć. Jeśli Żółta Broda się nie obudzi, omówimy plan awaryjny. Znalazłem ścieżkę, prawdopodobnie właśnie nią *chicleros* obchodzą progi na rzece. Możemy zbadać ją później. Na razie wycofajmy się na wypadek, gdyby nasz przyjaciel obudził się nie w humorze.

Gamay przystała na to chętnie. Wstała z pomocą Chi. Drżały jej nogi i czuła się jak nowo narodzony żreback. Znajdowali się na niedużej, nakrapianej plamami słońca polance, otoczonej drzewami i krzakami. Na skraju polany Chi zdjął jej okład z głowy. Zadrapania i siniaki właściwie zniknęły. Zapowiedział, że pójdzie nabić owoców, by mogli zaspokoić głód, zanim żmija zakończy drzemkę. Gamay, nadal zmęczona, położyła się w trawie i zamknęła oczy. Wkrótce obudził ją trzask łamanej gałązki. Chi nie zachowywałby się tak hałaśliwie.

Rozejrzała się. Profesor stał na skraju polany z gałązką obsypaną owocami w rękę, a za nim przywódca *chicleros*, którego Gamay nazwała Pan-

cho. Nie przypominał już człowieka, który kazał ich uwięzić w jaskini. Portargane włosy wyglądały jak ptasie gniazdo, a białe ubranie było brudne i podarte. Przez dziury w koszuli wyzierał wielki błady brzuch. Zniknął też szyderczy uśmiech, zastąpiła go maska wściekłości. Ale pistolet miał ten sam, co przedtem. Lufa spoczywała na potylicy profesora.

Rzucił plecak na ziemię i warknął coś po hiszpańsku do Chi. Profesor podszedł do Gamay. Stali tuż obok siebie. Lufa pistoletu przesunęła się na Gamay, a potem z powrotem na Chi.

– Chce, bym przekazał pani, że zabije nas, by pomścić swoich ludzi – powiedział profesor. – Najpierw mnie, potem zabawi się z panią, używając mojego ciała jako materaca.

– Co się dzieje z tymi facetami? – mruknęła Gamay. – Bez obrazy, profesorze, ale masa pańskich rodaków ma chyba rozum między nogami.

Na twarzy Pancha pojawił się uśmiech. Gamay obdarzyła go kokieteryjnym spojrzeniem, jakby oferta jej schlebiała. Uznała, że uda się w ten sposób zyskać nieco czasu dla profesora i dostać na tyle blisko drania, żeby przyhamować jego popęd. Chi zareagował szybciej. Lekko przekręcił głowę, utkwiał wzrok w opartej o pień drzewa maczecie i pochylił się nieco do przodu, jakby zamierzał skoczyć. Gamay zdążyła już poznać go na tyle, by wiedzieć, że ruch był dziwnie niezręczny – jakby profesor chciał zwrócić na siebie uwagę Pancha.

Pancho powiódł wzrokiem za spojrzeniem Chi, zobaczył oparty o drzewo długi nóż i obnażył w uśmiechu wszystkie zęby. Nie przestając celować w głowę profesora, przeszedł przez polankę i sięgnął po maczetę.

Ziemia eksplodowała burzą rozsmazanych czarnych trójkałów.

Zaalarmowana ciężkimi krokami żmija, w chwili gdy Pancho sięgał po maczetę, znajdowała się w pozycji gotowej do ataku. Wbiła długie zęby jadowe w szyję *chiclero*, a potem opróżniła zbiornik z jadem w ramieniu olbrzymia.

Pancho strzelił kilka razy w węża, zmieniając go w krwawą zielono-czerwoną masę. Dotknął podwójnych ugryzień tuż obok tętnicy szyjnej. Twarz mu pobladła, oczy rozszerzyły się w przerażeniu, a usta otworzyły w niemym krzyku. Wbił oszalały wzrok w Chi i Gamay i zataczając się ruszył między krzaki.

Chi zrobił kilka kroków do przodu, by ominąć zęby węża, które gryzły w agonii powietrze, i poszedł za *chiclero*. W chwilę potem rozległ się strzał. Chi wrócił z dymiącym pistoletem. Gamay patrzyła na niego ze zgrozą. Profesor schował broń za pasek i wziął Gamay za rękę. Twarde rysy zmiękły, w oczach pojawiła się łagodność.

– *Chiclero* sam się zastrzelił – wyjaśnił. – Wiedział, że śmierć od ukąszenia *barba* jest bardzo bolesna. Jad niszczy czerwone krwinki i powoduje pęknięcie naczyń krwionośnych. Krwawi się z ust i gardła, pojawiają się bolesne obrzęki, wymioty i drgawki. Nawet przy ugryzieniu w szyję nie potrawia

łoby to dłużej niż godzina, dwie. Zanim zacznie go pani żałować, proszę sobie przypomnieć, że najpierw chciał, byśmy umarli w jaskini, a potem usiłował nas zabić na rzece.

Gamay machinalnie pokiwała głową. Chi miał rację. Śmierć *chiclero* była straszna, ale sam do niej doprowadził. Profesor Chi był niezwykłym człowiekiem! Coraz mniej rozumiała, jak Hiszpanom udało się podbić Majów. Na szczęście szybko doszedł do głosu instynkt przetrwania.

– Powinniśmy iść – stwierdziła rozglądając się. – Inni mogli usłyszeć strzał. Chi podniósł maczetę i plecak zabitego.

– Naszą jedyną szansą jest rzeka. Marsz łodem byłby ryzykowny, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie jesteście. – Popatrzył na zakrwawione ciało żmii. – Jak sama pani widzi, istnieją w lesie istoty groźniejsze od *chicleros*.

– Pan prowadzi. – Zaczęli się przebijać przez gęsty las. Chi korzystał ze swego wewnętrznego kompasu i niebawem dotarli do szerokiej na metr ścieżki, tak wychodzonej, że widać było biały wapień.

– To ścieżka transportowa, o której mówiłem.

– Co nam grozi, jeśli nią pójdziemy?

– Nie wiem. Pamięta pani, co ten bandyta powiedział o zemście za swych ludzi? Zabawię się w zwiadowcę. Proszę iść z tyłu, a kiedy dam znak, zejść jak najszybciej ze ścieżki.

Ruszyli przez las. Ścieżka biegła wzdłuż rzeki, migoczącej między drzewami. Gamay szła za profesorem. Nie napotkali przeszkód. Jedynym znakiem życia poza hałaśliwymi wrzaskami ptaków był leniwiec, który spojrzął na nich znudzonym wzrokiem ze zwieszającego się nisko konaru.

Chi przystanął i dał znak, by Gamay podeszła. Zniknął za zakrętem. Kiedy go dogoniła, stał na niedużej, piaszczystej plaży. Trzy aluminiowe łodzie, takie same jak ta, którą stracili, stały pod zbitą z młodych drzewek i pokrytą liśćmi konstrukcją, która skrywała je od strony rzeki i z powietrza. W odróżnieniu od spienionej otchłani, która widzieli ostatnio, rzeka płynęła spokojnym, zielonobrazowym nurtem.

– Trzymają łodzie po obu stronach progów – stwierdził Chi. – Przenoszą rzeczy przez progi ścieżką na brzegu.

Gamay słuchała nieuważnie. Odeszła kawałek, by zbadać wystygłe węgle ogniska. Dostrzegła ustawioną na palach platformę z płaskim dachem. Przypominała budowane przez dzieci domy na drzewie. Otworzyła drzwi, zamknięte jedynie na zatyczkę, i zajrzała do środka. Stały tu baki z benzyną i duża chłodziarka. Podniosła wieko.

– Profesorze! – zawołała. – Znalazłam coś ważnego.

Kiedy Chi zobaczył w dłoni Gamay niebieską puszkę, na twarz wypłynął mu najszerszy uśmiech, jaki widziała w życiu.

– Mielonka... – wyszeptał z czcią.

W chłodziarce było więcej puszek. Znaleźli puszkowane warzywa i soki, butelkowaną wodę, plastikowe torebki z tortillą, sardynki i wołowinę dla

urozmaicenia. W prymitywnej chacie zmagazynowano latarki i narzędzia. Skarbem były wodoodporne zapalniczki i przenośny piecyk. Mydło też. Poszli nad rzekę, wykąпали się i uprali ubrania, które szybko schły na gorącym słońcu.

Po kąpieli i posiłku z mięsa i jajek, Chi zaczął badać okolicę, a Gamay kompletować zapasy. Było niezmiernie cicho. Postanowili jednak nie zostawać dłużej niż to konieczne. Załadowali łódź, pozostałe dwie unieruchomili, wypychając je pod głązy. Sprawdzili, który silnik chodzi najlepiej, pozostałe dwa schowali w lesie. Wsiadli do łodzi i wypłynęli na rzekę na małych obrotach, by odrobinę wyprzedzać prąd.

Przepłynęli niecałe dwa kilometry, kiedy rzeka zrobiła ostry skręt w prawo. W załamaniu zakola, wśród wodorostów i naniesionego drewna, leżały przewrócone do góry dnem dwie aluminiowe łodzie. Skorupy były powyginane i podziurawione. Wokół leżały śmierdzące trupy, puchnące w gorącym słońcu.

Chi wymamrotał modlitwę.

– Podejrzewam, że gdybyśmy wpadli na progi, też byśmy tu leżeli – powiedziała Gamay, zatykając nos.

– Kiedy widzieliśmy ich ostatni raz, byli dość daleko od progów.

– Też tak sądziłem. Coś się musiało wydarzyć, kiedy walczyliśmy z przewróconą łódką.

Przypomniało jej się *Jądro ciemności*, scena, w której Kurtz, cywilizowany człowiek, który zdziczał, szepce na łożu śmierci: „Zgroza! Zgroza!”

Słowa Kurtza jak echo odbijały się jej w myślach, gdy skierowała dziób w dół rzeki i pchnęła przepustnicę. Nie miała pojęcia, czy nie czekają ich kolejne okropności. Chciała jednak przed zapadnięciem nocy oddalić się jak najbardziej od naznaczonego śmiercią miejsca.

## 2 8

Perlmutter zadzwonił i spytał, czy zamiast przy kolacji mogą się spotkać zaraz, na późnym śniadaniu. Austin ucieszył się z dwóch powodów. Propozycja korpulentnego archiwisty, by spotkać się na zwykłym lunchu w „Kinhead’s”, popularnej waszyngtońskiej restauracji, oznaczała, że w trakcie poszukiwań na coś natrafił. Poza tym rachunek za lunch mniej nadszarpnie mu portfel niż sześciodaniowa kolacja. Tak przynajmniej wydawało mu się do chwili, gdy Perlmutter poprosił o bordeaux z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku i zaczął wybierać potrawy z karty, jakby zamawiał w chińskiej restauracji *dim sum*.

– Nie sądz, że uda ci się skorzystać z moich usług, płacąc za zwykły obiad – wyjaśnił rzeczowo Perlmutter.

– Oczywiście... – odparł Austin, zastanawiając się, jak przemycić rachunek, by nie zauważyli go bystroocy księgowi z NUMA. Kiedy Perlmutter odłożył kartę, Austin odetchnął.

– Bardzo dobrze... po naszej pogawędce przez telefon zadzwoniłem do przyjaciela z Sewilli, Juana Ortegi. Don Ortega jest jednym z najlepszych ekspertów w zakresie wiedzy o Kolumbie. Ponieważ sprawiałeś wrażenie, że nieco ci się spieszy, postanowiłem zrobić streszczenie ogromnego dostępnego materiału.

– Doceniam to, Julien. Czytałem książki Ortegi i uważam, że jest w nich wiele interesujących spostrzeżeń. Pomógł w czymś?

– Tak i nie. Odpowiedział na kilka pytań, postawił dalsze. – Perlmutter podał Austinowi dokument, który Ortega przefaksował z Hiszpanii. – Prze czytaj to w spokoju. Dla oszczędności czasu streszczę rozmowę z don Ortęgą i to, co tu znajdziesz.

Perlmutter przerywał swą opowieść jedynie po to, by zjeść kęs bułki.

– Piąta wyprawa... – powiedział z zadumą Austin. – Wstrząsnęłyby to oczywiście historykami i zmusiło do uaktualnienia podręczników. A jaka jest twoja fachowa opinia? Czy list był sfalszowany?

Perlmutter przechylił w zamyśleniu głowę, położył palec na mięsistym policzku.

– Czytałem ten dokument kilka razy, ale nie umiem ci dać jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli mamy do czynienia z fałszerstwem, to jest ono cholernie cwane. Porównałem ten list z innymi dokumentami, autorstwa zarówno Kolumba, jak i Las Casasa. Styl, składnia, charakter literacki – wszystko się zgadza.

– I jak słusznie podkreśliłeś, po co ktoś miałby zadawać sobie trud zrabowania sfalszowanego dokumentu?

– No właśnie – po co?

Kelner przyniósł wino. Perlmutter podniósł kieliszek do światła, zakreślił nim, by napój zawirował, wciągnął aromat i upił łyk. Zamknął oczy.

– Znakomite, tak jak się spodziewałem – powiedział z błogim uśmiechem. – To naprawdę legendarny rok.

Austin spróbował wina.

– Muszę się z tobą zgodzić, Julien. – Odstawił kieliszek. – Wspomniałeś o tym, że Kolumb czuł się winny z powodu „śmierci pięciu”. Co o tym wiadomo?

Błękitne oczy zamigotały z podniecenia.

– Dziwne, że nie zauważyłeś tego natychmiast. Przekopałem moją bibliotekę i natknąłem się na zdumiewająca opowieść, którą przedstawił niejaki Garcilaso de la Vega. Wydaje się, że rzuca na sprawę nieco światła. De la Vega twierdzi, że siedem lat przed wyruszeniem Kolumba w pierwszą historyczną wyprawę, pewien hiszpański statek natknął się na burzę i został wyrzucony na brzeg którejś z wysp karaibskich. Z siedemnastoosobowej załogi przeżyło pięciu ludzi. Naprawili statek i wrócili do Hiszpanii. Kolumb usłyszał o ich przygodzie i zaprosił całą piątkę do siebie do domu. W trakcie suto zakrapianego obiadu zaczęli opowiadać o szczegółach pełnej trudów wyprawy.

– Nic dziwnego. Marynarze lubią paplać nawet, jeśli nie rozwiąże im języka kilka szklaneczek wina.

Perlmutter pochylił do przodu ogromne ciało.

– Nie było to jednak tylko przyjacielskie spotkanie, lecz dobrze zaplanowana operacja wywiadowcza. Prości marynarze nie zdawali sobie sprawy, że posiadają wiedzę nieoszacowanej wartości. Kolumb próbował zorganizować wyprawę i znaleźć na nią fundusze, a tu nagle miał relacje naocznych świadków oraz informacje dotyczące nawigacji, które mogły otworzyć mu wrota do ogromnych bogactw. Marynarze zapewne opowiedzieli mu o prądach, kierunkach wiatrów, odczytach kompasu, szerokościach geograficznych, liczbie dni, jaką trwał rejs. Może widzieli noszących złote ozdoby tu-

bylców. Zastanów się, co to znaczyło. Ich doświadczenie nie tylko dowodziło, że można dopłynąć do Chin czy Indii, bo Kolumb sądził, że tam właśnie byli, ale odpowiadało na pytanie, jak wrócić! Kolumb zamierzał zdobyć nowe ziemie dla Hiszpanii. Był przekonany, że znajdzie złoto i zostanie przyjęty przez Wielkiego Chana, po czym wspólnie utworzą monopolistyczną linię handlową, dostarczającą przyprawy i inne cenne dobra.

– Niewiele się to różni od prowadzonego dziś szpiegostwa gospodarczego – stwierdził Austin. – Zamiast użyć do zbierania informacji o konkurencyjnej firmie łapówek, podsłuchów i prostytutek, Kolumb napompuwał informatorów jedzeniem i piciem.

– Możliwe, że nie tylko jedzeniem i piciem.

Austin uniósł brew.

– Cała piątka zmarła po tej kolacji.

– Z przejedzenia?

– Uczestniczyłem w kilku posiłkach, które o mało mnie nie zabiły, ale de la Vega ma inną koncepcję. Implikuje, że marynarze zostali otruci, ale nie twierdzi tego wprost. Nie mógł tego zrobić. Kolumb miał mocne koneksje. Zastanów się jednak nad tym. Jest historycznym faktem, że podczas pierwszej wyprawy Kolumb miał mapę Indii. – Wypił łyk wina i przedłużył przerwę dla lepszego dramaturgicznego efektu. – Czy możliwe, by opierała się na informacjach wyciągniętych od nieszczęsnych marynarzy?

– Możliwe. Z listu wynika jednak, że żałował ich śmierci.

– No tak. Obwiniał jednak o ich śmierć Braci. *Los Hermanos*.

– Kolumb miał braci?

– Miał, ale jednego. Nazywał się Bartolomé, tu jednak użył liczby mnogiej.

– Dobrze, załóżmy, że masz rację. Dajmy staremu Krzychowi kredyt zaufania. No więc, zaprasza marynarzy do domu, by sprawdzić, jakie informacje może z nich wydusić. *Los Hermanos* podejmują kroki, mające zapewnić, że nie opowiedzą o tym, co widzieli, nikomu innemu. Kolumb jest może oszustem, ale nie mordercą. Tragiczny efekt spotkania nie daje mu spokoju.

– To prawdopodobny scenariusz.

– Wiesz, co to było za bractwo, Julien?

– Nie. Po lunchu wracam do książek. Jeśli już przy tym jesteśmy... ach... tajlandzka zupa rybna. – Perlmutter dostrzegł, że pierwsze z licznych dań właśnie zbliża się do ich stolika.

– Gdy ty będziesz pracował, poproszę Yaegera o sprawdzenie, czy jest coś na ten temat w jego bazach danych.

– Znakomicie. Ja też mam pytanie – powiedział Perlmutter. – W odróżnieniu ode mnie znasz morze z doświadczenia, nie z książek. Co sądzisz o tym „mówiącym kamieniu”, o którym wspomina Kolumb, tej starożytnej *torleta*?

– Dawne techniki nawigacyjne zawsze mnie fascynowały – odparł Austin. – Uważam, że ich rozwój był dla ludzkości wielkim skokiem intelektu-

alnym. By poradzić sobie z problemem przenoszenia się z miejsca na miejsce, nasi przodkowie musieli stworzyć abstrakcyjne koncepcje czasu, przestrzeni i odległości. Uwielbiam to, że mogę wcisnąć guzik i odbity od satelity sygnał mówi mi na całej kuli ziemskiej, gdzie dokładnie się znajduję, ale moim zdaniem za bardzo polegamy na elektronicznych gadżetach. Mogą się popsuć. Mamy mniejszą skłonność do rozumienia naturalnego porządku rzeczy, ruchów gwiazd i słońca, kaprysów morza.

– Daj spokój z elektronicznymi gadżetami. Postaw się na miejscu Kolumba. Jak użyłbyś tej *torleta*?

Austin zastanawiał się przez chwilę.

– Wróćmy do jego wcześniejszej wyprawy. Zostałem wyrzucony na brzeg wyspy i zaprowadzono mnie do dziwnego kamienia czy tablicy z tajemniczymi napisami. Miejscowi ludzie informują, że to klucz do wielkiego skarbu. Zabieram obiekt do Hiszpanii, ale nikt nie wie, co z nim począć. Wiadomo tylko, że jest bardzo stary. Przyglądam się kamieniowi okiem marynarza i okazuje się, że znaki są w pewnych szczegółach podobne do wskazań nawigacyjnych, jakie stosuję, odkąd zacząłem żeglować. Kamień jest za duży, by go wozić, robię więc to, co samo się nasuwa. Kiedy zrobiłem na podstawie napisów mapy, stawiam żagle. Jest tylko jeden problem – nie zrobiłem ich dobrze. W mojej wiedzy jest bowiem luka.

– Jaka?

Austin zastanowił się.

– Trudno na to odpowiedzieć, nie wiedząc, jak wyglądała *torleta*. Opiszę więc sytuację hipotetyczną. Wyobraźmy sobie, że jestem marynarzem z epoki Kolumba i ktoś dał mi mapę NOAA\*. Rysunek pomógłby mi się poruszać, ale linie z koordynatami nawigacyjnymi nie miałyby dla mnie sensu. Nie wiem nic o elektronicznych sygnałach, wysyłanych przez nabrzeżne stacje, ani o odbiornikach, umiejących je przetworzyć na dokładne dane pozycyjne. Gdybym stracił ład z oczu, musiałbym powrócić do znanych mi metod nawigacyjnych.

– Bardzo klarowna analiza. Chcesz powiedzieć, że gdy Kolumb znalazł się na morzu, musiał zauważyć, że *torleta* starożytnych jest przydatna w ograniczonym zakresie.

– Tak podejrzewam. Ortega twierdzi, że Kolumb nie miał wielkiego zaufania do instrumentów nawigacyjnych swych czasów – a może jedynie nie był specjalistą w posługiwaniu się nimi? Był marynarzem starej szkoły, nawykłym do nawigacji zliczeniowej, która dobrze mu służyła podczas pierwszej wyprawy. Wiedział, że podczas ostatniej musi być dokładny. Wziął więc na pokład kogoś, kto umiał się posługiwać instrumentami nawigacyjnymi.

– Ciekawy pogląd, zwłaszcza w świetle ostatniego akapitu listu, napisanego przez pomocnika pilota „Niñy”.

---

\* National Oceanic and Atmospheric Administration – Narodowy Urząd Oceanograficzny i Atmosferyczny (przyp. tłum.).

– Tak jak wynajmowanie ekspertów w obecnych czasach. Teraz ja mam pytanie do ciebie: co się, twoim zdaniem, stało z tym kamieniem?

– Zadzwoniłem do don Ortegi i poprosiłem go o prześledzenie tej sprawy. Niewykluczone, że był częścią majątku, który roztrwonił Luis Kolumb, by zdobyć pieniądze na rozpustę i hulanki. Ortega ma zamiar porozumieć się z muzeami i uniwersytetami w Hiszpanii, a jeśli niczego się nie dowie, rozszerzy krąg poszukiwań na sąsiednie kraje.

Austin myślał o Kolumbie-marynarzu, o tym jak powrócił na „Niñę”, dzielny mały statek, który tak dobrze służył mu podczas poprzednich wypraw. Może do rozwiązania tajemnicy doprowadzi ich współczesna Nina...

– Kamień pochodził z tej strony Atlantyku – stwierdził. – Po obiedzie zadzwonię do doktor Kirow, archeolog, z którą jestem zaprzyjaźniony, i spytam, czy słyszała coś o podobnym artefakcie. – Prychnął tłumiąc śmiech. – Dziwne, nie? Szukamy tropów współczesnych morderstw w wydarzeniach, które prawdopodobnie miały miejsce przed wiekami.

– Nie ma w tym nic niezwykłego. Z mojego doświadczenia wynika, że przeszłość i teraźniejszość często niczym się nie różnią. Wojny. Klęski głodu. Tsunami. Rewolucje. Plagi. Ludobójstwo. Wszystko wydarza się na nowo. Jedyne twarze się zmieniają. No, dość tych chorych rozważań. Zajmijmy się weselszymi sprawami. – Perlmutter rozpromienił się. – Widzę, że nadchodzi kolejne danie.

## 29

Kiedy Austin delektował się drogim wykwintnym lunchem, Joe Zavala był tysiąc kilometrów dalej, przy Paseo del Rio, zwanej także Deptakiem Przy Rzece. W malowniczej dzielnicy turystycznej nad brzegiem rzeki San Antonio. Żuł w kawiarni oblanego miodem pączka. Spojrzał na zegarek, dopił kawę i poszedł w kierunku leżącej nieco dalej od rzeki dzielnicy biznesu. Wkrótce wszedł do holu wysokiego biurowca.

Po ustaleniu strategii, Zavala spakował torbę i poleciał do Teksasu, zabierając się na lecący do Bazy Sił Powietrznych Lackland wojskowy samolot. Z bazy wziął taksówkę i pojechał do hotelu w centrum. Yaeger umiał robić cuda za pomocą swoich „komputerowych dzieciaków”, ale nawet on musiał przyznać, że Time-Quest to twardy orzech do zgryzienia. Czasem ludzkie oko i ludzki mózg, umiejące wyczuć i przeanalizować najmniejszy niuans, są znacznie skuteczniejsze od najbardziej skomplikowanej maszyny.

Zavala znalazł Time-Quest na długiej liście lokatorów budynku i wkrótce potem wyszedł z windy do dużego holu, którego ściany pokryto wielkimi sepionymi fotografiami archeologicznych cudów świata. Pod zdjęciem Wielkiej Piramidy stało błyszczące metalowymi częściami i czarną emalią biurko, które wydawało się tu kompletnie nie na miejscu. Do starożytnych zabytków jeszcze bardziej nie pasowała siedząca za biurkiem brunetka tuż przed trzydziestką.

Zavala przedstawił się i podał recepcjonistce wizytówkę, którą wydrukował rano w automacie.

– O, pan Zavala, pisarz! – przypomniała sobie kobieta. – Dzwonił pan wczoraj. – Spojrzała do notesu, wcisnęła przycisk i mruknęła coś do mikrofonu. – Pani Harper zaraz się z panem spotka. Ma pan szczęście, że udało się panu umówić z tak krótkim wyprzedzeniem. Gdyby ktoś nieoczekiwanie nie odwołał spotkania, nie byłoby to możliwe.

– Naprawdę to doceniam. Jak mówiłem, zadzwoniłbym wcześniej, ale sprawa wynikała w ostatniej chwili. Jestem tu, by napisać artykuł o nocnym życiu San Antonio. Pomyślałem sobie, że może mógłbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Niech pan przyjdzie po rozmowie z panią Harper, może uda mi się zaproponować kilka wartych odwiedzenia miejsc.

Dziewczyna była młoda i atrakcyjna. Zawała byłby zdziwiony, gdyby nie знаła miejsc, gdzie można się zabawić.

– Bardzo dziękuję – powiedział najuprzejmiej, jak umiał. – Bardzo by mi to pomogło.

Rzecznikiem prasowym Time-Quest była niebrzydka i dobrze ubrana kobieta po czterdziestce. Phyllis Harper wyszła z korytarza i mocno uściśnęła dłoń Zawali. Poprowadziła go wyłożonymi grubym dywanem korytarzami do gabinetu z wielkimi oknami. Widać z nich było panoramę rozciągającego się daleko miasta oraz stojącą w samym centrum Wieżę Ameryk. Usiedli swobodnie po obu stronach stolika do kawy.

– To miło, że interesuje się pan Time-Quest, panie Zawała. Muszę z góry przeprosić, ale będę mogła poświęcić panu jedynie kilka minut. Melody prawdopodobnie mówiła, że wypadło mi jedno krótkie spotkanie.

– Tak, mówiła. Jestem wdzięczny, że w ogóle zechciała mi pani poświęcić czas. Musi być pani bardzo zajęta.

– Mam piętnaście minut do zebrania z dyrektorem wykonawczym. – Przewróciła oczami. – Ma obsesję na punkcie natychmiastowego załatwiania spraw. Może dla zwięzłości opowiem, co się da przez dziesięć minut, a pięć zostawię panu na ewentualne pytania. Materiały dla prasy o naszej organizacji zawierają sporo informacji.

Zawała wyjął z kieszeni minimagnetofon Sony, który kupił w sklepie z tanim sprzętem, i nabyty rano notes.

– Znakomicie. Proszę zaczynać.

Obdarowała go olśniewającym uśmiechem, który uświadomił mu, że dojrzałe kobiety z klasą mogą być bardziej seksowne od młodych, ślicznotek, podobnych do Melody z recepcji.

– Time-Quest jest organizacją niedochodową. Realizujemy różne cele. Chcemy promować rozumienie teraźniejszości i przygotować do zrozumienia przyszłości poprzez studiowanie przeszłości. Edukujemy, wspierając rozwój wiedzy o naszym świecie, szczególnie poprzez programy szkolne oraz pracę w terenie. Dajemy zwykłym ludziom szansę przeżycia niezwykłej przygody wakacyjnej. Wielu naszych wolontariuszy to emeryci, realizują więc w ten sposób marzenia swego życia. – Przerwała, by nabrać powietrza. – Wspieramy liczne wyprawy archeologiczne, kulturoznawcze i antropologicz-

ne. Jesteśmy znani z hojności. – Przy tym zdaniu znów się ślicznie uśmiechnęła. – Uniwersytety ciągle zwracają się do nas o pomoc. Zwykle z przyjemnością jej udzielamy. Dysponujemy pieniędzmi wpłacanymi przez wolontariuszy, więc wiele ekspedycji jest samowystarczalnych. Dostarczamy ekspertów albo dofinansowujemy ich. Sponsorowaliśmy ekspedycje, które udawały się do wszystkich zakątków świata. W zamian prosimy zwykle o informowanie nas jako pierwszych o niecodziennych odkryciach. Większość ludzi uważa, że to nieduża rekompensata za to, co oferujemy. Czy ma pan jakieś pytania?

– W jaki sposób powstała ta organizacja?

Wskazała na sufit.

– Jesteśmy niedochodową filią firmy, która zajmuje następnych sześć pięter.

– Czyli?

– Halcon Industries.

Halcon. Hiszpańskie słowo, oznaczające sokoła lub drapieżnego ptaka. Zawała pokręcił głową.

– Nie wiedziałem.

– To przedsiębiorstwo o wielu działach. Jesteśmy jednym z nich. Większość dochodów firmy pochodzi z różnorodnego portfela inwestycji, obejmującego głównie kopalnictwo, ale także transport morski, handel inwentarzem, oliwą i wetną moherową.

– To faktycznie bardzo różnorodna działalność. Czy firma jest na giełdzie?

– Nie. W całości stanowi własność pana Halcona.

– Między kopaniem surowców naturalnych a wykopaliskami jest duża przestrzeń...

– Zestawienie może się wydać dziwne, ale po zastanowieniu przestaje dziwić. Fundacja Forda finansowała ezoteryczne projekty, które nie miały nic wspólnego z produkcją samochodów. O ile wiem, pan Halcon jest archeologiem-amatorem. Chętnie zostałby naukowcem w tej dziedzinie, ale okazał się znacznie lepszy jako przemysłowiec.

Zawała skinął głową.

– Musi być ciekawym człowiekiem. Czy istnieje szansa przeprowadzenia z nim wywiadu, po zapowiedzeniu się z odpowiednim wyprzedzeniem?

– Większą szansę miałyby pan na wywiad z Henrym Fordem. – Znów olśniewający uśmiech. – Nie chcę być niegrzeczna, ale pan Halcon bardzo ceni sobie prywatność.

– Rozumiem.

Popatrzyła na zegarek.

– Obawiam się, że muszę już iść. – Pchnęła po blacie stolika grubą teczkę. – To nasze materiały dla prasy. Proszę przeczytać i gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, zadzwonić do mnie. Z przyjemnością skontaktuję pana z wolontariuszami, którzy mogą opowiedzieć o swych doświadczeniach.

– Bardzo by mi to pomogło. Może mógłbym sam wziąć udział w jakiejś ekspedycji? Nie są niebezpieczne, prawda?

Popatrzyła na niego dziwnie.

– Chlubimy się rekordem bezpieczeństwa. Nawet w najodleglejszych zakątkach świata bezpieczeństwo jest dla nas sprawą największej wagi. Niech pan nie zapomina – w naszym programie uczestniczy sporo emerytów. – Przerwała na chwilę. – Oczywiście, mówię o ekspedycjach, które sami organizujemy. Te, które wspieramy częściowo, są zdane na własne siły. Wszędzie jednak mamy dobre wyniki. W trakcie naszej ekspedycji człowiek jest bezpieczniejszy niż podczas przechodzenia przez ulicę w San Antonio.

– Zapamiętam – powiedział Zawała, zastanawiając się, czy pani Harper zdaje sobie sprawę z tego, co naprawdę dzieje się w jej firmie.

– W zestawie ma pan kalendarz planowanych na najbliższy rok wypraw. Jeśli któraś pana zainteresuje, proszę dać mi znać. Zobaczę, co da się zrobić.

Zaprowadziła go do holu, uściśniły sobie ręce na pożegnanie i zniknęła w głębi korytarza.

Melody uśmiechnęła się.

– Jak udał się wywiad?

– Był krótki i słodziutki. – Zawała patrzył za oddalającą się sylwetką. – Ona przypomina mi taką śmieszna reklamę, w której facet gada jak karabin maszynowy.

Melody kokieteryjnie przekrzywiła głowę.

– Cóż, zawsze jeszcze zostaje nocne życie...

– Dziękuję za przypomnienie. Szukam nie znanych jeszcze miejsc, gdzie chadzają młodzi, znający się na dobrej rozrywce ludzie. Jeśli nie ma pani innych planów, może postawię pani lunch i porozmawiamy o nocnym życiu miasta?

– Niedaleko stąd jest duża restauracja. Eklektyczna i bardzo popularna. Mogłabym spotkać się tam z panem około południa.

Zawała zapisał, jak dojść na miejsce, i zjechał windą na dół. Z tablicy informacyjnej spisał wszystkie pododdziały Halcon Industries. Było ich osiem. Tak jak mówiła pani Harper, większość była związana z kopalnictwem i transportem morskim. Wjechał windą piętro wyżej, niż mieścił się Time-Quest, i wysiadł w dużym holu. Za biurkiem siedziała recepcjonistka, ściany pokrywały wielkie wizerunki rudowców. „Halcon Shipping”. Bąknął, że chyba pomylił piętra i wrócił do windy.

Powtórzył ten manewr na każdym piętrze, na którym mieściła się firma Halcona. Biura były dość podobne, różniły się jedynie motywy na ścianach. Wszystkie recepcjonistki były młode i atrakcyjne. Wcisnął guzik najwyższego piętra królestwa Halcona, ale winda minęła je. Kiedy wysiadł, znalazł się w nienaturalnie cichym biurze kancelarii prawniczej.

– Przepraszam – powiedziała do wyglądającej skromnie i kompetentnie sekretarki. – Wcisnąłem guzik piętra niżej i wyładowałem tutaj.

– To normalne. Piętro pod nami jest zastrzeżone dla dyrekcji Halcona. Żeby tam wysiąść, musi pan wpisać specjalny kod.

– Rozumiem. Gdybym potrzebował kiedyś porady prawnej, wiem już dokąd się udać.

Wrócił na dół, z nadzieją, że jego wycieczki po piętrach nie wzbudziły podejrzeń ochrony. Po wysadzeniu budynku administracji federalnej w Oklahoma City nie byłoby mądre dać się przyłapać na podejrzanym szwendaniu się po biurowcu. Wyszedł na ulicę, złapał taksówkę, zmienił ją na wypadek, gdyby ktoś go śledził i pokręcił się po księgarni, póki nie nadszedł czas na spotkanie z Melody.

Restauracja nazywała się „Bomb Shelter”. Jej wystrój nawiązywał do lat pięćdziesiątych. Usiedli we wnęce, w której fotele pochodziły z kabrioletu desoto z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Melody była typową dziewczyną z Teksasu. Urodziła się i wychowała w Fort Worth i pracowała dla Time-Quest od roku.

– Pani Harper mówiła mi o wielkim szefie, panu Halconie – powiedział, gdy już jedli. – Poznała go pani?

– Nie osobiście, ale widuję go codziennie. Zostaję zawsze w biurze godzinę dłużej niż wszyscy, dzięki temu mogę się uczyć. Chodzę na kurs prawa. – Uśmiechnęła się. – Nie zamierzam zawsze siedzieć w recepcji. Pan Halcon także zostaje do późna i wychodzimy razem. Zjeżdża prywatną windą, czeka na niego limuzyna.

Słyszała, że Halcon mieszka za miastem, ale poza tym wiele o nim nie wiedziała.

– Jak wygląda? – spytał Zawała.

– Smągła cera, szczupły, bogaty. Przystojny w sposób, od którego dostaje się ciarek na plecach. – Roześmiała się. – Może to wynik oświetlenia garażu.

Melody była inteligentna i dowcipna. Kiedy zapisywał jej numer telefonu, by umówić się na wieczorny rajd po lokalach, czuł się jak oszust. Postanowił po powrocie do Waszyngtonu przeprosić ją przez telefon. Po lunchu znalazł bibliotekę i wyszukał w Internecie informacje o Halcon Industries. To, co znalazł, pasowało z grubsza do tego, co mówiła pani Harper. Potem wynajął nie rzucający się w oczy średniej wielkości samochód i wziął broszurę dla turystów o Alamo. Podczas oczekiwania na tajemniczego pana Halcona mógł z powodzeniem wchłonąć nieco historycznych wiadomości o Teksasie.

## 30

Odkładając słuchawkę na widełki, Nina Kirow uśmiechnęła się na myśl, jak barwne stało się jej życie, odkąd spotkała Kurta Austina. Jeśli srebrnowłosy mężczyzna o budowie zawodowego piłkarza i niezwykle oczach nie ratował jej z morza u wybrzeży Maroka i nie prowadził w Arizonie fikcyjnych wykopalisk, pojawiał się z przedziwnymi prośbami. Na przykład teraz: niech pani sprawdzi, czy da się coś dowiedzieć o obiekcie archeologicznym, prawdopodobnie kamiennym, być może przywiezionym przez Kolumba z Jamajki podczas jednej z wypraw, ewentualnie spełniającym funkcję przyrządu nawigacyjnego i niewykluczone, że znajdującym się w Hiszpanii.

Wykręcając numer, pomyślała: „Zaczekajmy, aż Doc się o tym dowie...”

Mianem tym określano doktora J. Linusa Orville’a, profesora Uniwersytetu Harvarda z większą liczbą tytułarnych literek przed nazwiskiem niż jest w alfabecie. Matecznik Orville’a mieścił się w zarośniętych bluszczem murach harwardzkiego Muzeum Peabody’ego. Profesor zyskał światową sławę jako etnolog, specjalizujący się w kulturze Ameryki Środkowej. W środowisku naukowym Cambridge miał opinię błyskotliwego, choć nieco zwariowanego naukowca.

Jazda wokół Harvard Square na antycznym harleyu-davidsonie z wydłużonym przednim widelcem nie jest zajęciem typowym dla większości etatowych profesorów. Kilka lat wcześniej Orville zyskał wielu przeciwników hipnotyzując osoby, które twierdziły, że zostały porwane przez UFO, i publicznie oświadczając, iż jego zdaniem faktycznie uprowadzili je Obcy. Jego numer telefonu był zapisany w notatniku każdego zajmującego się kosmitami reportera w mieście. Kiedy którykolwiek z nich potrzebował notatki o czymś dotyczącym kosmosu, a zwłaszcza kosmitach, mógł polegać na starym dobrym Docu, profesorze Harvardu.

Orville starannie oddzielał zainteresowanie ezoteryką od zajęć akademickich. Nigdy nie twierdził, że azteckie świątynie zostały zbudowane przez

uciekinierów z zaginionych kontynentów, takich jak Atlantyda czy Mu. Kierownictwo Harvardu tolerowałoby tego typu dziwactwa – każdy uniwersytet ma stałego wariatuńca – ale Doc uważał, że w dziedzinie, którą zajmuje się zawodowo, jego opinia musi pozostać nieposzlakowana. Ktoś zauważył kiedyś, że błysk w oku Orville’a nie pochodzi z szaleństwa, ale z rozważenia. Wysunął hipotezę, że jego ekscentryczność jest perfekcyjnie wyrachowana i służy łatwiejszym kontaktom z kobietami oraz uzyskiwaniu zaproszeń na odpowiednie przyjęcia.

Doc przestał zajmować się UFO tuż przed poznaniem Niny na jednym z takich spędów. Wyspiegował Ninę natychmiast, oddalił się od atrakcyjnej studentki, którą właśnie zabawiał, i ruszył prosto w kierunku nowej zwierzyny. Nigdy przedtem go nie spotkała, ale rozpoznała go po burzy długich rudych włosów. Fryzurę tę studenci określali mianem „retro Einstein”. W ciągu kilku minut opowiadał o swej najnowszej pasji: poprzednich wcieleniach.

Nina słuchała uważnie, po czym spytała:

– Dlaczego każdy, kto już kiedyś żył, był w poprzednim wcieleniu królem, królową albo inną szlachetnie urodzoną osobą, skoro większość ludzi w tamtych czasach stanowili zawszeni chłopci, próbujący wydrzeć błotu coś do jedzenia?

– Ach! – odparł, a oczy zapłonęły mu z radości. – Niebezpieczna kobieta. Sceptyczka. Odpowiedź jest bardzo prosta. Ci ludzie wybrali, w czym ciele zamieszkają w nowym życiu. Co pani na to?

– Moim zdaniem to humbug i uważam, że potrzebny mi jeszcze jeden kieliszek wina. Byłby pan tak uprzejmy? Wolę czerwone.

– Z przyjemnością – powiedział i ruszył do baru jak wierny pies. Wrócił z pełnym kieliszkiem wina oraz talerzem krewetek i kawioru. – Nie rozmawiajmy o poprzednich wcieleniach – poprosił. – Robię to tylko dlatego, by fascynować kobiety.

– Naprawdę? – spytała Nina, zaskoczona jego uczciwością.

– I po to, by zapraszano mnie na przyjęcia. To działa. Proszę – jestem tu i rozmawiamy.

– Jestem rozczarowana. Wszyscy mówili mi, że pan zbzikował.

– Nawet nie wiem, jak to słowo przeliterować – odparł z westchnieniem. – Wie pani, my profesorowie jesteśmy taką nudną, szarą, staroświecką bandą... Traktujemy się zbyt poważnie, pochrząkujemy, jakbyśmy posiadli nieograniczoną wiedzę, a nie byli tylko przeuczonymi tetrykami. Cóż złego w byciu nieco barwniejszym, odróżnianiu się od tłumu? Na dokładkę ma się jeszcze tę przyjemność, że unikają mnie okropni starzy mąciociele budżetowi.

– Porwani przez UFO... to wszystko lipa?

– Boże, skądże! Naprawdę wierzę, że oni uważają, iż zostali porwani. Niektórzy moi koledzy też w to wierzą. Zazdroszczą jedynie, że nie ich porwano. Porozmawiajmy jednak o pani. Słyszałem dużo dobrego o pani pracy.

I rozmawiali. Za szaloną fasadą zwariowanego profesorka kryła się ciekawa, żywa osobowość. Nie wytworzył się między nimi – jak chciałby Orville – układ erotyczny, ale zostali przyjaciółmi i szanującymi się nawzajem kolegami po fachu.

– Orville – rozległo się w słuchawce. Doc nigdy nie mówił „dzień dobry” ani „słucham”.

– Cześć Doc, tu Nina. – Nienawidził gładzenia, więc przeszła od razu do sedna sprawy. – Potrzebuję twojej pomocy w dziwnej sprawie.

– „Dziwactwo” to moje drugie imię. Co mogę dla ciebie zrobić?

Nina przedstawiła mu prośbę Austina.

– Wiesz, to mi coś przypomina.

– Nie żartujesz, Doc?

– Nie, nie, nie! Miałem coś na ten temat w mojej Teczce Fortowskiej. – Orville uważał się za współczesnego Charlesa Forta, dziewiętnastowiecznego dziennikarza, który zbierał informacje o różnych niecodziennych wydarzeniach, takich jak czerwony śnieg, niewiadomego pochodzenia światło czy spadające z nieba żaby.

– Dlaczego mnie to nie zaskakuje?

– Uzupełniam tę teczkę na bieżąco. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś zadzwoni i zada zwariowane pytanie. – Bez pożegnania odłożył słuchawkę. Orville znany był także z tego, że nigdy się nie żegnał.

Nina wzruszyła ramionami i wróciła do pracy. Po kilku minutach zabuczał faks i wysunęła się z niego pojedyncza kartka. Na górze ręcznie napisano: „Prosisz i dostajesz. Całuję, Doc”. Była to kopia wycinka prasowego z „Boston Globe” z marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

## TAJEMNICZY WŁOSKI OBIEKT ARCHEOLOGICZNY W DRODZE DO AMERYKI

Genua, Włochy (AP)

Tajemnicza kamienna tablica, znaleziona w zakurzonej piwnicy w muzeum może już wkrótce zdradzi swe starożytne tajemnice.

Wielka stela, w której wyrzeźbiono postacie naturalnej wielkości i dziwne napisy, została odkryta w marcu bieżącego roku w Muzeum Archeologicznym we Florencji.

Dokonano szeregu przygotowań, by przewieźć obiekt do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostanie przebadany przez specjalistów.

Muzeum planowało organizację wystawy pod nazwą „Skarby z piwnicy”, której celem było wydobycie na światło dzienne znajdujących się w jego zbiorach przedmiotów, od dziesięcioleci marniejących w magazynach.

Kamienny artefakt ma kształt prostokąta, co stało się przyczyną spekulacji, że mógł być kiedyś częścią muru. Ma około dwóch metrów długości, metr dwadzieścia szerokości i trzydzieści centymetrów grubości.

Tym, co zaskoczyło uczonych, którzy widzieli płytę, a także wywołało kontrowersje w kręgach naukowych, były rzeźbienia na jednej ze stron kamienia.

Niektórzy twierdzą, że zarówno postacie, jak i pismo są bez wątpienia pochodzenia środkowoamerykańskiego, prawdopodobnie majowskiego.

„To nie jest wielka sensacja – powiedział doktor Stephano Gallo, główny kustosz muzeum. – Nawet jeśli płytę zrobili Majowie, mogła zostać przywieziona z Ameryki podczas hiszpańskiej konkwisty”.

Zastanawiające, dlaczego Hiszpanie przewieźli płytę przez ocean.

Hiszpanie interesowali się głównie złotem i niewolnikami, nie archeologią. Ktoś musiał dostrzec w tym przedmiocie jakąś wartość, inaczej nie zadawałby sobie trudu transportowania go. Nie jest to miniaturowa figurka wojskowego, którą żołnierz Corteza wziął sobie na pamiątkę.

Próby ustalenia, skąd artefakt wziął się w muzeum, jak na razie nie przyniosły wielkiego efektu. Z katalogu muzeum wynika, że płyta została darowana muzeum przez powierników majątku rodziny Albertich. Drzewo genealogiczne rodziny Albertich rozpoczyna się, po kądzieli, na hiszpańskim dworze, czasów Ferdynanda i Izabeli.

Rzecznik zarządu majątkiem przekazał, że rodzina Albertich nie ma informacji o pochodzeniu płyty. Ród Albertich pochodzi z Genui. Jego członkowie zakupili wiele dokumentów należących do Krzysztofa Kolumba oraz pamiątek po nim od Luisa Kolumba, wnuka odkrywcy.

Historycy, którzy przejrzyli zapiski z czterech wypraw Kolumba, nie znaleźli wzmianki o artefakcie.

Kamień wkrótce wyruszy w podróż przez ocean. Zostanie przetransportowany do Muzeum Peabody’ego przy Uniwersytecie Harvarda w Cambridge w stanie Massachusetts, gdzie przebadają go amerykańscy specjaliści. Tym razem będzie podróżował elegancko, na pokładzie luksusowego włoskiego liniowca „Andrea Doria”.

Ze względu na wielkość i ciężar, będzie przewożony w opancerzonej furgonetce, wiozącej do Ameryki także inne cenne przedmioty.

Artykuł zilustrowano zdjęciem płyty. Tuż obok kamienia stał w dziwnej pozie nie zidentyfikowany mężczyzna, wyglądający przy nim jak karzeł. Fotograf musiał dla ukazania skali obiektu złapać pierwszego lepszego przechodnia. Gazetę wydrukowano w czasach, kiedy tekst składano z czcionek ołowianych, więc zdjęcie nie było ostre. Widać na nim niewyraźnie wyryte w kamieniu symbole, hieroglify i postacie. Nina obejrzała zdjęcie przez lupę, ale to nic nie dało. Powiększony raster robił się jeszcze bardziej nieczytelny. Zadzwoiła do Doca.

– No i co o tym sądzisz? – spytał.

– Ważne jest, co ty sądzisz. Ty jesteś w tej dziedzinie ekspertem.

– No tak, oczywiście, masz rację. – Skromność Orville’a mogła powalić. – Trudno cokolwiek powiedzieć bez obejrzenia oryginału, ale kamień przypomina nieco „Kodeks Drezdeński”, jedną z książek Majów, której Hiszpanie nie spalili. Przychodzą mi na myśl kartki kalendarza, cykle Wenus i tak dalej. Planeta Wenus była dla postklasycznych Majów bardzo ważna. Reprezentowała Kukulcana, jasnoskórego brodatego boga, którego Toltekiem zwali Quetzalcoatl. Pierzasty Wąż. Majowie obliczyli ruch Wenus z dokładnością niemal co do sekundy. Więcej nie mogę powiedzieć, nie widząc oryginału.

– To wszystko?

– Wszystko, dopóki nie zobaczę dobrego zdjęcia albo artystycznej kopii.

– A co powiesz na temat komentarza profesora Galla, że to wcale nie jest wielka sensacja?

– Ma całkowitą rację. Samo znalezienie pochodzącego z kultury Majów artefaktu we Włoszech to nic wielkiego. Nie jest to bardziej podniecające od wejścia do British Museum w Londynie i obejrzenia marmurów z Partenonu. Jak sama wiesz, najważniejszym elementem równania jest pochodzenie. Nie to, gdzie znaleziono artefakt, ale jak się tam znalazł.

– A co z listem Kolumba, o którym ci opowiadałam? Wspomina się w nim o czymś podobnym do tej płyty. Jak to się łączy z informacją o należącej do rodziny Albertich kolekcji kolumbianów?

– Nie można wyciągać wniosków na podstawie starego artykułu prasowego. Mówiłaś przecież o wątpliwościach co do autentyczności tego listu. Gdyby nawet był prawdziwy, potrzebowalibyśmy więcej dowodów, że chodzi o ten sam obiekt. Choć przyznam, że to nęcąca myśl. Możliwe, że Kolumb przetransportował płytę do Europy tak, że nikt się o tym nie dowiedział. Słynął z kretactw. Niektórzy uważają, że podczas pierwszej wyprawy fałszował zapisy dotyczące pokonanej odległości, by załoga nie wiedziała, jak daleko statek jest od lądu. Ukrywanie faktów leżało w charakterze Kolumba. Niestety, musimy pamiętać, że jesteśmy naukowcami, a nie autorami popularnych fabularyzowanych bzdur o archeologii.

Orville miał rację. Wyciąganie takich wniosków byłoby nieprofesjonalne.

– Włoski profesor słusznie zauważył, że Hiszpanie nie interesowali się nauką, tylko plądrowaniem – stwierdziła Nina.

– To prawda. Cortez nie był Napoleonem, który sprowadził naukowców, by odkryli kamień z Rosetty.

Ciekawe. Ona też myślała o kamieniu z Rosetty, bazaltowej steli, na której zapisano ten sam tekst po grecku i po egipsku, dzięki czemu udało się odczytać hieroglify.

– Dałabym niemal wszystko, by zobaczyć ten obiekt w naturze.

– Hmm... chciałbym cię wziąć za słowo. Niestety, nasz artefakt nie jest łatwo dostępny.

– Oczywiście. Ależ jestem głupia! „Andrea Doria”. Statek zderzył się z innym statkiem.

– Ze „Stockholmem”. W wyniku tego nieszczęśliwego wypadku interesujący nas obiekt leży siedemdziesiąt metrów pod wodą, na dnie Atlantyku. Możemy jedynie mieć nadzieję, że smakuje rybom. Szkoda. Może dałoby się dzięki niemu udowodnić istnienie Atlantydy albo czegoś innego, co zasługiwałoby na umieszczenie na pierwszych stronach gazet. „Szalony naukowiec znów uderza” i tak dalej.

– Jestem pewna, że znajdziesz coś równie kontrowersyjnego – ciepło powiedziała Nina. – Dzięki za pomoc, Doc.

– Miło, że zadzwoniłaś. Dużo podróżujesz. Co powiesz na lunch w tym tygodniu?

Nina poprosiła o telefon następnego dnia rano. Będzie miała czas zajrzeć do kalendarza. Tuż po rozmowie z Orville’em zadzwoniła do „Boston Herald” i poprosiła o połączenie z redakcją wiadomości. Po chwili kobiecy głos powiedział:

– K. T. Pritchard.

– Cześć, Kay Tee. Twoja miła znajoma archeolożka prosi o przysługę. Masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze, doktor Kirow. Masz szczęście. Właśnie skończyłam artykuł. Dopóki będę sprawiała wrażenie, że pracuję, nikt mi nie da nic nowego. Co mogę dla ciebie zrobić?

Pritchard korzystała z wiedzy Niny przy pisaniu nagrodzonej serii artykułów, kiedy bostońskie Muzeum Sztuk Pięknych nieświadomie kupiło kradzioną etruską wazę. Zawsze chciała się odwdziżyć. Nina poprosiła ją o informacje dotyczące antycznego kamienia przewożonego z Włoch na pokładzie „Andrei Dorii”.

– Sprawdzę w „kostnicy” i oddzwonię.

Telefon zadzwonił mniej więcej po godzinie.

– Już? – powiedziała ze zdziwieniem Nina.

– Wszystko jest na mikrofilmach, a to się szybko przegląda. Zaraz po katastrofie napisano tony o „Andrei Dorii”. Potem pisano o śledztwie, ale dałam sobie z tym spokój. Statek wiozł mnóstwo cennych towarów, sam był też czymś na kształt pływającego muzeum. Nigdzie jednak nie wspomniano o czymś podobnym do tego kamienia. Sprawdziłam wydania rocznicowe. Wiesz, jak gazety lubią wspominać katastrofy, by móc pisać o nich *ad nauseam* w czasie, kiedy nie ma ciekawych wiadomości. Znalazłam artykuł napisany w trzydziestolecie. Dotyczył bohaterów i tchórzy. Niektórzy członkowie załogi zwiiali, podczas gdy inni zasłużyli na medale. W każdym razie był wywiad z jednym z nich. Pracował na „Andrei Dorii” jako kelner. Mówiłaś, że rzecz, o którą ci chodzi, transportowano w opancerzonej furgonetce?

– Tak. Tak wynika z doniesienia Associated Press.

– Hmm... cóż, w każdym razie ten kelner powiedział w wywiadzie, że kiedy statek tonął, widział jak rabowano opancerzoną furgonetkę.

– Rabunek!

– Dokonany przez grupę uzbrojonych ludzi. Furgonetka znajdowała się w ładowni.

– Niesamowite! Co jeszcze powiedział?

– Nic. Wspomniał o tym opowiadając dziennikarzowi, że poszedł do ładowni w poszukiwaniu podnośnika samochodowego, potrzebnego do uwolnienia zakleszczonego pasażera. Zadzwoiłam do gościa, który robił wywiad. Charlie Flynn. Prawdziwy weteran. Teraz jest na emeryturze. Próbował wydusić z kelnera więcej, sądził, że może zrobić z tego wątku główny temat artykułu. Nieznany incydent. Tonący statek. Zamaskowani mężczyźni. Dramat pod pokładem i tego typu sprawy. Facet się zaciał. Nie chciał o tym więcej mówić. Wręcz zmienił temat. Bardzo się zdenerwował. Poprosił Charliego, by nie wspominał o wydarzeniu w artykule.

– Ale on to zrobił?

– Tak dawniej było. To, co powiedziałaś, trafiało do druku. Nie tak jak dziś, kiedy prawnicy ciągle patrzą człowiekowi na łapy. Charlie ukrył jednak informację na samym końcu artykułu. Redaktor wydania prawdopodobnie uznał, że sprawa jest za mało udokumentowana, by się o niej rozpisywać, ale mimo wszystko stanowi pikantny ozdobnik. Charlie rozmawiał z innymi osobami, które przeżyły katastrofę statku. Chciał sprawdzić, czy ktoś potwierdzi słowa kelnera, ale nikt o tym nawet nie słyszał.

– Jak nazywa się ten kelner?

– Przefaksuję ci wycinek, ale zaczekaj. Mam. Był Włochem. Nazywał się Angelo Donatelli.

– Masz jego adres?

– Mieszkał wtedy w Nowym Jorku. Charlie mówił, że prowadził modną restaurację. To wszystko, co o nim wiem. Czy jest to temat na artykuł?

– Nie wiem, Kay Tee. Jeśli tak, dowiesz się pierwsza.

– O więcej nie proszę. Dzwoni o każdej porze.

Nina odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się przez kilka minut w przestrzeń. Próbowła jakoś powiązać wielką kamienną płytę z czasów Kolumba z katastrofą na morzu, rabunkiem z bronią w ręku i masakrą w Maroku. Nie miała żadnego pomysłu. Łatwiej byłoby znaleźć związki między sumeryjskim piśmem klinowym a kreteńskim piśmem linearnym B. Poddała się i zadzwoniła do Kurta Austina.

## 3 1

Znalezienie Angela Donatellego okazało się zaskakująco łatwe. Austin po prostu poszukał jego nazwiska w Internecie i znalazł piętnaście odnośników, w tym artykuł z „Business Week”, w którym przedstawiano awans Donatellego „ze szmaciarza na bogacza” – od najniższego rangą kelnera do podawania koktajli po właściciela jednej z najmodniejszych nowojorskich restauracji. Zdjęcie Angela, zrobione podczas rozmowy z głównym kucharzem, ukazywało siwowłosego mężczyznę w średnim wieku, który wyglądał bardziej na dystyngowanego europejskiego dyplomatę niż na restauratora.

Austin zadzwonił do informacji telefonicznej i już po minucie rozmawiał z życzliwym zastępcą dyrektora restauracji.

– Pana Donatellego dziś nie będzie – powiedział.

– Kiedy najłatwiej go złapać?

– Powinien jutro wrócić z Nantucket. Może pan spróbuje zadzwonić po piętnastej.

Nantucket. Austin dobrze znał tę wyspę u wybrzeży Massachusetts. Zatrzymywał się tam kilka razy, żeglując do Maine. Spróbował zdobyć numer Donatellego w Nantucket, ale zastrzeżono go. Kilka minut później rozmawiał z porucznikiem Coffinem z wydziału policji w Nantucket. Austin przedstawił się jako pracownik NUMA i powiedział, że chciałby nawiązać kontakt z Angelem Donatellim. Liczył na to, że policjanci z małych miasteczek wiedzą o wszystkim i znają każdego na swoim terenie.

Policjant potwierdził, że Donatelli ma na wyspie letni dom, ale zachował ostrożność.

– Co Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych chce od pana Donatellego?

– Zbieramy materiały na temat katastrof na morzu. Pan Donatelli był na pokładzie „Andrei Dorii”, kiedy statek został staranowany.

- Słyszałem o tym. Widziałem się z nim kilka razy. Miły człowiek.
  - Próbowałem się do niego dodzwonić, ale ma zastrzeżony numer.
  - Taaak... większość ludzi mieszkających tam ma zastrzeżone numery.
- Po to budują wielkie domy, by mieć spokój.
- Mógłbym przylecieć dziś po południu na wyspę i spróbować się z nim skontaktować.
  - Coś panu powiem. Kiedy pan będzie na miejscu, proszę wpaść do komisariatu przy Water Street i zapytać o mnie. Pokażę na mapie, gdzie on mieszka.

Dobry glina, uznał Austin. Nie zamierzał ujawniać informacji o właścicielu drogiej posiadłości na swoim terenie bez sprawdzenia człowieka, który szuka tej informacji.

Austin nigdy by się nie spodziewał, że Nina tak szybko znajdzie trop.

Zawała był w Teksasie, Trout na Jukatanie, czemu więc nie wepchnął w harmonogram krótkiej rozmowy z Donatellim? Wykorzystał rządowe układy, by załatwić miejsce w niewielkim samolocie, wożącym ludzi do pracy i z powrotem do domów, między Waszyngtonem a Nantucket. Kilka godzin później siedział w lecącym na północny wschód „przeskakiwaczu kałuż”.

Podczas lotu miał czas zajrzeć do teczki, którą Yaeger rzucił mu na biurko tuż przed wyjściem z NUMA. Austin poprosił informatyka o przewertowanie elektronicznych zasobów pod kątem wiadomości o Bractwie, szesnastowiecznym tajnym towarzystwie, o którym rozmawiał z Perlmutterem przy lunchu. Także o sprawdzenie wszystkich powiązań *Los Hermanos* z Krzysztofem Kolumbem. Austin pogapił się chwilę przez okienko na migoczący w dole ocean, po czym otworzył teczkę i zaczął czytać notatkę Yaegera.

Cześć, Kurt!

Chyba mam! Nurkowałem w morzu tajnych stowarzyszeń tak głęboko, że o mało się nie utopiłem, ale aspekt kolumbowski zawęził pole poszukiwań. Poszedłem za informacją, jaka pojawiała mi się na ekranie komputera z różnych dziwnych źródeł. Chodzi o jednozdaniowy odnośnik, że Kolumb miał być związany z grupą o nazwie Bractwo Świętego Miecza Prawdy (lubiono wtedy długie nazwy). Nie mogę określić, czy był jej członkiem. Prawdopodobnie nie.

Bractwo zostało założone tuż po tysiąc czterechsetnym roku, w epoce działania hiszpańskiej inkwizycji, przez archidiacona Hernanda Pereza, opata potężnego klasztoru, którego zakonnicy znani byli ze skrajnych postaw religijnych. Bardzo lansowali samobiczowanie i włosiennice. Perez plasował się jeszcze kawałek w prawo od Torquemady, głównego szefa inkwizycji. Wybierał ze swojego klasztoru najbardziej fanatycznych zwolenników. Bracia stanowili zaufany rdzeń jego ekipy.

Kiedy Perez nienawidził, to z całej duszy. Miał zdecydowane poglądy, a do osiągnięcia swoich celów lubił używać przemocy i morderstwa.

Dawał swoim chłopcom rozgrzeszenie bez względu na to, ile przelali krwi przy realizacji celu, jaki im stawiał, czyli usuwaniu heretyków. Zresztą dobrze się przy tym wzbogacił. Odebranych ofiarom majątkiem dzielił się z inkwizycją. Bractwo działało w ukryciu i ujawniało niewiernych, by wrzucić ich w morderczą maszynę inkwizycji. Czasami Perez wysyłał własne oddziały zabójców. Za określoną cenę mógł dopilnować, by oszczędzono potencjalną ofiarę. Dopóki mogła płacić.

Oskarżenie o herezję mogło obejmować wiele spraw. I tu pojawia się nowy aspekt: w owych czasach uznawano za heretyka także tego, kto twierdził, że Kolumb odkrył Amerykę! Pismo Święte nie wspomina słowem o Ameryce, a zatem byłoby to nie do pogodzenia z koncepcją Adama i Ewy. Za to kiedy Kolumb twierdził, że dotarł do Indii albo do Chin, popierano go.

Prawdziwe powody były oczywiście natury politycznej. Kościół i Państwo stanowiły jedno i to samo. Kto stawiał pod znakiem zapytania dogmat kościelny, zagrażał tronowi. Gdyby pojawiły się wątpliwości co do kościelnej nauki geografii, masy mogły postawić pytanie, dlaczego muszą głodować, podczas gdy królowie i biskupi są znakomicie odżywieni. Długo by nie potraowało, a motłoch ruszyłby na pałace.

Stawką były także miliony. Hiszpania chciała bogactw Nowego Świata tylko dla siebie. Gdyby inne kraje udowodniły, że Kolumb nie był pierwszym odkrywcą Indii, rywale Hiszpanii, na przykład Portugalczycy, mogliby żądać części ziem i bogactw. Złoto oznaczało nowe okręty wojenne i armie, mówimy więc tak naprawdę o problemie dominacji w Europie. Dlatego inkwizycja, instrument terroru hiszpańskiego państwa, uznała pogląd, że istnieje kontynent z innymi cywilizacjami, którego mieszkańcy kontaktowali się ze Starym Światem przed Kolumbem, za herezję karaną spalaniem na stosie.

O tym, jak pogląd ten był dla inkwizycji niebezpieczny, świadczy fakt, że Amerigo Vespucci został wysłany przez króla z tajną misją sprawdzenia odkryć Kolumba. Kiedy Vespucci wykazał, że Kolumb nie odkrył krótszej drogi morskiej do Indii, lecz nowy kontynent i prawdopodobnie dotarł tam pierwszy, ogłoszono go heretykiem i kazano się tego wyprzeć. Czyniąc z istnienia kontaktów prekolumbijskich zdradę stanu, Hiszpanie *de facto* potwierdzili ich istnienie. Torquemada był kutym na cztery nogi starym diabłem. Stwierdził, że jeśli nawet Indianie mówią, że mieli gościa z zachodu, którego nazwali Quetzalcoatl, to musiał on być biały i pochodzić z Hiszpanii. Oznaczało to, że prawa do nowych lądów należały się Hiszpanii już przed urodzeniem się Kolumba.

Potwierdziłem, że pięciu marynarzy zmarło po posiłku w domu Kolumba. Nie mogę mieć pewności, że Bractwo miało z tym coś wspólnego. Mogło to być zatrucie pokarmowe. Nie znalazłem nic na temat Bractwa po tysiąc sześćsetnym roku. Może zakończyli działalność razem z inkwizycją. Materiał źródłowy w załączeniu. Mam nadzieję, że coś ci to pomoże.

Resztę teczki wypełniały materiały źródłowe. Austin przejrzał plik papierów i uznał, że geniusz komputerowy wykonał znakomitą robotę. Wątek Bractwa był fascynujący, szczególnie sprawa jego udziału w zatajaniu wiedzy o kontaktach między Starym a Nowym Światem. Był tylko jeden problem. Bractwo nie działało od ponad trzystu lat.

Pilot oznajmił, że samolot przelatuje właśnie nad Martha's Vineyard. Na wschód od Vineyard widać było przypominającą kształtem kotlet wyspę Nantucket. Nad wietrznymi wrzosowiskami i długimi, białymi plażami wzdłuż brzegów unosiła się mgła znad oceanu. Nietrudno było się domyślić, dlaczego wyspa przyciągnęła kapitana Ahaba z jego drewnianą nogą, kwakerskich kapitanów statków wielorybicznych i innych właścicieli statków, którzy zrobili fortuny na wielorybnictwie. U wybrzeży Nantucket rozpoczęła się droga, którą statki wielorybiczne mogły płynąć na wszystkie siedem mórz świata, na trwające często latami wyprawy.

Na lotnisku Tom Nevers Austin wynajął samochód i pojechał do miasta. Mijał majestatyczne ceglane domy, zbudowane dzięki majątkom zbitym na tranie. Podskakując na nierównościach, pokonał szeroką główną ulicę, którą wyłożono kamieniami używanymi w dawnych żaglowcach jako balast; potem graniczącą z portem Water Street. Dojechał do budynku, w którym mieściły się komisariat policji i straż pożarna.

Porucznik Coffin był mężczyzną wysokim, chudym jak strąk fasolki szparagowej. Miał wysokie kości policzkowe i wydatny, kościsty nos, który najwyraźniej widywał za wiele słońca. Kiedy Austin się przedstawił, opadła mu szczęka.

– Ale pan się szybko zjawił – powiedział, mierząc wzrokiem potężnego gościa z przedwcześnie posiwiałymi włosami. – Macie w NUMA prywatne samoloty?

– Tylko niektórzy. Mnie udało się złapać korzystny lot. To była dobra wymówka, by wyrwać się z Waszyngtonu.

– Trudno się dziwić, że miał pan ochotę stamtąd uciec. O tej porze roku wyspa jest cholernie piękna. No i nie ma tłumów. – Orzechowe oczy zwęziły się. – Żeby się pan nie zdziwił... po naszej rozmowie zadzwoniłem do NUMA.

– Nie mam pretensji.

Coffin uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że pan nie zalewał. Jesteśmy tu na luzie, ale ostrożności nigdy za wiele. W Nantucket mieszka masa bogatych ludzi; mają tu domy i płacą duże podatki. Nie widziałem jeszcze włamywacza, który pytałby policję, gdzie jest dom, który zamierza obrabować, ale nigdy nic nie wiadomo. Dobrze, że pan zadzwonił. Miejscowi dbają o siebie nawzajem, więc pewnie skierowaliby pana na drugi koniec wyspy. Pokażę panu, jak dotrzeć do domu Donatellego. – Rozłożył na kontuarze mapę turystyczną. – Niech pan pojedzie Polpis Road aż do żwirowej drogi, przed którą stoi skrzynka pocztowa ze statkiem. – Coffin wyrysował trasę żółtym flamastrem.

Austin podziękował policjantowi i wedle wskazówek wyjechał z miasta. Wkrótce znalazł się na wąskiej, krętej drodze, która biegła przez sosnowy las. Potem mijał kolejne farmy i zarośnięte żurawiną mokradła. Przy skrzynce pocztowej, na której widniał metalowy, czarno-biały model liniowca oceanicznego, Austin wjechał na zwirową drogę. Minał skarłowaciały las i wyjechał na sfalowane wrzosowisko. Rozciągające się jak liny macki mgły, te same, które widział z powietrza, niosły przenikliwy zapach morza.

Wielki dom wychynął nagle z mgły. Wyglądał na opuszczony. Nie stał przed nim żaden samochód i choć zapadał zmrok, w środku nie paliło się światło. Austin zaparkował na wysypanym kruszonymi muszlami podejździe w kształcie podkowy, przeszedł ścieżką przez duży, znakomicie utrzymany trawnik do otwartej na wszystkie strony werandy i zadzwonił do drzwi. W środku domu rozległ się dźwięk kurantów. Nic się jednak poza tym nie wydarzyło. Może kierownik restauracji pomylił się? Może Donatelli zmienił plany i wrócił do Nowego Jorku wcześniej, niż planował?

Austin zmarszczył czoło. Może w ogóle było to polowanie na nie istniejącego zwierza. Od początku próba powiązania rabunku na morzu sprzed dziesięcioleci z zabójstwami archeologów była chwytaniem się słomki... Ciekawe, czy uda mu się złapać lot powrotny do Waszyngtonu. Cholera! Wyruszy do domu z samego rana, pierwszym możliwym samolotem. Chociaż podjął już decyzję, postanowił jednak zbadać teren. Zszedł z werandy i zaczął obchodzić działkę.

Nantucket dotknęła plaga „domów-trofeów”, tak wielkich, że wyglądały jak małe hotele. Budowali je zamożni ludzie, którzy w liczbie metrów kwadratowych widzieli sposób na pognębienie sąsiadów. Dom Donatellego był ogromny. Architektowi udało się połączyć włoski styl z bardziej tradycyjnymi, szarosrebrnymi gontami i białymi obramowaniami okien. Dawało to dobry efekt.

Za domem znajdował się spory ogród warzywny. Obok stała huštawka, a przy niej zjeżdżalnia dla dzieci. Austin poszedł za odgłosem rozbijających się fal. Przeciął duży trawnik, dotarł do piaszczystego skraju klifu i przez chwilę stał na szczycie prowadzących w dół, ku plaży, smaganych wiatrem schodów. Mgła skrywała plażę i tłumiła odgłos oceanu. Odwrócił się i popatrzył na dom. Ledwie było go widać we mgle i zapadających ciemnościach.

Uznawszy, że zrobił co mógł, Austin wrócił do samochodu. Napisał na kartce swój numer telefonu i prośbę do Donatellego o jak najszybszy kontakt. Wrócił do drzwi wejściowych. Była to dość prymitywna metoda komunikowania się, ale mogła okazać się skuteczna. Po powrocie do biura zadzwonił.

Wszedł na werandę i wetknął zwiniętą kartkę pod ozdobną kołatkę. Uznał, że ciężki mosiądz uchroni ją przed porwaniem przez wiatr. Zaraz jednak dotarło do niego, że ma poważniejsze zmartwienie niż wiatr. Do karku przy-

stawiono mu twardy, zimny metal. Rozległ się charakterystyczny trzask naciągania kurka dużej strzelby. A przecież nie słyszał najmniejszego dźwięku, najcichszego odgłosu kroków...

– Ręce do góry – powiedział chrapliwy głos. – Nie odwracaj się. – Mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem.

Austin powoli podniósł ręce.

– Pan Donatelli?

– Zamknij się – powiedział człowiek za plecami, podkreślając polecenie silnym dźgnięciem lufą w kark. Wyćwiczona ręka przeszukała Austina i zręcznie wyłuskała mu z kieszeni portfel. Mężczyzna kazał mu wejść zewnętrznymi schodami, prowadzącymi z werandy na taras, otaczający z trzech stron piętro domu. Mgła jeszcze bardziej zgęstniała i w półmroku Austin nie dostrzegłby opartej o poręcz postaci, gdyby jego uwagi nie zwrócił pomarańczowy ogień i zapach mocnego tytoniu.

– Siadaj! – rozkazał mężczyzna z bronią.

Austin zrobił, co mu kazano. Opadł na wilgotne od rosy krzesło, takie, jakie stawia się na pokładach statków pasażerskich. Celując nadal w Austina, mężczyzna z bronią powiedział coś po włosku do palacza. Konferowali przez minutę.

Postać we mgle spytała w końcu:

– Kim jesteś?

– Nazywam się Kurt Austin i pracuję dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Przerwa.

– Tak, to by pasowało. Tę samą historyjkę opowiedziałeś porucznikowi Coffinowi. – Mężczyzna mówił z akcentem, ale nie tak wyraźnym jak jego pomocnik z bronią.

– Rozmawiał pan z Coffinem?

– Oczywiście. Policja stara się, by mieszkańcy letnich rezydencji byli zadowoleni. Zwłaszcza ci, którzy mają spory wkład w ich fundusz na zakup sprzętu. Poprosiłem go, by informował mnie o każdej osobie, która o mnie pyta. Zaproponował, że przyjedzie, ale powiedziałem, że sam sobie poradzę.

– W takim razie pan jest Donatelli.

– Ja zadaję pytania. – Kolejne ostre dźgnięcie w szyję. – Kim jesteś naprawdę?

– W moim portfelu jest legitymacja.

– Legitymacje można fałszować.

Donatelli nie zamierzał się tanio sprzedać.

– Porucznik Coffin dzwonił do NUMA i potwierdził, że jestem tym, za kogo się podaję.

– Nie wątpię, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Interesuje mnie, kim jesteś naprawdę.

Austin tracił cierpliwość.

– Naprawdę nie rozumiem, o czym pan mówi, panie Donatelli.  
– Dlaczego wielka rządowa agencja NUMA chce ze mną rozmawiać? Prowadzę restaurację w Nowym Jorku. Jedyne, co mnie łączy z oceanem, to owoce morza, które kupuję na targu rybnym w Fulton.

Rozsądne pytanie.

– Był pan na „Andrei Dorii”.  
– Porucznik Coffin mówił, że wspominałeś o „Dorii”. Ale to żadna nowość, prawda?

– Mamy nadzieję, że może pan mieć pewne informacje dotyczące sprawy, którą prowadzimy.

– Opowiedz mi o tej sprawie... panie Austin. Możesz opuścić ręce, ale nie zapominaj, że kuzyn Antonio pochodzi z Sycylii i jak większość Sycylijczyków nikomu nie ufa. Dość dobrze posługuje się luparą, zwłaszcza na niewielkie odległości.

Lupara to strzelba z obciętą lufą, broń której używała sycylijska mafia, zanim przeszła na pistolety automatyczne i bomby. Antyk, ale śmiertelny.

– Zanim zacznę – spokojnie powiedział Austin – powie pan swojemu kuzynowi Toniemu, że jeśli nie przestanie dźgać mnie w kark, jego lupara trafi tam, gdzie słońce nie dociera.

Austin nie miał najmniejszej możliwości realizacji tej groźby, ale po długim ciężkim dniu, nie mógł znieść, że ciągle się go poszturkuje. Donatelli przetłumaczył. Antonio cofnął się o krok i odsunął na bok. Broń w dalszym ciągu trzymał wycelowaną w Austina. Szczelina w twarzy Sycylijczyka, która mogła być ustami, ułożyła się w grymas, który mógł być uśmiechem.

W ciemności mignął płomyk zapalniczki i ukazał głęboko osadzone oczy Donatellego.

– Słuchamy, panie Austin.

Austin zaczął opowiadać.

– Wszystko zaczęło się w Maroku. – Przeszedł kolejne etapy, aż do chwili obecnej i wyjaśnił, jak dotarł do Donatellego. – Jeden z naszych badaczy natknął się na pańskie nazwisko w artykule prasowym. Kiedy dowiedziałem się, że był pan na statku świadkiem rabunku z bronią w rękę, nabrałem ochoty na rozmowę z panem.

Donatelli przez chwilę milczał, potem powiedział coś po włosku do kuzyna. Krępa postać odeszła, cicho odsunęła przesuwane drzwi, weszła do środka i po chwili w domu zapaliło się światło.

– Wejdźmy do środka, panie Austin. Na zewnątrz jest wilgoć. Źle służy kościom. Muszę pana przeprosić. Myślałem, że jest pan jednym z nich. Nigdy nie zadaliby sobie trudu ułożenia takiej historii. Musi więc być prawdziwa.

Austin wszedł do domu. Donatelli wskazał gestem pluszowy fotel przy wielkim kominku, sam usiadł w fotelu naprzeciwko i pilotem rozpałił ogień.

Przyjemne ciepło zaczęło przenikać przez szklaną szybę. Austin był cały mokry, ale nie od wilgoci w powietrzu.

Spojrzał na parapet kominka, gdzie stał odtworzony z najdrobniejszych szczegółami model „Andrei Dorii”. Stanowił część większej kolekcji, składającej się z pamiątek, zdjęć i obrazów, a nawet elementów wyposażenia statku, rozrzuconych po wielkim salonie. Wszystko miało coś wspólnego z „Dorią”.

Donatelli obserwował Austina. Migoczące światło z kominka ukazywało ciągle jeszcze przystojną twarz mężczyzny po sześćdziesiątce. Gęste falujące włosy szesane gładko do tyłu były bardziej siwe niż na zdjęciu z gazety. Donatelli ładnie się starzał. Miał wysportowaną sylwetkę, a kosztowny niebieski dres i markowe buty sportowe wskazywały na to, że pracuje nad utrzymaniem kondycji.

Kuzyn Antonio stanowił krąćcowe przeciwieństwo. Był niski i przysadzisty. Miał ogoloną na zero głowę i czujne oczy, osadzone w twarzy, która wyglądała, jakby używano jej jako worka treningowego. Nos był złamany, na uszach „kalafiory”, a ziemistą cerę pokrywała sieć blizn. Nosił czarną koszulę i czarne spodnie. Kiedy ponownie się zjawił, trzymał tacę z dwoma kieliszkami i portfelem Austina. Obraz kelnera psuła przewieszona przez ramię strzelba.

– Grappa – poinformował Donatelli. – Wypali wilgoć z naszych kości.

Austin włożył portfel do kieszeni i spróbował wódki. Włoska woda ognista zapiekła w gardło. Bardzo przyjemne uczucie.

Donatelli upił łyczek.

– Jak mnie pan znalazł, panie Austin? Zostawiłem w restauracji wyraźne polecenie, by nikomu nie mówiono, gdzie jestem.

– Powiedziano mi, że jest pan na wyspie.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

– A więc to tyle, jeśli chodzi o moje środki ostrożności. – Donatelli napił się jeszcze trochę i wpatrywał w milczeniu w ogień. Po minucie wbił w Austina świdrujący wzrok. – To nie był rabunek – powiedział po prostu.

– Czyżby gazeta się pomyliła?

– Tak to określiłem dla wygody. Przy rabunku złodzieje coś zabierają. Ci nie wzięli nic poza życiem. – Wykazując znakomitą pamięć do szczegółów i poczucie humoru, Donatelli przedstawił wydarzenia pamiętnej nocy tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Nawet po tylu latach głos mu drżał, kiedy opisywał przechylenie się umierającego statku, podczas gdy on sam wchodził coraz głębiej w zalaną wodą ciemność. Opowiedział o tym, jak zabito uzbrojonych strażników, o swojej ucieczce i jak go uratowano.

– Powiedział pan, że w furgonetce był kamień... Kto zabija z powodu kamienia, panie Austin?

– Może to nie był pierwszy lepszy kamień.

Donatelli pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Panie Donatelli, powiedział pan, że wziął mnie za jednego z „nich”. Kogo miał pan na myśli?

Restaurator starannie dobierał słowa.

– Przez wszystkie lata od katastrofy statku nigdy i nikomu nie mówiłem o tym, co się na nim stało. W artykule wykorzystano coś, co niechcący mi się wymknęło. Wiedziałem zawsze w głębi serca, że nie bez powodu utrzymuje się to wszystko w tajemnicy. Po opublikowaniu artykułu ktoś do mnie zadzwonił i ostrzegł, bym nigdy więcej nie wspominał o incydencie w ładowni. Mężczyzna miał głos jak lód. Wiedział wszystko o mnie i mojej rodzinie. Wiedział, do jakiego fryzjera chodzi moja żona. Znał imiona moich dzieci i wnuków. Wiedział, gdzie mieszkają. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek znów powiem komuś o tamtej nocy, zginę. Najpierw jednak będę patrzył, jak ginie moja rodzina. – Zapatrzył się w ogień. – Pochodzę z Sycylii. Uwierzyłem mu. Nie udzielałem więcej wywiadów. Poprosiłem Antonia, by ze mną zamieszkał. Miał... eee... problemy z władzami w kraju i z radością się tu przeniósł.

Patrząc na poobijaną twarz Antonia i znając jego sprawność w obchodzeniu się z bronią, nietrudno było się domyślić, jakie to były problemy, ale Austin wolał nie drażyć tematu.

– Zakładam, że człowiek, który do pana dzwonił, nie wymienił swojego nazwiska ani nie powiedział, w czyim imieniu przemawia.

– Tak i nie. Nie wymienił nazwiska, ale dał do zrozumienia, że nie działa sam i ma wielu braci.

– Braci... Mógł użyć pojęcia „Bractwo”?

– Chyba właśnie coś takiego powiedział. Słyszał pan o nich?

– Istniało kiedyś Bractwo Świętego Miecza Prawdy. Współdziałali z hiszpańską inkwizycją. Ale to było setki lat temu.

– Mafія też zaczęła działać setki lat temu – odparł Donatelli, rzucając rozbawione spojrzenie w kierunku kuzyna. – W czym różnica?

– Istnienie mafii jest dość dobrze udokumentowane ciągłą działalnością.

– Tak, to prawda. Ludzie w Starym Kraju wiedzieli, że istnieje, wiedzieli też, że Czarna Ręka przeniosła się do Ameryki wraz z emigrantami, ale tutejsza policja nie wiedziała o istnieniu La Cosa Nostra, dopóki nie natknęła się przypadkiem na kogoś, kto złamał *Omerta*. Milczenie albo śmierć.

– Chce pan powiedzieć, że jakaś organizacja może przez stulecia działać w ukryciu?

Donatelli rozłożył ręce.

– Mafія mordowała, wymuszała i rabowała, a mimo to dyrektor FBI, Hoover, przysięgał, że nie istnieje nic takiego jak Cosa Nostra.

Austin zastanowił się nad słowami Donatellogo i uznał, że wcale nie są takie głupie. Rozejrzał się po pokoju.

– Daleko pan zaszedł od czasów kelnerowania – powiedział, patrząc na boazerię z luksusowego drewna i mosiężne okucia.

– Ktoś mi pomógł. Po katastrofie postanowiłem nigdy więcej nie postawić nogi na statku. – Donatelli zachichotał. – Nic bardziej nie pozbawia morza romantyki niż uwięzienie we wnętrzu tonącego statku. Kobieta, którą próbowałem uratować, niestety, zmarła w wyniku obrażeń. Kiedy poszedłem na pogrzeb, jej mąż podziękował mi jeszcze raz i powiedział, że chciałby mi się jakoś zrewanżować. Odpowiedziałem, że moim marzeniem jest niewielka restauracja. Zaoferował mi pieniądze na start w Nowym Jorku na dobrych warunkach, tak że mogłem od razu działać. Opłacał mi także lekcje angielskiego. Nazwałem restaurację „Myra” od imienia żony pana Careya. Z biegiem lat otworzyłem sześć kolejnych restauracji w dużych amerykańskich miastach. Dzięki nim zostałem milionerem i mogę żyć, jak żyję. Ożeniłem się ze wspaniałą kobietą. Dała mi czterech synów i córkę – wszyscy są w biznesie – i wielu, wielu wnuków. – Dokończył grappę i odstawił kieliszek. – Zbudowałem ten dom dla mojej rodziny, ale chyba także dlatego, że stoi blisko miejsca, gdzie zatonął statek. W mgliste noce, jak ta, wracają wspomnienia. Panie Austin, dla wielu ludzi, tak jak dla pana Careya, ten wypadek był czymś strasznym. Moje życie zmienił jednak na lepsze.

– Dlaczego mi pan o tym wszystkim opowiada? Mógł mnie pan po prostu odesłać do domu.

– Moja żona zmarła w zeszłym roku. Po przeżyciu katastrofy „Andrei Dorii” wydawało mi się, że będę żył wiecznie. Jej śmierć przypomniała mi, że jestem śmiertelny jak wszyscy. Nie jestem religijny, ale zacząłem myśleć o naprawieniu paru spraw. Ci ludzie, którzy zginęli w ładowni statku, może także ci, o których pan mówił... potrzebują kogoś, kto przemówi w ich imieniu. – Zacisnął szczękę. – Chcę być rzecznikiem zabitych. – Donatelli popatrzył na zegar na ścianie. – Robi się późno, panie Austin. Ma pan gdzie przenocować?

– Planowałem wynająć pokój w hotelu.

– Nie ma potrzeby. Dostanie pan łóżko jako mój gość, a rano śniadanie. Na kolację przygotuję specjalną *pasta*. Z pomidorami i cukinią prosto z mojego ogródka.

– Takiego zaproszenia nie można odrzucić.

– To dobrze. – Dolał grappy i podniósł kieliszek. – Kiedy zjemy i wypijemy, znajdziemy sposób, by pokazać tym ludziom, co znaczy nadepnąć Sy-cylijezykowi na odcisk.

## 3 2

Jako Amerykanin meksykańskiego pochodzenia, Zavala miał mieszane uczucia względem najświętszego miejsca w Teksasie. Podziwiał odwagę obrońców Alamo, ludzi takich jak Buck Travis, Jim Bowie i Davy Crockett, których nazwiska wypisano na obelisku stojącym na Alamo Plaza, ale także było mu szkoda tysiąca pięciuset pięćdziesięciu meksykańskich żołnierzy pod dowództwem niekompetentnego Santa Anny, którzy zginęli w oblężeniu. Teksasńczycy stracili stu osiemdziesięciu trzech ludzi. Meksykanie stracili Teksas.

Obszedł kaplicę, jedyną pozostałość po rozległym niegdyś forcie, zajrzał do muzeum i wykorzystał resztę dnia na obserwację ludzi przy barze. O wpół do siódmej zaparkował wynajęty samochód w garażu pod budynkiem, w którym mieścił się Time-Quest. Znalazł kawałek parkingu zarezerwowany dla Halcon Industries. Nie było specjalnego miejsca dla szefa. Zavala podejrzewał, że wszyscy w firmie wiedzą, które miejsce jest zakazane dla zwykłych pracowników, a Halcon nie musi się reklamować.

Zavala zaparkował tak blisko Halconu, jak tylko się dało i z miejsca wysiadł. Minął dwie windy – jedną ogólną i jedną z napisem PRYWATNA, po czym zajął stanowisko w cieniu za grubą betonową kolumną. Pięć po siódmej z ogólnej windy wyszła Melody i skierowała się do swojego samochodu. Zavala znów poczuł ukłucie żalu, że nie może umówić się na randkę z tak piękną dziewczyną, ale musiał odrzucić takie myśli. Potrzebował sprawnej głowy na pierwsze spotkanie z *señorem* Halconem.

Czuwanie w podziemnym garażu opłacało się. Zaraz po tym, jak Melody odjechała, pod drzwi prywatnej windy cicho podjechał lincoln. Niemal natychmiast drzwi windy się otworzyły i wyszedł z niej mężczyzna.

Zavala przystawił do oka nikonu i ustawił ostrość na wysokiego smagłego faceta, który ze swobodą podszedł do czekającego samochodu. Halcon.

Zanim Halcon wsiadł, Zavala zrobił mu kilka zdjęć, po czym skierował obiektyw na człowieka przytrzymującego drzwi. Kierowca miał na sobie ciemny garnitur, siwe włosy przycięt krótko, po wojskowemu. Był wysoki i barczysty, choć stuknęła mu przynajmniej sześćdziesiątka. Ciało miał umięśnione jak atleta. Zavala zrobił mu jedno zdjęcie. Siwy kierowca rozejrzał się uważnie, jakby usłyszał trzask migawki i ciche buczenie silniczka w aparacie. Zavala schował się w cieniu i odważył odetchnąć dopiero, gdy trzasnęły drzwi i limuzyna ruszyła.

W przelocie, kiedy Zavala miał kierowcę w ramce wizjera, jego obraz utrwalił mu się na siatkówce. Oparł się o chłodny beton, jakby nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Widział tego samego człowieka w Arizonie. Mimo gładko ogolonej twarzy i eleganckiego garnituru rozpoznał go bez cienia wątpliwości. Wtedy człowiek, który wiozł Halcona, miał na sobie robocze ubranie, długie włosy i gęstą siwą brodę. Miał także żonę, która wkrótce potem odeszła z tego świata. Nazywał się George Wingate.

Zavala wziął się szybko w garść i pobiegł do samochodu. Wyjechał na ulicę za limuzyną; starał się tak manewrować, by dzieliło ich kilka samochodów. Limuzyna jechała za miasto prowadzącą na północny wschód autostradą. Wkrótce domy i centra handlowe przeredziły się, a równina przeszła w sfalowane pagórki i kępy lasu.

Zavala musiał dobrze się namęczyć, by nie zgubić limuzyny. Po opuszczeniu gęściej zamieszkałych terenów kierowca przyspieszył dobrze ponad dozwolony limit prędkości. Jechali mniej więcej godzinę. Już zapadał zmierzch, kiedy zjechali z autostrady na mało uczęszczaną dwupasmową szosę. Zavala trzymał się daleko z tyłu. Niedługo zauważył, jak zapalają się światła stopu i zaraz potem limuzyna zniknęła mu z oczu. Zwolnił i jechał powoli, aż jego reflektory oświetliły przybity do drzewa niewielki plastikowy odblaskowy znak, zaznaczający skrzyżowanie ze żwirową drogą. Pojechał dalej, udając, że dokądsz zmierza, ale po kilkuset metrach zawrócił i dotarł do odbłasku.

Zgasił na próbę reflektory i stwierdził, że dopóki nie jedzie szybciej od tempa marszu, radzi sobie bez światła. Dziwił się, co taka gruba ryba jak Halcon może robić w lesie. Może miał tu chatę myśliwską? Gęsty las natychmiast połknął limuzyną. W miejscach, gdzie drzewa rzedły, po obu stronach drogi, widać było za nimi strome wzgórza. Aby nie wpakować się w pułapkę, Zavala stawał co kilka minut, wysiadał i szedł do przodu – jak szpica patrolu piechoty, by się rozejrzeć i posłuchać.

Podczas jednego z przystanków zobaczył przed sobą światło. Podeszedł ostrożnie bliżej i dostrzegł samotny reflektor, umieszczony na szczycie bramy w wysokim płocie z siatki. Zjechał z drogi w las i wykorzystując osłonę drzew, poszedł w kierunku ogrodzenia. Zatrzymał się na skraju wyciętego wokół pasa ochronnego. Siatka miała wysokość dwóch dorosłych mężczyzn, na szczycie zamocowano zwoje drutu kolczastego. Na bramie wisiała biała

tablica, a czarne litery kazały trzymać się z daleka. UWAGA! TEREN PILNOWANY PRZEZ SPECJALNIE TRESOWANE PSY. Instynktowna ostrożność Zavalii opłacała się – nad tablicą ostrzegawczą zobaczył pudełko, w którym nie mogło być nic innego, tylko kamera obserwacyjna.

Siatka była zbyt wysoka, by się na nią wspiać, Zavala nie miał zresztą ochrony przed drutem kolczastym ani przed psami. Na dodatek podejrzewał, że do płotu są podłączone czujniki alarmu. Przypomniawszy sobie, że podjeżdżając tutaj widział niewielki pagórek. Wrócił więc do samochodu i – uważając, by nikt z posiadłości nie dostrzegł świateł stopu – cofnął się kawałek na wstecznym biegu, po czym zjechał w las. Zaczął się wspinać na pagórek, co nie było wcale łatwe po ciemku. Kilka razy się potykał i musiał wyplątywać z krzaków, ale w końcu dotarł na szczyt. Wybrał odpowiednie drzewo i wspiał się na najwyższą gałąź, która mogła utrzymać jego ciężar.

To pozwoliło mu zajrzeć za ogrodzenie. Poza reflektorem na bramie, teren nie był oświetlony. Wkrótce oczy Zavalii przyzwyczyły się do ciemności; zaczęły się w niej materializować pierwsze kontury. Pojął, że patrzy na olbrzymi kompleks budynków – częściowo prostokątnych, częściowo cylindrycznych – nad którymi dominuje potężna piramida z płaskim szczytem. Budynki zostały zbudowane z białawego kamienia i zdawały się świecić w słabym świetle księżyca.

Ładna mi chata myśliwska... To jakieś szaleństwo! Starożytne miasto na teksańskiej wsi. Spróbował zadzwonić do Austina, ale telefon komórkowy nie łapał sygnału. Po kilku minutach bezowocnego wpatrywania się w ciemność Zavala uznał, że więcej nie zobaczy. Właśnie zamierzał zejść z drzewa, kiedy zapaliło się światło i ujrzał coś dziwnego. Złapał się mocno gałęzi i obserwował zaintrygowany rozgrywającą się przed nim scenę.

## 3 3

Raul Gonzalez dygotał z zimna w ciemności i czekał na uderzenie kuli w kręgosłup. Życzył sobie, by to nastąpiło, zanim zamarznie na śmierć. Znów sklął Amerykankę. To ona była odpowiedzialna za to, że tu siedział – popsuła mu realizację zadania w Maroku! Te gniewne rozważania przerwało światło reflektora. Gonzalez ujrzał przed sobą fantastycznego stwora – półczłowieka, półzwierzę.

Cała postać, prócz głowy, przypominała muskularnego mężczyznę o brązowej skórze. Wokół bioder miała przepaskę pomalowaną we wzory w barwach soczystej zieleni, żółci i cynobru. Zgrubienia na biodrach okazały się przy uważniejszym spojrzeniu czymś na kształt ochraniaczy z wypchanej skóry. Twarz kryła się za maską wymyśloną we śnie szaleńca: długi, pokryty łuską ryj w kolorze jadeitu, wygłodniałe oczy, wyszczerzona paszcza pełna ostrych jak brzytwa kłów. Z tyłu głowy sterczały długie pióra ptaka *quetzal*. Stwór stał nieruchomo jak pomnik, krzepkie ramiona skrzyżował na szerokiej, bezwłosej piersi.

– *Madre mia!* – Rozległ się pełen rozpaczny jęk.

– *Silencio!* – warknął Gonzalez na kapitana wodolotu.

Kazano im milczeć, inaczej zostaną rozstrzelani. Nie zamierzał umierać tylko dlatego, że jakiś pochlipujący tchórz nie umie trzymać gęby na kłódkę. Bardziej podobał mu się człowiek, który stał w milczeniu po jego prawej ręce. Gibki, o węzowych ruchach – zabójca, jak on sam. W innych okolicznościach Gonzalez chętnie by pogawędził z nim o sposobie pozbywania się przeciwników. Przyswoił sobie tę wiedzę, gdy jako wychudzona, obsypana wrzodami sierota w nędznych zaułkach Buenos Aires starał się umknąć przed szwadronami śmierci, wynajmowanymi przez miejscowych przedsiębiorców. Traktowali uliczników jak robactwo. Gonzalez był ledwie nastolatkiem, kiedy zwrócił się do właścicieli sklepów z ofertą infiltrowania band, które tak

dobrze znał, i cichego usuwania śpiących kolegów za pomocą noża albo garty. Z wiekiem otrzymywał coraz poważniejsze zadania. Usuwał konkurentów. Polityków. Niewiernych współmałżonków. Jeden po drugim szli przedwcześnie do grobu. Pistolet. Nóż. Tortury. Gonzalez wypracował sobie reputację. Wszyscy wiedzieli, że zleceniodawca dostaje dokładnie to, co zamawia.

Błysk.

Drugi krąg światła ukazał kolejną umięśnioną postać, w innej masce. Wyszczерzone kły i krwistoczerwony język przedstawiały jaguara.

Gonzalez, ponownie zaklął pod nosem. On stoi na zimnie, a jacyś idioci odstawiają maskaradę! To było nie fair. A wszystko dlatego, że spała kilka zadań. Kiedy wysłannik Bractwa się u niego zjawił, już od jakiegoś czasu robotę odbierali mu młodszy zabójcy. Nie miał pojęcia o istnieniu tej grupy, ale oni wiedzieli o nim wszystko. Chcieli by wykonywał dla nich zadania specjalne. Starzejący się zabójca ochoczo podpisał umowę. Dobrze płacili, praca nie była trudna. Niewiele się różniła od tego, co robił żyjąc na ulicy. Czekał na telefon. Infiltruj i zabij. Łatwa robota. Tak jak w Maroku.

Maroko. Najlepiej gdyby nigdy nie usłyszał o tym kraju.

Prosta robota – powiedział człowiek, który zadzwonił z Madrytu. Nie uzbrojeni, niczego się nie spodziewający naukowcy. Zinfiltruj ekspedycję. Zorganizuj zasadzkę. Wyciągnij ofiary z łóżek, wyrznij wszystkich jak owce i szybko zakop ciała bez zostawiania śladów. Gdyby tylko nie ta dziwka z ruskim nazwiskiem! Jezus Maria... a miał względem niej taki fajny plan. Dokładnie by sobie obejrzał to szczupłe ciało. Obserwował głodnym wzrokiem, kiedy siadała przed namiotem i czesała włosy, w popołudniowym słońcu nabierające koloru złotej pszenicy. Kiedy rozmawiali, była grzecznie nieuprzejma. Odpychała go, jakby był wspinającą się po jej szczupłej nodze mrówką. Zamierzał się nią zabawić i zmusić, by błagała o życie oferując jedyną rzecz, jaka jej pozostała – wspaniałe ciało.

Gdy wpadł do namiotu, nie został jej w środku, a kiedy zaczęli ją gonić, uciekała jak wiatr. Trzy razy Bractwo miało ją w garści, a jednak za każdym razem im umknęła. Poduszkiwiec jej nie utopił. Grupę szturmową, którą posłano na statek NUMA, by dokończyła robotę, wystrzelano i spalono – uratował się tylko jeden człowiek, ten po prawej ręce Gonzaleza.

Rozkaz przyjazdu do Teksasu nie zaskoczył go. Gonzalez spodziewał się ostrej reprimendy, wstrzymania zapłaty i wyznaczenia kolejnego zadania. Zamiast tego faceci z pistoletami maszynowymi kazali mu dołączyć do innych więźniów. Po zapadnięciu zmroku wszystkich wyprowadzono na zewnątrz i kazano im stanąć na baczność. Zostali ostrzeżeni, że jeśli ktokolwiek się ruszy albo odezwie, wszyscy zginą zastrzeleni. Czekali więc, słuchając wycia kojotów na pustyni. Aż do teraz.

Błysk. Pojawiła się trzecia postać. Miała na sobie maskę śmierci z pustymi oczodołami i nieruchomym uśmiechem.

Ciszę nocy rozerwał wzmacniany przez głośniki głos.

– Pozdrawiam was, moi bracia – zaczął z arystokratycznym kastylijskim akcentem.

– Pozdrawiamy, Władco Halconie – odbił się echem pomruk bezcielesnych głosów.

– Wiemy, dlaczego się tu znaleźliśmy. Trzech z nas otrzymało zadania, mające służyć naszej szlachetnej sprawie i zawiodło. – Głos zrobił przerwę. – Karą za nieporadność jest śmierć.

A więc teraz nadleci kula, pomyślał Gonzalez. Cholera, miałem jednak dobre życie. Przygotował się na grad ołowiu, miał tylko nadzieję, że to długo nie potrwa. Od stania bolały go nie przyzwyczajone stopy. Ku jego zaskoczeniu, zamiast pocisków z ciemności wypadł jakiś przedmiot, uderzył w ziemię i odbił się od niej. Gonzalez sądził, że czarno-biała kula to piłka futbolowa, kiedy jednak przedmiot zatrzymał się mniej więcej w połowie drogi między dwoma spoglądającymi na siebie szeregami mężczyzn, dostrzegł, że narysowana jest na nim czaszka.

Znów rozległ się głos.

– Dostaniecie szansę wygrania życia. Gra w piłkę zdecyduje, czy będziecie żyć, czy umrzecie.

Reflektory zgasły. Trzy postacie w maskach zniknęły. Ale tylko na chwilę. Zapaliły się szeregi jasnych świateł i Gonzalez zauważył, że więźniowie stoją między dwoma równoległymi kamiennymi murami. Ubrani w kostiumy mężczyźni zdjęli maski i stanęli w przeciwległym końcu wyznaczonej przez mury alei. Na końcu każdego muru, mniej więcej w połowie jego wysokości, była umieszczona obręcz z wyrzeźbionym wizerunkiem, chyba papugi. W półcieniu nad krawędzią obu murów dało się wyczuć obecność ludzi, sądząc po głosach, musiały być ich setki.

– Piłka to przeznaczenie – gruchnęło z głośników. – Sądem jest kosmos. Aligator, jaguar i głowa śmierci reprezentują władców podziemi, waszych przeciwników. Zasady są takie same jak od dwóch tysięcy lat. Władcy będą używać tylko nóg, wy możecie używać nóg i rąk. Waszym zadaniem jest przeniesienie piłki na drugi koniec boiska. Jeśli któraś drużyna przerzuci piłkę przez obręcz – wygrywa. Przegrani zostaną usunięci.

Gonzalez oniemiał. Piłka nożna, na Boga! Mają grać w piłkę nożną o życie! Jako dzieciak, kiedy mieszkał na ulicy, grywał w piłkę, potem też, w amatorskiej drużynie – i był niezły. Niestety, nadużywanie alkoholu, narkotyków i seksu, spowodowało, że nie miał kondycji. Jego śniade ciało było w dalszym ciągu silne, ale urósł mu brzuch i szybko tracił oddech.

– Grałeś kiedyś? – spytał kątem ust towarzysza z prawej.

– Trochę – odparł zabójca. – W ataku.

– Ja byłem bramkarzem – powiedział niepewnie pilot poduszki.

– Gramy o życie – ostrzegł Gonzalez. – Nie będzie reguł. Wszystko jest dozwolone. Rozumiecie?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

Trójka po przeciwnej stronie czekała na ich ruch.

– Wykopię – uprzedził Gonzalez. Skoncentrował się na piłce, zrobił rozbieg, zamachnął się stopą i wyrzucił ją do przodu. Piłka była cięższa, niż się spodziewał. Prawdopodobnie została zrobiona z lanej gumy. Nogę przeszył mu ostry ból. Włożył w kopnięcie całą siłę, ale piłka nie poleciała tam, gdzie chciał – potoczyła się wzdłuż muru i wróciła na boisko tuż pod nogi przeciwników.

Zawodnik na szpicie był szybki jak błyskawica. Przenosił piłkę do przodu, biegnąc krótkimi, świadczącymi o dużych umiejętnościach krokami. Jego towarzysze osłaniali go po bokach. Mężczyźni mogli być trojczkami – mieli podobne brązowe, twarde ciała i czarne włosy, przycięte w równą grzywkę tuż nad ciemnymi, obojętnymi oczami.

Mężczyzna z piłką zobaczył, że Gonzalez rusza w jego kierunku, oddał więc piłkę swojemu towarzyszowi z lewej. Gonzalez nie zmienił kierunku. Nie interesowała go piłka, zamierzał okaleczyć. Zrobił szybkie obliczenie w pamięci. Wystarczyło zranić jednego przeciwnika, a ich drużyna straci trzydzieści procent siły uderzeniowej. Zniżył głowę i zaatakował środkowego, który właśnie odegrał piłkę. Cel czekał spokojnie, aż Gonzalez znalazł się od niego o włos, po czym zrobił szybki krok w bok i wystawił nogę. Gonzalez spróbował się zatrzymać, nie był jednak w stanie zahamować. Potknął się o wystawioną nogę i uderzył w ziemię tak mocno, aż szczęknęły mu zęby.

Ignorując ból żeber, wstał i spróbował dogonić centrum szybko przemieszczającej się gry. Jego towarzysz, zabójca, skoczył, by odebrać przeciwnikowi piłkę, ale przy okazji wbił mu łokieć w mostek, wyzwalając przyjemny dla uszu Gonzalez a jęk bólu.

Gonzalez postanowił dokończyć sprawę i uderzył od tyłu impetem całego ciała. Gracz drużyny przeciwnej upadł na kolana. Większość ludzi pozostałaby w tej pozycji, on jednak natychmiast wstał i pobiegł na pomoc koledze, który pędził z piłką do strefy końcowej. Gonzalez patrzył na to z rozpaczą.

Tak szybko.

Trzech na jednego.

Już tylko pilot poduszkowca stał na drodze między piłką a bramką.

Atakujący przyjrzał się bramkarzowi, nie docenił go i zamiast odegrać w bok, skąd któryś z jego partnerów bez trudu by strzelił, postanowił sam zakończyć grę. Biegł zbyt szybko, by zrobić gwałtowny zwód, dlatego dla zmylenia popatrzył w lewo, a skręcił w prawo.

Pilot wodolotu zorientował się w tych manewrach i ruszył do przodu z uniesionym przedramieniem. Jego łokieć z impetem wbił się w szczękę atakującego i uniósł go nad ziemię. Rozległ się trzask pękającej kości i zawodnik upadł skulony na ziemię. Z ust buchała mu krew. Gonzalez łapał z trudem powietrze, ale zręczne posunięcie kolegi z drużyny dodało mu nowych sił.

Gonzalez przytrzymał piłkę piętą, po czym kopnął ją między dwóch przeciwników, którzy atakowali go. Nawet nie spojrzeli na kolegę na ziemi. Z chrząpliwym okrzykiem triumfu wystrzelił za piłką i wpadł w atakującą dwójkę jak kula do kręgli. Zamierzał przewrócić obu, ale jeden z nich wyprostował ramię i gdyby cios nie został zamortyzowany przez mięsiste policzki Gonzaleza, mógł złamać mu kark. Gonzalez pojął, że choć zasady zabraniają przeciwnikom dotykać piłki rękami, nogą ich używać do walki.

Zabójca miał piłkę, zaraz mu ją jednak zabrano i przekazano w kierunku Gonzaleza. Gracz drużyny przeciwnej zobaczył biegnącego ku niemu pilota poduszkowca i postanowił przejść obok wolniejszego Gonzaleza. Znowu Gonzalez skoncentrował się nie na piłce, lecz na człowieku. Wycelował duży palec u nogi w jego krocze.

Przeciwnik zrobił unik i odwrócił się tak, że cios ześliznął się po jego skórzanej osłonie. Ruszył dalej, w kierunku strefy końcowej. Zabójca zaatakował go z boku, wysunął stopę i zabrał piłkę, którą natychmiast kopnął z powrotem na środek pola. Nim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, chwycił ją obiema rękami i rzucił w kierunku obręczy.

Rzut mógł się udać, jednak ułamek sekundy wcześniej, zanim puścił piłkę, zabójca dostał cios między łopatkami i nie trafił. Piłka uderzyła w szczyt obręczy, odbiła się i wróciła na boisko.

Thum ryknął z aprobatą, demonstrując, po czyjej stoi stronie.

Gra zaczęła się od nowa. Trzech na dwóch. Gonzalez dyszał i sapał, ale czuł zwycięstwo.

Przeciwnicy wpatrywali się w niego, ich szerokie twarze o wysokich kościach policzkowych były pozbawione emocji jak granitowe rzeźby. Stawiająca o przeznaczeniu kula leżała między nimi. Gonzalez był zmęczony i wiedział, że przy tym tempie pociągnie jeszcze najwyżej kilka minut.

– Brać ich! – warknął.

Zespolona na nowo trójka zaatakowała z desperacją. Zabójca i pilot wodolotu, którzy stali po zewnętrznej, ruszyli prosto na przeciwników, Gonzalez poszedł środkiem z piłką. Nie spiesząc się, ustawił stopę do długiego strzału, który posłałby piłkę wysoko w powietrze. Wynik był zadowolający. Kula uniosła się w powietrze, jakby już nic nie mogło jej zatrzymać. W tym samym jednak momencie kryty przez zabójcę gracz odsunął się w bok i wykonał w powietrzu baletowy piruet, obracając się tak, by piłka odbiła się od ochraniacza na biodrze. Rozległ się basowy stuk i piłka poleciała do drugiego gracza drużyny przeciwnej, który padł na ziemię.

Gonzalez sądził, że mężczyzna się potknął, ale ruch był przemyślany. Gracz złapał piłkę stopami i silnym ruchem nóg wyrzucił ją w powietrze. Jego kolega złapał ją na główkę i piłka pomknęła ku obręczy. Przez chwilę mogło się здаwać, że ma zbyt mały impet, by przelecieć przez cel, ale strzał był znakomicie wyważony. Piłka prześlizgnęła się przez obręcz i spadła na ziemię.

Gra była skończona.

Widzowie na szczycie murów wybuchnęli gwałtownym aplauzem.

Potem zapadła cisza.

Gonzalez i członkowie jego drużyny stali dysząc. Przepocone ubrania mieli pobrudzone ziemią i trawą. Piłka została posłana do celu z wyćwiczoną łatwością. Zabawiono się nimi. Ich przeciwnicy grali naprawdę jak bogowie; po prostu nie mieli szansy przegrać.

Ograniczającą boisko ścianę pokrywały rzeźby. Gonzalez nie zwrócił dotychczas na nie uwagi, teraz jednak powiódł za wzrokiem swoich przeciwników. Fryz ukazywał grupy stojących naprzeciwko siebie piłkarzy, między którymi leżała piłka z namalowaną czaszką. Na jednej z płaskorzeźb zwycięzca trzymał w jednym ręku nóż, a w drugim głowę. Przed nim klęczał przeciwnik, a z szyi tryskała mu krew, tworząc w powietrzu węzowe linie.

Na boisku pojawił się tłum. Szybko zmusił Gonzaleza i jego towarzyszy do ukłęknięcia. Złapano go brutalnie za włosy, odsłonięto mu kark i już wiedział, co go czeka. Błysnęły trzy podobne do mieczy noże i niemal równocześnie na ziemię spadły trzy głowy. Oczy w obciętych głowach mrugały gwałtownie; trzy makabryczne kule potoczyły się i zatrzymały niedaleko piłki, która przypieczętowała los nieszczęsnej trójki.

Zawała w swojej kryjówce na drzewie był w stanie jedynie chrapliwie wyszeptać: „Mój Boże...” Nie wierzył własnym oczom. Przyglądał się grze bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony, i nawet mu się podobała. Choć nawet z daleka widać było, że zasady są brutalne, dopiero końcówka uświadomiła mu, jak bardzo... zwłaszcza dla przegrywających. Zszedł z drzewa i pobiegł przez krzaki do samochodu.

Pomieszczenie wewnątrz piramidy było olbrzymie. Pod ścianami z bloków kamienia stały liczne szklane gabloty, w których umieszczono dziesiątki bezcennych masek z jadeitu. Jedna ściana była wielkim ekranem. Halcon popatrzył na ostatnie krwawe chwile Gonzaleza i jego towarzyszy, po czym odwrócił się do mężczyzny, który siedział w skórzanym fotelu i palił cygaro.

– Chciałbyś zobaczyć powtórkę, Guzman?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, obejrzę ją potem, w wiadomościach sportowych – odparł mężczyzna z blizną.

Halcon machnął w kierunku ukrytego czujnika i obraz na ekranie zniknął.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że przestajesz cenić grę w piłkę.

– Jeszcze nie jestem gotów oglądać krykieta, sir – odparł Guzman i napił się koniaku. – Mecze są jednak zbyt krótkie i brakuje im finezji.

Halcon wyjął ze zdobionego złotem, skórzanego pojemnika cygaro i zapalił je. Obserwował Guzmána przez chmurę dymu. Bezpośredniość odpo-

wiedzi nie zaskoczyła go. Znał Guzmána od dnia swoich narodzin, kiedy ojciec mianował zaufanego pomocnika oficjalnym ochroniarzem syna. Guzman nigdy się nie zastanawiał, co wypada, a czego nie wypada powiedzieć. Dla Halcona, spiskowca o klasie Machiavellego, było to jak powiew świeżego wiatru. Popatrzył na ekran.

– Masz rację – powiedział z niesmakiem. – Taka bijatyka nie pomaga realizować celu gry, którym jest wzbudzenie u moich wyznawców strachu, a jednocześnie dumy z kulturowej spuścizny. – Jego ręka powędrowała do konsoly z telefonem. – Ustawcie zwycięską drużynę w szeregu, żebym mógł widzieć, jak odbierają nagrodę – rozkazał i podszedł do oszklonej szafki z karabinami i bronią ręczną. Ze stojaka wziął karabin z lunetką. – Chodź, Guzman!

Wyszli na ciemny balkon z widokiem na cały kompleks. Zwycięscy piłkarze stali w szeregu na jaskrawej zieleni boiska. Halcon przyłożył kolbę do ramienia i spojrzął przez lunetkę. Karabin trzasnął trzy razy, między każdym odgłosem Halcon sprawnie przeładowywał. Kiedy echo wystrzałów umilkło, na trawie leżały trzy nieruchome postacie.

– Wiem, że wolisz używać austriackiego sprzętu – powiedział Halcon, przyglądając się z satysfakcją śmiertelnemu efektowi swojego działania – ale ja zawsze miałem szczęście do angielskiego L42A1.

Guzman wyjrzał na boisko i wydał wargi w sardonicznym uśmiechu.

– Podejrzewam, że właśnie wypowiedział im pan kontrakty.

Halcon roześmiał się i wrócili do środka. Starannie włożył karabin do futerału i popatrzył na człowieka z bliźną.

– Przepraszam, Guzman. Powinienem wiedzieć, że człowiek, który własnoręcznie zatopił najpiękniejszy liniowiec świata, nie może stracić zamiłowania do krwawych sportów. Muszę cię także przeprosić, że tak długo utrzymywałem przed tobą w tajemnicy moje plany. Nie zapraszałem cię do tamtego sanktuarium tylko po to, by kazać ci oglądać to żalosne przedstawienie na boisku. Ty pierwszy dowiesz się szczegółów mojej wielkiej wizji przyszłości.

– Jestem zaszczycony, don Halcon – powiedział Guzman i skinął głową.

Halcon uniósł koniakówkę ku ogromnemu portretowi w złożonych ramach, wiszącemu nad wielkim kominkiem.

– Dedykuję moje najskrytsze marzenie szacownemu przodkowi, założycielowi Bractwa.

Olejny obraz był namalowany w stylu El Greca, tyle że wydłużona twarz i spiczaste uszy modelu nie były efektem artystycznej przesady. Ponury mężczyzna z tonsurą, ubrany w prostą ciemnobrązową mniszą sutannę, miał bladą, niemal przezroczystą skórę, która kontrastowała z czerwonymi zmysłowymi ustami. Twarde niczym diamenty, jasnoszare oczy migotały, jakby odbijały się w nich płomienie. Tło było ciemne, z wyjątkiem jasnej plamy w rogu, gdzie szamotała się płonąca na stosie postać. Guzman po raz pierwszy widział portret Hernanda Pereza jako młody chłopak, kiedy wstępował do Bractwa. Ojciec Halcona wyjaśnił z ironicznym uśmieszkiem, że Perez

skażał twórcę tego obrazu na śmierć z powodu herezji. Chciał, żeby było to jego ostatnie dzieło.

Guzman był pierwszym i jedynym członkiem Bractwa, który nie legitymował się latynoskim pochodzeniem. Był nieślubnym synem stacjonującego w Hiszpanii niemieckiego pilota stukasa i duńskiej niani z domu Halcona. Pilot zginął na wojnie, a dziewczyna popełniła samobójstwo. Stary pan wychowywał Guzmaną w swoim domu i płacił za jego utrzymanie. Nie robił tego oczywiście z powodów altruistycznych. Wiedział, że jeden bezwarunkowo lojalny zwolennik jest więcej wart niż pluton ludzi związanych z kimś dla własnej korzyści. Dał chłopcu nowe nazwisko i posłał go do najlepszych szkół, gdzie nauczono go kilku języków. Bardziej wyspecjalizowani nauczyciele wprowadzili chłopaka w tajniki sztuk walki oraz nauczyli posługiwać się bronią. Guzman zabił pierwszego człowieka podczas walki na szable, po której została mu pamiątka – paskudna blizna. Wizja starego pana spełniła się – Guzman wyrósł na oddanego pomocnika, którego naturalne skłonności do zabijania i siania zamętu stanowiły dodatkowe zalety.

– Pamiętam, jak pana ojciec mówił, że Perez był prostym człowiekiem – stwierdził Guzman.

– Był fanatykiem. Dobry archidiakon stworzył Bractwo Świętego Miecza Prawdy, ponieważ uważał, że Torquemada jest zbyt łagodny wobec herezyków. Na szczęście – powiedział z uśmiechem – śluby zakonne nie powstrzymały go przed oddawaniem się rozkoszom ciała z nowicjuszami. Inaczej rodzina Halconów by nie istniała. Religijny zapał nie powstrzymał go także przed zagarnianiem majątków tych, których potępiał. Jego przekonania odzwierciedlają się w zasadniczej dyrektywie Bractwa.

Guzman wyrecytował ją jak automat:

– Podstawowym obowiązkiem Bractwa jest likwidacja wszelkich dowodów kontaktów między Starym a Nowym Światem przed Kolumbem.

– W dalszym ciągu jest to nasz obowiązek, ale zamierzam wprowadzić pewne zmiany.

– Zmiany, sir? – Dyrektywa była w Bractwie święta jak katechizm.

– Nie udawaj zaskoczonego. W przeszłości Bractwo też zmieniało cele działania. Zmieniliśmy się z organizacji religijnej w terrorystyczną w celu obrony hiszpańskiej korony. Dobrze spełnialiśmy to zadanie. Bractwo tłumiło wszelkie sugestie istnienia kontaktów prekolumbijskich, które stawały pod znakiem zapytania dogmat kościelny, a także nieomyślność decyzji królewskich. Broniąc poglądu, że Kolumb był pierwszym Europejczykiem, który podróżował do Nowego Świata, powstrzymaliśmy inne kraje przed wysunięciem żądań wobec naszych bogactw. Wątpienie w wyczyny Kolumba było przestępstwem podlegającym najwyższemu wymiarowi kary. Jako dziecko pytałem ojca: „Jakie ma to dziś znaczenie? Król Ferdynand i królowa Izabela nie żyją. Hiszpania nie jest już mocarstwem”.

– Nie chodzi o samą ideę – mruknął Guzman. – Chodzi o czystość idei.

– Ojciec dobrze cię nauczył. To samo wbił i mnie do głowy. Kastą elitarnych kapłanów, zjednoczonych świętą sprawą, możemy pozostać jedynie, spełniając świętą przysięgę, że poświęcimy się realizacji celu, dla którego nas stworzono. Za panowania Bractwa Kolumb osiągnął niemal status świętego. Nawet dziś współcześni uczeni ryzykują karierą, jeśli oddalają się od ustalonych przez naszych średniowiecznych braci reguł. Świat dziwi się, jak generałowi Franco udało się pozostać u władzy do śmierci. Stało się tak dlatego, że zawarł z Bractwem odpowiednie układy. Dzięki tobie odsunięta została największa dla nas groźba.

– Pański ojciec powiedział mi, że przewożony na pokładzie statku przedmiot doprowadzi do zniszczenia Bractwa. Chciał także pokazać swoim zwolnikom, że zamierza za wszelką cenę zachować rację bytu *Los Hermanos*.

– Porównywał to wydarzenie do spalenia przez Corteza własnych statków, by jego ludzie nie mieli wyboru i musieli pozostać u jego boku.

– Pański ojciec był mądrym człowiekiem.

– Mądrym na pewno, ale jego obsesja na punkcie przeszłości doprowadziłaby do upadku Bractwa. Kiedy przejąłem rządy, byliśmy na najlepszej drodze, by stać się czymś niewiele ważniejszym od hiszpańskiej mafii. Jeśli Bractwo ma istnieć kolejne pięćset lat, musimy tak jak Cortez spalić nasze statki. Nie możemy dłużej walczyć o ochronę nie istniejącej hiszpańskiej władzy królewskiej, musimy budować fundamenty nowego imperium. Naszą inspiracją będzie Quetzalcoatl, pierzasty wąż Majów, który powróci pod różnymi postaciami, by rozpocząć nową erę. Tym razem Quetzalcoatl odrodzi się jako jastrząb.

– Nie rozumiem.

– Powodem, dla którego kontynuujemy ukrywanie kontaktów prekolumbijskich, jest chęć wpojenia Hiszpanom większej dumy z ich dziedzictwa. Gdyby media zaczęły trąbić, że wszystkie wielkie kultury środkowoamerykańskie pochodzą z Europy, Chin i Japonii, bardzo by to pomniejszyło osiągnięcia naszych ludzi i posłało ich do lamusa historii. Dzięki innemu jurnemu przodkowi płynie w moich żyłach krew Majów. Nie jestem tylko Hiszpanem, także Indianinem. Ucieleśniam spuściznę dwóch wielkich cywilizacji. Twierdzenie, że wspaniała kultura moich ziomków została importowana z obcych cywilizacji, jest skandaliczne. Implikowanie, że Olmekowie, Majowie i Inkowie byli jedynie dzikusami, a swoje cuda architektury, pomysłową astronomię i piękną sztukę stworzyli tylko dlatego, że uczyli ich intruzi z Europy, jest nie do przyjęcia. Dzieci Ameryki Łacińskiej i ich dzieci muszą wierzyć, że przodkowie osiągnęli wspaniałość i wielkość jedynie dzięki własnej pomysłowości. Dzięki temu spowodujemy odrodzenie się naszej dawnej chwały i zajmiemy miejsce na czele cywilizacji dwudziestego wieku.

– To dość wysoko postawiona poprzeczka.

– Wysłuchaj mnie do końca. Szybciej niż sądzisz jedna trzecia Stanów Zjednoczonych – całe Południe – ogłosi secesję i stanie się krajem należącym do Ameryki Łacińskiej.

– Z całym należnym szacunkiem, don Halcon, ale kiedy poprzednio chciano przeprowadzić secesję, Ameryka rozpoczęła wojnę.

– Sytuacja jest dziś całkowicie inna – oświadczył jakby nigdy nic Halcon. – To, co proponuje, wydarzy się bez względu na to, czy będę żył, czy nie. Za pięćdziesiąt lat ludzie o innym pochodzeniu niż latynoskie będą w USA mniejszością. Już tak jest w stanach przygranicznych, na przykład w Nowym Meksyku. Ja jedynie proponuję przyspieszenie tego procesu przez nasilenie – z twoją pomocą – latynoskiego ruchu niepodległościowego.

– Zrobię, co tylko będę mógł, don Halcon. Jak zawsze.

– Nie będzie to takie trudne, jak sądzisz. – Halcon zakręcił antycznym globusem. – Popatrz, jak świat się zmienił. ZSRR, NRD... Te kraje zniknęły. – Położył palec na globusie, by powstrzymać jego ruch. – Nie Halcon, ale geografowie uważają, że któregoś dnia Belgia rozpadnie się na Walonię i Flandrię. W Australii powstaną cztery samodzielne państwa. Chiny podzielą się na szereg autonomicznych stref, takich jak Hongkong. Włochy pękną, by stworzyć bogatą i prosperującą Północ oraz biedne Południe. Najważniejsze jest jednak to, co naukowcy mówią na temat Ameryki Północnej.

Poprowadził Guzmána do masywnego mahoniowego stołu, na którym leżała wielka mapa, i postukał w słowo wypisane na południowym zachodzie USA.

– Angelica? – przeczytał Guzman.

– Znikanie granic jest nieuniknione, nawet rządy wiedzą, że Ameryka Północna musi się zmienić. Ten plan został narysowany według naszych przewidywań. Kiedy Kanada straci Quebec, stany, które straciły dostęp do morza, dołączą do USA. Alaska połączy się z Kolumbią Brytyjską i północno-zachodnimi stanami Ameryki, by stworzyć Pacifię, kraj, który skoncentruje swoje interesy w pasie pacyficznym. Północne stany Meksyku połączą się z południowo-zachodnimi stanami USA. – Przeciągnął dłonią po mapie. – Zjednoczę krainy ze spuścizną hiszpańską i indiańską w nowe państwo. Obejmie ono terytoria, które należały kiedyś do Meksyku.

– Jak chce pan stawić czoło supermocarstwu?

– Tak samo jak Cortez pokonał z garstką ludzi wielomilionowe imperium Azteków. Za pomocą koalicji i wykorzystywania różnych grup przeciwko sobie. Miejsca zbrojnej konfrontacji już zostały wyznaczone. Miasta przygraniczne utoną we krwi. Nikt nie zostanie oszczędzony. Im okrutniejsze wydarzenia nastąpią, im silniejsza będzie reakcja, tym szybciej ogień się rozszerzy. Kiedy zaczną się walki, Stany Zjednoczone będą mnie błagać, abym doprowadził je do końca. Obejmę przywództwo, a wtedy wprowadzimy dawne wartości i dawne metody. – Zachichotał. – Któregoś dnia gra w piłkę będzie tak samo popularna jak walki byków i futbol amerykański. Krwa-wa rebelia, którą wywołał Chiapas, dowodzi, że sprawę da się przeprowadzić.

Guzman uśmiechnął się.

- To było równie łatwe jak wrzucenie zapalki do beczki benzyny.
- Dokładnie. Rząd zareagował masakrą Indian. Majowscy zapytali się w pozyskiwaniu ustępstw ze strony rządu taką samą skutecznością jak ich przodkowie. W Stanach Zjednoczonych Kalifornijczycy zbroją się przeciwko nielegalnym imigrantom, którym pomagamy przekraczać granicę.
- Farmerzy chcą, by wojsko aktywniej zwalczało działalność baronów narkotykowych, których aktywność nadzorujemy wzdłuż granicy – dodał Guzman.
- Wszystko idzie zgodnie z planem. Stany Zjednoczone tracą w końcu cierpliwość. Przemoc zjednoczy Latynosów na całym południowym zachodzie. Nie możemy zatem pozwolić na korektę wiedzy o naszej pełnej chwały przeszłości. Wydałem fortunę na zakup ziemi, kupowanie głosów i wpływów politycznych. Halcon Industries jest już rozciągnięta do ostatecznych granic. Zbudowałem nową Chichén Itzá, by została stolicą nowego państwa. Mimo to ogromne zasoby naszego kartelu nie są w stanie wyposażyć armii która stawi czoło Stanom Zjednoczonym. Dlatego tak ważne jest odnalezienie skarbów, które umożliwią realizację naszych zamierzeń. Nasz plan nie powiedzie się bez skarbu.
- Jesteśmy blisko poskładania łamigłówek w całość. Nasi agenci zebraли dokumenty z różnych źródeł w Hiszpanii i innych krajach.
- Czy wywołało to szum?
- Jeszcze nie. „International Herald Tribune” pisała o nie wyjaśnionych kradzieżach pamiątek po Kolumbie z domów aukcyjnych i muzeów, ale na razie nikt nie zdobył się na to, by dodać dwa do dwóch.
- Jeszcze nie – powiedział Halcon z przebiegłym uśmiechem.
- Guzman uniósł brew.
- Nasi specjaliści przeanalizowali stare dokumenty – dodał Halcon. – Zlokalizowali klucz do otwarcia tajemnicy, która tak długo nam się opierała.
- Gratuluję, don Halcon. Jestem bardzo zadowolony.
- Przystaniesz się cieszyć, kiedy poznasz szczegóły. Klucz, którego szukamy, leży na dnie oceanu w ładowni „Andrei Dorii”.
- Guzman zamarł.
- To ten artefakt? Jak to możliwe? Pański ojciec kazał mi zatopić statek.
- Jak powiedziałem, mój ojciec nie był nieomylny. Uważał, że artefakt może nas zniszczyć.
- Nie ma pomyłki?
- Sprawdzałem dokumenty wiele razy. Czytałem je. Nie, mój przyjacielu, obawiam się, że nie ma pomyłki. Artefakt, o którym mój ojciec sądził, że może doprowadzić do upadku Bractwa, wskaże nam drogę do jeszcze większej chwały. Chcę, żebyś wyposażył ekipę ratunkową. Możesz dysponować wszystkimi zasobami Halcon Industries. Zależy mi, żeby to zostawało zrealizowane jak najszybciej.

– Zbiorę się do pracy natychmiast, gdy skończymy rozmowę, sir.  
– Znakomicie. Czy działają w tej chwili jakieś ekspedycje, które mogłyby popsuć nam szyki?

– Wygląda na to, że na razie aktywność archeologów zamarła... pomijając krótkotrwały projekt NUMA w Arizonie.

– Gratulacje za skuteczność. Jak wielkim zagrożeniem jest NUMA?

– Nie możemy sobie pozwolić na niedocenywanie ich. Widział pan, co się stało w Maroku.

– Zgadzam się. Uważam, że wszędzie tam, gdzie pojawia się NUMA, powinieneś pozostać dowódcą. Wykorzystuj wszelkie niezbędne siły.

Zadzwonił telefon komórkowy. Guzman przeprosił i odebrał.

– Tak. Natychmiast. Puść na zamknięty obieg don Halcona.

Chwilę później ekran zamigotał i ukazał las w odcieniach czerni i bladej zieleni.

– Co jest? – spytał niecierpliwie Halcon.

– Nagrała to kamera obserwacyjna na wzgórzu, na północ od kompleksu.

Technik manipulował kolorami, co pozwoliło dostrzec biegnącego przez las człowieka. Powiększono twarz, aż wypełniła ekran.

Guzman zaklął pod nosem.

– Znasz go? – spytał Halcon.

– Tak. Nazywa się Zavala i był członkiem grupy NUMA w Arizonie.

– Masz rację, NUMA nie jest bezzębnym psem. – Halcon wpatrywał się w ekran w zadumie. – Mówiłeś, że jest jeszcze ktoś, dowódca oddziału.

– Kurt Austin. Prowadził projekt.

– Wystarczy na początek. Zabij obu. Jeśli sytuacja będzie tego wymagała, odsuń na później plan wydobywania kamienia.

– Jak pan każe, don Halcon.

Halcon odprawił Guzmána i wrócił do studiowania mapy.

Guzman nie miał iluzji co do Halcona. Znał go od dzieciństwa, krążył wokół niego całe życie jako anioł stróż. Uważał, że megalomański plan Halcona to skutek egoistycznego dążenia do władzy i bogactwa. Nie ma on nic wspólnego z chęcią odtworzenia wspaniałej przeszłości „jego ludzi”. Wykorzystywał tych, w których żyłach płynęła indiańska krew, do realizacji własnych celów. Potem zniewolił ich bardziej, niż uczynili to konkwistadorzy. To, co planował, oznaczało wojnę domową, rozlew krwi, prawdopodobnie śmierć tysięcy ludzi.

Guzman zdawał sobie z tego sprawę, ale niewiele go to obchodziło. Kiedy stary pan wziął pod swoje skrzydła młodego chłopaka, stworzył z niego istotę o nieograniczonej lojalności. Zabicie wysoko postawionych funkcjonariuszy NUMA mogło być błędem. Jednak stawiane przed Guzmanem zadania zaczynały go ostatnio nudzić. Liczyła się sama gra. Ludzie z NUMA będą godnym przeciwnikiem. Natychmiast zaczął układać plan zabójstwa.

## 3 4

Jukatańskiego hamaka nie wymyślono dla kogoś tak wysokiego jak Paul Trout. Pleciona ręcznie siatka została zaprojektowana dla niedużych Majów. Kiedy Trout nie opędzał się od moskitów, próbował znaleźć pozycję dla rąk i nóg, które zwisały, dotykając klepiska indiańskiej chaty. Pierwsze szare światło świtu przyniosło mu ulgę. Wyplątał się ze śpiwora, wygładził najlepiej jak umiał pognieciony garnitur, stwierdził, że nic nie poradzi na poranny zarost, obrzucił roztargnionym spojrzeniem Moralesa, który chrapał w hamaku obok, i wyszedł w poranną mgłę. Przebiegł przez pole kukurydzy na skraj lasu, gdzie helikopter leżał na boku niczym martwa ważka.

Kiedy silnik zużył ostatnie krople benzyny, pilot próbował lądować na polu. Maszyna wpadła w liście, które z góry wyglądały myląco niewinnie. Kadłub przeleciał z łoskotem przez szczyty drzew. Hałas potęgował okropny trzask łamanych gałęzi i zgrzyt torturowanego metalu.

Trout poczuł, jak wielka siła wyciska z niego powietrze. Pilot uderzył się w głowę i stracił przytomność. Moralesa lekko ogłuszyło. Ruiz, obudzony hałasem, zamarł zdezorientowany ze śliną na zarośniętym podbródku. Morales i Trout wyciągnęli z helikoptera pilota, który na świeżym powietrzu szybko wrócił do siebie. Wszyscy mieli posiniaczone kolana i łokcie, ale nie odnieśli poważnych obrażeń. Trout był zadowolony, że Ruiz przeżył – mógł się okazać ważnym źródłem informacji, które ułatwią odnalezienie Gamay.

Trout obejrzał uszkodzenia i pokręcił ze zdziwieniem głową. Drzewa zredukowały dużą część impetu. Płozy popękały, łopaty wirników głównego i ogonowego przeszły do historii, ale kadłub jakimś cudem ocalał. Trout zastukał w pogniecioną blachę. Ze środka doleciały jakieś odgłosy. Pilot, który postanowił spędzić noc w maszynie, wypelznął na zewnątrz, przeciągnął się i ziewnął, wydając dźwięk przypominający szczeknięcie. Obudziło to Ruiza, który

leżał na ziemi z rękami przykutymi do bezużytecznych płóz. Zamrugał zaspnymi oczami na widok Trouta. Najwyraźniej moskity mu nie przeszkadzały. Trout uznał, że wydzielanie odrażającego smrodu ma swoje dobre strony. Obszedł helikopter i jeszcze raz pomyślał, że to cud, iż znaleźli się na ziemi w jednym kawałku. Doliczył się w kadłubie siedmiu dziur po kulach – w tym szczęśliwie nieskuteczne trafienie w zbiornik paliwa.

Kilka minut po tym, jak jetranger uderzył o ziemię, na polu pojawiła się jakaś postać. Mieszkający niedaleko indiański rolnik zauważył wypadek i pozdrowił ich przyjaźnie. Nie wyglądał na zaniepokojonego – jakby obcy ludzie co dzień spadali z nieba. Pilot dokonał oceny uszkodzeń i stwierdził, że radio nie nadaje się do użytku. Poszli za chłopem do chaty. Jego żona zaoferowała im jedzenie i wodę, a czwórka dzieci nieufnie obserwowała obcych z daleka.

Morales pogadał z rolnikiem, po czym zwrócił się do Trouta:

– Spytałem go, czy jest w okolicy wieś albo miasteczko z telefonem. Mówi, że w sąsiedniej wsi ksiądz ma radio. Uda się do niego, powie o nas i wezwie pomoc.

– Jak daleko jest ta wieś?

Morales pokręcił głową.

– Kawał drogi. Zajmie mu to całą noc. Wróci dopiero jutro.

Ze względu na Gamay, Troutowi nie w smak było opóźnienie. Nie miał jednak wpływu na sytuację. Gospodyni zapakowała mężowi jedzenie w bawełniany worek. Chłop wsiadł na siwego osiołka, pomachał rodzinie na pożegnanie i wyruszył po wielką przygodę. Trout patrzył, jak osiołek drepcze ścieżką i modlił się, by słabowite zwierzę wytrzymało marsz. Gospodyni proponowała przybyszom nocleg; powiedziała, że sama pójdzie spać do rodziny.

Kiedy Trout i pilot wrócili do chaty, by sprawdzić, czy Morales już się obudził, kobieta już tam była. Zaczęła robić dla wszystkich na śniadanie tortille i fasole.

Po śniadaniu Trout wziął kilka placków i poszli do Ruiza. Morales rozkuł *chiclero* ręce, ale nogi pozostawił unieruchomione. Kiedy Ruiz hałaśliwie pochłonał tortille, Morales dał mu papierosa. Wdzięczny więzień zaczął palić. Wypadek zmasał mu z gęby krzywy uśmiešek i kiedy Morales zaczął zadawać pytania, odpowiadał aż nazbyt chętnie.

– Zaczął pracować dla tej bandy szabrowników mniej więcej pół roku temu – przetłumaczył Morales. – Mówi, że przedtem zbierał sok *chicle*, ale mu nie wierzę. – Zabrał się teraz ostrzej do wypytywania. – *Sí* – powiedział po chwili ze śmiechem. Tak myślałem. Jest złodziejem. Przedtem okradał turystów w Meridzie. Przyjaciel powiedział mu, że może lepiej zarobić na przemyśle artefaktów. Robota jest cięższa, ale zysk lepszy i mniej się ryzykuje.

– Niech pan spyta, dla kogo pracuje.

Kiedy zadano mu to pytanie, Ruiz wzruszył ramionami.

– Pracuje dla człowieka, który kiedyś był pilnującym ruin strażnikiem. Banda jest nieduża, może dwunastu ludzi. Znaleźli ruiny i zaczęli kopać.

Mówi, że najlepsze są rzeczy z jadeitu i garnki z czarnym wzorem. Za jeden dostaje się od dwustu do pięciuset dolarów. Jego szefowie zabierają towar i organizują transport.

– Dokąd? – spytał Trout.

– Nie wie dokładnie. Uważa, że szef ma kontakty z ludźmi działającymi w Petanie, tuż za granicą Gwatemali.

– Jak dostarcza się tam artefakty?

– Mówi, że wożą wszystko w dół rzeki łódkami do miejsca, gdzie podjeżdżają ciężarówki. Potem łupy są przewożone do Carmelity albo przez granicę do Belize. W końcu ładują je na samoloty albo statki i wiozą do Belgii lub Stanów, gdzie płaci się za nie ciężkie pieniądze. – Popatrzył na Ruiza niemal ze współczuciem. – Gdyby ten bezzębny idiota wiedział, że bierze na siebie całe ryzyko, a inni zarabiają setki tysięcy dolarów... – Zachichotał. Ruiz, choć nie rozumiał, o co chodzi, na wszelki wypadek też wyszczerzył bezzębne dziąsła.

Trout przemyślał tę informację. Gamay i Chi musieli się natknąć na przemytników. Uciekli rzeką, wykorzystując tę samą trasę co przemytnicy, a kiedy helikopter ich znalazł, próbowali wiać. Trout poprosił Moralesa, by spróbował się dowiedzieć, jak daleko od progów na rzece jest punkt, do którego podjeżdżają ciężarówki.

– Mówi, że kilka nocy rzeką. Nie umie powiedzieć w kilometrach. Mówi, że miejscami rzeka czasem wysycha, więc pracują w porze deszczowej.

Na prośbę Trouta pilot wyjął z helikoptera mapę. Nie było na niej zaznaczonej żadnej rzeki, co by potwierdzało wersję Ruiza. Nie mieli sposobu prześledzenia drogi, jaką mogła się poruszać Gamay.

Przesłuchanie przerwał dziesięciolatek, który biegł przez pole i coś piskliwie wykrzykiwał. Kiedy był już blisko, zdyszczanym głosem oświadczył, że ojciec wrócił. Przywiązali Ruiza i poszli do chaty.

Chłop powiedział, że byłby wcześniej, ale wykorzystał okazję i odwiedził mieszkającego niedaleko brata. O tak, przyznał po dokładnym opisaniu spotkania z rodziną, rozmawiał z księdzem, ale nie ma on już radia. Trout stracił nadzieję. Zaraz ją jednak odzyskał, bo chłop powiedział, że ksiądz skorzystał z telefonu komórkowego, który ma do kontaktu ze światem w nagłych wypadkach, głównie natury medycznej. Ksiądz wezwał pomoc i poprosił o przekazanie wiadomości, którą napisał na kartce. Brzmiała ona: „Powiedz ludziom z helikoptera, że kogoś po nich wyślą”.

Skoro pojawiła się szansa szybkiego ratunku, Trout zaczął się niecierpliwić. Maszerował brzegiem pola i raz za razem spoglądał w bezchmurne niebo. Wkrótce w oddali rozległo się ciche pak, pak, pak. Nastawił ucha. Dźwięk narastał, aż czuło się na skórze wibrowanie powietrza.

Nad drzewami pojawił się zielonobrazowy huey, tuż za nim drugi. Trout zamachał. Helikoptery zakreśliły ciasny krąg i już po chwili dotknęły ziemi na skraju pola kukurydzy. Drzwi otworzyły się, zanim znieruchomiały łopa-

ty wirników, i z maszyn zaczęli się wysypywać mężczyźni w polowych mundurach. Morales, pilot i chłop z rodziną poszli przywitać przybyłych. Było ich sześciu: w pierwszym helikopterze kapitan, w drugim felczer. Medyk szybko wszystkich zbadał i uznał, że nadają się do dalszej akcji.

Trout i Morales podeszli do rozbitego helikoptera. Okazało się, że Ruiz uciekł. *Chiclero* wyplątał się z pospiesznie związanych sznurów. Po krótkiej naradzie uznali, że szkoda czasu na szukanie go. Trout chętnie by sprawdził, czy szabrownik ma jeszcze jakieś informacje. Ale z tego, co opowiedział, wynikało, że jest na samym dole piramidy. Patrząc na jego ucieczkę optymistycznie, Trout uznał, że szabrownika na pewno pożre jaguar. Podziękowali gospodarzom za gościnę i wsiedli do hueyów. Po kilku minutach unosili się kilkaset metrów nad drzewami.

Niecałą godzinę później wylądowali w bazie wojskowej. Kapitan poinformował ich, że została założona rok temu, na skutek powstania Indian niedaleko Chiapas. Zaproponował posiłek i zmianę ubrania. Kąpiel musiały zaczekać – Trout miał inne priorytety. Poprosił o możliwość skorzystania z telefonu.

Kiedy zadzwonił telefon, Austin siedział w swoim gabinecie w kwaterze głównej NUMA i oglądał zdjęcia, które Zavala zrobił w podziemnym garażu Halcona. Zavala zdążył już opowiedzieć o wyprawie do kompleksu Halcona i krwawej grze w piłkę. Teraz Austin streszczał spotkanie w Nantucket z Angelem Donatellim. Kiedy usłyszał głos Trouta, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Paul, dobrze że dzwonisz. Rozmawialiśmy o tobie z Joe kilka minut temu. Znalazłeś Gamay?

– Tak i nie. – Trout opowiedział o niedoszłym dramacie na rzece, o wypadku helikoptera i o ratunku.

– Co zamierzasz, Paul? – cicho spytał Austin.

Po stronie Trouta rozległo się ciężkie westchnienie.

– Bardzo niechętnie was zostawiam, ale nie mogę wrócić, póki nie znajdzie Gamay.

Austin już podjął decyzję.

– Nie musisz wracać. Przylecimy do ciebie.

– A co z zadaniem, nad którym pracujemy? Tą sprawą archeologiczną?

– Gunn i Yaeger mogą podczas naszej nieobecności stworzyć plan operacyjny. Nie ruszaj się z miejsca do naszego przyjazdu.

– A admirał?

– Nie martw się. Załatwię wszystko z Sandeckerem.

– Naprawdę jestem ci wdzięczny, Kurt. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. – Na większy entuzjazm nie pozwoliła Troutowi jankeska rezerwa.

Austin zadzwonił do Sandeckera i przedstawił mu sytuację.

O Sandeckerze mówiono, że jeśli coś zacznie, to skończy; tak samo legendarna była jego lojalność wobec personelu.

– Stworzenie Zespołu do Zadań Specjalnych zajęło mi lata i nie zamierzam pozwolić, by jeden z jego najważniejszych członków był porywany przez bandę cholernych meksykańskich bandytów! Znajdźcie ją! Macie do dyspozycji wszystko, co może zaferować NUMA.

Austin właśnie takiej reakcji oczekiwał, z nieprzewidywalnym admiralem nigdy jednak nie było wiadomo.

– Dziękuję, sir. Zacznę od prośby o szybki transport do Meksyku.

– Kiedy chcecie wyruszyć?

– Muszę spakować specjalistyczny sprzęt. Powiedzmy: dwie godziny?

– Możecie się zjawić w Bazie Sił Powietrznych Andrews ze szczoteczkami do zębów. Będzie na was czekał samolot.

Austin odłożył słuchawkę.

– Gamay ma kłopoty. Paul potrzebuje naszej pomocy. – Przedstawił w skrócie szczegóły sprawy. – Sandecker dał zgodę. Mamy wylecieć z Andrews za dwie godziny. Zdążysz?

Zawała już ruszał ku drzwiom.

– Jestem w drodze.

Minutę później Austin znów odbył krótką rozmowę przez telefon, po czym też wyszedł z biura i pojechał do domu. Wrzucił do torby trochę ubrań i sprzętu i udał się na lotnisko. Sandecker był jak zwykle słowny – czekał na nich, grzejąc silniki, pomalowany na turkusowy kolor NUMA odrzutowiec cessna citation X. Właśnie wrzucali z Zawałą torby do środka, kiedy podjechała wojskowa ciężarówka. Wsiadło z niej dwóch milczących mężczyzn z Sił Specjalnych, by nadzorować przeładunek wielkiej skrzyni z ciężarówki do samolotu.

Zawała uniósł brew.

– Miło, że załatwiłeś piwo na czas przelotu.

– Pomyślałem, że może się nam przydać podstawowy Zestaw Ratunkowy Austina. – Austin podpisał jednemu z ludzi z Sił Specjalnych pokwitowanie. Kilka minut później siedzieli już w pluszowych fotelach w dwuosobowej kabinie i zapinali pasy, a maszyna kołowała po pasie.

– Dostaliśmy zezwolenie na start – rozległ się głos pilota. – Polecimy z prędkością podrózną zero osiemdziesiąt osiem macha. Powinniśmy znaleźć się na Jukatanie w niecałe dwie godziny. Proszę wygodnie usiąść i rozkoszować się podróżą. Szkocka jest w barku, a woda sodowa i lód w lodówce.

Po następnych kilku minutach samolot wspinał się na pułap podróży z prędkością tysiąca trzystu metrów na minutę. Zawała wstał z fotela zaraz po starcie.

– To najszybszy odrzutowiec pasażerski po concordzie – powiedział. Wiedział, co mówi, ponieważ latał już wszystkim, co ma skrzydła. – Idę pogadać z chłopakami w kokpicie.

Austin nie miał nic przeciwko temu; wiedział, że w samotności lepiej się myśli. Położył oparcie, zamknął oczy i zaczął sobie wyobrażać wydarzenia, które Trout opisał mu przez telefon. Kiedy Zavala wrócił z informacją, że zaczynają podchodzić do lądowania, Austin tworzył właśnie konstrukcję myślową, podobną nieco do budowania mostów poprzez stopniowe wysuwanie dźwigarów „w powietrze”.

Trout czekał w miejscu, gdzie poprzednio wylądował citation. Wykąpał się, ogolił i do czasu odzyskania garnituru z pralni, pożyczył mundur polowy. Był on przeznaczony dla niewysokich meksykańskich szeregowców, więc podkreślał długie ręce i nogi Trouta, nadając mu nieco pajakowaty wygląd.

- Dzięki za tak szybkie przybycie, chłopaki – powiedział na powitanie.
- W życiu nie zrezygnowalibyśmy z okazji ujrzenia cię w tym mundurze – odparł z uśmiechem Austin.
- Garnitur mam w pralni – odparł Trout z lekkim zażenowaniem.
- Wyglądasz w tym kamuflażu całkiem ponętnie – stwierdził Austin. – Trochę jak dystygowany Rambo, nie, Joe?

Zavala powoli pokręcił głową.

- Nie wiem... Paul jest bardziej w stylu Stevena Seagala. Może Jean-Claude’a Van Damma.

- Jak to miło, że przylecieliście w pośpiechu na koszt NUMA, by ocenić elegancję mojego ubioru.

- Nie ma sprawy. Przynajmniej tyle możemy zrobić dla przyjaciela.

Trout spowaźniał.

- Żarty na bok, wspaniale jest widzieć wasze paskudne gęby. Dzięki za tak szybkie przybycie. Gamay pilnie potrzebuje wsparcia.

- Dostanie więcej niż wsparcie – odparł Austin. – Mam plan.

Zavala popatrzył na wylądowywaną z samolotu skrzynię, którą dostali od Sił Specjalnych.

- Cholera... – jęknął.

Najcenniejszym atutem snajpera jest nie tyle dobre oko, ile cierpliwość, doszedł do wniosku Guzman. Siedział na kocu rozłożonym w krzakach nad brzegiem Potomacu i wbijał lodowaty wzrok w znajdującą się dokładnie naprzeciwko wiktoriańską wiatę na łodzie. Spędził tu tyle godzin, że zdążył upodobnić się do żywego trupa. Ten stan pozwalał czuć, ignorując zdrętwienie pośladków i ukąszenia owadów. Patrzył na zachód słońca i choć był świadom piękna rzeki, nie odczuwał najmniejszego emocjonalnego związku ze zmieniającą się grą światła i cieni.

Wiedział, że Austin się nie zjawi, jeszcze zanim w salonie ciemnego domu zapaliło się sterowane automatycznie światło. Podniósł leżący na kolanach austriacki karabin snajperski steyr SSG 69 i popatrzył przez celownik optyczny kahles ZF69 na wiszący na ścianie salonu obraz przedstawiają-

cy łódź. Pociągnięcie za spust wyrzuciłoby z lufy pocisk, który pomknąłby przez rzekę z prędkością ośmiuset sześćdziesięciu metrów na sekundę. Kłasnął językiem, opuścił karabin, wyciągnął telefon komórkowy i wykręcił numer w kwaterze głównej NUMA.

Automatyczna sekretarka poinformowała go, że pana Austina nie będzie przez kilka dni w biurze, podała godziny urzędowania NUMA i poprosiła o zostawienie wiadomości. Guzman uśmiechnął się. Istniała tylko jedna wiadomość, jaką chciałby przekazać panu Austinowi. Wystukał kolejny numer. Telefon zadzwonił w samochodzie zaparkowanym pod domem Zavali w Arlington.

– Nie ma go – powiedział w końcu Guzman i się rozłączył. Dwaj mężczyźni w samochodzie popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami. Kierowca uruchomił silnik i odjechali.

Guzman staranie zawinął karabin w koc i ruszył między drzewami cicho jak duch.

## 3 5

Łódź sunęła przez nieprzejrzywą mgłę jak we śnie. Unoszący się nad wodą wilgotny opar materializował się w ektoplazmatyczne postaci, które machały pozbawionymi ciała rękami, jakby ostrzegały: wracajcie!

Gamay sterowała, a Chi siedział na dziobie jak rzeźbiony w mahoniu posąg i wbijał bystry wzrok w gęstą jak wata mgłę. Wypatrywał ludzi i inne przeszkody. Płynęli od świtu. Wyruszyli po noclegu na małej wyspce na środku rzeki. Chi spał na wyspie w olbrzymim hamaku. Wspomnienie spotkania ze Starą Żółtą Brodą ciągle jeszcze wywoływało dreszcze na plecach Gamay. Chi co prawda zapewniał, że w tym miejscu jest bezpiecznie, odparła jednak, że nie życzy sobie nawet robaka i wybrała niewygodny, ale bezpieczny nocleg w łodzi. Obudził ją głośny syk. Z ulgą stwierdziła, że to tylko palnik. Chi robił kawę. Zjedli szybkie śniadanie, złożone głównie z sucharów, i wcześniej wyruszyli.

Spizarnia *chicleros* zaopatrzyła ich na wiele dni. Ponieważ mieli w swojej niewielkiej miejscowości, napełnili drugą łódkę jedzeniem, butelkowaną wodą i paliwem i ciągnęli ją za sobą. Dodatkowy ciężar spowalniał jazdę, ale jeśli chcieli przeżyć, musieli mieć zapasy.

Przedpołudniowe słońce przegnało mgliste fantomy i widoczność się poprawiła. Za to powietrze było duszące i wilgotne. Gamay znalazła wystarzony słomkowy kapelusz, który chronił ją przed udarem słonecznym i osłaniał oczy przed oślepiającym tropikalnym światłem.

Rzeka wiła się. Przed każdym zakolem Chi unosił rękę i Gamay redukowała moc do minimum. Przez kilka minut płynęli pchani jedynie prądem i nadstawiali uszu. Próbowali wychwycić ludzki głos albo buczenie silnika. Nie bali się już ataku z tyłu, ale nie życzyli sobie żadnej niespodzianki od przodu. Nie mieli ochoty wypłynąć z zakrętu prosto na łódź pełną bandziorów. Pozostawał jeszcze helikopter. Nie wiadomo, czy to był przyjaciel,

czy wróg. Co prawda uratował ich przed wpłynięciem na progi, ale za to przez niego wpadli do wody.

Czasami z rzeki wyskakiwała ryba z pluskiem przypominającym wystrzał w beczce. Poza tym – z wyjątkiem metalicznego bulgotu wody opływającej aluminiowe burty – słyszeli tylko paplanie i skrzek plotkujących na drzewach ptaków oraz buczenie owadów. Gamay cieszyła się, że ma solidny zapas środka do odstraszania insektów. Musiała nakładać go często, bo znikał razem z potem i przelotnymi krótkimi deszczami. Chi zdawał się nie zwracać na owady uwagi. Gamay uznała, że to efekt doboru naturalnego. Każdy Maja z podejrzeniem malarii albo chorób przenoszonych przez owady musiał być natychmiast usuwany z populacji.

Po jakimś czasie charakter rzeki się zmienił. Koryto zwąziło się znacznie, prąd stał się szybszy. Nizina przeszła w pagórkowaty teren, brzegi były bardziej strome i wyższe. Porastała je gęsta roślinność.

Gamay nieco irytowała poprzednia powolna podróż, jakby żywcem wzięta z *Afrykańskiej królowej*. Nie była jednak pewna, czy podoba jej się taka szybkość. Wraz z nią malał margines błędu przy sterowaniu.

– Ciekawe, gdzie jesteśmy – mruknęła, wpatrując się w porośnięte winoroślą wapienne ściany, zamykające rzekę z obu stron.

– Też się nad tym zastanawiałem. – Chi bacznie obserwował niebo. – Tam musi być wschód, bo tam weszło słońce. Potrzebujemy pani skautowskiej wiedzy.

Roześmiała się.

– To, czego naprawdę potrzebujemy, to przenośny aparat GPS.

Chi sięgnął do plecaka i wyjął starożytny przyrząd, który znaleźli w świątyni. Podał urządzenie Gamay.

– Wie pani, jak te zabawki działają?

– Jako biolog morski spędzam większość czasu pod wodą, a dostarczenie mnie na miejsce pozostawiam innym. Co prawda odbyłam kilka kursów nawigacji.

Chi przejął rumpel, podczas gdy Gamay oglądała zdumiewający przedmiot, po raz pierwszy odkąd go znaleźli. Ponownie zachwyliła ją jakością wykonania drewnianego pudełka i precyzyjnie połączonych ze sobą trybów. Umieszczone na wieczku litery były bez wątpienia starogreckie; napisy układały się w imiona różnych bogów.

Spróbowała poruszyć największym kołem, ale tak jak pozostałe ruchome części, było skorodowane. Widniały na nim wyryte wizerunki zwierząt. Baran. Koza. Niedźwiedź. Nawet lew. Sądząc po rozmieszczeniu, rysunki symbolizowały gwiazdozbiory. Przypominało to nieco mapę nieba z obracającymi się tarczami, dzięki czemu można ujrzyć układ gwiazd na niebie w określonej porze roku. Sprytne.

– Ktokolwiek skonstruował to urządzenie, był geniuszem – stwierdziła. – Domyślam się jedynie niektórych zastosowań. Moim zdaniem informuje

o układzie gwiazd w określonej porze roku. Więcej – widząc układ gwiazd na niebie, można się dzięki temu przyrządowi dowiedzieć, jaka jest aktualnie część roku.

– Innymi słowy, to kalendarz niebiański, bezcenny do określania, kiedy należy się spodziewać pory deszczowej, kiedy siał i zbierać.

– Także żeglować. Informuje przecież, gdzie człowiek się znajduje. Tylnej części można użyć jako sekstansu i ustalić przybliżony, ale dość dokładny, azymut słońca.

– Do czego są pozostałe tryby?

– Na moje oko mogą nawet służyć jako otwieracz do puszek. Musi pan spytać fachowca od techniki. – Gamay pokręciła głową. – Szkoda, że mechanizm jest skorodowany. Nie miałabym nic przeciwko temu żeby się dowiedzieć, gdzie jesteście.

Chi pogrzebał w plecaku, wyjął mapę i rozłożył ją sobie na kolanach.

– Rzeka nie jest tu uwzględniona – powiedział, przeciągając palcem po prawdopodobnej trasie ich podróży. – Podejrzewam, że taka duża bywa jedynie w porze deszczowej. Biorąc pod uwagę nasz kierunek i prędkość, stawałbym na to, że jeśli jeszcze nie przekroczyliśmy granicy Gwatemali, to jesteśmy bardzo blisko. Byłoby to logiczne. Szabrowane artefakty są przemycane przez Gwatemalę do Belize i dalej.

– Kiedy tu dotarłam z zadaniem powierzonym przez NUMA, nie planowałam wyprawy do Gwatemali, ale chyba nie mam wielkiego wyboru.

– Proszę spojrzeć na to z jaśniejszej strony. Mamy szansę powstrzymać nikczemny proceder przemycania dzieł sztuki.

Gamay uniosła brew. Miała nadzieję, że udzieli jej się nieco optymizmu Chi. W ostatnim czasie żyła tak szybko, że nie wpadło jej do głowy, by traktować ich dwuosobowy zespół jako grupę szturmową. Jej głównym celem było przeżycie. Zaczynała ją to męczyć. To, że jeszcze żyli, było prawdopodobnie wynikiem szczęścia.

Wskazała zaznaczone na mapie krzyżyki.

– Ma pan jakiś pomysł, co mogą oznaczać?

Po chwili zastanowienia Chi odparł:

– Wszystko. Miejsca prowadzenia prac wykopaliskowych, magazyny artefaktów albo zapasów, miejsca dystrybucji.

– Według tego, co mówi to śmieszne urządzenie, zmierzamy prosto w środek wydarzeń. – Zważyła w dłoni przyrząd i podała go Chi.

– Ciekawe – powiedział, ostrożnie wsadzając antyczny przedmiot do plecaka. – Poszukując praktycznego zastosowania, zapomnieliśmy o jego znaczeniu archeologicznym.

– Niech inni o tym myślą. Teraz jestem biologiem morskim.

– Nie może pani jednak zaprzeczyć, że starożytny grecki artefakt w prekolumbijskim stanowisku prowokuje kilka pytań.

– Nie jestem przygotowana do zajmowania się nim.

– Ja też nie. Jeszcze nie. Wiem jednak, że najmniejsza wzmianka o istnieniu prekolumbijskich kontaktów z Europą sprowadzi na moją głowę gniew establishmentu archeologicznego. To urządzenie nie dostało się jednak tutaj samo. Przywieźli je do Ameryki Europejczycy albo Amerykanie, którzy wracali z Europy.

– Może to dobrze, że nie musimy nikomu o tym mówić.

Prędkość łódki wzrastała. Rzeka zrobiła się jeszcze węższa, brzegi wyższe i bardzo strome. Wyglądała jakby płynęła wąwozem. Chi miał trudności z utrzymaniem steru, więc Gamay znów go przejęła. Nie było słychać łoskotu świadczącego o zbliżaniu się progów – jeszcze nie – ale Gamay ciągle uważała.

– Prędkość się zwiększa – poinformowała Chi.

– Może pani jakoś zwolnić?

– Silnik jest praktycznie na wolnym biegu, byśmy nie stracili sterowności. Niech pan patrzy i uważnie słucha. Gdyby z przodu pokazała się spieniona woda, podpłynę do brzegu i pomyślimy, co robić.

U podnóża pionowych brzegów biegła kilkumetrowej szerokości błotnista plaża. Wystarczająco szeroka, by zatrzymać się na złapanie oddechu. Gamay podtrzymywała na duchu inna myśl – była to jedyna droga, którą mogli przybyć *chicleros*. Oznaczało to, że rzeka jest spławna dla małej łodzi. Dodatkowy problem stanowiła łódka, którą ciągnęli za sobą. Najwyższy czas podpłynąć do brzegu, przeładować zapasy i odciąć balast.

Nagle rzeka ponownie się zwężyła, a prąd dwukrotnie przyspieszył.

Spojrzeni po sobie, zaskoczeni. W dalszym ciągu nie słyszeli odgłosu progów. Płynęli łagodnym zakrętem, a brzegi znajdowały się tak blisko, jakby lada moment miały się zetknąć. Gamay zamierzała wyjść na zewnętrzną zakrętę i wbić się dziobem w wąską plażę. Jednak łódka z zapasami naciągnęła linkę holowniczą i rzuciło nimi w przeciwnym kierunku. Gamay wyrwało z ręki rumpel. Wiedziała z doświadczenia, że jeśli na łodzi coś się zaczyna dziać, to za chwilę będzie bardzo źle. Jedynym sposobem uniknięcia katastrofy jest szybkie działanie.

– Odetnij! – wrzasnęła.

Chi wbijał w nią nie rozumiejące spojrzenie.

Gamay zrobiła kantem dłoni gest przecinania.

– Niech pan odetnie linkę holowniczą albo wkręci nam się w śrubę!

Kiedy Chi zrozumiał, przestał się wahać. Przeciął linkę holowniczą jednym uderzeniem maczety. Załadowana bagażami łódka zaczęła powoli wirować i zbliżać się coraz bardziej. Obserwowali ją w nadziei, że ich minie. Kolidzja w wąskim kanionie skończyłaby się katastrofą. Gamay z odwróconą głową, próbowała sterować tak, by uniknąć zderzenia. Dlatego do ostatniej chwili nie dostrzegła wapiennej ściany tuż przed nimi.

Schyliła głowę w ostatniej chwili, by uniknąć uderzenia. Szybko płynąca rzeka wessała ich momentalnie w głąb skały i światło dzienne zgasło.

– Potrzebujemy światła, profesorze – powiedziała Gamay, a jej głos odbił się echem w atramentowej ciemności.

Snop światła latarki padł na pobliskującą kilka metrów dalej mokrą ścianę. Gamay przesunęła rumpel tak, by uniknąć zderzenia. Zrobiła to zbyt gwałtownie i prąd postawił łódź w poprzek. Wreszcie odzyskała panowanie nad sterem i popłynęła z prądem.

Chi wodził latarką do przodu i do góry; oświetlał chropawe ściany i sufit. Spływ podziemną rzeką przypominał jazdę w wesołym miasteczku, tyle że wcale nie było wesoło. Zwłaszcza kiedy światło latarki wydobyło z ciemności wiszące na suficie grona, przypominające zbite w kupę liście. Światło odbiło się w tysiącach jaskrawoczerwonych punkcików. Gamay wstrzymała oddech – nie tyle ze strachu, co dlatego, żeby nie czuć wszechobecnego odoru amoniaku.

– Nienawidzę nietoperzy – mruknęła, zgrzytając zębami.

– Niech pani będzie cicho, to nic się nie stanie.

Rada była zbędna. Gamay zamarła na myśl o skórzastych skrzydłach i ostrych, spiczastych zębach.

Zwierzęta pozostały w każdym razie tam, gdzie były. Potem gromady nietoperzy przerzedziły się, a w końcu znikły ostatnie egzemplarze.

– Fascynujące – powiedział Chi. – Jeszcze nigdy nie widziałem rzeki, która tak nagle schodzi pod ziemię.

– Proszę się nie obrazić, profesorze, ale jak na mój gust, pański kraj ma zbyt wiele jaskiń i dziur.

– *Sí*, doktor Gamay. Obawiam się, że jest jak szwajcarski ser.

Gamay spróbowała spojrzeć na sytuację od weselejszej strony. Stwierdziła jednak, że nie ma w niej nic optymistycznego. Zostali wessani w trzewia ziemi i nie mieli żadnej pewności, że kiedykolwiek wypłyną na powierzchnię. Trasy używali co prawda *chicleros*, ale to oznaczało, że mogą się natknąć na przemytników. Gamay wyjęła śrubę silnika z wody i zaczęli sterować wiosłami. Kiedy łódź uderzała z hałasem o brzegi, odpychali się rękami i nogami.

Gamay złapała niewielki stalagmit i kilka razy owinęła wokół niego obciętą linę holowniczą. Prowizoryczny pachołek wytrzymał. Wpełzli na skalną półkę i zapalili lampę. Gamay spodziewała się, że przyplynie tu błędząca samopas łódka z zapasami, ale musiała gdzieś utknąć. Chi opłakiwał stratę mielonki. Gamay pocieszyła go, że może ją odzyskać. Nie było jej specjalnie żal konserwy, ale paliwo i woda bardzo by się przydały.

Podczas obiadu, składającego się z pokruszonych zimnych tortilli, omówili sytuację i zgodzili się, że muszą płynąć dalej. Żadne nie nazwało głośno wiszącego w powietrzu niepokoju – że rzeka może się skończyć ślepo. Albo w ogóle się nie kończyć. Możliwość taka wisiała jednak nad ich głowami jak ciemna chmura.

Wrócili do łodzi, uruchomili silnik, by łatwiej było sterować, i płynęli, raz za razem zginając się w pół w ataku kaszlu od wilgotnego, stęchłego po-

wietrza. Gamay miała wrażenie, że tkanka jej płuc powoli pleśnieje, tak samo jak reszta ciała. Prąd jakby zwolnił. Chi, który oświetlał drogę z przodu, oznajmił, że rzeka robi się szeroka, jak przed progami. Umieścił latarnię na dziobie i żółte światło oświetliło wielką jaskinię.

– Stop! – krzyknął, chcąc przebić się przez odgłos silnika, odbijającego się głośnym echem.

Gamay zredukowała moc i szarpnęła rumplem, by uniknąć zderzenia z czarną ścianą, która nagle przed nimi wyrosła. Rzeka znów zniknęła. Woda musiała wpływać jeszcze głębiej. Znajdowali się na wielkim jeziorze. Od głównej drogi wodnej odchodził wąski odpływ. W poszukiwaniu lepszej trasy Gamay wpłynęła w kanałik, który wyglądał na sztuczny.

Chi zgasił latarnię i pochylił się do przodu. W oddali zauważył pomarańczowy punkcik, który rósł, aż okazał się światłem migoczącej kerozynowej latarni, ustawionej na przyzbie kamieni na wąskim nabrzeżu. Gamay podpłynęła do dwóch uwiązanych tam łódek, identycznych jak ich. Wyłączyła silnik. Słuchali uważnie, ale jedynym dźwiękiem były ich nerwowe oddechy.

– To chyba koniec podróży – stwierdziła Gamay.

Spakowali do plecaka Chi resztkę zapasów i ruszyli ostrożnie nabrzeżem, dobudowanym do poziomej wapiennej półki szerokości mniej więcej chodnika. Wkrótce droga się poszerzyła, a chropowate ściany stały się gładkie. Poszli wzdłuż światła, od latarni do latarni, aż znaleźli się w wielkim prostokątnym pomieszczeniu.

Chi rozejrzał się.

– To był prawdopodobnie kamieniołom wapienia, używanego przez starożytnych do budowy świątyń i domów. Jesteśmy w centrum działalności Majów.

– Nie sądzę, by starożytni używali kerozynowych lamp.

– Ja też nie. Dobra wiadomość: gdzieś tu musi być wyjście.

Znaleźli dziesiątki poukładanych na paletach skrzyń. Chi przeszedł się wzdłuż nich, zaglądając do każdej.

– Niesamowite... – szepnął. – Muszą tu być setki majowskich artefaktów. Używają tego kamieniołomu do magazynowania skradzionych zabytków.

– To ma sens. Przemysł jest przywożony rzeką i stąd przetrzucany dalej. Zaraz, zaraz... przecież oni potrzebują transportu drogowego, by zabrać stąd te rzeczy!

Chi nie słuchał. Stał przed zamocowanymi do ściany szerokimi półkami. Promień jego latarki wędrował po wielkich kamiennych blokach.

– Znowu statki... – szepnął.

Gamay podeszła bliżej, by obejrzeć płaskorzeźby.

– Podobne do tych w ruinach.

– Wygląda na to, że proceder odbywa się na znacznie większą skalę, niż sądziłem. Musieli znaleźć podobne miejsca jak to, które odkryłem. Użyli

piły diamentowej do wycięcia kamieni z muru. – Westchnął ciężko. – To tragedia.

Ciekawość intelektualna czasami przytłumia instynkt samozachowawczy. Gdyby Gamay nie zauważyła białawego przeblýsku w głębi kamieniołomu, mogłoby stać tak cały dzień i porównywać notatki. Światło dzienne. Nareszcie wyjście z tego okropnego miejsca. Od opuszczenia łodzi Gamay prześladowało wrażenie, że nie są sami. Szybko obejrzała się za siebie, złapała Chi za rękę i odciągnęła go siłą od kamiennych obiektów.

Światło wpadało przez otwór o szerokości drzwi garażowych, zwieńczony typowym dla sztuki Majów łukiem na kroksztynie. Wyszli na zewnątrz. Przejście z ciemnego chłodu na oślepiający upał zadziało jak uderzenie; musieli zamrugać, by przyzwyczaić oczy do jaskrawego słońca. Otwór wychodził na prymitywną rampę załadunkową, przy której stał dźwig ze zwisającą liną wyciągarki. Ziemia wokół rampy była nasączona olejem napędowym i poznaczona śladami opon.

Gamay zrobiła krok do przodu, by lepiej się przyjrzeć, ale coś ją zatrzymało. Odwróciła się w prawo, potem w lewo. To co ujrzała, wcale jej się nie spodobało. Po każdej stronie wrót wyciętych w zboczu stał mężczyzna. Jeden celował do niej z karabinu, drugi ze strzelby w Chi. Prócz tego mieli zatknięte za pasy pistolety. Gamay i Chi porozumieli się wzrokiem; wiedzieli, że trzeba unikać wszelkich gwałtownych ruchów. Jediną możliwością był powrót do wnętrza góry. Zaraz jednak i ta droga została odcięta przez trzeciego mężczyznę, który wyszedł z kamieniołomu. Gamay ze smutkiem pomyślała, że miała trafne przeczucie. Rzeczywiście byli śledzeni.

Wszyscy trzej mężczyźni byli brudni i zarośnięci, jak przystało na miejscowych *chicleros*. Wyglądali jednak na twardszych i bardziej zdyscyplinowanych niż ci, którzy ścigali ich na rzece. Logiczne. Szabrownicy w miasteczku Majów byli na szarym końcu – ot, wyrobnicy od kopania w ziemi i transportu antyków. Ci tutaj musieli być strażnikami. Ten, który pojawił się na końcu, wydał pozostałej dwójce rozkaz. Mężczyźni machnęli bronią na Gamay i Chi, wskazując, by ruszyli zwirową drogą, odchodzącą od wejścia do kamieniołomu.

Szli kilka minut przez las, aż dotarli do poręby, gdzie zaparkowano pobijanego i zabłoconego pikapa GMC z napędem na cztery koła. Drzwi stojącej obok szopy były otwarte, w środku widać było brudne narzędzia. Ktoś majstrował przy silniku samochodu, ale kiedy usłyszał kroki, wyrzwał spod podniesionej maski. Był to chudy osobnik o woskowobiałej skórze i spiczastej bródce. Jeden ze strażników zaczął z nim rozmawiać. Nawet bez znajomości hiszpańskiego Gamay domyśliła się, że mechanik jest tu szefem.

Zadał pytanie Chi, który przyjął postawę pokornego peona. Chwilę rozmawiali, potem mężczyzna zmarszczył czoło i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Wystarczy”. Gamay z ulgą zauważyła, że nikt tu na nią nie patrzy jak na obiekt potencjalnego gwałtu. Wcale jej się jednak nie podoba-

ło, że rozmawiając z Chi „mechanik” nie zdejmuje dłoni z kolby pistoletu. Chwilę zastanawiał się, wsiadł do samochodu i odbył cichą rozmowę przez trzeszczące radio. Konwersacja była miejscami dość zapalczywa. Mimo to „mechanik” wysiadł uśmiechnięty i rzucił strażnikom komendę. Złapali Gamay i Chi, brutalnie przewrócili na ziemię za furgonetką, związali im nogi i przywiązali ręce do zderzaka.

– Co powiedział? – spytała szeptem Gamay, kiedy zostawiono ich samych.

– Staralem się mu wmówić, że zabłądziliśmy. Pani jest naukowcem, a ja przewodnikiem i trafiliśmy do jaskini przez przypadek.

– Kupił to?

– Nieważne. Powiedział, że ma rozkaz zabić każdego, kto tu się zjawi. Porozmawiał jednak z szefami i kazali mu nas sprowadzić.

– Wyglądał na zadowolonego, że się pozbędzie kłopotu. Ile mamy czasu?

– W furgonetce nawala silnik. Kiedy go naprawi, *vamos*.

Gamay wzięła głęboki wdech i wypuściła powoli powietrze. Nie bała się. Była tylko zmęczona i rozczarowana, że złapano ich tak blisko wolności, po kilku dniach walki z rzeką. Nie byli teraz w lepszej sytuacji niż w podziemnej studni. Jedyne plus, to że ci *chicleros* nie rozbierali jej wzrokiem i nie grozili gwałtem. Skoncentrowała się na furgonetce. Mogłaby pomóc im w ucieczce, gdyby tylko wymyślili sposób na odebranie kluczyków czterem uzbrojonym drabom. Oparła głowę o zderzak i zaczęła się zastanawiać, jakie mają możliwości. Szybko doszła do wniosku, że tylko jedno może ich ocalić. Cud. Zamknęła oczy. To będzie długa noc.

## 3 6

Zavala, który siedział w pierwszym helikopterze, dostrzegł ciała w świetle poranka. Huey leciał nad szczytami drzew. Prowadziły go serpentynowate zakręty i zakola rzeki. Kiedy Zavala dostrzegł ludzkie szczątki, wyrzucone na brzeg ostrego meandra, poprosił pilota o bliższy nalot. Helikopter przeleciał nad wodą i zawisł w bezruchu. Zavala wychylił się przez otwarte drzwi i przyjrzał wzdętym trupom. Porozumiał się przez radio z drugim helikopterem, który zataczał nad nimi szerokie, leniwe kręgi.

– Z tego, co widzę, nie ma się czym martwić. Sami mężczyźni. – Paul i Kurt zrozumieli: wśród zabitych nie ma Gamay.

– Jesteś pewien? – spytał Trout.

– Na tyle, na ile mogę coś zobaczyć z tej wysokości.

Wtrącił się Austin.

– Dzięki. To dobre miejsce na wkroczenie. Limuzyna gotowa?

– Zatankowana i przygotowana.

– Świetnie. Do roboty!

Oba wypożyczone od meksykańskiej armii helikoptery zaczęły przelot od ruin, gdzie początkowo więziono Gamay. Trout chciał, by koledzy z NUMA mieli pełen obraz ucieczki Gamay i Chi – od początku do końca. Potem skierowali się nad rzekę, minęli progi i lecieli wzdłuż nurtu, aż znaleźli ciała.

Zavala przekazał pilotowi rozkaz Austina. Huey przesunął się nad najszersze miejsce i powoli opadał, aż przywiązany pod jego brzuchem wielki obiekt dotknął wody. Zavala wcisnął przycisk zwalnający mocowania. Uwolniony od ciężaru helikopter gwałtownie skoczył w górę, odleciał w bok, a jego miejsce zajęła maszyna z Austinem i Troutem na pokładzie.

Austin pierwszy znalazł się w drzwiach i szybko zaczął się spuszczać po linie do obiektu na wodzie, który wyglądał z daleka jak przerośnięta wan-

na. Puścił linę, wcisnął starter i zaczął manewrować dziwnym pojazdem, by schodzący po linie Trout łatwo do niego trafił.

Za nimi spuszczone wodoszczelną torbę z cennym sprzętem. Trout dopilnował, by dotarła na miejsce. Nie było to łatwe ze względu na podmuchy od łopaty wirnika, ale dla wysokiego Trouta nie stanowiło to większego problemu. Poza tym dystyngowany akademik o pozornie wątlwym ciele miał potężne bary i silne ramiona. Kiedyś pracował jako zawodowy rybak. Bez trudu zdjął rozbujaną paczkę z haka i huey odleciał.

– Zwykle nie zabieram autostopowiczów, ale pan ma uczciwą twarz. – Austin przekrzyczył huk silnika.

Trout uśmiechnął się. Mimo niepokoju o Gamay, był szczęśliwy, że przynajmniej coś robi. Odpiął radiotelefon z paska i powiedział do mikrofonu:

– Dzięki za podrzucenie limuzyny, Joe.

– Żaden problem. Lepiej sprawdźcie ją przed przejażdżką.

„Limuzyna” była dwuosobową „Foką”, jednym z najmniejszych na świecie poduszkowców. Zielony kadłub z pianki i włókna szklanego z charakterystyczną zaokrągloną rufą i spiczastym dziobem, miał tylko pięć metrów długości. Połączone działanie śmigła napędowego i dmuchawy, tworzącej poduszkę powietrzną pod dnem, pozwalało maszynie poruszać się po wodzie i lądzie. Nawet z pełnym ładunkiem osiągała prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Pamiętając niemiłą przygodę Niny Kirow z olbrzymim poduszkowcem, Austin uznał, że te śmieszne pojazdy przydadzą się też porządnyim ludziom. Foka została zaprojektowana dla myśliwych i miłośników przyrody, którzy chcieli dotrzeć do niedostępnych okolic. Siły Specjalne zmodyfikowały model cywilny, dodając uchwyt do mocowania karabinu maszynowego, szperacz i noktowizory.

Austin zwiększył obroty dwudziestokonnego silnika marki Briggs and Stratton. Poczul, jak maszyna unosi się na poduszce powietrznej nad wodę. Zrobił kilka kólek i ósemek, poślizgał się przy małej i dużej prędkości. Zadowolony, że tak szybko złapał, o co chodzi, przekazał ster Troutowi. Podczas gdy Paul przyzwyczajał się do pojazdu, Austin pogrzebał w torbie i wyjął swój pistolet oraz dwa CAR-15, czyli krótsze wersje karabinka szturmowego M-16. Poza strzelaniem seriami można było do niego zamontować granatnik.

Austin cieszyłby się, gdyby nie musieli oddać ani jednego strzału, ale nie był optymistą. Przestał się śmiać z maskującego ubioru Trouta i pożyczyl taki sam dla siebie. Srebrne włosy ukrył pod odpowiednią czapką.

Nic nie mogło ich przygotować na smród, który zaatakował nosy z chwilą, kiedy podpływali do unoszących się na wodzie ciał. Zmoczyli chustki w rzece i zawiązali je sobie na twarzach. Ciała wyglądały, jakby ktoś je napompował. Sprawdzając każde zwłoki po kolei, Trout zaciskał mocno usta.

Kiedy się upewnił, włączył radio.

– Wszystko w porządku, Joe. Gamay tu nie ma.

– Miło słyszeć, kolego.  
– Podejrzewam, że to ci, którzy próbowali nas zestrzelić. – Wzdrygnął się na wspomnienie, jak blisko progów była Gamay.

– Polecimy szybko w dół rzeki. Może czeka niedaleko stąd, aż ją z Kurtem uratujecie.

– Jeszcze raz dzięki za odstąpienie miejsca.

– Nie ma sprawy, *amigo*.

Poprzedniego wieczoru odbyła się krótka dyskusja na temat, kto ma towarzyszyć Austinowi. Zavala bardzo chciał płynąć poduszkowcem, ale zdawał sobie sprawę, że to Trout powinien być obecny przy odnalezieniu Gamay – żywej lub martwej. Potrzebowali zresztą w centrali dowodzenia kogoś, kto znał hiszpański i mógł działać jako łącznik z Meksykanami.

Chwilę później huey zniknął nad czubkami drzew. Austin skierował „Fokę” w dół rzeki i dodał gazu. Poduszkowiec uniósł się nad lustro wody i wyprysnął do przodu jak wystrzelony z procy. Austin był zadowolony, że kumple z Sił Specjalnych udostępni im ten pojazd, który pozwoli spenetrować niedostępne inaczej miejsca. Wiedział, że rekonesans z powietrza pozwala zbadać w krótkim czasie duży teren, ale nizinny las deszczowy skutecznie może ukryć tak małe stworzenie jak człowiek.

Zmieniali się przy sterze, płynąc z prędkością nieco ponad trzydzieści kilometrów na godzinę. Gamay i Chi zrobili, licząc od progów, nie więcej jak osiemdziesiąt kilometrów. Przy prędkości poduszkowca i bez przystanków, Austin i Trout pokonają ten dystans błyskawicznie. Trout dostrzegł jakiś błysk na środku rzeki. Podpłynęli do maleńkiej wysepki i Trout wysiadł. Chi zwykle starał się nie śmiecić, ale tym razem upuścił na ziemię opakowanie po sucharach. Trout bez słowa wrócił do poduszkowca i pokazał błyszczący papierek Austinowi. Ten skinął głową, pchnął przepustnicę do oporu i pognali przed siebie. Zwierzyna była tuż przed nimi!

Zaskrzeczało radio i rozległ się głos Zavali.

– Kurt, jakaś paranoja!

– Słyszemy, Joe. Co się dzieje?

– Jeszcze nie jestem pewien. Lecimy przed wami. Rzeka wiję się w prawo i w lewo, potem zwęża w coś na kształt kanionu. Nie ma śladu Gamay ani Chi, ale zauważyliśmy, że rzeka nagle znika.

– Powtórz.

– Rzeka się kończy. W jednej sekundzie jest, w następnej jej nie ma.

– Gdzie jesteście?

– Kontynuujemy przeczesywanie terenu, by sprawdzić, gdzie się znów pojawi. Jeśli nie znajdziemy, polecimy w górę rzeki na spotkanie z wami.

Minipoduszkowiec pędził dalej. Pasażerowie zauważyli, że rzeka się zwęża, a brzegi są coraz bardziej strome.

Znów odezwał się Zavala:

– Nic nie ma, Kurt. Musimy wracać. Helikopterom kończy się paliwo.

Zapaszowe paliwo zostawili koło ruin. Dolot na miejscu, zatankowanie i powrót długo nie potrwa. Umówili się, że Austin i Trout popłyną w dół rzeki, najdalej jak się da, i poczekać na hueye. Pomachali odlatującym maszynom i popłynęli dalej.

W wozie pędzili jeszcze szybciej, popychani dodatkowo prądem. Nagle ujrzeni łódź, która wbiła się w muł na brzegu. Austin podpłynął; Paul natychmiast wyskoczył. Łódź była załadowana kartonami i prawdopodobnie jej ciężar powodował, że prąd nie mógł jej porwać.

– Co ty na to, Paul?

– Moim zdaniem nie płynęli w tej łodzi. Uważam, że ją holowali. Jest tak pełna, że nie ma tu miejsca dla człowieka. Silnik jest podniesiony nad wodę, linka holownicza przecięta.

Austin pociągnął za cienki gumowy przewód.

– Masz rację. Przewód paliwowy nie jest nawet podłączony do baku.

Pchnęli łódkę dalej na brzeg i wskoczyli do poduszkowca. Po kilku minutach rzeka się skończyła. Austin zatrzymał wehikuł w miejscu.

– Oto odpowiedź na znikającą rzekę – stwierdził Trout. – Żadna tajemnica. Wpływa pod ziemię. – Spróbował złapać Zawalę przez radio. Prawdopodobnie wysokie skalne brzegi blokowały połączenie. Bez wahania postanowili płynąć dalej. Wjechali powoli do wnętrza góry, opadli na lustro wody i Trout oświetlił jaskinię szperaczem.

Drgania i hałas turbiny zdenerwowały nietoperze. Zaczęły zlatywać z sufitu jak zdmuchnięte wiatrem. Powietrze wypełniło się piszczącą masą łopoczących skrzydeł. Austin podwoił prędkość. Skulili się w kokpicie, niemal nic nie widząc przez chmurę czarnych futrzastych ciał. Poduszkowiec kilka razy odbił się od brzegów, ale dopóki mogli posuwać się do przodu, Austin wciskał pedał gazu do podłogi.

Wreszcie przedarli się przez nietoperze.

Austin zredukował moc. Do przodu pchał ich prąd.

– Nic ci nie jest? – spytał Trouta.

– Pewnie się okaże, że posiwałem tak jak ty, ale poza tym wszystko gra. Nie zatrzymujmy się.

W zamkniętej przestrzeni odbijający się echem ryk silnika był nie do wytrzymania. Austin mógł jedynie mieć nadzieję, że ewentualny przeciwnik, który czeka przed nimi, jest głuchy jak pień. Inaczej usłyszeli ich z odległości wielu kilometrów. Poruszali się stałym tempem, zostawiając za sobą spieniony kilwater. Wkrótce znaleźli się w dużej jaskini. Zatoczyli na wodzie krąg i dostrzegli, że rzeka znów się kończy, ale odchodzi od niej kanałek.

Kanał kończył się przy wąskim, oświetlonym latarnią nabrzeżu. Przywiązali poduszkowiec obok trzech łodzi i wysiedli. Z gotową do strzału bronią doszli chodnikiem do kamieniołomu. Zatrzymali się, by rzucić okiem na zawartość skrzyń i ruszyli dalej. W oddali słabo świeciło słońce.

## 3 7

Austin wyszedł przez zwieńczony łukiem otwór i usłyszał dochodzącą z oddali cichą muzykę. Latynoski pop – pomyślał. Przywarł plecami do ściany, z gotowym do strzału CAR-15 i palcem na spuście, zaczął okrążyć róg. Wystawił głowę, rozejrzał się po rampie załadunkowej, a że nikogo nie zauważył, wyszedł ostrożnie na jaskrawe światło. Dał Troutowi znak, by szedł za nim. Austin w dalszym ciągu prowadził. Poszli cicho wąską żwirową drogą, trzymając się blisko zarośli po bokach.

Niedaleko miejsca, gdzie od głównej drogi odchodziła w bok wąska ścieżka, weszli między drzewa i opadli na kolana i łokcie. Posuwali się w ten sposób równoległe do drogi, wreszcie opadli na brzuchy i podczołgali się do skraju poręby. Austin posunął się kilka centymetrów do przodu i wysunął głowę z wysokiej trawy. Trout złapał go za ramię, ale Austin zdążył dostrzec burzę rudych włosów o odcieniu czerwonego wina. Gamay. Była przywiązana do tylnego zderzaka poobijanej furgonetki GMC. Jej twarz miała kolor gotowanego homara, skóra schodziła z nosa, a główny atut urody – piękne włosy – zmieniły się w płataninę straków. Poza tym wyglądało, że nic jej nie jest. Tuż obok Gamay siedział przywiązany Indianin, najprawdopodobniej doktor Chi. Gamay miała zamknięte oczy, ale otworzyła je i rozejrzała się ostrożnie wokół, jakby wyczuła obecność Austina i Trouta.

Austin szybko objął wzrokiem całą scenę. Muzyka wydobywała się z przenośnego radiomagnetofonu, wciśniętego w kąt skrzyni furgonetki. Za furgonetką siedzieli na ziemi trzech mężczyzn, pochłoniętych grą w karty. Strzelby mieli w zasięgu ręki, prócz tego każdy nosił za paskiem pistolet. Wzrok Austina powędrował na przód furgonetki, gdzie przy silniku pracował czwarty mężczyzna. Też miał przy sobie pistolet. Bardziej niepokojący był jednak oparty o oponę kałasznikow. Austin dał znak Troutowi, by się

wycofał. Paul skinął głową – rozumiał konieczność przeprowadzenia rozpoznania, ale na jego twarzy wyraźnie było widać rozczarowanie.

Kilka minut później, oparci o drzewo, oceniali sytuację.

– Mamy czterech uzbrojonych facetów, którzy normalnie nie byliby dla nas problemem, ale Gamay i Chi są na linii ognia – powiedział Austin. – Nie podoba mi się, że ten czwarty jest dość daleko od pozostałych. Ma w dodatku pod ręką kałasznikowa. Może narobić szkód. Jakies propozycje?

– Możemy wezwać posiłki – powiedział Trout, poklepując radiotelefon u pasa. – Ale nawet jeśli pojawią się szybko, będzie to oznaczać więcej strzelania i większe ryzyko zranienia kogoś.

– Moje odczucia są takie same. – Austin podrapał się po brodzie. – Gamay i Chi wyglądają na całych. To oznacza, że ktoś chce mieć ich żywych, przynajmniej na razie.

– Podejrzewam, że wyruszą natychmiast po usunięciu awarii samochodu.

– Wtedy sytuacja się zmieni. Strażnicy przestaną grać w karty i może zejdą z linii ognia. Liczę na szansę, kiedy wsadzą Gamay i Chi do samochodu. Jeżeli zejdą z drogi, możemy wykonać nasz ruch.

– Jest inna możliwość. Może się pokazać więcej tych przyjemniaczków.

– Wiem, że to zamiana znanej sytuacji na nieznaną i też mi się to nie podoba, tak samo jak tobie. Nie sądzę jednak, byśmy mieli wybór. Trzeba czekać.

Trout skinął głową na zgodę, choć niechętnie. Podczołgali się z powrotem na skraj poręby. Gra w karty rozwijała się w najlepsze, a mechanik majstrował przy silniku. Austin zauważył z zadowoleniem, że Chi i Gamay mają otwarte oczy. Zdusił w sobie wściekłość, jaka go ogarnęła na widok ich ciężkiego położenia.

Kiedy Austin po raz nie wiem który przysiągł sobie, że już nigdy w życiu nie będzie słuchał latynoskiego popu, mechanik wygramolił się spod maski, wytarł dłonie tłustą szmatą i wszedł do szoferki. Silnik zaskoczył za pierwszym razem i powietrze wypełniło się łoskotem pracującego bez tłumika silnika. Z rury wydechowej buchnął kłęb ciemnych spalin, w którym zniknęli Gamay i Chi. Kręcili głowami, próbując uniknąć wdychania duszącego oparu.

Gra w karty się skończyła. Gracze zabrali pieniądze, wstali, pozasłaniaли usta i nosy i odsunęli się od furgonetki. Także od broni, co z przyjemnością zauważył Austin. Zaczęli wrzeszczeć na mechanika, który wyskoczył z szoferki. Widocznie uznał, że strażnicy nie wykazują odpowiedniego entuzjazmu dla jego osiągnięcia, bo podszedł do najbliższego, złapał go za kołnierz, zaciągnął z wściekłością przed samochód i kazał posłuchać silnika. Pozostali strażnicy wybuchnęli śmiechem i dołączyli do nich.

– Zaczynamy przedstawienie! – rzucił Austin.

Podstawą skutecznej zasadzki jest zaskoczenie i działanie z ukrycia. Mogli ściąć *chicleros* salwą z karabinków, ale Austin zamierzał ratować, nie mordować. Wstali i jakby nigdy nic weszli na porębę. Trout zaczął strzelać

krótkimi seriami w powietrze, Austin celował tuż nad głowami *chicleros*. Celem było zastraszenie. Ogień przyniósł pożądaną efekt. Przynajmniej częściowo. Trzej strażnicy zobaczyli idących na nich dwóch „terminatorów”. Rzucili okiem na bezużyteczną własną broń, potem znowu na białowłosego mężczyznę o stalowych oczach i jego wielkiego jak wieża towarzysza, po czym rozpierchli się po lesie jak liście na wietrze.

Mechanik zanurkował w głąb kabiny, wrzucił bieg i wdepnął pedał gazu. Opony zaczęły się obracać, ryjąc w ziemi głębokie dziury i wyrzucając fontanny piachu. Furgonetka zaczęła z rykiem silnika zjeżdżać z poręby, ciągnąc za sobą Gamay i Chi, niczym przywiązane do samochodu nowożeńców puszki. Muzyka nieustannie rozbrzmiewała z radiomagnetofonu na skrzyni pikapa.

Austin krzyknął do Trouta, żeby złapał uciekających *chicleros*, a sam niczym rewolwerowiec z Dodge City błyskawicznie wyciągnął z kabury bowena. Trzymał go oburącz i chłodno celował w tył szoferki. Lufa pięć razy plunęła ogniem i tylna szyba przestała istnieć. Cztery ostatnie strzały nie były potrzebne, bo już pierwszy pocisk pozbawił kierowcę potylicy.

Furgonetka przejechała jeszcze kilka metrów, jakby kierowana przez autopilota. Kiedy jednak silnik zgasł, stanęła. Austin ruszył biegiem. Trout wyprzedził go, błyskawicznie przeciął pęta Gamay nożem myśliwskim i wziął żonę w ramiona.

## 3 8

Tydzień później wzdłuż czarnego płotu z kutego żelaza, otaczającego zacienione trawniki Harvard Yard, przejechała taksówka, skręciła w ciłą uliczkę o trawiastych poboczach i podjechała do czteropiętrowego ceglanego gmachu w stylu georgiańskim, który wydawał się nie na miejscu przy innych nowocześniejszych budynkach naukowych. Z taksówki wysiadł Zavała i przyjrzał się szyldowi. Archeologiczno-Entograficzne Muzeum Peabody'ego – przeczytał. Odwrócił się do Austina i Gamay i z szacunkiem powiedział:

– To wielki dzień dla mojej rodziny. Matka zawsze miała nadzieję, że dostanę się do Harvardu.

– Twoja matka powinna podziękować za sukces swojego chłopca mojemu mężowi, ale i tak gratuluję – powiedziała Gamay.

– Dziękuję. Moja matka też ci dziękuje. Wejdziemy do świętego gmachu? – spytał, wykonując ręką elegancki ruch, idealnie pasujący do jego charakteru.

Ludzi z NUMA ściągnęło do Cambridge poranne wezwanie Trouta. Dotarł tu okrężną drogą, która zaczęła się na Jukatanie. Po odnalezieniu Gamay wrócili na „Nereusa” na pokładzie meksykańskiego helikoptera. Zmuszeni do czekania, przyjrzeni się bliżej zebrany w jaskini skradzionym zabytkom.

Chi prowadził. Szedł wzdłuż szeregu skrzynek i półek i raz za razem kręcił ze smutkiem głową. Wyjaśniał wagę artefaktów i ogrom zniszczeń, spowodowanych przypadkowym i niefachowym wydobyciem z ziemi. Stał przed kamiennymi płytami i powiedział z rozpaczą w głosie:

– Wiem, że te kamienie opowiadają historię, do tego ważną. Ponieważ wyrywano je nieuważnie i rzucono bezładnie na kupę, potrwają miesiące, może lata, zanim ją poznamy.

Kiedy helikopter leciał na „Nereusa”, słowa Chi odbijały się echem w głowie Trouta. Zbadano Gamay i stwierdzono, że poza zmęczeniem nic jej nie dolega. Po uczcie w restauracji na statku Paul zostawił żonę w wygodnej koi, a sam poleciał z powrotem do obozu *chicleros*, tym razem ze sprzętem fotograficznym.

Aby chronić artefakty i odganiać szwendających się po okolicy szabrowników, rozbiło tu obóz wojsko. Chi został na miejscu, by przeprowadzić inwentaryzację. Kiedy Trout opowiedział mu, co zamierza, profesor zgodził się entuzjastycznie. Trout zrobił setki cyfrowych zdjęć kamieni i napisów na nich. Potem się spakował i wrócił na „Nereusa”, by zabrać Gamay i polecieć do domu. W Waszyngtonie wczytał dane w komputer.

Jako ekspert geologii głębin oceanicznych, znakomicie opanował możliwości grafiki komputerowej. Jego praca wychodziła daleko poza zwykłe badanie dna oceanu elektronicznymi oczami i uszami. Rewelacyjne odkrycia w dziedzinie warstw dennych czy „wentyli termicznych” wymagały prezentacji tak skomplikowanej, że mogła być zrozumiana jedynie przez człowieka z doktoratem. Archeologia już od jakiegoś czasu używa grafiki komputerowej do rekonstrukcji wszystkich możliwych obiektów – od starożytnych miast po szkielety. Trout wielokrotnie konferował z doktorem Chi, który wrócił do Mexico City. Po skończeniu analizy zadzwonił do Austina.

– Może brzmi to idiotycznie – zaczął – ale to, co robię dla Chi, wydaje się mieć związek z zadaniem, nad którym pracujemy.

Austina nie trzeba było namawiać do działania. Przez telefon przekazał Ninie Kirow krótkie streszczenie wyników pracy Trouta i spytał, czy może skontaktować Paula z ekspertem od Majów. Nina natychmiast zarekomendowała doktora Orville’a. Trout wziął dyskietki do Cambridge i przeniósł tam swój sklepik.

W niewielkim holu muzeum straszyl wielki eskimoski pal totemowy, którego groteskowe twarze spoglądały na siedzącą za biurkiem młodą pracownicę. Austin podał ich nazwiska i recepcjonistka wcisnęła klawisz na interkomie. Pojawiła się równie atrakcyjna przewodniczka i metalowymi schodkami, których pilnowała rzeźba siedzącego wojownika Majów o wściekle wykrzywionej twarzy, poprowadziła ich na czwarte piętro.

Po drodze zaczęła opowiadać.

– Peabody to jedno z najstarszych na świecie muzeów poświęconych wyłącznie antropologii. Zostało założone w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku dzięki darowiźnie w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, dokonanej przez George’a Peabody’ego. Budowę gmachu rozpoczęto w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym. Muzeum zgromadziło w swoich murach piętnaście milionów obiektów. Dużą ich część oddajemy innym placówkom, na przykład przedmioty wydobyte przez E. H. Thompsona w świętej *cenote* w Chichén Itzá, gdzie składano w ofierze dziewice.

– Znam lepsze rzeczy, jakie można robić z dziewicami... – mruknął Zavala.

Na szczęście przewodniczka nie usłyszała. Wprowadziła ich do sali wykładowej. Nina stała obok katedry i rozmawiała z chudym mężczyzną z szponą rudych włosów. Austin z przyjemnością zauważył, że kiedy ich zobaczyła – szczególnie jego – szeroko się uśmiechnęła i szybko podeszła się przywitać. Za każdym razem, kiedy widział pełne usta Niny i płynne linie jej ciała, czuł że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Przysiągł sobie, że zabierze ją gdzieś, gdzie nie będą otoczeni jej przyjaciółmi.

Nina przedstawiła nowo przybyłych Orville'owi. Austin już dawno rozumiał, że wygląd człowieka się nie liczy, w tym jednak przypadku nie wiedział, co sądzić. Choć dzień był ciepły, majanista miał na sobie pognieciony, zapięty wysoko pod szyją tweedowy garnitur. Jego niemodny krawat z taniego sklepu był udekorowany kolekcją plam po dawnych posiłkach. Grube szkła okularów potęgowały szalony błysk w brązowych oczach, ale najwyraźniej intelekt utrzymywał skradający się obłęd w ryzach. Choć z trudem. Austin spodziewał się w każdej chwili, że gałki oczne Orville'a zaczną wirować, jak u zwariowanych postaci z kreskówek. Postanowił innym razem zastanawiać się nad cienką linią dzielącą geniusz od obłąkania.

– Paul kończy przygotowywać prezentację i powinien dołączyć do nas za kilka minut – oznajmiła Nina.

Gamay spodziewała się, że mąż wejdzie przez niewysokie drzwi, jak zwykle schylając głowę. Otworzyła z zaskoczenia usta, natychmiast jednak się uśmiechnęła. Wyciągnęła rękę do niskiego, drobnego mężczyzny.

– Profesorze, bez maczety nie od razu pana poznałam.

Zmiana w wyglądzie profesora nie polegała wyłącznie na rezygnacji z noża do cięcia trzciny cukrowej. Miał na sobie ciemnoszary, szyty na zamówienie garnitur od Armaniego i żółty krawat. Nosił ten strój równie naturalnie jak ubranie wieśniaka.

Płaska indiańska twarz była nieruchoma jak u gargulca, ale w ciemnych oczach migotało rozbawienie.

– Jeśli wejdiesz między wrony... – powiedział wzruszając ramionami.

– To wspaniała niespodzianka, profesorze. Świetnie pan wygląda.

– Pani także, doktor Gamay.

Kiedy widziała go ostatnim raz, znajdowała się na pokładzie startującego helikoptera, a on machał do nich z ziemi. Przygoda na rzece najwyraźniej nie wywarła na Chi wrażenia, ale Gamay wróciła do siebie dopiero w Waszyngtonie. Torturowana intensywnym słońcem Jukatana delikatna skóra bardzo ucierpiała. Dieta złożona z sucharów i bezsenne noce, podczas których prześladowały ją prawdziwe i wymaginowane węże, też zrobiły swoje.

Wreszcie wszedł Trout. Żeby pasować do otoczenia ubrał się w stylu pseudoangielskim; w szytą w Londynie na zamówienie sportową marynarkę z materiału w drobną kratkę, oliwkowe spodnie o ostrych jak brzytwa kantach i oczywiście muszkę. Przeprosił za spóźnienie. Gdy profesor zajmował

miejsce na katedrze, podszedł do tablicy i włożył dyskiętkę do podłączonego do ekranu notebooka. Zestaw był podobny do tego, jakiego używał Hiram Yaeger w kwaterze NUMA. Nina usiadła przy stole, a reszta ludzi z NUMA w pierwszym rzędzie krzesel – jak pełni zapału, świeżo upieczeni studenci pierwszego dnia wykładów.

Orville otworzył spotkanie.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Nina powie wam na pewno, że mam opinię człowieka karmiącego lokalną prasę najdziwniejszymi spekulacjami. – Jego usta ułożyły się w dziwnie krzywy uśmiech. – Muszę jednak przyznać, że nawet moja żywa wyobraźnia miałaby trudności, żeby wymyślić historię bardziej fantastyczną niż ta, jaką zaraz usłyszycie. Bez dalszych wstępów przekazuję głos mojemu szanownemu koledze i drogiemu przyjacielowi, doktorowi José Chi.

Chi, który stał obok z dłońmi splecionymi na plecach, wyglądał na tle katedry jak karzeł.

– Chciałbym podziękować doktorowi Orville’owi za zorganizowanie tego spotkania w tej instytucji, gdzie spędziłem wiele szczęśliwych godzin jako student – powiedział doktor Chi głosem szeleszczącym jak suche liście. – Jak państwo wiecie, odkryliśmy z doktor Gamay setki kradzionych zabytków. Wśród artefaktów był zbiór intrygujących, rzeźbionych kamiennych bloków i steli, wyciętych ze świątyń i budynków, których umiejscowienia nie znamy. Część była zniszczona. Wolałbym oczywiście, aby te obiekty tkwiły dalej nienaruszone w ziemi, a przed jakimikolwiek pracami zostały skatalogowane. Jednak ludzie, którzy je ukradli, niechcący pomogli rozwiązać pewną zagadkę. O ile dobrze rozumiem przyjaciół z NUMA, sami starali się ją rozszyfrować jak najszybciej. – Chi uniośł palec i Trout wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiło się zdjęcie lotnicze. – To jest okradzione stanowisko. Pagórki, które widać, to pozostałości budynków, zgromadzonych wokół centralnie umieszczonego rynku dawnego miasta Majów. Następne zdjęcie, proszę. – Zobaczyli kolejny slajd. – To jest obserwatorium. Proszę zwrócić uwagę na detale na fryzie. Budowle miejskie nie znajdują się jedynie na powierzchni. Oglądany budynek to część podziemnej świątyni. Jest to tylko jeden z przykładów, dlaczego to stanowisko jest niezwykle.

Austin pochylił się do przodu, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

– A pod jakim względem jeszcze jest niezwykle, doktorze Chi?

Profesor wskazał na obraz za plecami.

– Większość miast Majów to kombinacja obiektów administracyjnych, religijnych i rezydencji. To centrum zostało poświęcone wyłącznie nauce, a głównie badaniom astronomicznym. Nauka Majów była w gruncie rzeczy zawsze związana z religią – w ten sam mniej więcej sposób, co religia z władzą polityczną – ale mam wrażenie, że tutaj uprawiano znacznie więcej czystej nauki. Majowska nazwa tego miasta brzmi „Niebiańskie Miejsce”. Do naszych celów będą je nazywał MIT.

– Jak Massachusetts Institute of Technology? – spytał Zavala. Światowej sławy instytut badawczy i edukacyjny znajdował się kilka kilometrów od Peabody.

– Właśnie – odparł Chi. – Tyle tylko, że w tym przypadku MIT oznacza Majowski Instytut Techniczny.

Jak doświadczony komik, Chi zaczekał, aż śmiech umilknie. Potem oddał głos Troutowi, a sam usiadł za stołem.

W odróżnieniu od profesora, by móc mówić do mikrofonu, Trout musiał się schylić.

– Od początku doktor Chi był przekonany, że obrazki i hieroglify z kamieni opowiadają jakąś historię. Niestety, zostały pomieszane. To tak jakby powyrywać kartki z powieści i przetasować. A nawet z kilku powieści, ponieważ płyty pochodziły z różnych miejsc. Było to tym trudniejsze, że „kartki” to ciężkie kamienie. Zrobiliśmy więc dziesiątki zdjęć i wczytaliśmy je do komputera, by móc zmieniać kolejność „kartek” na ekranie. Opieraliśmy się przy tym na zdrowym rozsądku oraz wiedzy zawartej w napisach Majów, które tłumaczyli doktor Chi i doktor Orville. Ustawiliśmy następnie kamienie w sekwencję. Opowieść, jaką przedstawiają, zdaniem doktora Orville’a jest niezwykle dziwna i trudna do uwierzenia.

Trout wrócił do klawiatury, a jego miejsce zajął Orville.

– Ustalenie kolejności kamieni okazało się stosunkowo łatwe. Skoncentrowaliśmy się na rysunkach łodzi, podobnych do tych, jakie widzieli państwo na fryzie z obserwatorium w MIT, i przyjęliśmy to za punkt wyjścia. Oto pierwsza płyta.

Austin przez chwilę obserwował scenę, na której wiele się działo.

– Przypomina wyruszenie w morze hiszpańskiej armady.

– Ma pan rację. Sądząc po liczbie statków, jest to zdecydowanie flota a nie przypadkowa krzątania w okolicy portu. Ruch, który tu widać, jest gorączkowy, ale zorganizowany. Widzimy podpływające jeden za drugim statki, załadunek i czekanie w pogotowiu z towarem na pokładzie. – Zdjęcie zostało zastąpione serią obrazków ukazujących flotę na morzu. – Tutaj widzimy pełną przygodę podróż i najróżniejsze stwory morskie. Wiele scen różni się od siebie jedynie w szczegółach. Prawdopodobnie chodzi o artystycznych środek przekazu, mający ukazać bieg czasu.

– Można się domyślić, o jaki odcinek czasu chodzi? – spytała Gamay.

– Napisy w języku Majów informują, że podróż trwała jeden cykl słońca. Mniej więcej trzydzieści dni. Majowie w pomiarze czasu byli precyzyjni. Tu widzimy ostatni kamień z serii. Statki dotarły do miejsca przeznaczenia. W trakcie rozładunku przybysze zostali powitani przez miejscowych. Sposób powitania świadczy o tym, że mieszkańcy krainy znają przybyszy. – Odwrócił się do Trouta. – Czas, przyjacielu, na komputerową magię.

Trout przystąpił do dzieła. Migoczący kursor wybrał ze sceny trzy postacie, otoczył ich głowy grubą białą linią i powiększył. Pierwsza pojawiła

się głowa brodatego mężczyzny z orlim nosem; wieńczył ją stożkowy kapelusz. Drugą twarz, szeroką, o grubych wargach, zdobiła przylegająca ściśle do głowy czapka – może hełm. Trzeci osobnik miał wysokie kości policzkowe i kunsztowne nakrycie głowy z piór.

Trout przesunął obrazki na lewą stronę ekranu i rozmieścił je od góry do dołu. Z prawej strony pojawiły się trzy kolejne twarze.

– Wyglądają, jakby rozdzielono ich zaraz po urodzeniu – zauważył Zavalę.

– Podobieństwo jest dość oczywiste, prawda? – odparł Orville. – Wróćmy do ogólnej sceny. Doktor Kirów, prosimy. Z przyjemnością wysłuchamy opinii archeologa morskiego.

Nina wzięła laserowy wskaźnik i podświetliła najpierw jeden statek, potem następny.

– Widzimy tu takie same statki, wykorzystywane do dwóch różnych celów. Kształt jest identyczny: kadłub długi i płaskodenny, brak bomu, a z zamocowanej na stałe rei ciągle jeszcze zwisają używane do podnoszenia i opuszczania żagla liny. Kontury przechodzą łukowato w przewieszoną rufę. Trzy pokłady, na dziobie i rufie sztagi, rzeźbiony dziób. – Czerwona kropka zawahała się na chwilę. – Tutaj mamy podwójny rumpel. Występ z drugiego końca to taran. Wzdłuż pokładu wiszą okrągłe tarcze.

– Czy to znaczy, że to okręt wojenny? – spytał Zavalę.

– Tak i nie. Na górnym pokładzie widać mężczyzn z oszczepami. Najwyraźniej są to żołnierze albo marynarze. Na dziobach rozmieszczono luki obserwacyjne, po bokach jest miejsce dla szeregów wioślarzy. – Laserowy punkt przeniósł się na inny statek. – Tutaj pokład jest zarezerwowany dla ważnych osobistości. Proszę spojrzeć na postać leżącą na słońcu. Na szczycie masztu znajduje się półksiężyc. Prawdopodobnie jest to admirałski statek flagowy. To, co zwisa z rufy, może być dekoracją, na przykład cennym dywanem, informującym o tym, że dowodzi tu admirał.

– Jak długi mógł być ten statek? – spytał Austin.

– Moim zdaniem miał od trzydziestu do sześćdziesięciu metrów. Może więcej. Dawałoby mu to wagę w granicach tysiąca ton.

Wtrącił się Orville.

– Nino, mogłabyś przypomnieć to porównanie, którego użyłaś dla nas, szczerów lądowych?

– Chętnie. Statek jest znacznie dłuższy od siedemnastowiecznych statków angielskich. „Mayflower” ważył jedynie sto osiemdziesiąt ton.

– Co więc, twoim zdaniem, oglądamy, Nino? – spytał Orville.

Nina popatrzyła na rysunki, jakby nie miała chęci przyznawać się do tego, co krążyło jej po głowie. Naukowiec w niej jednak zwyciężył.

– Jako archeolog morski uważam, że ukazane w tej wizji artystycznej statki wykazują wszelkie cechy fenickich statków oceanicznych. Może brzmi to nieco ogólnie, ale wolę się nie zakładać do momentu zdobycia większej liczby dowodów.

– Jakich dowodów pani potrzebuje? – spytał Austin.

– Na przykład prawdziwego statku. Nasza wiedza o statkach fenickich pochodzi głównie z wizerunków na monetach. Istnieją wersje, że miały do stu metrów. Patrząc na to z przymrużeniem oka, ale nawet jeśli podzielimy tę długość na pół, mamy do czynienia z pokaźnym jak na tamte czasy statkiem.

– Na tyle pokaźnym, by pokonać Atlantyk?

– Nie ulega wątpliwości. Byłaby to jednostka znacznie większa i odporniejsza na kaprysy morza od wielu mniejszych żaglowców, które tego dokonały. Na Boga, przepływano ocean w płaskodennych łodziach wiosłowych! Ten statek byłby idealny. Do pokonania oceanu nie ma nic lepszego od prostokątnego żagla. Z takielunkiem na dziobie i rufie zawsze istnieje możliwość wpadnięcia w niebezpieczne drgania. Bomy gwałtownie się przenoszą z każdą silniejszą zmianą kierunku wiatru. Dzięki gejtawom mogli przy ostrym wietrze skrać żagiel. Z powodu stosunkowo płaskiego dna kiwali się na falach, ale wiosłarze sprawiali, że statek był stabilny, także dzięki swej długości. Taka trirema mogła w idealnych warunkach pokonywać dziennie do stu mil morskich.

– Ponieważ brak nam prawdziwego statku, co innego mogłoby panią przekonać o jego fenickim pochodzeniu?

– Nie chodzi o przekonanie mnie – odparła Nina. – Ja już jestem przekonana. Paul, możemy wrócić do głów? – Na ekranie pojawiły się rzeźbione głowy. Laserowa plamka dotknęła rysunku brodatego mężczyzny, potem jego „bliźniaka”. – Spiczaste nakrycie głowy tego džentelmena jest takie samo jak u fenickich marynarzy.

– Co nie powinno zaskakiwać – wtrącił Orville – ponieważ rysunek z prawej pochodzi z fenickiej steli, którą odkryto niedaleko Tunisu. Człowiek pod nim ma twarz identyczną jak rzeźby z La Venta w Meksyku. Trzeci typ fizyczny pochodzi z ruin majowskich w Uxmal.

– Węszę w tym jakąś tezę – powiedział Austin.

Orville opadł na oparcie krzesła i złożył palce w piramidkę.

– Wnioskowanie na podstawie podobieństw wizualnych jest dobre, jeśli jest się pseudonaukowcem, chcącym sprzedać książkę. To nie jest właściwa metoda naukowa – powiedział i wziął głęboki wdech. – Gdyby moi koledzy usłyszeli to ode mnie, diabli by wzięli resztki mojej reputacji na Harvardzie. Archeologia morska nie jest moją mocną stroną, nie umiem więc ocenić tego co twierdzi Nina. Wiem jednak, że rzeźby na tych kamieniach przedstawiają jednocześnie wizerunki Fenicjan, Murzynów i Majów. Powiem więcej. Tłumaczyliśmy z doktorem Chi hieroglify zarówno razem, jak i osobno. Za każdym razem uzyskiwaliśmy ten sam efekt. Kamienie informują, że te statki dotarły do kraju Majów po ucieczce z powodu katastrofy, jaka miała miejsce w ich kraju rodzinnym. Żeby było jeszcze ciekawiej, ich załogi nie zostały powitane jak obcy, lecz jak znajomi.

– Czy hieroglify sugerują jakąś datę?

– Znając obsesję Majów na temat zapisywania dat, byłbym zaskoczony, gdyby było inaczej. Statki dotarły do celu w roku, który w naszym kalendarzu jest rokiem sto czterdziestym szóstym przed naszą erą.

Nina patrzyła na ekran i mruzczała coś po łacinie.

Kiedy zauważyła, że wszystkie oczy są na nią skierowane, wyjaśniła:

– Każdy to poznaje na pierwszym roku nauki łaciny. *Delenda est Carthago*. Kartagina musi być zburzona! Katon Starszy kończył tym zdaniem każde przemówienie, jakie wygłaszał w rzymskim senacie. Próbował w ten sposób podburzyć Rzymian i doprowadzić do wojny z fenicką Kartaginą.

– O ile pamiętam, udało mu się. Kartagina została zniszczona – powiedział Austin.

– Tak. W sto czterdziestym szóstym roku przed naszą erą.

– Co oznacza, że te statki mogły uciekać przed Rzymianami.

– Data to tylko data – odparła Nina, starając się nie dać wciągnąć w teorię Austina. – Wskazałam po prostu na zbieżność, nie wyciągnęłam żadnych wniosków. Jako naukowiec byłabym nieodpowiedzialna, dowodząc czegoś takiego – dodała. Nie umiała jednak ukryć, narastającego podniecenia.

– Rozumiem, dlaczego naukowiec pani rangi nie może wystąpić z takim oświadczeniem bez dalszych dowodów, ale to, co tu dziś widziałem, przekonało mnie, że napisy na tych kamieniach sugerują przybycie starożytnych podróżników do Ameryki na długo przed Kolumbem. Mówiła pani, że Fenicjanie mogli przekroczyć Atlantyck.

– Wiem, że byli największymi podróżnikami starożytności. Opłynęli Afrykę, na północy dotarli do Kornwalii, na południu do Wysp Zielonego Przylądka. W jedną z wypraw zabrali ponoć tysiąc osób na sześćdziesięciu statkach.

– I to by było na tyle – powiedział Austin z ostantacyjnym zadowoleniem.

– Nie tak szybko, panie Perry Mason – wtrąciła Gamay. – Sceptycy powiedzieliby, że te rakiety są co prawda ciekawe, ale kto udowodni, że autentyczne? Przed laty odkryto w Brazylii napisy, które miały opisywać fenicką wyprawę w roku pięćset trzydziestym pierwszym przed naszą erą. Zgodzono się jednak ogólnie, że zostały sfalszowane. Brzmi to może głupio, ale na pewno pojawią się ludzie, którzy będą twierdzić, że szabrownicy robili je sami, by sprzedać płyty łatwowiernym zbieraczom. Oczywiście, możemy się upierać, że „statki z Tarshish” pokonywały ocean, ale do przekonania kogokolwiek w społeczności naukowców, potrzeba solidniejszych i lepiej udokumentowanych argumentów.

– A co z astrolabium, które znaleźliście z profesorem?

– To też jeszcze za mało, Kurt. Można by dowodzić, że przywiózł je jakiś żołnierz Corteza albo inny hiszpański hidalgo. Indianie mu to ukradli i umieścili w starej świątyni. Dopóki nie wiemy na pewno, jak to się tam dostało, jesteśmy blisko, ale mijamy cel.

– Czy napisy mówią o tym, co wiozły statki?  
– To zachowaliśmy na koniec – powiedział Orville, chichocząc jak uczeń.

– O tak, wiemy co wieźli – powiedział Chi. – Napisy Majów mówią, że głównie miedź, klejnoty, złoto i srebro.

Austin spojrział na niego. Poczuł się, jakby dostał pięścią w głowę.

– Chcecie powiedzieć, że statki były załadowane skarbami?

Chi skinął głową.

– W takim razie to nie mogła być zwykła wyprawa handlowa – powiedział Austin, a jego zielone oczy zabłyśły. – Kartagina była oblegana przez Rzymian. Kartagińczycy zrobiliby wszystko, by Rzymianie nie dostali w ręce królewskiego skarbu.

– Czy wiadomo, co mogło się stać z tym skarbem? – spytał Zavala.

– Niestety, żaden z napisów nie mówi, co się stało po wylądowaniu statków – odpowiedział Chi.

Nina zmarszczyła czoło.

– Cała ta rozmowa o skarbach jest podniecająca – powiedziała niecierpliwie – ale blask złota i klejnotów nie powinien przesłaniać nam innego problemu: dlaczego moja ekspedycja została zmasakrowana w Maroku.

– Nina ma rację – zgodził się Austin. – Skoncentrujmy się na związku zbadanych napisów z innymi zamorskimi odkryciami. Krzysztof Kolumb... Wiemy, że setki lat po wyrzeźbieniu tych kamieni Kolumb usłyszał legendę o wielkim skarbie. – Wskazał na ekran. – Czy mógł tego szukać?

– Niechętnie studzę pański zapał – wtrącił się Orville – ale plotki, jakie dotarły do Kolumba, mogły pochodzić z opowieści o bogactwach od początku należących do Azteków. Jak wiemy, Hiszpanie później się do nich dobrali. Mówił pan, że Kolumb płynął po określonym z góry kursie. Czy to znaczy, że według mapy?

– Nie do końca – odparł Austin. – Pamięta pan ten wycinek z prasy, o który prosiła Nina?

– Oczywiście. Artykuł z mojej teczki o kamiennym artefakcie.

– Kolumb wspomniał, że kierował nim „mówiący kamień”.

– Teraz sobie przypominam. Rzeźbiony monolit, który znaleziono we Włoszech. Transportowano go w opancerzonej furgonetcie. Jechał prosto do mojego muzeum.

– Ten kamień może być kluczem do rozwiązania wszystkiego – powiedział Austin. – Do poznania powodów zdrady i zabójstw.

– Jaka szkoda, że nie możemy rzucić na niego okiem.

– Kto tak powiedział? NUMA zajmowała się trudniejszymi badaniami i na znacznie większych głębokościach.

– Niech sprawdzę, czy nadażam... – powiedział Orville z niedowierzaniem. – Planujecie nurkować na głębokość ponad sześćdziesięciu metrów i wejść do leżącego na dnie oceanu wraka liniowca oceanicznego w Bóg

wie jakim stanie, by wyjąć z zamkniętej, opancerzonej furgonetki wielki kamienny artefakt?

Zavala machnął ręką.

– Mając nieco szczęścia, możemy to zrobić między śniadaniem a obiadem, a przy kolacji opić akcję.

– Hmm... – mruknął Orville z przebiegłym uśmiechem. Pochylił się do przodu i dźgnął wyprostowanym palcem w kierunku obu ludzi z NUMA.

– A twierdzi się, że to ja jestem walnięty.

## 3 9

Miniaturowa łódź podwodna płynęła kilka metrów pod powierzchnią błękitnozielonej wody Przesmyku Nantucket. Austin zaczynał się właśnie zastanawiać nad sensem nurkowania z Zavalą. Jego niechęć nie miała nic wspólnego z umiejętnościami Joe jako pilota. Trudno byłoby znaleźć pojazd poruszający się w wodzie czy pod wodą, którym Joe nie umiałby kierować, ale Austin miał dość jego produkcji wokalnych. Kiedy dźwig spuścił dwuosobową łódź z pokładu na wodę, Zavalą natychmiast zaczął fałszywie nucić hiszpańską wersję *Żółtej łodzi podwodnej*.

– Znasz jakieś inne piosenki?! – warknął do mikrofonu Austin.

– Przyjmuję zamówienia od publiczności.

– Co powiesz na „Daleko, daleko stąd?”

Ze słuchawek rozległ się cichy śmiech Zawali.

– Nie słyszałem jej, odkąd byłem *muchacho*.

– Trudne czasy wymagają niekonwencjonalnych rozwiązań.

– *No problema*. To i tak brzmi lepiej z gitarą. Gdzie zamierzasz się udać, *amigo*?

– Co powiesz na początek o zejściu w dół?

Przyzwalający gest Zawali był świetnie widoczny przez wypukłą pokrywę stanowiska obserwacyjnego, tak bliskiego, że gdyby nie otaczająca ich głowy warstwa pleksiglasu, Austin mógłby wyciągnąć rękę i stuknąć kolegę w ramię. To podwójne wyrzuczenie, umieszczone na przodzie łodzi, wystawało z zielonej ceramicznej powłoki pod takim samym kątem, jak ślepia z żabiego łba.

„Deep Flight II” był niepodobny do większości głębokościowych łodzi podwodnych i batyskafów, które mają kształt pękatego w talli grubasa. Wyglądał raczej na futurystyczny odrzutowiec myśliwski. Kadłub miał prostokątny i płaski, o krawędziach cienkich jak ostrze przecinaka. Boki wygląda-

ły tak, jakby na płaskie pudełko naciągnięto płótno. Krótkie, kanciaste skrzydła wyposażono w zamocowane na stałe reflektory. Za skrzydłami i kopułami obserwacyjnymi zamontowano pędniki. Z przodu znajdowały się wysięgniki z chwytakami i ruchomy szperacz.

W odróżnieniu od klasycznej łodzi podwodnej, gdzie siedzi się pionowo jak za biurkiem, Austin i Zavala leżeli na brzuchu, z głową uniesioną do góry, twarzą do przodu, zapięci w odpowiednio wyprofilowanej plastikowej kapsule. Przedramiona opierali na wyścielanych podpórkach. Każdy pasażer miał joystick do zanurzania i drugi do regulowania prędkości. Zavala sterował, Austin zajmował się takimi rzeczami jak światło, wideo i przednie chwytaki. Kątem oka spoglądał na umieszczoną nad ich głowami konsolę z cyfrowymi wskaźnikami kompasu, prędkościomierza i licznika przebytej drogi oraz wskaźniki głębokościomierza, klimatyzatora, stroboskopu i sonaru. Maszyna była tak wyważona, że mogła unosić się samodzielnie na wodzie. Zanurzała się poprzez odpowiednie ustawienie umieszczonego w części ogonowej steru pionowego, wzorowanego na samolotowym.

Członkowie załogi mieli tułów uniesiony względem nóg o trzydzieści stopni, co odpowiada pozycji człowieka podczas pływania. Taka pozycja powodowała także, że szybkie zanurzanie się i wynurzenie mniej stresowało. Na długość kapsuła idealnie pasowała do wzrostu Austina, natomiast w ramionach było mu nieco ciasno. Musiał jednak przyznać, że mimo konieczności wysłuchiwanie śpiewów Zavali, jest to przyjemny sposób na penetrowanie zatopionego liniowca oceanicznego.

Wrak oznakowano czerwoną kulistą boją. Zavala zaczął zataczać spiralę wokół liny, na której unosiła się boja, schodząc coraz niżej. Lina, długości około pięćdziesięciu metrów, została przywiązana do łańcucha, zamocowanego do wyciągarki trzeciej łodzi ratunkowej na lewej burcie. Normalne zejście do najwyższych partii wraku zajmowało trzy do czterech minut. Przy prędkości pięciu węzłów, jaką osiągała ich łódka, mogli się tam dostać w nieporównanie krótszym czasie. Austin jednak chciał wyczuć środowisko, w którym mieli pracować. Poprosił Zawalę, by opuścił pojazd na dno.

Coraz grubsza warstwa wody nad nimi zabierała kolejne kolory z płynącego z góry światła słonecznego. Najpierw zniknęła czerwień, potem następne barwy widma. W końcu znikły wszystkie odcienie poza zimną niebieskawą zielenią. W rewanżu za sztuczny mrok, kiedy zeszli poniżej cieplejszej warstwy, w której unosiły się cząsteczki roślinności, woda stała się przezroczysta jak kryształ. Łódź powoli okręcała się korkociągiem wokół liny kotwicznej. Z bladego piaszczystego dna wychyłała olbrzymia ciemna masa, która zaraz zajęła całe pole widzenia.

Dzięki znakomitej widoczności łódź płynęła bez świateł. Na głębokości trzydziestu pięciu metrów Zavala spłaszczył trajektorię opadania, zwolnił do prędkości niewiele szybszej od pełzania i zapalił dolny reflektor. Wrak leżał na boku. Krąg światła rozjaśnił fragment kadłuba, przemieniając czerń

w trupią zieleń, upstrzoną przypominającymi trąd plamami żółci i wyglądającymi jak zaschnięta krew plackami rdzy. Oceaniczna patyna, czyli składająca się z milionów anemonów warstwa porostów, ginęła w mroku za granicą światła.

Austin z trudem tylko mógł sobie wyobrazić, że ten ogromny martwy lewiatan był kiedyś jednym z najszybszych i najpiękniejszych statków, jakie kiedykolwiek wypłynęły na oceany. Budynek tej wysokości, co długość „Dorii” – czyli ponad dwustu metrów – nie robi zbyt imponującego wrażenia, natomiast gdyby go położyć poziomo na pustej płaszczyźnie, ogrom stałby się porażający.

„Andrea Doria” leżała na sterburcie, ukrywając pod sobą śmiertelną wyrwę zrobioną ostrym dziobem „Stockholmu”. Wyglądał jak gigantyczny stwór morski, który położył się i zasnął, a teraz morze go wzywa, by wstał. Załoga podwodnego pojazdu włączyła kamerę wideo. Ześlizgiwali się w kierunku rufy wraka. Ich łódź wyglądała przy masywnym kadłubie na znacznie mniejszą niż była naprawdę – jak mały skorupiak o wyłupiastych oczach, który dokonuje inspekcji wieloryba. Niedaleko szesnastotonowej lewej śruby Zawała zrobił ostry zakręt i przepłynął nad rzędem czarnych prostokątów, które niegdyś były oknami wychodzącymi na pokład spacerowy. Kiedy wypłynęli poza rzut statku, zszedł na głębokość sześćdziesięciu jeden metrów i skierował pojazd podwodny ku dziobowi „Dorii”, by przebyć drogę równoległą do tej, od której zaczęli. Pokłady z szeregami krzeseł tworzyły wysoką na ponad dwadzieścia pięć metrów, pionową ścianę. Minęli trzy baseny, które kiedyś dawały ochłodę pasażerom poszczególnych klas. Przepłynęli wzdłuż pokładu z łodziami ratunkowymi, których dawisy nie funkcjonowały ani trochę lepiej niż w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku.

O haczykowate dawisy pozaczepiały się dziesiątki sieci rybackich. Otaaczały one pokłady niczym wielkie całuny, udrapowane na gigantycznym katafalku, a ich oka pokrywała siwa peleryna porostów. Niektóre sieci, wciąż jeszcze wyciągane w górę przez umocowane do nich boje, w dalszym ciągu szerzyły spustoszenie w wielkich, przemykających niebezpiecznie blisko ławicach dorszy. Widząc gnijące resztki ryb, Zawała utrzymywał kurs tak, by płynąć w odpowiedniej odległości od ciągle niebezpiecznych sieci.

Wielki biało-czerwono-zielony komin statku odpadł, wyrwywając wielką kwadratową dziurę, która sięgała aż do maszynowni. Inne otwory widać było w miejscach, gdzie w głąb schodziły nie zakryte studnie schodów. Nadbudówki ześliznęły się z kadłuba i leżały na dnie oceanu, tworząc stertę rozpadającego się żelastwa. Bez charakterystycznego komina i nadbudówek „Andrea Doria” przypominał gigantyczną barkę. Dopiero kiedy przepłynęli obok resztek sterówki i ujrzeli na przednim pokładzie nienaruszone ogromne konstrukcje masztowe, windy i pachołki, zaczęło do nich docierać, że był to naprawdę potężny liniowiec pasażerski. Trudno było uwierzyć, że tak wspa-

niała jednostka w ogóle mogła utonąć. Austin przypomniał sobie, że to samo mówiono o „Titanicu”.

Zachowywali się z szacunkiem jak ludzie, którzy uczestniczą w pogrzebie. Austin przerwał jednak milczenie.

– Tak wygląda trzydzieści milionów dolarów po kilku dziesięcioleciach pobytu na dnie morskim.

– Kupa pieniędzy jak na wielką pułapkę na ryby.

– Tyle kosztował sam kadłub. Nie liczyłem milionów za meble, dzieła sztuki i czterysta ton towaru. Duma włoskiej marynarki.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić – odparł Zavala. – Słyszałem o gęstej mgle, ale przecież oba statki miały radary i ludzi na bocianich gniazdkach. Jaki przypadek może zrzucić, by dwie jednostki, mając do dyspozycji miliony kilometrów kwadratowych oceanu, znalazły się w tym samym momencie w tym samym miejscu?

– Sądzę, że to zwykły pech.

– Nie zrobiliby tego lepiej, nawet gdyby zaplanowali katastrofę z góry.

– Zginęły pięćdziesiąt dwie osoby. Liniowiec o wyporności dwudziestu dziewięciu tysięcy ton na dzień, „Stockholm” ciężko uszkodzony. Utrata ładunku milionowej wartości.

– Chcesz powiedzieć, że to jedna z nie wyjaśnionych tajemnic morza?

– Masz lepszą odpowiedź?

– Żadnej sensownej – odparł Zavala ze słyszalnym przez mikrofon westchnieniem. – Dokąd teraz?

– Podpłyn do Dziury Gimbela, rzucimy na nią okiem.

Pojazd podwodny zawrócił elegancko jak płaszczka i popłynął z powrotem ku dziobowi. Mniej więcej w połowie kadłuba zatrzymał się i przesunął w dół lewej burty, aż dotarł do prostokątnego otworu o poszarpanych brzegach.

Dziura Gimbela.

Otwór o wymiarach dwa na sześć metrów był skutkiem działalności Petera Gimbela. Niecałą dobę po zatonięciu „Dorii” Gimbel oraz inny fotograf – Joseph Fox – zanurkowali do liniowca i spędzili trzynaście minut na eksploracji wraka. Był to początek fascynacji Gimbela wrakiem. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku poprowadził ekspedycję, która wykorzystwała keson i najnowocześniejsze techniki nurkowania. Nurkowie wycięli drzwi prowadzące do ognioodpornej komory na pokładzie pierwszej klasy, by dostać się do sejfu, w którym miały się znajdować obiekty wartości milionów dolarów. Otworzono sejf przed kamerami telewizyjnymi... i znaleźli w nim kilkaset dolarów.

– Wygląda to jak wrota do stodoły – zauważył Zavala.

– Zrobienie tych wrót kosztowało dwa tygodnie pracy przy zastosowaniu prętów magnezowych. Nie mamy tyle czasu.

– Może łatwiej byłoby podnieść cały wrak. Jeśli NUMA udało się podnieść „Titanica”, „Doria” powinien być drobiazgiem.

– Nie jesteś pierwszym, który to proponuje. Bóg wie ilu ludzi wpadło na pomysł, jak to zrobić. Sprężone powietrze. Napętniane helem balony. Suchy dok. Plastikowe pęcherze. Proponowano nawet zastosować piłeczki pingpongowe.

– Facet od piłeczek pingpongowych musiał mieć jaja... – gwizdnął z uznaniem Zavala.

– Pomijając tę stroniczą uwagę, co sądzisz na podstawie tego, co widziałeś?

– Myślę, że dość się już napracowaliśmy.

– Zgadzam się. Wypływamy i zobaczymy, co powiedzą inni.

Zavala uniósł kciuki, dał gazu i podniósł nos pojazdu. Kiedy szybko się wznosili, pchani siłą czterech pędników, Austin patrzył do tyłu, na znikającego w mroku szarego ducha. Gdzieś w tym olbrzymim kadłubie krył się klucz do serii przedziwnych morderstw. Po chwili odsunął od siebie ponure myśli, bowiem Zavala zaintonował refren z „Octopus’s Garden”. Austin podziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie, że podróż będzie krótka.

„Deep Flight” przebił powierzchnię i wyrzucił w górę słup piany. Przez kopułki obserwacyjne, z których spływała woda, widać było w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów kuter o szarym kadłubie i białej nadbudówce. Pod wodą łódka podwodna była zwinna jak płotka, ale na powierzchni płaskie skrzydła były podatne na ruch fal i pojazd kołysał się na krótkiej fali. Austin nie był podatny na chorobę morską, ale teraz robił się powoli zielony i z radością zauważył, że kuter rusza i szybko zmniejsza dzielący ich dystans.

Konstrukcja kutra była typowa dla jednostek ratunkowych i pomiarowych, których głównym zadaniem jest służyć jako platforma do spuszczenia na wodę, wyciągania z wody oraz holowania najrozmaitszych przyrządów i pojazdów. Miał wysoko uniesiony nos jak holownik i wysoką, umieszczoną daleko z przodu nadbudówkę. Większą część dwudziestometrowego kadłuba zajmował płaski pokład. Przy obu burtach zamocowano dźwigi. Na sześciometrowej szerokości rufie, z której schodziła do wody pochylnia, znajdowała się wyciągarka, umocowana na zajmującej niemal całą szerokość pokładu ramie w kształcie litery A. Dwóch ludzi w wodoszczelnych kombinezonach zepchnęło po rampie do wody ponton, wskoczyło do niego i pognęło po szczytach fal do pojazdu podwodnego. Jeden zajmował się sterem, drugi włożył hak holowniczy do zaczepu na dziobie łodzi podwodnej.

Lina holownicza biegła do windy na pokładzie kutra. Kiedy ją uruchomiono, łódka podwodna została przyciągnięta bliżej. Kuter wykonał manewr i „Deep Flight” dotknął jego prawej burty. Ramię dźwigu się wychyliło, a z góry zjechały haki, które zamocowano do uchwytów na kadłubie pojazdu podwodnego. Łódź podwodna wraz z pasażerami wynurzyła się z wody.

Przeniesiono ją nad pokład i opuszczono na stalową podstawę. Operacja została przeprowadzona ze szwajcarską dokładnością. Austin nie spodziewał się niczego innego po łodzi należącej do firmy ojca.

Po odkrywczej debacie w muzeum Austin zadzwonił do Rudiego Gunna, żeby zapoznać go z sytuacją i poprosić o statek ratowniczy. NUMA miała dziesiątki statków, uczestniczących w licznych operacjach agencji, ale według Gunna na tym właśnie polegał problem. Wszystkie statki były rozrzucone po świecie i pracowały. Większość miała na pokładzie naukowców, którzy stali w kolejce, by się tam dostać. Najbliżej znajdował się „Nereus” – był w Meksyku. Austin wyjaśnił, że nie potrzebuje dużej jednostki. Usłyszał, że najszybciej może się spodziewać czegoś za tydzień. Poprosił o rezerwację i rozłączył się. Po chwili zastanowienia zadzwonił ponownie.

W słuchawce odezwał się głos przypominający niedźwiedzi kaszel. Austin przekazał ojcu, o co mu chodzi.

– Ha! – warknął starszy pan. – Jezu, a ja myślałem, że NUMA ma więcej statków niż marynarka wojenna! Admirał nie może dać ci ani jednej małej łódeczki ze swojej floty?

Austin pozwolił ojcu nacieszyć się triumfem.

– W tej chwili nie. Naprawdę przydałaby mi się twoja pomoc, tato.

– Hmm... pomoc ma swoją cenę – oznajmił chytrze Austin senior.

– NUMA zwróci ci wszelkie koszty, tato.

– Mam gdzieś pieniądze. Mój księgowy znajdzie jakiś sposób, żeby zaksięgować to jako darowiznę na cele dobroczynne... oczywiście jeśli nie pošłą go przedtem do Alcatraz. Czy jeśli załatwię ci coś co pływa, zostawisz to gównu, w które wpakował cię Sandecker, i przyjedziesz żeby się ze mną spotkać? Zrób to, zanim tak stetryczeję, że cię nie poznam.

– Nie mogę niczego obiecać, ale jest pewna szansa.

– Hmm... Sam wiesz, że znalezienie dla ciebie łodzi to nie złapanie takśówki. Zobaczę, co się da zrobić. – Odwiesił słuchawkę.

Austin cicho się roześmiał. Jego ojciec dokładnie wiedział, gdzie znajduje się każdy z jego statków i co robi – z najmniejszą łodzią wiosłową włącznie. Tata chciał jedynie, by syn chwilę poszarpał się na haczyku. Austin nie był zaskoczony, kiedy kilka minut później zadzwonił telefon.

– Masz szczęście – powiedział szorstki głos. – Załatwiłem ci starą krypę. Jedna z naszych łajb robi coś dla marynarki wojennej na wysokości Sandy Hook, w New Jersey. Nie da się porównać z żadnym z twoich wielkich statków badawczych, ale poradzi sobie. Będzie czekać na ciebie jutro w porcie w Nantucket.

– Dzięki, tato, naprawdę to doceniam.

– Musiałem wykręcić kapitanowi rękę, żeby się zgodził. Stracę też forszę za nie dokończoną robotę – mówił dziwnie łagodnym głosem – ale chyba jest to warte odwiedzin syna u starzejącego się ojca.

Co za aktor! Austin uważał, że ojciec umie się świetnie sprzedać. Zgodnie z obietnicą, Austin dostał kuter następnego dnia w Nantucket. „Monk-

fish” wcale nie okazał się krypą. Był średniej wielkości, zgodnym z wszelkimi regułami sztuki, nie starszym niż dwa lata statkiem ratunkowym. Dodatkową nagrodą był kapitan John McGinty, grubokościsty, rumiany Irlandczyk z południowych dzielnic Bostonu. Kilka lat temu nurkował, badając „Andrzej Dorię” i był zachwycony, że znów może pracować przy tym statku.

McGinty podszedł w momencie, kiedy Austin wyjmował kasetę wideo.

– Nie trzymajcie mnie w niepewności – powiedział podniecony. – Jak wygląda moja dziewczyna?

– Widać po niej wiek, ale sam pan może się przekonać. – Austin podał mu kasetę.

Kapitan popatrzył na łódkę podwodną i zachichotał.

– Niezły wózek – rzucił i poprowadził gości do swojej kabiny.

Posadził Austina i Zawalę w miękkich fotelach, poczęstował ich drinkami i wsunął kasetę do magnetowidu. W absolutnym milczeniu kontemlował każdy szczegół pokrytego patyną kadłuba. Kiedy taśma się skończyła, wcisnął przewijanie.

– Zrobiliście, chłopcy, świetną robotę. To pudło wygląda tak samo jak w siedemdziesiątym ósmym, kiedy do niego nurkowałem. Zauważyłem tylko więcej sieci z trawlerów. No i rzeczywiście – westchnął – chyba jest już trochę zużyty. Problem jednak polega na tym, czego nie widać. Słyszałem, że wewnętrzne przegrody rdzewieją. Długo nie potrwa a całość zapadnie się zupełnie.

– Mógłby nam pan opowiedzieć w ogólnym zarysie, czego mamy się spodziewać na dole?

– Zrobie, co w mojej mocy. Dolać? – Nie czekając na odpowiedź, włąk każdemu z gości podwójnego jacka danielsa i wrzucił po dwie małe kostki lodu. Wypił łyk whisky i wbił wzrok w pusty ekran. – Nie wolno wam zapomnieć o jednej rzeczy. „Doria” dobrze wygląda, nawet przy całym tym śmieciu na kadłubie, ale to morderca. Nie na darmo mówi się, że to Mount Everest dla nurków. Nie zabił tylu ludzi co Mount Everest... ostatnio, kiedy liczyłem, była to mniej więcej dziesiątka... ale chłopcy, którzy schodzą do „Dorii”, mają ten sam cel co ci, którzy się wspinają: chodzi o ten adrenalinowy rausz.

– Każdy wrak ma swój charakter – odparł Austin. – Jakie zagrożenia tutaj są najważniejsze?

– Cóż, „Doria” chowa w rękawie najróżniejsze sztuczki. Po pierwsze głębokość. Wyjście z sześćdziesięciu metrów wymaga dwóch godzin dekompresji. Ze względu na temperaturę trzeba mieć suchy kombinezon. Po uwięzienie w sieciach ryby przyplływają rekiny, zwykle błękitne. Nie są uważane za niebezpieczne, ale kiedy człowiek wisi na linie i następuje dekompresja, może tylko mieć nadzieję, że krótkowzroczny rekin nie weźmie go za większą rybę.

– Kiedy zacząłem nurkować, ojciec kazał mi zawsze pamiętać, że w wodzie człowiek traci miejsce na szczycie łańcucha pokarmowego – powiedział Austin.

McGinty mruknął potakująco.

– To wszystko nie byłoby specjalnie kłopotliwe, gdyby nie kolejne problemy. Po pierwsze, na dole zawsze występuje złośliwy prąd. Może przeszkadzać już od samej powierzchni i przepływać nawet przez wrak. Czasami ma się wrażenie, jakby chciał zerwać człowieka z liny zejściowej.

– Czułem, jak pcha łódź – potwierdził Zavala.

McGinty skinął głową.

– Widzieliście, jaka była widoczność?

– Zupełnie dobra. Znaleźliśmy wrak bez światła – stwierdził Austin.

– Mielicie szczęście. Świeciło słońce, morze nie było wzburzone. Jeśli dzień jest zachmurzony albo mglisty, można w ogóle nie dostrzec wraku. To nic w porównaniu z tym, co się kryje we wnętrzu. Czarno tam jak w piekle, wszędzie muł. Wystarczy dotknąć, a człowieka otacza chmura tak gęsta, że nie przebije jej reflektor. Łatwo stracić orientację i się zgubić. Największym problemem jest jednak niebezpieczeństwo zaplątania się. Przy tej ilości zwisających z sufitów przewodów można wpaść w niezłe kłopoty. Oczywiście przedtem trzeba się przedostać przez oplatające kadłub sieci, liny, żyłki, zostawiane przez turystów, którzy próbują łowić ryby nad wrakiem. Nurek zauważa zwoje dopiero, kiedy zaplącze się w nie butlą. Nurkując z akwalungiem, pozostaje najwyżej dwadzieścia minut, żeby wydostać się z kłopotów.

– To niewiele czasu jak na eksplorację tak wielkiego statku.

– To jeden z powodów, dlaczego jest to tak cholernie niebezpieczne. Znam takich, co szukali porcelany z herbem Włoch. Spędzili masę czasu na trening i wydali kupę forsy po to, żeby zejść na dół. A kiedy zeszli, natychmiast wszystko zapomnieli. Szybko się zmęczyli, szczególnie walką z prądem i przez to, że używali potrójnej mieszanki. Popełnili kilka błędów. Zabłądzili, bo zapomnieli planów, które wkuwali na pamięć. Jeden zmarł, bo miał w butli złą mieszankę. Przy swoim ostatnim zejściu zabrałem pięć butli, pas, lampy, noże. Targałem ponad sto kilo. Badanie tego statku wymaga doświadczenia, a i tak łatwo stracić orientację. Statek leży na boku, więc pokłady i podłogi są nad głową, przegrody leżą poziomo.

– Brzmi to, jakby „Andrea Doria” był miejscem akurat dla nas. Prawda, Joe?

– Pod warunkiem, że w barze w dalszym ciągu podają tequilę.

McGinty zmarszczył czoło. Zazwyczaj taka bufonada przed zejściem do „Dorii” była biletem w jedną stronę – na pociąg o nazwie „plastikowy worek”. Ta dwójka była jednak nietypowa. Wysoki facet z siwymi włosami, które nie pasowały do twarzy bez jednej zmarszczki, i brunet o łagodnym głosie i seksownych oczach, promieniowali niezwykłą pewnością siebie. Kapitan rozpogodził się i wyszczerzył zęby w uśmiechu jak stary pies gończy. Nie, nie zaskoczyłby go widok tej pary, rozwalonej na stołkach w okrętowym barze pierwszej klasy, zamawiającej drinka u ducha barmana.

– Jaka zapowiada się pogoda, kapitanie? – spytał Austin.

– Tu na płyciźnie bywa kapryśna jak cholera. Jednego dnia jest spokój, następnego wali sztorm. Chłopcy z „Andrei Dorii” i „Stockholmu” mogliby sporo powiedzieć o tym, jak gęste mgły tu bywają. Teraz wieje z południowego wschodu, ale chyba kierunek zmieni się na bardziej zachodni i podejrzewam, że będziemy mieli gładkie morze. Nie mam pojęcia, jak długo to potrwa.

– To dobrze, bo trochę nam się spieszy z robotą – powiedział Austin. – Nie możemy na to poświęcić kilku dni.

McGinty uśmiechnął się. Hmm... niezła pewność siebie.

– Zobaczymy – odparł. – W każdym razie muszę przyznać, że macie jaja. Szukacie opancerzonej furgonetki, która powinna być w ładowni? Będzie to wymagało nieco roboty. Zwłaszcza że nie znacie wnętrza wraka. – Pokręcił głową. – Chętnie bym wam pomógł, ale mój czas na nurkowanie już minął. Przydałby się wam przewodnik.

Austin dostrzegł przez bulaj nadpływający błękitny kadłub. Na dziobie widać było napis: „Myra”.

– Przepraszam, kapitanie, ale chyba właśnie przybył.

## 40

Gamay, masz trochę czasu!? – zawołał Trout z gabinetu. Pochylał się nad monitorem komputera i intensywnie wbijał wzrok w duży ekran, z którego korzystał przy tworzeniu grafik na użytek rozmaitych projektów podwodnych.

– Jasne – odpowiedziała Gamay z drugiego pokoju, tłumiąc pomruk niechęci. Unosiła się poziomo nad podłogą jak jogin w transie; jej ciało podtrzymywała jedynie wąska deska, oparta końcami na dwóch drabinach. Razem z Paulem nieustannie coś zmieniali w wystroju swojego domu w Georgetown. Rudi Gunn kazał im wziąć kilka dni wolnego. Mieli odpocząć i przygotować się w spokoju do złożenia raportu dyrekcji NUMA. Natychmiast jednak po powrocie do domu, Gamay zabrała się do realizacji odkładanego od dawna planu – na suficie najbardziej nasłonecznionego pokoju zaczęła malować girlandy bardzo naturalistycznych kwiatów.

Weszła do gabinetu, wycierając ręce szmatą. Miała na sobie stare dżinsy i roboczą koszulę z bawełny. Ciemnorude włosy schowała pod białą czapkę z napisem TRU-TEST PAINT. Twarz miała upstrzoną zielonymi i czerwonymi plamkami, jedynie wokół oczu – które chroniła okularami – zostały czyste obwódki, dzięki czemu wyglądała jak szop pracz.

– Mogłabyś robić jako obraz Jacksona Pollocka – stwierdził Trout.

Gamay starła z ust grudkę karmazynu.

– Nie pojmuję, jak Michał Anioł mógł namalować sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej. Pracuję od godziny i już mam poważny przypadek łokcia malarza.

Trout popatrzył znad nie istniejących okularów i lekko się uśmiechnął.

– Co ma znaczyć ten wilczy uśmiech? – nieufnie spytała Gamay.

Objął ją za szczupłą talię i przyciągnął do siebie. Od powrotu do domu dotykał jej przy każdej możliwej okazji, jakby się bał, że znów zniknie mu

w dżungli. Czas, kiedy zaginęła, był dla Trouta koszmarem, ale jankeskie wychowanie nigdy nie pozwoliłoby mu się otworzyć i powiedzieć tego wprost.

– Zastanawiałem się tylko, jak seksownie wyglądasz z popryskaną farbą twarzą.

Gamay delikatnie poczochnęła mu włosy.

– Wy, zboczeńcy, wiecie, jak bajerować dziewczynki. – Popatrzyła na ekran. – Z tego powodu mnie wołałeś?

– To by było na tyle, jeśli chodzi o spontaniczne, romantyczne gesty. – Trout wskazał na ekran. – Powiedz mi, co widzisz.

Oparła się o ramię Paula i przyjrzała obrazowi na monitorze.

– Żaden problem. Widzę znakomite, szczegółowe rysunki ośmiu głów. – Jej głos nabrał naukowej monotonii, jakby patolog komentował sekcję. – Na pierwszy rzut oka głowy wydają się identyczne, przy bliższym przyjrzeniu się odkrywam jednak drobne różnice. Zwłaszcza wokół szczęki i ust, ale także na sklepieniu czaszki. Jak mi idzie, Sherlocku?

– Nie tylko patrzysz, ale i widzisz, mój drogi Watsonie.

– Podstawowa umiejętność, przyjacielu. Kto zrobił te rysunki? To są dzieła sztuki.

– Szanowny doktor Chi. Człowiek o wielu talentach.

– Wystarczająco długo widziałam go w akcji, by zaskoczyło mnie cokolwiek. Jak doszło do tego, że znalazły się u ciebie?

– Chi pokazał mi je, kiedy byłem w Harvardzie. Poprosił, żebyś im się przyjrzała, bo pamiętał o twojej archeologicznej przeszłości, zanim przeszłaś do biologii. Głównie jednak zależało mu na świeżym spojrzeniu. – Trout odchylił się do tyłu i splótł palce na potylicy. – Jestem geologiem oceanicznym. Mogę z takiego materiału zrobić piękne przeróbki, ale nic mi on nie mówi.

Gamay przysunęła krzesło do męża.

– Popatrz na to inaczej. Załóż, że te obrazki nie różnią się niczym od kamienia z dna morza, który ktoś ci wręczył. O co zapytasz najpierw?

– Proste. Skąd go ma.

– Brawo. – Cmoknęła go w policzek. – To samo dotyczy archeologii. Zanim zajęłam się biologią, nie specjalizowałam się w badaniu kultury Majów, ale zadam ci to pytanie: skąd pochodzą te obrazki?

Trout postukał w ekran.

– Ten z miejsca, które Chi nazywa MIT. To tam, gdzie po raz pierwszy wpadliście na *chicleros*.

Na wspomnienie palącego słońca, gnijącej tropikalnej roślinności i nieogolonych, nieprzyjaznych mężczyzn, po plecach Gamay przebiegł dreszcz.

– A pozostałe?

– Z różnych miejsc, które odwiedzał Chi.

– Z jakiego powodu – poza tym, że są niemal identyczne – wybrał akurat te?

– Lokalizacja. Każda twarz pochodzi z obserwatorium, na którym znaleziono fryz z wyrzeźbionymi statkami, fenickimi albo i nie.

– Intrygujące.

– Aha. Profesor też tak uważa. Głowy łączy motyw statków.

– Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem. Obawiam się, że na tym kończy się moja wiedza o Ameryce Środkowej.

– Dlaczego nie zadzwonisz do profesora Chi?

– Właśnie próbowałem. Nie zastałem go w biurze w Mexico City. Powiedziano mi, że przez jakiś czas go nie będzie.

– Nie musisz więcej mówić. Powiedzieli, że jest w terenie.

Trout skinął głową.

– Zostawiłem mu wiadomość.

– Nie musisz przede mną ukrywać, że odzyskał humvee. Co z Orville'em?

– Zwariowanym profesorkiem? Też o nim pomyślałem, ale chciałem najpierw pokazać materiał tobie, na wypadek, gdybyś miała jakiś pomysł.

– Dzwon do Linusa Orville'a. Tak brzmi mój pomysł.

Trout przejrzał kartotekę i wystukał numer. Kiedy Orville odebrał, Paul włączył zestaw głośno mówiący.

– O, Mulder i Scully! – przywitał się Orville. – Jak *Archiwum X*?

Najpoważniejszym tonem, na jaki było go stać, Trout powiedział:

– Uzyskailiśmy niezbite dowody, że te tajemnicze rzeźbione statki pochodzą z zaginionego kontynentu Mu.

– Żartuje pan! – krzyknął bez tchu Orville.

– Oczywiście, że żartuje. Po prostu bardzo lubię wymawiać słowo „Mu”.

– No to jazda, Mulder. Proszę mi teraz zdradzić faktyczny powód pańskiego telefonu.

– Potrzebujemy pańskiej opinii na temat szkiców, które profesor Chi dał Paulowi – odezwała się Gamay.

– Ach, chodzi o te wenusjańskie bohomy...

– Wenusjańskie?

– Tak, mówię o tej ośmioobrazkowej serii. Każdy rysunek przedstawia inkarnację bogini Wenus.

Gamay popatrzyła na groteskowe profile z wystającymi szczękami i czołami.

– Błeee... Zawsze wyobrażałam sobie boginię miłości jako delikatną dziewczycę, wypływającą z morskiej piany na muszli.

– To dlatego, że wizja Boticellego wyprała pani mózg. Marnowała pani czas na studia kultur klasycznych, zanim wydostała się pani z gry pod tytułem „Świątynia Zagłady”. Wenus Majów był mężczyzną.

– Jaka dyskryminacja kobiet!.

– Tylko w pewnym stopniu. Jeśli chodzi o składanie ofiar, Majowie głęboko wierzyli w równość szans zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Wenus

symbolizował Quetzalcoatl albo Kukulcan, pierzasty wąż. Wszystko jest ze sobą powiązane. Analogia urodzin i reinkarnacji. Tak jak Quetzalcoatl, Wenus znika na część cyklu tylko po to, by zjawić się ponownie.

– Rozumiem – odparł Trout. – Majowie dekorowali świątynie obrazami boga, żeby do nich wrócił.

– Tak, było w tym coś z podlizywania się ważnemu dostojnikowi. Musicie zrozumieć, że ich architektura była elementem religii. Budynki Majów są często wznoszone w kluczowych punktach, wyznaczanych przez przesilenie dnia z nocą i zrównanie dnia z nocą, albo w miejscach, w których znika i pojawia się Wenus. Innymi słowami, to niebiański kalkulator.

– Profesor Chi porównał wieżę obserwacyjną w MIT z komputerem, a napisy na jej ścianach z programem komputerowym – powiedziała Gamay. – Ma wrażenie, że miejsce to było częścią większej całości, tak jak jeden obwód jest częścią komputera.

– Przedstawił mi tę teorię, ale wasza rzeźbiona wieża musiałaby przejść sporo zmian, zanim stałaby się klonem IBM.

– Czy jednak jest możliwe, by wieże w MIT i w innych miejscach były częścią większego planu?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Majowie byli niesamowicie wyrafinowani i ciągle czymś zaskakiwali. Ustawiali na przykład drzwi i okna w pałacu albo na całej ulicy tak, by skierowane były na słońce i gwiazdy w różnych porach roku. Umiejętność przepowiadania ruchów Wenus dawała kapłanom wielką władzę. Bóg Wenus informował chłopów o tak ważnych datach jak początek siewów, żniwa oraz rozpoczęcie pory deszczowej. Szeregi okien w Caracol w Chichén Itzá tworzą linie, które przecinają się z pozycją Wenus w różnych miejscach na horyzoncie.

– O ile wiem, w Caracol nie ma rzeźb statków – powiedziała Gamay.

– Są tylko tam, skąd pochodzi tych osiem głów. W trakcie cyklu Wenus znika na osiem dni. Gdy się jest zależnym od niej przy podejmowaniu ważnych decyzji, to dość przerażająca sytuacja. Tak więc kapłani wrzucali do studni kilka dziewcz, dokonywali rytualnego upustu krwi i znów wszystko było cacy. Skoro mowa o upuszczaniu krwi... za pięć minut mam seminarium. Możemy wrócić do tej fascynującej dyskusji później?

Gamay jednak jeszcze nie skończyła.

– Powiedział pan, że Wenus znikała na osiem dni i wiemy o ośmiu świątyniach z rzeźbami statków. Przypadek?

– Chi tak nie uważa. Muszę iść. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie opowiem studentom o mieszkańcach Mu.

W słuchawce szczerknęło. Paul wziął do ręki notatnik.

– To było budujące. Zastanówmy się nad tym, co mamy. Mamy osiem świątyń-observatoriów. Każde zostało zbudowane tak, by określać ruchy Wenus. – Trout coś zanotował. – Budynki poświęcono zawsze temu samemu tematowi: przybyciu statków, niewykluczone, że fenickich, być może

z wielkim skarbem. Teraz spekulacja: obserwatoria i Wenus mają coś wspólnego ze skarbem.

Gamay zgodziła się z tym. Narysowała w notesie osiem przypadkowo rozłożonych okręgów.

– Powiedzmy, że to są świątynie. – Połączyła okręgi kreskami i przez chwilę przyglądała się swoim bazgrołom. – Coś w tym jest.

Paul popatrzył na rysunek i pokręcił głową.

– Wygląda na pajaka z płaskostopiem.

– To dlatego, że myślimy w kategoriach ziemskich. Popatrz. – Narysowała na brzegu kartki dwie gwiazdki. – Wzniesmy się nad ziemię. Powiedzmy, że to jest Wenus w krańcowych pozycjach na horyzoncie. Świątynia, którą widziałam w MIT, ma dwa podłużne otwory, przypominające stanowisko łucznika w zamku. Oto co otrzymamy, rysując linię między otworem w murze świątyni a jedną z krańcowych pozycji Wenus. Teraz zrobię to samo dla drugiego otworu. – Zadowolona z pierwszego rysunku, połączyła liniami wszystkie obserwatoria z punktami Wenus.

Podstawiła chaotyczną sieć Paulowi pod nos.

– Wygląda to na paszczę krokodyla, który zamierza zabrać się do obiadu – uznał.

– Może. Albo na głodnego węża.

– Ciągłe jeszcze chodzi ci po głowie ten wąż?

– Tak i nie. Doktor Chi nosił na szyi amulet. Nazywał go Pierzastym Wężem. Ten obrazek właśnie to mi przypomina – szczęki Kukulcana.

– Nawet jeśli przyznamy, że kryje się w tym jakiś sens, potrzebujesz dokładnych lokalizacji świątyń. Szkoda, że Chi jest w terenie.

Gamay nie słuchała.

– Pomyślałam o czymś. Ten „mówiący kamień”, którego szukają Kurt i Joe, nie był przypadkiem pokryty czymś w rodzaju sieci?

– Zgadza się. Ciekawe, czy jest tu jakiś związek. – Trout podniósł słuchawkę. – Zostawię Chi wiadomość, by jak najszybciej się z nami porozumiał. Potem przekręcę do Kurta, że może coś masz.

Gamay popatrzyła na gryzmoły.

– Jasne... tylko co?

## 4 1

Motorowy jacht, który okrążył kuter ratunkowy, stanął teraz burta w burtę na odległość głosu i zmniejszył moc silników do wolnych obrotów. Na maszcie sygnałowym, tuż pod amerykańską flagą, łopotał trójkolorowy proporczyk Włoch. Ze sterówki wyszedł szczupły, siwowłosy Angelo Donatelli i pomachał Austinowi.

– Witam, panie Austin! Przybywam w misji ratunkowej. Podobno zabrakło wam grappy. Możemy uzupełnić wasze zapasy?

– Witam, panie Donatelli! – odkrzyknął Austin. – Dziękuję za dostawę. Już mieliśmy zacząć pić kwas z akumulatorów.

Kapitan McGinty złożył dłonie wokół ust, co było niepotrzebnym gestem, bo głos miał naprawdę donośny.

– Kapitan też dziękuje i zaprasza na pokład w celu dopełnienia misji miłosierdzia.

Donatelli zasalutował i wrócił do sterówki. Szczęknięt łańcuch, kotwica z pluskiem wpadła do wody, silnik zgasł. Donatelli i jego kuzyn Antonio wsiedli do motorówki, którą jacht ciągnął za sobą, podpłynęli kawałek do kutra i weszli na jego pokład.

Donatelli wręczył kapitanowi butelkę mocnej włoskiej wódki.

– Z pozdrowieniami – powiedział. Odwrócił się do Austina i wskazał na swój jacht.

– Jak się panu podoba moja błękitna ślicznotka, panie Austin?

Austin uznał, że stałe stosowanie przez Donatellego formy „pan” to albo nawyk przyniesiony ze Starego Świata, albo dobre maniery restauratora, nawykłego do rozmów z wielce dostojną klientelą. Była to odświeżająca odmiana po powszechnym przechodzeniu na „ty” i głoszeniu po minucie znajomości: „Cześć, mam na imię Bud”. Austin bardzo tego nie lubił.

Austin obejrzał jacht od dziobu po rufę. Patrzył na ciemnoniebieski kadłub i kremową nadbudówkę, jakby oglądał sylwetkę pięknej kobiety.

– Ma klasycznie piękne linie – wydał w końcu wyrok. – Jak pływa?

– Jak marzenie. Zakochałem się w tej łodzi od pierwszego wejrzenia, kiedy zobaczyłem ją porzuconą w porcie w Bristolu na Rhode Island. Wydałem grube tysiące na remont. Ma prawie czternaście metrów, ale łuk dziobu sprawia, że wygląda na dłuższą. Bardzo stabilna łódź, idealna na wycieczki z wnukami. – Roześmiał się. – Także doskonałe miejsce na ucieczkę przed rodziną, kiedy potrzebuję ciszy i spokoju. Mój sprytny księgowy wpisał ją w stan posiadania firmy, muszę więc od czasu do czasu złapać kilka ryb dla restauracji. – Przerwał i zamglonymi oczami popatrzył na miejsce na morzu, gdzie chmara mew znaczyła ciemną wodę jak płatki śniegu. – A więc tutaj się to stało...

Austin wskazał podskakującą na niewielkiej fali czerwoną boję.

– Najwyższy punkt statku znajduje się trzydzieści metrów pod tym oznakowaniem. Stoimy dokładnie nad nim. – Nie było potrzeby wymieniać nazwy „Dorii”, obaj wiedzieli, o czym mówią.

– Krążyłem nieraz na wodach wokół wyspy, ale nigdy, przenigdy, nie byłem w tym miejscu – powiedział Donatelli i cicho zachichotał. – My, Sycylijczycy, jesteśmy przesądni i wierzymy w duchy.

– Tym większy mam powód, by dziękować panu za pomoc.

Donatelli przeszył Austina wzrokiem.

– W życiu nie zrezygnowałbym z takiej okazji. Od czego zaczynamy?

– Mamy w kabinie kapitana plany.

– *Bene*. Chodź, Antonio – powiedział do kuzyna, który stał tak nieruchomo, że przypominał hydrant. – Zobaczmy, co da się zrobić dla tych dżentelmenów.

Kapitan McGinty rozwinął na stole w kabinie płachtę grubego białego papieru. Był on opatrzony godłem włoskiej linii i zatytułowany *Plano delle sistemazioni passeggeri* – plan rozmieszczenia pasażerów. Na górze umieszczono zdjęcie tnącego fale liniowca z jego najlepszych czasów. Pod zdjęciem wydrukowano diagramy dziewięciu pokładów.

Donatelli stuknął palcem w miejsce, gdzie w przedniej części pokładu z łodziami ratunkowymi znajdował się Salon Belwederski.

– Pracowałem tu, kiedy „Stockholm” w nas uderzył. Bum! – i wylądowałem na podłodze. – Jego palec przeniósł się na pokład spacerowy. – Wszyscy pasażerowie czekają tu na ratunek. Panuje chaos. – Pokręcił z niesmakiem głową. – Pan Carey znajduje mnie i schodzimy do jego kabiny. O, tutaj. Na górnym pokładzie, od sterburty. Biedna pani Carey jest uwięziona. Wystraszony jak królik, idę szukać lewarka samochodowego. Tutaj. – Jego palec przemierzał drogę, jaką Angelo odbył tamtej nocy. – Miąłem sklepy na pokładzie wejściowym, ale droga była zablokowana, więc wróciłem na rufę i tędy szedłem na pokład A. – Donatelli kontynuował suchą opowieść,

choć dokładnie pamiętał przerażenie, jakie go przepełniało, kiedy schodził w ciemne trzewia tonącego statku. – Przepraszam. – Głos mu się załamał. – Nawet teraz, po tylu latach... – wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. – Tej nocy dowiedziałem się, co przechodził Dante schodząc do piekieł. – Uspokoił się i mówił dalej: – W końcu docieram na pokład B, gdzie jest garaż. Wszyscy znają resztę historii?

Zebrani wokół stołu mężczyźni zgodnie przytaknęli.

– To dobrze – powiedział Donatelli z wyraźną ulgą. Choć w kabinie było chłodno, jego czoło błyszczało od potu, a na skroni pulsowała żyłka.

– Mógłby nam pan powiedzieć, gdzie dokładnie zobaczył pan furgonetkę? – spytał Austin.

– Oczywiście. O, w tym rogu. – Wziął ołówek i narysował krzyżyk. – Słyszałem, że w garażu było dziewięć samochodów, w tym jeden taki elegancki, który Włosi zbudowali dla Chryslera. – Zacisnął wargi. – Nie znalazłem lewarka, po który przyszedłem.

– Planujemy wejść przez drzwi do garażu – wyjaśnił Austin.

Donatelli skinął głową.

– Samochody mogły wjeżdżać do garażu prosto z nabrzeża. Moim zdaniem to dobry plan, niezbyt się jednak na tym znam – dodał wzruszając ramionami.

Kapitan McGinty był bardziej sceptyczny. Kilka minut wcześniej został wezwany do telefonu, ale przed chwilą wrócił i nadażał za wążkiem. Kręcił głową.

– Mam nadzieję, chłopaki, że nie wyruszacie w idiotyczną misję. Dostrzegam duże kłopoty.

– Taka opinia może się okazać zbyt łagodna – odparł Austin. – Byłbym zaskoczony, gdyby kłopoty nie zaczęły skakać nam na plecy jak czterystukilowe goryle.

– Na tym polega syf. – Kapitan wskazał na prawą burtę na wysokości garażu. – Znam chłopaków, którzy dostali się do środka, schodząc od górnego pokładu. Wszystko w środku – samochody, furgonetki, towar – spadło na dół. Wasza opancerzona furgonetka może być zasypana tonami śmieci. Chłopcy, którzy byli w środku, widzieli ten futurystyczny samochód, który przewożono dla Chryslera, ale nie mogli się do niego dostać przez płataninę poskręcanych wsporników i porozrywane przegrody. Jeśli zjeździecie na dół, tak jak planujecie, w strojach gimnastycznych, istnieje ryzyko, że się zapłaciecie.

Austin zdawał sobie sprawę, że może się to okazać jednym z najtrudniejszych zadań w jego urozmaiconej karierze. W pewien sposób nawet trudniejszym od podniesienia z dna irańskiego kontenera albo sowieckiego okrętu podwodnego.

– Dzięki za ostrzeżenie, kapitanie. Mam pomysł, by zabrać się za to tak, jakbyśmy szukali obiektu na pokrytym wrakami dnie. Tak jak jest na przy-

kład w East River. Może ma pan rację, może zadanie jest rzeczywiście niewykonalne, ale uważam, że warto rzucić okiem. – Uśmiechnął się. – Może znajdziemy lewarek pana Donatellogo.

McGinty parsknął śmiechem.

– Cóż, jeśli ma to być zadanie głupiego, to jesteście głupkami w moim guście. Co powiecie na toast za powodzenie?

Donatelli otworzył butelkę grappy i nalał drinki z kelnerską elegancją, której nie zapomniał.

– Tak na marginesie, dzwonili chłopcy z kesonu – powiedział McGinty.  
– Właśnie kończą przecinać kadłub. Kazałem im wszystko przygotować na jutro i odpocząć. Zejdziecie na dół jutro z samego rana.

Austin wznosił kieliszek do toastu.

– Za stracone sprawy i niemożliwe misje!

Śmiech ucichł, kiedy Donatelli z powagą uniósł swój kieliszek.

– I za „Andrzej Dorię” oraz dusze tych, którzy zginęli na jego pokładzie. Wypili w milczeniu.

## 4 2

**D**la ławic migoczących srebrzyście ryb, dzikich lokatorek luksusowych kabin, za które poprzedni użytkownicy płacili tysiące lirów, życie wokół „Andrei Dorii” nigdy nie jest nudne. Nic jednak nie przygotowało ich na przybycie dwóch stworów, dziwniejszych od wszelkich innych mieszkańców głębin. Okrągłe korpusy były pokryte błyszczącą żółtą skórą, plecy chronione czarnym pancerzem. Każdy stwór miał w środku przypominającej pęcherz głowy jedno oko. U dołu kulistych ciał wystawały po dwa kikuty. Wyżej znajdowały się podobne, choć nieco krótsze wypustki, a każda kończyła się szczypcami. Najdziwniejsze zdawały się umieszczone po obu stronach korpusu, wirujące powoli śmigiełka.

Stwory unosiły się w wodzie jak balony podczas parady w Święto Dziękczynienia. W słuchawkach Austina zagdakał cichy śmiech Zawali.

– Mówiłem ci już, jak bardzo przypominasz figurkę reklamującą opony Michelina?

– Po wczorajszej kolacji z McGintym wcale mnie to nie zaskakuje. Mój strój gimnastyczny jest trochę ciasny w okolicach brzucha.

Ten, kto ochrzcił tak sprzęt noszący oficjalną nazwę „Oceaniczny Kombinezon Sztywny”, musiał mieć duże poczucie humoru... albo problemy ze wzrokiem. „Strój gimnastyczny”, jak go popularnie nazywano, był właściwie dopasowaną do ciała łodzią podwodną. Wierzchnia warstwa z kutego aluminium była technicznie biorąc kadłubem. Pionowe i poziome pędniki aktywowano stopami. Dzięki zastosowaniu zamkniętego obiegu tlenu i zamontowaniu pochłaniaczy dwutlenku węgla, kombinezon pozwalał na sześć do ośmiu godzin nurkowania, a potem jeszcze przez czterdzieści osiem godzin zapewniał warunki umożliwiające przeżycie. Położony na wadze na powierzchni, przesuwał strzałkę w okolice pół tony, w wodzie ważył jednak niecałe cztery kilo. Taki kombinezon umożliwiał mobilność, pozwalał długo

nurkować. Zbędna też była dekompresja. Najpoważniejszym minusem sprzętu była jego nieporęczność. Wejście do ładowni w Kombinezonie Szytywnym trasą, jaka przeszedł Donatelli, byłoby samobójstwem. W kilka minut zaplątałyby się w sieć przewodów i lin.

Układając plan wyprawy, Austin wziął pod uwagę wszystkie dotychczasowe próby zejścia w głąb „Dorii” – zarówno te, które zakończyły się sukcesem, jak i nieudane. Zdaniem Austina, ekspedycje Gimbela wychodziły z prawidłowych założeń. Podczas próby z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku próbowano użyć do rekonesansu łodzi podwodnej, ale okazała się zbyt słaba do walki z prądem. Keson, który miał służyć jako winda i miejsce do pracy, został nieodpowiednio wyważony i wyrwał się w niebezpieczny sposób spod kontroli. Na Austinie robiło wrażenie to, że nurkom, korzystającym z powietrza pod ciśnieniem, podawanego szlauchami z powierzchni, udało się wbrew wszelkim przeszkodom tak wiele dokonać. W końcu dostali się do garażu. Ekspedycja Gimbela z osiemdziesiątego pierwszego roku była znacznie lepiej przygotowana. Keson działał prawidłowo. Choć nurkowie musieli walczyć z najrozmaitszymi przeciwnościami, w tym ze złą pogodą oraz prądem, który poplątał dostarczające powietrze przewody, udało się im znaleźć sejf i podpiąć go do dźwigu.

Austin zdecydował się w końcu na połączenie kombinezonu szytywnego z kesonem. Przygotował ekipę dość dobrze wyposażoną do wykonania zadania. Jego ojciec dostarczył „Monkfisha” z załogą. Gunn przejrzał plan pracy ekip i statków NUMA i zdobył keson oraz komorę dekompresyjną, wyposażoną w prysznic i koje. Pożyczona miniłódź podwodna, dzięki której można było dokonać rekonesansu, okazała się dodatkową nagrodą. Najważniejszym elementem stała się przeszkolona w pracy z kesonem, sześciuosobowa grupa doświadczonych nurków z NUMA, która przyleciała z Wirginii. Od przybycia pracowali na trzy zmiany przy wycinaniu dziury w kadłubie liniowca.

Pogoda u wybrzeży Nantucket zachowywała się zgodnie ze swoją reputacją. Kiedy Austin i Zavala wypłynęli rano z koi, powietrze było przejrzyste. Niewielkie fale z poprzedniego dnia zniknęły i ocean był gładki jak lustro, odbijające przelatujące stadami ptaki niczym polerowane szkło. Wodę przecinała para czarnych płetw: delfiny. McGinty uznał, że to dobry znak; będą utrzymywać z daleka rekiny. Prąd na powierzchni przesuwiał się z prędkością jednego węzła. Kapitan przewidywał pojawianie się w ciągu dnia gęstej mgły, idącej z morza ku brzegowi, nasilenie się prądu, ale nie na tyle, by nie dali sobie rady.

Zamknięci w ciężkich kombinezonach ludzie z NUMA zostali spuszczeni za pomocą dźwigu do wody. Spędzili kilka minut tuż pod powierzchnią, by sprawdzić sprzęt. W tym czasie dźwig spuścił na wodę kabel w keplarowej powłoce, który rozgałęział się na cztery krótkie końcówki, zakończone masywnymi zapięciami. Mocno złapali kabel szczypcami i z buczeniem

panionowych pędników zaczęli opadać w głąb granatowej wody. „Monkfish” był zamocowany nieruchomo dokładnie nad wrakiem za pomocą czterech lin kotwicznych – dwóch od strony dziobu i dwóch od rufy – oddalonych od siebie o sto metrów. Stabilność była sprawą zasadniczej wagi, w innym przypadku keson bujałby się na linie, z której zwiślał jak wahadło.

Choć kombinezony sztywne były wyposażone w reflektorki, a nurkowie zabrali dodatkowe lampy, oświetlenie nie było potrzebne. Widoczność wynosiła minimum dziesięć metrów, a ciemny kontur statku odbijał się wyraźnie od bladego dna. Popłynęli ku miejscu na kadłubie, oświetlanym zimnym pulsującym blaskiem.

Pośrodku wirującej błękitnawej aureoli dwóch nurków przykleiło się do zwróconej ku górze lewej burty statku. Jeden klęczał na burcie z palnikiem w ręku, drugi zajmował się przewodem Kerry’ego, który dostarczał paliwo, i ogólnie miał oko na to, co się dzieje. Zostali tu dostarczeni za pomocą kesonu, który służył jako winda i środowisko podwodne dla zespołu nurkującego.

Keson wisiał na grubej linie, zwieszającej się z windy „Monkfisha”, kilka metrów nad burcią „Dorii”. Miał kształt klosza latarni gazowej. Cztery boki były na rogach nieco zaokrąglone, daszek, najwyższy w miejscu połączenia kesonu z kablem, lekko opadał na boki. W miejscu, gdzie daszek przechodził w ścianki, do wnętrza kesonu wchodził kolejny przewód – dostarczano nim prąd i poprzez niego się komunikowano. Na zewnątrz zamocowano zbiorniki z powietrzem do oddychania oraz paliwem do palnika. Dół kesonu był otwarty. Znajdujące się w środku sprężone powietrze wypychało wodę i pozwalało się dzwonowi unosić. Od spodu wychodziły przewody z powietrzem do oddychania dla pracujących nurków oraz z ciepłą wodą, ogrzewającą ich ciała odziane w kombinezony marki Divex Armadillo. Dodatkowo każdy nurek miał na plecach zbiornik z powietrzem na wypadek awarii.

Nurkowie pracowali przy prostokacie stalowej płyty, który oczyszczono z wodorostów. Ukazała się pod nimi czarna farba. Przebarwienia spowodowane temperaturą prętów magnezu, spalanych w łuku tlenowym specjalistycznego palnika, wyznaczały wielki prostokąt wokół drzwi do garażu. Nurek przy przewodzie, pomagający pracującemu z palnikiem koledze, zauważył zbliżanie się bliźniaczych żółtych balonów. Powolnym ruchem, możliwym jedynie głęboko pod wodą, wyciągnął rękę do góry i wziął od Austina i Zavaliego gruby kabel. Ludzie z NUMA mogli porozumiewać się bezpośrednio ze sobą i z kutrem na powierzchni, nie mieli jednak bezpośredniego połączenia z nurkami kesonowymi. Austin niezbyt się tym jednak przejmował, ponieważ omawiali plan wiele razy i ustalili system sygnałów ręcznych, który mógłby zawieść jedynie przy bardzo skomplikowanych komunikatach.

Na ich widok klęczący nurek zgasił palnik. Wskazał na rogi prostokąta, w których powycinał po dwie dziury, i uniósł w górę kciuk. Potem razem z kolegą przymocowali do każdego rogu prostokąta jedną końcówkę kabla.

Odpłynęli po kilka metrów na boki i jeden z pary zrobił ruch ręką, jak maszynista, kiedy chce w lokomotywie pociągnąć za gwizdek.

Austin przekazał na górę umówioną informację.

– Wszystkie gra. Zaczynajcie ciągnąć.

Żałoga na pokładzie przekazała komunikat operatorowi dźwigu i kevlara lina napięła się jak cięciwa łuku. Mijały sekundy. Nic się nie działo. Blacha wokół drzwi garażu została ponacinana jak perforowana linia w miejscu, gdzie powinno się oderwać kartonik. Austin właśnie się zastanawiał, czy nie trzeba będzie zrobić więcej nacięć, gdy buchnęła chmura bąbelków. Nacięty fragment oderwał się ze stłumionym hukiem. Austin pokierował żałogą na powierzchni tak, by przesunęli linę i opuścili wycięty kawałek na burtę obok.

W burcie statku, na wysokości pokładu B, otworzyła się wielka prostokątna dziura. Na przód i tył tego pokładu oraz pokładu C – niższego o jeden poziom – wepchnięto kabiny klasy turystycznej. Ciąg kabin w przedniej części przedzielała *autorimessa* – ładownia z dziewięcioma samochodami i opancerzoną furgonetką.

Zawała uruchomił pędniki kombinezonu, by znaleźć się dokładnie nad powstałym właśnie otworem.

– Można by przejechać tędy humvee.

– Po co robić coś połowicznie? Zastanów się. Każdy, kto od dziś będzie nurkował do wraku, pomyśli o tym miejscu jako o Dziurze Zawali.

– Odstąpię ci ten zaszczyt. Może nadamy temu nazwę Szczeliny Austina?

– Może zrobimy rekonesans?

– Nie ma nic lepszego od czasu terazniejszego.

– Rozumiem. Schodzimy delikatnie i powoli. Uważaj na przewody, które poodrywały się z sufitów, i na popękane przegrody. Pamiętaj, by zachowywać bezpieczną odległość między nami.

Zawali nie trzeba było ostrzegać. Kombinezony sztywne przypominały stroje noszone przez astronautów. Tak jak astronauta w stanie nieważkości, oni też musieli się poruszać ostrożnie i delikatnie. Nawet przy niewielkiej prędkości zderzenie pięćsetkilowych powłok spowodowałoby niezły wstrząs.

Austin wpłynął pod Zawałę, tak że światło z zamocowanych do jego kombinezonu reflektorów świeciło prosto w głąb kadłuba. Ciemność połykała silny promień. Dał krótki, ale mocny impuls pionowymi pędnikami i opadł stopami w dół do garażu, po czym zatrzymał opadanie i obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni w poziomie. Wokół nie było końcówek lin ani ostrych występow. Dał Zawali znak, że może schodzić. Przyglądał się, jak pękata żółta postać wpływa do wnętrza przez niebieskozieloną dziurę i po chwili zawisa w bezruchu.

– Przypomina mi to „Baja Cantina” w Tijuanie – powiedział Zawała. – Tyle że nie jest tu aż tak ciemno.

– Zatrzymamy się na kieliszek *cuervo* w drodze powrotnej – obiecał Austin. – Statek ma mniej więcej trzydzieści metrów szerokości. Tak jak

mówił kapitan McGinty, ładunek na pewno zsunął się na prawą burzę. Wszystko jest pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, czyli pionowa ściana za twoimi plecami to podłoga garażu. Żeby nie stracić orientacji, trzymajmy się blisko ściany.

Kiedy opuszczali się coraz głębiej, Austin odhaczał punkty na wykazie czynności kontrolnych, jaki miał w głowie, przewidywał przeszkody i wydarzenia. Podczas gdy zajmował się problemami i rozwiązaniami natury praktycznej, jego umysł pracował na innym, irracjonalnym poziomie. Był on prawdopodobnie atawistyczną pozostałością instynktu przeżycia, który powodował, że w przypadku niebezpieczeństwa na nie ogolonych karkach jego przodków włosy stawały dęba. W uszach miał głos Donatellego, opowiadającego o przerażającym schodzeniu w głąb statku. Austin uznał, że starszy pan się mylił. Ta sytuacja była gorsza od najgorszych wyobrażeń Dantego. Z ogniem i siarką Austin mógłby się mierzyć na co dzień. Dante przynajmniej coś widział. Nawet jeśli były to tylko demony i dusze potępione.

Trudno było uwierzyć, że pokłady w tym olbrzymim, pustym kadłubie drżały kiedyś od pracujących z siłą pięćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych silników, a ponad tysiąc dwustu pasażerów, obsługiwanych przez prawie sześćsetosobową załogę, nurzało się w wyrafinowanym luksusie statku. Pierwszy nurek, który zszedł do wnętrza „Andrei Dorii” po tym, jak linowiec zanurzył się w głębiny Atlantyku, stwierdził, że statek w dalszym ciągu wydaje się żyć; zewsząd słychać upiorną kakaofonię pojękiwań i trzasków, uderzenia oderwanych elementów. W jedne drzwi wpływa, z innych wypływa woda. Austin widział tylko rozkład, pustkę i ciszę. Jedynym odgłosem był szum powietrza, przepływającego przez zamknięty obieg oddychania w ich kombinezonach. Wielka metalowa trumna była nawiedzonym miejscem, gdzie zbyt długi pobyt groził szaleństwem.

Statek zdawał się zamykać wokół nich i Austin raz za razem sprawdzał głębokościomierz. Choć od powierzchni dzieliło ich nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, ciemność powodowała, że miało się wrażenie większej głębokości. Spojrzał w górę. Niebieskozielony prostokąt otworu, którym weszli, rozmazywał się w mroku i gdyby nurkowie z kesonu nie postawili na jego skraju stroboskopu, prawdopodobnie byłby już niewidoczny. Austin popatrzył dla uspokojenia na migoczący punkcik, po czym skoncentrował się na tym, co było w dole.

Krań światła z reflektorów wydobywał z ciemności pod stopami jakieś przedmioty. Proste linie i krawędzie. Tajemnicze zaokrąglone kontury. Tony śmieci zostały wprasowane w poziomą przestrzeń, która kiedyś była prawnym przedziałem „Andrei Dorii”. W normalnym położeniu statku, sufit garażu tworzyła gęsta, gruba siatka, po której biegła sieć wąskich kładek. Teraz sufit garażu też był pionowy. Austin i Zavala zaczęli się posuwać kursem poszukiwawczym, tak jak robiliby szukając z powierzchni wody leżącego na dnie wraka. Pływali tam i z powrotem wzdłuż przesuujących się równo-

ległych linii, systematycznie lustrowali przestrzeń między pionowymi przegrodami, tworzonymi przez dawną podłogę i dawny sufit garażu. Natknęli się na przewody elektryczne montowanych w garażu lamp. Nie były niebezpieczne i dawało się je łatwo ominąć.

W którymś momencie światło ich reflektorów odbiło się od metalu i szkła, ukazując znane kontury.

– Hej Kurt, widzę rolls-royce’a!

Austin skierował szperacz na wystający ze sterty śmieci charakterystyczny „ruszt”.

– Prawdopodobnie tak. Według manifestu statku, gość z Miami wioził swojego rollsa z Europy do Ameryki.

– Wychodzi na to, że warto mieć rollsy na każdym kontynencie.

Austin przesunął się i zobaczył część samochodu o niekonwencjonalnie aerodynamicznych liniach.

– To mi wygląda na ten eksperymentalny samochód, zbudowany dla Chryslera przez Ghię. Szkoda, że nie ma tu Pitta. Przeszedłby piekło i powódź, by dodać coś takiego do swojej kolekcji.

– Musiałby także przejść przez pokłady mułu.

Samochody, leżały jedne na drugich, pokryte śmieciami i mułem. Austin przez chwilę się zastanawiał, czy nie spróbować usunąć śmieci, ale uznał to jedynie za intelektualne ćwiczenie. Byłoby to zbyt niebezpieczne, kosztowne i długotrwałe. Każda próba przekopania się przez wierzchnią warstwę podniosłaby do góry taką ilość mułu, że widoczność wróciłaby dopiero po kilku dniach.

Z tego, co Donatelli mówił o stanowisku furgonetki wynikało, że leży na samej górze sterty. Powinno ją być widać. Może Włoch się mylił? Był tamtego wieczoru w ogromnym stresie. Może furgonetka znajdowała się w innej ładowni? Austin jęknął. Wycięcie dziury w burcie, by tu się dostać, kosztowało tyle wysiłku... Nie mieli ani czasu, ani środków, by podjąć kolejną próbę. Ekspedycja wykorzystywała cudzy sprzęt i ludzi wypożyczonych jedynie na kilka dni.

Im dłużej szukali, wątpliwości rosły. Przebadał każdy metr widocznych śmieci.

– Co się stało z planem wyciągnięcia tego wraka na wierzch przy użyciu piłeczek pingpongowych? – spytał Zawała.

– Nie wiem, czy w całych Chinach jest dość piłeczek, by spróbować wprowadzić ten plan w życie. Co ty na to?

– Moim zdaniem Angelo Donatelli to niezły chojrak. Trudno uwierzyć, że w dalszym ciągu jesteśmy na planecie Ziemia. Czuję się jak mucha w słoju z melasą.

– Zaczynam się zastanawiać, czy ta furgonetka w ogóle tu jest.

– A gdzie indziej miałaby być?

– Chciałbym to wiedzieć.

– Nina będzie rozczarowana.

– Wiem. Co powiesz na to, żeby wyjść na górę i podzielić się złymi wieściami?

– Nie mam nic przeciwko. I tak pęcherz mi mówi, że wypilem rano za dużo kawy.

Uruchomili pionowe pędniki i powoli, ale ze stałą prędkością unosili się w kierunku migającej w górze lampy sygnalizacyjnej. Oświetlali przy tym wodę w górze, by nie wpaść na nieoczekiwaną przeszkodę. Promień ze szperacza Zavali wbił się w czerń w kącie garażu, odsunął się, zaraz jednak powrócił.

– Kurt! – zawołał podniecony Joe. – Jest coś w rogu.

Zatrzymali się. Austin dostrzegł dwa jarzące się w atramentowej ciemności ślepie.

Ponieważ spędzili w innym świetle ponad godzinę, Austin w pierwszej chwili był przekonany, że patrzą na morskiego stwora, który zrobił tu sobie legowisko. Skierował szperacz w podwójne kręgi i jego puls przyspieszył o kilkanaście uderzeń. To nie było możliwe! Obaj mężczyźni przysunęli się, by bliżej przyjrzeć się zjawisku i posłali pełną moc swoich reflektorów w kąt.

– A niech mnie cholera... – powiedzieli chórem.

## 4 3

Dziesiątki lat temu, zanim Austin i Zavala wycięli wejście do garażu „Andrei Dorii”, pewien oficer z załogi statku wyobraził sobie zgubne skutki, jakie mogła wywołać podczas sztormu objijająca się po ładowni opancerzona, wielolotonowa furgonetka. Żeby temu zapobiec, karoserię samochodu opleciono silnymi linami i przynitowano je do podłogi. Ponad pięćdziesiąt lat później liny ciągle przytrzymywały furgonetkę w tym samym miejscu – na pionowej ścianie, która kiedyś była podłogą garażu.

Czarną karoserię pocętkowała rdza, a guma opon rozpulchniła się, tworząc paskudną breję. Chromowane części zmatowiały, choć w dalszym ciągu odcinały się jaśniejszą barwą od pomalowanych fragmentów. Mimo to cały pojazd trzymał się w jednym kawałku. Po dość dokładnej inspekcji, Austin i Zavala wypłynęli z wraka. Nurkowie, którzy wycinali dziurę w kadłubie, przenieśli się do bardziej komfortowego, suchego wnętrza kesonu. Nie można było mieć o to do nich pretensji. Nasyconą mieszanek trzech gazów wdycha się trzy razy trudniej niż powietrze z butli.

Austin połączył się z McGintym.

– Niech pan powie Donatellemu, że znaleźliśmy furgonetkę.

– A niech mnie! Wiedziałem, że wam się uda. Można ją wydobyć?

– Przy pewnej dozie szczęścia i z odpowiednim sprzętem. Mam listę zakupów.

Austin szybko wyliczył potrzebne urządzenia.

– Żaden problem. Na dół schodzi następna dwójka. Wezmą wszystko ze sobą.

Keson uniósł się ku powierzchni i przebywająca w nim para zamieniła się miejscami z zespołem z komory dekompresyjnej. Dzwon znów opadł na dół z zamówionym przez Austina sprzętem, przymocowanym do zewnętrznej ściany. Zanim nowy zespół opuścił statek, Austin rozmawiał z jego człon-

kami i ustalili plan działania. Nurkowie wyszli z kesonu i podpłynęli do otworu z burcie. Austin i Zavala dostali się do wraka pierwsi, a dwaj towarzyszący im nurkowie za nimi. Przewody dostarczające mieszanke do oddychania ciągnęły się za nimi jak pępowiny. Jeden niósł palnik tlenowy.

Austin żałował, że nie ma bezpośredniego kontaktu z nurkami. Chętnie usłyszałby ich komentarze na widok wiszącej pionowo na ścianie furgonetki. Co prawda energiczne machanie rękami było nie mniej zabawne. Kiedy nieco się uspokoił, zajęli się tylnymi drzwiami samochodu. Wątpliwe, żeby poddały się łomowi albo szponom kombinezonu sztywnego.

Donatelli twierdził, że zabójcy, którzy zamordowali uzbrojonych strażników, po prostu zatrzasnęli drzwi. Austin podejrzewał, że nie są zamknięte, lecz trzyma je rdza. Palnik został uruchomiony i kiedy nurek zaczął wodzić przypominającym skalpel płomieniem po zawiasach i zamku, rdza eksplodowała chmurą iskier. Obaj nurkowie ponownie spróbowali podważyć drzwi łomem. Drzwi oderwały się i zgromadzoną wokół furgonetki czwórkę otoczyła brązowa chmura gnijących śmieci, wyrzucona przez wpływającą gwałtownie do wnętrza wodę. Gdy brud nieco osiadł i zrobiło się bardziej przejrzyste, Austin podpłynął i oświetlił wnętrze latarką.

Samochód wypełniały wzmocnione metalowe pudła, które spadły z półek. Wirująca woda wypłukała ubrania, włosy i resztki tkanek, tak że uchwycone przez światło czaszki nie pokrywały alg. Sprawiały wrażenie świeżo wyszorowanych. Kości tworzyły przy jednej ze ścian stertę przemieszaną z innymi przewożonymi przez furgonetkę towarami. Austin odsunął się, by zrobić miejsce swojemu partnerowi.

Zavala milczał przez chwilę.

– Wygląda jak kostnica pod starymi kościołami w Meksyku i Hiszpanii.

– To raczej rzeźnia – ponuro odparł Austin. – Angelo Donatelli ma jest dość dobrą pamięć. W tych pudłach są prawdopodobnie kosztowności. – Zmusił się do odwrócenia wzroku od pustych oczodołów. – Zajmiemy się nimi później.

Machnął na nurków, żeby obejrzeni wnętrze furgonetki. Gdy opowiadał im wcześniej o poszukiwanym kamieniu, ostrzegł:

– Natkniecie się także na ludzkie kości. Później opowiem, jak się tam znalazły. Mam nadzieję, że nie jesteście zabobonni.

Nurkowie zajrzeli do furgonetki i pokręcili głowami. Zaskoczenie szybko minęło. Nurkowie z NUMA to zawodowcy. Bez wahania wpłynęli do środka i zaczęli odsuwać na bok kości i metalowe pojemniki. W ciągu kilku minut odsłonili róg masywnego czarnoszarego obiektu.

Dawno zaginiony „mówiący” kamień.

Kiedy nurkowie kończyli pracę w furgonetce, Austin i Zavala popłynęli do kesonu i wrócili z wielokrażkiem, przymocowanym do zwisającej z kurtą kevlarowej liny. Kości zostały z szacunkiem ułożone na kupkę w rogu,

metalowe pudła odsunięte – z wyjątkiem jednego, które odstawiono na bok. Nurek z namaszczeniem otworzył wieko. Światło zamigotało na diamentach, szafrach i innych drogich kamieniach. Zapierająca dech w piersiach fortuna.

Do uszu Austina doleciał świszczący oddech Zavali.

– To musi być warte miliony.

– Jeśli pozostałe pudła są pełne, może miliardy. To potwierdza, że motywem nie był rabunek, lecz chęć popełnienia morderstwa. – Austin dał nurkom znak, żeby odsunęły pudło i włożyły do środka wielokrążek. Zawała niósł pętlę ze stalowej liny. Nurkowie owinęli liną wystający kawałek kamienia i zawiesili ją na haku wielokrążka.

Austin wiedział, że wektor siły wyciągającej powinien znaleźć się dokładnie nad środkiem ciężkości wyciąganego przedmiotu, ale rzadko to się udawało. Podobnie jak z radą, żeby ciężar podnosić nie siłą mięśni pleców, lecz nóg. Rada jest dobra, ale mało przydatna, jeśli ciężar chce się wyjąć z głębi szafy albo spod schodów do piwnicy. Lina z kevlaru przechodziła przez dziurę w kadłubie i nieco skośnie schodziła do furgonetki. Wielokrążek sprawi, że lina pociągnie bardziej w bok, na szczęście ze zdwojoną siłą.

Austin zdawał sobie sprawę, że równanie ma kilka niewiadomych. Pierwsza, waga kamiennej płyty. Przedmiot jest unoszony przez wodę, którą wypiera. Zanurzona płyta będzie lżejsza, ale ponieważ nie znał jej masy, nie napaowało to optymizmem. Poprosił McGinty’ego o prosty wielokrążek z jednym cięgiem, pozwalający podnieść ciężar dwukrotnie większy niż przy pojedynczym bloku. Lina została tak zapleciona, by dźwignia wytrzymała kąt natarcia dziewięćdziesiąt stopni. W potocznym języku oznaczało, że zrobili wszystko, żeby prymitywny mechanizm zadziałał jak najlepiej.

Po wyciągnięciu kamiennej płyty jak zęba, należało też zapobiec wyrwaniu się jej z liny i nie dopuścić do upadku na dół ładowni. Zastosowali dość nowy wynalazek – rękawy ratunkowe. Długie nylonowe rury zostały wynalezione do wydobywania łodzi. Po nadmuchaniu powietrzem jeden rękaw miał wyporność do półtony, a kilka mogłoby bez trudu dostarczyć na powierzchnię całą opancerzoną furgonetkę.

Pomagający Austinowi i Zavali nurkowie przesunęli za pomocą wielokrążka kamienną płytę tak, żeby podwiązać pod oba jej końce dwa nie napełnione powietrzem rękawy ratunkowe. Austin zbadał całą tę zwirowaną konstrukcję. Szczególnie dokładnie sprawdził delikatne kable, przytrzymujące furgonetkę przy pionowej ścianie, i dał znak. Używając wychodzącego z kesonu przewodu powietrznego, nurkowie zaczęli napełniać powietrzem rękawy ratunkowe, które po chwili wyglądały jak serdelki. Powoli dodawali powietrza, stopniowo wypierając kamień do góry. Wielka płyta poruszała się jak wzlatująca w powietrze asystentka magika. Na wszelki wypadek nie odłączali liny z wielokrążkiem i powoli wypychali kamień, aż wypłynął przez drzwi furgonetki.

Austin uznał to za jeden z najdziwniejszych obrazów, jaki widział w życiu. Przypominał mu malowidło Salvatora Dali, gdzie wszystko jest na odwrot. Czarna kamienna płyta unosiła się nad przepaścią niczym latający dywan w olbrzymim, atramentowym pomieszczeniu. Nurkowie zwisali na dostarczających mieszankę oddechową „pępowinach” jak nowo narodzone salamandry. Nadżarta przez morze opancerzona furgonetka wisiała pionowo na ścianie.

Z oświetlającymi drogę Austinem i Zawalą po bokach, nurkowie podpłynęli z kamieniem do otworu w burcie. Zadanie było bardzo delikatne z powodu przepływającego przez wrak prądu. W końcu jednak kamienna płyta znalazła się dokładnie pod prostokątnym otworem.

– Szkoda, że nie mogę porozumiewać się z tymi chłopakami. Chciałbym im powiedzieć, jak znakomitą wykonali robotę – powiedział Zawała. Spróbował metalowymi szczypcami dać znak „dobra robota”, ale niezbyt mu się to udało. – Chyba nie będę pokazywał „piątki”, dopóki nie wydostanę się z tego pancerza. Mam nadzieję, że nastąpi to bardzo prędko.

– Powinno to potrwać maksimum kilka minut i prześlemy zadanie McGinty’emu. Słyszał pan, kapitanie?

Rozmowę między „kombinezonami sztywnymi” przekazywano na przykład, by załoga kutra wiedziała, co dzieje się na dole.

– Możesz się założyć o własny tyłek – burknął McGinty. – Wszystko słyszałem. Chłódzę skrzynkę budweisera. Wyciągnijcie ten wynalazek z dziury, my załatwimy resztę.

Aby nie dostać choroby kesonowej, nurkowie musieli zostać głęboko pod wodą. Po wyjęciu kamiennej płyty z wraka, Austin i Zawała mieli towarzyszyć znalezisku w drodze na powierzchnię. Przy samej powierzchni ich zadanie się skończy, reszty dokona dźwig.

– Jaka pogoda na górze? – spytał Austin.

– Morze jest jeszcze spokojne, ale ruszyła tutejsza fabryka mgły. Nadchodzi chmura tak gęsta, że można będzie ugniatać z niej pączki.

Kapitan i Austin byliby znacznie bardziej zaniepokojeni, gdyby wiedzieli, co skrywa mgła. Podczas gdy Austin i pozostali walczyli o wyciągnięcie kamiennej płyty z furgonetki, do „Monkfisha” zbliżał się duży statek. Płynął z taką prędkością, żeby utrzymać się w strefie mgły. Dlatego szary kadłub pozostawał prawie niewidoczny. Dziwacznie ukształtowana jednostka miała mniej więcej sześćdziesiąt metrów długości, nisko osadzony, spiczasty dziób i szeroką rufę, a napędzało go sześć odrzutowych silników, dzięki którym mknął po wodzie z prędkością czterdziestu pięciu węzłów. Zadziwiająca ce tempo, jak na statek tej wielkości.

Austin skwitował raport o pogodzie krótkim: „Świetnie, kapitanie” i dał nurkom znak, żeby dopompowali powietrza do rękawów. Ładunek powoli zaczął unosić się przez dziurę w burcie. Nurkowie jeszcze nie odpływali. Chcieli dopilnować, żeby kamień nie zaczął się kiwać, kiedy dostanie się

w mocniejszy prąd nad wrakiem. Austin i Zavala czekali w środku wraka, trochę z boku dziury, ponieważ nie chcieli znaleźć się w niebezpieczeństwie w razie urwania się płyty. Widzieli obu nurków płynących po dwóch jej stronach. Unosili się razem z nią, dzięki powolnym ruchom płetw. Operacja przebiegała jak w podręczniku. Wręcz należało wpisać ją do podręczników.

Do chwili, gdy rozpętało się piekło.

Jeden z nurków zaczął się dziko szarpać; machał rękami i nogami jak epileptyk w trakcie ataku. Zgiął się i złapał za przewód powietrzny. Nagle odzyskał panowanie nad ciałem, przez chwilę pływał w miejscu, po czym zgiął się w pół i wpłynął przez wycięty otwór do wnętrza „Andrei Dorii”.

Cały ten zwariowany incydent trwał zaledwie kilka sekund. Austin nie zdążył zareagować. Natychmiast jednak dostrzegł, co się stało, kiedy nurek podpłynął do niego. Przewód powietrzny zwiślał luźno z tyłu kombinezonu, a nurek oddychał mieszanką ze zbiornika awaryjnego na plecach. Co się stało? Wąż nie mógł się przeciąć o poszarpaną krawędź wyciętego otworu. Austin obserwował ich cały czas, na pewno by to zauważył. Widoczny przez szybkę hełmu fragment twarzy nurka był biały jak marmur. Austin zbeształ się, że nie należał na zapewnienie pełnego systemu porozumiewania się pod wodą. Mężczyzna dźgnął palcem wodę nad głową.

Krańcujący powoli wokół Zavala zapytał:

– Kurt, co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. – Popatrzył na unoszącą się nad dziurą płytę. – Musimy wsadzić tego chłopaka do kesonu. Ma czym oddychać, ale bez ogrzewania kombinezonu zamarznie na śmierć. Pojadę z nim na górę i przy okazji rozejrzę się.

Wyciągnął grube metalowe ramię, jakby zamierzał podtrzymać miłą sercu dziewczynę. Nurek zrozumiał gest i złapał go za łokieć. Austin uruchomił pionowe pędniki i zaczęli unosić się w górę. Nie widział drugiego nurka.

Zaczął się rozglądać za nim. Coś poruszyło się w mroku. W padającym z kesonu świetle pojawiła się fantastyczna postać: nurek w sztywnym kombinezonie. Strój był z polerowanego metalu, wyglądał jak wielka zbroja wykonana dla grubego Henryka VIII.

Austin uznał, że przybysz ma jakiś związek z kłopotami eskortowanego nurka. Podejrzenie nasiliło się sekundę później, kiedy obcy uniósł trzymany w dłoni przedmiot. Buchnęła chmura pęcherzy powietrza i metalowy pocisk o centymetry minął prawy bark Austina.

Podopieczny Austina, szybko waląc płetwami, podążył w kierunku kesonu. Gdy zniknął w środku, Austin skoncentrował uwagę na pilniejszych sprawach.

W wodzie dostrzegł inne postacie. Podążyły ku niemu. Poza pierwszym, nurkiem naliczył pięciu następnych. Wcisnął pełną moc pionowego pędnika i zanurkował w głąb kadłuba „Dorii”.

## 4 4

McGinty z wściekłością wrzeszczał przez radio.

– Co się, do cholery, dzieje?! Niech ktoś się odezwie albo sam tam zaraz zejdę i sprawdzę!

– Nie radziłbym – odparł Austin. – Sześciu przyjemniaczków w sztywnych kombinezonach przyszło na herbatkę, a nie zachowują się zbyt przyjaźnie. Jeden właśnie do mnie strzelał.

McGinty wybuchnął jak wulkan.

– Jezusie, Mario, Józefie i wszyscy święci na morzu!

Włączył się kolejny, brzmiały niemal histerycznie głos.

– Te skurwiele przecięły Jackowi przewód! – Mówił to z wnętrza kesonu nurek, którego Austin nie mógł przed chwilą odnaleźć. Poznał go po teksańskim akcencie.

– Nic mu się nie stało?

– Nie, jest tu ze mną. Robi w gacie ze strachu, ale żyje.

– Siedźcie cicho – powiedział Austin. – McGinty, jak szybko może pan wyciągnąć keson?

– Trzymam rękę na dźwigni.

– To niech pan ich wyciąga.

– Robi się. Mam wezwać Straż Przybrzeżną?

– Przydałby się oddział SEAL, ale równie dobrze może pan zawiadomić bengalskich oszczepników. Zanim przybędzie jakakolwiek pomoc, będzie po wszystkim. Musimy poradzić sobie sami.

– Austin, niech pan uważa na dupsko! Od wieków nie uczestniczyłem w żadnej rozróbie. Chętnie zszedłbym na dół i rozwalił parę łbów.

– Ja też. Niech się pan nie obrazi, kapitanie, ale muszę lecieć.

Oczy Austina za ciemną pleksyglasową szybką były twarde jak turkusowe kamienie. Większość śmiertelników na jego miejscu zareagowałaby nie-

pokojem. On też nie należał do istot pozbawionych lęku, choć mogłyby bez trudu udowodnić, że jego włosy przybrały kolor platyny z powodu przerażających momentów w karierze. Na widok nadpływających szczęści rekinów żałowała, że nie odnowił polisy na życie. Siły natury działały automatycznie i są bezlitosne. Jeśli chodziło o obcych, to mimo przerażających aluminiowych powłok, w środku byli tylko ludzie z wszystkimi ludzkimi słabostkami.

Oczami wyobraźni ujrzał film z ataków w Maroku. Jedyne różnice polegały na tym, że ten odbywał się pod wodą. Napastnicy chcieli zdobyć kamień, a nurkowie z NUMA stali im na drodze. Dalsze rozważania mogły okazać się niebezpieczne. Myśli mogą działać jak śliskie skórki od banana. Tutaj nie potrzeba inteligencji, ważna jest przebiegłość. Przed rzucając się na ofiarę, wilk o niej nie myśli. Austin przestawił umysł na „przeżycie” i w dalszym działaniu zdał się na odruchy. Rozchodzące się po całym ciele ciepło przegnało chłód, jaki ogarnął go, gdy ujrzał napastników. Oddech stał się miarowy, niemal wolny, serce biło równomiernie. Nie zamierzał żartować. Wilk ma kły i pazury.

Zawała słyszał wymianę zdań z McGintym.

– Jaki plan gry, Kurt? – Choć słowa były wyważone, przezierał przez nie niepokój.

– Niech przyjdą do nas. Znamy teren. Oni nie. Będziemy potrzebować broni.

– Moja specjalność. Zobaczą, co da się znaleźć. – Zawała podpłynął na tył furgonetki. – Są nożyce do lin. Co oni mają?

– Nie wiem. Myślałem, że harpuny, ale teraz nie jestem pewien.

Zawała pomachał nożycami.

– Jeśli dostaniemy się dość blisko, mogą przeciąć to i owo.

Umysł Austina wirował z prędkością dźwięku. Nagle z piskiem zahamował. Patrzył nad Zawalą na otwarte drzwi furgonetki, zahipnotyzowany jaskrawym prostokątem światła, odcinającym się od atramentowej ciemności. Podpłynął bliżej. Przenośne reflektory, używane podczas wyciągania kamiennej płyty, jaskrawo oświetlały wnętrze samochodu.

– Mam lepszy pomysł – stwierdził. – Pułapka pożądlivosti.

Patrząc na dziurę w kadłubie, przedstawił Zawali swój plan.

– Proste, ale zuchwałe – odparł Zawała. – To zajmie jednego. Co z resztą?

– Improvizujemy.

Zawała uniósł nożyce jak uzbrojony w tomahawk Indianin, zamierzający stanąć przeciwko karabinom kawalerii, i odpłynął, ukryć się w ciemności tuż przy silniku furgonetki. Austin otworzył pokrywę dwóch następnych kasetek z klejnotami.

Zupełnie jakby otwarto pudełka pełne gwiazd. Nawet pod wodą oślepiło migotanie brylantów, szafirów i rubinów. Ułożył kasetki jedna obok drugiej, na samym brzegu, i podparł je od tyłu, żeby były jak najlepiej widoczne. Dla lepszego efektu dodał kilka czaszek, po czym odsunął się w mrok

sztucznej nocy wielkiego statku. Unosił się w olbrzymiej pustce, raz za razem przenosząc wzrok z ciężarówki na otwór w burcie. Pocił się, choć wewnątrz sztywnego kombinezonu pozostało suche i chłodne.

Przy otworze w kadłubie zamigotało światło i do środka wpłynęło dwóch nurków. Podwójne promienie ich szperaczy kłuły przestrzeń, badały teren to tu, to tam. Austin obserwował, z jaką ostrożnością wchodzi do wraka. Przypominał sobie, jak niepewnie robili to z Zawalą, jak byli zdenerwowani tym, co ich czeka, i ile czasu potrzebowali, żeby przyzwyczyli się do, przewróconego do góry nogami świata, gdzie pojęcia „dół” i „góra” nie są przydatnymi punktami odniesienia. Liczył na tę początkową dezorientację, na naturalną skłonność oczu do koncentrowania się na jednym widocznym obiekcie w pustej przestrzeni. Na znajdującej się zupełnie nie na swoim miejscu opancerzonej furgonetce.

Nurkowie poruszali się w tę i z powrotem. Prawdopodobnie ustalali plan działania, zastanawiali nad zasadzką. Zaczęli się zbliżać do furgonetki. Płynęli tuż obok siebie, podpływali coraz bliżej, aż błyszczące kombinezony zatrzymały się na tle drzwi samochodu.

Austin zaklął. Zatrzymali się obok siebie, ramię w ramię. Dopóki pozostaną w tym szyku, plan był martwy – być może on i Zawała także. Jednak zadziałała ludzka natura. Jeden nurek odepchnął drugiego. Teraz jego sylwetka była wyraźnie widoczna na tle drzwi. Pochylił tułów lekko do przodu, głowę wsunął do środka samochodu. Usta Austina wykrzywiły się w zawziętym uśmiechu. Rozpychanie się niewiele daje, kolego.

Zawiadomił Zawalę.

– Włączam prędkość taranowania.

– Cięcie rozpoczęte – odrzekł krótko Zawała.

Austin dał poziomym pędnikom pełną moc i ruszył na tył furgonetki. Kombinezon przyspieszał powoli. Pomknął dopiero wtedy, gdy pół tony pokonało siłę bezwładu i opór wody.

Leciał prosto na furgonetkę jak kula, która chce przewrócić ostatni kręgiel i modlił się, by intruz się nie poruszył. Nie zamierzał spędzić wieczności w niebie z Zawalą, przypominającym mu, jak w ostatnich chwilach na Ziemi udawał akordeon.

Szczęście mu sprzyjało. Nurek stał nieruchomo, zahipnotyzowany klejnotami. Prawdopodobnie zastanawiał się, jak zabrać je ze sobą.

Austin skoncentrował się na szerokim „tyłku” kombinezonu, tuż pod twardą plastikową pokrywą, jak skorupa żółwia osłaniająca zbiorniki z powietrzem. Cholera! Popływał zbyt wolno. Dodał jeszcze trochę gazu.

Znów znalazł się na kursie kolizyjnym.

– Teraz! – wrzasnął, choć wiedział, że nie ma potrzeby podnoszenia głosu.

W ostatniej fazie podniósł nogi jak chłopak skaczący do wody „na bombę”. Wyobraził sobie, że siedzi w bobsleju, ale jedyne co mógł zrobić przy nieruchawych „stawach” kombinezonu, to unieść kolana.

Zavala pracował gorączkowo. Poprzecinał nożycami kilka splotów liny, trzymającej furgonetkę od przodu. Bał się przeciąć linę zbyt szybko. Po komendzie Austina użył całej siły ramion, włożył w długie dźwignie rękojeści wszystko, co zgomadził podczas tysięcy godzin walenia w worek bokserki przez lata zawodowej kariery. W środku lina okazała się twardsza i z początku nieco się opierała, lecz po chwili podobne do dziobów ostrza przecięły ją z łatwością.

Austin chciał wyprostować nogi, ale w końcu walnął kolanami w zadek nurka, przyglądającego się chciwie klejnotom. Bez kombinezonu rzepki trzasnęłyby mu jak narciarzowi, który poleciał nagle na plecy, lecz uratowała go sztywność ubioru. Zaatakowany nurek wystrzelił do przodu, jakby ubódł go byk, i poleciał głową do wnętrza furgonetki. Austin odbił się i stracił panowanie nad ruchami.

Zaatakowany próbował wydostać się ze środka, ale pędniki zaplątały mu się w reżał. Austin też miał problemy. Wirował i zastanawiał się, jaka kombinacja pracy pędników może ustabilizować jego pozycję.

– Bomby w dół! – wrzasnął Zavala.

Po przecięciu liny tylne opony furgonetki oderwały się od podłoża i samochód wisiał w dziwnym skosie, z reflektorami świecącymi pionowo w dół. Zavala odsunął się na bezpieczną odległość i przez chwilę sądził, że pojazd tak pozostanie. Jednak jego waga okazała się zbyt duża dla utrzymującej go liny. Mocowanie pękło i furgonetka oderwała się od ściany. Zanurkowała w dół i wywołując wielką eksplozję mułu, dołączyła do automobilowego cmentarzyska, zabierając ze sobą kości strażników, klejnoty i walczącego nurka.

Cała akcja trwała zaledwie kilka sekund. Kolega zaatakowanego obserwował Austina. Ze zdziwieniem patrzył na znikającą furgonetkę, lecz szybko się otrząsnął z tego. Austin złapał równowagę i właśnie odzyskiwał orientację, kiedy prosto w oczy zaświecił mu jaskrawy promień reflektora. Wcisnął pędnik na zanurzenie, chęć doskonale wiedział, że zanim opadnie kilka metrów, będzie łatwym celem. Zgrzytnął zębami i przygotował się na piekący ból, jaki miał nadejść. Oślepiające światło przygwaździło go, ale już po chwili gwałtownie przesunęło się w bok i przeciwnik zaczął się szamotać.

Zavala!

Widząc co się dzieje, Joe zakradł się do intruza od tyłu, szarpnął go za rękę z bronią i wytrącił z równowagi. Obaj mężczyźni siłowali się w zwolnionym tempie, niczym roboty. Zavala ścisnął w lewej ręce nożyce. Szybko jednak pojął, że nurek nie zamierza czekać tak długo, aż jemu uda się „przeciąć to i owo”. Był już zmęczony i odgięta ręka przeciwnika zaczęła mu się wyslizgiwać.

Improwizujemy – przypomniał sobie.

Wbił nożyce w poziomy pędnik kombinezonu wroga. Nożyce wyrwało mu z rąk, ale wirujące śmigło rozpadło się na kawałki. Zavala cofnął się. Przeciwnik dał moc na pędniki, chcąc uciec, ale ponieważ działał tylko je-

den, skończyło się na nie kontrolowanym wirowaniu. Odplynął, szarpiąc się na boki, skazany na szybkie zderzenie z jakąś przeszkodą.

Broń wyważono tak, żeby nie wypływała ani nie opadała. Unosiła się, aż Austin złapał ją w szponiasty chwytak. Urządzenie było topornie wykończone, choć wykonane z nowoczesnych materiałów – śmiercionośny instrument podwodny, gdzie broń palna jest bezużyteczna. Pod kolbą znajdował się magazynek, mieszczący sześć bełtów, przypominający z wyglądu miniaturową kołyskę. Krótkie pociski miały z jednej strony stabilizatory przypominające lotki na strzałach i cztery ostre jak brzytwa ostrza. Przebiłyby aluminiowy kombinezon Austina jak otwieracz do puszek. Przesadnie wielkie przyciski tak uproszczono, żeby dało się załadować i wystrzelić mając nawet prymitywny chwytak.

Podplynął Zawała.

– Co to jest? – Jeszcze dyszał po zapaśniczej walce.

– Wygląda na nowoczesną wersję kuszy.

– Kusza! Ostatnio walczyłem za pomocą pistoletów do pojedynkowania się! – Powiedział to tonem, łączącym podziw z niesmakiem. – Następnym razem będziemy niegrzecznych chłopców obrzucać kamieniami.

– Żebracy nie mają wyboru, Joe. Ciekawe, czy to działa. – Austin przytknął kolbę kuszy do piersi i wycelował. – Śmiercionośne, ale moim zdaniem niezbyt celne, chyba że na bliską odległość.

– Zaraz będziesz mógł się przekonać. Mamy właśnie straszdyła.

Przez prostokątny otwór w kadłubie wpływały do środka dwa promienie światła, cienkie jak nitki babiego lata. Kolejna uzbrojona dwójka, mniej od poprzedników chętna do wpadnięcia w zasadzkę.

– Nie sądzę, żebyśmy tak samo łatwo się do nich podkradli – stwierdził Austin. – Na pewno rozmawiali z tamtymi przez radio. Mniej więcej wiedzą, czego mogą się spodziewać.

– Mamy pewną przewagę. Nie wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni. No i nie wiedzą, gdzie się znajdujemy.

Austin zastanowił się nad tym. Mogli uciekać i chować się, ale wraz z rosnącym zmęczeniem będą coraz podatniejsi na porażkę. Sztywne kombinezony nie zostały skonstruowane do takich zadań. W końcu zabraknie im prądu i powietrza.

– Dobra, pokażmy się. Rzuciłbym monetą, kto ma być przynętą, ale nie mam monety. Jak ci wychodzi naśladowanie robaczka świętojańskiego?

– Szykuj kuszę, Robin Hoodzie.

Intruzi zatrzymali się na widok wirującego członka ich grupy, objijającego się chaotycznie o ściany ładowni. Zawała zapalił wszystkie światła na swoim kombinezonie i dla lepszego efektu kilka razy nimi pomrugał. Przez chwilę wisiał nieruchomo jak absurdalny znak drogowy. Potem zniknął. Przyciągnęło to uwagę napastników. Ruszyli do miejsca, gdzie go ostatnio widzieli. Tyle że już go tam nie było. Przesunął się kilka metrów w prawo.

Błysk. Klik-klik. Lampy na piersi i głowie zamrugały. Znow się przesunął. Światła zapaliły się. Zgasły.

Efekt zaskoczył nawet przygotowanego na pokaz Austina. Wydawało się, że Zawała pojawia się w każdym kącie.

– Nigdy bym nie podejrzewał, że skończę jako iluzjonista – stwierdził Zawała.

– Matka byłaby z ciebie dumna, Joe. To działa. Zbliżają się.

Stało się sprawą czasu, kiedy go dopadną.

– Jeszcze raz, Joe. Jestem tuż za tobą.

Zawała znow zamigotał jak choinka. Napastnicy przyspieszyli i popłynęli do miejsca, gdzie był ostatnio. Prosto na Austina.

Przyłożył broń do ramienia.

– Pięć sekund na zejście z linii ognia, Joe – powiedział spokojnie. – Daj czadu.

– Jedziemy na dół – odrzekł Zawała, parodiując windziarza. Opadł kilka metrów. Austin powoli liczył, przeszywał wzrokiem ciemność, śledząc bliższe z nadpływających świateł. Kiedy miał pewność, że Zawała jest bezpieczny, nacisnął spust i usłyszał cichy trzask towarzyszący wystrzeliwaniu bełtu. Nie dało się śledzić pocisku, ale musiał trafić, bowiem prawie światło zaczęło skakać jak zwariowane.

Przeładował, wrzucił do komory nowy bełt, klnąc przy tym na niepojętność obsługi mechanizmu w ciemności. Zanim przyłożył kuszę do ramienia, drugi z napastników musiał się domyślić, co się dzieje, i zgasił reflektor. Austin mimo to wystrzelił. Instynkt powiedział mu, że chybił.

– Przygwoździłem jednego, Joe. Drugiego nie trafiłem. Zobaczmy, czy uda się go odnaleźć. Mam broń, więc przejmuję prowadzenie.

Wpatrywał się w ciemność. Nic z tego! Musiał zaryzykować. Zapalił przednie reflektory oraz lampę przytwierdzoną do głowy. Dostrzegł odbicie światła.

– Ucieka do dziury.

– Widzę go – odparł Zawała. – Jestem za tobą.

Ruszyli za zwierzyną niczym dwa atakujące sterowce. Austina gnało podniecenie, chociaż nie mógł pozbyć się wrażenia, że prowadzą jedną z najdziwniejszych bitew wszech czasów. Mężczyźni zamknięci w metalowych powłokach walczą za pomocą prastarej broni w olbrzymiej ładowni śmiertelnie rannego statku...

W otworze mignął cień i zniknął.

Cholera.

– Za późno, Joe. – Austin zmniejszył moc. – Uciekł.

– Powiedziałeś, że było sześcioro. Jeden poszedł na dół z furgonetką. Przyspiliłeś drugiego, trzeci udaje baka. Zostaje trzech.

– Tak przypuszczam, choć nie przysięgłbym. Pamiętasz, jak pomyliłem się z liczeniem na „Nereusie”.

– Jak mógłbym zapomnieć? Jak to się mówi, niezła harówka jak na państwową robotę. Załatwmy to wreszcie... – powiedział słabym głosem. – Jestem zmęczony jak cholera, chcę siusiu i mam wieczorem randkę ze śliczną dziewczyną z lobby rolniczego. Ma oczy jak kwiat kaktusa. Tak błękitne, jakich nigdy nie widziałeś, Kurt.

Austin stwierdził, że któregoś dnia naukowcy odkryją popęd przyjaciela i wyzwolą jedną z najpotężniejszych sił we wszechświecie.

– Nie chciałbym stawać między tobą a twoim popędem seksualnym, Joe. Mogłoby to źle się skończyć. Jesteś zbrojnym. Masz coś w rękawie?

– Chyba widzę szlauch od palnika. – Zawała uniósł się kilka metrów i złapał palnik. – Mam go. Nie wiem, do czego mógłby się przydać. Hej, kamień zniknął!

Unieśli się w górę, aż pod wielki otwór w burcie. Tam gdzie przedtem na nylonowych rękawach unosiła się kamienna płyta, błękitnozieloną wodę przecinały jedynie ciekawskie ryby.

– Ukradli go, kiedy byliśmy zajęci. – Austin zaczął się zastanawiać, jak mogli to zrobić. – Do transportowania takiego ciężaru potrzebują przynajmniej dwóch ludzi. Będą mieli zajęte ręce. Nie spodziewają się, że popłyniemy za nimi.

– No to na co czekamy? – Zawała odrzucił bezużyteczny palnik. Uruchomili pionowe pędniki. Wyskoczyli ze statku na otwarty ocean. W dalszym ciągu znajdowali się w głębinach Atlantyku, ale Austin cieszył się, że uciekli z klaustrofobicznej ciemności trupa włoskiego liniowca.

Keson zniknął. Ciemności rozjaśniało przefiltrowane światło z powierzchni. Gigantyczny kadłub „Andrei Dorii” rozciągał się na obie strony – w pobliżu szary, dalej czarny. Austin dostrzegł w oddali mignięcie światła, ale mogła to być ryba. Najchętniej przetarłby sobie dłonią oczy. Jednak mógł je tylko zacisnąć i znów otworzyć. Nic z tego. Widział niczym nie przetrwaną błękitną monotonię.

Sekundę!

Znów błysnęło. Teraz był pewien.

– Chyba widziałem ich przy dziobie.

Wynurzyli się jeszcze kawałek i popłynęli w kierunku dziobu w formacji myśliwców. Zawała dostrzegł jakiś ruch i zwrócił na niego uwagę Austina. Kamień podtrzymywały napompowane rękawy. Z każdej strony trzymał go jeden nurek, w przodzie biegła lina, prawdopodobnie ciągnięta przez trzeciego, niewidocznego człowieka.

– Spróbujemy zablefować. Zrób swój pokaz świetlny, ja strzelę.

Strumienie światła z kombinezonu Zawali trafiły na kamienną płytę i obu nurków po jej bokach.

Uciekający przyspieszyli, jakby wierzyli, że mogą uciec pogoni. Austin strzelił, próbując nie trafić w rękaw z powietrzem. Wydywało mu się, że bełt odbił się od kamienia. Intruzi szybko zniknęli w ciemności. Lina holowni-

cza zrobiła się luźna. Płyta zatrzymała się powoli nad skrzydłem mostka „Dorii”.

– Zostaw ich, Joe. Musimy zająć się tym gratem.

Opuścili się w dół i zaczęli transportować kamień do otworu w burcie, gdzie McGinty mógłby go potem znaleźć za pomocą kesonu. Szło im to powoli, ponieważ musieli pokonywać opływający kadłub prąd.

W słuchawkach Austina zaskrzeczało.

– Tu McGinty. Nic wam nie jest?

– Obaj czujemy się świetnie. Mamy kamień. Wracamy z nim do miejsca, w którym pracowaliśmy. Może pan w każdej chwili spuszczać keson.

Chwilę ciszy zakończyło ciche parsknięcie.

– To nie takie proste – odparł kapitan z irytacją. – Straciliśmy kotwice dziobowe. Liny prawdopodobnie zostały przecięte. Kręci nami prąd powierzchniowy. Jeśli spuścimy keson, będzie się kiwał jak dzwon. Może nas przewrócić.

– Joe, wygląda na to, że nasi przyjaciele zagwarantowali sobie bezpieczną ucieczkę.

– Słyszałem. Jest szansa na ponowne zamocowanie kotwic?

Austin i Zawała byli zmęczeni. Ich kombinezonów nie zaprojektowano do walki wręcz, a teraz czuli się w nich jak w więzieniu.

– To jest do zrobienia, ale my sobie nie poradzimy – odparł Austin. – Łatwiej będzie wciągnąć ten kamień, choć i przy tym przewiduje trudności. – Spytał kapitana, czy może ustawić kuter mniej więcej w tej pozycji, co poprzednio i spróbować go utrzymać w miejscu.

– Idealnej pozycji nie obiecuję, ale spróbuję – odparł McGinty.

Zbliżali się do otworu w kadłubie. „Monkfish” powinien znajdować się dokładnie nad nimi.

McGinty spisał się znakomicie. Lina, którą wyrwano ponacinany kawał burty, zawisła tuż nad nimi. Zamocowali kamień, co nie było łatwe, topornymi chwytakami, i dali znak kapitanowi.

– Znakomicie, kapitanie! – powiedział Austin. – Wypływamy.

## 4 5

Wisząc na haku dźwigu jak flądra, Austin miał znakomity widok na nadpływającą na „Monkfisha”, nieprzeniknioną ścianę mgły. Dźwig opuścił go na pokład i marynarze pomagali mu wydostać się z kombinezonu. Skakali niczym paziowie wokół opancerzonego księcia.

Zawałę, wyciągnięto na pokład kilka minut wcześniej. Bez kombinezonu wyglądał, jakby gwałtownie się skurczył. Jak astronauta, który wrócił ze stanu nieważkości, Austin stawiał pierwsze niepewne kroki. Zawała podał mu kubek kawy. Kilka łyków mocnego napoju przywróciło normalne krążenie krwi. Potem zajęli się najważniejszą sprawą – na sztywnych nogach pobiegli do najbliższej toalety. Wyszli uśmiechnięci, przebrali się w ciepłe, suche ubrania i wrócili na pokład.

Podróż z wraka „Andrei Dorii” na powierzchnię przebiegła bez incydentów, choć nie należała do przyjemności. Zwłaszcza w pierwszych chwilach, kiedy operator wyciągarki powoli naciągał i popuszczał linę, a także na powierzchni, gdzie ładunek przestała unosić woda. Żeby nie stracić kamiennej płyty, fachowcy z „Monkfisha” założyli na nią jeszcze kilka rękawów ratunkowych, oplątali liną i wciągnęli na pokład za pomocą rufowego dźwigu na ramie w kształcie litery A.

Austin patrzył na wyglądający nieszkodliwie kamień, położony na drewnianej palecie. Trudno było uwierzyć, że przysporzył tylu kłopotów i kosztował życie tylu ludzi. Kamień miał kształt płyty nagrobkowej. Jeśli wziąć pod uwagę ludzi, którzy przez niego zginęli, ten kształt był adekwatny. Mierzył jakieś dwa metry długości, metr szerokości i pół metra grubości. Ukłękniętą na pokładzie i przeciągnął dłonią po powierzchni, która w miarę wysychania przechodziła z czerni w szarość. Powiódł palcami po hieroglifach, lecz nie miały dla niego sensu. Nic w tej sprawie nie miało sensu.

Marynarze przykryli kamień przypominającym pikowaną koldrę materiałem ochronnym i owinęli go plastikową płachtą. Niewielki podnośnik widłowy zawiózł płytę do ładowni. Nie wyglądała na kruchą, przetrwała niemal pół wieku pod wodą w opancerzonej furgonetce, a później podróż na powierzchnię. Nie chcieli ryzykować jednak, że rozpadnie się im na tysiąc kawałków.

Donatelli smutnym wzrokiem obserwował odwołany kamień.

– A więc za to zginęli ci wszyscy strażnicy...

– Na nich się nie skończyło – odparł ponuro Austin. Przyglądał się mgłę. Zamykała się wokół kutra jak żółtoszara krypta tłumiąca dźwięki i blokująca światło. Temperatura spadła przynajmniej o dziesięć stopni. Wzdrygnął się na wspomnienie słów Angela, że podobna mgła ukryła „Andrzej Dorię” przed oczami załogi „Stockholmu”. – Chodźmy do kapitana – powiedział i wszedł na mostek.

W sterówce McGinty gestem przywołał ich do radaru i wskazał palcem odcinający się od zielonego tła biały punkcik. Austin aż zamrugnął. Może był zbyt długo pod wodą. Szybkie przesuwanie się punkcika sugerowało raczej obecność samolotu, a nie statku.

– Czy to przesuwa się tak szybko, jak sędzę? – spytał Zavala.

– Gna jak czarownica na miotle – mruknął McGinty.

Austin stuknął palcem w ekran.

– To mogą być nasze złe chłopaki.

Oczy McGinty’ego błysnęły.

Kiedy dorastałem w Southie, gliniarze jeździli radiowozem po ulicach, a chłopaki szybko przed nimi przyskali. Gliny zawsze umiały znaleźć „kogoś” poszukiwanego za „coś”. Jeśli ma się nieczyste sumienie, wystarczy zobaczyć migającego koguta, żeby zacząć przebierać nogami. Założę się, że tu jest tak samo.

– Winni uciekają, nawet gdy nikt ich nie goni – powiedział Austin. Plamka na radarze w szybkim tempie minęła poruszającą się w tym samym kierunku jednostkę, zupełnie jakby ta stała. – Moim zdaniem uciekają z prędkością pięćdziesięciu węzłów.

McGinty gwizdnął cicho.

– Wygląda na duży statek. Nie znam nic tej wielkości, co poruszałyby się tak szybko.

– Ja znam. Nazywa się „Statek Dużych Prędkości”. Nowa konstrukcja. Robi je firma Thornycroft and Giles. Używają ślizgających się po powierzchni wody kadłubów i pędników działających na zasadzie odrzutu wody do tyłu. To eliminuje zawirowania, takie jak przy śrubach. Nawet kontenerowiec ich konstrukcji osiąga czterdzieści pięć węzłów. Nowsze wersje mogą być jeszcze szybsze. Kapitanie, czy tuż przed atakiem widział pan w okolicy jakieś większe jednostki?

– To ruchliwe miejsce. – McGinty zsunął czapkę na tył głowy, jakby to mogło wspomóc pamięć. – Masa tu kryp, głównie kutrów rybackich, zjawia-

ją się i znikają. Czy widzieliśmy statek? Może. Jakaś miłą od nas czaiło się coś dużego, ale zgubiło się we mgle. Byłem zaabsorbowany tym, co robimy pod wodą.

– Podejrzewam, że po przejrzeniu dokumentów, okazałoby się, iż należy do Halcon Industries.

– Nie możemy poprowadzić obserwacji z powietrza? – spytał McGinty.

– W takiej mgle to niemożliwe. Nawet gdybyśmy znaleźli statek, co dalej? Do wejścia na pokład potrzebny jest nakaz.

Zawała słuchał w milczeniu.

– Coś mnie w tym wszystkim dręczy – powiedział w końcu. – Ci ludzie wiedzieli, gdzie jesteśmy i co robimy. Skąd? Postanowiliśmy zająć się tą sprawą dopiero kilka dni temu. Nie rozgłaszaliśmy naszych planów.

Austin i McGinty wymienili spojrzenia.

– W przygotowaniu operacji uczestniczyło mnóstwo ludzi. Każdy mógł coś powiedzieć, a to pozwalało domyślić się reszty. – Austin, choć to powiedział, sam nie wierzył w taką ewentualność. Napastnicy byli zbyt dobrze przygotowani.

Wkrótce wiatr się zmienił i rozwiął trochę mgłę. Donatelli pożegnał się z ludźmi z NUMA i kapitanem „Monkfisha” i odплыnął z Antoniem swoim jachtem. Austin obiecał informować go o wszystkich nowych wydarzeniach.

„Monkfish” minął ostatnie pasma mgły, okrążył Cape Cod i wkrótce ujrzeli światła startujących i lądujących z lotniska Logan samolotów. Minęli Boston Harbor Islands i zacumowali przy nabrzeżu, niedaleko akwarium. Austin zadzwonił do podnieconego doktora Orville’a i poprosił o zorganizowanie transportu. Pojechał z Zawalą za furgonetką do Cambridge, gdzie przyglądali się, jak kamień zostaje zabezpieczony. Orville zamierzał pracować całą noc nad odszyfrowywaniem napisów. Zaprosił również ich. Austin odmówił. Obaj z Zawalą byli zmęczeni i chcieli złapać poranny samolot do Waszyngtonu. Po lekkiej kolacji napili się z McGintym do snu po szklance irlandzkiej whisky, położyli do łóżek i niemal natychmiast zasnęli.

Przebijającą się przez ocean waszyngtońskiego ruchu ulicznego taksówkę, prowadził niczym promień morskiej latarni cylindryczny, pokryty zielonym szkłem budynek NUMA. Austin i Zawała wsiedli na prom płynący do lotniska Logan i późnym rankiem byli w Waszyngtonie. McGinty pożegnał ich pochwałami i klepinięciem w plecy tak mocnym, że omal nie oberwały się im płuca. Oświadczył, że Austin jest odłamkiem kamienia, z którego wykuto mu ojca.

– Ciekawe, co kombinują Troutowie. – Głos Zawali przerwał mu rozmyślania.

Minionego wieczoru Austin zadzwonił z kutra ratunkowego do pozostałych członków zespołu, by opowiedzieć o walce w kadłubie „Dorii” i odzyskaniu kamienia. Gamay z Paulem mieli nowe informacje i chcieli podzielić

się nimi następnego dnia. Ze zmęczenia Austin nawet nie spytał, o co chodzi. Troutowie czekali z Hiramem Yaegerem w tej samej sali konferencyjnej, w której odbyło się pierwsze spotkanie. Po chwili wpadł Rudi Gunn z wiadomością, że Sandecker jest na śniadaniu w Białym Domu. Admirał odrzuciłby zaproszenie wiceprezydenta, ale z prezydentem musiał się spotkać.

Gamay otworzyła spotkanie.

– Wszyscy zostali zapoznani z tematem, nie będę więc w szczegółach opowiadać o mojej przygodzie w dżungli Jukatanu z doktorem Chi. Jak wiecie, odkryliśmy sporo skradzionych artefaktów Majów, czekających na wywóz z kraju. Magazyn umieszczono tak, aby był do niego dostęp drogami lądowymi i wodnymi. Znaleźliśmy setki obiektów, zabranych z wielu ważnych archeologicznie miejsc, znanych i nie znanych legalnym badaczom. Kiedy doktor Chi inwentaryzował obiekty, poza ceramiką znalazł szereg kamiennych płyt, prawdopodobnie wyciętych z budynków Majów za pomocą pił. Uwagę *chicleros* musiał przyciągnąć niecodzienny, powtarzający się na nich, rzeźbiony motyw statków. Profesor podejrzewał, że rzeźby zabrano ze świątyń-observatoriów, podobnych do tej, jaką pokazał mi w stanowisku Majów, które nazwał MIT. Był tylko jeden problem: nie udało się dopasować rzeźb do określonych lokalizacji. – Przerwała, bo Trout rozdawał teczki z dokumentami. Gamay zaczęła, aż ucichnie szelest papieru. – Dokument na górze przedstawia osiem szkiców, wykonanych przez doktora Chi. Profile te to hieroglify, przedstawiające Quetzalcoatlą, boga Majów, nazywanego także Kukulcanem. Na pierwszy rzut oka rysunki mogą wydawać się identyczne, ale przy bliższej analizie, widać drobne różnice.

Yaeger spojrział wyczulonym na szczegóły okiem.

– Temu nieco bardziej wystaje szczęka – powiedział. – Ten ma grubszą brew.

– Nos tego wygląda, jakby wpadł nim na krzyż z prostopadłych poprzeczek – zauważył Gunn.

Gamay rozpromieniła się jak dumna nauczycielka.

– Szybko łapiecie, panowie. Różnice w rysunku twarzy wskazują na miejsce pochodzenia. Każde miasto albo ośrodek miejski przedstawiało boga w charakterystyczny dla siebie sposób, był on ich symbolem.

– Tak jak sowa była symbolem starożytnych Aten? – spytał Austin.

– Dokładnie. W tym przypadku bóg reprezentuje także planetę Wenus.

Austin niecierpliwie wiercił się na krześle, oczy miał szkliste. Spodziewał się informacji bezpośrednio związanych ze sprawą, nie wykładu o teologii Majów.

– Gamay, to wszystko jest bardzo ciekawe – powiedział, nie próbując ukrywać zniecierpliwienia – ale nie bardzo rozumiem, do czego zdążasz.

Obdarowała go swoim rozbrajającym uczniowskim uśmiechem.

– Wszystkie te hieroglify były powplatane w rzeźbienia z motywem statku. Zainteresowanie Austina odżyło. Pochylił się do przodu.

– Fenickiego statku?

– Jeszcze nie wiemy z pewnością, czy był to statek fenicki. Ale jeśli o to ci chodzi, tak. Twarze mają związek z wydarzeniem, które śledziliśmy: przyjmowania przez Majów dziwnych statków i ludzi.

Włączył się Paul Trout.

– Doktor Chi już przedtem podejrzewał, że rzeźbienia pochodzą ze świątyń-observatoriów. Wykorzystał hieroglify poszczególnych miast do ich zlokalizowania. Obserwatoria Majów są rozrzucone po całej Ameryce Środkowej, ale, o ile wiemy, tylko w ośmiu pojawia się motyw statku.

– Czyli macie osiem obserwatoriów w różnych miejscach – powiedział Austin. – Wszystkie są poświęcone Wenus i łączą się z jej cyklami. Wszystkie też mają związek z tajemniczą flotą.

– Zgadza się – odparła Gamay i zaczęła wyjaśniać dalej: – Istotą rzeczy jest liczba osiem. – Słuchacze nie zrozumieli, więc dodała: – Quetzalcoatl i Kukulcan byli wcieleniem Wenus najważniejszego boga Majów. Z niewiarygodną wprost dokładnością Majowie obliczyli orbitę planety. Wiedzieli, że w swoim cyklu znika na osiem dni. Uważali, że w tym czasie planeta udaje się do świata podziemnego. Wykorzystywali architekturę do śledzenia trasy poruszania się Wenus i innych ciał niebieskich. Portale, pomniki, kolumny. Ulice rozmieszczali w podporządkowany temu sposób. Profesor Chi sądzi, że obserwatoria stanowiły część większego planu, były mapą. Może nawet czymś w rodzaju prymitywnego komputera do rozwiązywania problemów.

– Na przykład problemu fenickich... przepraszam, jak na razie nie zidentyfikowanych statków? – spytał Austin.

– Tak jest – odparł Paul. – Na kartce numer dwa przedstawiono lokalizację obserwatoriów.

Kolejny raz rozległ się szelest papieru.

– Próbowaliśmy połączyć świątynie równoległymi liniami – kontynuowała Gamay. – Nie miało to sensu. Podczas gdy rwaliśmy sobie włosy, zadzwonił doktor Chi. Przyjechał na chwilę z terenu do domu i dowiedział się, że staramy się nawiązać z nim kontakt. Poinformowaliśmy go, że szukamy po omacku czegoś, co na pewno istnieje. Jesteśmy tym przekonani, ale potrzebujemy jego pomocy.

– Kartka numer trzy w teczce, panowie! – oznajmił Paul. – Doktor Chi przefaksował to z Muzeum Narodowego. Hiszpanie zniszczyli prawie wszystkie księgi Majów, uratowało się jedynie kilka. Jedna z nich zawiera szczegółowe tabele obserwacji Wenus, dane zbierano z obserwatoriów.

– Jaki to ma związek z naszą tajemnicą? – spytał Gunn.

– Ma służyć jako przykład, jaki rodzaj informacji był ważny dla Majów – odparła Gamay. – Spróbujcie sobie wyobrazić kapłanów Majów, wpatrujących się noc w noc w niebo. Zbierali informacje o ruchach gwiazd, a następnie, wykorzystując wbudowane w ich świątynie elementy architektoniczne przewidywali, co zrobią planety i gwiazdy.

– Mam! – wyrzucił z siebie Yaeger. – Czasami dobrze jest być dziwakiem. Mówicie, że te osiem świątyń i rzeźbienia są sprzętem. Kodeks jest programem, który mówi sprzętowi, co ma robić. – Yaeger mrugał zza grubych szkieleł. – Kontynuując analogię, program może być zapisany na czymś miękkim, na przykład na dyskietce, albo na czymś twardym, na przykład na twardym dysku.

– Albo w naszym przypadku, na czymś twardym jak kamień – dodał Austin.

– Bingo! – zawołała Gamay. – Jakich geniuszów mamy w NUMA!

Zdopingowany do czynu Austin, zaczął odliczać na palcach:

– Raz: Osiem świątyń poświęconych Wenus. Dwa: Świątynie są tak ustawione, że pomoże to nam rozwiązać łamigłówkę związaną z tajemniczymi statkami i ich ładunkiem. Trzy: Jak to zrobić, wyjaśni „mówiący kamień”.

– Nie byłam tego pewna, aż do dzisiejszego telefonu od doktora Orville’a. Znalazł na kamieniu te same osiem hieroglifów. W teczce jest kopia faksu przedstawiającego stelę. Napis składa się z trzech głównych elementów. Pierwszym są hieroglify, drugim skondensowany opis lądowania statków.

– Czy wiadomo, dlaczego statek ma zaraz zostać zjedzony przez wielkiego węża? – spytał Zavala patrząc na faks.

– To jest element numer trzy – wyjaśniła Gamay. – Pierzasty wąż jest ziemskim ucieleśnieniem Quetzalcoatla-Kukulcana.

– Aha – mruknął Zavala. – To oczywiście wszystko wyjaśnia.

– Popatrzcie na to tak: Hieroglify mówią „gdzie”, łodzie „co”, a wąż „jak”. Przyjrzyjcie się Kukulcanowi i powiedzcie mi, co widzicie.

– Głównie pióra – powiedział po chwili Gunn.

– Nie – zaoponował Yaeger. – Jest jeszcze coś. Pióra myślą. Popatrzcie na szczęki. Zupełnie jakby szczyrzył zęby.

– Brawo! – Gamay klasnęła w dłonie, wyraźnie zadowolona. – Nasz guru komputerowy wychodzi na czoło klasy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego – stwierdził Yaeger i wzruszył ramionami. – Niech mnie cholera weźmie, jeśli wiem, o czym mówię.

– Popatrzcie na następną kartkę w teczce. Widać na niej jedną z ośmiu świątyń. Jest dość typowa. Walcowata, wokół szczytu biegnie balkon, na dole fryz. Przyjrzyjcie się dwóm pionowym otworom w murze. Podejrzewamy, że używano ich do dokonywania jakichś astronomicznych obliczeń. Założyliśmy mądrze, że te otwory nakładają się na krańcowe pozycje Wenus na niebie. W dalszym ciągu nie miało to sensu, aż Paul wpadł na pomysł, by spojrzeć na świątynie z góry, jak z samolotu.

Paul przejął wyjaśnianie i uniósł ostatnią kartkę.

– Narysowaliśmy linie wychodzące z każdego otworu w murze i stwierdziliśmy, że to całkiem ciekawe.

– A niech mnie cholera... – mruknął Yaeger. – Ta sama siatka co na pierzastym wężu.

Gamay skinęła głową.

– Zaczęłam się nad tym zastanawiać i wtedy przypomniałam sobie, że siatka przypomina amulet, który kiedyś pożyczycyłam od doktora Chi. Szczęki Kukulcana.

– Nie było mowy o tym, że Kolumb wykorzystywał coś w rodzaju sieci? – spytał Gunn.

– Dokładnie – odparł Paul. – Według teorii Orville’a, Kolumb próbował posłużyć się tym kamieniem, ale od początku znalazł się w niekorzystnym położeniu. Wiedział o istnieniu skarbu, lecz nie umiał odczytać hieroglifów. Na podstawie kamienia zrobił rysunki i wziął je na „Niñę”. Prawdopodobnie wierzył, że spotka kogoś, kto mu je przetłumaczy.

Austin wpatrywał się w diagram.

– Kiedy Kolumb pływał po oceanach, nawigatorzy mieli mapy z prostymi liniami, nazywanymi rumbami. Ktoś, kto płynął z Hiszpanii do Hiszpanioli, wybierał linię zapewniającą najprostszą drogę i ustalał kurs za pomocą kompasu. Dopóki człowieka nie zniosły prądy i wiatry, docierał tam, gdzie chciał. Kolumb mógł błędnie wziąć te linie za rumby, ale Majowie okazali się bardziej przebiegli, niż myślał. Udało się wam przekształcić to w mapę?

– Z początku wydawało się to niemożliwe, ponieważ kilka tysięcy lat temu Wenus była prawdopodobnie w całkiem innym miejscu na niebie – stwierdził Paul. – Musieliśmy trochę pokombinować. Podejrzewamy, że fragment w kształcie V na szczęce, tu gdzie widać statek, to miejsce, w którym coś się znajduje.

– Jak długo, waszym zdaniem, zajmie Halconowi dojście do tego samego wniosku? – spytał Austin.

Troutowie wymienili spojrzenia. Odpowiedział Paul.

– W różnych muzeach na świecie zgłaszano kradzież wielu dokumentów związanych z Kolumbem i Majami. Podejrzewam, że pan Halcon próbował rozwikłać łamigłówkę, ale to my mamy kamień i wiemy, jak go użyć.

– Lepiej się pospieszmy na wypadek, gdyby Halcon okazał się sprytniejszy, niż sądzimy.

Gunn odchrząknął i wyrównał dokumenty leżące przed nim.

– Z całym szacunkiem, Kurt, ale zanim wskoczymy w szczęki Kukulcana, postarajmy się określić, o co w tym wszystkim chodzi. Zaczniemy od Halcona. Dlaczego on wywołuje tyle zamieszania.

– Dobrze. Rozumiem. Oto moja teoria: Tak jak Kolumb, Halcon szuka wywiezionego z Kartaginy fenickiego skarbu. Klucz do znalezienia go tkwi w dowodach na kontakty prekolumbijskie. Nie chce, by ktokolwiek wszedł mu w paradę, dlatego niszczy znalezione przez archeologów artefakty.

– Rozpatrywałem podobną teorię i uważam, że jest zasadna, ale nie wyjaśnia wszystkiego – odparł Gunn. – Poprosiłem Yaegera o sporządzenie dokładnych akt Halcona. Powiedz nam o jego finansach, Hiram.

Yaeger popatrzył na leżący przed nim wydruk.

– Fortuna rodzinna plus liczne firmy. Jest wart miliardy, a to tylko skromny szacunek.

– Dzięki, Hiram. To mnie właśnie niepokoi. Dlaczego miałby ryzykować, zabijać ludzi, atakować was na „Andrei Dorii” i kraść „mówiący kamień”. Czy tylko po to, by znaleźć skarb, choćby nawet legendarny? Ma więcej pieniędzy, niż zwykły człowiek mógłby zamarzyć.

– Może to właśnie odpowiedź na twoje pytanie – skontrolował Austin. – Powiedziałaś „zwykły człowiek”. Z tego, co Zavala opowiadał o egzekucjach na boisku piłkarskim, facet wygląda na szaleńca.

– Tę możliwość też rozpatrywałem. Uważam, że *señor* Halcon jest znacznie bardziej skomplikowany od znudzonego bogatego ekscentryka, szukającego skarbów dla rozrywki. Hiram, mógłbyś przedstawić resztę materiału o tym dzentelmenie?

Yaeger poprawił „okulary babuni” i zaczął czytać.

– Francisco Halcon urodził się w Hiszpanii w rodzinie o wieloletniej tradycji. *Halcón*, oznacza „sokół” i prawdopodobnie nie było od początku nazwiskiem używanym przez rodzinę, ale nie udało mi się ustalić poprzedniego. Ukończył drogie prywatne szkoły w Szwajcarii i uniwersytet w Anglii. – Yaeger uśmiechnął się. – Człowiek Oksfordu. Został torreadorem o przydomku El Halcon i radził sobie całkiem nieźle do momentu, kiedy to musiał zerwać z tym fachem w atmosferze skandalu. Podobno umieszczał na czubku szpady truciznę. Nawet wtedy, gdy nie trafił byka w określone miejsce, zwierzę ginęło.

– Jak na absolwenta Oksfordu dość niesportowe zachowanie – powiedział Austin z konserwatywnym angielskim akcentem.

– Może Cambridge’a, Oksfordu nie – stwierdził Zavala.

Yaeger wzruszył ramionami.

– Z areny walki byków przeszedł do jednej z rodzinnych firm. Halconowie byli wielkimi przyjaciółmi generała Franco i hiszpańskiej armii przed wojną i w czasie jej trwania. Zbili majątek na handlu bronią. Po śmierci Franco, powrocie króla i przywróceniu demokracji, zaczęto patrzeć podejrzliwie na ich interesy. Interpol twierdzi, że podejrzewano Halcona o powiązania z hiszpańską mafią. Opuścił ojczyznę i osiedlił się w Meksyku, gdzie pewną liczbę firm posiadała gałąź rodziny, której historia sięga hiszpańskiej konkwisty. Przejął interesy prowadzone z USA, wykorzystał pieniądze i wpływy do nawiązywania i utrzymywania kontaktów natury politycznej i wkrótce został obywatelem amerykańskim.

– Z tego, co widziałem w działających pod jego egidą firmach w San Antonio, musiał sobie nieźle radzić – stwierdził Zavala.

– Uosobienie amerykańskiego marzenia. – Gunn nie próbował skrywać sarkazmu.

– W różnych zakresach – dodał Yaeger. – Jego legalne interesy były jedynie przykrywką dla mrocznych spraw, prowadzonych po obu stronach

granicy. Jest podejrzany o organizację przemytu narkotyków i imigrantów z Meksyku, i to na wielką skalę.

– To by oznaczało, że musi być blisko rządzącej w Meksyku partii – powiedział Zavala. – Ich uwadze nie uchodzi żaden większy interes, nie ważne czy legalny, czy też nielegalny.

– Pasuje to do sposobu, w jaki jego rodzina działała w Hiszpanii i Stanach – stwierdził Austin. – Czy padło coś na temat Bractwa?

– Jak powiedziałem, był ponoć powiązany z hiszpańską mafią – odparł Yaeger. – Choć nie mam na to dowodu, może to być jedno i to samo.

– Co z kompleksem budowli, które widziałem pod San Antonio? – spytał Zavala. – Co to jest?

– Należy do jednej z jego firm. Według tamtejszego inspektoratu budowlanego kompleks jest legalny. Uważają Halcona za lekko stukniętego, ale ponieważ jest bogaczem, kto miał go powstrzymać, kiedy chciał budować własny park rozrywki? Ponadto z planów budowlanych wynika, że boisko do gry w morderczą piłkę jest „boiskiem do gry w piłkę nożną”.

– Nie przypominało to żadnego meczu piłki nożnej, jaki widziałem w życiu – powiedział Zavala.

– Miejscowi w przeszłości słyszeli sporadyczne wybuchy i zauważyli niezwykle nasilenie ruchu drogowego. Poza tym jest dobrym sąsiadem i płaci podatki.

– Najlepsze Hiram zachował na koniec – uprzedził Gunn.

– Ustalenie tego zajęło trochę czasu z powodu dużej liczby fasadowych firm, splatania się korporacji i fundacji, ale faktem jest, że koncern Halcon Industries rozprzestrzenił się na cały południowy zachód i Kalifornię. Halcon kontroluje wiele banków, posiada nieruchomości, ma w kieszeni polityków, kilka gazet, gromadzi wszystko, co tylko da się kupić.

– Dowodzi to, że próbuje zarówno powiększyć swoją władzę, jak i pomnożyć majątek – powiedział Austin. – Niczym się nie różni od każdej innej korporacji, która ma armię popleczników.

– Ciekawe, że użyłeś słowa „armia” – stwierdził Gunn. – Przekazałem część danych Hiram ATF, agencji rządowej do spraw zwalczania nielegalnego handlu alkoholem, tytoniem i bronią palną. Natychmiast poczuli coś smrodliwego. Pamiętali nazwę jednej z jego firm. Była przykrywką do zakupów broni w Czechach i Chinach.

– Jaką broń kupowali?

– Wymieniaj, co chcesz. Od karabinów dla piechoty po czołgi. Mnóstwo rakiet. Ziemia-powietrze, przeciwczołgowe. Tego typu rzeczy. ATF zdobyła nakaz rewizji biura, zajmującego się transportem. Było puste.

– Dokąd to wszystko poszło?

– Dokładnie? Nikt nie wie. Ogólnie do północnego Meksyku, stanów na południowym zachodzie, do Kalifornii.

– Handel bronią z takim rozmachem wymaga pieniędzy. Dużych pieniędzy.

Gunn skinął głową.

– Nawet miliarder może mieć problemy finansowe, jeśli wyda zbyt wiele na przygotowanie rewolucji.

W pokoju zapadła cisza. Ostatnie wypowiedziane przez Gunna słowo, jakby zawisło w powietrzu.

– *Madre mia...* – szepnął Zavala. – Skarb... potrzebuje skarbu, by przeprowadzić swój plan.

– Tak uznałem – odparł Gunn. – Brzmi to dziwnie, ale fakty sugerują, że planuje coś na kształt puczu wojskowo-politycznego.

– Są jakieś wskazówki, kiedy chce zacząć? – spytał Austin.

– Chyba wkrótce. Według źródeł Hirama, przez szwajcarskie konta bankowe krążyło po Europie sporo pieniędzy, które trafiły do rąk handlarzy bronią. Jeśli Halcon nie chce stracić opinii wypłacalnego, musi szybko uzupełnić kiesę. Co oznacza, że będzie desperacko szukał skarbu.

– Co z naszymi siłami zbrojnymi?

– W pogotowiu, ale jeśli nawet powstrzyma się go militarnie, popłynie mnóstwo krwi niewinnych ludzi.

– Jest inny sposób na powstrzymanie go... – stwierdził Zavala. – Nie ma skarbu, nie ma rewolucji.

– Dzięki wam wszystkim. Paul i Gamay, wykonaliście z doktorem Orville'em kawał świetnej roboty – powiedział Austin. Wstał i rozejrzał się. – Teraz kolej na nas – zakończył z ponurym uśmiechem.

Elegancka sala tonęła w mroku, jedyny wyjątek stanowił stojący na środku stół, za którym siedział Angelo Donatelli i czytał jadłospis na następny dzień. Jego restaurację udekorowano motywami z Nantucket, lecz w odróżnieniu od wielu innych lokali w stylu „marynarskim”, dekoracje nie pochodziły z firmy wysyłkowej. Harpuny i specjalne noże w przeszłości faktycznie przebijały skórę wielorybów, a prymitywne obrazy statków, były oryginałami. Antonio siedział naprzeciwko Donatellego. Na nieskazitelnie białym obrusie rozłożył włoską gazetę. Od czasu do czasu popijał z kieliszka amaretto. Obaj nie zdawali sobie sprawy, że nie są sami, dopóki nie usłyszeli głosu.

– Pan Donatelli?

Angelo podniósł głowę i zobaczył kontury dwóch postaci, stojących poza kręgiem światła. Jak, do diabła, ci ludzie dostali się do środka? Sam zamknął drzwi frontowe. Z drugiej strony wizyta po godzinach nie zaskoczyła go. Na rezerwację w jego lokalu czekało się tygodniami i ludzie w najróżniejszy sposób starali się skrócić ten czas. Głos wydał mu się jednak znajomy. Podejrzewał więc, że ma do czynienia z kimś, kogo gościł.

– Tak, to ja – odparł ze zwykłą uprzejmością. – Obawiam się, że przyszli panowie za późno. Restauracja jest zamknięta. Proszę zadzwonić jutro. Szef sali zrobi wszystko, żeby was zadowolić.

– Zadowolili mnie pan, każąc swojemu człowiekowi położyć broń na stole.

Antonio podniósł z kolan rewolwer, który wyciągnął ukradkiem z kabury i powoli położył na stole.

– Jeśli przyszlście nas obrabować, to też się spóźniliście – powiedział Donatelli. – Całą gotówkę odniesiono do banku.

– Nie przyszliśmy was obrabować. Przyszliśmy was zabić.

– To zabijajcie. Nawet nie wiem, kim jesteście.

Zamiast odpowiedzieć, jedna z postaci stanęła w kręgu światła. Szczupły, smagły mężczyzna wziął rewolwer Antonia i zatknął go za pasek jedno-częściowego kombinezonu. Angelo przez chwilę patrzył na pistolet z tłumikiem w dłoni intruza, ale dreszcz przeszedł mu po karku dopiero na widok drobnych, ciemnych rysów mężczyzny. Tę twarz widywał w snach, a raczej w nocnych koszmarach. Widział zabójcę przez chwilę, kiedy rozglądał się po ładowni tonącego statku. Niesamowite, lecz mimo upływu czterdziestu lat mężczyzna się nie postarzał.

– Widziałem cię na „Andrei Dorii” – powiedział Donatelli.

Wargi przybysza wykrzywiły się w lodowatym uśmiechu.

– Masz dobrą pamięć do twarzy – odparł – ale widziałeś mojego zmarłego ojca. Powiedział mi, że tamtej nocy czuł w ładowni czyjaś obecność. Ty i ja mieliśmy już raz czułe spotkanie. Rozmawiałem z tobą kiedyś przez telefon.

Donatelli przypomniał sobie ów nocny telefon, który wybił go ze snu. Skierowane przeciwko niemu i jego rodzinie groźby długo nie pozwoliły mu wtedy zasnąć.

– Bractwo... – szepnął.

– Masz także dobrą pamięć do nazw. Jaka szkoda, że nie zapamiętałeś mojego ostrzeżenia. Mówiłem, co się stanie, jeśli nie będziesz trzymał gęby na kłódkę. Normalnie nie zajmuję się drobiazgami w mojej firmie, ale ściągnąłeś mi na głowę wiele kłopotów, stary człowieku. Pamiętasz, co wtedy powiedziałem?

Donatelli skinął głową. Miał zbyt sucho w ustach, by odpowiedzieć.

– To dobrze. Pozwól, że powtórzę. Ostrzegłem cię przed opowiedzeniem komukolwiek o nocy na „Andrei Dorii”, bo pójdziesz do grobu ze świadomością, że spowodowałeś śmierć każdego członka swojej rodziny, jakiego uda nam się znaleźć. Synów. Córki. Wnuków. Wszystkich. Rodzina Donatellich przestanie istnieć, pozostanie po niej jedynie szereg nagrobków.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknął Donatelli, odzyskując głos.

– Miej pretensję wyłącznie do siebie. Gra idzie o dużą stawkę. Nikt cię nie zmuszał do rozmowy z NUMA.

– *No!* – odezwał się po raz pierwszy Antonio. – Rodzina nie była częścią umowy.

Angelo odwrócił się do kuzyna.

– O czym on mówi?

Pokiereszowaną twarz Antonia przepełniało poczucie winy.

– Twój kuzyn nie uprzedził cię, że dla mnie pracuje – powiedział przyszły. – Z początku się bronił, ale nie masz pojęcia, jak ciągnie go do ojczyzny. Uzgodniliśmy, że jeśli będzie nas informował o tym, co wiesz na temat działalności NUMA, rozwiążę jego problemy z władzami na Sycylii.

– *Sí* – powiedział Antonio i wysunął szczękę jak Mussolini. – Jednak nic nie mówiliśmy o rodzinie. Wyślij mnie na Sycylię. Taka była umowa.

– Dotrzymam słowa. Zapomniałem tylko dodać, że wyślę cię tam w sośnowej skrzyni. Najpierw jednak ty, panie Donatelli. *Arrivederci*.

Antonio wstał, przerasnął przeraźliwie i zasłonił wuja. Pistolet zrobił „pyk”, cichsze od zamknięcia drzwi. Na przodzie koszuli Antonia wykwitł szkarłatny kwiat i Sycylijszyk zwałił się na podłogę.

Broń ponownie kaszlnęła.

Następny pocisk trafił Donatellego w pierś, ponieważ nikt go teraz nie osłaniał. Impet rzucił go do tyłu razem z krzesłem. Antonio sięgnął do kabury przy kostce i wyciągnął berettę 89. Oparł się na łokciach i wycelował w Halcona. Jak za sprawą magii, na samym środku czoła Antonia pojawiła się okrągła dziurka. Opadł twarzą na podłogę, a jego strzał poszybował gdzieś w przestrzeń.

Z cienia wyszła druga postać, z dymiącym pistoletem w dłoni. Popatrzył obojętnie na człowieka, którego właśnie zabił.

– Nigdy nie ufaj Sycylijszykowi – powiedział cicho.

– Dobra robota, Guzman. Powinienem się spodziewać zdrady. Kiedy dochodzi do operacji w terenie, okazuje się, że siedzenie w biurze powoduje, iż człowiek rdzewieje.

– Zapraszam więc ze sobą do zajęcia się resztą jego rodziny – zaproponował Guzman z błyskiem w oczach.

– Świetnie, z chęcią. Niestety, to będzie musiało zaczekać. Mamy pilniejsze sprawy. – Popatrzył na Angela. – Szkoda, że tego nie słyszysz, Donatelli. Postanowiłem oszczędzić twoją rodzinę, dopóki nie uporządkujemy bałaganu, który ty między innymi spowodowałaś. Nie rozpaczaj. Niedługo spotkasz się ze swoimi ukochanymi w piekle.

Z zewnątrz słychać było głosy, gdyż strzały Antonia ściągnęły uwagę przechodniów. Halcon ostatni raz spojrział na nieruchome ciała i zniknął w ciemności wraz ze swoim towarzyszem z blizną.

## 46

Ile lat ma ten samolot? – Austin z trudem przekrzykiwał hałas silnika. – Mniej więcej pięćdziesiąt – odkrzyknął Zavala. – Właściciel twierdzi, że wszystkie części są oryginalne. Może z wyjątkiem tej włochatej kostki, zwisającej z wstecznego lusterka. – Widząc zaniepokojenie na twarzy Austina, szybko dodał: – Żartuję, Kurt. Sprawdziłem wszystko. Silnik tyle razy remontowano, że jest praktycznie nowy. Mam nadzieję, że w jego wieku będziemy w równie dobrym stanie.

– Jeśli dożyjemy – sceptycznie stwierdził Austin, wyglądając przez szybę na niegościnniej teren w dole.

– Nie martw się, stary. De havilland beaver jest jedynym z najlepszych samolotów do dżungli, jaki kiedykolwiek zbudowano. Stabilny jak czołg. Tak jak pan doktor kazał.

Austin popatrzył na przyklejoną do deski rozdzielczej plastikową figurkę świętego Krzysztofa, opadł na oparcie i skrzyżował ramiona. Kiedy zaproponował Zawali znalezienie czegoś nie rzucającego się w oczy do latania, nie miał na myśli antycznego beavera o kanciastych konturach, dwóch śmigłach i tępym, przeczącym wskazaniom aerodynamiki, nosie. Po prostu chciał coś innego, niż wojskowy helikopter, który nie może bez pozwolenia wkraczać w przestrzeń powietrzną krajów sąsiadujących z Meksykiem. Nawet pomalowany na turkusowo samolot NUMA z wielkim napisem z boku wywołałby zdziwienie.

Przykrytego plandeką malarską beavera znaleźli w ciemnym kącie rozpadającego się, nie używanego hangaru na lotnisku w Belize City. Na jego widok oczy Zawali zamigotały jak bożonarodzeniowe *luminarias*. Zatarł ręce, jakby go zaswędziały, i nie mógł się doczekać, kiedy położy je na przyrządach. Austin pomyślał, że silniejszą reakcją wywołałby tylko jeden samolot. Na szczęście konstrukcja braci Wright znajdowała się w muzeum, gdzie powinno znaleźć się miejsce także dla tego urządzenia.

Belizejczyk, do którego należał samolot, był chudy jak Kasjusz Szekspira i wyglądał na wygłodzonego. Mówił prawie szeptem i raz za razem spoglądał przez ramię, jakby spodziewał się nieproszonych gości. Austinowi polecił go dawny kolega z CIA, uczestniczący w tajnych operacjach pomocy contras w zwalczaniu sandinistów. Sądząc po sugestjach na temat „towaru” i „dyskretnych lądowisk”, uważał zapewne amerykańskich klientów za przemysłowców narkotyków. Po tylu dziwnych operacjach CIA w Ameryce Środkowej nie powinno to zaskakiwać. Nie zadawał żadnych kłopotliwych pytań, nalegał tylko na pozostawienie mu – oczywiście w dolarach amerykańskich – kwoty nazwanej „kaucją zabezpieczającą”, na tyle wysoką, że mógłby kupić boeinga 747. Starannie policzył każdy banknot, żeby upewnić się, czy go nie oszukano i przypomniał o żądaniach terytorialnych Gwatemali wobec Belize. Poradził też nie rzucać się w oczy. Austin zauważył, że może to okazać się niemożliwe przy jaskrawomusztardowym kolorze, na jaki pomalowano stary kadłub. Mężczyzna tylko wzruszył ramionami i zniknął w mroku z plikiem banknotów.

Austin musiał przyznać, że samolot lepiej nadaje się do ich celów od nowszej, bardziej zwracającej uwagę maszyny. Nie był to co prawda concord, lecz przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę gładko pokonywał przestrzeń. Idealnie nadawał się na latającą platformę obserwacyjną. Więcej – mógł startować na bardzo krótkim pasie i lądować na ziemi albo wodzie.

Zawała utrzymał wysokość poniżej tysiąca metrów. Lecieli nad Peten, gęsto zalesionym północnym regionem Gwatemali, który wbija się prostokątem w Meksyk. Początkowo teren był nizinny, powoli jednak przeszedł w niskie, pofalowane pagórki, poprzecinane rzekami i ich dopływami. Kiedyś zamieszkiwali go Majowie, wykorzystujący rzeki do handlu między miastami. Rzeczywiście, kilka razy zauważyli między drzewami szare ruiny. Z mgły na południu wychyły dalekie szczyty gór Maya. Austin zaznaczał pokonywaną drogę na mapie, na którą nałożył zrobioną na przezroczystej folii kopię siatki z „mówiącego kamienia”. Bez przerwy sprawdzał wskazania kompasu i namiernika GPS.

– Zbliżamy się do miejsca, gdzie stykają się szczęki – powiedział, wskazując na mapę. Spojrzał na zegarek. – Powinniśmy tam być za trzydzieści sekund. – Wyjrzał ponownie przez okno. Lecieli nad rzeką, wijącą się jak błękitna wstążka, która dalej rozszerzała się w niewielkie jezioro. Kilka sekund później Austin wskazał na wodę. – To tutaj. Szczęki Kukulcana.

– Powinniśmy zabrać naszą małą łódź podwodną – zauważył Zawała.

– Zrobmy kilka rundek nad jeziorem. Jeśli nie zostaniemy ostrzelani, lądujemy.

Zawała chuchnął na okulary przeciwsłoneczne, wytarł lustrzane szkła rękawem i włożył je na nos. Uniósł w górę kciuk na znak, że jest gotów i położył samolot na skrzydło. Prowadząc każdy pojazd – czy była to łódź podwodna, czy samolot zbudowany za czasów pierwszej kadencji Harry’ego

Trumana – stosował tę samą technikę. Składało się na nią połączenie technicznej maestrii potrzebnej do panowania nad F-16, z lataniem na wariata, stosowanym przez niegdysiejszych „mistrzów” pokazów po wiochach.

Jeziro wyglądało z powietrza jak wielkie oko. Miało owalny kształt, a w miejscu, gdzie w oku byłaby źrenica, znajdowała się niewielka wyspa. Nie rozlewało się szeroko – najwyżej na jakieś osiemset metrów długości i czterysta szerokości. Rzeka skręcała przed jeziorem pod ostrym kątem i okrążyła je, po czym krzyżowała się z korytem, którym woda wypływała na drugim końcu jeziora. Austin uznał, że akwen musi być zaopatrywany w wodę przez niewidoczne spoza drzew źródła albo strumienie.

Beaver dwa razy obleciał jezioro. Nie zauważyli nic niezwykłego. Ponieważ droga była najprawdopodobniej „czysta”, Zavala skierował dziób maszyny w dół, jakby chciał się wwiercić w tafelę wody. W ostatnim momencie poderwał samolot i elegancko wypoziomował, aż białe płyny cmoknęły o wodę. Samolot pomknął po powierzchni jak płaski kamień. Wyrzucał do tyłu coraz mniejszy, podwójny strumień wody, aż zatrzymali się mniej więcej w połowie między brzegiem a wyspą. Austin kopnięciem otworzył drzwi w momencie, gdy zatrzymały się śmigła. Po zgaszeniu silnika, w kokpicie zapanowała cisza. Zavala połączył się z bazą i podał pozycję. Austin lustrował przez lornetkę jezioro, niskie pionowe brzegi i wyspę. Nie spieszył się, patrzył dotąd, aż nabrał pewności – o ile to było możliwe – że są sami.

– Chyba jest dobrze – powiedział i opuścił lornetkę. Zmrużył oczy i przyglądał się wyspie. – Niepokoi mnie ta wyspa.

Zavala pochylił się i naciągnął na czoło czapkę bejsbolową, osłaniając oczy przed migoczącym światłem.

– Dla mnie wygląda idealnie.

– O to właśnie chodzi. To miejsce jest zbyt idealne. Gdyby przeciągnąć linie od brzegu do brzegu, z północy na południe i ze wschodu na zachód, wyspa znalazłaby się dokładnie na przecięciu, jak w celowniku optycznym. Dokładnie w samym środku.

Zavala ponownie uruchomił silnik i dał śmigłom tyle impetu, ile potrzebowały do pchania ich z prędkością kilku węzłów. Przesunął dźwignię przepustnicy, zmniejszył ciąg i pozwolił samolotowi dryfować ku wyspie. Rzucili kotwicę za burtę i po długości liny oszacowali, że jezioro ma ponad trzydzieści metrów głębokości. Napompowali ponton, wsiedli do niego i powiosłowali w kierunku wyspy. Wciągnęli ponton na porośnięty trawą błotnisty brzeg. Według Austina wyspa miała dziesięć metrów średnicy. Wyglądała jak skorupa gigantycznego żółwia, który wznosił się nad wodę i zatrzymał, kiedy szczyt skorupy wystawał pięć metrów nad powierzchnią. Nie zwracając uwagi na kaktusy, Zavala wspiął się na górę. Tuż pod szczytem krzyknął i cofnął się, jakby otrzymał niespodziewany cios.

Austin zeszytniał i sięgnął po rewolwer na biodrze.

– Co się stało?! – krzyknął. Najpierw pomyślał, że Joe wdepnął w gniazdo żmij.

Salwa śmiechu Zawali przestraszyła stado białych ptaków. Wzbiły się w powietrze niczym zdmuchnięte przez wiatr confetti.

– Wyspa jest zamieszkała, Kurt. Chodź i przywitaj się z gospodarzem.

Austin szybko wspiął się na niewielki pagórek i zobaczył za krzakiem szczyrzącą żęby czaszkę. Była mniej więcej dwa razy większa od ludzkiej. Odsunął liście znad groteskowej kamiennej głowy, która okazała się nadprożem czworokątnego otworu. Mieścił się on w boku sześcianu, zagłębionego w ziemi niemal po płaski, zakończony blankami dach. Zdobił go szereg podobnych do pierwszej, choć mniejszych czaszek. Za pomocą maczety Austin odkopał ziemię i powiększył otwór na tyle, żeby można było wetknąć do środka głowę i ramiona.

Zawała zaświecił latarkę.

– Chyba wcisnę się do środka. – Spuścił do dziury nogi, a po chwili rozległo się głośnie kichnięcie i głos Zawali: – Weź ze sobą odkurzacza.

Austin powiększył otwór i zszedł na dół. Rozejrzał się dookoła.

– Nie jest to Hilton – stwierdził.

Pomieszczenie miało rozmiary podwójnego garażu i ściany tak grube, że wytrzymałyby bezpośredni strzał z armaty. Austin prawie dotykał głową niskiego sufitu. Powierzchnię płaskich, otynkowanych ścian pokrywały ciemne wypukłości. W każdej ścianie znajdował się podobny portal. Otwory wypełniała, twarda jak cement, wzmocniona korzeniami ziemia.

– Sam nie wiem, Kurt. Oferta jest niezła. Widok na jezioro. Skromne wyposażenie.

– Sprzedawcy nieruchomości nazywają coś takiego „idealną ofertą dla złotej rączki”.

– Jest i piwnica. – Zawała poświecił w kąt.

Austin uklęknął, żeby obejrzeć wielką płytę w podłodze. Na brzegach miała szereg otworów. Za pomocą maczet podważyli i odsunęli kamień. Pod płytą znajdowały się spiralne schody. Ponieważ Zawała wszedł tutaj jako pierwszy, teraz Austin zgłosił się na ochotnika. Zszedł w dół i po chwili znalazł się w kilkumetrowym korytarzyku, zakończonym olbrzymią płytą. Austin przyjrzał się jej w świetle latarki.

– Lepiej podejdź tutaj – powiedział spokojnie.

Poważny ton w głosie Austina ponaglił Zawałę. Na podłodze pod płytą, leżała kupka kości. W odróżnieniu od rzeźby na górze, leżało tu sześć prawdziwych czaszek. Zawała podniósł jedną i trzymał w wyciągniętej ręce niczym Hamlet, kontemplujący ziemskie resztki Jorika.

– Ofiary z ludzi. Sądząc po dziurze w czaszce, skrócono im cierpienia i nie musieli umierać z głodu.

– Kaci mieli serce – stwierdził Austin, oglądając zagradzającą drogę płytę. – Tędy można przejść, jedynie używając młota pneumatycznego albo

dynamitu. – Po dokładnym obejrzeniu płyty wrócili z powrotem do górnego pomieszczenia, gdzie zauważyli na podłodze kilka zbiegłych grudek. Austin podniósł jedną i bez trudu skrzeszył ją w palcach na proszek. – Skorupia-ki słodkowodne. To miejsce było kiedyś pod wodą.

Zawała przeciągnął palcami po ścianie.

– Możliwe. To wygląda na wyschnięty muł stawowy.

Wyszli na świeże powietrze i zbadali otoczenie. Wyspa okazała się kamienną platformą, na której z upływem czasu gromadziły się osady i płynące z prądem rzeki materiały. Na naniesionej warstwie gleby zakiełkowały nasiona, prawdopodobnie przyniesione przez ptaki, a ich korzenie przytrzymały namuł. Kiedy patrzyło się ze skraju platformy w dół, widać było kamienny taras. Austin zdjął buty, wszedł do wody, przepłynął kilka metrów i zanurkował.

– To jak czubek góry lodowej – oznajmił po wynurzeniu się. – Prawdopodobnie szczyt wielkiej piramidy. Nie umiem określić, dokąd sięga.

– Mówiłem, żeby przywieźć łódź podwodną – odparł Zawała, pomagając Austinowi wydostać się na ląd. – Gdyby to, co sądzimy, okazało się prawdą, a ten budynek świątynią, to jesteśmy w punkcie wyjścia. Szczęki.

– Musimy tylko odkryć, jak dostać się do przełyku.

– Miła perspektywa. Możemy spróbować wysadzić zagradzającą drogę płytę.

– Jasne, to może nawet coś dać, ale jest mało precyzyjne. Nasi przyjaciele archeologowie nigdy nie darowali by nam tego. Rozejrzyjmy się i zastanówmy.

Wrócili do samolotu i dopłynęli do końca jeziora. Wyszli na brzeg i ruszyli w głąb łądu. W lesie panował półmrok, przez liście przesączały się pojedyncze plamki światła. Wśród gęstych drzew nie rosły żadne krzewy, dzięki czemu łatwo maszerowało się po dywanie z liści. Austin poszedł zobaczyć, skąd wypływa strumień i dotarł do miejsca, gdzie wzdłuż koryta rzeki, którą widzieli z góry, biegingy po obu stronach kamienne mury. Koryto wypełniły ziemia i roślinność, ale przed prymitywną zaporą utworzyło się jezioro, z którego wypływało kilka strug wody. Omijały tamę i płynęły dalej do głównego jeziora. Sama rzeka tuż przez murami gwałtownie skręcała, w las. Austin poszedł wzdłuż płynącej z szumem wody i wkrótce znalazł się przy bardzo podobnym systemie murów.

– Tak, jak sądziłem... – powiedział.

Zawała nie mógł wyjść z podziwu.

– Skąd o tym wiedziałeś?

– Uwierzysz, jeśli ci powiem, że byłem inżynieryjnym geniuszem?

– Uwierzę we wszystko – jęknął Zawała – Ale powiedz, skąd naprawdę wiedziałeś.

Austin podniósł gałąź, wrzucił ją do wody i patrzył, jak szybko znika w spienionej rzece.

– Pamiętasz, jak rzeka wygląda z powietrza? Chyba powiedziałaś, że kręci się bardziej niż Arabka podczas tańca brzucha. Tuż przed wpłynięciem do jeziora odchodzi w bok idealnie prostą linią. Od razu wydało mi się to zbyt dziwne, żeby było naturalne. Tak jak nienaturalne jest usytuowanie świątyni pośrodku jeziora. Przyroda nigdy nie jest tak precyzyjna. Pomyślałem więc, że to może kanał. Znasz park Chesapeake i Ohio na północ od Waszyngtonu?

– To jedno z moich ulubionych miejsc na tanią pierwszą randkę – odpowiedział Zavala z uśmiechem, wspominając miłe chwile. – *Muy romántico*. Co park ma wspólnego z naszą pracą?

– Pomyśl o tej świątyni. Czasem jest pod wodą, czasem nad jej powierzchnią.

Niemal słyszał obracające się w głowie Zawali trybiki. Po chwili Joe klepnął się w czoło.

– Oczywiście! Śluzu.

Austin oczyścił z liści kawałek ziemi i podniósł patyk. Podał go Zawali.

– Proszę bardzo, profesorze Z.

Zawała narysował prostą linię.

– To jest rzeka Potomac. Nie można po niej pływać z powodu progów i wodospadów, wycięto więc kanał okrążający niebezpieczne miejsca. Tutaj – stuknął w ziemię – buduje się system bram i śluz do sterowania poziomem wody na każdym odcinku kanału. Zobaczmy, czy mam rację. – Narysował owalny zarys jeziora. – Normalnie rzeka wpływa tutaj, wypełnia zagłębienie, tworząc jezioro, i wypływa dołem do morza.

– Na razie dobrze, profesorze.

– W jakimś momencie nieznani inżynierowie postawili w tym miejscu tamę. – Zawała narysował linię przy wejściu do jeziora. – Powstrzymuje ona wodę przed wpłynięciem do jeziora. Jednak musi mieć gdzieś ujście, inaczej bowiem przelewałaby się przez tamę. – Narysował prostą linię, odchodzącą od jeziora. – Robimy kanał i możemy poprowadzić wodę do innego koryta. – Ciemnymi oczami popatrzył triumfalnie na Austina. – I można osuszyć jezioro!

– I zbudować świątynię. Tutaj. – Austin czubkiem buta narysował na ziemi krzyżyk.

Zawała wrócił do narracji.

– Po ułożeniu ostatniego kamienia piramidy zamykamy śluzę kanału odpływowego i otwieramy bramę u wejścia do jeziora. Jezioro ponownie się napęlnia i ukrywa świątynię. Ergo...

– *Ergo, ipso facto* i *voilà!* Problem polega jedynie na tym, że brama śluzu składa się z ruchomych części. Ponieważ Hiszpanie rozbili w pył Majów, znikły służby konserwacyjne. Z biegiem czasu, z powodu braku konserwacji, brama uległa zniszczeniu. Ten załom jest naturalną pułapką, gromadzącą wszystko, co spływa w dół rzeki. Przed dawną bramą zamykającą

dopływ wody zbierają się więc śmiecie, tworzą groble i rzeka znów płynie wokół. Brama odpływowa kanału niszczyje, woda zaczyna wypływać. Jezioro jest zaopatrywane w wodę przez kilka strumieni, ale poziom wody opada, więc szczyt piramidy zaczyna wystawać. Zarasta roślinnością.

– Po odpowiednio długim czasie, woda w jeziorze opadnie i odsłoni świątynię. Chyba że przebiję się przez groble z mułu i poziom w jeziorze znów się podniesie.

Austin pomyślał chwilę i kiwnął głową.

– Resztę opowiem w drodze powrotnej – rzekł.

– Musisz przyznać, że to pomysł godny prawdziwego geniusza.

– Zgadzam się. Dzięki tej konstrukcji mogli osuszać jezioro, kiedy chcieli. Mogli też ponownie wchodzić do świątyni. Wejście na szczycie może być ślepe, tak jak fałszywe wejścia do piramid, budowane jedynie dla zmylenia rabusiów. Nie byłbym zaskoczony, gdyby specjalnie, dla efektu, umieścili tam szkielety. Jako rekwizyty sceniczne.

– Jaka scena, taki rekwizyt.

– Wracamy do samolotu, trzeba zamówić zrzut.

Kilka minut później Zawała przekazał „Nereusowi” listę potrzebnych rzeczy. Sporządził ją Austin. Przy jednym z punktów Joe uniósł ze zdziwieniem brew, ale powstrzymał się od komentarzy.

Czekając, zjedli coś, po czym położyli się w cieniu do czasu, gdy radio ożyło.

– Lecimy, chłopaki. Przewidywany czas nalotu dziesięć minut.

Dokładnie po dziesięciu minutach nad jeziorkiem pojawił się turkusowy helikopter z napisem NUMA na boku. Zawisł obok ich samolotu i zrzucił do wody wielką skrzynię, owiniętą grubym plastikiem i zabezpieczoną pontonami. Załoga helikoptera popatrzyła, jak odbierają przesyłkę, pomachała na do widzenia i odleciała, skąd przybyła.

W skrzyni znajdowały się dwa kombinezony do nurkowania i kilka mniejszych pudeł. Austin załadował je na ponton i popłynął w górę jeziora, a Zawała ukrył samolot we wgłębieniu przy brzegu. Wiedział, że nie należy pytać Austina, co planuje – kiedy będzie trzeba, Kurt sam o wszystkim powie.

Przykrył samolot siecią rybacką i właśnie wplatał w nią gałęzie, gdy zjawił się Austin, żeby mu pomóc. Pudełka zniknęły z pontonu. Zadowoleni, że samolot jest dobrze ukryty, wrzucili do pontonu sprzęt do nurkowania i popłynęli na wysepkę. Zatarli ślady swojej poprzedniej wizyty, wypuścili z pontonu powietrze i schowali go na płytkiej wodzie, przyciskając kamieniami. Woda była ciepła, więc zamiast grubszych neoprenowych kombinezonów włożyli jedynie lekkie, z czarnej lycry.

Austin bez słowa włożył do wodoszczelnej kieszeni niewielką torebkę, którą miał na szyi. Po szybkim sprawdzeniu sprzętu odплыnęli od wysepki, wypuścili z kamizelek powietrze i zaczęli się zanurzać w ciemną wodę.

## 4 7

Płynęli w dół, poruszając mocno, w równym rytmie, płetwami. Oddalali się skosem od szczytu świątyni, aż dotarli do dna jeziora. Wyglądali jak karły na tle imponującej, zwężającej się ku górze piramidy. Szerokie tarasy schodziły w dół niczym gigantyczne stopnie.

– Niezły kawał skały – stwierdził Austin. Mimo metalicznego pogłosu, wytworzonego przez komunikator, w jego głosie wyraźnie było słycać respekt.

– Dobrze, że nie jesteśmy przesądni. Naliczyłem trzynaście tarasów.

– Odpukaj w nie malowane drewno. – Austin popatrzył na głębokościomierz. – Trzydzieści cztery metry siedemdziesiąt. Gotów do nurkowania według planu?

Doświadчени nurkowie znają na pamięć zdanie: „Planuj nurkowanie, nurkuj według planu”. Strategia była prosta: zbadać każdy z czterech boków od góry do dołu. Poruszali się wokół piramidy w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. W pobliżu nie znaleźli budynku, co nasunęło Austinowi pytanie, czy naprawdę zbudowano ją tylko w jednym celu. Drugi bok okazał się taki sam jak pierwszy i zbadanie go zajęło jedynie kilka minut. Przy trzeciej próbie trafili w dziesiątkę.

Dwa pierwsze boki były gładkie, natomiast w dół trzeciego biegły szerokie schody – aż do miejsca, które w suchszych dniach mogło być podłożem. U stóp schodów, niczym portier przed szpanerskim hotelem w Las Vegas, stał samotny płaski kamień, pionowo ustawiona stela na dnie jeziora.

Zawala jaskrawym promieniem z ręcznego halogenu przeciągnął po ciemnej powierzchni.

– Wygląda znajomo... – powiedział po sekundzie.

Austin przyglądał się płaskorzeźbie, przedstawiającej pierzastego węża pływającego statek.

– Świat jest mały. Bliźniak kamienia z „Dorii”. – Popatrzył w górę schodów. – Przypomina mi się kamień z filmu 2001: *Odyseja kosmiczna*. Może ten mały stary kamyczek chce nam coś przekazać?

Płynął przodem, Zavala nieco z tyłu z prawej strony. Unosili się w górę schodów leniwie jak słup dymu. Schody po obu stronach ozdobiono rzeźbami, a co kilka stopni ustawiono rzeźbione głowy. Mniej więcej w połowie drogi na szczycie znajdowała się olbrzymia stylizowana paszcza węża w koronie piór. Paszcza – na tyle wielka, żeby połknąć dorosłego mężczyznę – była szeroko otwarta, gotowa do ataku. Z górnej szczęki wystawały grube jak słupy, spiczaste kły i stykały się z podobnymi kłami dolnej szczęki.

– Miło wygląda – stwierdził Zavala. – Myślisz, że ugryzie?

– Przywitaj się z pierzastym wężem, znanym w tych okolicach jako Kukulcan.

– Wygląda jak skrzyżowanie rottweilera z aligatorem. Spytaj go, czy wie, jak wejść do piramidy.

– Może to wcale nie taki głupi pomysł. – Kilkoma ruchami płetw Austin przysunął się do otwartej paszczy i oświecił jej środek. – Powiedz: aaa! – zaproponował i wpłynął do środka. Butla otarła się o grube kły, ale w środku znalazł dość miejsca, by się obrócić. Wystawił głowę z paszczy, gestem przywołał Zavala i ruszył w głąb piramidy. Światło wydobyło z opadającej podłogi stopnie. Przez mniej więcej dwie minuty płynęli skosem w dół, powoli i ostrożnie, aż tunel zakończył się komorą na tyle dużą, żeby mogli stanąć. Wychodzące z komory schody prowadziły do następnego pomieszczenia.

– Czuję się jak brudne ubranie, które właśnie zjechało zsysem do pralni. To było zbyt łatwe – stwierdził Zavala.

– Pomyślałem to samo. Ale ludzie, którzy zbudowali tę piramidę, wiedzieli, że znajdzie się pod wodą. Według nich każdy, kto chciałby dostać się do środka, zacznie marnować czas na przebicie się przez płytę na górze. Nawet gdyby ktoś zobaczył prawdziwe wejście, nie zaryzykowałby wchodzenia wężowi do paszczy. Rozglądaj się jednak za pułapkami.

Popłynęli w górę schodów jak duchy w nawiedzonym domu. Austin słyszał, jak Zavala mamrocze.

– Mogliby się zdecydować... w dół... w górę...

Rozumiał niezadowolenie przyjaciela. Nawet doświadczony nurek nie jest w stanie do końca stłumić klaustrofobicznych lęków. Przecież tysiące ton tego, co jest nad głową, może się zaważyć. Więcej – oprócz uwięzienia, mogli stracić możliwość poruszania się i zostać skazani na bolesną śmierć przez uduszenie. Ucieszył się, kiedy wystawił głowę nad powierzchnię wody. Sekundę później obok wypłynął Zavala. Poświecili wokół studni. Zavala sięgnął, żeby wyjąć ustnik automatu. Austin chwycił go za nadgarstek.

– Stój! Nie wiemy, czy powietrze nadaje się do oddychania.

Uwięzione powietrze mogło mieć dwa tysiące lat. Nie wiadomo, czy przez ten czas nie powstały jakieś mikroorganizmy, zarodniki albo toksyny, więc wolał nie ryzykować. Wyszedł z wody, zdjął pletwy i pas z ołowiem, potem pomógł Zavalii zrobić to samo. W powietrzu odgłos wydychanego przez automaty powietrza brzmiał nienaturalnie głośno.

Długa, wąska komnata miała wysoki, podpierany kolumnami sufit. Zbudowano ją w ulubiony przez Majów sposób – z kroksztynami i poziomo kładzionymi kamieniami w ścianach. Promień reflektora Austina przeniósł się z sufitu na dół i wydobyl z ciemności długą głowę ze spiczastymi uszami i rozdętymi nozdrzami

– Czy to jest to, co mi się wydaje? – spytał Zavalii.

– Koń jak koń.

– Oczywiście, ale co tu robi mister Ed?

Austin oświetlił niżej długą, drewnianą szyję.

– Hm... to chyba figura galeonowa.

Drewniana rzeźba konia znajdowała się na czubku wysokiego, łukowatego wygiętego w górę dziobu statku o błyszczących ciemnoczerwonych burtach. Wydłużony dół przechodził w taran. Kiedy szli wzdłuż kadłuba, Austin musiał przyznać, że budowniczy statku, był prawdziwym artystą. Dziób i rufę skonstruowano tak samo. Długi, smukły statek miał dość płaskie dno, a oba jego końce wznosiły się wdzięcznym łukiem ku górze. Sądząc po dokładnie dopasowanych deskach zakładkowego poszycia – kadłub był szczelny. Maszt leżał na pokładzie.

Niektóre deski pokładu zapadły się, ukazując stojące w ładowni amfory. Tu i ówdzie leżały porozrzucone okrągłe przedmioty – chyba tarcze. O tył oparto dwa wiosła z powykrzywianymi ze starości piórami. Wydawało się, że czekają na dłonie dawno już nieżyjących sterników. Statek nie żeglował na lazurowej wodzie, lecz na kamiennej podstawie. Chociaż większość desek poszycia pozostała cała, ich przegniła część zakłóciła równowagę. Statek przechylił się na bok.

– W naturze jest znacznie ładniejszy – mruknął Zavalii.

Austin przeciągnął dłonią po drewnie, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Więc to nie ułuda. To jeden ze statków wyrzeźbionych na steli i innych kamieniach.

– Co fenicki statek robi w podwodnej świątyni Majów?

– Czekają na obalenie wszystkich archeologicznych teorii, jakie kiedykolwiek stworzono. Zaczekaj, aż Nina ujrzy to śliczne dziecko. Zanim wnieśliemy tu kamerę, musimy dać jej trochę szkiców, nad którymi będzie mogła podumać. Na ile oceniasz długość?

– Ponad trzydzieści metrów.

Zavalii niemal wpadł na jedną z czterech okrągłych kolumn, umieszczonych wzdłuż statku. Podobny kwartet kolumn znajdował się przy drugiej burcie.

- Masz kolejny orzech do zgryzienia. Osiem kolumn.
- Osiem znaczących dni w cyklu Wenus. Pasuje.

Doszli do wspinającej się łukiem rufy statku. Austin spodziewał się, że pomieszczenie kończy się ścianą, ale za statkiem znaleźli następny łuk na kromoszynie oraz prowadzące w górę schody. Weszli nimi do znacznie mniejszej komnaty, z prostokątnym zagłębieniem w podłodze. Leżał w nim sarkofag z pokrywą ozdobioną rzeźbionymi motywami pierzastego węża. Zaczęli podważać wieko nożami, niestety, bez efektu.

– Może na statku jest coś, co można użyć do podważenia wieka – zaproponował Austin.

Zeszli do dużej komory. Zawała złapał za reling i przy pomocy Austina wspiął się na pokład. Stojąc na okrężnicy, zrobił ostrożny krok do przodu, by zbadać wytrzymałość desek pokładu.

– Wytrzyma, ale dla bezpieczeństwa będę się trzymał belki poprzecznej. – Poszedł przez skrzypiący, drewniany pokład. – Masa amfor... Jezzzuu... – Na chwilę zapadła cisza, potem Austin usłyszał podniecony głos: – Kurt, musisz to zobaczyć!

Podszedł do burty i pomógł Austinowi wejść na górę. Przez stulecia pokład się opuścił i deski opadły. Największe zniszczenia powstały w pobliżu osi statku, gdzie stało najwięcej amfor. Austin szedł za Zawałą po poprzecznej belce na środek pokładu. Choć kadłub trochę się kiwał, statek był solidnie osadzony na kamiennej podstawie.

Zawała pochylił się nad wielkim pękniętym naczyniem. Kiedy się wyprostował, w jego dłoni migotał zielony ogień. Podniósł z kupki złota i kosztowności, która zebrała się w zagłębieniu powstałym po zapadnięciu się desek pokładu kunsztowny naszyjnik ze szmaragdów i diamentów. Austin obejrzał naszyjnik i stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Zawile wzory były efektem niezwykle misternej ręcznej roboty. Podczas gdy Austin się zachwycał, Zawała wyjął z innej – nie zniszczonej amfory – garść nie oprawionych kamieni. Diamenty. Rubiny. Szmaragdy. Otworzył usta ze zdziwienia.

– To musi być największe nagromadzenie skarbów w historii ludzkości!

Austin kucnął przy następnej rozbitej amforze.

– Klejnoty korony królewskiej wyglądają przy tym jak kulki do gry, nie? – Przez palce przelatywały mu centymetrowej średnicy drogie kamienie. – Prawnicy oszaleją przy ustalaniu, do kogo to należy.

Zawała popatrzył na komnatę z sarkofagiem.

– Może ostatni właściciel leży w tej kamiennej trumnie.

Austin chwycił kilka ostrzy oszczepów.

– Sprawdźmy, czy to ktoś, kogo znamy.

Opuścili statek i poszli do komnaty z sarkofagiem. Choć ostrza oszczepów były mocne, a czubki wchodziły pod pokrywę, nawet dwóch silnych

i energicznych mężczyzn nie potrafiło utworzyć dźwigni, która pokonałaby efekt pracy projektantów i budowniczych kamiennej trumny.

– Chyba musimy zastosować metody ze szkoły rabusiów grobów – stwierdził Austin.

Zavala popatrzył na ciśnieniomierz.

– Kiedy jest przyjemnie, czas szybko mija. Jeśli zostaniemy dłużej, będziemy musieli przejść na butle zapasowe.

– Widzieliśmy wszystko, co chcieliśmy. Może naukowcy to wyjaśnią.

Właśnie zamierzał ruszyć z powrotem do komory z łodzią, gdy ciszę w grobowcu przerwał grzmot wybuchu nad ich głowami. Austinowi przemknęła wizja wybuchającego wulkanu. Nie wiedzieli co robić. Ich mózgi wydawały sprzeczne polecenia.

Uciekaj! Padnij! Nie ruszaj się!

Walczyli o równowagę na chyboczącej się podłodze. Wybuch wtłoczył do zamkniętych pomieszczeń powietrze, tworząc efekt występujący w tunelach powietrznych. Fala uderzeniowa pchnęła Austina i Zavalę z powrotem do krypty. Machali wściekle ramionami, z łoskotem obijali się o siebie butlami i przewodami do oddychania. Huknęli plecami o sarkofag i wpadli pomiędzy kamienną trumnę a ściankę zagłębienia. Poobijali się przy tym i poranili, ale prawdopodobnie to uratowało im życie, bowiem na miejsce, gdzie przed chwilą stali, spadł kawał kamiennego sufitu wielkości autobusowego silnika. W powietrzu latały kamienie o ostrych krawędziach, co robiło wrażenie, jakby ostrzeliwał ich atakujący myśliwiec szturmowy. Do komnaty grobowej wleciała chmura duszącego pyłu i przykryła wszystko cienką warstwą bieli. Po chwili z góry sypaną się kurz i zaczęły spadać luźne kamienie.

Austin wypluł kurz i spytał Zavalę, czy nic mu się nie stało.

Zavala zademonstrował swój stan – najpierw atakiem kaszlu, potem potokiem hiszpańskich przekleństw.

– Nie, nic mi nie jest... – wydyszał. – Co z tobą?

– Jestem chyba w jednym kawałku. Chciałbym tylko wyłączyć telefon, który bez przerwy dzwoni mi w głowie.

Rozległy się kolejne kaszlnięcia.

– Co się stało?

– Wygląda to na połączony wybuch Wezuwiusza i Krakatau. Stawiam jednak na kilka kilo C-4. – mruknął ze złością Austin. – Bardzo cię lubię, Joe, ale chyba jeszcze nie dojrzeliliśmy do zaręczyn. Możesz się ruszyć?

Przy kolejnych hiszpańskich przekleństwach rozprostowali ręce i nogi, rozplatali przewody powietrzne i stanęli. Zavala sięgnął po leżący nieopodal halogen. Poświecił krótko w twarz Austinowi, potem sobie. Maski mieli przekrzywione, ale nie popękane, co ochroniło im oczy przed kurzem.

– Wyglądasz jak podejrzany mim – powiedział ze śmiechem Zavala.

– Nienawidzę mimów, nawet najlepszych. Ty też jesteś dość błądy. Mam dla ciebie inną nowinę, oddychamy bez automatów.

Zavala przyłożył półmaskę z mikrofonem i końcówką automatu do twarzy i zacisnął zęby na ustniku.

– Jeszcze działa.

– Mój też. Chyba nie będą nam potrzebne. Czuję świeże powietrze.

– To znaczy, że ktoś wysadził górę piramidy. Czas się ruszać. Możesz iść?

Zavala wyszedł z zagłębienia i pomógł wydostać się Austinowi. Od stóp do głów byli pokryci białobrazowym pyłem. Wyglądali jak żywe trupy. Austin skierował światło w dół i stwierdził, że wstrząs odsunął wieko. Choć powinni uciekać, zwyciężyła ciekawość. Oświetlił leżącą w środku postać.

Twarz miała zakrytą maską z jadeitu o okrągłych oczach i orlim nosie. Ciało spowito w całun z ciemnego, przypominającego aksamit, materiału. Spod bezkształtnego kapelusza wystawały kosmyki białorudych włosów. Przypominające szpony, zmumifikowane palce, trzymały zwoje starego pergaminu. Austin wziął jeden ze zwojów, przyjrzał mu się ze zdziwieniem i wetknął go z powrotem w kościste dłonie. Pod brodą maski zauważył coś żółtawego. Kształt wydał się znajomy, ale zupełnie tu nie pasował. Chciał przyjrzeć się temu bliżej, lecz nie było na to czasu. Z komnaty, w której stał statek, dochodziły głosy.

Prawie nie dająca się przeniknąć wzrokiem chmura w komnacie ze statkiem szybko się rozpraszała. Pył wirował w strumieniach słonecznego światła, wpadającego przez wielką dziurę w miejscu, gdzie niedawno był sufit. Kawały kamienia spłaszczyły rufę ciemnoczerwonego statku z taką łatwością, z jaką gospodyni ubija ziemniaki. Kolumny poprzewracały się i połamały, podłogę zaściełały mniejsze kamienie, a wszystko pokrywała warstewka wapiennego pyłu. Austin nie miał czasu rozpaczać nad zniszczonym statkiem, bowiem przez otwór w suficie zrzuciono sznurową drabinę. Do zapyłonego, mrocznego pomieszczenia schodziły dwie ubrane na czarno postacie.

Po zejściu na dół pierwszy intruz, przytrzymał drabinę.

– Przepraszam za bałagan, don Halcon – powiedział obojętnym głosem.

– Nie dało się go uniknąć, Guzman – odpowiedział szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, oglądając zniszczenia. – Liczy się osiągnięcie celu, nieważne jak. – Zapalił silny reflektor i skierował światło na zniszczony statek. – Boże, co za wspaniały widok!

Przeszli przez rumowisko i wspięli się na mniej zniszczoną część pokładu.

– Popatrz na to, Guzman! – rozległ się po chwili histeryczny, radosny wrzask Halcona. – Mam dość kosztowności, by wyposażać armię!

Austin stał z Zawalą przy wejściu i rozważał sytuację. Poza maczetami nie mieli broni. Halcon i jego pomagier musieli mieć przynajmniej pistolety. Jeśli spróbują dostać się do drabinki albo miejsca, którędy przybyli, czyli na przeciwny koniec pomieszczenia, zostaną zastrzeleni jak kaczki na strzelnicy.

Szeptem podzielił się z Zawalą, co o tym sądzi.

– To może będziemy blefować?

Joe też doszedł do takiego wniosku.

– A co mamy do stracenia?

Tylko życie, nasze i wielu ludzi, pomyślał Austin.

– Musimy przedostać się do studni, przez którą tutaj przyplłynęliśmy. Zdejmujemy główne butle, weź butlę zapasową i automat – poinstruował Zawałę. Dotknął zawieszzonego na szyi woreczka. – Mam niespodziankę, może to odwróci ich uwagę, ale wszystko zależy od działania w odpowiedniej chwili. Nie potrwa długo i nas znajda. Jeśli nasz widok ich zaskoczy, zaczną strzelać.

– Dobrze, pokażmy się. Będę czekał na twój sygnał.

Austin klepnął przyjaciela w ramię, wziął głęboki wdech i wszedł do pomieszczenia, gdzie stał statek.

– Witam panów – powiedział głośno i wyraźnie.

Siwy mężczyzna z bliźną szybko wyciągnął z kabury pistolet i wycelował go w Austina.

– Nie jesteśmy uzbrojeni i jest nas tylko dwóch – szybko powiedział Austin, wpatrując się w wylot lufy. Oszacował celującego człowieka jako profesjonalistę, a taki nie strzela ze strachu.

– Podejdźcie bliżej, żebym mógł was widzieć.

Posłuchali polecenia i zbliżyli się o kilka kroków. Siwowłosa zszedł ze statku, podszedł ostrożnie i odpiął im maczety. Uśmiechnął się, a wtedy sina bliźna na twarzy zrobiła się bardziej widoczna.

– Naprawdę musimy przestać spotykać się w ten sposób – powiedział i odrzucił noże daleko w bok.

– Przedstaw mnie swoim przyjaciołom, Guzman. – Halcon z bronią w ręce zszedł ze statku.

– Proszę mi wybaczyć brak kultury, don Halcon. Przedstawiam pana Austina z NUMA i jego kolegę, pana Zawałę, którego poznałem w Arizonie. Pan Zawała jest dzentelmenem sfotografowanym przez naszą kamerę obserwacyjną.

– Oczywiście, teraz poznaję.

– Musi mi pan przesłać kopię tego zdjęcia, Halcon – odparł Zawała.

Halcon zachichotał.

– Byłbym zaskoczony, drodzy panowie, gdybyście, nie znali mojego nazwiska. Guzman opowiadał mi o was. Prawdę mówiąc, kazałem mu was zabić i muszę przyznać, że mieliście szczęście. On rzadko nie wykonuje zleconych mu zadań. Zanim się zrehabilituje powiem, że zaskakuje mnie, jak dostaliście się do piramidy.

– Zostaliśmy połknięci przez Kukulcana – odpowiedział Austin.

Halcon przyglądał mu się jak entomolog, obserwujący owada w słoiku.

– Albo mówisz prawdę, albo próbujesz silić się na ironię. Zresztą nieważne. Połknięci czy nie, i tak się stąd nie wydostaniecie.

– Powiem ze szczegółami, jak się tu dostaliśmy, jeśli odpowie pan skazańcom na kilka pytań. Jestem ciekawy, czy nasza teoria jest trafna.

Prawdopodobnie Halcon uznał, że Austin próbuje przedłużyć sobie życie, ale Austin inaczej na to patrzył. Szukał możliwości ucieczki – nie zamierzał umierać w tej krypcie.

– Do końca negocjator... – powiedział Halcon, najwyraźniej zaintrygowany grą. – Mów.

– Po pierwsze: Jak znaleźliście tę świątynię?

– W ten sam sposób, w jaki dowiedzieliśmy się o wyprawie na „Andree Dorię”. Od człowieka Donatellego, Sycylijczyka.

– Antonia?

– Jego imię nie jest istotne. Kiedy powiedzieliście Donatellemu, że wybieracie się do Ameryki Środkowej, kazałem moim szpiegom was śledzić. Nietrudno było wypatrzeć ten śmieszny żółty samolocik. No, wielkodusznie pozwoliłem wam na dodatkowe pytanie, lecz teraz słucham waszej teorii.

A więc to było tyle, jeśli chodzi o dyskretny wygląd beavera, pomyślał Austin.

– Może zaczniemy tak: Fenicjanie przez tysiące lat handlowali z oboma Amerykami. Kiedy Rzymianie pokonali Kartaginę, fenicka flota przewiozła skarby Kartaginy na drugą stronę oceanu. Minęły wieki, w Nowym Świecie pojawił się Kolumb i poznał legendę o skarbie. Znalazł „mówiący kamień”, doszedł do wniosku, że wskaże mu on drogę do skarbu i wyruszył w ostatnią wyprawę, żeby przywieźć błyskotki do domu. Żle zinterpretował informacje wypisane na kamieniu, ale mimo wszystko dotarł blisko celu.

– Niemal tak blisko jak wy, panie Austin. Czy teraz dowiem się, jak tu weszliście?

– Zeszliśmy tymi schodami – powiedział Austin i popatrzył w kierunku komnaty z sarkofagiem.

Halcon uśmiechnął się i spojrzał na swojego towarzysza.

– Guzman...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał Austin. – Kolumb miał powiązania z tajemniczą organizacją, zwaną Bractwem. Jest więc prawdopodobne, że i oni wiedzieli o skarbie.

– Bardziej niż prawdopodobne. – Halcon gestem powstrzymał Guzmána. – Jestem naprawdę pod wrażeniem, panie Austin. Bractwo jest jedną z najlepiej na świecie strzeżonych tajemnic. Nawet kiedy zatopiliśmy jeden z najsławniejszych liniowców oceanicznych, nie podejrzewano jego istnienia.

– Chce mi pan wmówić, że Bractwo zatopiło „Andree Dorię”?

– Tak naprawdę, to Guzman. Podczas gdy mój ojciec i paru innych ludzi zajmowało się strażnikami, pilnującymi furgonetki w ładowni, Guzman zadbał o odpowiedni przebieg spraw na mostku.

– To był wypadek – poparł go Austin.

– Tak się mówi. Spowodowanie go nie było aż takie trudne. Wiedzieliśmy, że statki miną się tej nocy bardzo blisko, Guzman był przygotowany do zabicia wszystkich na mostku „Stockholmu” i staranowania nim „Dorii”, ale wystarczyło wykorzystać błędy popełnione przez kogoś innego.

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, a Bractwo wiedziało, że „mówiący kamień” wskazuje drogę do skarbu, dlaczego posłało go na dno oceanu?

– Niestety, do niedawna nie znano wartości kamienia. Mój ojciec kazał go zatopić ponieważ tak zakładała pierwotna misja Bractwa, czyli niszczenie wszystkiego, co mogłoby zdyskredytować odkrycia Kolumba.

Zavala zachichotał i powiedział coś po hiszpańsku.

– Ma pan rację, panie Zavala. Mój ojciec, jak raczyłeś zauważyć, dał dupy. Nie mógł jednak wiedzieć, że ja zmienię misję *Los Hermanos*.

– Kiedy została zmieniona z zatapiania statków na robienie rewolucji? – spytał Austin.

Błada, chuda twarz Halcona zachmurzyła się, lecz zaraz się roześmiał i klasnął w dłonie.

– Brawo, panie Austin! Kupiłeś sobie dodatkowy czas do wykonania kary śmierci. Co NUMA wie o moim planie?

– Powiem, ale dopiero wtedy, gdy pan uzupełni jeszcze kilka luk.

– Język ci się rozwiąże, jeśli zacznę robić kulami dziury w rękach i nogach twojego kumpla... – stwierdził Halcon z uśmiechem.

– Może pan zacząć, ale mam inną propozycję. Pan mi zdradzi, na czym polega plan a ja zdradzę tajemnicę, którą na kuli ziemskiej znam tylko ja. Daję na to słowo.

– Przyjmuję. – Austin dobrze ocenił Halcona – megalomana, chętnie opowiadającego komu się da o swoich szalonych zamiarach.

– Mogę mój plan streścić jednym słowem: Angelica. Nowy kraj, stworzony z południowo-zachodnich stanów i Kalifornii. Spadkobiercy Hiszpanów otrzymają z powrotem to, co zabrano im siłą.

– Życzę szczęścia, koleś – prychnął Joe. – Znam pewne supermocarstwo, które może mieć jakieś obiekcje.

– Proszę mi zaufać. W pełni zdaję sobie sprawę z militarnej siły Stanów Zjednoczonych, ale nie zamierzam występować przeciwko nim wprost.

– Czyli cała broń, jaką pan kupił, jest do postrzelania na strzelnicy?

– O nie, zostanie wykorzystana do celów militarnych. Jesteś pochodzenia hiszpańskiego, Zavala, więc wiesz, czego nauczyłem się na arenie walki byków. Za pomocą odpowiedniego machania muletą i zgrabnej pracy nóg można wygrać ze znacznie większym i silniejszym przeciwnikiem.

– Stany Zjednoczone nie są szarżującym bykiem – zauważył Austin.

– Mimo to zasada obowiązuje. Dobrze przygotowałem podwaliny. Na stare hiszpańskie tereny, obecnie okupowane przez Stany Zjednoczone, sprowadziłem miliony nielegalnych imigrantów i niewiele brakuje, żeby przeważali liczebnie nad mieszkańcami o innym pochodzeniu niż hiszpańskie, portugalskie czy latynoskie. Wykorzystałem moją fortunę na zakup wielu firm w tak kluczowych gałęziach jak przetwórstwo ropy, produkcja materiałów napędowych i kopalnictwo. Sponsorowałem przychylnie moim ideom osoby, które kandydowały na publiczne stanowiska. Wielu kupiłem i skorumpowałem łapówkami. Teraz mogę rozpocząć realizację mojego planu. Zaraz po wyjściu stąd, dam znak. Szkolona przeze mnie armia ruszy na mia-

sta przygraniczne, wybrane oddziały wnikną w głąb kraju. Dojdzie do gwałtownej reakcji przeciwko Latynosom. Mniej więcej tak, jak w trakcie drugiej wojny światowej przeciwko Amerykanom pochodzenia japońskiego. Tym razem jednak damy ludziom zarówno środki do walki z anglosaskim ciemiężcą, jak i powód do jej prowadzenia: odzyskanie dumy narodowej, odebranej im przez Stany.

– Mówi pan o krwawej łaźni i chaosie.

– Dokładnie o to chodzi! Co Stany Zjednoczone zrobią? Uwolnią Albuquerque i Phoenix, zrzucając na nie bombę atomową? Zaczną prowadzić walki uliczne na bulwarach San Diego? Wiedzą, że po każdym militarnym konflikcie musi dojść do ugody politycznej, a ja okażę się drogą prowadzącą do zakończenia zamieszek. Gubernatorzy, których wybrałem, będą żądać pokoju i sugerować wybór na mediatora człowieka hiszpańskiego pochodzenia. Wynegocjuję *de facto* oddzielenie się od Stanów.

– Plan bez gwarancji powodzenia, co oznacza, że setki tysięcy ludzi zginą za nic.

– Nie, za poświęcenie dla osiągnięcia wielkiego celu.

– Wielu z nich będzie Latynosami – wtrącił Zavala.

– No to co? Moi przodkowie konkwistadorzy wykorzystywali walczące ze sobą frakcje indiańskie jako sojuszników, żeby zwyciężyć imperium Azteków, po czym zrobili z nich niewolników. Kiedy odtworzę dwie wielkie cywilizacje, indiańską i hiszpańską, tym, co zostaną, zaoferuję możliwość przeżycia na nowo wspaniałych rzeczy, które zginęły dawno temu.

– Ma pan na myśli tak wspaniałe zjawiska jak inkwizycja i gra w piłkę o życie?

– I wiele innych, jakich nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, Austin. Wiele innych – powtórzył złowieszczym tonem. – Ta gra już mnie męczy. – Okazywał zniecierpliwienie. – No więc, co z tą wielką tajemnicą? Nie miałbym pretensji, gdybyś kłamał, ale nic ci to nie pomoże.

– Nie kłamię. Tajemnica jest w komnacie obok.

Halcon i Guzman spojrzeli na siebie.

– Tylko bez sztuczek. Guzman ma niecierpliwy palec. Prowadź.

Austin wszedł na schody pierwszy, a za nim Zavala, Guzman i Halcon. W tym szyku doszli do zagłębienia z trumną.

– Tędy weszliście? – spytał Halcon, na darmo szukając wejścia.

– O tym akurat skłamałem, ale o tej drugiej rzeczy nie.

Postać w trumnie przyciągnęła zainteresowanie Halcona.

– Kto to? – spytał.

– Moge?

Zimne oczy Guzmána śledziły każdy ruch Austina, gdy sięgnął do trumny i wyjął z dłoni zmarłego pergamin. Podał zwój Halconowi, który obejrzał go i zmarszczył ze zdziwienia czoło.

– Nie rozumiem – powiedział podejrzliwie.

– Proszę rozpatrzeć taką wersję: Jest pan członkiem społeczności Majów, siedzi od stuleci na stercie kosztowności i czeka, aż ludzie, którzy je przywieźli, wrócą i zażądadą zwrotu swej własności. Pewnego dnia do pańskich drzwi puka biały przybysz ze wschodu i mówi, że chce złota, które mu się należy. Umiera, zanim zdążył pan spełnić jego żądanie. Zastanawia się pan, czy uosabia on boga Wenus, pierzastego węża Kukulcana, ale nie jest pan tego pewien. Więc zabezpiecza się pan. Grzebie go razem ze skarbem i rysuje na kamieniu mapę, zrozumiałą jedynie dla boga Wenus. Zwoje pergaminu, które trzyma w ręce, to rysunki rzeźbień z kamienia. Jeśli to pana jeszcze nie przekonuje, proszę mi powiedzieć, co w świątyni Majów robi chrześcijański krzyż.

– To niemożliwe! – wykrzyknął Halcon.

– Don Halcon, przedstawiam wielkiego admirała oceanu, Krzysztofa Kolumba.

Halcon chwilę przyglądał się mumii, roześmiał się i rzucił krzyż z powrotem do sarkofagu.

– Zatrzymaj go sobie, biedny głupcze!

Wszyscy patrzyli na trumnę. Wtedy Austin ścisnął wiszący na szyi woreczek. Kilka sekund później rozległ się w oddali wybuch, a po nim kilka następnych.

– Co to było? – spytał Halcon i rozejrzał się.

Guzman podszedł do schodów i nasłuchiwał.

– Brzmiało jak grzmoty.

Kiedy uwagę Guzmaną zajmowały niedawne wybuchy, Austin szybko się schylił i błyskawicznym ruchem podniósł jeden z odczepów, którymi bez efektu próbował z Zawalą podważyć wieko trumny. Objął silnym ramieniem szczupłą szyję Halcona i wbił mu mocno czubek ostrza w skórę.

W ręce Guzmaną natychmiast znalazła się broń.

– Cofnij się, albo zaraz będzie to miał w tętnicy szyjnej! – ostrzegł Austin. Nacisnął mocniej. Po szyi Halcona stoczyło się kilka kropli krwi.

Przyduszony przez Austina, Halcon ledwo mówił.

– Rób... jak... każe...

– Wsadź pistolet do kabury! – rozkazał Austin. Wiedział, że Guzman nigdy nie pozbędzie się broni, raczej spróbuje strzelić mu w głowę albo zemścić się na Zawali.

Guzman uśmiechnął się. W skrzywieniu wąskich warg kryło się jakby uznanie dla przeciwnika. Wsunął pistolet do kabury. Austin kazał Halconowi wypuścić broń z ręki.

Pilnując, żeby Zawała był tuż przy nim, zaczął tyłem wychodzić z komnaty – żywą tarczę ciągnął za sobą, aż zeszedł schodami do pomieszczenia ze statkiem. Guzman szedł za nimi bez pośpiechu. Austin, Zawała i Halcon obeszedli stertę gruzu i zatrzymali się w świetle, wpadającym przez dziurę w suficie.

Halcon otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia.

– Wygląda mi to na patę – stwierdził nieco podduszony, ale nie zwyciężony.

Z góry wleciało do środka trochę wody. Wszyscy poza Austinem spojrzeli w tym kierunku.

– Jeśli dziwicie się, skąd ta woda, wyjaśnię, że to nie deszcz. Huki sprzed minuty były eksplozjami materiałów wybuchowych. Użyłem detonatora, działającego na odległość, w celu wysadzenia grobli, blokującej wpływanie wody do jeziora. Właśnie wlewają się miliony litrów.

– Nie wierzę – rzucił Halcon.

– Może powinien pan, don Halcon – stwierdził Guzman. – Wygląda na to, że pan Austin nie kłamie o detonatorze.

– Nie mogłeś przewidzieć wydarzeń – powiedział Halcon.

– Zgadza się. Zamierzałem wysadzić groblę po naszym oddaleniu się stąd, żeby utrudnić wam znalezienie świątyni. W ten sposób przynajmniej zginiemy wszyscy razem.

Z góry chlusnęła na nich kolejna porcja wody, tym razem znacznie większa.

– Podejrzewam, że to dopiero pierwsza fala. Zbiornik pewnie niedawno pękł i zaraz przepłynie znacznie więcej wody. Do zalania wysadzonej przez was dziury niewiele jej będzie potrzeba. Nie mam pojęcia, ile potrwa zalanie komór, lecz na waszym miejscu starałbym się zostać tu jak najkrócej.

Guzman popatrzył na sznurową drabinkę i chyba trochę stracił opanowanie.

– Musimy iść – powiedział.

– Nie bez skarbu – odparł Halcon.

– Mnie tam obojętne – zauważył Austin. – Jak pan powiedział: jesteście martwi.

Znów chlusnęła woda, tym razem nie pojedyncza fala, lecz ciągły strumień.

– Don Halcon... – W głosie Guzmána brzmiał niepokój.

– On blefuje, ty idioto!

– Ale jeśli ma rację, skarb nikomu się nie przyda – odparł Guzman.

Oczy Halcona załśniły wściekłością.

– Od kiedy ojciec cię zatrudnił, zawsze byłeś tylko kretynem-mordercą! Nie umiesz dostrzec chwały!

Guzman uśmiechnął się twardo.

Woda wlewała się do środka jak rzeka, spadała na nich tak gęstą strugą, że nie najlepiej się widzieli. Poruszali się w miejscu, lecz nikt nie odchodził.

– Trudny dylemat, Guzman – zadrwił Austin, podnosząc głos. – Lojalność wobec szalonego szefa i Bractwa albo śmierć przez utopienie. Mam szczerą nadzieję, że rozwiązanie rodziną sprzeczkę, ale niestety, będziecie musieli to zrobić beze mnie. To jest sygnał, Joe!

Zawała pobiegł do studni na końcu komory i wskoczył do środka. Austin wypuścił z ręki ostrze oszczepu, złapał Halcona za zadek i rzucił nim z całej siły w Guzmána, zaskoczonego ucieczką Zawali. Jednak nawet w tak trudnym położeniu Guzmanowi udało się wyciągnąć pistolet. Austin rzucił się w kierunku studni. Guzman wstał i strzelił do niego, lecz w słabym świetle Austin okazał się trudnym celem i pocisk nie trafił. Austin zanurkował.

Guzman zaklął i ruszył za nim. Przeszedł kilka kroków w wodzie po kolana i zrozumiał, że pozostanie tutaj jest samobójstwem. Dotarło to do niego jeszcze jaskrawiej, gdy odwrócił się i zobaczył Halcona idącego do drabinki sznurowej. Marzenia Halcona o chwale wreszcie przegrały z instynktem przeżycia. Pokonywał silny prąd, aż znalazł się pod dziurą w suficie, przez którą woda lała się do środka, tworząc miniaturową Niagarę. Oślepiony strumieniem, namacał ręką drabinę, ale ręka nie utrzymała śliskiego sznura. Zaklął i spróbował ponownie. Tym razem udało mu się chwycić szczebel.

Zaczął się wspinać i wtedy poczuł czyjąś rękę przytrzymującą go za kostki. Guzman oplótł rękami kolana Halcona i z całej siły ściągał go w dół. Halcon jedną ręką trzymał się drabinki, drugą wyciągnął z kabury pistolet i zamachnął się nim z całej siły, na jaką mógł się zdobyć w tej niewygodnej pozycji. Lufa natrafiła na ciało i kość, ale Guzman nie puszczał. Halcon ponownie uniósł pistolet i uderzył nim kolejne dwa razy – z pożądanym skutkiem.

Chwył Guzmana zrobił się luźniejszy. Stracił grunt pod nogami i woda odepchnęła go w głąb pomieszczenia, gdzie zatrzymał się na stercie połamanych desek statku. Lecz nawet teraz się nie poddał. Uklęknął i właśnie próbował wstać, kiedy oderwana od statku belka, długości mniej więcej dwóch metrów, zdzieliła go prosto w twarz. Niesione prądem drewno staranowało go. Oszołomiony i ślepy na jedno oko, bezradnie machał ramionami, rozpaczliwie próbował łapać powietrze, ale w efekcie nałykał się tylko wody. Gorączkowe ruchy spowolniały i osłabły, prąd uniósł ciało w głąb pomieszczenia.

Halcon też miał poważne problemy. Wspiął się mniej więcej dwa metry po drabince, kiedy spadająca potężna porcja wody uderzyła go niczym mokra pięść z taką siłą, że nie był w stanie się utrzymać. Następną falą zrzuciła go z drabinki. Ucieczka tą drogą okazała się niemożliwa, więc przebił się do schodów prowadzących do komnaty z sarkofagiem. Uciekając przed zalewającą go wodą, pełzył w górę na rękach i kolanach.

Zawala czekał tuż pod powierzchnią, gdy Austin wskoczył do studni. Zanurkowali po strzale Guzmana i popłynęli tunelem, korzystając z jednej butli. Kilka minut później wypłynęli ze szczęk Kukulcana. Spojrzeli na kompas i wykorzystując każdy mięsień, wydostali się na otwarte jezioro, żeby oddalić się od prądu tworzonego przez wpadającą do świątyni wodę. Wynurzyli się niedaleko schowanego samolotu. Szybko pozdejmowali gałęzie, uruchomili silnik i wkrótce mknęli po powierzchni jeziora. Wystartowali i po nabraniu pewnej wysokości, Zawala zrobił wielkie koło nad jeziorem.

Wyspa nad szczytem świątyni zniknęła. Na jej miejscu ziała czarna dziura. Woda wirowała wokół otworu jak przy odpływie wanny i szarpała cumą wodolotu, który prawdopodobnie należał do Halcona.

Dość się napatrzyli. Przelecieli tuż nad jeziorem i ostatni raz rzucili okiem na wir. Zawala nie mógł się oprzeć pokusie. Wychylił się przez okno i krzyknął:

– Żegnaj, Kolumbie!

Potem polecieli na „Nereusa”.

## 49

Po ciemnoniebieskiej wodzie zatoki Chesapeake, pchana południowo-zachodnim wiatrem, wiejącym ze stałą prędkością piętnastu węzłów, sunęła żaglówka z krótkim i grubym masztem oraz przesadnie wielkim, pojedynczym gaflem. Austin siedział w dużym otwartym kokpicie, jedną rękę trzymał na żaglu, drugą na wielkim rumplu. Przepatrywał ruch jachtów, szukał ofiary.

Poszukiwania przerwało mu – a nie miał nic przeciwko temu – wyjście Niny z kajuty. Niosła dwie pobrzękujące szklanki.

– Rum i sok pomarańczowy – oznajmiła.

Miała na sobie w podkoszulek z NUMA i krótkie szorty, podkreślające długie nogi i urodę kremowej skóry. Jej wdzięki nie były Austinowi obojętne, ale koncentrował się na zaplanowanym zadaniu. Burknął w podziękowanie, lecz nie odwracał wzroku od morza.

– Ach, mój ty śliczny – zachwycił się niczym czarownica z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Wziął lornetkę i skierował ją na eleganckiego słupa z białym kadłubem z włókna szklanego, długiego na jakieś osiem metrów. Tak jak jacht Austina, tamta jednostka również płynęła swobodnie, grot i kliwer łapały pełny wiatr.

Austin wypił kilka łyków, wstawił drinka w uchwyt, po czym przesunął rumpel tak, żeby popłynąć równolegle do słupa. Pomachał siedzącym w kokpicie dwóm młodym mężczyznom, uniósł kciuk jak autostopowicz i odsunął się na bok.

Załoga słupa z zadowoleniem przyjęła zaproszenie do wyścigu.

Austin wyostrzył, słup powtórzył manewr. Płynęli równolegle, oddaleni może o sto metrów. Manewrowali, by jak najlepiej wystartować.

Austin ściągnął żagiel, reling wszedł w wodę.

Mężczyźni w słupie zrobili to samo i po chwili oba jachty cięły spienioną wodę zatoki. Słup był smukły i szybki, a załoga znała się na żeglarstwie,

lecz wkrótce Austin zaczął wychodzić do przodu. Opierał się o reling, zre-laksowany popijał drinka, aż przeciwnik został daleko z tyłu.

– Co teraz zrobiłeś? – spytała Nina z uśmiechem.

– Dałem nauczkę kolejnym żeglarzom. Choć ten jacht wygląda jak wanna, nie znaczy to, że tak samo pływa.

– Uważam, że to wspaniały jacht. Ma wielki pokład. Zadziwiające, ile miejsca na dole może mieć łódź o długości pięć i pół metra.

– Dość często na nim nocowałem, co widać po kuchni i sypialni, a lubię komfort i uwielbiam się przeciągać. W pierwotnej wersji była to łódź robocza. Jedna osoba może obsługiwać pojedynczy żagiel, na tyle duży, że złapie najłżejszy wieczorny wiaterek. Jest również odporny na pogodę, która może wykończyć wiele innych jachtów. A co najlepsze, jest szybki i wcale tego po nim nie widać. Mogę więc zarzucać przynętę na niczego się nie spodziewające załogi, jak z tego słupa, i pokazywać im plecy. Jesteśmy na miejscu.

Dotarli do niewielkiej wyspy. Austin rzucił kotwicę, wyjęli koszyk z jedzeniem. Cieszyli się posiłkiem, podczas gdy jacht lekko się chybotał na drobnej fali. Po obiedzie Nina usiadła przy Austinie i oparła się o jego ramię.

– Dziękuję za zaproszenie na przejażdżkę.

– Pomyślałem sobie, że po wydarzeniach minionych tygodni przyda się nam przyjemna odmiana.

Nina patrzyła zamyślona w dal.

– Nie mogę przestać myśleć o tych strasznych ludziach. Cóż za okropna śmierć...

– Nie żałuj ich. Guzman zamordował setki ludzi, nie wspominając nawet o zatopieniu „Andrei Dorii”. W pewnym sensie utonięcie było w jego przypadku sprawiedliwe. Gdyby plan Halcona się udał, mogły zginąć tysiące ludzi. Guzman miał szczęście, Halconowi na pewno starczyło czasu na rozmyślanie o swoich błędach. Powietrze w pomieszczeniu, gdzie siedział, z pewnością powstrzymało wodę przez jakiś czas, ale nie dłużej niż kilka godzin. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że wraz z nim zginęło Bractwo. Szkoda, że nie żył wystarczająco długo, by zobaczyć, co się dzieje z jego cennym skarbem.

– Chylę czoło przed admirałem Sandeckerem – powiedziała Nina, zmieniając temat. – Propozycja zainwestowania skarbu w walkę z biedą i chorobami na świecie była genialna.

– W przeciwnym razie rozgorzałyby wieloletnia walka prawników bez szansy na wykreowanie zwycięzcy. Komu miałyby przypaść skarb? Spadkobiercom Fenicjan? Rzymianom? Meksykańczykom? Gwatemalczykom?

– Albo Krzysztofowi Kolumbowi. – Nina pokręciła głową. – Ironiczne, co? Podobnie jak Halcona, jego też zabiła obsesja złota.

– Nie cieszył się dobrym zdrowiem już przed postawieniem żagli. Nawet gdyby nie podjął piątej wyprawy, mógł lada chwila umrzeć. W ten spo-

sób zostanie przynajmniej sławniejszy, niż był kiedykolwiek. Czy sobie na to zasłużył, czy też nie. Ja też jestem mu coś winien. Gdyby nie jego obsesja, mogliśmy się nie spotkać.

Nina ujęła dłoń Austina.

– Gdyby wiedział, co wyniknie z tej wyprawy... Wydobycie jego ciała i skarbu będzie największym przedsięwzięciem archeologicznym w historii. Odbędzie się to przy współpracy narodów i rządów całego świata. Nie mogę się doczekać rozpoczęcia prac. Martwy, uczynił znacznie więcej dla zbliżenia ludzi niż za życia. Szkoda, że zostanie mu odebrana zasługa odkrycia Ameryki.

– To chyba się nie liczy. Widziałem plany pompatycznego mauzoleum, jakie ma zostać zbudowane dla niego w Madrycie. Waszyngton i San Salvador też starają się o jego ciało.

– Nikt nie zaproponował postawienia pomnika wszystkim bezimiennym Fenicjanom i Afrykańczykom, którzy jako pierwsi postawili nogę w Nowym Świecie.

– Może nie byli pierwsi.

Nina uniosła brew.

– Przepraszam? Ma pan dowody na poparcie swej teorii, profesorze Austin?

– Może. Przyjrzałem się jeszcze raz rzeźbieniom na kamieniach. Pamiętasz rysunek mężczyzny, zwisającego z czegoś o kształcie rombu?

– Pamiętam. To pewnie jakiś bóg.

– Spojrzałem na to inaczej. Zastanowiło mnie, skąd Majowie wiedzieli przy projektowaniu szczęk Kukulcana, jak wygląda widok z powietrza. Moim zdaniem posługiwali się wielkimi latawcami.

– Latający Majowie! To zupełnie coś nowego. Gdzie mieli się tego nauczyć?

Przerwało im buczenie telefonu komórkowego Austina. Wyjął go z wodoszczelnej torby i przyłożył do ucha. Po rozpoznaniu głosu w słuchawce, przestał marszczyć czoło i rozpromienił się. Rozmawiał kilka minut.

– To był Angelo Donatelli, dzwonił ze szpitala. Za kilka dni wychodzi.

– To cud, że nie zginął.

– Więcej niż cud. Rzucając się na Halcona, kuzyn Antonio zmienił nieco lot kuli.

– Cieszę się. Z tego co mówiłeś, pan Donatelli jest miłym człowiekiem.

– Niedługo będziesz mogła sama to sprawdzić. Organizuje w swoim domu w Nantucket wielkie rodzinne przyjęcie. Jesteś zaproszona. Paul i Gama też tam będą.

– Przyjdę z największą przyjemnością.

– To dobrze, jesteśmy umówieni na randkę. Chcesz usłyszeć resztę mojej teorii o latawcach?

Nina skinęła głową.

– Moim zdaniem Majowie nauczyli się latać od najlepszych pilotów latawców na świecie. Od Japończyków.

Nina roześmiała się.

– Chyba nie chciałabym jechać do Japonii.

– A dokąd chciałybyś pojechać?

Nina podniosła telefon.

– Tam, gdzie nie będziesz tego potrzebował. – Wyrzuciła telefon za burtę.

Zdjęła okulary, uśmiechnęła się, a jej pełne wargi rozchyliły się zapraszająco. Austin przyjął ciepłe, słodkie zaproszenie, takie jak myślał.

– Co powiesz o pójściu na dół i... jak byś to nazwał? Przeciąganiem się? – spytała szeptem.

Bez słowa ujął ją za rękę i zaprowadził do dużej kabiny. Zamknął żaluzjowe drzwiczki, odgradzające ich od świata. Przynajmniej na jakiś czas.

## Podziękowania

Z wyrazami wdzięczności dla dona Stevensa za zabranie nas na dno, do „Andrei Dorii”, tak że nie zmoczyliśmy sobie nóg, oraz dla dwóch świetnych pisarzy – Alvina Moscowa i Williama Hofera, których książki *Collision Course* i *Saved* żywo opisują ludzką stronę tej wielkiej tragedii morskiej. Wyrazy wdzięczności należą się także za nieustępliwość nieustraszonemu badaczowi Johnowi L. Stephensowi, który w trakcie wyprawy po Jukatanie odkrywał nie tylko cuda zaginionej cywilizacji Majów, ale także stawiał czoło moskitom i malarii.